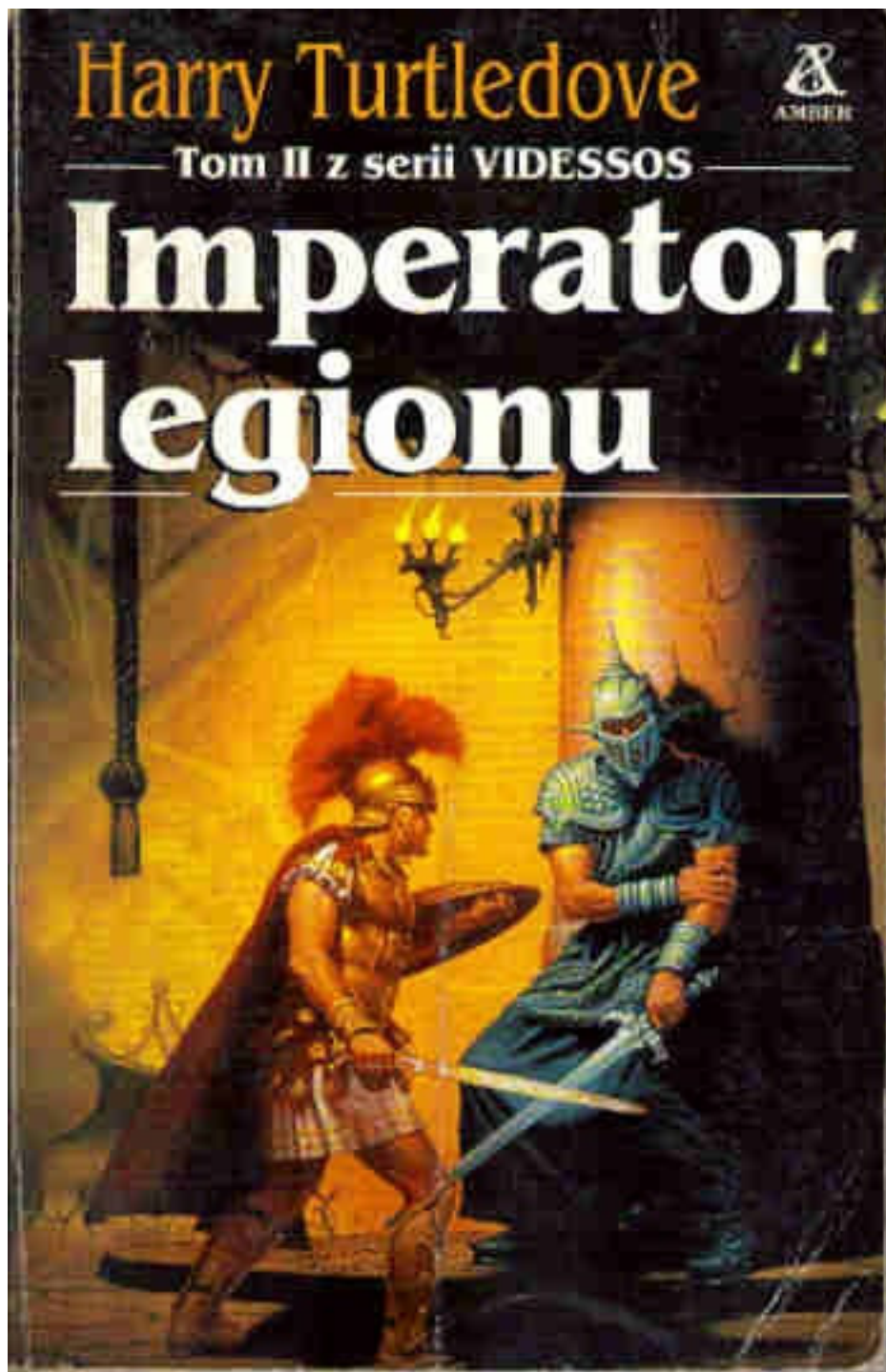


Harry Turtledove



Tom II z serii VIDESSOS

Imperator legionu



Harry Turtledove

Imperator legionu

Tom II z serii VIDESSOS

Przełożyli

Anna Reszka

Cezary Frąć



*Judy - Lynn del Rey za to,
że do mnie telefonowała, by powiadomić, że sprzedali*

Co się wydarzyło wcześniej:

Kiedy trzy zwiadowcze kohorty rzymskich legionistów, dowodzone przez trybuna wojennego Marka Emiliusza Skaurusa i starszego centuriona Gajusza Filipusa, wracały do głównego obozu armii Juliusza Cezara, wpadły w zasadzkę zastawioną przez Galów. Chcąc zapobiec rzezi, galijski dowódca, Viridoviks, zaproponował Markowi pojedynek. Obaj wojownicy mieli miecze zaczarowane przez druidów. Gdy skrzyżowali ostrza, otoczyła ich kopia światła. Rzymianie i Viridoviks trafili nagle do nie znanego świata i zobaczyli na niebie obce konstelacje.

Wkrótce odkryli, że znajdują się w rozdieranym przez wojnę Imperium Videssos, w którym kapłani Phosa potrafili dokonywać sztuk magicznych. Legioniści zostali najemnikami na służbie Imperium i spędzili zimę w prowincjonalnym mieście Imbros, ucząc się języka i zwyczajów.

Gdy nadeszła wiosna, pomaszzerowali do Videssos, stolicy Imperium. Tam Marek poznał Imperatora-żołnierza Mavrikiosa Gavrasa i jego brata, Thorisina, oraz premiera Vardanesa Sphrantzesa, biurokratę, który zapałał do niego nienawiścią. Podczas uczyty wydanej na cześć Rzymian Marek zaprzyjaźnił się z córką Mavrikiosa, Alypią, i przypadkiem rozlał wino na czarnoksiężnika Avshara, posła Yezda, wrogów Imperium. Avshar wyzwał go na pojedynek, który próbował wygrać za pomocą magii, lecz druidyczny miecz zneutralizował czar i Marek zwyciężył.

Szukając zemsty, Avshar dał jednemu z nomadów zaczarowany sztylet i kazał mu zabić Marka. Videssański kapłan Nepos, oburzony i przerażony użyciem czarnej magii, doprowadził do tego, że Avshar stracił przywileje należne posłowi.

Marek otrzymał rozkaz aresztowania czarnoksiężnika. Towarzyszył mu Hemond i oddział najemników z wyspy Namdalen. Avshar zdążył uciec, zostawiając magiczną pułapkę, w której zginął Hemond. Marek musiał zanieść miecz zabitego jego żonie, Helvis.

Sprawa Avshara stała się pretekstem do wypowiedzenia przez Videssos wojny Yezda, którzy zapuszczali się w głąb zachodnich ziem Imperium, pustosząc je. Do stolicy zjechały wojska — imperialne i najemne — i zaczęły się przygotowania. Między Videssańczykami i coraz liczniejszymi Namdalajczykami powoli narastało napięcie z powodu różnic religijnych. Dla liberalnie nastawionych Rzymian różnice były drobne, ale obie strony uważały się nawzajem za heretyków. Videssański patriarcha, Balsamon, odprawił mszę poświęconą tolerancji, która na jakiś czas złagodziła nastroje.

Lecz fanatyczni videssańscy kapłani na nowo podsycili konflikt. Wybuchły zamieszki. Marek otrzymał rozkaz zaprowadzenia porządku. Wszedłszy na jeden z ciemnych dziedzińców, żeby przeszkodzić w gwałcie stwierdził, że niedoszłą ofiarą jest Helvis. Gdy zamieszki zostały stłumione, wdowa po Hemondzie z małym synkiem wprowadziła się do Skaurusa. Inni Rzymianie również znaleźli sobie towarzyski.

W końcu potężna armia ruszyła przeciwko Yezd. Towarzyszyły jej kobiety i słudzy. Marek ucieszył się, kiedy Helvis mu powiedziała, że oczekuje dziecka. Przeraziła go natomiast wiadomość, że lewym skrzydłem armii będzie dowodził Ortaias Sphrantzes. Niewiele go pocieszyła informacja, że młody człowiek jest tylko marionetką i gwarancją, że Vardanes Sphrantzes będzie się zachowywał lojalnie.

Na ziemiach zachodnich do armii dołączyły kolejne oddziały, między innymi Baanesa Onomagoulosa i Gagika Bargatouniego, szlachcica wygnanego przez Yezda z górzystej ojczyzny, Vaspukaranu. Dwoje innych Vaspukaranerów, Senpat Sviodo i jego żona Nevrata, służyło Rzymianom jako przewodnicy. Miejscowy kapłan, Zemarkhos, który nienawidził wszystkich Vaspukaranerów jako heretyków, wyklął Bagratouniego. Rozwścieczony szlachcic wrzucił go razem z psem do worka i kazał sprawić mu lanie. Obawiając się pogromu, Marek wstawił się za kapłanem.

Yezda rozpoczęli wypady przeciwko imperialnej armii, która zbliżała się do ich kraju. W pobliżu miasta Maragha zaatakowali Onomagoulosa. Imperator zostawił osoby towarzyszące żołnierzom w Khliat i pośpieszył sojusznikowi z pomocą.

Podczas wielkiej bitwy Yezda dowodził Avshar. Czarami zabił oficera, który w rzeczywistości dowodził lewym skrzydłem armii imperialnej. Ortaias Sphrantzes, zdany na własne siły, wpadł w panikę i uciekł.

Całe skrzydło załamało się. Bitwa, do tej pory wyrównana, przerodziła się w klęskę. Mavrikios poległ, a desperacki kontratak Thorisina nie powiódł się, lecz królewskiemu bratu udało się uciec z dużą częścią armii.

Dzięki dyscyplinie Rzymianie wycofali się w karnym szyku i rozbili obozem na noc. O północy Avshar podrzucił im głowę Mavrikiosa i ruszył w pościg za Thorisinem.

Gra jeszcze się nie skończyła.

I

Odwrót z pola bitwy, na którym poniósł śmierć Imperator Videssos, dał się Rzymianom mocno we znaki. Zbliżał się koniec lata. Ziemie, przez które maszerowali, były gorące i spieczone. W oddali pojawiały się miraże, podstępnie obiecując jeziora w miejscach, gdzie cudem trafiłaby się błotnista sadzawka. Bandy Yezda nękały uciekinierów, wszczynając potyczki i wyłapując maruderów.

Skaurus niósł uciętą głowę Mavrikiosa Gavrasa; jedyny dowód, że Imperator nie żyje. Trybun wiedział, że po upadku Mavrikiosa w kraju zapanuje chaos, i zamierzał przeszkodzić pretendantom, którzy mogli powoływać się na królewskie imię w dążeniu do władzy. W Videssos zdarzały się już

takie rzeczy.

— Szkoda, że mnie nie było, kiedy ten czarny łotr, Avshar, rzucił ci głowę — powiedział Viridoviks do trybuna. Mówił po łacinie z melodyjnym celtyckim akcentem. — Miałem niezły łeb Yezda. Mogłem mu go odrzucić.

Zgodnie z okrutnym zwyczajem swojego ludu, Gal wziął głowę zabitego wroga jako trofeum.

Kiedy indziej Marek uznałby to za odrażające. Ogarnięty goryczą z powodu klęski, powiedział:

— Ja też żałuję.

— Tak, dałoby to sukinsynowi do myślenia — dodał Gajusz Filipus.

Starszy centurion zwykle lubił się kłócić z Viridoviksem, ale teraz pogodziła ich nienawiść do księcia - czarnoksiężnika Yezda.

Marek potarł brodę. Poczł pod palcami szorstką szczecinę. Jak większość Rzymian, golił się w kraju brodaczy, ale ostatnio nie miał na to czasu. Wyrwał włos, który w świetle słonecznym załśnił złotem. Skaurus pochodził z Mediolanu i miał w żyłach sporo północnej krwi. W armii Cezara w Galii drażniono się z nim mówiąc, że wygląda jak Celt. Videssańczycy często brali go za Halo-gajczyka. Wielu wojowników tego ludu porzucało chłodną ojczyznę dla służby najemnej w Imperium.

Smukły i śniady Gorgidas uwijał się niestrudzenie przy rannych. Zmieniał opatrunki, składał złamane kości i aplikował resztki maści i leków. Choć sam ranny, grecki lekarz nie zważał na ból, niosąc innym ulgę.

Oślaniani przez oddział lekkiej kawalerii z Khatrish, sąsiadującego od wschodu z Videssos, legionści posuwali się na wschód w stronę miasta Khliat tak szybko, jak byli w stanie, mając tylu rannych. Gdyby szli przez ziemie pozostające pod rządami Rzymu, Skaurus skierowałby się raczej na północny zachód, by dołączyć do Thorisina Gavrasy i prawego skrzydła rozbitej armii imperialnej. Miało to militarny sens, gdyż brat Imperatora — nie, teraz już sam Imperator — wyprowadził swoje oddziały w karnym szyku. Na nim spoczywał teraz główny ciężar walki z Yezda.

Marek był nie tylko oficerem legionów, lecz jednocześnie dowódcą najemników. Musiał liczyć się z faktem, że rodziny, które legionści założyli po przybyciu do Videssos, zostały w vaspura-kańskim mieście, bazie przegranej kampanii wojennej Mavrikiosa. Żaden rozkaz nie mógł odwieść Rzymian od marszu do Khliat. Tym bardziej nie posłuchałyby go setki niedobitków, którzy przyłączyli się w jego wojska, traktując je jako ostatni ratunek.

Marek wcale nie zamierzał wydawać takiego rozkazu. Jego towarzyska życia, Helvis, oczekująca dziecka, przebywała w Khliat razem z synkiem z pierwszego związku.

Przynajmniej taką miał nadzieję. Niepewność dręczyła legionistów równie dotkliwie jak Yezda. Skaurus wiedział, że wrogowie mogli napaść na Khliat i zabić albo wziąć do niewoli wszystkich mieszkańców. Nawet jeśli tego nie zrobili, z pewnością do miasta dotarli zbiegowie z wieścią o

klęsce, która spotkała videssańską armię.

Po usłyszeniu takiej nowiny cywile mogli uciec na wschód, co było bardziej niebezpieczne, niż gdyby zostali za murami obronnymi. Marka nękały bez przerwy ponure wizje: Helvis nie żyje, Helvis schwytana przez Yezda, ciężarna Helvis z trzyletnim dzieckiem podążająca na wschód przez wrogi kraj...

Wysiłkiem woli odsunął od siebie niespokojne myśli. Nie po raz pierwszy był wdzięczny, że studiował w szkole stoików, gdzie nauczył się odrzucać bezproduktywne spekulacje. Wkrótce do-
wie się wszystkiego i wtedy nadejdzie czas działania.

Półtora dnia drogi od Khliat do rzymskiego trybuna przybył zwiadowca.

— Od wschodu zbliża się jeździec, panie — zameldował. Mówił z wyraźnym khatrizerskim akcentem i Skaurus miał trudności ze zrozumieniem. Videssański trybuna też był daleki od doskonałości. Kiedy Marek wreszcie zrozumiał, co mówi zwiadowca, obudziło się w nim zainteresowanie.

— Ze wschodu? Samotny jeździec?

Khatriś rozłożył ręce.

— O ile mogłem stwierdzić. Był wystraszony i schował się, gdy tylko nas zauważył. Wyglądał mi na Vaspukaranera.

— Nic dziwnego, że zachował czujność. Pewnie wziął cię za Yezda.

Wojowniczy nomadzi od lat pustoszyli Vaspukaran. Miejscowi znienawidzili ich. Khatriśe również wywodzili się z koczowników i mimo że przejęli wiele zwyczajów videssańskich, zostało w nich sporo cech mieszkańców równin.

— Przyprawdźcie go, lecz nie róbcie mu krzywdy — zdecydował Marek. — Ktoś głupi na tyle, by podróżować na zachód, gdy wszyscy ciągną w przeciwną stronę, musi mieć po temu dobry powód. Może niesie wieści z Khliat — dodał, wbrew sobie ogarnięty nadzieją.

Zwiadowca machnął mu wesoło — Khatriśe byli wolnymi ludźmi — i popędził konia. Skaurus nie spodziewał się go szybko. Nie sądził, by z takim wyglądem przekonanie Vaspukaranera o własnej nieszkodliwości przyszło mu łatwo. Trybun był zaskoczony, kiedy Khatriś wkrótce pojawił się z obcym jeźdźcem.

Towarzysz zwiadowcy wyglądał znajomo, nawet z pewnej odległości. Zanim trybun zdążył mu się przyjrzeć, Senpat Sviodo krzyknął radośnie, spiął konia ostrogami i popędził na spotkanie przybysza.

— Nevrata! — wrzasnął Vaspukaraner. — Zwariowałaś? Podróżujesz samotnie przez ziemie wilków?

Jego żona odłączyła się od eskorty i w chwilę później rzuciła mu się w objęcia. Khatrish wytrzeszczył oczy i rozdziawił usta. W luźnym pokrytym kurzem stroju podróżnym, z kręconymi czarnymi włosami upchniętymi pod vaspurakańską skórzaną czapką z trzema rogami, obcy nie wyglądał na kobietę. Zdradzały go tylko gładkie policzki. Nevrata była uzbrojona jak mężczyzna. W rękach trzymała łuk z nasadzoną strzałą, a do pasa miała przytroczoną szablę.

Oboje z Senpatem trajkotali w gardłowym języku, wracając powoli w stronę kolumny najemników. Khatrish jechał za nimi, potrząsając głową.

— Wasz zwiadowca ma głowę na karku — powiedziała do Skaurusa, przechodząc na videssański. — Wzięłam całą grupę za Yezda, mimo że wrzeszczeli „przyjaciele”, „swoi”! Dopiero kiedy ten krzyknął „Rzymianie”, od razu się zorientowałam, że nie jest szakalem.

— Cieszę się, że mu zaufałaś — odparł Marek. Podobała mu się dzielna śniada dziewczyna. Innym

Rzymianom również. Rozległy się wiwaty, kiedy mężczyźni ją rozpoznali. Nevrata błysnęła w uśmiechu białymi zębami. Senpat Sviodo, dumny z wyczynu żony i szczęśliwy, że bezpiecznie do niego przyjechała, również uśmiechnął się szeroko.

Pytanie Senpata kołatało się trybunowi w głowie. Nagle poraziła go straszna myśl.

— Na imię Phosa, Nevrato, dlaczego opuściłaś Khliat? Miasto padło?

— Wczoraj rano, kiedy wyruszałam, jeszcze stało — odparła dziewczyna.

Rzymianie, którzy usłyszeli odpowiedź, znowu wzniesli okrzyki, tym razem pełne ulgi. Nevrata szybko ostudziła ich radość.

— Wewnątrz murów panuje większy chaos niż ten, który widziałam po drodze.

Gajusz Filipus skinął głową, jakby usłyszał to, czego się spodziewał.

— Wpadli w panikę, kiedy dotarła wieść, że zostaliśmy pobici?

Mówił zrezygnowanym tonem. Widział dość zwycięstw i klęsk, by ich następstwa nie stanowiły dla niego tajemnicy.

Rzymianie stłoczyli się wokół Nevraty, wykrzykując imiona swoich kobiet i zasypując ją pytaniami.

— Wyjechałam wczoraj. Kiedy ostatnio je widziałam, były całe i zdrowe. Wasze dziewczyny są rozsądne. Mają dość rozumu, by nie uciekać z miasta.

— Więc mieszkańcy zamierzają uciec? — zapytał Skaurus czując, że zamiera mu serce.

Nevrata natychmiast położyła kres jego obawom.

— Helvis zna wojnę, Marku. Mam ci przekazać, że zostanie w Khliat, póki pierwszy Yezda nie pojawi się na murach.

Trybun bał się, że głos go zawiedzie, więc tylko skinął głową w podziękowaniu. Poczul nagle, jakby zdjęto mu ciężar z ramion. Wiedział jednak, że Helvis nie miała takiej pewności, iż on żyje.

Dla innych Rzymian również były nowiny z Khliat.

— Jest tutaj Kwintus Glabrio? — Młody centurion stał niemal przy Nevracie, ale jak zwykle nie zwracał na siebie uwagi. Zrobił krok do przodu. Nevrata roześmiała się zaskoczona. — Przepraszam. Twoja Damaris obiecała, że będzie na ciebie czekać w mieście.

— Jestem pewien, że będzie robić nie tylko to — odparł z uśmiechem.

Rzymianie, którzy znali Damaris, roześmiali się. Gorąca videssańska dziewczyna potrafiła mówić za siebie i za Glabrio.

— Minucjuszu — mówiła dalej Nevrata. — Erene przekazuje ci, że przestała wymiotować. Trochę się zaokrągliła.

— Miło to słyszeć — powiedział krzepki legionista. Po tygodniu bez brzytwy miał gęsty czarny zarost.

Nevrata spojrzała na Marka z rozbawieniem w brązowych oczach.

— Helvis nie ma dla ciebie takiej samej wiadomości, przyjacielu. Przez większość czasu jest zielona jak por.

— Dobrze się czuje? — zapytał niespokojnie.

— Tak, świetnie. Nie ma się czym martwić. Wy mężczyźni jesteście jak dzieci w tych sprawach. Miała tyle pocieszających i uspokajających nowin, że ktoś wreszcie zawołał:

— Skoro jest tak dobrze, dlaczego uciekłaś z miasta?!

— Nie jest aż tak dobrze — odparła. — Pamiętajcie, że wiadomości przynoszę od osób, które miały dość rozsądku, żeby zostać, i dość hartu, by wierzyć, że znowu was zobaczą. Większość jest innego pokroju. Uciekają jak zające od chwili, kiedy Ortaias Sphrantzes przygalopował do miasta z wieścią, że wszystko stracone.

Na dźwięk nazwiska młodego arystokraty podniosły się gniewne okrzyki i przekleństwa. To on dowodził lewym skrzydłem armii videssańskiej i jego paniczna ucieczka zamieniła spokojny odwrót w druzgoczącą klęskę. Nevrata skinieniem głowy skwitowała wybuch Rzymian. Nie widziała ucieczki Ortaiasa z pola bitwy, ale była w Khliat.

— Zatrzymał się tylko po to, by zmienić konie — rzuciła pogardliwie. — Ten, którego zajeździł, padł następnego dnia. Biedne stworzenie. Ortaias natychmiast znowu pognął na wschód. I krzyżyk mu na drogę, jeśli kogoś interesuje, co myślę.

— Masz rację, dziewczyno — odezwał się Gajusz Filipus i jako żołnierz z krwi i kości zapytał od razu: — Widziałaś po drodze jakichś Yezda albo naszych?

— Wielu Yezda. Na wschodzie jest ich więcej, ale nie ma wśród nich żadnej dyscypliny. Skaczą jak żaby za muchami, atakują wszystko, co się rusza. Połączyła ich królewska armia. Po rozgromieniu jej znowu się podzielili i szukają nowych terenów. Całe Videssos po tej stronie Końskiego Brodu stoi przed nimi otworem.

Marek wyobraził sobie zachodnie ziemie Videssos spustoszone przez nomadów, żyzne pola spalone, miasta, które nawet nie miały murów obronnych, gdyż od dawna żyły w pokoju, a teraz mogły stać się igraszką barbarzyńskich najeźdźców, o płonących ołtarzach i krwawych ofiarach dla mrocznego boga Yezda Skotosa. Odsunął od siebie te straszne obrazy i powtórzył drugą część pytania Gajusza Filipusa:

— A co z wojskami Imperium?

— Większość została równie mocno przetrzebiona jak oddziały Ortaiasa. Widziałam trzech Yezda, którzy ścigali cały szwadron kawalerii i zaśmiewali się do rozpuku. Jeden ruszył za mną, ale zgubiłam go w skalistym terenie. — Jednym zdaniem Nevrata skwitowała dwie godziny przerażenia. — Dzień jazdy od was widziałam resztkę regimentu Namdalajczyków. Nomadzi omijali ich szerokim łukiem.

— To możliwe — wtrącił Viridoviks. — Namdalajczycy są twardzi jak skała.

Rzymianie podzielali tę opinię. Wojownicy z namdalajskiej wyspy Duchy, ambitni jak wszyscy najemnicy, byli w oczach Videssan heretykami, ale walczyli tak dobrze, że Imperium chętnie ich wynajmowało.

— Widziałas Thorisina Gavrasa? — zapytał Skaurus. Znowu pomyślał o przyłączeniu się do niego.

— Sevastokratora? Nie. Nic też o nim nie słyszałam. Czy to prawda, że Imperator nie żyje? Ortaias twierdził, że tak.

— To prawda. — Marek nie wspomniał o upiornym dowodzie śmierci Mavrikiosa.

— Skąd Sphrantzes mógł to wiedzieć? — zapytał Gorgidas, który wychwycił coś, co trybun przeoczył. — Uciekł, zanim Imperator zginął.

Gdy Rzymianie zrozumieli, co to oznacza, wydali pomruk.

— Może tak bardzo tego chciał, że nie miał żadnych wątpliwości — zasugerował Kwintus Glabrio. — Ludzie często wierzą w to, czego najbardziej pragną.

Glabrio zwykle przypisywał ludziom najlepsze intencje. Markowi, który w rodzinnym Mediolanie parał się polityką, nasunęło się inne wytłumaczenie. Ortaias Sphrantzes pochodził z rodu, który rządził Imperium. Jego wuj Vardanes Sphrantzes, Sevastos czy też inaczej premier, był głównym rywalem Mavrikiosa.

— Czy nie dość się nagadaliśmy? — Gajusz Filipus przerwał rozmyślenia Skaurusa. — Im szybciej wyruszymy do Khliat, tym prędzej będziemy mogli przystąpić do działania zamiast strzepić języki.

— Nie masz litości — stwierdził Viridoviks, wycierając wierzchem dłoni spocone czoło. — Zapominasz, że nie wszyscy są jak ten niestrudzony gigant z brązu, o którym opowiadają Grecy...

Spojrzał pytająco na Gorgidasa.

— Talos — podpowiedział mu Grek.

— Właśnie — ucieszył się Celt.

Był zapalczywy, energiczny i niezrównany, jeśli chodzi o krótkotrwały wysiłek, lecz starszy centurion — podobnie jak wielu Rzymian — przewyższał go wytrzymałością.

Mimo narzekań Viridoviksa Marek doszedł do wniosku, że Gajusz Filipus ma rację. On też uważał, że posuwali się za wolno. Mieli wielu rannych, którzy mogli sami iść, ale innych trzeba było nieść na noszach. Rzymianie powinni jak najszybciej dotrzeć do Khliat, zanim Yezda napadną na miasto i pokonają słaby garnizon, którego morale z pewnością było niskie. Przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl.

— Ostatnie pytanie, zanim ruszymy — powiedział do Nevraty. — Czy coś wiadomo o Avsharze?

Był pewien, że książę-czarnoksiężnik próbuje zorganizować niesfornych nomadów, żeby przystąpić do ataku. Nevrata potrząsnęła głową.

— Zupełnie nic, podobnie jak o Thorisinie. Dziwne, nieprawdaz?

Znała wojnę i brała udział w walkach, kiedy Yezda pierwszy raz napadli na Vaspukaran. W lot zrozumiała, o co chodzi trybunowi.

Przed zapadnięciem nocy Rzymianie i ich towarzysze znaleźli się niecały dzień drogi od Khliat. Nie nękani przez Yezda, rozbili ufortyfikowany obóz. Robili to już wielokrotnie. Legioniści uwijali się po obozowisku, kopiąc rów, budując przedpiersie i palisadę. Wewnątrz niej ustawili w równych rzędach skórzane ośmioosobowe namioty.

Rzymianie pokazali Videssańczykom i innym sprzymierzeńcom, co mają robić, i pilnowali wykonania zadań. Przeklinając i pokrzykując, Gajusz Filipus powoli zaprowadził porządek w szeregach legionistów. Nowi przybysze uzupełnili manipuły, zajmując miejsca zabitych Rzymian.

— To pierwszy krok, żeby zrobić z nich legionistów — pochwalił Skaurus.

— Właśnie tak pomyślałem — stwierdził Gajusz Filipus. — Niektórzy uciekną, ale nad innymi popracujemy i jeszcze będzie z nich pociecha. Dotrą się wśród dobrych żołnierzy.

Do Marcusa podszedł Senpat Sviodo i uklonił się nisko.

— Mam nadzieję, że nie sprzeciwisz się, panie, by moja żona spędziła noc wewnątrz umocnień — powiedział z ironicznym błyskiem w oczach.

Skaurus poczerwieniał. Do czasu klęski videssańskiej armii przestrzegał rzymskiego zwyczaju i nie pozwalał kobietom przebywać w kwaterach żołnierzy. W rezultacie, Senpat i Nevrata, którzy przedkładali swoje towarzystwo nad legionową dyscyplinę, zawsze rozbijali namiot tuż za rzymskim obozem. Teraz jednak...

— Oczywiście — odparł trybun. — Kiedy dotrzemy do Khliat, będzie miała liczne towarzystwo. — Nie powiedział „jeśli dotrzemy do Khliat"... Nie śmiał tak myśleć.

— To dobrze. — Senpat przyjrzał się trybunowi. — Więc jednak potrafisz być miękki, panie? Zawsze mnie to intrygowało.

— Chyba tak — westchnął Marek z takim żalem w głosie, że obaj ze Sviodo się roześmiali.

Więc kobiety będą z nami, dokądkolwiek pójdziemy? — pomyślał trybun. Jeszcze jeden krok na drodze od oficera legionów do dowódcy kompanii najemników. Znowu roześmiał się z samego siebie, tym razem w duchu. W Imperium Videssos będzie co najwyżej dowódcą najemników i najwyższy czas, żeby przyzwyczyił się do tej myśli.

Wokół Khliat roilo się od Yezda. Ostatni dzień marszu był jednym pasmem potyczek. Lecz samo miasto, ku zaskoczeniu Skaurusa, nie było obleżone. Nikt też nie stawiał Rzymianom oporu. Jak zauważyła Nevrata, nomadzi zapomnieli o dowódcach, dzięki którym odnieśli zwycięstwo.

I całe szczęście, gdyż Khliat nie odparłoby poważnego ataku. Marek spodziewał się, że mury będą najeżone włóczniami, lecz zobaczył tylko garstkę mężczyzn i kobiet. Wstrząśnięty stwierdził, że bramy są otwarte.

— Dlaczego nie? — rzucił pogardliwie Gajusz Filipus. — Uciekinierzy zdeptaliby Yezda, którzy by próbowali dostać się do środka.

Drogę na wschód przesłaniał tuman szarobrazowego kurzu, znacząc trasę ucieczki mieszkańców miasta.

Wewnątrz murów panował chaos. Tłusci markietanie, ludzie wyrachowani, którzy potrafili wy-czuć miedziaki nawet w gnoju, wyprzedali towary wszystkim, którzy chcieli je brać. Mogli więc uciekać nie obciążeni. Pojedynczo i małymi grupkami żołnierze wędrowali po krętych uliczkach i zaułkach miasta, wykrzykując imiona przyjaciółek i kochanek w nadziei, że otrzymają odpowiedź.

Bardziej żałosny widok stanowiły kobiety zbite w gromadkę przy zachodniej bramie Khliat. Niektóre daremnie czekały na swoich mężczyzn. Inne, wystrojone i obwieszone biżuterią, już pogodziły się z losem i były gotowe oddać się każdemu wojownikowi, który mógł się nimi zaopiekować.

Pierwsi weszli do Khliat Khatrishe. W większości nie mieli tutaj kobiet, gdyż służyli Videssos tylko podczas tej jednej kampanii, a żony i ukochane zostawili w lesistej ojczyźnie.

Trybun przeszedł pod niskim szarym łukiem z kamienia i pod kratą z żelaznymi kolcami, która strzegła zachodniej bramy miasta. Spojrzał na otwory strzelnicze i potrząsnął głową. Gdzie byli łucznicy, gotowi zastrzelić każdego intruza? Gdzie kadzie z wrzącym olejem i topionym ołowiem, żeby zgotować wrogowi gorące przyjęcie? Najprawdopodobniej dowódca garnizonu uciekł i nikt nie zajął się przygotowaniem obrony — pomyślał trybun.

Stracił jednak zainteresowanie dla spraw militarnych, gdy Helvis, nie zważając na twardą zbroję, uścisnęła go mocno. Śmiała się i płakała jednocześnie,

— Marku! Och, Marku! — wykrzyknęła i zasypała go pocałunkami. Dla niej również skończyła się męka oczekiwania.

Inne kobiety płakały z radości i biegły w objęcia swoich mężczyzn. Trzy dziewczyny rzuciły się w stronę Viridoviksa i zatrzymały się skonsternowane, gdy zorientowały się, że zmierzają do jednego celu.

— Wolałbym stanąć oko w oko z Yezda — skomentował to Gajusz Filipus, lecz Viridoviks podjął wyzwanie bez lęku.

Z idealną bezstronnością wielki Gal rozdzielał pocałunki, uściski i miłe słówka między wszystkie trzy kochanki. Urok, dzięki któremu uwiódł je wcześniej każdą z osobna, teraz podzielał na nie znowu.

— To niesamowite! — mruknął z zazdrością starszy centurion. Sam nie miał szczęścia do kobiet, głównie dlatego, że nie interesowało go nic poza zaspokojeniem żądz.

— Rzymianie! Rzymianie!

Od zachodniej bramy poniosły się okrzyki po całym Khliat, zanim ostatni legionista wkroczył do miasta. Zbiegli się bliscy. Nastąpiły radosne powitania. Było też wiele kobiet, które dowiedziały się — w łagodny sposób od innych żołnierzy lub poprzez brutalny fakt nieobecności ukochanego — że nie mają na kogo czekać. Niektórzy Rzymianie na próżno wypatrywali kochanych twarzy w podnieconym tłumie i zwieszali głowy, ogarnięci smutkiem spotęgowanym radością towarzyszy.

— Gdzie jest Malrik? — zapytał Marek. Musiał krzyczeć, żeby Helvis go usłyszała.

— Z Erene. Kiedy ona wczoraj trzymała wartę przy bramie, pilnowałam jej dwóch dziewczynek. Muszę pójść i powiadomić ją, że już jesteście.

Nie wypuścił jej z objęć.

— Całe miasto już wie — zaprotestował. — Zostań chwilę ze mną.

Ze zdumieniem stwierdził, że przez krótki czas, kiedy byli razem, przywykł do jej urody. Teraz, po dłuższej rozłące i licznych niebezpieczeństwach, odniósł wrażenie, że widzi ją po raz pierwszy.

Nie miała rzeźbionych, orlich rysów videssańskich kobiet. Była Namdalajką o zadartym nosie i szerokiej twarzy, miała intensywnie niebieskie oczy oraz wydatne i namiętne usta, na których często gościł uśmiech. Cięża jeszcze nie zniekształciła jej zgrabnej figury, lecz twarz promieniała obietnicą nowego życia.

Trybun pocałował ją wolno i z namaszczeniem, a potem zwrócił się do Gajusza Filipusa z rozkazami.

— Samotni zaczekają, aż reszta odszuka rodziny i przyprowadzi je tutaj. Daj nam, hmmm — spojrzął na zachodzące słońce — dwie godziny. Potem wyznaczysz stu godnych zaufania żołnierzy i zajmiesz się głupcami, którzy dojdą do wniosku, że sami sobie lepiej poradzą.

— Tak jest. — Zawzięta mina centuriona powinna każdemu potencjalnemu dezercerowi dać do

myślenia. —Można by wyznaczyć Khatrishów do patrolu — zasugerował.

— To jest myśl — przyznał Marek i zawołał: — Pakhymer!

Dowódca jeźdźców z Khatrish podjechał do trybuna na małym kudłatym koniku. Skaurus wyjaśnił mu, o co chodzi. Polecenie wyraził w formie prośby. Khatrish nie podlegali jego rozkazom, lecz byli towarzyszami niedoli.

Laon Pakhymer z nieobecnym wyrazem twarzy podrapał się po policzku. Jak wszyscy jego ziomkowie był brodaty. Gęste bokobrody zakrywały dzioby po ospie.

— Zrobię to pod warunkiem, że patrole będą łączone — odezwał się wreszcie. — Chcę mieć świadków na wypadek, gdyby któryś z waszych żołnierzy się awanturował i trzeba będzie go zdzielić w głowę. Lepiej nie prowokować wendety, której trudno położyć kres.

Nie po raz pierwszy Skaurus podziwiał zdrowy rozsądek Pakhymera. W obszarpanych skórzanych spodniach i przepoconej czapce z lisa wyglądał na prostego nomadę. Khatrish rzeczywiście prowadzili kiedyś koczowniczy tryb życia, lecz nabrali oglady od czasu, kiedy przed ośmiuset laty ich przodkowie Khamorthci wyruszyli z równin Paradracji i zagarnęli jedną z prowincji Videssos. Byli jak dobre wino w tanich dzbanach, którego jakoś trudno jest docenić przy pośpiesznym picciu.

Trybun dał znak trębaczom. Legioniści stanęli na baczność, a Marek wydał im rozkazy:

— Niektórzy z was zapewne sądzą, że uda się im wymknąć i nigdy nie zostaną złapani — dodał na koniec. — Może mają rację. Radzę jednak pamiętać, co was czeka za murami. Niedługo będziecie się cieszyli wolnością.

Zapadła cisza, którą przerwał ryk Gajusza Filipusa: „Spocznij!”. Żonaci mężczyźni rozeszli się po mieście. Kawalerowie zostali, by czekać na ich powrót. Niektórzy ruszyli ku kobietom zgromadzonym przy bramie. Najwyraźniej chcieli zmienić status; na stałe lub na trochę. Gajusz Filipus uniósł brew i spojrzał pytająco na Skaurusa. Trybun wzruszył ramionami na znak, że nie ma nic przeciwko temu, by żołnierze znaleźli sobie pocieszenie.

— Minucjuszu, pójdziesz z Helvis i ze mną? — zapytał. — Erene pilnuje Malrika.

Legionista uśmiechnął się szeroko.

— Tak, panie. Jestem pewien, że ucieszy się na mój widok, mając na głowie trójkę dzieciaków. Zawsze to będzie dla niej ulga i miła odmiana.

Marek zaśmiał się i przetłumaczył Helvis jego słowa. Między sobą Rzymianie rozmawiali poważnie po łacinie.

— Nawet nie wiesz, ile racji jest w tym, co mówisz — powiedziała Helvis do Minucjusza, wywracając oczami.

— Ależ wiem, moja damo — odparł legionista, przechodząc na videssański. — Na małej farmie, na której dorastałem, byłem najstarszy z ośmiorga dzieci, nie licząc dwójki, która umarła w niemowlęctwie. Nie mam pojęcia, kiedy moja matka spała.

Nawet w ciężkich czasach niektóre rzeczy w Khliat nie zmieniały się. Kiedy Helvis, Marek i Minugusz szli przez miejski rynek, musieli torować sobie drogę wśród gołębi, kosów i wróbli, które robiły harmider wokół straganów ze zbożem. Ptaki były pewne, że nie zabraknie im jedzenia i czuły się bezpiecznie.

— Wkrótce zmądrzeją — stwierdził Minugusz, omijając gołębia, który nie chciał mu ustąpić drogi. — Przyjdzie oblężenie i przez pierwsze dni będzie dużo wykwintnych pieczeni. Potem ptaki zrozumieją, że dobre czasy się skończyły, i człowiek nie zbliży się do żadnego na odległość pięćdziesięciu kroków.

Na rynku nadal siedzieli żebracy, choć wyglądało na to, że co sprawniejsi udali się w bezpieczniejsze strony. Minucjusz pogrzebał w sakiewce, żeby dać parę groszy chudemu, siwobrodemu starcowi z jedną nogą, który rozłożył się przed otwartymi drzwiami szynku.

— Dasz mu złoto? — spytał Marek zaskoczony widząc, że żołnierz wyjmuje małą monetę zamiast jednego z dużych miedziaków bitych w Videssos.

— Jakie złoto? To pieniądze tego gryzipiórka Strobilosa. Nic nie warte.

Stryjeczny dziadek Ortaiasa Sphrantzesa, Strobilos, był autokratą do czasu, kiedy przed czterema laty jego miejsce zajął Mavrikios Gavras. Bite przez niego pieniądze straciły na wartości jeszcze więcej niż za poprzednich biurokratycznych Imperatorów; „złota” moneta z jego puciołowatą twarzą była warta niewiele więcej niż pół miedziaka.

Minucjusz rzucił monetę żebrakowi, który chwycił ją w powietrzu. Rzadko otrzymywał takie datki. Skłonił głowę i podziękował Rzymianinowi po videssańsku z vaspurakańskim akcentem. Potem wsadził pieniądz do ust i wczołgał się do karczmy.

— Mam nadzieję, że staruszek sobie pohula — skomentował Minucjusz. — Chyba nie zostało mu już dużo czasu.

Skaurus spojrzął na niego podejrzliwie. Zaskoczyła go wrażliwość podwładnego, który był tak samo oddany legionowi jak Gajusz Filipus, choć brakowało mu lat doświadczenia starszego centuriona.

— Jeśli chcesz zobaczyć Erene tak bardzo jak ona ciebie — powiedziała wesoło Helvis — czekają was miłe chwile. Ona mówi tylko o tobie.

Brodąta twarz włoskiego wieśniaka rozpromieniła się w uśmiechu, który złagodził twarde rysy.

— Naprawdę? — spytał ze zdumieniem i nieśmiałością piętnastolatka. — Przez ostatnie miesiące uważałem siebie za najszczęśliwszego człowieka na świecie... — i zaczął wychwalać Erene.

Słuchając go przez całą drogę do domku obu kobiet, Marek zrozumiał, skąd się wziął niespodziewany przypływ wrażliwości. Minucjusz zakochał się bez pamięci. Właściwie trybun poczuł ukłucie zazdrości. Helvis była wspaniałą kochanką, dobrą towarzyszką i do tego niegłupią kobietą, ale Marek nie odnajdował w sobie tego uczucia, którym promieniował Minucjusz. Owszem, był

szczęśliwy, ale nie bez granic.

Cóż — powiedział do siebie — masz na karku czwarty krzyżyk, a Minucjusz skończył dopiero dwadzieścia dwa lata. Lecz czy rzecz w tym, że jestem starszy, czy też po prostu z natury chłodniejszy? Był dość uczciwy, by przyznać, że nie wie.

Helvis zdjęła z szyi klucz i otworzyła drzwi domku. W progu skoczył na nią Malrik, krzycząc: „Mama! Mama!”.

— Cześć, tato! — dodał, kiedy matka go podniosła i podrzuciła w górę.

— Cześć, chłopcze — powiedział Marek, biorąc go od Helvis.

— Przywiozłeś mi głowę Yezda, tato? — zapytał Malrik, przypomniawszy sobie, o co prosił Skaurusa, zanim imperialna armia opuściła Khliat.

— Będziesz musiał poprosić o to Viridoviksa — odparł trybun.

Minucjusz wybuchnął śmiechem.

— Oto przyszły wojownik — powiedział.

Na dźwięk jego głosu z wnętrza domu dobiegł radosny okrzyk. Chwilę później zjawiała się Erene, krępa mała videssańska dziewczyna, która ledwo sięgała mu do ramienia. Rzuciła się na ukochanego, omal go nie przewracając.

— Spokojnie, kochanie, spokojnie! — powiedział Minucjusz, trzymając ją na długość ramienia. — Gdybym cię uściskał tak mocno, jak pragnę, wydusiłbym z ciebie dziecko. — Poglądził ją po policzku dłonią stwardniałą od miecza.

— Wszystko w porządku? — spytała Erene niespokojnie. — Nie jesteś ranny?

— Nawet nie mam zadrapania. Tyle się wydarzyło... Marek zakaszlał sucho.

— Obawiam się, że to będzie musiało poczekać. Erene, spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i zawoź dziewczynki. Chcemy wyruszyć z miasta przed zachodem słońca.

Minucjusz spojrzał na niego z naganą, ale był zbyt zdyscyplinowanym żołnierzem, by się sprzeczać. Spodziewał się protestów ze strony Erene, ale ona powiedziała:

— Jestem gotowa od dwóch dni. On... — ścisnęła Minugusza za ramię — potrafi podróżować bez zbędnych bagaży i nauczył mnie tego.

— A ja — odezwała się Helvis, kiedy Skaurus spojrzał na nią — jestem z tobą dość długo, by wiedzieć, że masz fioła na tym punkcie. Chcesz, by twoi ludzie wszystko taszczyli na plecach. Nigdy nie rozumiem, co masz przeciwko wozom i jucznym koniom.

Namdalajczycy walczyli na koniach i byli z nimi bardziej obeznani niż rzymska piechota.

— Im bardziej niezależna jest armia, tym lepiej. Yezda są tego najlepszym przykładem. Teraz jednak mamy ze sobą tylu cywilów, że przydałyby się wozy i zwierzęta. Myślisz, że znajdziemy jakieś w Khliat?

Erene potrząsnęła głową, a Helvis wyjaśniła:

— Jeszcze wczoraj tak, ale ostatniej nocy Utprand przyprował regiment i wyczyścił wszystkie stajnie. O świcie skierował się na południe.

Najprawdopodobniej namdałajski kapitan prował wojsko do Phanaskertu, by dołączyć do ziomków, którzy stanowili garnizon tego miasta. Z jego punktu widzenia było to logiczne posunięcie: umożliwiało połączenie wszystkich sił Duchy. Utpranda zapewne nie obchodziło — albo w ogóle tego nie zauważył — że usuwając się z drogi Yezda, zostawił Videssos na ich pastwę. Najemnicy myślą przede wszystkim o sobie. Podobnie jak ja — uświadomił sobie trybun.

Pogrążony w myślach, nie dosłyszał następnego pytania Helvis.

— Słucham?

— Powiedziałam, że zapewne pojedziemy w tym samym kierunku.

— Co? Nie, oczywiście, że nie.

W tej samej chwili przypomniał sobie, że jej brat Soteryk stacjonuje w Phanaskercie. Helvis zacisnęła wargi i groźnie zmrużyła oczy.

— Dlaczego? Z tego, co słyszałam, twój legion i ludzie Utpranda walczyli z Yezda do końca, nawet kiedy inni uciekli. — Zwykłą pogardę żywioną przez najemników wobec narodów, które mieli bronić, pogłębiał fakt, że Videssańczycy i Namdałajczycy uważali się nawzajem za herezyków. — Phanaskert to potężne miasto, silniejsze niż Khliat. Za jego murami można śmiać się z nomadów.

Trybun stłumił westchnienie ulgi. Nie zamierzał iść do Phanaskertu, a Helvis nieświadomie dostarczyła mu świetnego militarnego uzasadnienia, by tego nie robić. Nie chciał też sprzeczać się z nią. Miała silną wolę, a w rozdrażnieniu potrafiła być gwałtowna. Tak czy inaczej, nie miał czasu na kłótnie.

— Mury miasta są słabszą ochroną przeciwko nomadom, niż sądzisz. Wrogowie spalą okoliczne pola, wybiją wieśniaków i głodem zmuszą miasto do poddania. Przekonałaś się o tym w Imperium i w Vaspukaranie. Yezda, niech szcześnie, równie dobrze sobie radzą z oblężeniem jak z walką na otwartym polu.

Helvis przygryzła wargi. Miała ochotę dalej się sprzeczać, ale zauważyła, że Skaurus już podjął decyzję.

— Dobrze — rzuciła wreszcie z krzywym uśmiechem. — Nie będę się spierać z tobą w woj-skowych sprawach. Mam rację czy nie, nic mi z tego nie przyjdzie.

Marek był zadowolony, że na tym się skończyło. Nie powiedział całej prawdy. Nie miał ochoty utknąć w prowincjonalnym mieście, gdy w Videssos po śmierci Mavrikiosa szykowały się wielkie wydarzenia. Jak wszyscy dowódcy najemników był na swój sposób ambitny i zdawał sobie sprawę, że chaos można wykorzystać dla zdobycia chwały. Ponieważ jednak dowodził tylko garstką legionistów, musiał wiązać nadzieje z rządem imperialnym.

Nie zdradził się z tymi myślami. Żałował, że już nie jest jednym z młodszych oficerów Cezara, ze ściśle określonymi obowiązkami, że nie ma nikogo, kto by za niego podejmował decyzje. Wzruszył ramionami. Doktryna stoicka, którą studiował w Italii, nauczyła go cieszyć się z tego, co ma, i porzucić mrzonki. Było to dobre credo dla spokojnego człowieka.

— Ruszajmy więc, skoro jesteście gotowe — powiedział do Helvis i Erene.

— Pewnie jestem spalony na węgielek — poskarżył się Viridoviks.

W rzeczywistości nie był czarny, lecz czerwony jak niedopieczone mięso. Jasna celtycka skóra spiekła się na ostrym vaspurakańskim słońcu, lecz nie chciała zbrązowieć. Gorgidas aplikował mu różne śmierdzące maści. Schodziły razem z każdą nową warstwą łuszczącej się skóry.

Gal zaklął, kiedy kropla potu wyżłobiła piekący ślad na twarzy.

— Mam dla was zagadkę! — zawołał. — Dlaczego nawet głupia mewa jest mądrzejsza ode mnie?

— Mógłbym wymyślić kilkanaście powodów — odezwał się Gajusz Filipus, który nie mógł przepuścić takiej okazji. — Podaj nam swój.

Viridoviks spiorunował go wzrokiem, ale odpowiedział:

— Ponieważ ma dość rozsądku, by nie zapuszczać się do Vaspukaranu.

Rzymianie, brudni i spaleni słońcem, zaśmiali się z aprobatą. Tylko Senpat Sviodo obraził się, słysząc niepochlebne słowa o własnym kraju.

— Uświadomię wam — rzekł wyniośle — że jest to pierwsza kraina, którą stworzył Phos, i zarazem ziemia ojczysta naszego przodka Vaspura, pierwszego człowieka.

Rozległy się gwizdy Videssańczyków, którzy towarzyszyli Rzymianom. Vaspukaranie mogli siebie nazywać księżami Phosa, ale nikt spoza kraju „książąt” nie brał poważnie ich teologii.

Viridoviksa nie obchodziły spory teologiczne. Miał obiekcje innego rodzaju. Obejrzał się na Senpata jadącego konno i powiedział:

— Jeśli chodzi o wasze pokrewieństwo z pierwszym człowiekiem, nie wypowiem się w tej kwestii. Nie znam się na tym. Wierzę jednak, że ten kraj to pierwsze dzieło waszego Phosa, bo wystarczy rzut oka, by stwierdzić, że biedakowi przydałoby się więcej praktyki.

Widząc osłupiałą minę Senpata, legionieści wzniesli okrzyki, a Videssańczycy i Khatrishe roześmiali się z wybornego bluźnierstwa Viridoviksa.

— Możesz winić tylko siebie — powiedział życzliwie Gajusz Filipus do młodego Vaspukaranera. — Każdy, kto ma język dość giętki, by zadowolić trzy kochanki, jest za dobrym przeciwnikiem dla takiego szczeniaka jak ty.

— Chyba tak — mruknął Senpat. — Ale kto by pomyślał, że potrafi nim również mówić?

Spieczony Viridoviks nie mógł poczerwienieć bardziej, lecz zduszone prychnięcie świadczyło, że Vaspukaraner choć trochę się zemścił.

Rzymianie i ich towarzysze maszerowali na wschód w takim szyku jak zagrożone stado. Khatri-she pełnili rolę zwiadowców, osłaniali główny trzon małej armii i ostrzegali przed niebezpieczeństwami. Legioniści, jak stare samce, otaczali czworobokiem kobiety, dzieci i rannych.

Porządek i wyraźna gotowość do podjęcia walki chroniły przed atakami. Oddział liczący około trzystu Yezda podążał równoległe do Rzymian przez jeden dzień, jak wilki, które czają się, by porwać słabsze sztuki ze stada bawołów. W końcu nomadzi doszli do wniosku, że nie ma nadziei na upolowanie zwierzyny, i odjechali w poszukiwaniu łatwiejszej zdobyczy.

Marek nie mógł sprzeciwić się obecności kobiet w obozie. Choć był zadowolony, że Helvis dzieli z nim namiot, irytowało go naruszanie zasad. Godził się na to, lecz bez entuzjazmu. Kiedy Senpat Sviodo zaczął z niego pokpiwać, zimne spojrzenie położyło kres dalszym docinkom.

Rankiem czwartego dnia po opuszczeniu Khliat nadjechał z południa khatrisherski zwiadowca. Niedbale zsalutował Markowi i zameldował:

— Coś dzieje się na wzgórzach. Odgłosy wskazują na walkę, ale są dość dziwne. Nie przyglądałem się z bliska. W tej okolicy lepiej poruszać się pieszo niż konno. To stromy i kamienisty teren.

— Wskaż mi kierunek — powiedział trybun. Podążył wzrokiem za palcem Khatrisha. Zobaczył małą chmurę kurzu, a niżej błyski światła, jakby słońce odbijało się od stali. Jeśli nawet toczyła się tam bitwa, nie mogła być duża.

Lecz jeśli to videssańskie lub vaspurakańskie niedobitki walczyły z przednią strażą sporego oddziału Yezda, Rzymianie powinni o tym wiedzieć.

— Wyznacz ośmiu ludzi i dobrego podoficera — polecił Skaurus Gajuszowi Filipusowi. — Niech sprawdzą, co się dzieje.

— Tak jest, ośmiu ludzi — centurion wskazał głową na wybranych legionistów. — A jeśli chodzi o dowódcę, proponuję...

Marek przerwał mu pod wpływem impulsu.

— Mniejsza o to. Ja ich poprowadzę.

Twarz Gajusza Filipusa stężała i tylko niesforna brew uniosła się jako milczący wyraz zgorznienia, którego będąc karnym żołnierzem nie zamierzał wyrazić na głos. Lecz Skaurus miał doskonały słuch. Kiedy ruszył z oddziałem rozpoznawczym, usłyszał, jak centurion mruczy do siebie:

— Głupi amatorzy, zawsze muszą wysuwać się na czoło.

Tak się złożyło, że chęć dowodzenia nie odgrywała prawie żadnej roli w nagłej decyzji trybuna. Znacznie ważniejsza była ciekawość, którą w nim wzbudził dziwny opis Khatrisha. „Odgłosy wskazują na walkę, ale są dość dziwne”. To zasługiwało na bliższe zbadanie.

— Podwójne tempo — rzucił Skaurus oddziałowi i pośpieszył na południe. Dzięki długim nogom błyskawicznie pokonywał przestrzeń.

Choć legioniści byli krepzi i niżsi od niego, dotrzymywali mu kroku. Szybki marsz, niemal trucht,

nie pozwalał na pogawędki. Dwie mile pokonali w milczeniu przerywanym tylko ciężkimi oddechami, kłapaniem sandałów na ubitej ziemi i pobrzękiwaniem mieczy o żołnierskie spódniczki nabijane ćwiekami.

Teren zaczął się wznosić, a marsz utrudniały drobne kamienie i żwir. Raz Marek potknął się i musiał wyciągnąć ręce, żeby uchronić się przed upadkiem. Jeden z ludzi idących z tyłu zaklął, kiedy to samo przytrafiło się jemu. Skaurus stwierdził, że Khatrish miał rację, gdy nie chciał wjeżdżać konno na zbocze. W takim terenie lepiej było poruszać się na dwóch nogach.

Znajdowali się teraz dość blisko, by usłyszeć hałas, o którym meldował zwiadowca, choć wielkie głązy zasłaniały jego źródło. Khatrish mówił prawdę. Początkowo brzmiało to jak ostra potyczka, ale kiedy Rzymianie podeszli bliżej, zaczęli spoglądać na siebie w zdumieniu. Stał uderzająca o stal nie wydawała takich dźwięków. Nie było też słycać okrzyków walczących. A gdzie tupot ciężkich butów? I co mogło być źródłem wysokiego, ledwo słyszalnego zawodzenia?

Marek wyciągnął galijski miecz. Poczuł w dłoni miły ciężar. Za sobą usłyszał zgrzyt krótkich gladiusów wysuwanych z mosiężnych pochew. Rzymianie obeszlą ostatnią przeszkodę i znaleźli się na w miarę płaskim skrawku terenu.

Na małym płaskowyzu kilkunastu Yezda zagrzewanych przez mężczyznę o surowej twarzy, w szatach koloru zaschniętej krwi, atakowało garstkę Videssańczyków skupionych wokół pulchnego, tysego człowieka, którego zakurzona szata mogła być kiedyś niebieska.

— Nepos! — krzyknął Skaurus, rozpoznawszy pękatego kapłana Phosa.

Nepos odwrócił głowę. Nierówna walka stała się jeszcze bardziej desperacka. Krąg wokół kapłana zacieśnił się. Ani videssańscy żołnierze, ani ich wrogowie najwyraźniej nie zauważyli przybycia Rzymian.

— Na nich! — krzyknął Marek.

Jeśli Yezda chcieli zachowywać się jak głupcy, to ich sprawa.

Mężczyzna w czerwonej szacie uśmiechnął się lekko, kiedy legionieści zaatakowali.

Jego ludzie ani na moment nie odwrócili uwagi od przeciwników. Rzymianie wydali okrzyki zdumienia i przerażenia, gdy ich miecze przeszły przez Yezda jak przez dym, a ciała nie napotkały oporu.

Mimo wznoszonych okrzyków bojowych, mimo szczęku ostrzy uderzających w klingi Yezda, żołnierze videssańscy byli równie bezcieleśni jak napastnicy. Marek otrząsnął się z chwilowego przerażenia. Wiedział, że czarnoksiężnicy Yezda noszą czerwonobrazowe szaty, a sam Nepos był nie tylko kapłanem, ale i magiem. Na oczach Rzymian rozgrywał się pojedynek czarodziejów. Przeciwnik Neposa nie był słabeuszem, skoro potrafił zmusić tłustego kapłana do zajęcia pozycji defensywnej.

Miecz Skaurusa przebił jeden z fantomów. Runy na ostrzu zaiskrzyły się żółto. Yezda zgaś jak

płomień świecy. Kolejny rozplynął się po drugim ciosie, potem następny i następny. Jednocześnie z twarzy czarnoksiężnika Yezda zniknął uśmiech.

Nepos wykorzystał sytuację i rzucił do ataku zjawy stworzone przez siebie. Teraz z kolei przeciwnik otoczył się linią obrony. Ostrze Marka, zaczarowane przez galijskich druidów, okazało się kiedyś odporne na czary samego Avshara. Tym bardziej nie mogła mu podołać magia jego sługi. Trybun zadawał bezlitosne pchnięcia, unicestwiając niematerialnych wojowników.

Kiedy zniknął ostatni z nich, mag w czerwonej szacie udowodnił, że nie jest tchórzem ani słabeuszem. Był dość potężny, by powstrzymać atak Neposa. Nie dosięgną go żaden videssański miecz, choć omijały go o włos. Rzuciwszy przekleństwo w gardłowym języku, Yezda wyciągnął sztylet i skoczył na Skaurusa.

Mimo odwagi napastnika walka mogła się zakończyć tylko w jeden sposób. Rzymianin odparował cios tarczą i wykonał śmiertelne pchnięcie legionistów. Jego miecz przebił ciało, a nie bezcielesną zjawę. Z ust Yezda trysnęła krew, tłumiąc nie dokończoną klątwę.

Kiedy wróg padł, fantomy Neposa zniknęły. Videssański kapłan chwiał się śmiertelnie wyczerpany. Pot lał się z wygolonej czaszki, krople potyskiwały na brodzie. Mały człowieczek podszedł do trybuna i chwycił go za ramię.

— Dzięki Phosowi, który przysłał światło, że zesłał mi was w potrzebie — powiedział urywanym, chrapliwym głosem i spojrzał na skurczone ciało martwego Yezda. — Zabiłby mnie, gdybyście się nie zjawili w porę.

— Jak doszło do pojedynku magów? — zapytał Marcus.

— Chowaliśmy się przed sobą wśród skał. Zobaczyłem, że on ma broń, więc chciałem go odstraszyć fantomami. Lecz Yezda stanął do walki i okazał się silny. — Nepos potrząsnął głową. — A przecież wyglądał na zwykłego szamana, podczas gdy ja jestem magiem Akademii Videssańskiej. Czyżby jego mroczny Skotos był potężniejszym bogiem od Phosa? Czyżby praca całego mojego życia poszła na marne?

Skaurus klepnął go po plecach. Nepos był z natury wesołym człowiekiem, lecz łatwo poddawał się zniechęceniu, kiedy sprawy przybierały zły obrót.

— Głowa do góry! — pocieszył go trybun. — Oni wszyscy trzymają się szaty Avshara. Jedno zwycięstwo i już myślą, że mają u stóp cały świat. — Przyjrzał się wyczerpanemu kapłanowi. — A ty, przyjacielu, nie jesteś w najlepszej formie.

— Właśnie — przyznał Nepos. Wytarł spoconą i brudną twarz jeszcze brudniejszym rękawem i potrząsnął głową w konsternacji, jakby spojrzał na siebie po raz pierwszy od wielu dni. Udało mu się przywołać słaby uśmiech. — Nie wyglądam najlepiej, prawda?

— Istotnie — potwierdził Marek. — Nie mogę ci obiecać żadnych wygód, ale przynajmniej dotrzesz bezpiecznie do domu.

Uśmiech Neposa stał się szerszy.

— Mam nadzieję. — Westchnął i zwrócił się do legionistów. — Zdaje się, że będę musiał maszerować z wami, dryblasy.

Rzymianie wyszczerzyli się do niego. Wszyscy byli wyżsi — i szczuplejsi — od baryłkowatego kapłana.

Nepos przebierał krótkimi nóżkami, starając się dotrzymać im kroku.

— Nieźle — powiedział jeden z żołnierzy, kiedy zbliżali się do kolumny Rzymian. Uśmiechnął się chytrze. — Jest z nami wielu Videssańczyków. Może znajdziemy jakąś kolczugę i plecak i zrobimy z was, panie, prawdziwego legionistę.

— Niech Phos broni! — wysapał Nepos, wznosząc oczy ku niebu.

— A może położymy was, panie, na ziemi i potoczmy — zasugerował inny Rzymianin.

Spojrzenie, które kapłan posłał Markowi, było tak pełne oburzenia i błagania, że trybun zakaszlał i położył kres żartom.

Gajusz Filipus już ruszył z całym manipułem żołnierzy na ratunek Skaurusowi. Kiedy zobaczył wracający oddział, pomachał ręką.

— Wszystko w porządku? — zawołał, gdy podeszli bliżej. Marek w odpowiedzi uniósł kciuk jak na arenie. Starszy

centurion odwzajemnił gest i zawrócił manipuł do szeregów. Mimo pomruków Gajusza Filipusa o amatorach i osobistym przywództwie, Skaurus nie zauważył, by ktokolwiek chciał zająć miejsce centuriona.

Z kolumny Rzymian wyszła na powitanie oddziału zwiadowczego szczupła postać w chlamidzie i sandałach. Gorgidas zignorował Marka, a jeśli chodzi o legionistów, mogłoby ich tam w ogóle nie być. Całą uwagę skupił na Neposie.

— Znasz videssańską sztukę uzdrawiania? — zapytał. Pochylił się do przodu, jakby czekał na potwierdzenie.

— No tak, trochę, ale...

Gorgidas nie pozwolił na żadne protesty. On i Nepos przeprowadzili wiele rozmów od serca, ale Grek nie chciał teraz tracić czasu. Chwytał kapłana za ramię i pociągnął w stronę noszy z ciężko rannymi, mówiąc:

— Bogowie wiedzą, że od wielu dni modliłem się, byśmy trafili na jakiegoś mądrego maga. Musiałem patrzeć, jak ludzie umierają, i nie mogłem im pomóc. Lecz wy, chłopcy... — urwał i potrząsnął głową. Chcąc nie chcąc, musiał uznać potęgę sił niepojętych dla racjonalisty.

Zaciekawieni Rzymianie, łącznie z Markiem, ruszyli za dziwną parą. Skaurus był kiedyś świadkiem, jak kapłan — uzdrowiacz uratował Sekstusa Minucjusza i jeszcze jednego legionistę tuż po tym, gdy Rzymianie trafili do Videssos. Cuda mogą się powtarzać — pomyślał.

Nepos przez cały czas protestował. Umilkł dopiero, kiedy stanął oko w oko z rannymi. Niektórzy żołnierze już umarli z powodu ran, trudów marszu i niewystarczającej opieki.

Tym, którzy jeszcze czepiali się życia, nie pozostało wiele czasu. Szok, zakażenia i gorączka w połączeniu z niedostatkami wody i palącym słońcem sprawiały, że śmierć była częstym gościem. Smród zainfekowanych ran przyprawiał o mdłości mimo aromatycznych maści, które aplikował Gorgidas. Mężczyźni nieprzytomni od gorączki trzęśli się w południowym upale i bredzili. Było to najbardziej ponure oblicze wojny.

Na widok takiego nieszczęścia w Neposie dokonało się przeobrażenie. Gorgidas miał nadzieję, że to samo stanie się z rannymi. Kapłan opuściło zmęczenie. Kiedy się wyprostował, sprawiał wrażenie, jakby urósł o kilka cali.

— Pokaż mi biedaków w najgorszym stanie — powiedział do Gorgidasa władczym tonem, przejmując inicjatywę.

Jeśli nawet Gorgidas zauważył zamianę ról, nie przejawiał niepokoju. Zadowolił się podrzędną rolą. Najważniejsze było dla niego uratowanie pacjentów.

— W najgorszym stanie? — zastanowił się, pocierając brodę smukłą dłonią. — Chyba Publiusz Flakkus. Tędy, proszę.

Publiusz Flakkus już miał za sobą etap dreszczy i majaczenia. Tylko szybki ruch klatki piersiowej świadczył, że legionista jeszcze żyje. Leżał nieruchomo na noszach. Sztywna czarna szczeci-
na kontrastowała z woskową, naciągniętą skórą twarzy. Szabla Yezda rozorała mu lewe udo od pachwiny do kolana. Gorgidasowi jakoś udało się zatamować krwotok, ale rana wkrótce się zaogniła i zapalenie przerodziło się w gangrenę.

Zielonkawożółta ropa posklejała bandaże, którymi była owinięta ranna noga. Muchy zwabione odorem rozkładu tworzyły chmurę wokół Flakkusa. Odleciały z bzygniem, kiedy Nepos pochylił się nad rannym Rzymianinem.

Kapłan zrobił zatroskaną minę.

— Zrobię co w mojej mocy — powiedział do Gorgidasa. — Zdejmij bandaże. Muszę mieć kontakt z ciałem.

Gorgidas ukląkł obok nieprzytomnego i zręcznie odwinął bandaże, które założył poprzedniego dnia.

Zaprawieni w bojach żołnierze cofnęli się, kiedy ukazała się długa cięta rana. Smród był nie do zniesienia, lecz kapłan ani lekarz nawet się nie wzdrygnęli.

— Teraz rozumiem „Philoktetesa” — mruknął do siebie Gorgidas w ojczystym języku.

Nepos spojrzął na niego nie rozumiejącym wzrokiem. Lekarz nie pośpieszył z wyjaśnieniami nieświadomy, że w ogóle coś mówił.

Do Marka również dotarła prawda zawarta w sztuce Sofoklesa. Obecność ciężko rannego czło-

wieka mogła stać się uciążliwa do tego stopnia, że zmusiła towarzyszy do porzucenia go. Myśl pojawiła się na moment i zgasła w chwili, gdy Nepos pochylił się i dotknął rękami uda Publiusza Flakkusa.

Kapłan miał zamknięte oczy. Ścisnął poharataną nogę tak mocno, że aż zbieleły mu kostki. Gdyby Flakkus był przytomny, wrzasnąłby w agonii. Teraz nawet się nie poruszył. Z opuchniętej rany wylała się na rękę Neposa świeża ropa. Skupiony kapłan nie zwrócił na to uwagi.

Rok wcześniej w Imbros Gorgidas mówił o uzdrawiającej mocy, którą mag przekazuje pacjentowi. Wy tłumaczenie było niejasne, ale Skaurus nie znalazł wtedy lepszego, podobnie jak teraz. Zjeżyły mu się włoski na karku, kiedy poczuł strumień energii przepływający między Neposem i Flakkusem, choć nie potrafił nazwać tego wrażenia.

By lepiej się skoncentrować, Nepos szeptał nie kończącą się litanie. Videssański dialekt, którym się posługiwał, był tak archaiczny, że Skaurus tylko od czasu do czasu wychwytywał znajome słowo. Nawet imię patrona dobra zmieniło się. We współczesnym języku brzmiało Phos, lecz w ustach Neposa przypominało to raczej „Phaos”.

Z początku Marek zastanawiał się, czy to tylko gra wyobraźni podsycanej przez nadzieję, ale po chwili nie miał już wątpliwości. Cuchnąca ropa zniknęła z plugawej rany, a napuchnięte i zaognione brzegi wyraźnie się zasklepiały.

— Widzicie to? — szepnął Rzymianin z nabożnym lękiem w głosie.

Inni legionieści zaczęli wzywać bogów, których znali dłużej niż Phosa.

Nepos nie zwracał uwagi na otoczenie. Wszystko wokół niego mogłoby zniknąć pośród trzasku piorunów, a on nadal by klęczał, nie bacząc na nic, przy nieruchomym Publiusz Flakkusie.

Ranny legionista jęknął, poruszył się i otworzył oczy po raz pierwszy od dwóch dni. Były zapadnięte, ale przytomne. Gorgidas wsunął ramię pod plecy Flakkusa i podał mu menażkę. Rzymianin zaczął pić łąpczywie.

— Dziękuję — wyszeptał.

Dopiero na dźwięk tego głosu Nepos się ocknął. Puścił udo Flakkusa. Podobnie jak legionista, on również sprawiał wrażenie, jakby dopiero teraz odzyskał przytomność. Wziął w dłoń rękę ranego.

— Chwała niech będzie Phosowi, że posłużył się mną jako narzędziem przy uzdrowieniu tego człowieka — powiedział.

Marek i pozostali Rzymianie patrzyli ze zdumieniem na cud, którego dokonał Nepos. Gnijąca, cuchnąca rana, która o mały włos nie zabiła Publiusza Flakkusa, oczyściła się i wszystko wskazywało na to, że zaczyna goić się normalnie. A sam Flakkus, już bez gorączki, próbował usiąść i żartować z legionistami, którzy stłoczyli się wokół niego. Tylko stos bandaży przesiąkniętych ropą świadczył o tym, co się wydarzyło.

Z rozpromienioną twarzą Gorgidas podszedł do Neposa, żeby mu pomóc wstać.

— Musisz mnie nauczyć swojej sztuki — poprosił. — Dam ci za to wszystko, co mam.

Kapłan podniósł się chwiejnie, lecz mimo zmęczenia uśmiechnął się blado.

— Nie mów o zapłacie. Pokażę ci wszystko, co umiem. Słudze Phosa zależy najbardziej na tym, by talent został mądrze wykorzystany, jeśli go masz.

— Dziękuję — odparł Gorgidas cicho, równie wdzięczny za dar, który ofiarował mu Nepos, jak Flakkus za łyk wody. Szybko się jednak otrząsnął. — Na razie jesteś sam, a ludzi, którzy potrzebują pomocy, wielu. Zwłaszcza Kotyliusz Rufus. Tam są jego nosze.

Pociągnął Neposa przez tłumek zebrany wokół Flakkusa.

Kapłan zrobił kilka kroków, wywrócił oczami i osunął się na ziemię. Gorgidas spojrzał z przerażeniem i pochylił się nad leżącą postacią. Podniósł powiekę, poszukał pulsu.

— Śpi — stwierdził z oburzeniem.

Marek położył mu dłoń na ramieniu.

— Leczenie nie tylko pomaga cierpiącemu, ale wyczerpuje uzdrowiacza. A Nepos już wcześniej był zmęczony, zanim go porwałeś. Niech biedak odpocznie.

— W porządku — ustąpił Gorgidas niechętnie. — Ostatecznie jest człowiekiem, a nie skalpelem czy płynem do przemywania oczu. Nic dobrego by z tego nie wynikło, gdybym stracił główne narzędzie z powodu przepracowania. Lepiej niech się szybko obudzi. — I lekarz usiadł obok lekko pochrapującego Neposa, żeby poczekać.

Kiedy Rzymianie i ich towarzysze dotarli kilka dni później do Soli stwierdzili, że wcześniej złożyli tam wizytę Yezda. Ruiny nowego miasta bez murów obronnych, leżącego nad rzeką Rhamnos, zostały splądrowane, prawdopodobnie po raz kolejny w ciągu kilkudziesięciu lat, odkąd nomadzi zaczęli napadać na Videssos. W powietrze unosiły się spiralą małe szare obłoczki dymu. Skaurus nie miał pojęcia, co najeźdźcy znaleźli do spalenia.

Na urwisku górującym nad rzeką przetrwało za murami Stare Soli, częściowo odbudowane. Dobiegły stamtąd ostrzegawcze krzyki i dźwięki trąb, kiedy czujki wypatrzyły zbliżające się wojsko. Marek miał trudności z przekonaniem wartowników, że Rzymianie są przyjaciółmi, zwłaszcza że Yezda pędził przed sobą videssańskich jeńców, podszywając się pod armię imperialną.

Kiedy potężne bramy miasta wreszcie się otworzyły, pojawił się w nich hypasteos, czyli burmistrz, by przywitać legionistów. Był wysokim, chudym mężczyzną około czterdziestki, z przygarbionymi plecami i zgorzkniałą twarzą. Trybun nie widział go podczas marszu na zachód, ale pamiętał, że burmistrz nazywa się Evghenios Kananos.

Kananos przyjrzał się gościom uważnie, jakby nie był pewny, czy nie są Yezda w przebraniu.

— Jesteście pierwszym dużym oddziałem naszej armii, który tu zawitał. Już myślałem, że nikt nie ocalał — powiedział do Marka. Miał nosowy prowincjonalny akcent, który pasował do jego surowego wyglądu.

— Niektóre regimenty uratowały się z pogromu — odparł trybun. — My...

Kananos mówił dalej, jakby nie dosłyszał Skaurusa.

— Nie widziałem żadnego, z wyjątkiem żalosnej grupki, która zjawiła się wczoraj z Imperatorem na czele. Wyruszył do Pityos, a potem zamierzał dotrzeć morzem do stolicy.

Marek otworzył usta i spojrzał ze zdumieniem na hypasteosa. Wszyscy, którzy usłyszeli nowinę, również zamarli.

— Imperator?

Pytanie zadał Czerwony Zeprin, który przepchnął się łokciami przez szeregi Rzymian. Krzepki Halogajczyk był jednym z dowódców Imperialnej Gwardii Mavrikiosa. Fakt, że nie udało mu się uratować pana, pogrążył impulsywnego mieszkańca Północy w głębokiej depresji. Wojownik maszerował, nie odzywając się ani słowem przez całe dni. Teraz nagle się ożywił.

— Imperator? — powtórzył w napięciu.

— Tak powiedziałem — przyznał Kananos. Był oszczędny w słowach. Sprawiał wrażenie, jakby powrót do znanych rzeczy sprawiał mu ból.

— Jak Thorisin Gavras mógł tutaj dotrzeć bez naszej wiedzy? — zapytał Gajusz Filipus, jak zwykle rzeczowy. — Poza tym nie nazwałbym jego wojska „żałosną grupką”. Wycofywali się w sprawnym szyku.

— Thorisin Gavras? — Evghenios Kananos spojrzał na centuriona ze zdumieniem i lekką podejrzliwością. — Nie wspomniałem ani słowem o Thorisinie Gavrasie. Mówiłem o Imperatorze, Imperatorze Ortaiasie. O ile się orientuję, nie ma innego.

II

Trybunie, jesteś bardzo upartym człowiekiem — powiedział Viridoviks do Skaurusa dzień po tym, jak usłyszeli wstrząsającą nowinę Kananosa. — Padniemy, a nigdy nie dogonimy tego lotra Sphrantzesa.

Zmęczony i sfrustrowany Skaurus zatrzymał się. Wściekłość na Ortaiasa, który ośmielił się przybrać królewski tytuł, sprawiła, że popędził małą armię na północ w pogoni za uzurpatorem. Lecz

Viridoviks miał rację. Kiedy Marek spojrział na to racjonalnie, a nie przez czerwoną mgłę gniewu stwierdził, że Rzymianie nie mają szansy go dopaść. Sphrantzes jechał konno, bez kobiet i rannych utrudniających marsz, i miał dzień przewagi. Ponadto legioniści spotykali po drodze coraz więcej Yezda i do tego coraz bardziej wrogo nastawionych.

Rzymianie zdawali sobie sprawę z daremności pościgu. Zdyscyplinowani, parli w kierunku Pityos, lecz bez zapału. Po każdym postoju wyruszali niechętnie, a tempo marszu spadało. Natomiast żołnierzy, którzy dołączyli do nich po klęsce pod Maraghą, trzymał tylko strach, że w przeciwnym razie będą zdani na własne siły. Wszyscy pogardzali Ortaiasem Sphrantzesem, ale wiedzieli, że go nie złapią.

Do Marka podjechał Laon Pakhymer, który wyczuł, że ten postój jest inny od poprzednich.

— Nareszcie masz dość?

W jego głosie brzmiała sympatia — też nienawidził Sphrantzesa — a jednocześnie surowość, która świadczyła, że on również traci cierpliwość do daremnego polowania.

Marek przesunął wzrok z niego na Gala, a potem z nadzieją na Gajusza Filipusa, którego pogarda dla samozwańczego Imperatora nie znała granic.

— Pytasz mnie, co o tym sądzę? — odezwał się starszy centurion.

Marek skinął głową.

— Więc dobrze. Nie mamy szansy dogonić tego nikkzemnika. W głębi duszy wiesz o tym równie dobrze jak ja.

— Chyba tak — westchnął trybun. — Ale dlaczego nie powiedziałeś tego, kiedy wyruszaliśmy?

Mimo rzymskiej dyscypliny Skaurus rzadko wątpił w trafność sądów Gajusza Filipusa.

— To proste. Uznałem, że Pityos to dobry cel podróży, niezależnie od tego, czy przydybiemy Sphrantzesa. Gdyby Ortaias popłynął do Videssos, my również moglibyśmy to zrobić i oszczędzić sobie przedzierania się przez zachodnie ziemie. Wygląda jednak na to, że między nami a portem jest zbyt wielu cholernych Yezda, byśmy tam zdołali dotrzeć cało.

— Obawiam się, że masz rację. Szkoda, że nie wiemy co z Thorisinem.

— Właśnie. Lecz nie możemy tego sprawdzić, bo na zachodzie roi się od Yezda.

— Wiem. — Marek zacisnął pięści. Bardziej niż kiedykolwiek żałował, że nie ma wieści od brata zabitego Imperatora, a wybór, którego musiał teraz dokonać, uniemożliwiał jej rychłe otrzymanie. — Musimy więc skierować się na wschód.

Rozmawiali po łacinie. Kiedy trybun dostrzegł puste spojrzenie Pakhymera, szybko przetłumaczył decyzję na videssański.

— To rozsądne — stwierdził Khatrish. Swoim zwyczajem przekrzywił głowę i zapytał: — Tylko czy macie pojęcie, co was czeka? „Wschód” to olbrzymi obszar, a wy go zupełnie nie znacie.

Marek nie mógł się powstrzymać od uśmiechu, mimo że był w ponurym nastroju.

— Yezda chyba nie wypędzili wszystkich mieszkańców. Musiał tam zostać ktoś, kto nam pokaże drogę, choćby po to, żeby się nas pozbyć.

Laon Pakhymer zaśmiał się i rozłożył ręce.

— To prawda. Sam bym nie chciał, żeby ta obdarta hałastrą obozowała w pobliżu mojego domu dłużej niż to konieczne.

Starszy centurion chrząknął. Może i był zadowolony ze zgody Khatrishy, ale nie z mało pochlebnego opisu legionistów.

Ostre odgłosy kłótni obudziły Marka następnego dnia przed świtem. Zaspiany wymamrotał przekleństwo i usiadł na posłaniu, zmęczony po całodziennym marszu przez trudny teren. Leżąca obok niego Helvis westchnęła i przewróciła się na drugi bok. Malrik, który zwykle marudził, kiedy trybun i Helvis chcieli, żeby spał, teraz nawet się nie poruszył.

Skaurus wysadził głowę za namiot i zobaczył towarzyszkę Kwintusa Glabrio, Damaris, która wyskoczyła z namiotu młodszego centuriona i odmaszerowała dumnym krokiem, wykrzykując obelgi:

— ...trudno znaleźć bardziej bezużytecznego mężczyznę! Nie mam pojęcia, co ja w tobie widziałam!

Zniknęła trybunowi z oczu. Skaurus dziwił się raczej, co w niej dostrzegł Glabrio. To prawda, że była dość pociągająca. Miała ostre rysy videssańskich kobiet i płonące brązowe oczy, ale za to figurę kościstą jak u chłopca i temperament odpowiedni do wyglądu. Była równie zapalczą jak kochanka Thorisina, Komitta Rhangawe, a to o czymś świadczyło. Natomiast Kwintusowi brakowało porywczosci Gavrasa.

Glabrio wyjrzał za Damaris jak człowiek, który wystawia głowę przez drzwi, żeby zobaczyć, czy minęła burza. Dostrzegł Marka, wzruszył ramionami i z ponurą miną schował się do namiotu. Zakłopotany trybun zrobił to samo.

Ostatni wybuch Damaris w końcu obudził Helvis, ale Malrik spał dalej. Odgarnąwszy z twarzy potargane brązowe włosy, kobieta ziewnęła i usiadła.

— Dobrze, że my tak ze sobą nie walczymy, Hemondzie... — urwała skonfundowana.

Marek chrząknął i uśmiechnął się krzywo. Wiedział, że nie powinien się obrażać o to, że Helvis niechętnie nazwała go imieniem zmarłego męża, ale za każdym razem, kiedy to się zdarzało, czuł ukłucie zazdrości i nic nie mógł na to poradzić.

— Możesz budzić chłopca — powiedział. — Za chwilę zacznie się ruch w obozie.

Marek tak usilnie starał się nie okazać urazy, że jego głos był zupełnie wyprany z emocji, twardy jak marmurowa płyta i bezbarwny.

Nieskuteczna próba ukrycia gniewu przyniosła skutek odwrotny od zamierzonego. Helvis zrobiła, co jej kazał, ale jej twarz zastygła jak maska, która nie potrafiła ukryć zranionych uczuć podobnie jak jego beznamiętny ton. Zapowiada się wspaniały poranek, naprawdę wspaniały — pomyślał trybun, nakładając zbroję.

Rzucił się w wir pracy, żeby odwrócić myśli od kłótni wiszącej w powietrzu. Tak dokładnie nadzorował zwijanie obozu, jakby legioniści robili to po raz pierwszy, a nie trzysetny albo i trzytysięczny. Słyszał, jak Kwintus Glabrio łaje ludzi ze swojego manipułu — co spokojnemu oficerowi zdarzało się niezwykle rzadko — i wiedział, że nie tylko jego nerwy są napięte.

Kwestia przewodników rozwiązała się tak, jak przewidział Gajusz Filipus. Rzymianie maszerowali przez nierówny teren, pocięty mnóstwem skalistych dolinek biegnących we wszystkich kierunkach. Przybycie obcych na to odludzie musiało wywołać poruszenie. Przybycie armii, nawet zdziesiątkowanej, niemal wywołało panikę.

Odcięci od świata rolnicy i hodowcy zwierząt, którzy rzadko widywali poborcę podatków — co w Videssos rzeczywiście świadczyło o izolacji — chcieli tylko, żeby Rzymianie wynieśli się z wioski, zanim zaczną się grabieże i gwałty. W każdym siole trafiali się młodzi ludzie, którzy chętnie, wręcz gorliwie wskazywali im drogę... często do rywali mieszkających w sąsiedniej dolinie.

Czasami żołnierzy spotykało serdeczniejsze przyjęcie. Bandy Yezda, wytrwałych i ruchliwych koczowników, docierały nawet w te niegościnne okolice. Kiedy Rzymianie pojawiali się w samą porę jako wybawcy, wieśniacy gotowi byli przychylić im nieba.

— Nie mam wątpliwości, że to jest życie dla mnie — oświadczył Viridoviks po jednym z takich małych zwycięstw. Siedział przy ognisku. W prawej ręce trzymał kufel piwa, a przed nim leżała na ziemi góra ogryzionych żeberek wieprzowych. Pociągnął z kufła duży łyk i beknął. — Moglibyśmy tu sobie żyć jak królowie do końca naszych dni. Kto by nam czegokolwiek odmówił?

— Na przykład ja — rzucił pośpiesznie Gajusz Filipus. — To kraj wieśniaków. Nawet dziwki są leniwe i niezręczne.

— Istnieje coś więcej oprócz kutasa — odparł Viridoviks. Świętoszkowaty ton wywołał salwy śmiechu u wszystkich, którzy słyszeli Celta. Gajusz Filipus w milczącym geście wyciągnął dłoń z trzema uniesionymi palcami. W pomarańczowym blasku ogniska trudno było stwierdzić, czy Viridoviks, który i tak miał twarz spieczoną od słońca, poczerwieniał. W każdym razie szarpnął sumiaste wąsy.

— A czy to wszystko... — rozrzucił nogą stos kości — ...nie sprawia, że na myśl o żołnierskich racjach chce się wymiotować? Papkowata owsianka, spleśniały chleb, wędzone mięso o smaku podszwy. Po dniu takiego zarcia każdego by zemdliło, a my jemy to całymi tygodniami.

— Galijski przyjacielu, czasami jesteś naiwny jak dziecko — odezwał się Gorgidas. — Jak często, według ciebie, mieszkańcy tej biednej doliny mogliby wydawać takie uczty?

Zatoczył ręką koło. Słuchaczom przypomniały się mizerne, kamieniste poletka, które czasami wdzierały się na górskie zbocza.

— Wychowałem się w takiej dolinie jak ta — kontynuował lekarz. — Z powodu dzisiejszej uczty miejscowi będą jedli gorzej tej zimy. Gdyby nas gościli przez dwa tygodnie, na przednówku przymieraliby głodem. Razem z nami.

Viridoviks spojrział na niego zdziwionym wzrokiem. Był przyzwyczajony do urodzajnych ziem rodzinnej Galii, łagodnych zim, chłodnych miesięcy letnich i obfitych deszczy. Tam drewno na opał wypuszczało zielone pędy. W videssańskich górach usychały drzewa z korzeniami.

— Istnieje więcej powodów, by iść dalej — odezwał się Marek zaniepokojony, że pomysł, który Viridoviks rzucił półzartem, wzbudził zainteresowanie. — Choć bardzo chcielibyśmy zapomnieć o całym świecie, obawiam się, że on nie zapomni o nas. Albo Yezda zrównają Imperium z ziemią, co wydaje się bardzo prawdopodobne, albo Videssos cudem ich odeprze. Ktokolwiek wygra, rozciągnie panowanie na tę krainę. Myślicie, że potrafilibyśmy stawić mu czoło?

— Najpierw musieliby nas znaleźć. — Senpat Sviodo nieoczekiwanie poparł Viridoviksa. — Sądząc po naszych przewodnikach, nawet miejscowi nie wiedzą, co się znajduje trzy doliny dalej.

Wokół ogniska rozległy się zgodne pomruki.

— Sądząc po naszych przewodnikach, miejscowi nie potrafią nawet kucnąć, kiedy srają — rzucił Gajusz Filipus.

Nikt nie zamierzał się z tym sprzeczać.

— Ten ostatni jest najlepszy — powiedział Skaurus zadowolony ze zmiany tematu.

Centurion skinął głową. Ostatni przewodnik Rzymian był mocno zbudowanym mężczyzną w średnim wieku, o twarzy poznaczonej bliznami. Nazywał się Leksos Blemmydes. Miał ruchy weterana i mówił po videssańsku z lekkim obcym akcentem. Marek nie mógł się opędzić wrażeniu, że już kiedyś widział Blemmydesa, ale żaden z legionistów nie przypominał go sobie.

Trybun zastanawiał się, czy Blemmydes nie jest dezerterskim z rozgromionej armii videssańskiej. Mężczyzna przyłączył się do Rzymian przed kilkoma dniami. Przyszedł któregoś wieczora do obozu i zapytał, czy nie potrzebują przewodnika. Kimkolwiek był, z całą pewnością znał drogę przez skalny labirynt. Jego opisy terenu, wiosek, a nawet poszczególnych wodzów okazywały się niezwykle dokładne.

Zaintrygowany Skaurus zaczął szukać wzrokiem Blemmydesa po całym obozie, aż spostrzegł go przy jednym z ognisk grającego w kości z dwoma Khatrishami.

— Leksos! — zawołał.

Videssanin nie podniósł oczu, więc Marek powtórzył głośniejszym głosem. Kiedy przewodnik w końcu od-

wrócił głowę, trybun przywołał go gestem.

Blemmydes oderwał się od gry i podszedł do niego z miną wytrawnego gracza.

— Co mogę dla was zrobić, panie? — zapytał.

W jego głosie brzmiała rezygnacja i cierpliwość zwykłego żołnierza stojącego przed oficerem, lecz kości pobrzękiwały niestrudzenie w zaciśniętej pięści.

— Po prawdzie to niewiele — powiedział Marek. — Zastanawialiśmy się tylko, skąd tak dobrze znasz te okolice.

Wyraz twarzy Blemmydesa nie uległ zmianie, lecz oczy stały się czujne.

— Zawsze stawiam sobie za cel poznanie najlepszych dróg kraju, przez który podróżuję. Nie chcę, żeby mnie zaskoczono w czasie drzemki — odpowiedział powoli.

Skaurus pochylił się do przodu. Już prawie sobie przypomniał, gdzie natknął się wcześniej na tego żołnierza o nieruchomej twarzy, kiedy Gajusz Filipus roześmiał się.

— Sam sobie stawiasz taki cel, co? W porządku. Wracaj do gry.

Blemmydes nie uśmiechnął się, tylko skinął głową i odmaszerował. Marek na próżno wysilał pamięć

— Prawdopodobnie jest przemytnikiem albo zwykłym złodziejem koni — stwierdził rozba-
wiony starszy centurion. — I to nie byle jakim. Ktoś, kto ma tyle wyobraźni, żeby wziąć sobie
półtoratysięczną uzbrojoną gwardię do zacierania śladów, zasługuje na powodzenie.

— Chyba tak — westchnął Skaurus i zapomniał o sprawie.

Tej nocy pogoda załamała się. Lato nie mogło trwać wiecznie. Zamiast stałego gorącego wiatru od strony spieczonych yezdeńskich równin powiał czysty i świeży od Morza Videssańskiego. Ranek był mglisty, a niskie szare chmury rozeszły się dopiero koło południa.

— Hurra! — wykrzyknął Viridoviks, kiedy wyjrzał z namiotu i zobaczył pochmurny dzień. —
Moja biedna skóra wreszcie odpocznie. Dość smarowania cuchnącymi mazidłami Gorgidasa. Hur-
ra!

— Tak, hurra — zawtórował mu Gajusz Filipus, patrząc ponuro w niebo. — Za tydzień zacnie
padać deszcz i nie przestanie aż do pierwszych śniegów. Nie wiem jak ty, aleja nie przepadam za
błotem. Do wiosny utkniemy w tej dziczy.

Marek słuchał tego z niepokojem. Nie chciał zostać odcięty od świata, póki sytuacja w Videssos
była niepewna... i rządził Ortaias Sphrantzes.

— Jeśli my nie będziemy mogli maszerować, inni też nie — zauważył Kwintus Glabrio.

Oczywista prawda trochę pocieszyła trybuna, który myślał tylko o swoim legionie i zapominał,
że natura ma wpływ na wszystkich — Rzymian, Videssańczyków, Namdalajczyków i Yezda.

Leksos Blemmydes poprowadził oddział Skaurusa na południowy wschód, do Amorion leżącego
nad rzeką Ithome. Trybun chciał dotrzeć do tego miasta, zanim jesienne deszcze uniemożliwią pod-

róż. Amorion kontrolowało znaczną część zachodniego płaskowyżu i mogło stanowić bazę wypadową w razie wojny, której się spodziewał na wiosnę... jeśli Thorisin jeszcze będzie żył.

Gorgidas niemal więził Neposa. Kapłan leczył legionistów i starał się nauczyć Greka sztuki uzdrawiania. Jego wysiłki były bezowocne, co doprowadzało Gorgidasa do rozpacz.

— W głębi duszy nie wierzę, że potrafię to zrobić — jęczał — więc nie potrafię.

Skaurus coraz bardziej polegał na Blemmydesie. Mimo doskonałej znajomości kraju przewodnik wypytywał wszystkich napotkanych ludzi — nielicznych kupców, wioskowych kacyków, rolników i pasterzy. Czasami trasa, którą wybierał, była okrężna, ale bezpieczna.

Pewnego wieczoru Rzymianie dotarli do miejsca, gdzie jedna z dolin rozdzielała się na dwie. Rzeki, które je wyłobiły, były teraz wyschnięte, ale Marek wiedział, że jesienne ulewy wkrótce zamienią je w rwące strumienie.

Blemmydes przekrzywił głowę i spoglądał ku obu wąwozom, jakby nasłuchiwał. Stał tak przez długi czas, dłuższy niż zwykle zabierało mu podjęcie decyzji. Skaurus obrzucił go zdziwionym wzrokiem.

— Północna — wybrał w końcu przewodnik.

Gajusz Filipus również zauważył zwłokę i spojrzał pytająco na trybuna.

— Do tej pory zawsze miał rację — powiedział Marek. Starszy centurion wzruszył ramionami i dał Rzymianom

rozkaz, by ruszyli drogą, którą wybrał Blemmydes.

Skaurus w pierwszej chwili pomyślał, że przewodnik ich zdradził. Dolina była pełna pasącego się bydła i pasterzy, którzy wyglądali na Yezda. Gdy hodowcy zobaczyli kolumnę uzbrojonych żołnierzy, popędzili zwierzęta w górę skalistych zboczy, w czym pomagały im psy.

Obawy Rzymian okazały się nieuzasadnione. Pasterze byli Videssańczykami, którzy wzięli żołnierzy Marka za najeźdźców. Kiedy zrozumieli błąd, przywitali się z przybyszami, zachowując czujność. Imperialne armie potrafiły łupić równie bezlitośnie jak nomadzi. Dopiero kiedy Skaurus zapłacił za parę sztuk bydła, pasterze stali się życzliwi.

— Chyba nie zamierzasz robić tego często? — zaniepokoił się Senpat Sviodo, patrząc jak pieniądze przechodzą z ręki do ręki.

— Hmm? Dlaczego nie? — Trybun był zdziwiony. — Im mniej bierzemy siłą, tym lepsze będziemy mieli stosunki z miejscowymi.

— To prawda, ale niektórzy mogą umrzeć z szoku, że nie zostali obrabowani.

Marek roześmiał się, ale Nepos nie zawtórował mu. Kapłanowi w końcu udało się wyrwać Gorgidasowi na kilka minut i spacerował sobie, przyglądając się, jak Rzymianie rozbijają obóz.

— Nigdy nie należy kpić z człowieka o dobrym sercu. Nasz przyjaciel okazuje taką samą łaskawość jak wtedy, kiedy dał szansę odkupienia winy człowiekowi, który popadł w niełaskę.

Vaspukaraner, wcale nie taki cyniczny, jak sugerowały jego słowa, zrobił skruszoną minę, natomiast Marek zdziwił się.

— O czym ty mówisz? — spytał.

Zdezorientowany Nepos podrapał się po głowie. Podobnie jak Rzymianie, nie miał wielu okazji, żeby się ogolić, więc jego czaszka pokryła się szczecina.

— Nie musisz być skromny. Z pewnością tylko człowiek wielkoduszny okazałby zaufanie i przywrócił wiarę w siebie żołnierzowi, którego sam usunął z Gwardii Imperialnej.

— Co ty, u licha... — zaczął Marek i zamilkł. Przypomniał sobie dwóch gwardzistów, których usunął

za spanie na warcie przed apartamentami Mavrikiosa. Blemmydes był starszym z tych dwóch. Dopiero dzięki Neposowi Skaurus skojarzył fakty.

Przypomniał sobie również zawziętość i butę, którą okazali obaj wezwani do raportu, oraz ich wysiłki, żeby zrzucić winę na niego. Gdy im się to nie udało, zostali sromotnie wypędzeni ze stolicy. Trudno było sobie wyobrazić, żeby Blemmydes żywił wobec Rzymian przyjazne uczucia.

Co oznaczało... Trybun wezwał wartownika.

— Znajdź przewodnika i przyprowadź go do mnie. Musi mi odpowiedzieć na parę pytań.

Legionista zasalutował pięścią i oddalił się biegiem. Nepos i Senpat Sviodo wlepiali wzrok w Skaurusa.

— Więc nie przyjąłeś Leksosa na próbę? — zapytał kapłan.

— Na próbę? Nie — odpowiedział Marek, udając, że nie słyszy rozczarowania w jego głosie. — Prawdę mówiąc, przez te wszystkie miesiące zupełnie zapomniałem, że sukinsyn istnieje. Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym tydzień temu?

Nepos z żalem rozłożył ręce.

— Przypuszczałem, że wiesz, kim on jest, i dobrze o tobie pomyślałem.

— Wspaniale — mruknął trybun. Zastanawiał się, ile jego pomyłka będzie kosztowała Rzymian. Podejrzenie zmieniło się w pewność, kiedy zobaczył, że strażnik wraca sam. — I co? — warknął, nie mogąc zapanować nad strachem.

— Przykro mi, panie, ale nigdzie go nie ma — zameldował legionista ostrożnie, choć w przeciwieństwie do Gajusza Filipusa trybun zwykle nie wyładowywał się na żołnierzach.

— Tego brakowało — powiedział Marek z rozgoryczeniem, uderzając pięścią we wnętrze dłoni. — Tylko wielkoduszny idiota przyjąłby takiego człowieka.

Zapewne Blemmydes już dokonał zemsty, skoro uciekł. Marek poczuł pogardę wobec samego siebie. Na błędy innych patrzył z tolerancją, którą dało mu stoickie wychowanie. Trudno oczekiwać od ludzi doskonałości. Z drugiej strony jego własne braki i pomyłki wzbudzały w nim gniew większy, niż odczuwał wobec wrogów na polu bitwy.

Z trudem pohamował wściekłość i zaczął się zastanawiać, jak naprawić błąd. Najpierw musiał się dowiedzieć, jak wygląda sytuacja.

— Pakhymer! — zawołał.

Po chwili Khatrish zjawił się przy nim.

— Znam ten ton — stwierdził uśmiechając się krzywo. — Co się stało?

— Może nic — odparł trybun z wymuszonym uśmiechem, choć nie wierzył w to ani przez chwilę. — Może dużo. — I opowiedział mu pokrótce, co się stało.

Pakhymer wysłuchał go bez komentarza i zagwizdał przez zęby.

— Myślisz, że wprowadził nas w zasadzkę? — odezwał się w końcu.

— Obawiam się, że tak.

Laon skinął głową.

— To dlatego mnie wezwałeś. Powinienem cię za to obciążyć. — W jego słowach nie było złości, tylko rozbawienie i kpina, charakterystyczne dla postawy Khatrishów wobec życia. — W porządku, wyślę paru chłopaków, żeby rozejrzeli się po okolicy. Inni spróbują wytropić naszego drogiego Blemmydesa. — Widząc, że Skaurus się krzywi, dodał: — Nikt nie może wszystkiego przewidzieć, nawet Phos. W przeciwnym razie nie byłoby Skotosa.

Ta uwaga pocieszyła trybuna, lecz wywołała konsternację Neposa. Stosunek Khatrishów do religii był równie niefrasobliwy jak oni sami. Pakhymer oddalił się, zanim Nepos zaprotestował. Kapłan był dobrym człowiekiem, bardziej tolerancyjnym niż wielu jego kolegów, ale istniały granice tolerancji, których nie mógł przekroczyć.

Ciekawe, jak Balsamon zareagowałby na uwagę Khatrisha — pomyślał Marek. Patriarcha Videsos prawdopodobnie roześmiałby się serdecznie.

Teraz nie pozostawało nic innego do roboty jak czekać na powrót zwiadowców. Grupa wysłana w pościg za Blemmydesem wróciła pierwsza, z pustymi rękami. Marek nie był tym zaskoczony. W takiej okolicy istniały setki możliwych kryjówek.

Zgodnie z przewidywaniem, niezwykle poruszenie w obozie wprawiło języki w ruch. Tym razem jednak plotki mogły okazać się korzystne. Kiedy ludzie spodziewają się kłopotów, szybciej na nie reagują. Trybun doszedł do wniosku, że szybkość będzie miała duże znaczenie, jeśli sprawdzą się jego obawy.

Wkrótce ze wschodu nadjechali Khatrishy z drugiej grupy zwiadowców, zeskoczyli z koni i podbiegli do Pakhymera z wieściami. Nie odzywali się do żołnierzy, którzy po drodze zasypywali ich pytaniami. Po raz setny trybun doszedł do wniosku, że jeźdźcy są dobrymi żołnierzami, choć nie mają dyscypliny Rzymian.

Kiedy ich dowódca zbliżył się do Skaurusa, w twarzy pokrytej bliznami nie było zwykłej wesołości.

— Aż tak źle? — zapytał Marek.

— Aż tak źle — potwierdził Pakhymer ponuro. — W sąsiedniej dolinie roi się od Yezda. Z tego, co mówią moi chłopcy, musi ich być dwa albo trzy razy więcej niż nas.

— Wygląda na to, że Blemmydes się zemścił — stwierdził Skaurus gorzko. — Pewnie przez cały czas szukał Yezda i kiedy znalazł wystarczająco liczną bandę, uciekł.

— Chłopaki nie policzyli dokładnie — próbował go pocieszyć Laon — tylko zerknęli zza skał i zobaczyli namioty i ogniska.

— Ogniska — powtórzył Marek. Ogniska, w których upieką Rzymian.

W związku z ogniem zaczęła go dręczyć jakaś nieuchwytna myśl. Było to znajome uczucie, takie samo jak wtedy, gdy bez powodzenia próbował sobie przypomnieć, gdzie widział Leksosa Blemmydesa. Teraz stał bez ruchu i nie próbował niczego sobie przypominać na siłę, tylko czekał, aż skojarzenie samo się nasunie.

Pakhymer zaczął coś mówić, lecz umilkł, kiedy dostrzegł zamyślenie Skaurusa.

Trybun po raz drugi uderzył pięścią we wnętrze dłoni, tym razem dla przypieczętowania decyzji.

— Chwała bogom za to, że nauczyłem się czytać po grecku! — wykrzyknął.

Laon Pakhymer nic nie zrozumiał, ale spostrzegł, że Rzymianin znowu jest sobą. Odwrócił się, żeby odejść, ale Skaurus go zatrzymał, mówiąc:

— Będę potrzebował twoich ludzi. Są lepszymi hodowcami i poganiaczami bydła niż Rzymianie.

— I co z tego? — spytał zdumiony Khatrish.

Zanim Marek zdążył mu to wyjaśnić, podszedł do nich Gajusz Filipus.

— Na Marsa, co się dzieje? — zapytał. — W całym obozie wrze jak w kotle, a nikt nie wie dlaczego.

Trybun przedstawił mu sytuację i starszy centurion zaklął brzydko.

— Mniejsza o to — powiedział Skaurus. Kiedy wreszcie odzyskał jasność myślenia, zaczęło mu się śpieszyć. — Weź parę manipułów. Pójdziecie razem z ludźmi Pakhymera. Spędźcie tu całe bydło z doliny. Macie na to godzinę.

Khatriś i centurion wytrzeszczyli oczy. Byli pewni, że trybun postradał rozum. Po chwili Gajusz Filipus zgiął się wpół ze śmiechu.

— Wspaniały plan — wykrztusił. — I to nie my przyjmujemy na siebie natarcie.

— Ty również czytałeś Polibiusza? — spytał Skaurus, jednocześnie urażony i zdumiony. Starszy centurion miał trudności z czytaniem po łacinie, więc Marek nie sądził, że potrafi czytać po grecku.

— Kogo? Ach, to jeden z twoich ulubionych historyków? Jasne, że nie. — Po raz pierwszy uśmiech Gajusza Filipusa nie miał w sobie nic wilczego. — Jest więcej sposobów zapamiętywania różnych rzeczy niż czytanie książek. Każdy weteran zna tę sztuczkę, od kiedy zastosował ją Han-

nibal, i wie, że pamięć mu ją podsunie, kiedy znajdzie taka potrzeba.

— Czy wreszcie zaczniecie mówić z sensem? — rzucił z irytacją Pakhymer, ale rozbawieni Rzymianie nie zamierzali go oświecić.

Wyjaśnili plan Viridoviksowi. Marek przewidział dla niego szczególną rolę.

— Jasne! — wykrzyknął Celt z entuzjazmem, kiedy ich wysłuchał. — Gdybyście próbowali wziąć kogoś innego na moje miejsce, zabiłbym go.

Hodowcy, którzy wychwalali Skaurusa pod niebiosa, kiedy słońce jeszcze świeciło, przeklinali jego imię, kiedy nastała ciemność. Bez litości i wyjaśnień zabrano im całe bydło. Mieli włócznie i noże, żeby bronić się przed poborcami podatków, ale byli bezradni wobec mieczy i kolczug legionistów oraz łuków i koni Khatrishów.

Poganiane przez konfiskatorów bydło ruszyło doliną, rycząc żałośnie z powodu zmiany ustalonego porządku. Co od ważniejsze psy pasterskie skoczyły mu na pomoc, lecz odpędzone włóczniami uciekły ze skamleniem.

Marek przekonał się, że Gajusz Filipus miał rację. Kiedy rozkazał porąbać palisadę na kawałki długości ramienia, legioniści uśmiechnęli się porozumiewawczo i przystąpili do pracy jak mali chłopcy przygotowujący wielki psikus. Kobiety i nie-Rzymianie obserwowali ich z taką samą ostrożnością, z jaką przyglądaliby się grupie ludzi ogarniętych zbiorowym szaleństwem.

Trybun nie musiał wydawać następnych rozkazów. Gdy tylko spędzono bydło, żołnierze przywiązali mu do rogów wyciosane paliki.

— Marku, przepraszam, że ci zawracam głowę, ale co u licha się dzieje? — spytała Helvis.

— Kiedyś twój brat Soteryk powiedział, że mamy przewagę w tym świecie, ponieważ znamy mnóstwo sztuczek, których nie zna nikt inny — odpowiedział Skaurus tajemniczo. — Pora się przekonać, czy miał rację.

Prawdopodobnie wyjaśniłby jej wszystko za chwilę, ale zwiadowca Khatrish przyniósł mu złą wiadomość.

— Cokolwiek planujecie, pośpieszcie się. W dolinie zjawilo się paru Yezda, żeby zobaczyć, co to za raban. Strzeliłem do nich, ale chybiłem w ciemności.

Skaurus poszedł dopilnować przygotowań. Wiązkami kijów przyozdobiono już około dwóch tysięcy sztuk bydła.

— To fascynujące — stwierdził Pakhymer ironicznie. — Sądysz, że Yezda uciekną przed szarżującym lasem?

— Wątpię. Ale może uciekną przed pożarem lasu. Trybun wyjął z obozowego ogniska płonąca głownię i podszedł do stada.

Oczy Pakhymera zrobiły się okrągłe.

— Uderzmy na nich teraz, powiadam!

— Uspokój się, Vahush. Rano też tu będą.

Mówiący te słowa krępy Yezda w średnim wieku wyciągnął z ogniska szpikulec i podał siostrzeńcowi skwierczące mięso.

Vahush odmówił gniewnym gestem. Miał szczupłą twarz zeloty, orli widessański nos i poruszał się z gracją drapieżnika.

— Kiedy widzisz wroga, Prypet, zabij go! — warknął. — Tak mówi Avshar i ma rację.

— Tak zrobimy — rzekł pojednawczo Prypet. — To będzie łatwe. Jeśli zwiadowcy nie kłamią, żołnierze imperialni biegają po obozie jak szaleńcy. Tak czy inaczej, co najmniej dwukrotnie przewyższamy ich liczebnie.

Machnął ręką w ciemność, wskazując na wojłokowe namioty, które wyrosły w dolinie jak muchomory.

Stada utuczają się w nowym rozległym kraju — pomyślał Prypet. Podniósł do ust dzban wina, kolejną zdobycz wojenną. To prawda — zadumał się — że Avshar wygrał bitwę, która dała nomadom przestrzeń, ale kto go widział od tamtej pory? W każdym razie to on, Prypet, prowadzi klan, a nie ten czarnoksiężnik, którego twarzy nikt nie zna, nawet syn siostry jego żony.

Mimo to chłopak był obiecujący i nie należało go tłamsić.

— Przez ostatnie tygodnie dużo podróżowaliśmy. Będziemy walczyli lepiej po nocnym odpoczynku. Usiądź i odpręż się. Weź sobie chleba.

Wziął gumowaty praśny bochenek z lekkiej kraty, która służyła Yezda jako piec.

— Za bardzo sobie dogadzasz, wuju — stwierdził Vahush, pewien własnej racji, co niweczyło wszelką nadzieję, że starszy mężczyzna go wysłucha.

Prypet wstał, a z jego twarzy zniknęła cała łagodność. Siostrzeniec czy nie, Vahush posuwał się za daleko.

— Jeśli chcesz, chłopcze, możesz znaleźć przeciwnika bliżej niż w sąsiedniej dolinie — powiedział spokojnie.

Vahush pochylił się do przodu.

— W każdej chwili... — Nagle zamrugał oczami. — Na czarny łuk Avshara! Co to?

Ziemia zaczęła im dudnić pod stopami, a z drugiej strony doliny niósł się łoskot. Towarzyszyły mu basowe ryki bólu i przerażenia.

— Uspokój się, szczeniaku — rzucił Prypet z pogardą. — Nie poznajesz krów?

Vahush poczerwieniał.

— Oczywiście. Na Skotosa, jestem dziś podenerwowany. Jego wuj rozluźnił się widząc, że napięcie opadło.

— Nie martw się. Rolnicy nie potrafią sobie radzić z bydłem... żeby tak puścić stado. Byłoby nieźle, gdyby paru ludzi wskoczyło na siodła i zagnało tu parę sztuk.

— Ja to zrobię — zaoferował się młody mężczyzna. — To mi uspokoi nerwy.

Ruszył w stronę konia i zamarł w pół kroku. Na jego twarzy malowało się przerażenie.

Prypet spojrzął na zachód i poczuł na plecach zimny dreszcz. Łoskot był teraz głośniejszy i zbliżał się do doliny, gdzie obozowali Yezda. Bydło? Nie, to nie mogło być bydło. W ich stronę pędziło z szybkością dobrego biegacza falujące i huczące morze ognia. A na fali unosił się diabeł. Jego nieziemskie wycie przebijało się przez hałas. Z miecza, którym wymachiwał, sypały się szkarłatne iskry.

Przywódca klanu był wojownikiem zaprawionym w niezliczonych bojach, ale wobec takiej magii stracił całą odwagę.

— Ratujsię kto może! — wrzasnął.

Yezda wybiegli z namiotów, spojrzeli na zachód i w panice rzucili się do wierzchowców.

— Demony! Demony! — krzyknęli.

Popędzili konie ostrogami, nie oglądając się za siebie. Dolina opustoszała w jednej chwili. Płonące morze przetoczyło się po namiotach. Nie został po nich prawie żaden ślad.

Vahush uciekłby razem z wujem i członkami klanu, ale z przerażenia przez kilka minut nie mógł się ruszyć. Chciał ich zaatakować, głupcze — powtarzał sobie w myślach — a oni mają czarnoksiężnika, który potrafiłby zdmuchnąć Avshara jak świecę.

Ryczący ocean ognia zbliżał się. Młody koczownik czekał sparaliżowany, aż go pochłonie. I wtedy zobaczył roześmianych jeźdźców pędzących bydło, płonące gałęzie przywiązane do rogów, zapach dymu, odór palonej sierści.

Ogarnęła go wściekłość, uwalniając ducha i ciało ze szponów paniki. Vahush wskoczył na spętanego konia. Jednym ruchem szabli przeciął postronek. Spiął konia ostrogami, uniósł broń i popędził prosto na torturowane stado.

— Wracajcie! Wracajcie! To podstęp! — krzyczał do uciekających towarzyszy, którzy go nie słyszeli pośród zgiełku.

Ktoś jednak go usłyszał.

— Nie jesteś zbyt hałaśliwy? — zapytał go głos z dziwnym akcentem.

Vahush za późno przypomniał sobie diabelskie okrzyki. Przed oszalałym stadem gnał na kucyku jakiś człowiek. Długie proste ostrze spadło na kark koczownika.

Kiedy osuwał się z konia, jego ostatnią myślą było, że żołnierze imperialni nie walczą uczciwie.

Gdyby Yezda zaprzestali panicznej ucieczki i wrócili, żeby zbadać sytuację, zapewne wypędziliby Rzymian z doliny. Legioniści Marka i wojownicy Pakhymera tańczyli wokół ognisk, gwizdali, klaskali, przytupywali, strzelali palcami i krzyczeli z radości, by usłyszał ich cały świat.

Pakhymer nie brał udziału w zabawie, tylko błąkał się po obozie. Wreszcie znalazł Skaurusa, który hulał razem z legionistami, i wyciągnął go z kręgu. Helvis spiorunowała wzrokiem Khatrishy. Trybun również miał zamiar się rozgniewać, ale dostrzegł jego zagubione spojrzenie.

— Bydło — powiedział Pakhymer tępo. — Mieszkańcy równin, spędzający życie wśród bydła, poganie, zabijający dla zabawy, uciekają jak wystraszone dzieci przed bezbronnym stadem. — Uderzył się dłonią w czoło, jakby próbował zrozumieć.

Marek, który wypił sporo wina, nie znalazł lepszej odpowiedzi niż wzruszenie ramion i szeroki głupkowaty uśmiech. Lecz Gorgidas, stojący dość blisko, by usłyszeć komentarz Pakhymera, był w miarę trzeźwy. Zachował grecki zwyczaj dolewania wody do wina i co więcej, uważał wiedzę za słodszy owoc niż te, z których robiono wino.

— Sądysz, iż nomadzi wiedzieli, że szarżuje na nich bydło? — odezwał się do Khatrishy. — Pomyślałbyś tak w kraju tkwiącym w przesądach? Jeśli wszędzie węszysz czarną magię, znajdziesz ją. — Jego usta wykrzywiły się w grymasie, który nie był uśmiechem. — Najważniejsza jest wiara. Kiedy studiowałem medycynę, nauczono mnie odrzucać magię i wszystko, co się z nią wiąże. Tutaj przekonałem się, że magia naprawdę leczy, ale mnie nie będzie służyć.

— Może ty powinienesz służyć jej — powiedział Pakhymer.

— Czy wszyscy tutaj przemawiają jak kapłani? — burknął Gorgidas, lecz wzrok miał zamyślny.

— Jasne, że nie. — Viridoviks podchwycił tylko ostatnie słowa. Obejmował w pasie dwie dziewczyny i wcale nie przypominał kapłana.

Marek za nic w świecie nie mógł sobie przypomnieć ich imion. Po pierwsze, Celt zawsze zwracał się do nich „kochanie” albo „złotko”, co zmniejszało możliwość kłopotliwej pomyłki. Po drugie, choć wszystkie były zgrabne i piękne jak kwiaty, żadna nie miała dość charakteru, by wryć się ludziom w pamięć.

Viridoviks nagle dostrzegł Skaurusa, który stał z greckim lekarzem i Laonem Pakhymerem. Puścił dziewczyny i złapał trybuna w niedźwiedzi uścisk. Mimo że sam był pijany, poczuł od niego wino. Przez chwilę trzymał Marka na wyciągnięcie ręki i przyglądał mu się z uwagą.

— Spójrz na niego — powiedział, zwracając się do Gorgidasa. — Stoi sobie spokojnie po największym kawale w historii, który w dodatku uratował nam życie. Ja jestem bohaterem, że siedziałem na grzbiecie śmierzącego konia i wystraszyłem śmiertelnie bandę koczowników. A gdzie podziw dla człowieka, który przydzielił mi tę rolę?

— Zasłużyłeś na to — zaprotestował Marek. — A gdyby Yezda zaatakowali zamiast uciekać? Jeden tak zrobił.

— Ten biedny głupiec? — Viridoviks prychnął z pogardą. — Gapił się na mnie przez godzinę. Obudził się dopiero, kiedy popuścił w spodnie. Kto by pomyślał, że zostanę jeźdźcem.

— Raczej poganiaczem bydlą — powiedział Laon Pakhymer, patrząc na niego spode łba.

— Hmm. — Celtowi zaiskrzyły się oczy. — Przewodnikiem stada, byłoby bliższe prawdy. Co wy na to, kochane? — spytał, prowadząc dziewczyny w stronę wspólnego namiotu. Obie nachyliły się ku niemu w milczącej zgodzie.

Pakhymer rzucił Viridoviksowi zazdrosne spojrzenie.

— Co on z nimi robi? — zastanowił się na głos.

— Zapytaj go — poradził Gorgidas. — Na pewno ci powie. Trudno naszego celtyckiego przyjaciela nazwać nieśmiałym.

Pakhymer obserwował grupkę, która na moment zarysowała się w świetle, kiedy Viridoviks odchylił połę namiotu.

— Nie — westchnął. — Chyba nie jest.

Następnego ranka Marek przez chwilę sądził, że bębnienie kropel deszczu o namiot to puls szumiący mu w uszach. Bolała go głowa. W ustach miał smak ścieków. Kiedy usiadł zbyt gwałtownie, żołądek podszedł mu do gardła, a otoczenie zawirowało.

Ruch obudził Helvis. Kobieta ziewnęła i przeciągnęła się.

— Dzień dobry, kochany — powiedziała z uśmiechem, dotykając jego ramienia. — Jak się czujesz?

Nawet jej łagodny kontrakt brzmiał dla niego zgrzytliwie.

— Okropnie — wychrypiął trybun, trzymając się za głowę. — Myślisz, że Nepos umie leczyć kaca? — Odbiło mu się.

— Gdyby istniało lekarstwo na mdłości, z pewnością kobiety w ciąży by je znały. Możemy pomęczyć się razem — zaproponowała żartobliwie, ale widząc nieszczęśliwą minę Skaurusa, dodała: — Postaram się, żeby Malrik był cicho. — Chłopiec już ruszał się pod kocem.

— Dziękuję — powiedział Marek

Naprawdę był wdzięczny. Hałaśliwy trzylatek mógłby go dobić.

Ulewa oznaczała, że nie będzie ognisk. Rzymianie zjedli na śniadanie zimną owsiankę, zimną wołowinę i rozmoknięty chleb. Trybun zignorował narzekania żołnierzy. Myśl o jakimkolwiek jedzeniu napawała go wstrętem. Usłyszał, że Gajusz Filipus wydaje instrukcje, brnąc z chlupotem przez błoto od jednej grupki do drugiej.

— Nie zapomnijcie naoliwić zbroi. To łatwiejsze niż później zeszkrobywać rdzę i łątać przegniłą skórę, bo byliście leniwi. Nasmarujcie też broń, choć niech was bogowie bronią, skoro muszę wam o tym przypominać.

Po zniknięciu Leksosa Blemmydesa nie miał kto wskazać oddziałowi Skaurusa drogi do

Amorion. Dolina była nie zamieszкана. Rozgniewani hodowcy, których bydło posłużyło rozgromieniu Yezda, nie chcieli pomóc żołnierzom. Według nich przybysze najpierw zaprzyjaźnili się z nimi, a potem zdradzili.

Z dużym opóźnieniem armia w końcu ruszyła błotnistym szlakiem na południowy wschód. Niebo miało kolor ołowiu. Deszcz padał przez wiele godzin, czasem drobnymi kroplami, kiedy indziej zaś nieprzezroczystymi płachtami, które niósł szczypiący zimowym chłodem wiatr.

W tych warunkach trudno było zachować stały kierunek marszu. Przemoczeni i nieszczęśliwi legionieści pokonywali serię przecinających się małych kanionów, istny labirynt Minosa.

Pod wieczór nawałnica ustała. Słońce wyjrzało przepraszająco na świat przez postrzępione chmury. Żołnierze z przestachem zawołali, że zachodzi na wschodzie, gdyż świeciło im prosto w twarze.

Usłyszawszy to, Kwintus Glabrio potrząsnął z rezygnacją głową.

— Czy to nie typowe? Prędzej odwróć niebiosą do góry nogami, niż przyznają, że się pomylili.

— Za dużo czasu spędzasz w towarzystwie Gorgidasa — stwierdził Gajusz Filipus. — Zaczynamy mówić jak on.

Skaurus odniósł takie samo wrażenie, choć sięgając pamięcią wstecz, nie mógł sobie przypomnieć, by często widział razem młodszego centuriona i lekarza.

— Zdarzają się gorsze rzeczy — zachichotał Glabrio. Gajusz Filipus poprzestał na tym. Tolerował wady młodszego oficera, nawet jeśli go nie do końca rozumiał.

Marek, który poczuł się trochę lepiej, był zadowolony, że nie doszło do sprzeczki. Nie jadł przez cały dzień i lekko kręciło mu się w głowie. Nie miał dość sił, by położyć kres prawdziwej kłótni.

O świcie tylko strzępy pędzących szarych chmur i czerwono-brązowe błoto, które zdzierają sandały ze stóp, wskazywały, że przeszła burza. Kolor brei skojarzył się Markowi z chorągwiami Yezda. Z zadowoleniem spostrzegł wyrastające z niej drobne zielone pędy, którym się wydawało, że to wiosna. Podzielił się tą myślą z Gajuszem Filipusem. Starszy centurion wybuchnął ochryplym śmiechem.

— Wkrótce się przekonają, jak bardzo się pomyliły. — Wciągnął rześki północny wiatr. Po latach spędzonych na otwartych przestrzeniach, znał się na pogodzie. — Niedługo spadnie śnieg.

Zupełnie przypadkiem, gdyż nadal nie mieli przewodnika, dotarli po południu do jakiegoś miasta. Nazywało się Aptos i liczyło około pięciu tysięcy mieszkańców. Nie miało murów i najwyraźniej było nieznane Yezda. Na jego widok trybun omal się nie rozplakał. Według niego takie miasta stanowiły największe osiągnięcie Videssos. Kolejne pokolenia żyły w nich bez obawy, że następnego dnia zjawią się najeźdźcy, którzy zagarną owoce wielu lat pracy. Podobne oazy spokoju były teraz rzadkością na ziemiach zachodnich. Wszystko wskazywało na to, że wkrótce nie ostanie się żadna.

Mnisi, którzy wyrwali chwasty ze zmiękczonej przez deszcz ziemi ogrodów warzywnych, patrzyli w zdumieniu na oddział ubłoconych najemników. Zgodnie z nakazem gościnności pośpieszyli do spiżarni i wrócili ze świeżym chlebem i dzbanami wina. Stali przy drodze, rozdzielając dary wszystkim, którzy zatrzymali się choć na chwilę.

Skaurus miał mieszane uczucia w stosunku do videssańskich kapłanów. Tacy jak ci serdeczni mnisi byli najlepszymi ludźmi pod słońcem. Pomyślał też o Neposie i patriarsze Balsamonie. Lecz czasami gorliwość czyniła z nich groźnych ksenofobów. Trybun przypomniał sobie antynamdalajskie zamieszki w stolicy i pogrom, który kapłan Zemarkhos próbowało zgotować Vaspukaranerom z Amorion. Marek zacisnął usta, gdy sobie uświadomił, że fanatyk nadal tam mieszkał.

Pozłacane kule na iglicach monasteru zostały za Rzymianami. Kiedy maszerowali przez Aptos, otoczyła ich banda rozwrzeszczanych małych chłopców, którzy zasypywali ich pytaniami: Czy to prawda, że Yezda mają dziewięć stóp wzrostu? Czy w Videssos ulice są wysadzone perłami? Czy żołnierskie życie nie jest najwspanialsze na świecie?

Ładny chłopiec, który zadał to ostatnie pytanie, miał około dwunastu lat. Ogarnięty marzeniem o dorosłości, aż się palił, żeby uciec z armią.

— Nie wierz w to ani przez minutę, chłopcze — odparł Gajusz Filipus z powagą, którą Marek rzadko u niego widywał. — Żołnierka to zajęcie jak każde inne, może trochę brudniejsze. Wybierz ją dla chwały, a umrzesz młodo.

Chłopiec spojrział na niego z niedowierzaniem, jakby usłyszał, że jeden z mnichów bluźni. Skrzywił się. Kiedy ma się dwanaście lat, łzy parzą.

— Dlaczego to chłopcu zrobiłeś? — zapytał Viridoviks. — Nie ma nic złego w podsycaniu marzeń.

— Czyżby? — Pytanie zabrzmiało jak trzask drzwi. — Mój młodszy brat myślał tak samo. Nie żyje od trzydziestu lat.

Spojrzał na Celta kamiennym wzrokiem, prowokując do kłótni. Viridoviks poczerwieniał i nie odezwał się więcej.

W mieście Skaurus dowiedział się, że Amorion leży zaledwie cztery dni marszu na południowy wschód od Aptos. Dorośli wskazali Rzymianom drogę, ale żaden nie palił się, żeby ich tam zaprowadzić.

— Nie można nie trafić — oświadczył pewien pulchny obywatel z optymizmem typowym dla wszystkich prowincjuszy.

— Może nie, ale na pewno spróbujemy — mruknął do siebie Gajusz Filipus.

Marek był skłonny zgodzić się z nim. Często jakiś punkt orientacyjny był nim dlatego, że miejscowi widywali go każdego dnia. Dla obcego stanowił tylko kolejne drzewo, wzgórze albo stodołę.

Co gorsza, o świcie następnego dnia wrócił deszcz. Nie była to złośliwa nawałnica taka jak po-

przednio, lecz ulewa niesiona wiatrem od morza. Droga do Amorion, i tak w złym stanie, wkrótce stała się nieprzejezdna. Wozy i fury grzęzły po osie z tłustym błocie. Gdy mimo to legionieści wyruszyli, w niedługim czasie dwa konie złamały nogi i żołnierze musieli je dobić. Pomagali zwierzętom, lecz tempo marszu było żółwie. Zapewnienia mieszkańców Aptos, że podróż do Amorion potrwa cztery dni, zakrawały na okrutną drwinę.

— Czuję się jak zmokły szczur — poskarżył się Gorgidas. Zwykle elegancki, teraz wyglądał jak ostatnie nieszczęście.

Deszcz rozprostował kręcone włosy, które przyklejały mu się do czoła i wchodziły do oczu. Przemoczony, obryzgany błotem płaszcz oblepiał ciało. Krótko mówiąc, Grek nie różnił się niczym od towarzyszy. Viridoviks powiedział to na głos. Może miał nadzieję rozdrażnić lekarza, spowodować do kłótni i wyrwać z depresji. Gal był subtelniejszy, niż można by sądzić po pozorach. Skaurus przypomniał sobie, że już wcześniej skutecznie zastosował tę sztuczkę.

Tym razem jednak Gorgidas nie chwycił przynęty. Mieszkaniec słonecznego kraju, zmuszony znosić obrzydliwą pogodę, brnął z chłupotem przez błoto w ponurym milczeniu. Viridoviks, dla którego ulewy były rzeczą normalną, radził sobie lepiej.

Strugi deszczu ograniczały widoczność, więc Rzymianie, zajęci własnymi troskami, nie zauważyli obcych, dopóki ci nie wyłonili się przed nimi z wodnej kurtyny.

Marek odruchowo wyciągnął miecz. Legionieści najeżyli się jak złe psy i również sięgnęli po broń. Gajusz Filipus zaczerpnął powietrza, żeby wydać rozkaz uformowania szyku bojowego.

Zanim centurion zdążył to zrobić, Senpat Sviodo podbiegł do prowadzącego jeźdźca.

— Bagratouni! — zawołał.

Na dźwięk tego nazwiska Skaurusa opuścił strach. Zamiast hordy Yezda wyskakujących z mgły trybun zobaczył sponiewierany szwadron vaspurakańskich uciekinierów.

Gagik Bagratouni, równie zaskoczony jak Marek, omal przed chwilą nie dał rozkazu do ostatniego desperackiego ataku. Teraz wytrzeszczył oczy.

— To nasi przyjaciele, Rzymianie! — krzyknął do swoich wojowników.

Na zmęczonych, przybitych twarzach pojawiły się niepewne uśmiechy, jakby Vaspukaranerzy przypomnieli sobie dawno nie używane słowo.

Kiedy trybun podszedł do Bagratouniego, zauważył wstrząśnięty, że nakharar bardzo się postarzał od czasu bitwy pod Maraghą. Skóra wisiała na wydatnych kościach policzkowych, pod oczami widniały ciemne kręgi. Nos wyglądał jak dziób, a nie jak dawny symbol siły.

Najgorsze, że Vaspukaraner stracił moc, która zawsze z niego promieniowała. Był teraz odsłonięty, jakby zgubił ubranie.

Sztywno zsiadł z konia, podtrzymywany przez zastępcę, Mesropa Anhoghina. Widząc smutne spojrzenie chudego adiutanta o gęstej brodzie, Skaurus upewnił się, że nie ponosi go wyobraźnia.

— Pozdrowienia — powiedział Anhoghin, wyczerpując tym samym całą znajomość videssańskiego.

— Pozdrowienia — odparł Rzymianin.

Przy jego boku pojawił się Senpat, gotowy tłumaczyć, lecz Skaurus zwrócił się bezpośrednio do Gagika Bagratouniego, który płynnie władał videssańskim, choć z wyraźnym obcym akcentem.

— Czy między nami a Amorion jest dużo Yezda?

— Amorion? — powtórzył nakharar stłumionym głosem. — Skąd wiesz, że byliśmy w Amorion?

— Po pierwsze, nadjeżdżacie z tamtego kierunku. Po drugie, cóż... — Skaurus wskazał ręką na grupę zmęczonych jeźdźców.

Wojownicy Gagika Bagratouniego byli w większości Vaspukaranerami przepędzonym z własnej ziemi przez Yezda, którzy osiedlili się z ich kobietami w Amorion lub okolicy. Vaspukaranerzy zostawili je w domu, kiedy przyjęli służbę u Imperatora. Niektóre były teraz z nimi. Wyglądały na równie wycieńczone jak mężczyźni.

Niektóre... a gdzie żona Bagratouniego, pulchna, wesoła kobieta? Marek poznał ją w domu nakharara przypominającym fortecę.

— Gagik — zaczął z niepokojem — czy Zabel...? — urwał, nie wiedząc, czy powinien zapytać.

— Zabel? — W ustach Bagratouniego zabrzmiało to jak imię obcej osoby. — Zabel nie żyje — powiedział wolno i rozplakał się. Plecy mu się trzęsły, łzy zmywał obojętny deszcz.

Widok załamanego żołnierza był straszniejszy niż klęski, których świadkami byli Rzymianie.

— Zajmij się nim, dobrze? — szepnął Skaurus do Gorgidasa.

Współczucie w oczach lekarza natychmiast ustąpiło miejsca irytacji.

— Zawsze chcesz, żebym dokonywał cudów, a nie leczył. — Lecz podszedł do Bagratouniego i powiedział: — Chodźcie ze mną, panie, dam wam coś na sen. — I po grecku rzucił Skaurusowi: — Dam mu coś, co go zetnie z nóg na dwa dni. Może to trochę pomoże.

Nakharar pozwolił się prowadzić, obojętny na wszystko. Marek, który nie mógł sobie pozwolić na obojętność, zaczął za pośrednictwem Senpata Sviodo wypytywać Vaspukaranerów. Chciał się dowiedzieć, co doprowadziło ich dowódcę do takiego stanu.

Odpowiedź była taka, jakiej się obawiał. Żołnierzom Bagratouniego udało się wyrwać z pola bitwy pod Maraghą. Rozpacz i wściekłość, że armia Videssos nie wyzwoliła ich kraju sprawiły, że raz po raz zadawali klęski Yezda. Młodszy mężczyźni i kawalerowie rozproszyli się w górach Vaspukaranu, żeby prowadzić walkę. Reszta minęła Khliat i pomaszerowała prosto do rodzin w Amorion.

To, co zastali po trudach wojny i wytężonym marszu przez spustoszone ziemie zachodnie, było najokrutniejszą ironią. Z Videssańczykami u boku walczyli przeciwko nomadom, ale w Amorion inni Videssańczycy, wykorzystując jako pretekst vaspurakańską heterodoksję, obrócili się przeciw-

ko nim z większą zaciekłością niż Yezda.

Trybun domyślił się, co nastąpiło potem. Zemarkhos zapoczątkował pogrom. Marek pamiętał płonące, fanatyczne spojrzenie kapłana, jego nienawiść wobec wszystkich, którzy mieli choć trochę odmienny pogląd, jak powinno się wielbić Phosa. Pamiętał również, że on sam powstrzymał Gagika Bagratouniego przed rozprawą z Zemarkhosem, kiedy ten nazwał psa Vaspurem od imienia księcia, którego Vaspukaranerzy uważali za pierwszego człowieka i swojego przodka. Jaki był rezultat tej wspaniałomyślności? Okrzyk „śmierć heretykom!” i zemsta na bezbronnych rodzinach nieobecnych wojowników.

Motłoch ogarnięty furią odważył się stawić czoło powracającemu oddziałowi Bagratouniego. W walkach ulicznych zawziętość liczy się tak samo jak dyscyplina, a zmęczeni Vaspukaranerzy przypominali własne cienie. Zdołali jedynie uratować tych bliskich, którzy ocaleli z pogromu. Dla większości pomoc nadeszła za późno.

Mesrop Anhoghin beznamiętnie opowiedział tę historię, przerywając co chwilę, żeby Senpat mógł przetłumaczyć. W końcu Skaurus nie mógł znieść niewzruszonej miny wojownika. Jego samego dręczył wstyd i poczucie winy.

— Jak możesz na mnie patrzeć, a tym bardziej mówić w taki sposób? — spytał, zakrywając twarz dłońmi. — Gdyby nie ja, to wszystko by się nie wydarzyło!

Krzyknął po videssańsku, ale Anhoghin nie potrzebował tłumacza. Usłyszał udrękę w głosie Rzymianina. Zrobił sztywno krok do przodu i spojrzał trybunowi w twarz. Był wysoki jak na Vaspukaranera, więc jego oczy znalazły się na poziomie oczu Skaurusa.

— Jesteśmy pierwszymi stworzeniami Phosa — powiedział za pośrednictwem Senpata Sviodo. — Dlatego doświadczaj nas bardziej niż zwykłych ludzi.

— To nie jest odpowiedź! — jęknął trybun.

Sam był niewierzący, więc nie mógł pojąć, że innym wiara daje siłę. Anhoghin chyba to wyczuł.

— Może dla ciebie nie! — odparł. — Kiedy poprosiłeś mojego dowódcę, żeby oszczędził Zemarkhosa, nie kierowałeś się miłością, tylko nie chciałeś, by został męczennikiem. Nie zmusiłeś Bagratouniego, żeby oszczędził kapłana. On sam to zrobił z powodów, które uznał za właściwe. I kto wie? Może w przeciwnym razie byłoby jeszcze gorzej.

Anhoghin nie udzielał mu przebaczenia. Mówił, że nie jest potrzebne. Ogarnięty wdzięcznością Skaurus stał przez dłuższy czas w milczeniu, po kostki w błocie, nie zważając za krople deszczu spływające po twarzy.

— Dziękuję — wyszeptał w końcu.

Zapłonęła w nim wściekłość, że Vaspukaranerzy, spokojni, porządni ludzie, którzy nie prosili świata o nic więcej, tylko żeby ich zostawił w spokoju, nie mogli go znaleźć we własnym podbitym kraju ani w Amorion będącym ich azylem. W tej pierwszej sprawie nic nie mógł zrobić. Okazało się

to nawet ponad siły Imperium. Jeśli chodzi o drugą...

— Mamy was pomścić? — spytał Anhoghina w zawziętością, która zaskoczyła jego samego.

Pod wpływem chwili zapomniał o chłodnej kalkulacji z ostatnich tygodni.

— Tak! — krzyknął natychmiast Senpat Sviodo. Zawsze można było liczyć na nieprzejednanego Vaspukaranera, jeśli chodziło o dowolny plan wymagający działania. Kiedy jednak przetłumaczył to Mesropowi Anhoghinowi, ten potrząsnął głową.

— Czemu by to miało służyć? Ci z nas, którzy mogli uciec, zrobili to, a umarli nie dbają o zemstę. Ten kraj ma dosyć wojen. Yezda śmialiby się widząc, że walczymy między sobą.

Skaurus otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nic nie powiedział. Kiedy indziej roześmiałyby się, gdyby z ust innego człowieka usłyszał argumenty, które sam często wysuwał. Lecz wyczerpany, ubłocony i przemoczony Anhoghin ze zmierzwioną brodą i poczuciem klęski w oczach nie wzbudzał śmiechu.

Trybun przygarbił się.

— Niech cię diabli, masz rację — powiedział ze znużeniem i dostrzegł rozczarowanie na wyrazistej twarzy Sviodo. — Skoro nie możemy iść dalej, lepiej wracajmy do Aptos.

Odwrócił się, żeby wydać stosowne rozkazy, i po raz pierwszy w życiu poczuł się stary.

III

Miasto leżące na wzgórzach na północny zachód od Amorion nie było złym miejscem na zimową kwaterę. Skaurus wkrótce się o tym przekonał. Rzymianie musieliby szturmować Amorion, Aptos zaś przyjęło ich z otwartymi rękami. W tej odludnej dolinie nie widziano żadnego Yezda, lecz krążyły pogłoski, że nomadzi są w pobliżu, więc przyjazny garnizon nagle stał się pożądany.

Mieszkańcy miasta wiedzieli o klęsce Imperium. Miejscowy szlachcic Skyros Phorkos wystawił oddział złożony z chłopów, żeby walczyć pod Mavrikiosem przeciwko Yezda. Do tej pory wojownicy nie wrócili. Dopiero teraz rodziny i przyjaciele zaczęli sobie uświadamiać, że nigdy nie wrócą.

Syn i dziedzic Phorkosa miał jedenaście lat. Wdowa Nerse przejęła obowiązki po mężu. Była kobietą o surowej urodzie. Patrzyła na świat chłodno i realistycznie. Kiedy Rzymianie i ich towarzysze wrócili do Aptos, przyjęła ich jak udzielnych książąt, ku podbudowaniu nielicznych mieszkańców miasta, którzy nie zlekli się deszczu.

Na cześć gości wydała oficjalny obiad, na który prosiła Skaurusa i oficerów. Nawet jeśli Rzymianie zauważyli licznych strażników przed posiadłością Phorkosa, nie napomknęli o tym gospodyni, która również pominęła milczeniem wzmocnioną eskortę legionistów.

Może dzięki tej delikatności obiad — pieczona koza z cebulą i czosnkiem, gotowana fasola, kapusta, świeży chleb, dziki miód i kandyzowane owoce — przebiegł dość gładko. Wino lało się strumieniami, choć Marek, zauważywszy umiar gospodyni i mając w pamięci poranek po ostatniej hulance, nie pił dużo.

Kiedy słudzy zebrali puste talerze, Nerse przystąpiła do rzeczy.

— Jesteśmy zadowoleni z waszej obecności — oświadczyła. — Będziemy jeszcze bardziej zadowoleni, kiedy przekonamy się, że zamierzacie nas chronić, a nie rabować.

— Dostarczajcie nam chleba i paszy dla zwierząt, a zapłacimy za wszystko — odparł Marek. — Moi żołnierze nie są grabieżcami.

— To mniej niż miałam nadzieję, ale więcej niż się spodziewałam — stwierdziła Nerse. — Potraficie dotrzymać słowa?

— Co byłyby warte moje obietnice? Jedynym sprawdzianem będzie nasze zachowanie. Sama, pani, je osądzisz.

Markowi spodobał się sposób przedstawienia sprawy. Nerse o nic nie błagała. Podobała mu się również jej bezpośredniość. Nie próbowała wykorzystywać kobiecości, lecz traktowała Rzymianina jako równego sobie i najwyraźniej oczekiwała od niego tego samego.

Trybun spodziewał się drobnego szantażu, że mieszkańcy Aptos będą współpracowali tylko wtedy, jeśli sami będą dobrze traktowani. Lecz gospodyni skierowała rozmowę na błahsze sprawy. Niedługo potem wstała, ukłoniła się z wdziękiem i odprowadziła gości do drzwi.

Gajusz Filipus milczał niemal przez cały obiad. Podobnie jak inni towarzysze Skaurusa, został zaproszony przez grzeczność. Jego obecność nie była konieczna. Na dworze centurion zatrzymał się i szczerzej owinął płaszczem.

— To jest kobieta! — powiedział.

Mówił tak entuzjastycznie, że Marek ze zdziwieniem uniośł brwi. Nigdy nie myślał o swoim zastępcy inaczej jak o mizoginie.

— Sądząc po wyglądzie, w łożu byłaby zimna jak karp schwyty w sieć — stwierdził Viridoviks, jak zwykle przekorny.

— Chyba, żeby ją rozgrzać — sprzeciwił się Laon Pakhymer.

Jak to żołnierze, sprzeczali się przez całą drogę powrotną do obozu.

Dopiero na miejscu trybun uświadomił sobie, że Nerse w rzeczywistości sformułowała groźbę, choć nie wyraziła jej wprost, lecz delikatnie zasugerowała. Był ciekaw, czy znała videssańską grę w karty, która w przeciwieństwie do rzymskich odpowiedników zależała jedynie od umiejętności gracza. Jeśli tak, to nie chciałby grać przeciwko z niej.

Zimowanie w Aptos kojarzyło się Markowi z wpełznięciem do nory i zatkaniem jej za sobą. Legioniści znajdowali się od wiosny w centrum wydarzeń. Skaurus zbratał się z królewską rodziną Videssos, toczył spór z premierem, zrobił sobie osobistego wroga z księcia-czarnoksiężnika stojącego na czele wrogów królestwa, walczył w wielkiej bitwie, która mogła odmienić losy Imperium na najbliższe lata. A teraz utknął w prowincjonalnym mieście i zastanawiał się, czy zapasy jęczmienia wystarczą do wiosny. Była to nagła zmiana, ale przywróciła mu poczucie rzeczywistości, którego omal nie utracił.

Aptos leżało na odludziu, lecz dotarły do niego wieści o klęsce pod Maraghą. Odległe królestwa Thatagush i Agder również dowiedziały się o niej do tej pory. Lecz Rzymianie przynieśli nowinę o zagarnięciu władzy przez Ortaiasa Sphrantzesa. Poza tym w Aptos nikt nie słyszał o prześladowaniach Vaspukarnerów w mieście odległym o kilka dni marszu.

Trybun chciał być na bieżąco z tym, co się dzieje z Imperium. Pewnego ranka, niedługo po tym jak spadły śniegi, wdał się w rozmowę z Laonem Pakhymerem.

— Chciałbym wysłać paru jeźdźców na zachód oznajmił.

— Na zachód? — Khatrish uniósł brwi. — Chcesz wiedzieć, co się stało z młodym Gavrasem, tak?

— Tak. Skoro mamy wybór tylko między Yezda a Ortaiasem, życie herszta złodziei nagle zaczyna wyglądać nęcąco.

— Wiem, co masz na myśli. Dam ci chłopaków. — Pakhymer cmoknął językiem. — Nienawidzę ich wysyłać, gdy jest tak nikła nadzieja, że wrócą, ale co mogę zrobić?

— Skąd mają wrócić? — Oddech Senpata Sviodo wydobył się parującą chmurą. Vaspukarner właśnie skończył ćwiczenia z mieczem i jeszcze ciężko dyszał.

Kiedy Marek mu odpowiedział, młody mężczyzna wznosił ręce do nieba.

— To szaleństwo! Któż inny powinien udać się do Vaspukaranu jak nie para „książąt”? Nevrata i ja wyruszamy za godzinę.

— Khatrish obróć się szybciej niż wy. Podróżują jak koczownicy — zaprotestował Marek.

Pakhymer niechętnie skinął głową, lecz Senpat roześmiał się.

— Prędzej zostaną zabici. Łatwo ich wziąć za Yezda. Nevrata i ja pochodzimy stamtąd i będziemy wszędzie mile witani. Już wcześniej to robiliśmy i udało nam się wrócić cało. Możemy spróbować znowu.

Mówił z taką pewnością siebie, że Skaurus spojrział pytająco na Pakhymera.

— Niech jedzie, skoro tak chce — powiedział Khatrish. — Ale powinien zostawić Nevratę. Szkoda kobiety.

— Masz rację — stwierdził Senpat ku zaskoczeniu trybuna. — Sam jej to powiem. Tylko że

ona nie będzie chciała rozdzielać się ze mną. Mam się na to skarżyć? — zaraz jednak spoważniał i dodał: — Ona potrafi o siebie zadbać.

Marek nie mógł temu zaprzeczyć, pamiętając o jej długiej podróży z Khliat.

— Jedźcie więc — zdecydował. — I pośpieszcie się.

— Dobrze — obiecał Sviodo. — Oczywiście po drodze trochę zapolujemy.

Skaurus doskonale wiedział, że chodzi o polowanie na Yezda. Najchętniej by mu tego zabronił, ale miał dość rozsądku, by nie wydawać rozkazu, którego wykonania nie mógł dopilnować. Vaspukaranerzy byli dłużni Yezda więcej niż Videssańczycy.

Trybun miał własne kłopoty. Zamieszkał z Helvis i Malrikiem w tymczasowej kwaterze. Podczas kampanii i po klęsce poświęcał im tyle uwagi, ile chciał. Teraz sytuacja się zmieniła.

Okazało się, że nie zawsze jest łatwo wytrzymać z Helvis. Marek, długo pozostający w kawalerskim stanie, przyzwyczał się zachowywać własne myśli dla siebie, póki nie nadchodziła pora działania. Natomiast Helvis oczekiwała od niego zwierzeń i czuła się urażona, kiedy bez naradzenia się z nią robił coś, co miało znaczenie dla nich obojga. Marek zdawał sobie sprawę, że jej zarzuty są uzasadnione, i starał się zmienić, ale przychodziło mu to z trudem, podobnie jak jej.

Zadrażnienia powstawały nie tylko na tym tle. W ciąży Helvis stała się bardzo religijna. Każdego dnia na ścianach chaty, którą dzieliła ze Skaurusem, pojawiały się coraz to nowe ikony Phosa albo jakiegoś świętego. Samo w sobie byłoby to dla trybuna zaledwie drobną przykrością. Sam niereligijny, tolerował — to znaczy, w miarę możliwości ignorował — wierzenia i praktyki innych osób.

W kraju ogarniętym manią religijną to nie wystarczało. Podobnie jak wszyscy Namdalajczycy Helvis dodawała pewne zdanie do videssańskiego credo. Z powodu tych kilku słów oba ludy Imperium uznawały się nawzajem za heretyków. Jako jedyna wyznawczyni prawdziwej wiary, kobieta szukała wsparcia u Marka, co jednak wymagałoby od niego zbytnej hipokryzji.

— Nie spieram się z tym, w co wierzysz — powiedział — ale skłamałbym, gdybym twierdził, że podzielam tę wiarę. Czy Phos aż tak bardzo potrzebuje uwielbienia, że nie wzgardziłby fałszywym?

— Nie — musiała przyznać.

Na tym sprawa się zakończyła. Przynajmniej Skaurus miał nadzieję, że się zakończyła, a nie została odłożona na później.

On i Helvis wprawdzie mieli trudności, ale udawało się im unikać zaognienia stosunków. Inni nie mieli tyle szczęścia. Pewnego szarego poranka, kiedy jesienny deszcz zmienił się w deszcz ze śniegiem, trybuna brutalnie wyrwał ze snu trzask naczyń o ścianę, po którym dał się słyszeć stek

przekleństw.

Marek naciągnął na uszy grube wełniane koce, ale kiedy w ślad za pierwszym roztrzaskał się drugi dzban, zrezygnował z daremnych prób. Przewrócił się na drugi bok i stwierdził bez zdziwienia, że Helvis również nie śpi.

— Znowu zaczynają — powiedział niepotrzebnie i dodał: — Po raz pierwszy żałuję, że kwatery oficerów są blisko naszej.

— Cii — syknęła Helvis. — Chcę posłuchać.

Nie musiała go prosić o ciszę. Głosu zdenerwowanej Damaris pozazdrościłby zawodowy herold.

— Przewróć się na brzuch! — krzyczała. — Przewróć się na brzuch. Po raz ostatni zrobiłam to dla ciebie! Znajdź sobie chłopca albo co tylko chcesz, ale nie wykorzystuj mnie więcej w ten sposób!

Drzwi od chaty Kwintusa Glabrio trzasnęły głośno. Skaurus usłyszał, jak Damaris oddała się, brnąc przez błoto i wykrzykując obelgi.

— Nawet kiedy mnie brałeś normalnie, wcale nie byłeś dobry! — zawołała z pewnej odległości. Potem, na szczęście, jej słowa zagłuszył szum wiatru.

— O rany! — powiedział trybun czując, że płoną mu uszy.

Helvis niespodziewanie wybuchnęła śmiechem.

— Co w tym zabawnego? — spytał Marek, zastanawiając się, jak jutro Glabrio stanie przed swoimi żołnierzami.

Helvis wychwyciła szorstkość w jego głosie.

— Przepraszam — powiedziała. — O czymś sobie pomyślałam. Nie rozumiesz kobiecych plotek, Marku. Przez cały czas zastanawialiśmy się, dlaczego Damaris nie zachodzi w ciążę. Teraz domyślam się dlaczego.

Skaurusowi nigdy by to nie przyszło do głowy. Poczul, że zaraz parsknie śmiechem, ale zdołał się opanować. Nie mógł jednak powstrzymać się od myśli, że Rzymianie naśmiewają się teraz z młodszego centuriona.

Przy śniadaniu Glabrio poruszał się w kręgu milczenia. Legioniści nie mogli udawać, że nie słyszeli Damaris, lecz nikt nie miał dość odwagi, by o tym napomknąć.

Glabrio musztrował swój manipuł z ponurą zawziętością. Zwykle cierpliwie uczył Videssańczyków rzymskich metod walki, ale nie dzisiaj. Sam również się nie oszczędzał, nie chcąc dać legionistom okazji do drwin.

W każdej grupie znajdzie się jednak dowcipniś, który lubi zabawiać ludzi kosztem innej osoby. Marek znajdował się akurat niedaleko, kiedy jeden z żołnierzy Glabrio, w odpowiedzi na rozkaz, którego trybun nie usłyszał, wypiął się bezczelnie.

Młodszy centurion, który przez cały czas miał zaciśnięte usta, zbladł jak płótno. Skaurus pod-

szedł szybko, żeby rozprawić się z zuchwałym Rzymianinem, ale nie było takiej potrzeby. Kwintus Glabrio, z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, złamał łaskę z pędu winorośli — symbol rangi centuriona — na głowie żołnierza. Mężczyzna bez żadnego dźwięku osunął się w błoto.

Glabrio czekał. Żołnierz jęknął i próbował usiąść. Młody oficer cisnął mu na kolana dwie części łaski.

— Przynieś mi nową, Lucillusie — warknął i czekał, aż legionista podniesie się i wykona rozkaz.

Ujrzawszy Marka, młodszy centurion stanął na baczność.

— Sam potrafię sobie radzić z takimi rzeczami, panie. Nie musicie się angażować.

— Widzę — przyznał Skaurus i dodał ściszone głosem, żeby słyszał go tylko Glabrio: — Nie jest ujmą dla mnie przypomnieć legionistom, że jesteś oficerem, a nie pośmiewiskiem. To, co ci się przydarzyło, równie dobrze mogło spotkać każdego z nich.

— Czyżby? Wątpię — mruknął Glabrio bardziej do siebie niż do trybuna. — Nie sądzę, żebym jeszcze miał jakieś kłopoty z żołnierzami. A teraz wybaczcie, panie... — Odwrócił się do oddziału: — Mam nadzieję, że już odpoczęliście. I raz...!

Manipuł nie sprawiał już więcej kłopotów. Mimo to Skaurus nie był zadowolony. Glabrio spokojnie, ale stanowczo uciął dalszą rozmowę. Cóż — pomyślał trybun — chłopak jest skryty. Obserwował musztrę przez kilka minut, ale młodszy centurion doskonale na wszystkim panował. Trybun zadrżał na chłodnym wietrze, wzruszył ramionami i odszedł do innych zajęć.

Tego popołudnia odszukał go Gorgidas. Grek był onieśmielony i nieswój, więc Marek podejrzewał, że zamierza zakomunikować mu o wielkim nieszczęściu. Lecz to, co lekarz miał do powiedzenia, okazało się nie takie straszne. Chata, którą dzielili Glabrio i Damaris, była zdaniem młodszego centuriona za duża dla jednego człowieka, więc zaprosił Gorgidas, by z nim zamieszkał.

Skaurus rozumiał wahanie lekarza. Legioniści choć trochę wrażliwi od nieokrzesanego Lucillususa, niechętnie mówili o historii centuriona.

— Nie musisz się zachowywać, jakbyś myślał, że cię ugryzę — powiedział Marek. — Myślę, że to dobry pomysł. Lepiej, żeby Glabrio miał przy sobie kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać, zamiast siedzieć samemu i dumać. Już myślałem, że z tą miną zamierzasz mi zakomunikować o pładze.

— Chciałem tylko się upewnić, że nie będzie problemów.

— Dlaczego by miały jakieś być? — Trybun doszedł do wniosku, że zakończone niepowodzeniem próby nauczania się od Neposa magii uzdrawiającej sprawiły, iż lekarz wszędzie węszył kłopoty. — To wam obu dobrze zrobi.

— Mam ochotę na wino — oznajmił Nepos. Kapłan i Marek szli główną ulicą Aptos. Śnieg chrzęścił im pod butami.

— Dobry pomysł — poparł go trybun. — Gorące wino z korzeniami.

Potarł zmarznięty nos. Jak wszyscy legioniści miał na sobie workowate wełniane spodnie w videssańskim stylu i był z tego zadowolony.

Z kilkunastu szynków w Aptos najlepszy był „Tańczący Wilk”. Jego właściciel, Tatikios Tornikes, bardzo lubił swoje zajęcie. Był tak gruby, że Nepos wyglądał przy nim na niedożywionego.

— Dzień dobry, panowie! — zawołał z uśmiechem karczmarz na widok gości.

— Dzień dobry, Tatikiosie — odparł Marek, wycierając nogi o słomiankę.

Tornikes rozpromienił się. Był znany jako pedant.

Skaurus lubił „Tańczącego Wilka” i jego właściciela. Inni Rzymianie również. Jedyna skarga pochodząca od Viridoviksa, który powiedział: „żeby stracił wąsy”.

Celt miał powody do zazdrości. Na przekór videssańskiej modzie Tatikios golił brodę, ale wąsy rekompensowały to z nadstatkiem. Kruczoczarne jak włosy, były podkreślone ku górze. Szynkarz woskował je każdego dnia.

Marek i Nepos zajęli stolik przy kominku, w którym huczał ogień. Zza baru wyszła dziewczyna, żeby zapytać, czego sobie życzą.

Zapatrzony w płomień Marek nie zauważył jej. Gwałtownie odwrócił głowę, kiedy rozpoznał głos. Ktoś mu mówił, że Damaris pracuje w „Tańczącym Wilku”, ale widział ją tu po raz pierwszy. Zmarszczył czoło. Jego zdaniem Kwintus Glabrio dobrze zrobił, że pozbył się jędzy. Dzisiaj jednak Skaurus czuł się zbyt dobrze, żeby być małostkowym.

— Wino z korzeniami — rzucił. Nepos zamówił to samo.

Markowi zakręciło się w nosie, kiedy poczuł ostry aromat przypraw. Żółty kubek bez uchwytu parzył w ręce. W „Tańczącym Wilku” znano się na rzeczy.

— Aach — mruknął, rozkoszując się smakiem gorącego wina z cynamonem, które było jak balsam dla jego gardła.

— Trzeba wziąć następne — stwierdził, kiedy opróżnił kubek.

Nepos pokiwał głową. Nareszcie się rozgrzali, więc mogli delektować się drugą kolejką. Marek skinął na Damaris.

Kiedy podgrzewała wino, do ich stolika podszedł Tatikios.

— Jakie wieści? — zapytał.

Jak wszyscy szynkarze lubił wiedzieć, co się dzieje w świecie. W przeciwieństwie do innych nie próbował tego ukryć.

— Chciałbym jakieś mieć — odparł trybun. Tornikes roześmiał się.

— Ja również. Zimą wszystko toczy się wolniej. Wrócił za bar i przetarł szmatą lśniąca powierzchnię.

— Nie żartowałem — powiedział Marek do Neposa. — Chciałbym, żeby Senpat i Nevrata wrócili z nowinami o Thorisinie Gavrasie: dobrymi albo złymi. Niepewność jest najgorsza.

— Istotnie, istotnie. Nasz przyjaciel Tatikios ma rację. W śniegu wszyscy poruszają się wolniej. Vaspukaranerzy też.

— Ale nie nomadzi — odparł Skaurus. Potrząsnął głową i uśmiechnął się. — Za bardzo się martwię. Prawdopodobnie oboje zaszyli się u jakiegoś dalekiego kuzyna i kochają się przed kominem takim jak ten.

— Miły sposób spędzania czasu — zachichotał Nepos.

Jak wszyscy videssańscy kapłani żył w celibacie, ale nie żałował innym przyjemności ciała.

— Nie po to ich wysyłałem — stwierdził Marek.

Damaris podeszła z emaliowaną tacą w ręce i postawiła na stole parujące kubki.

— Dlaczego miałyby ci przeszkadzać, że mężczyzna kładzie się z kobietą? — powiedziała do Skaurusa. — Jesteś przyzwyczajony do gorszych rzeczy.

Trybun zatrzymał gorący kubek w połowie drogi do ust. Uniósł brew.

— Co to miało znaczyć?

— Z pewnością nie muszę ci tego tłumaczyć na obrazkach — oświadczyła.

Ton jej głosu przyprawił go o zimny dreszcz, mimo trzaskających płomieni i ciepłego wina. W oczach dziewczyny pojawił się złośliwy błysk, kiedy zobaczyła jego zmieszanie.

— Mężczyzna, który wykorzystuje kobietę, jakby była chłopcem, wkrótce będzie miał chłopca... albo sam nim zostanie.

Wino zakotłosało się w kubku, kiedy Marek zrozumiał, co Damaris ma na myśli. Zadała celny cios.

— Słyszałam, że mój słodki Kwintus od wielu tygodni nie ma kochanki... a może ma? — Zaśmiała się zjadliwie.

Trybun spojrzał kobiecie w oczy. Mściwy uśmiech zamarł jej na twarzy.

— Od jak dawna rozpowiadasz te sprośności? — zapytał głosem lodowatym jak zimowy wiatr hulający na dworze.

— Sprośności? To prawda...

Podniosła głos jak zawsze podczas kłótni z Kwintusem Glabrio. Wszystkie głowy obróciły się w ich stronę. Lecz Skaurus nie był Kwintusem.

— Kto wchodzi w błoto, ten się nim uwała. Rozumiesz?

Pogróżka zostałaby zignorowana, ale spokojne, odmierzone słowa osiągnęły cel. Wystraszona

Damaris krótko skinęła głową.

— To dobrze — powiedział trybun.

Powoli dokończył wino i podjął przerwana rozmowę z Neposem. Na koniec wyjął miedziaki z sakiewki, cisnął je na stół i wyszedł dumnym krokiem.

— Dobrze to rozegrałeś — stwierdził kapłan, kiedy wracali do rzymskiego obozu. — Uraza nie przystoi byłej kochance.

— Masz rację — zgodził się Marek. Nagły ostry podmuch cisnął mu śniegiem w twarz. — Ale zimno, do czarta — powiedział i naciągnął kaptur na usta i nos. Był zadowolony, że ma pretekst, by milczeć.

Wewnątrz obozowych umocnień rozstał się z Neposem i poszedł do swoich zajęć. Pięć minut później zapomniał o całym zdarzeniu. Miał inne rzeczy na głowie.

Obawiał się, że Damaris nie plotła w złości i że w jej oszczerstwach jest trochę prawdy. Łatwiej było zmusić ją do milczenia, niż uspokoić własne myśli. Oskarżenie aż za dobrze zgadzało się z tym, co sam zauważył, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

Cały obóz wiedział — dzięki Damaris i jej donośnemu głosowi — o upodobaniach Glabrio. Samo w sobie mogło to znaczyć wiele albo nic. Lecz młodszy centurion dzielił kwaterę z Gorgidasem, a lekarz, o ile Skaurus się orientował, nie przepadał za kobietami. Przypomniawszy sobie teraz, jak nerwowo zachowywał się Grek, kiedy mówił, że on i Glabrio zamieszkają razem, Marek nagle zrozumiał powód wahania lekarza.

Trybun zacisnął dłonie w pięści. Dlaczego akurat ci dwaj; najzdolniejsi, najbystrzejsi i w dodatku jego najbliżsi przyjaciele? Pomyślał o fustuarium, rzymskiej karze dla żołnierzy, którzy w pełni sił męskich sypiają z mężczyznami.

Kiedyś widział w Galii jej wykonanie. Winowajcę zaciągnięto na środek obozu i obito oficerską laską. Potem towarzysze rzucili się na niego z maczugami, kamieniami i pięściami. Jeśli miał szczęście, umierał szybko.

Marek wyobraził sobie Gorgidasa i Kwintusa Glabrio w roli skazańców i wzdrygnął się z przerażenia. Najłatwiej oczywiście byłoby zapomnieć to, co usłyszał od Damaris, i żywić nadzieję, że strach przed nim każe jej milczeć. Przynajmniej tak uważał, dopóki nie spróbował wyrzucić z pamięci jej słów. Im bardziej się starał, tym głośniej rozbrzmiewały mu w głowie, rozpraszając go i irytując. Bez powodu warknął na Gajusza Filipusa, zdzielił Malrika, kiedy chłopiec nie chciał przestać śpiewać w kółko tej samej piosenki. Łzy, które się polały, nie poprawiły Skaurusowi humoru.

Helvis pocieszała syna i spoglądała gniewnie na trybuna, więc chwycił ciężki płaszcz i wyszedł w noc.

— Mam parę spraw do załatwienia — burknął pod nosem i zamknął drzwi, odcinając się od jej protestów.

Na granatowym zimowym niebie pojawiły się gwiazdy. Konstelacje były wciąż obce dla Marka, który nadawał im nazwy wymyślone ponad rok temu przez legionistów. Świerszcz, Katapulta, a tam, nisko na zachodzie Pederasci. Skaurus potrząsnął głową i ruszył dalej. Miękką ziemią tłumiała odgłos kroków.

Chata Glabrio i Gorgidasa była szczelnie zamknięta przed zimowym chłodem. Okna były zasłonięte drewnianymi okiennicami, a szczeliny między nimi upchnięte płótnem dla ochrony przed mroźnym wiatrem. Spomiędzy nich wydostawały się tylko drobne plamki światła lampy wskazujące, że ktoś jest w środku.

Trybun stanął przed drzwiami i już miał zapukać, kiedy przypomniał sobie święty hufiec tebański złożony ze stu pięćdziesięciu par kochanków, którzy pod Cheroneą walczyli do ostatka z Filipem i Aleksandrem Macedońskimi. Skaurus opuścił rękę. Nie dowodził Tebańczykami.

Wahał się. Nie wiedział, czy zapukać. Przez cienkie ściany słyszał rozmowę młodszego centuriona i lekarza. Nie odróżniał słów, ale obaj mężczyźni najwyraźniej dobrze się czuli w swoim towarzystwie. Gorgidas rzucił jakąś uwagę i Glabrio się roześmiał.

Markowi stanął w pamięci Gajusz Filipus, z którym rozmawiał krótko po tym, jak sprowadził Helvis do baraków. „Nikogo nie obchodzi, czy śpisz z kobietą, chłopcem czy owcą, póki myślisz głową, a nie tym, co masz między nogami”, powiedział starszy centurion.

Pamięć o greckich bohaterach nie pomogła mu w decyzji, lecz uczyniła to mądra rada Rzymianina. Jeśli ktokolwiek postępował według wymagań Gajusza Filipusa, to byli nimi ci dwaj mężczyźni. Uspokojony Skaurus wrócił wolno do swojej chaty.

Usłyszał, że za nim otwierają się drzwi i Kwintus Glabrio woła cicho:

— Jest tam kto?

Trybun znajdował się już za rogiem. Drzwi się zamknęły.

Po powrocie Skaurus odebrał burę jak ktoś, kto na nią zasłużył, co jeszcze bardziej rozdrażniło Helvis. Czasami przyznanie się do winy jest ostatnią rzeczą, której pragnie rozgniewany człowiek. Lecz przeprosiny Marka były szczerze i po jakimś czasie kobieta złagodniała.

Skaurus z ulgą stwierdził, że Malrik już zapomniał o niezasłużonej karze. Bawił się z nim, dopóki chłopiec nie zrobił się senny.

Trybun sam już prawie zasypiał, kiedy coś mu się przypomniało. Imię dowódcy świętego hufca tebańskiego brzmiało Gorgidas.

Zimą mieszkańcy doliny Aptos z opóźnieniem dowiadywali się o najnowszych wydarzeniach. Wieści z Amorion pochodziły od garstki zbiegłych Yezda. Nomadzi po krótkim rekonesansie doszli

do wniosku, że miasto jest kuszącym celem. Nie miało murów i nie stacjonowało w nim imperialne wojsko, więc powinno stanowić łatwy kąsek.

Czekała ich przykra niespodzianka. Nieregularne formacje Zemarkhosa, splamione krwią Vaspukaranerów, zadały najeźdźcom druzgoczącą klęskę, a w traktowaniu jeńców przerosły o głowę zdziuczonych Yezda.

Wysłuchawszy opowieści przemarzniętych nomadów, Gagik Bagratouni zagrzmiał:

— Współczucie dla Yezda to coś nowego w moim życiu. Wiele dałbym, żeby zobaczyć Amorion spalone i Zemarkhosa razem z nim.

Zacisnął wielkie dłonie pokryte bliznami. Błysk w oczach upodabniał go do lwa, któremu zabrano zdobycz.

Skaurus rozumiał jego pragnienie zemsty i wziął je za dobry znak. Czas zaczął leczyć rany vaspurakańskiego wojownika. Lecz trybun niezupełnie zgadzał się z Bagratounim. Każda przeszkoda stawiana Yezda miała znaczenie dla osłabionego Imperium. Zemarkhos i jego fanatycy byli wrzodem na ciele Videssos, ale najeźdźcy plagą.

W połowie zimy do Aptos przybyła z Amorion grupa uzbrojonych kupców, którzy nie bali się pogody ani napadów. Mieli nadzieję na duże zyski w mieście, gdzie rzadko pojawiali się ich koledzy po fachu. I nie pomylili się. Przyprawy, perfumy, delikatne brokaty i cyzelowane mosiężne naczynia ze stolicy sprzedawały się po cenach wyższych niż w miastach na bardziej uczęszczanym szlaku.

Przywódca grupy, muskularny mężczyzna o twarzy pokrytej bruzdami, który wyglądał raczej jak żołnierz niż kupiec, skwitował to lakoniczną uwagą.

— Bywało gorzej.

I nie powiedział nic więcej, mimo że miał przy sobie kilkunastu strażników. Najemnicy często zabawiali się ograbianiem kupców.

W innych sprawach on i jego towarzysze byli bardziej rozmowni. Z każdym, kto chciał słuchać, dzielili się nowinami, które zbierali podczas podróży. Ku własnemu zaskoczeniu Marek dowiedział się, że Baanes Onomagoulos, poważnie ranny w bitwie pod Maraghą, żyje. Skaurus sądził, że videssański generał dawno umarł od ran albo w trakcie pościgu.

Jeśli można było wierzyć pogłosce, Onomagoulos uciekł. Część ocalałej armii pod jego dowództwem pobiła Yezda, którzy napadli na Kybistrę, miasto leżące nad rzeką Arandos.

— Dobrze, jeśli to prawda — skomentował Gajusz Filipus — ale historyjka przebyła długą drogę, zanim do nas trafiła. Prawdopodobnie biedak jest teraz pokarmem dla kruków, bo inaczej znajdowałby się setki mil stąd, w łóżku z jakąś ślicznotką. Dobrze, jeśli to prawda. — W jego głosie brzmiał smutek, równie dziwny jak nieśmiałość u Gorgidasa.

Jak wszystkie miasta w Imperium, Aptos świętowało dni po zimowym przesileniu, kiedy słońce

wracało na półkulę północną. Przed domami rozpalano ogniska. Ludzie skakali przez nie na szczęście. Mężczyźni tańczyli na ulicach w kobiecych strojach, a kobiety przebierały się za mężczyzn. Miejscowy opat i mnisi przemaszzerowali przez plac targowy, z drewnianymi mieczami w rękach, udając żołnierzy. Tatikios Tornikes i kilkunastu sklepikarzy złośliwie parodiowało tłustych, pijanych mnichów, przewracając stoły.

Obchody w Aptos były huczniejsze niż te, które Rzymianie widzieli przed rokiem w Imbros. To ostatnie próbowało małpować wyrafinowany styl życia stołecznego Videssos. Aptos po prostu świętowało i nie dbało ani trochę o pozory.

Miasto nie miało teatru ani zawodowej grupy mimów. Mieszkańcy wystawiali burleski na ulicach, nadrabiając ekspresją braki kunsztu. Podobnie jak w Imbros, skecze dotyczyły lokalnych spraw i cechowały się brakiem szacunku. Tatikios zamienił się z jednym z mnichów i wyszedł przebrany za żołnierza. Zardzewiała stara kolczuga, w którą się wcisnął, przy każdym ruchu groziła zerwaniem. Minęła dłuższa chwila, zanim Marek rozpoznał nakrycie głowy. Miał to być zapewne rzymski hełm, lecz grzebień biegł od ucha do ucha zamiast od czoła na tył głowy.

Viridoviks, stojący obok niego, zarechotał. Gajusz Filipus mocno zacisnął szczeki.

— Oho! — mruknął Marek.

Starszy centurion nosił hełm w poprzek dla zaznaczenia rangi.

Tatikios wlepił oczy w wysokiego mężczyznę o kędzierzawej brodzie ubranego w wymyślną suknię, w których lubowała się Nerse Phorkaina. Za każdym razem, kiedy szlachcianka spoglądała w jego stronę, szynkarz naciągał płaszcz na oczy i drżał ze strachu.

— Zabiję sukinsyna — zazgrzytał Gajusz Filipus.

Położył dłoń na rękojeści gladiusa. Nie sprawiał wrażenia, że żartuje.

— Przestań, głupcze, to tylko zabawa — powiedział Viridoviks. — W zeszłym roku w Imbros drwili ze mnie za walkę w szynku. W Galii bardowie robią to samo. Okazywanie urazy jest wyjątkowym nietaktem.

— Czyżby? — burknął Gajusz Filipus.

Po chwili, ku uldze Marka, puścił miecz. Obserwował skecz do końca, ale miał twarz zawziętą bardziej niż w czasie bitwy.

Na szczęście następna burleska przywróciła mu dobry humor. Wyrażała opinię Aptos o samozwańczym Imperatorze Videssos. Ubrany w strojne szaty młody mężczyzna, zachowujący się jak głupiec, prowadził oddział mnichów-żołnierzy główną ulicą miasta. Nagle sześciolatek chłopiec w skórach nomady wyskoczył spomiędzy domów. Imperator krzyknął, rzucił berło i koronę, odwrócił się i zaczął uciekać, depcząc swoją gwardię.

— Tak jest! Szybciej, szybciej, ty nicponiu! — krzyknął za nim Viridoviks, zgięty wpół ze śmiechu.

— Daj wszystkim po sztuce złota — zawtórował mu Gajusz Filipus. — Albo lepiej nie, bo pognąją za tobą, zamiast zostawić cię dla Yezda!

Ten komentarz spotkał się z okrzykami aprobaty ze strony mieszkańców miasta. Wkrótce po dotarciu do Videssos Ortaias kazał mennicom bić nowe monety, żeby spopularyzować swoje rządy. Taką przynajmniej miał nadzieję. Lecz miedziane i srebrne monety były cienkie i źle uformowane, a złote jeszcze bardziej sfalszowane niż te, które wypuścił jego stryjeczny dziadek, Strobilos. W zachodniej części kraju nie widziano jeszcze poborców podatkowych, lecz plotki głosiły, że nawet oni nie chcą przyjmować tych pieniędzy, żądając starszych monet.

Marek przekonał się, że różnice wartości realnej monet o identycznych nominałach piekielnie utrudniają hazard. Po ponad roku spędzonym w Videssos przywykł jednak do tej rozrywki i wieczorem jak zwykle zasiadł przy stoliku w „Tańczącym Wilku”.

— Ha! Słońca! — wykrzyknął przywódca kompanii kupieckiej i zgarnął stawkę.

Trybun spojrzał kwaśno na parę kości. Nie tylko kosztowało go trzy sztuki złota — w tym jedną czystą monetę bitą przez Imperatora Rhasiosa Akindynosa sto dwadzieścia lat wcześniej — ale według niego był to przegrywający rzut. Rzymianie używali do gry trzech kości i za najlepszy rzut uznawali trzy szóstki. Natomiast u Videssańczyków szóstki przegrywały. Nazywali oni dwie szóstki „demonami”, a gracz tracił wszystko.

— Ten ma dzisiaj szczęście! — zakrzyczał kupiec siedzący z prawej strony Skaurusa. — Trzy korony oznaczają, że znowu je wygra!

Przesunął trzy jasne monety na środek stołu. Wypuścił je jakiś pomniejszy lord z bogatego w kopalnie Vaspukaranu. Było ich dużo w obiegu na zachodzie Imperium, zwłaszcza że wykonano je z czystszy kruszcu niż ostatnie imperialne pieniądze.

Marek rzucił na nie dwie z własnego zmniejszającego się zapasu videssańskich monet. Trzeba by sześciu lub siedmiu Ortaiasa, żeby wyrównać stawkę. Szef kupców rzucił kośćmi. Trójka i piątka, czyli nic. Podobnie jak dwie czwórki. Jeden i... Marek przeżył chwilę niepokoju, dopóki druga kość nie przestała wirować. To była dwójka.

— Fiu! — powiedział.

Nastąpiło kilka marnych kolejek. Zwiększyła się ilość zakładów. Wreszcie kupiec wyrzucił dwa naście i musiał oddać kości graczowi siedzącemu po lewej. Skaurus zgarnął vaspurakańskie złoto razem z zakładami, które sam postawił. Portrety na monetach były wykonane topornie. Na niektórych sztukach widniały kwadratowe vaspurakańskie litery, na innych bardziej zaokrąglone videssańskie.

Miedziana miska stojąca na podłodze za trybunem zadźwięczała jak dzwon po celnym strzale winem. Marek usłyszał okrzyki podziwu i brzęk monet przechodzących z rąk do rąk. Bez patrzenia wiedział, że aplauz zdobył sobie Gorgidas. Kiedy Grek odkrył, że Videssańczycy grają w kottabos,

jego radość nie miała granic. Nikt w stolicy nie mógł się z nim równać, nie mówiąc o tym prowincjonalnym mieście. Jeśli miejscowi jeszcze nie zdawali sobie z tego sprawy, wkrótce mieli się przekonać.

Kości wędrowały szybko między graczami. Kiedy dotarły do Marka, podniósł je do ust i chuchnął. Jako racjonalista uważał, że to głupi przesąd, lecz doszedł do wniosku, że na pewno nie zaszkodzi.

Pierwszych kilka rzutów było nieudanych. Videssańska gra często się dłużyła. Ktoś otworzył drzwi „Tańczącego Wilka”.

— Proszę zamykać — burknął Skaurus, kiedy poczuł prąd zimnego powietrza, ale nie obejrzał się.

— W porządku. Wino dla wszystkich na zgodę!

Trybun zerwał się, zanim sala rozbrzmiała okrzykami radości. Zobaczył uśmiechniętego Senpata Sviodo w kurtce obsypanej topniejącym śniegiem. Nevrata stała za mężem.

Marek podbiegł do nich i wyściskał, poklepując po plecach.

— Jakie wieści? — zapytał.

— Mógłbyś najpierw powiedzieć „witajcie” — zauważyła Nevrata, a w jej ciemnych oczach jarzyły się iskierki humoru.

— Przepraszam. Witajcie. Jakie wieści?

Wszyscy się roześmiali, choć trybun wcale nie żartował. Długo czekał na powrót Vaspukarane-rów i martwił się na zapas.

— Rzucasz czy nie? — zawołał od stołu zirytowany gracz. — Jeśli nie, oddaj nam kości.

Marek poczerwieniał, uświadomiwszy sobie, że trzyma je w dłoni. Nevrata wcisnęła mu do ręki monetę. Jej palce były zimne.

— Postaw to.

Skaurus spojrział na sztukę złota. Nie była za blada od domieszki srebra ani za ciemna od miedzi. Pewnie z vaspurakańskiej mennicy — pomyślał. Na rewersie widniał videssański napis, a nad nim żołnierz wymachujący mieczem. Marek nigdy nie widział takiej monety. Odwrócił ją.

Twarz na czołowej stronie wyglądała jak żywa. Nie był to stylizowany portret. Mężczyzna miał zmierzwiłone włosy i brodę, dumny nos i usta okolone zmarszczkami. Trybun czuł, że go zna. Nagle zeszywniał. Widział te usta uśmiechnięte i ściągnięte w gniewie. Spojrzął w sufit i zagwizdał cicho. Dopiero teraz zauważył napis pod portretem.

— Autokrata — powiedział. Nie musiał czytać inskrypcji, żeby dodać nazwisko Thorisina Gavrasa.

Kiedy Skaurus wrócił z wieściami do obozu, Helvis przyjęła je jak kobieta najemnika.

— To oznacza kolejną rundę wojny domowej — stwierdziła. Marek skinął głową, a ona mówiła

dalej: — Obie strony będą potrzebowały żołnierzy. Możesz sprzedać swoje miecze za dobrą cenę.

— Wojna domowa to przekleństwo — oświadczył Marek, który pamiętał z dzieciństwa ostatnią rzymską. — Liczy się tylko walka przeciwko Avsharowi i Yezda. Inne to strata czasu. Im bardziej będą zażarte, tym słabsze będzie Imperium, kiedy dojdzie do prawdziwej próby. Z Thorisinem jako Imperatorem Videssos ma szansę na zwycięstwo. Z Ortaiasem nie daję nam więcej jak sześć miesięcy.

— Nam? — Helvis spojrzała na niego dziwnie. — Jesteś Videssańczykiem? Nie sądzisz, że to Imperator powinien cię za takiego uznać? On cię wynajmuje. Jesteś tylko narzędziem, które się wykorzystuje i odkłada, kiedy przestaje być potrzebne. Jeśli Ortaias zapłaci ci więcej, będziesz głupcem, gdy nie przyjmiesz jego pieniędzy.

Trybun z przykrością stwierdził, że w jej słowach jest dużo prawdy. Uważał, że cele legionu są różne od celów innych wojsk wynajmowanych przez Videssos, ale czy jego panowie również tak sądzili? Prawdopodobnie nie. Lecz myśl o służeniu takiemu tchórzowi jak młody Sphrantzes była nie do zniesienia.

— Nawet gdyby Ortaias przetopił złotą kulę ze szczytu Wysokiej Świątyni w Videssos i dał mi ją, nie walczyłbym dla niego — oświadczył. — Moi ludzie również nie staną po jego stronie. Wiedzą, że jest tchórzem.

— Tak, odwaga się liczy — przyznała Helvis, ale zaraz dodała: — Podobnie jak złoto. Myślisz, że to Ortaias rządzi? Podejrzewam, że musi pytać wuja, zanim uda się na stronę.

— To jeszcze gorzej — mruknął Skaurus.

Ortaias Sphrantzes był głupcem i nikczemnikiem, ale Marek wiedział, że jego wuj, Vardanes, nie jest ani jednym, ani drugim. Starszy Sphrantzes miał w sobie zimną bezwzględność, której brakowało siostrzeńcowi. Czynił jednak wysiłki, żeby ukryć prawdziwą naturę pod pozorami uprzejmości. Było to jak perfumowanie trupa. Markowi zjeżyły się włoski na karku.

Próbował niezręcznie wyjaśnić, o co mu chodzi, lecz czuł ściskanie w żołądku i nie sądził, by pomogła na to jakakolwiek ilość złota. Wiedział również, że nie zdoła przekonać Helvis. Jediną zasadą, którą kierowali się Namdalajczycy walczący dla Videssos, była korzyść własna. Im wyższa zapłata i mniejsze ryzyko, tym lepiej.

Helvis podeszła do małego ołtarza, który ostatnio umieściła przy wschodniej ścianie chaty, i zapaliła kadzidełko.

— Cokolwiek zdecydujesz, należy podziękować Phosowi — oświadczyła.

Słodki dym wypełnił małe, duszne pomieszczenie.

Trybun milczał, więc Helvis odwróciła się do niego rozzłoszczona.

— Ty powinieneś to zrobić, a nie ja. Tylko Phos wie, dlaczego daje ci szansę, skoro ty mu się nie odwdzięczasz. Masz. — Podała mu mały alabastrowy słoiczek z kadzidłem.

Ten apodyktyczny gest obudził w Marku przekorę i zniweczył nadzieję na pokój między nimi.

— Prawdopodobnie dlatego że śpi albo najpewniej w ogóle go nie ma — warknął.

Jej przerażone spojrzenie sprawiło, że natychmiast pożałował tych słów, ale nie mógł ich już cofnąć.

— Jeśli twój drogi Phos pozwala, by banda dzikusów wyrzynała jego lud, to co z niego za bóg? Jeśli musicie mieć jakiegoś boga, wybierzcie takiego, który zasługuje na uwielbienie.

Zręczny teolog udzieliliby kilku odpowiedzi na tę drwinę: że za sukcesami Yezda stoi przeciwnik Phosa Skotos albo też z namdalajskiego punktu widzenia Videssańczycy są heretykami i dlatego nie mają prawa do boskiej ochrony. Lecz dla Helvis nie była to zwykła sprzeczka.

— Świętokradztwo! — szepnęła i uderzyła go w twarz. Chwilę później zalała się łzami.

Malrik obudził się i też zaczął płakać.

— Śpij — warknął Skaurus tonem, który legionście zmroziłby krew w żyłach.

Chłopiec rozplakał się jeszcze głośniejsze. Helvis spiorunowała Marka wzrokiem i pochyliła się nad synem, żeby go uspokoić.

Trybun chodził w tę i z powrotem po izbie, zbyt zdenerwowany, żeby ustać w miejscu. Jego gniew powoli ostygł. Zawroźnienie Malrika przeszło w szloch, a potem w chrapliwy senny oddech. Helvis zerknęła na Skaurusa.

— Przepraszam, że cię uderzyłam — powiedziała cicho. Marek potarł policzek.

— Zapomnij o tym. Sam zawiniłem.

Spojrzeni na siebie jak obcy. Byli nimi pod wieloma względami mimo dziecka, które nosiła Helvis. Co ja sobie myślałem, kiedy ją prosiłem, żeby dzieliła ze mną życie? — zapytał Skaurus samego siebie.

Ze sposobu, w jaki mu się przyglądała — taksującym, a zarazem jakby nieobecny wzrokiem — poznał, że przyszła jej do głowy ta sama myśl.

Pomógł jej wstać. Dotyk ciepłego ciała przypomniał mu o co najmniej jednym powodzie, dla którego żyli razem. Z powodu grubokościstej budowy nie widać było po Helvis, że minęła już połowa ciąży. Brzuch dopiero zaczął się zarysowywać, piersi zrobiły się cięższe, ale ktoś, kto jej nie znał, mógłby niczego nie zauważyć.

Kiedy Marek próbował ją objąć, wykręciła się z jego ramion.

— Co dobrego z tego wyniknie? — zapytała, odwracając się do niego plecami. — To nie rozwiąże niczego, niczego nie zmieni, tylko odwlecze sprawę. Zresztą kiedy jesteśmy zagniewani, i tak nie jest nam dobrze.

Trybun zdusił w sobie gniewną odpowiedź. Nieraz kłopoty znikwały, gdy leżeli odprężeni i rozleniwieni. Lecz w obecnym stanie Helvis stała się kapryśna pod tym względem. Skaurus to rozumiał i godził się z sytuacją.

Tej nocy jednak pragnął jej i miał nadzieję, że bliskość pomoże naprawić naprawić stosunki między nimi. Podszedł do Helvis i położył jej dłonie na ramionach.

Odwrociła się do niego, ale nie z pożądania.

— Wcale nie dbasz o mnie ani o to, co myślę — wybuchnęła. — Myślisz tylko o swojej przyjemności.

— Ha! — Wcale nie zabrzmiało to jak śmiech. — Gdyby tak było, dawno bym poszukał jej gdzie indziej.

Marek wreszcie stracił panowanie nad sobą i zadał zbyt mocny cios. Helvis znowu zaczęła płakać, nie tak głośno jak wcześniej, lecz cicho i rozpaczliwie. Nie zadawała sobie trudu, by wycierać łzy. Płynęły jej po policzkach, kiedy zdmuchnęła lampę i wsunęła się pod koce.

Skaurus długo stał w ciemności, nasłuchując cichego szlochania, które nie budziło chłopca. W końcu pochylił się i pogłaskał Helvis przez grubą wełnę; nie z żądzy, lecz żeby ją pocieszyć.

Kobieta wzdrygnęła się jak po uderzeniu. Uważając, żeby jej więcej nie dotknąć, trybun wśliznął się pod koce. Czuł zapach kadzidła, słodki jak śmierć.

Wpatrywał się w niski sufit, choć nic nie mógł zobaczyć w ciemności. Wreszcie zasnął.

Po obudzeniu czuł się wyczerpany jak w dzień po bitwie. Twarz Helvis była zapuchnięta od płaczu i pokryta plamami. Schodzili sobie z drogi i rozmawiali ze sobą uprzejmie, nie chcąc rozdrapywać świeżej rany. Lecz Skaurus wiedział, że będzie się goiła bardzo długo, jeśli w ogóle kiedykolwiek to nastąpi.

Skorzystał z wymówki, że musi dopilnować żołnierzy, i szybko wyszedł, a Helvis wyglądała na zadowoloną, że zostaje sama. Legioniści oczywiście nie mieli pojęcia o osobistych kłopotach dowódcy. Rozprawiali w podnieceniu o sztuce złota, którą dostał. Trybun uśmiechnął się krzywo. Niemal zapomniał o monecie i jej znaczeniu.

Wkrótce się przekonał, że miał rację. Wszyscy co do jednego odczuwali pogardę wobec Ortaiasa Sphrantzesa.

— Mimowie mieli rację — stwierdził Minucjusz. — Skoro Thorisin żyje, pewnie nie dojdzie do wojny. Tamten ucieknie na koniec świata.

— Tak, Gavras dużo bardziej nadaje się do rządzenia — zgodził się Viridoviks. — Jest dobrym mówcą, wyjątkowo przystojnym mężczyzną, a jego żołądek może pomieścić mnóstwo wina.

Gorgidas rzucił Celtowi spojrzenie pełne irytacji.

— Co to wszystko ma wspólnego z królowaniem? — zapytał. — Według tego, co mówisz, Thorisin powinien być wyśmienitym sofistą, piękną dziewczyną... — Marek zamrugał oczami, słysząc tę figurę retoryczną, ale musiał przyznać, że jest trafna — ...albo doskonałą gąbką. Ale królem? Nie

sądę. Król powinien być przede wszystkim sprawiedliwy.

— Niech diabli wezmą ciebie i twoje gąbki — odparł Gal. — Poza tym, niech sobie twój król będzie choćby nie wiem jak sprawiedliwy, ale jeśli mówi jak sprzedawca kiełbasy i wygląda jak mysi bobek, nikt nie zwróci na niego najmniejszej uwagi. Trzeba się nadawać do roli przywódcy.

Mówił wyniosłym tonem, przypominając słuchaczom, że sam kiedyś był szlachcicem i miał liczną świtę.

— Coś w tym jest — stwierdził Gajusz Filipus.

Choć rzadko zgadzał się z Viridoviksem w jakiegokolwiek sprawie, dowodził dużą grupą ludzi i wiedział, jak duże znaczenie ma styl.

— Wiem, że jest — przyznał niechętnie Grek. — Lecz to nie wystarczy. Weźcie na przykład Alcybiadesa. — Nazwisko nie zrobiło żadnego wrażenia na centurionie i Celcie. Gorgidas westchnął i spróbował innej taktyki, zwracając się do Viridoviksa. — Co królowi przyjdzie z tego, że ma mocniejszą głowę od swoich poddanych?

— Człowieku, nawet beznadziejny idiota ci na to odpowie. Jeśli ktoś cały dzień musi znosić narzekania różnych nudziarzy... — Viridoviks zaczął świdrować wzrokiem Gorgidasa, aż ten poczerwieniał i ponaglił go niecierpliwym gestem — cóż może lepiej usunąć troski, jak nie słodkie wino? — I cmoknął ustami.

— Chyba się starzeję — mruknął Gorgidas po grecku. — Żeby dać się przegadać rudowłosemu Celtowi... — Odszedł, nie kończąc zdania.

Marek również ruszył w stronę zamarzniętych pól, żeby popatrzeć na musztrę. Khattrishe Laona Pakhymera śmigali na koniach, wyczyniając różne sztuki. Inni ćwiczyli strzelanie z łuku, przebijając strzałami kopce siana. Mimo że przyjaźnili się z Rzymianami, stanowili odrębny oddział.

Piechota tworzyła drugą dużą grupę. Setki maruderów, którzy przyłączyli się do legionistów po bitwie pod Maragłą, oraz wojownicy Gagika Bagratouniego powoli wtapiali się w szeregi Rzymian. Brody i kolczugi z rękawami nadawały Vaspukaranerom i Videssańczykom egzotyczny wygląd, ale dzięki intensywnym ćwiczeniom posługiwali się oszczepami i mieczami równie sprawnie jak synowie Italii.

Phostis Apokavkos pomachał do trybuna. Skaurus odpowiedział uśmiechem. Był zadowolony, że zabrał chłopca-żołnierza ze slumsów stolicy i zrobił z niego legionistę. Apokavkos szybko przyswoił sobie zwyczaje Rzymian. Zaczął golić brodę i nauczył się łaciny, żeby jak najbardziej upodobnić się do nowych towarzyszy.

Jego wysoka i szczupła postać zaślaniała Doukitzesa stojącego obok niego. Ci dwaj szybko się zaprzyjaźnili. Skaurus czasami zastanawiał się dlaczego. Doukitzes był drobnym złodziejaszkiem, którym nie został Phostis, mimo że biedował w stolicy. Niedługo przed Maragłą trybun uratował Doukitzesa, skazanego przez Mavrikiosa na obcięcie dłoni. Może z wdzięczności złodziej nie

wrócił do swojego fachu — a przynajmniej nie dał się złapać — odkąd przyłączył się do Rzymian. On również pomachał trybunowi, choć z większym wahaniem niż Apokavkos.

Marek obserwował manipuł, którzy ćwiczył rzut oszczepami, *pila*. Mam dobrą małą armię — pomyślał z dumą. To dobrze. Wkrótce te umiejętności się przydadzą.

Kątem oka podchwycił ruch zdecydowanie niemilitaryny, Objęci ramionami, Senpat i Nevrata szli powoli w stronę swojej chaty.

Nagłe ukłucie zazdrości było jak dźgnięcie nożem w brzuch. Marka przeraziła intensywność tego odczucia, tym bardziej że zaledwie kilka tygodni temu on również był połową takiej pary.

Świat legionów był prostszy — doszedł do wniosku. Prywatnego życia nie da się podporządkować brutalnie prostym rozkazom. Westchnął, potrząsnął głową i zawrócił w stronę kwatery, żeby podjąć próbę pojednania się z Helvis.

IV

Smagły khamorthcki zwiadowca na ciemnobrązowym kosmatym kucyku, ubrany w szarobrązowe lisie skóry, wyglądał jak wielka gruda zimowego błota na tle jasnej wiosennej zieleni. Marek przyjrzał się uważnie mieszkańcowi równin i zapytał:

— Skąd mam wiedzieć, że jesteś od Thorisina Gavrasa? Może to zasadzka.

Koczownik obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. Podobnie jak dalecy kuzyni Yezda nie lubił miast, zaoranych pól ani ludzi, którzy je uprawiali. Przysiągł jednak lojalność Gavrasowi na swój miecz, a wódz klanu i pretendent do tronu wypili wino zmieszane z krwią.

— Kazał mi was zapytać, co kiedyś powiedział w namiocie o pobudliwych kobietach — odpowiedział łamanym videssańskim.

— Że można się z nimi nieźle zabawić, ale szybko się człowiekowi nudzą — odparł trybun, usatysfakcjonowany.

Aż za dobrze pamiętał tamten ranek. Bał się, że Thorisin aresztuje go za zdradę. Zdziwił się, że Gavras również to pamięta. Ówczesny Sevastokrator był wówczas bardzo pijany.

— Dobrze — pokiwał głową Khamorth. Wykrzywił usta w porozumiewawczym uśmiechu, który niwelował wszelkie różnice stylu życia. — Miał rację.

— Coś w tym jest — zgodził się Marek i też się uśmiechnął. Według wymagań Thorisina, Helvis trudno byłoby zaliczyć do pobudliwych. Rozejm między nią a Skaurusem, początkowo kruchy, umacniał się, w miarę jak mijała zima. Jeśli nawet nie rozmawiali o pewnych rzeczach — pomyślał trybun — była to z pewnością niewielka cena za pokój.

Każdy pokój jest zbyt drogo okupiony — podszeptał po raz setny wewnętrzny głos. I po raz setny zakrzyczała go reszta umysłu. Pogrążony w zadumie Marek nie dosłyszał tego, co powiedział mieszkaniec równin.

— Słucham?

Na twarz koczownika wróciło lekceważenie. Jaki pożytek może być z tego człowieka, skoro nawet nie potrafi słuchać? Skaurus poczuł, że się czerwieni. Khamorth powtórzył takim tonem, jakby przemawiał do idioty:

— Możecie zwinąć obóz w ciągu trzech dni? Wojsko Thorisina jest daleko za mną. Pojadę na zachód i przyprowadzę je tutaj. Będziecie gotowi?

Trybuna ogarnęło podniecenie. Już nie będzie dłużej odcięty od świata. Trzy dni na zwinięcie obozu, w którym spędzili cały sezon? Jeśli Rzymianie nie zdołają tego zrobić, to znaczy, że nie zasłużyli na swoje dobre imię.

— Będziemy gotowi — oświadczył.

Koczownik obrzucił sceptycznym spojrzeniem rów, palisadę i miasteczko, które wyrosło wewnątrz umocnień. Dla jego ludu przygotowanie się do opuszczenia jakiegoś miejsca było kwestią minut, a nie godzin czy dni.

— Trzy dni — powtórzył. Zabrzmiało to jak ostrzeżenie. Nie czekając na odpowiedź, zawrócił konika i odjechał.

Jego postawa świadczyła, że już za dużo miłego dnia stracił na rolnicze plemię.

Khatrish, trzymający wartę na wschodnim krańcu doliny Aptos, pomachał nad głową futrzaną czapkę. Laon Pakhymer, stojący obok Marka, odpowiedział mu takim samym gestem. W polu widzenia pojawili się pierwsi jeźdźcy Thorisina Gavrasy. Wartownik nadjechał galopem.

— Sformować szyk! — ryknął trybun. Trąbki i rogi powtórzyły jego rozkaz. Piechota sprawnie ustawiła się za dziewięcioma sztandarami manipułów, *signa*. Skaurusowi nadal brakowało legionowego orła.

Obok piechoty stanęli khatrishkańscy jeźdźcy. Pakhytner nie próbował sformować ich w karne szeregi. Nie stanowili regularnego wojska i bardziej polegali na bitności niż dyscyplinie.

Mieszkańcy Aptos zebrali się po obu stronach drogi prowadzącej do miasta. Ojcowie sadzali dzieci na plecy, żeby mogły coś zobaczyć ponad tłumem. Tylko Phos wiedział, kiedy następnym razem przejedzie tą drogą Imperator, nawet taki, którego prawo do tytułu było niepewne.

Z rozmów, które Marek słyszał wokół siebie, wynikało, że prowincjusze zastanawiają się, czy kopyta wierzchowca Thorisina będą dotykały ziemi. Zjawiły się też osoby bardziej światowe, jak na przykład wdowa po Phorkosie, Nerse.

— Aaach! — wykrzyknęli ludzie. W oddali pojawili się pierwsi kawalerzyści Gavrasy. Nieśli parasole. Skaurus wiedział, że są oni odpowiednikami rzymskich liktorów z toporami i pękami

różg, stanowiącymi symbole władzy. Za pierwszą pojawiły się następne dwójki, aż przed kolumną zakwitło dwanaście jedwabnych kwiatów, imperialna liczba.

Wyteżając wzrok, trybun dojrzał samego Thorisina, który dosiadał wspaniałego gniadosza. Tylko czerwone buty Gavrasa świadczyły o randze. Reszta jego stroju była porządna, ale zwyczajna. Nawet po przejęciu władzy Imperator nie polubił wystawności.

Za nim jechała armia, zgodnie z videssańską tradycją niemal sama kawaleria. Ze wszystkich narodów Imperium tylko Halogajczycy woleli walczyć pieszo. Taktyka rzymskiej piechoty była nowością. Wojsko Gavrasa składało się z Videssańczyków i takiej samej liczby Vaspukaranerów. Nic dziwnego, że Thorisin bił monety odpowiadające standardowi „książąt”.

— Dobrze się prezentują — zauważył Gajusz Filipus, a Skaurus skinął głową.

Żołnierze jechali z pewnością siebie, którą zaszczerpił im Thorisin, co po klęsce pod Maraghą było dużym osiągnięciem. Markowi poprawił się nastrój.

Próbował ocenić, ilu wojowników towarzyszy Gavrasowi. Tysiąc w dolinie... dwa... trzy tysiące, nie, prawdopodobnie mniej, gdyż pośrodku jechało sporo dużych wozów. Powiedzmy dwa i pół tysiąca.

Solidna pierwsza dywizja — pomyślał trybun. Za chwilę pojawi się reszta armii i wtedy będzie miał lepsze pojęcie o jej sile. Thorisin dostrzegł go, stojącego na czele legionu, i pomachał mu w mało królewski sposób. Mile polectany Marek odwzajemnił gest.

Według jego oceny powinna już pojawić się następna część armii. Marek chciał podrapać się po głowie i zrobiło mu się głupio, kiedy palce zazgrzytały po hełmie.

— Na Herkulesa! — mruknął pod nosem Gajusz Filipus. — Myślę, że to już wszyscy.

Skaurus miał ochotę roześmiać się albo rozplakać, lub jeszcze lepiej, zrobić obie rzeczy naraz. Więc to była ta potężna horda Thorisina Gavrasa, przy pomocy której zamierzał odzyskać Videssos i wypędzić Yezda z kraju? Wliczając kilkuset wojowników Pakhymera, sam miał prawie tyle samo żołnierzy.

Kiedy jednak Imperator mijał zgromadzonych mieszkańców Aptos, ci pochylali głowy, oddając mu cześć. A gdy zbliżył się oddziałów Marka, ustawionych w paradnym szyku, Laon Pakhymer padł na twarz, składając Gavrasowi hołd jako suwerenowi. Podobnie zrobił Gagik Bagratouni i Czerwony Zeprin, który stał obok Skaurusa.

Rzymianin, wychowany w tradycji republikańskiej, nigdy nie padał na twarz przed Mavrikiusem. Teraz też tego nie zrobił, ograniczając się do głębokiego ukłonu. Przypomnił sobie, jak wściekły był młody Gavras, kiedy przy pierwszym spotkaniu Marek nie ugiął kolan przed Imperatorem. Teraz Thorisin zatrzymał konia przed trybunem i zaśmiał się sucho.

— Uparty jak zawsze, co?

Ponieważ Imperator zwrócił się do niego bezpośrednio, Marek uniósł głowę i przyjrzał mu się z

bliska. Thorisin miał w sobie tę samą energię, która zjednała mu serce obywateli Videssos, kiedy był tylko bratem Mavrikiosa. Zachował też ironiczny błysk w oczach, który sprawiał, że ludzie nie wiedzieli, czy mają go poważnie traktować. Widać w nim jednak było pewną twardość i większą dojrzałość. Upodobniało go to do Mavrikiosa.

— Czy inaczej byście mnie rozpoznali, Wasza Wysokość? — zapytał Skaurus.

Thorisin uśmiechnął się. Przesunął spojrzeniem po milczących szeregach Rzymian, oceniając ich liczbę, podobnie jak trybun oceniał jego wojsko.

— Jesteś zbyt skromny — stwierdził. — Poznałbym cię po czarach, które pozwoliły ci zachować prawie nietknięty legion. Byliście w samym środku bitwy, prawda?

Skaurus wzruszył ramionami. Najgorzej było tam, gdzie straż przyboczna Mavrikiosa, złożona z Halogajczyków, walczyła do ostatniego człowieka i poległa razem z Imperatorem. Marek nie odezwał się, ale Thorisin wyczytał to w jego oczach. Uśmiech zniknął z jego twarzy.

— Pomścimy go — powiedział spokojnie. Obietnica niemal pozwoliła zapomnieć, że Mavrikios

poniósł klęskę w bitwie z Yezda, mając ponad pięćdziesiąt tysięcy żołnierzy. Jego brat podejmował się takiego samego zadania, nie mówiąc o wojnie domowej, a dysponował armią dziesięć razy mniej liczną, łącznie z Rzymianami i ich towarzyszami.

— Jeśli chcesz, możesz rozpuścić żołnierzy — powiedział Thorisin do Marka. — Im ceremoniału, tym lepiej. Weź oficerów i przynieś wina. Porozmawiamy sobie.

— Więc ten miernota naprawdę zapoczątkował klęskę? — zadumał się Thorisin. — Słyszałem to już wcześniej, ale nie mogłem uwierzyć, nawet jeśli chodzi o Ortaiasa. — Potrząsnął głową. — Jeszcze jeden powód, żeby się z nim rozprawić... jakby trzeba było innego.

Z gołą głową, kubkiem w ręce i nogami w czerwonych butach, opartymi na stole, wyglądał raczej jak żołnierz odpoczywający po podróży. Jego dowódcy, Videssańczycy i Vaspukarancerzy, zachowywali się równie swobodnie. Mavrikios lubił wyszukane królewskie ceremonie dla podkreślenia własnej godności, choć uważał je za głupie. Thorisin po prostu się tym nie przejmował.

Wysłuchał uważnie opowiadania Skaurusa o wędrowności Rzymian. Uderzył się w uda, kiedy Marek wyjaśnił mu, jak skorzystał ze sztuczki Hannibala, żeby uwolnić się od Yezda.

— Pognałeś płonące stada na nomadów? Świetny pomysł.

Trybun nie wspomniał o pożegnalnym podarunku Avshara. Gdy tylko khamorthcki zwiadowca przyniósł wieść, że Thorisin jest blisko, Marek pochował głowę Mavrikiosa. Skoro wkrótce miał się zjawić prawdziwy Gavras, ryzyko, że podszyje się pod niego fałszywy, wydawało się mniejsze.

— Dość tego gadania o nas — powiedział Viridoviks i zwrócił się do Thorisina: — Gdzie się

podziewałeś, człowieku? Przez całe miesiące nikt nie wiedział, czy żyjesz, jesteś martwy czy też może znalazłeś się w zaczarowanej krainie i wrócisz za sto lat, co na nic by się nam nie zdało.

Thorisin nie obraził się za tę bezceremonialność. Jego opowieść była taka, jakiej spodziewał się trybun. Zdziesiątkowane prawe skrzydło wielkiej videssańskiej armii wycofało się w vaspura-kańskie góry, jeszcze dziksze niż te, przez które przechodzili Rzymianie. Tam wojsko rozproszyło się. Pokonani żołnierze wymykali się pojedynczo lub małymi grupkami, by przedrzeć się na wschód.

Gajusz Filipus pokiwał głową.

— Domyśliłem się tego, widząc jakich masz przy sobie żołnierzy, panie — skomentował. — Zaciężni chłopci i tchórze dawno polegli albo uciekli.

— Otóż to — przyznał Thorisin.

Pod jednym względem wojsko Gavrasa przeżyło trudniejsze chwile niż Rzymianie. Yezda naprawdę ich ścigali i trzeba było dwóch czy trzech prawdziwych bitew, stoczonych przez tylną straż, żeby się od nich uwolnić.

— To ten przeklęty diabeł w białej szacie — powiedział jeden z videssańskich oficerów. — Przypiął się mocniej niż pijawka i wyssał więcej krwi.

Marek i jego towarzysze czujnie pochyliłi się do przodu.

— Więc Avshar szedł za wami — stwierdził trybun. — Nic dziwnego, że w tych stronach nie było po nim śladu. Nie mieliśmy pojęcia, co trzyma go z dala od Videssos.

— Ja nadal nie wiem — przyznał się Gavras. — Zniknął parę tygodni po bitwie i nie mam pojęcia, gdzie teraz jest. Tak czy inaczej, jego odejście nas uratowało. Bez niego Yezda, choć zawzięci, są jak motłoch. Z nim... — słowa uwięzły mu w krtani.

— Czy Amorion oszalało? — zapytał Marka Indakos Skylitzes, oficer, który wspomniał o Avsharze. — Posłaliśmy tam człowieka, żeby zaniósł wieść o Thorisinie, a oni pogonili go kijami. Przez jeden dzień myśleliśmy, że nie przeżyje. Na Phosa, nawet w czasie wojny domowej heroldowie mają pewne prawa. — Jako videssański baron, Skylitzes wiedział, co mówi.

— To jest teraz miasto Zemarkhosa i jego słowo jest tam prawem — odparł Marek. Nagle przyszło mu coś do głowy. — Czy wasz posłaniec był przypadkiem Vaspukaranerem?

Skylitzes spojrzał na niego niepewnie, lecz Thorisin skinął głową.

— Haik Amazasp? Tak. A co to ma wspólnego... Aha. — Nachmurzył się jeszcze bardziej, kiedy przypomniał sobie, że fanatyczny kapłan Amorion chciał rozpocząć prześladowania heretyków z królewskim błogosławieństwem. — Ortaias go poprze... co nie znaczy, że Zemarkhos będzie miał z tego duży pożytek.

— Pomścisz nas, panie? — wykrzyknął zapalczywie Senpat Sviodo. — Nie pożałujesz tego. Amorion to doskonała baza do marszu na wschód. Dobrze o tym wiesz, panie.

Rozgorączkowany Vaspukaraner zerwał się z krzesła. Gagik Bagratouni również zaczął się podnosić z oczywistym zamiarem. Thorisin gestem kazał im usiąść.

— Nie. Jedziemy do Videssos, nigdzie indziej. Mając stolicę, odzyskamy całe Imperium. Bez niej kraj nie będzie naprawdę nasz. — Ujrawszy rozczarowanie na twarzach, dodał: — Winni nie unikną zemsty. Namdalajczycy wyruszają z Phanaskertu i spodziewam się, że Amorion znajdzie się na ich drodze. Zrównają miasto z ziemią, jeśli Zemarkhos choć piśnie o herezji, a zrobi to. Jest fanatykiem.

Gavras przyjrzał się zebranym z lekkim rozbawieniem. Po chwili Vaspukaranerzy odprężyli się.

Skaurus musiał przyznać, że jest w tym dużo racji. Ciężkozbrojna jazda, złożona z sześciu lub siedmiu tysięcy ludzi, mogła wyrwać się z każdej pułapki. Więc żołnierze Duchy też się ruszyli? — pomyślał. Armie spływały jak strumyczki z topniejących śniegów. Wyglądało jednak na to, że Namdalajczycy mają znacznie więcej wojska niż

Thorisin.

— W jakich stosunkach jesteś z mieszkańcami Wschodu? — zapytał.

— Jak zawsze istnieje między nami wzajemny brak zaufania — odparł Gavras. — Jeśli zobaczą, że mają wolną drogę, skoczą nam do gardeł. Nie zamierzam dawać im okazji.

— Może ludzie Onomagoulosa mogliby przyjść nam z pomocą — zasugerował Marek.

— Co? Baanes żyje? — zdumiał się Imperator.

— Jeśli można wierzyć opowieściom kupców — powiedział Gajusz Filipus, który nadal wąpił w plotkę.

Thorisin natomiast uznał ją za całkiem prawdopodobną.

— To świetnie. Stary lis. Dalej lubi płać figle — mruknął.

Skaurus odniósł wrażenie, że Imperator nie jest zbytnio uszczęśliwiony.

Kiedy Aptos zniknęło za zakrętem drogi, Gajusz Filipus wydał długie westchnienie.

— Po raz pierwszy od wielu lat żałuję, że znowu wyruszam w drogę — powiedział.

— Na bogów, dlaczego? — spytał Marek zaskoczony. Maszerowanie pod wiosennym niebem było jedną z przyjemności żołnierskiego życia. Po ostatnich deszczach ziemię pokrył dywan nowej trawy, a bite drogi Videssos nie zdążyły zmienić się we wstęgi duszącego kurzu. Powietrze było łagodne, balsamiczne, pełne nawoływań wracających ptaków. Nawet motyle wyglądały świeżo. Jasne skrzydełka jeszcze nie zmatowiały i nie postrzępiły się.

— Mogę ci powiedzieć — odezwał się Viridoviks. — Biedak ma złamane serce. Lepiej żeby zapomniał, gdzie umieścił uczucia.

— Do diabła z tobą — warknął Gajusz Filipus. O jego zdenerwowaniu najlepiej świadczyło

użycie celtyckiego idiomu.

Przez chwilę Marek nie miał pojęcia, o czym mówi Viridoviks ani dlaczego starszy centurion bierze poważnie jego kpiny. Szybko jednak znalazł odpowiedź.

— Nerse? — zapytał. — Wdowa po Phorkosie?

— Jeśli nawet tak, to co z tego? — mruknął Gajusz Filipus, najwyraźniej żałując, że w ogóle się odzywał.

— Dlaczego nie pozalecałeś się do niej? — wybuchnął trybun.

Gajusz Filipus zaciął się w milczeniu. Zaciśnął usta i wlepił wzrok w drogę przed sobą, nie reagując na docinki Viridoviksa. Po jakimś czasie Celtowi znudziła się jednostronna zabawa i odszedł porozmawiać z Minucjuszem o szermierce.

Przyglądając się ponurej minie centuriona, Marek doszedł do pewnych wniosków. Dziwne, że człowiek nieustraszony w boju, który uważał gwałt i cudzołóstwo za część żołnierskiego fachu, bał się zbliżyć do kobiety, gdy poczuł coś więcej niż pożądanie.

Armia Thorisina Gavrasa śpieszyła na północny wschód w stronę Morza Videssańskiego. Imperator miał nadzieję zarekwirować statki i spaść na Ortaiasa, zanim uzurpator przygotuje się na spotkanie. Lecz w każdym porcie, do którego docierało wojsko, kapitanowie wypływali w morze, żeby zanieść młodemu Sphrantzesowi wieść o przybyciu rywala.

Za trzecim razem, w wiosce rybackiej Tavas, cierpliwość Thorisina wyczerpała się.

— Kupiłbym to miejsce za dwa miedziaki — warknął, chodząc jak tygrys w klatce.

Obserwował, jak kolorowe żagle pękatego statku handlowego kierują się na północ, a potem skręcają na wschód do Videssos i znikają we mgle.

Splunął z odrazą.

— Co tu zostało? Kilka łodzi rybackich. W każdej zmieściłoby się po kilkunastu ludzi.

— Powinieneś złupić tych zdradzieckich kupców i chłopów. Nauczyć ich moresu — powiedziała Komitta Rhangawe.

Zawzięta mina na szczupłej, arystokratycznej twarzy nadawała jej wygląd polującego jastrzębia; pięknego, lecz śmiertelnie niebezpiecznego.

Zaniepokojony krwiożerczą radą kobiety Gavrasa, Skaurus powiedział pośpiesznie:

— Może statek po prostu wypłynął w morze. Zresztą Ortaias pewnie jest już ostrzeżony. Jeśli flota stanie po jego stronie, nie damy rady się przeprawić.

Komitta Rhangawe spiorunowała go wzrokiem, lecz Thorisin westchnął ciężko.

— Pewnie masz rację. Gdyby udało mi się wypłynąć cztery dni temu z Prakany... — westchnął znowu. — Co zwykł mawiać ten biedak Khounnos? „Gdyby «jeśli» i «ale» były kandyzowanymi

orzechami, wszyscy byliby tłuści".

Nephton Khoumnos nie żył od pół roku, zabity przez Avshara w bitwie pod Maragłą. Ani Gavras, ani Marek nie chcieli o tym myśleć.

— Miejscowi popierają cię, niezależnie od tego, co robią kapitanowie statków — stwierdził trybun, wyrażając bardziej bezpośredni sprzeciw wobec planów Komitty.

Uśmiech Imperatora był gorzki.

— Oczywiście, że tak. Jesteśmy na wschodzie. Tutaj lud poznał już poborców podatkowych Ortaiasa. I jego pieniądze również.

Oszukane monety Sphrantzesa były stałym przedmiotem żartów w armii jego przeciwnika. Jeśli chodzi o urzędników skarbowych, Skaurus jeszcze nie widział żadnego. Uciekali przed Thorisinem szybciej niż żeglarze.

Pięć dni później przybył poseł od Ortaiasa w towarzystwie straży złożonej z dziecięciu jeźdźców. Celowo zjawił się w obozie Thorisina wieczorem. Jeden z żołnierzy niósł białą tarczę nasadzoną na włócznię: znak rozejmu.

— Co ten tchórzliwy łajdak może mieć mi do powiedzenia? — warknął Thorisin, ale pozwolił wpuścić emisariusza.

Żołnierze Sphrantzesa nie zasługiwali na to miano. Nadawali się tylko na eskortę. Sam poseł był człowiekiem zupełnie innej miary. Marek rozpoznał w nim jednego z popleczników Vardanesa Sphrantzesa, ale nie mógł sobie przypomnieć jego nazwiska.

Thorisin natomiast doskonale wiedział, z kim ma do czynienia.

— Ach, Pikridios, jak miło cię widzieć — powiedział, ale jego ton był jadowity.

Pikridios Goudeles udawał, że tego nie zauważył. Zsiadł z konia z westchnieniem ulgi. Niepewnie trzymał się w siodle. Wodze z pewnością raniły jego białe, wydelikaczone ręce. Jedyne zgrubienie widniało na prawym środkowym palcu. Gryzipiórek — pomyślał Skaurus, doceniając trafność pogardliwego określenia, którego videssańscy żołnierze używali wobec cywilnych sług Imperium.

Mimo niewojskowego wyglądu elegancki Goudeles był człowiekiem, z którym należało się liczyć. Jego ciemne oczy błyszczały inteligencją, a o odwadze świadczyła sama obecność w obozie rywala Imperatora.

— Wasza Wysokość — powiedział do Thorisina i przykląkł na jedno kolano, pochylając głowę. Nie padł przed nim na twarz, ale wyraził szacunek w innej formie.

Niektórzy żołnierze Gavrasa wzniesli okrzyki widząc, że ambasador wroga w taki sposób honoruje ich dowódcę. Dla innych to było za mało. Sam Thorisin wyglądał na zaskoczonego.

— Wstań, wstań — powiedział niecierpliwie. Goudeles podniósł się i otrzepał kurz z eleganckich

bryczesów dojazdy konnej. Cisza przedłużała się. Wreszcie przerwał ją Thorisin, przyznając mu w myślach punkt.

— I co teraz? Chcesz zmienić front? Czego żądasz w zamian?

Wargi Goudelesa skrzywiły się lekko pod cienkim wąsikiem, podobnym jak u Vardanesa, jakby poseł chciał dać do zrozumienia, że dostrzegł obrazę, ale nie zamierza reagować.

— Sevastokratorze, jestem tu tylko po to, żeby pomóc rozwiązać niefortunne nieporozumienie między wami, panie, a Jego Wysokością Autokratą Ortaiasem Sphrantzesem.

Wszyscy kawalerzyści, którzy to słyszeli, zakrzyknęli z oburzenia, kładąc dłonie na rękojeściach mieczy, sięgając do włóczni i łuków.

— Powiesić drania! — wrzasnął ktoś. — Może wtedy zrozumie, kto jest prawdziwym Imperatorem!

W jego stronę skoczyło paru mężczyzn. Goudeles na moment stracił samokontrolę i rzucił błagalne spojrzenie na Thorisina Gavrasa.

Thorisin gestem nakazał żołnierzom cofnąć się. Wykonali rozkaz z ociąganiem, jak psy odwołane od zdobyczy, którą uważają za swoją.

— Co się dzieje? — szepnął Gajusz Filipus do Marka. — Jeśli ten urzędas nie uzna Gavrasa jako Imperatora, zgodnie z prawem można go zabić.

— Wiem tyle co ty — odparł trybun.

Znając gwałtowny temperament Thorisina, Skaurus spodziewał się, że Imperator ostro rozprawi się z Goudelesem. Podczas wojny domowej łatwo odrzuca się reguły dyplomacji. Całe szczęście, że nie ma tu Komitty — pomyślał. Już by rozgrzewała kleszcze.

Lecz Thorisin nie rozgniewał się. Choć był wojownikiem z wyboru, znał się na intrygach, a lata spędzone u boku brata w stolicy wyczuliły go na subtelności, które umykały mniej doświadczonym ludziom.

— Więc nie uznajesz mnie za prawowitego Autokratora? — zapytał posła spokojnym tonem.

— Żałuję, ale nie, panie — odparł Goudeles, lekko się kłaniając — podobnie jak mój pryncypał.

Rzucił Thorisinowi czujne spojrzenie. Toczyli pojedynek, jakby mieli szable w rękach.

— Tylko przeklętym buntownikiem, tak? Goudeles rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

— Wiec dlaczego, na zawszawioną brodę Skotosa — wybuchnął Thorisin — twój cholerny pryncypał... — wypowiedział to słowo jak przekleństwo — ...nadal uważa mnie za Sevastokratora? Czy ma to być ochłap dla mnie? Zachowam tytuł, a on postara się, żeby pozostał pusty? Powiedz swojemu drogiemu Sphrantzesowi, że nie tak łatwo mnie kupić.

Poseł dał wyrazem twarzy do zrozumienia, co sądzi o nieokrzesaniu Gavrasa.

— Nie rozumiesz, panie. Dlaczego nie miałbyś pozostać Sevastokratozem? Tytuł należał do ciebie podczas panowania waszego nieodżałowanego brata, a poza tym nadal jesteś blisko spokrewniony z królewskim rodem.

Thorisin spojrział na Goudelesę, jakby ten zaczął mówić obcym językiem.

— Zwariowałeś, człowieku? Sphrantzesowie nie są moimi krewnymi. W moich żyłach nie płynie krew szakali.

Ta zniewaga również nie zrobiła wrażenia na Goudelesie.

— Więc Wasza Wysokość jeszcze nie słyszał radosnej nowiny? Jakże wolno docierają wieści do odległych prowincji!

— O czym ty bredzisz? — warknął Gavras. W jego głosie pojawiło się napięcie.

Goudeles wyczuł słaby punkt ofiary i zadał precyzyjny cios.

— Z pewnością Autokrator okaże wam szacunek należny teściowi. Minął już miesiąc, odkąd córka poległego Imperatora, Alypia, i mój pan, Ortaias, połączyli się węzłem małżeńskim.

Thorisin zbladł.

— Uciekaj, póki jesteś cały! — wydusił głosem nabrzmiałym wściekłością.

Goudeles i jego gwardziści bez ceremonii wskoczyli na konie i czym prędzej odjechali.

Gajusz Filipus miał własny pogląd na to małżeństwo.

— Wbrew oczekiwaniom nie wyjdzie to Ortaiasowi na dobre — oświadczył. — Jeśli jest takim samym kochankiem jak generałem, będzie musiał brać do łóżka książkę, żeby się dowiedzieć, co robić z żoną.

Przypomniawszy sobie księgę o tematyce militarnej, którą Sphrantzes stale trzymał pod pachą, Skaurus uśmiechnął się. Lecz wieczorem w namiocie wybuchnął.

— To podłe. Wprowadzenie Alypii do rodziny, której nienawidził jej ojciec, równa się gwałtowi.

— Dlaczego jesteś taki oburzony? — zapytała Helvis. Była teraz bardzo gruba, niezdarna i często poirytowana. Z gorzkim kobiecym realizmem zauważyła: — Czy kiedykolwiek jesteśmy czymś innym niż pionkami w grze władzy? Dlaczego miałoby cię to obchodzić, oczywiście poza stroną polityczną?

— Skutki polityczne będą wystarczająco złe. Małżeństwo, wymuszone czy nie, mogło pozbawić Thorisinę poparcia i zyskać je dla Ortaiasa i jego wuja. Lecz Helvis nie myliła się. Gniew Marka miał bardziej osobistą przyczynę.

— Nie znam jej za dobrze, ale lubiłem ją — wyznał.

— Co to ma do rzeczy? — spytała Helvis. — Od dnia kiedy przybyłeś do Videssos, znasz reguły gry. I grałeś dobrze, nie przeczę. Nie ma w niej jednak miejsca na takie drobiazgi jak sympatie.

Trybun skrzywił się na tak surowy obraz jego kariery w przybranej ojczyźnie. W Videssos knucie intryg było równie naturalne jak oddychanie. Człowiek, któremu zależało na awansie, nie mógł tego uniknąć.

Lecz Alypia Gavra nie powinna stać się ich ofiarą tylko z racji urodzenia — pomyślał. Pod maską wyuczony rezerwy, z jaką odnosiła się do świata, trybun wyczuwał łagodność, którą na zawsze zniszczy wymuszone małżeństwo. Gdy wyobraził ją sobie nieszczęśliwą i bezbronną w łóżku Ortaiasa, zapłonęła w nim furia.

Jak ma to powiedzieć Helvis, nie wzbudzając w niej podejrzeń? Doszedł do wniosku, że lepiej będzie trzymać język za zębami.

O świcie zbudziły Skaurusa okrzyki wartowników. Potykając się, narzucił ciężki wełniany płaszcz i wybiegł, żeby zobaczyć, co się dzieje. Gajusz Filipus dotarł do obwałowań przed nim. Miał na sobie tylko hełm i sandały. W dłoni trzymał miecz.

Marek podążył wzrokiem za jego palcem wskazującym. Na tle blednącego nieba widać było jakiś ruch.

— Podam ci dwa domysły — powiedział starszy centurion.

— Możesz zachować dla siebie pierwszy. Potrafię rozpoznać poruszającą się armię. Widać z tego, jak szczerze były słowa Goudelesa o tym, że Thorisin jest szanowanym teściem.

— Tak jakby nam trzeba było dowodów. Bierzmy się do działania. — Jego ryk wystarczył za trąbki sygnałowe: — Wstawać, cherlawe patałachy, wstawać! Mamy robotę!

Rzymianie wybiegli z namiotów, dopinając po drodze pancerze. Ogniska, które przygasły przez noc, rozniecono na nowo, żeby oświetlały drogę żołnierzom.

Marek i Gajusz Filipus spojrzeli na siebie i stwierdzili, że nie są właściwie ubrani do bitwy. Centurion zaklął i obaj pobiegli do namiotów.

Kiedy trybun pojawił się kilka minut później, wyprowadził wojsko na pole przed ufortyfikowanym obozem. Lekka jazda Pakhymera osłaniała skrzydła. Dzięki zimowemu szkoleniu Khatriśhe stali się równie szybcy jak Rzymianie. Reszta armii Thorisina Gavrasa zebrała się wolniej.

Nie było czasu na opracowanie wymyślnej strategii. Thorisin przyjechał na rasowym gniadoszu i mruknął z aprobatą, widząc spokój i gotowość Rzymian.

— Staniecie na prawym skrzydle — powiedział. — Nie ustępujcie pola. Zgnieciemy ich.

— Dobrze. — Marek skinął głową.

Mniej ruchliwa niż konne oddziały videssańskiej armii, piechota zwykle odgrywała rolę bariery

zatrzymującej wroga. Kiedy kawaleria Gavrasa stanęła w szyku bojowym, trybun przesunął Pakhymera na swoje prawe skrzydło, by wróg nie mógł zająć ich z tej strony.

— Wyjątkowo ładny dzień na bitwę, prawda? — zauważył Viridoviks.

Kolczugę miał pomalowaną w czarne i złote kwadraty, imitujące wzór szachownicy, charakterystyczny dla galijskich tunik. Hełm z brązu wieńczyło koło o siedmiu szprychach. Miecz, identyczny jak Skaurusa, był schowany w pochwie. Celt trzymał w ręce tylko kawałek twardego suchego chleba. Ugryzł porządny kęs.

Trybun zazdrościł mu spokoju. Przed bitwą myśl o jedzeniu przyprawiała go o mdłości, choć później odczuwał wilczy głód. Istotnie ranek był piękny, choć jeszcze chłodny. Skaurus zerknął na wschodzące słońce i powiedział:

— Ich generał zna się na robocie. O tej porze słońce będzie nam świeciło prosto w twarz.

— Tak. To rzeczywiście chytre — przyznał Celt z podziwem.

Armia Ortaiasa znajdowała się w odległości pół mili i zbliżała się szybko. Marek stwierdził z ulgą, że nie jest większa od armii Thorisina. Zastanawiał się, jaka to część całego wojska Sphrantzesa.

Tak jak trybun się spodziewał, była to kawaleria. Stuk podków przypominał grzmot.

— *Pilą* rzucajcie w konie, a nie w ludzi. — Kwintus Glabrio udzielał ostatnich instrukcji swojemu manipułowi. — Łatwiej trafić i nie chronią ich pancerze. Jeśli koń upadnie, pociągnie jeźdźca za sobą. — Młodszy centurion jak zawsze mówił spokojnym, odmierzonym tonem.

Nie było czasu na dłuższe wykłady. Wróg się zbliżał. W porannej poświacie trudno było rozpoznać poszczególnych żołnierzy. Niektórzy wyglądali na nomadów — Khamorthów albo nawet Yezda — inni zaś... lance załśniły na moment karmazynowo, kiedy opuścili je jednoczesnym ruchem. Namdalajczycy — pomyślał Marek ponuro. Sphrantzesowie wynajęli najlepszych wojowników.

— Drax! Drax! Wielki książę Drax! — krzyknęli żołnierze Duchy, używając nazwiska dowódcy jako okrzyku bojowego.

— Na nich! — wrzasnął Thorisin Gavras i jego jeźdźcy pogalopowali na spotkanie atakującym. Świsnęły łuki. Jakiś Namdalajczyk spadł z siodła, trafiony z dużej odległości w oko.

Lekka jazda wroga wysforowała się przed Namdalajczyków, żeby wypuścić strzały. Lecz na polu panował teraz zbyt wielki ścisk, żeby można było z powodzeniem zastosować taktykę wypadów i odwrotów. Ciężkozbrojni Videssańczycy i Vaspukaraherzy Gavrasa wyrąbывali sobie drogę między nomadami, kierując się w stronę żołnierzy Duchy, którzy stanowili trzon wrogiej armii.

Hrabia Drax z Duchy jedynie Halogajczyków uważał za godnych siebie przeciwników. O Rzy-

mianach nigdy nie słyszał. Wziął ich za zaciężnych chłopów, których Thorisin wytrzasnął Phos wie skąd. Postanowił rozgromić ich szybko, a potem bez pośpiechu zająć się kawalerią Gavrasa, nad którą miał przewagę liczebną. Machnął tarczą w stronę legionistów, wskazując swoim żołnierzom kierunek, i spał konia ostrogami.

Skaurus z zaschniętymi ustami czekał na przyjęcie szarży. Tętent kopyt, pokrzykiwanie potężnych wojowników, pędzących na niego jak opancerzone głązy, długie lance, które zdawały się celować w jego pierś... Poczuł, że mięśnie mimowolnie napinają mu się do ucieczki. Uniósł rękę, w której trzymał miecz.

Drax zmarszczył brwi, nagle zdjęty wątpliwościami. Jeśli to są chłopci, dlaczego nie pierzchają, żeby ratować życie?

— Rzucać! — krzyknął trybun.

Na wrogów posypały się oszczepy. Trafione konie zarżały i upadły, zrzucając jeźdźców na ziemię. Inne zwierzęta potknęły się na tych, które padły pierwsze. Namdalajczycy zasłonili się tarczami i po chwili odrzucili je, przeklinając. Trzonki *pila* z miękkiego żelaza wbiły się w tarcze i wygięły, czyniąc je niezdatnymi do użytku.

Mimo to legioniści ugięli się pod impetem. Zagrały trąbki, wzywając oddziały z flank na pomoc zagrożonemu centrum. Fala jeźdźców zatrzymała się i skotłowała.

Rycerz, który zaatakował Skaurusa, miał około czterdziestki, zeza w prawym oku i koślawy mały palec. Unieruchomiony pod naporem następnych szeregów, pchnął trybuna lancą. Marek zrobił unik i odparował cios. Ostrze jego miecza przecięło drzewce tuż pod grotem, który wirując pofrunął w powietrze. Ze strachem w oczach Namdalajczyk zamachnął się zniszczoną lancą jak maczugą. Marek uchylił się, zrobił krok do przodu i pchnął. Poczuł, że miecz przebija kolczugę i ciało. Najemnik Sphrantzesa wydał okrzyk, który zakończył się bulgoczącym jękiem. Na jego ustach pojawiła się różowa piana. Osunął się na ziemię.

Stojący obok Marka Czerwony Zeprin uniósł nad głowę halogajski topór wojenny o długim drzewcu i opuszczył go z całą siłą na koński łeb. Ukazał się szaroróżowy mózg. Koń zwałił się bezwładnie. Przygwożdżony przez niego namdalajski jeździec krzyknął, ale zaraz uciszył go drugi cios wielkiej siekiery.

Jakiś spieszony najemnik rzucił się na Skaurusa, który przyjął cios na tarczę. Jego *scutum* było cięższe i większe niż lekka tarcza jeźdźca. Marek zdzielił nim przeciwnika. Żołnierz Duchy zatoczył się do tyłu i potknął o leżące ciało. Jeden z legionistów wbił mu miecz w gardło.

Choć Rzymianie powstrzymali natarcie, Namdalajczycy nadal walczyli z zawziętością, którą Marek już zdążył poznać. Lucillus o niewyparzonym języku wlepił wzrok w miecz złamany zręcznym cięciem lancy.

— Dajcie mi całą! — krzyknął, ale zanim ktokolwiek to zrobił, najechał na niego jeździec Duchy.

— Na wszystkich bogów, dlaczego ci dranie nie są po naszej stronie? Za dużo z nimi roboty! — wysapał Gajusz Filipus.

Jego hełm był wyszczerbiony, a z rozcięcia nad okiem płynęła krew. Fala bitwy rozdzieliła ich, zanim Skaurus zdążył odpowiedzieć.

Jakiś Namdalajczyk pchnął lancą człowieka wijącego się przed nim na ziemi. Nie trafił, zaklął i uniósł ostrze do następnego ciosu. Był tak ogarnięty szałem zabijania, że nie zauważył Marka, póki długi galijski miecz trybuna nie zakończył jego życia.

Marek pomógł wstać niedoszłej ofierze i wytrzeszczył oczy z niedowierzaniem.

— Dzięki — rzuciła Nevrata Sviodo i pocałowała go. Skaurus czuł się tak, jakby go ktoś zdzielił obuchem w głowę. Z lekką szablą w dłoni dziewczyna skoczyła w bitewny wir, zostawiając go z otwartymi ustami.

— Uważaj na lewo, panie! — krzyknął ktoś. Trybun odruchowo uniósł tarczę. Lanca ześliznęła się po niej. Namdalajczyk przebiegł obok niego, lecz nie zdążył zadać następnego ciosu. Marek otrząsnął się. Osłupienie omal nie kosztowało go życia.

Viridoviks rzucił się z dzikim okrzykiem na jednego z najemników i ściągnął go z wierzchowca. Zadarł do góry brodę nieszczęśnika i przeciągnął mu mieczem po gardle jak smyczkiem po strunach. Trysnęła krew. Gal krzyknął triumfalnie i dokończył cięcie. Uniósł głowę i cisnął ją w najbliższe szeregi Namdalajczyków, którzy wrzasnęli w przerażeniu i cofnęli się przed upiornym trofeum.

Hrabia Drax nie żałował, kiedy zaczął się odwrót. Jeszcze nigdy nie spotkał takiej piechoty jak ci żołnierze Thorisina. Ugięli się, ale nie rozerwali szyków, tak sprytnie przesuując ludzi ze spokojniejszych miejsc do zagrożonych, że nigdzie nie pojawiały się słabe punkty. Całkiem profesjonalnie — pomyślał z niechętnym podziwem.

Na lewym skrzydle Khattrishe zasypywali jego osaczonych jeźdźców strzałami i szybko odskakiwali. Miał nadzieję, że to samo zrobią z ciężką kawalerią Thorisina wynajęci nomadzi. Lecz klany koczowników były wciśnięte między jego własnych ludzi a nadchodzącego wroga. Wyglądało na to, że wkrótce się załamają i rzucają do ucieczki. Narazanie życia w walce z groźnym przeciwnikiem nie leżało w ich naturze.

Drax z Namdalenu uświadomił sobie, że on również nie ma na to ochoty. Gdyby jazda Gavrasa przedarła się przez nomadów i zaatakowała jego unieruchomionych rycerzy, rezultat byłby nie-

wesoły. Ostatecznie dowódca najemników jest winien lojalność swoim ludziom. Bez nich nie miałby nic do sprzedania. Ściągnął wodze i próbował zawrócić konia pośród gęstego tłumu.

— Wycofywać się! — krzyknął. — Do obozu! Zachować porządek!

Marek usłyszał okrzyk księcia, ale nie był pewien, czy dobrze go zrozumiał. Między sobą Namdalajczycy używali dialektu bardzo różniącego się od videssańskiego, którym mówiono w Imperium. Lecz wkrótce trybun zorientował się, jaki rozkaz wydał Drax, gdyż napór zelżał na całej linii. Żołnierze Duchy przerwali walkę i zaczęli odwrót. Zrobili to wprawnie. Znali się na swoim fachu. Nie dali legionistom sposobności zadania dużych szkód.

Trybun nie ścigał ich daleko. Kierował się tą samą zasadą co Drax: nie chciał bez potrzeby tracić ludzi. Poza tym pomyślał, by piechota ścigała jazdę, nie wydawał się najlepszy. Gdyby Namdalajczycy przeprowadzili kontratak, mogliby odciąć i wybić jego niewielki oddział. W luźnym szyku Rzymianie byłiby bezbronni wobec zaprawionych w bojach konnych lancetników.

Kawaleria Gavrasa i Khatrishe gonili ludzi Sphrantzesa przez jakąś milę, próbując przeobrazić odwrót w druzgoczącą klęskę. Ponieważ jednak Rzymianie nie przyłączyli się do pościgu, Namdalajczycy i nomadzi przewyższali ich liczebnie. Wycofywali się w karnym porządku.

Skaurus spojrział w niebo i zdumiał się. Słońce, które niedawno świeciło mu prosto w twarz, znajdowało się teraz nisko na zachodzie. Marek uświadomił sobie, że jest zmęczony, głodny i spragniony jak videssański płaskowyż latem. W dodatku odczuwał jeszcze jedną pilną potrzebę. Cięcie na ręce, o którym nie pamiętał, zaczęło pulsować, tym bardziej że spływał na nie pot. Marek zgiął palce i stwierdził, że ścięgnię są nienaruszone.

Legioniści przystąpili do ograbiania poległych wrogów. Inni podrzynali gardła rannym koniom i ciężko rannym Namdalajczykom. Wrogów z lżejszymi obrażeniami opatrywano tak samo jak Rzymian. Istniała możliwość otrzymania za nich okupu i dlatego byli cenniejsi żywi niż martwi.

Poważnie rannych Rzymian znoszono do obozu, gdzie zajmowali się nimi Gorgidas i Nepos. Marek zobaczył, że gruby kapłan dyryguje garstką kobiet, które czyściły i bandażowały rany. Nigdzie nie było śladu Gorgidasasa. Zaskoczony Skaurus spytał o niego.

— Nie wiecie, panie? — zawołała jedna z pomocnic Neposa i roześmiała się.

Zmęczony trybun spojrział na nią nie rozumiejącym wzrokiem.

— Znajdziesz go w swoim namiocie, Skaurusie — powiedział Nepos łagodnie.

— Co? Dlaczego...? Och! — krzyknął Marek i puścił się biegiem, choć jeszcze przed chwilą ledwo trzymał się na nogach.

Po drodze natknął się na Gorgidasasa, który wracał do rannych.

— Pozdrowienia — rzucił Grek na widok trybuna. — Jak poszła wasza głupia bitwa?

— Zwyciężyliśmy — odparł Marek automatycznie. — Ale... ale... — zabrakło mu słów. Teraz istniały dla niego ważniejsze rzeczy niż wojna.

— Uspokój się, przyjacielu. Masz syna — powiedział Gorgidas z rozpromienioną twarzą i wziął trybuna pod ramię.

— Czy Helvis czuje się dobrze? — zapytał Marek, choć uśmiech lekarza wystarczał za odpowiedź.

— Jeszcze lepiej, niż się spodziewałem. To jeden z łatwiejszych porodów, jakie przyjmowałem. Niecałe pół dnia. Helvis jest silną dziewczyną, a poza tym to nie jest jej pierwsze dziecko.

Wszystko w porządku.

— Dziękuję — rzucił Skaurus i chciał biec do namiotu, ale Gorgidas przytrzymał go za rękę.

Trybun spojrział na niego uważnie. Grek wciąż się uśmiechał, lecz oczy miał zamyślane.

— Zazdroszczę ci — wyznał. — To musi być wspaiałe uczucie.

— Tak — potwierdził Marek, zaskoczony smutkiem w jego głosie. Poruszyło go zaufanie lekarza, choć jednocześnie nie miał pewności, czy było zamierzone. — Dziękuję — powtórzył.

Ich oczy spotkały się na moment w całkowitym zrozumieniu. Chwila minęła i Gorgidas na powrót stał się powściągliwy.

— Idź już — powiedział, lekko popychając trybuna. — Mam dość roboty z łataniem głupców, który wolą zabierać życie, niż je dawać. — I odszedł, potrząsając głową.

Przy Helvis czuwała towarzyszka Minucjusza. W ramionach trzymała własną dwumiesięczną córeczkę. W namiocie unosił się zapach krwi, równie intensywny jak na polu bitwy. Kobiety staczały własne bitwy — pomyślał Skaurus.

Kiedy Marek odchylił połę namiotu, Erene drgnęła. Widocznie spodziewała się Gorgidasa. Od razu domyśliła się, co oznacza jego powrót.

— Co z Minucjuszem? — zapytała niespokojnie

— Wszystko w porządku — odparł Marek, nieświadomie powtarzając słowa Gorgidasza sprzed paru minut. — Nie ma nawet zadrapania. Jest dobrym wojownikiem.

Jego głos wyrwał Helvis z drzemki. Skaurus pochylał się nad nią i pocałował łagodnie. Erene wyśliznęła się nie zauważona z namiotu.

Helvis obdarzyła trybuna zmęczonym uśmiechem. Jej miękkie brązowe włosy były potargane i sklezione przez pot. Pod oczami widniały fioletowe kręgi. Lecz spojrziała na niego triumfalnie i podniosła mały kocyk z miękkiej jagnięcej wełny. Podała go Skaurusowi.

— Tak, pozwól mi na niego spojrzeć — powiedział Marek, ostrożnie biorąc od niej zawiniątko.

— Niego? Już się widziałeś z Gorgidasem — stwierdziła Helvis, ale Marek nie słuchał. — Jest podobny do ciebie — dodała Helvis miękko.

— Co? Nonsens. — Przyjrzał się twarzyczce nowo narodzonego syna.

Niemowlę było czerwone, pomarszczone, łyse i miało płaski nosek. Nie tylko nie przypominało jego, ale w ogóle istoty ludzkiej. Duże szaroniebieskie oczy przesunęły się po twarzy trybuna, zatrzymując się na niej na moment.

Dziecko wierzgnęło. Nie przyzwyczajony Skaurus omal go nie upuścił. Z kocyka uwolniła się rączka. Małeńka piastka machnęła w powietrzu. Marek ostrożnie wysunął palec. Macająca na oślep rączka chwyciła go i ścisnęła z zadziwiającą siłą. Trybun przyjrzał się miniaturowej dłoni, nadgarstkowi, różowym paluszkom, które obejmowały jego środkowy palec.

Helvis źle odczytała jego zainteresowanie.

— Ma po dziesięć palców u rąk i nóg — zapewniła. — Wszystko, co trzeba. — Roześmiali się oboje. Hałas wystraszył dziecko; zaczęło płakać. — Daj mi go — powiedziała Helvis i przytuliła syna do piersi. W jej wprawnych objęciach noworodek wkrótce się uspokoił.

— Damy mu takie imię, jak planowaliśmy? — zapytała.

— Chyba tak — westchnął trybun, niezbyt szczęśliwy z umowy, którą zawarli kilka miesięcy temu.

Wolałby czysto rzymskie imię przed starym rodowym Emiliusz Skaurus. Helvis twierdziła nie bez racji, że jej rodzina mogłaby się poczuć urażona. Tak więc zdecydowali, że na dziecko będą wołali Dosti po jej ojcu, a w razie potrzeby syn będzie używał dźwięcznego patronimikum.

— Dosti, syn Emiliusza Skaurusa — powiedział Marek, rozkoszując się brzmieniem tych słów. Nagle zachichotał, spoglądając na maleńkiego synka. Helvis zerknęła na niego z zaciekawieniem. — Na razie nazwisko małego mężczyzny jest dłuższe od niego samego — wyjaśnił.

— Zwariowałeś — skarciła go z uśmiechem.

V

Słońce wczesnego lata stało wysoko na niebie. Miasto Videssos, stolica i serce Imperium noszącego taką samą nazwę, lśniło w jego blasku. Białe stiuki i marmury, brązowe piaskowce, cegły koloru krwi, miriady złotych kuł na świątyniach Phosa — wszystko wydawało się tak blisko, że wystarczyło sięgnąć ręką z zachodniego brzegu cieśniny zwanej Końskim Brodem.

Lecz między armią a obiektem jej pożądania krążyły niezliczone statki wojenne o dziobach z brązu. Ortaias Sphrantzes stracił przedmieścia stolicy po drugiej stronie cieśniny, ale zostawił na tym brzegu tylko kilka jednostek większych od rybackich kutrów. Nawet porywczy Thorisin Gavras nie palił się do przeprawy, choć rosła w nim frustracja.

Zwołał naradę oficerów w rezydencji gubernatora, który uciekł do Ortaiasa. Wychodzące na wschód okno z czystego szkła dawało wspaniały widok na Koński Bród i Videssos. Marek podejrzewał, że Gavras celowo wybrał to miejsce jako przynętę dla generałów.

— Thorisinie — odezwał się Baanes Onomagoulos — nie mając statków, będziemy tutaj tkwili aż do śmierci ze starości. Moglibyśmy mieć dziesięć razy więcej wojska, ale dla nas byłoby tyle warte co fałszywy miedziak.

Uderzył laską w stół. Z powodu odniesionej rany miał krótszą prawą nogę.

Thorisin spiorunował go wzrokiem nie za to, co powiedział, lecz za protekcyjny ton. Niski, szczupły i łysy Onomagoulos miał twarz o ostrych rysach i dużym nosie. Był towarzyszem Mavrikiosa Gavrasa od dzieciństwa, ale jeszcze nie pogodził się z myślą, że mały braciszek poległego Imperatora jest teraz dorosłym mężczyzną.

— Chciałbym mieć statki — warknął Thorisin. Sphrantzesowie dobrze płacą kapitanom. Wiedzą, że tylko dzięki nim ich głowy jeszcze nie zdobią Kamienia Milowego.

Marek uznał to za czczą przechwałkę. Oprócz dumnych budowli i pięknych ogrodów widać było stąd również fortyfikacje Videssos, najpotężniejsze, jakie Rzymianin kiedykolwiek widział. Myśl o szturmie na podwójną linię groźnych ciemnych murów zatrwożyłaby każdego żołnierza, nawet gdyby udało się im jakoś pokonać Koński Bród. Po kolei, nie wszystko naraz — pomyślał.

— Onomagoulos ma rację. Bez statków nic nie wskóramy. A może by je wziąć od Duchy?

Utprand syn Dagobera po raz pierwszy włączył się do narady. Sądząc po wyspiarskim akcencie, można by go wziąć za Halogajczyka, kuzyna Namdalajczyków. Jego ludzie zjawili się niedawno. Dotarli tutaj z Phanaskertu przez zachodnie ziemie Videssos, tocząc po drodze walki z Yezda.

— To jest myśl — powiedział Thorisin sucho. Najwyraźniej niezbyt mu się podobała, ale siły Utpranda

wzmocniły jego armię o jedną trzecią, co skłaniało Imperatora do ostrożności.

Namdalajczyk uśmiechnął się chłodno. Miał niebieskie oczy, zimne jak lodowce, które jego przodkowie zostawili za sobą, kiedy dwieście lat temu opanowali Namdalen, zabierając go Imperium.

— Chyba nie wątpicie, panie, w naszą dobrą wolę? — zapytał takim samym ironicznym tonem jak Thorisin.

— Oczywiście, że nie — odparł Thorisin.

Przy stole rozległy się śmiechy. Duchy było cierniem w ciele Videssos od czasu burzliwych narażen. Halogajscy zdobywcy, nieokrzesani piraci, wiele nauczyli się od cywilizowanych poddanych. Ich wspólni potomkowie stali się wyrafinowanymi i niebezpiecznymi wojownikami. Walczyli dla Imperium, ale wszyscy zdawali sobie sprawę, że w sprzyjających okolicznościach sięgną po nie.

— Więc jak będzie? — zapytał Gavrasa Soteryk syn Dostiego.

Brat Helvis siedział po lewej ręce Utpranda. Młody Namdalajczyk zaszedł wysoko od czasu, kiedy trybun ostatnio go widział.

— Wolisz, panie, wygrać wojnę z naszą pomocą czy przegrać bez nas? — mówił dalej.

Skaurus drgnął. Soteryk zawsze w taki sposób formułował pytania, że równie trudno było odpowiedzieć „tak”, jak i „nie”. Z wyjątkiem dumnego nosa, który świadczył o videssańskim dziedzictwie, rysy miał takie same jak siostra, ale jego duże usta zwykle były ściągnięte w cienką linię.

Thorsin przesunął wzrok z niego na trybuna i z powrotem. Marek też zacisnął wargi. Wiedział, że Imperator nieufnie odnosi się do więzów przyjaźni i krwi między Namdalajczykami i Rzymianami.

— Są jeszcze inne możliwości — powiedział spokojnie Gavras i popatrzył na Skaurusa. — Co na to powiesz? Na razie niewiele się odzywasz.

Trybun był zadowolony z pytania, na które mógł odpowiedzieć beznamiętnie.

— Nikt nie wątpi, że statki są potrzebne. Jeśli chodzi o to, jak je zdobyć, inni wiedzą lepiej ode mnie. My, Rzymianie, zawsze woleliśmy walczyć na lądzie niż na morzu. Przewieźcie mnie na drugą stronę cieśniny, a udzielę wam rad, nie ma obawy. Thorsin uśmiechnął się niewesoło.

— Wierzę. W dniu, w którym nie wypowiesz swojego zdania, zacznę cię podejrzewać. Z pewnością milczenie jest lepsze niż mielenie językiem, kiedy nie ma się nic mądrego do powiedzenia.

Przyznawszy się do nieznajomości reguł wojny morskiej, Marek wrócił myślami do utraconej ojczyzny.

— Moi rodacy walczyli z krajem zwanym Kartaginą, który w przeciwieństwie do nas miał silną flotę. Kiedy jeden z ich statków wpadł na mieliznę, wykorzystaliśmy go jako model i wkrótce rzuciliśmy im wyzwanie na morzach. Czy nie możemy tutaj zbudować własnych statków?

Pomysł nie spodobał się Gavrasowi, który brał pod uwagę tylko istniejące jednostki. W zamyśleniu podrapał się po brodzie. Marek stwierdził, że białe pasma po obu stronach szczęki są szersze niż przed rokiem.

— Ile czasu zajęło twojemu ludowi zbudowanie floty? — zapytał Imperator.

— Sześćdziesiąt dni na pierwszy statek.

— Za długo, za długo — mruknął Thorsin, bardziej do siebie niż do zebranych. — Żał mi każdego dnia. Tylko Phos wie, co Yezda wyprawiają nam za plecami.

— Nie tylko Phos — odezwał się Soteryk tak cicho, że Gavras chyba nie usłyszał.

Z podróży przez Videssos Namdalajczycy przynieśli niewiele radosnych wieści. Choć nie kochali Thorsina Gavrasa, zgadzali się, że im prędzej wygra wojnę domową, tym większe będą szanse odzyskania zachodnich ziem Imperium.

Thorsin napełnił kubek winem z kształtnej karafki wykonanej z połączanego srebra, należącej,

podobnie jak dom, do zbiegłego gubernatora. Splunął na podłogę na znak pogardy dla Skotosa i jego dzieł, a potem uniósł oczy i ręce, zanosząc modlitwę do Phosa. Ten sam rytuał Skaurus widział pierwszego dnia po tym, jak znalazł się w Imperium.

Uświadomił sobie z zaskoczeniem, że rozumie modlitwę. Gorgidas miał rację. Videssos stopniowo zostawiało na nim swoje piętno.

Pół godziny jazdy na południe od przedmieścia, które Videssańczycy nazywali po prostu „Po Drugiej Stronie”, ciągnęły się do samego morza sady cytrusowe. Od wody oddzielał je tylko wąski pas białej plaży. Skaurus przywiązał pożyczonego konia do gładkiego pnia drzewa i zaklął cicho, kiedy w ciemności zadrapał się o kolec.

Dochodziła północ. Na bezksiężycowym niebie jaśniały obce konstelacje. Światła wielkiego miasta leżącego na wschodnim brzegu cieśniny byłyby bardziej użyteczne niż ich zimny blask, gdyby nie zasłaniała ich groźna sylweta wojennej galery. Zsiadający z koni obok Marka ludzie stanowili czarne cienie.

Gajusz Filipus omal nie upadł.

— Niech diabli wezmą te ostrogi — mruknął po łacinie. — Wiedziałem, że o nich zapomnę.

— Cisza tam — syknął Thorisin Gavras i ruszył w stronę plaży.

Reszta podążyła za nim. W niemal zupełnej ciemności trudno było rozpoznać członków grupy. Trochę światła odbijało się od wygolonej czaszki Neposa i ukazywało jego niską baryłkowatą postać. Baanesa Onomagoulosa zdradzał kołyszący krok. Pozostali oficerowie wyglądali identycznie.

Gavras trzy razy odstąpił małą latarnię. Gdzieś w trawie zacykał świerszcz. Idący aż podskoczyli i szybko zdusili nerwowe śmiechy. Lecz głos owada nie był umówionym sygnałem.

— Jest nas tutaj za dużo — rzucił niespokojnie Onomagoulos i po chwili dodał: — Wasz drogi przyjaciel wyczuje pismo nosem.

— Cisza — powtórzył Gavras, robiąc niewidoczny w ciemności gest.

Na dziobie statku wojennego dwa razy błysnęło światło.

Thorisin mruknął z zadowoleniem i wysłał w odpowiedzi pojedynczy błysk. Po chwili Marek usłyszał cichy plusk fal o drewno. Z galery spuszczoneo łódź.

Trybun zacisnął dłoń na rękojeści miecza. „Inne możliwości”, przypomniał sobie słowa Gavrasa sprzed tygodnia. Uważał te pertraktacje za głupi i samobójczy pomysł. Gdyby admirał z biremy — jego tytuł brzmiał drungarios floty — postanowił zdradzić i wysadzić na brzeg żeglarzy, rebelia przeciwko Sphrantzesom szybko by się skończyła.

Thorisin tylko się roześmiał, kiedy Skaurus przedstawił mu swoje obawy.

— Nigdy nie spotkałeś Tarona Leimmokheira, bo inaczej nie wygadywałbyś takich bzdur. Jeśli

obietuje bezpieczne spotkanie, to będzie ono bezpieczne. Kłamstwo nie leży w jego naturze.

Łódź wypłynęła z cienia macierzystego statku i Skaurus przekonał się, że Gavras miał rację. Siedzieli w niej tylko trzech ludzi: dwóch wiosłujących i nieruchoma postać przy sterze. To musiał być sam drungarios. Wioślarze tak zręcznie zanurzali wiosła, że sunęli po wodzie bezszelestnie. Tylko zielononiebieska fosforyzująca piana, która tworzyła się przy każdym pociągnięciu, świadczyła o tym, że płyną do brzegu.

Kil zazgrzytał cicho o piasek. Mała łódź wiosłowa dobiła do plaży. Wioślarze wyskoczyli i wciągnęli ją poza zasięg fal. Leimmokheir ruszył dużymi krokami w stronę mężczyzn czekających między drzewami. Albo miał szczęście, albo doskonale widział w nocy, gdyż nieomylnie wyłowił Thorisina Gavrasa spośród grupki.

— Cześć, Gavras — powiedział, uderzając dłonią o dłoń Thorisina. — Skradanie się po nocy to podejrzana sprawa, ale mnie nie obchodzi.

Miał głęboki, ochryple głos, zdarty po latach przekrzykiwania wiatru i fal. Usłyszawszy go, Marek zrozumiał, dlaczego Thorisin Gavras ufa temu człowiekowi. Trudno było sobie wyobrazić, by mógł zdradzić.

— Sprawa jest prosta — odparł Gavras. — Pomóż nam przeprowić się przez cieśninę i wypędzić głupca Ortaiasa i jego wuja pająka. Na Phosa, człowieku, od pół roku obserwujesz rządy tych dwóch. Nie nadają się do czyszczenia czerwonych butów, nie mówiąc o ich noszeniu.

Taron Leimmokheir wciągnął powoli powietrze.

— Złożyłem przysięgę Ortaiasowi Sphrantzesowi, kiedy jeszcze nie było wiadomo, czy żyjesz. Chcesz, żebym zdradził? Ci, którzy łamią przysięgi, trafiają do lodowego domu Skotosa.

— Chcesz, żeby Imperium popadło w ruinę przez twoje skrupuły? — odparował Thorisin.

Czasami mówił podobnie jak Soteryk. Skaurus wyczuł, że Imperator obiera złą taktykę wobec drungariosa.

— Po co z nim walczyć, skoro można współpracować? — odwzajemnił się Leimmokheir. — Są gotowi przysiąc, że dadzą ci tytuł, który miałeś za rządów swojego brata, niech dobry Phos świeci nad nim.

— Przysięgi Sphrantzesa cenię jeszcze mniej niż jego monety.

To był celny strzał. Leimmokheir wybuchnął śmiechem, lecz nie zmienił zdania.

— Stałeś się zgorzkniały i nieufny — stwierdził. — Przed łamaniem przysięg powstrzyma ich choćby fakt, że jesteście teraz spowinowaceni poprzez małżeństwo. Podwójnie potępieni są ci, którzy ośmielają się występować przeciwko rodzinie.

— Jesteś uczciwym, pobożnym człowiekiem, Taronie — powiedział z żalem Thorisin. — Ponieważ nie ma w tobie zła, nie widzisz go w innych.

Drungarios złożył lekki ukłon.

— Możliwe, ale muszę robić, co do mnie należy. Kiedy spotkamy się następnym razem, będę z tobą walczył.

— Brać go! — zawołał Soteryk.

Dwaj żołnierze Leimmokheira przyjęli czujną postawę, lecz Gavras potrząsnął głową.

— Chcesz zrobić ze mnie Sphrantzesa, Namdalajczyku?

Z boku rozległo się burknięcie Utrpranda. Thorisin zignorował go i zwrócił się do Tarona Leimmokheira.

— Odejdź — powiedział.

Marek nigdy nie słyszał takiej goryczy i znużenia w jego głosie.

Drungarios uklonił się w pas. Ruszył wolno w stronę łodzi, ale po paru krokach odwrócił się, jakby chciał coś powiedzieć. Rozmyślił się jednak. Usiadł przy sterze. Jego ludzie zepchnęli łódź na wodę i sami wskoczyli. Chwycili za wiosła. Łódź okręciła się i popłynęła w stronę galery.

Marek usłyszał trzeszczenie drabinki sznurowej. Dźwięk niósł się wyraźnie po wodzie. Taron Leimmokheir wydał chrapliwym basem jakąś komendę. Wiosła biremy ożyły. Statek ruszył cicho na południe jak monstualna stonoga i wkrótce zniknął za cyplem.

Thorisin obserwował ją z rozczarowaniem widocznym w całej postawie.

— Uczciwy i pobożny, ale z drugiej strony zbyt ufny — powiedział do siebie. — Pewnego dnia zapłaci za to.

— Jeśli najpierw my nie zapłacimy! — wykrzyknął Indakos Skylitzes. — Patrzcie tam!

Z północy ku samotnemu skrawkowi plaży sunął po wodzie barkas. Był to dwudziestostopowiec załadowany uzbrojonymi ludźmi.

— Zdrada! — rzucił Gavras z niedowierzaniem w głosie. Przez chwilę stał skamieniały. W tym czasie statek przybił do brzegu. — Phos niech wyklinie podłego zdrajcę na całą wieczność. Pewnie wysadził żołnierzy na południe od nas, gdy tylko zniknął z widoku.

Zabrzączał miecz wyjęty z pochwy. Ostrze błysnęło w świetle obojętnych gwiazd.

— Jest nas tu więcej, niż naliczył admirał. Stańmy do walki. Videssos! — wykrzyknął i popędził w stronę barkasa, : którego żołnierze wyskakiwali na plażę.

Skaurus pognał za Gavrasem, a za nim pozostali oficerowie. Tylko Nepos i Onomagoulos zostali z tyłu. Ten pierwszy nie był wojownikiem, a drugi ledwo chodził.

Napastnicy mieli przewagę liczebną nad grupą Gavrasa. Było ich z dwudziestu. Lecz zamiast to wykorzystać, stali zaskoczeni, czekając na wrogów.

— Ha, łotry! — krzyknął Thorisin. — Nie będzie łatwego zabójstwa, jak wam obiecano, co?

Zamachnął się mieczem na jednego z marynarzy. Ten odparował cios i też zaatakował. Thorisin uskoczył zręcznie. ciał znowu. Przeciwnik jęknął i upuścił broń, chwytając się z lewe ramię, z którego tryskała krew. Ostatni cios, zadany oburącz, rozplątał mu brzuch. Nieszczęśnik zwałił się

na piasek i znieruchomiał.

Ta bitwa w ciemności należała do najgorszych, jakie stoczył Marek. Prawie niemożliwe było odróżnienie przyjaciela od wroga, nie mówiąc o wymierzaniu ciosów. Walkę utrudniał jeszcze zdradliwy piasek, który obsuwał się spod nóg.

Jeden z napastników zamachnął się na Skaurusa. Szabla świsnęła tuż obok ucha trybuna. Marek cofnął się chwiejnie, żałując, że nie ma tarczy ani pancerza. Nadstawił miecz. Przeciwnik, który sądził, że wróg jest na jego łasce, zrobił wypad i nadział się na niewidoczne ostrze. Zacharczał i skonał.

Podobnie jak towarzysze Gavrasa, napastnicy nie mieli na sobie zbroi. Wypływając w morze, nie chcieli ryzykować, że jej ciężar ściągnie ich na dno. Sprzymierzeńcy Thorisina byli mistrzami sztuki wojennej, żołnierzami doświadczonymi i zaprawionymi w bojach. Te cechy w połączeniu z wściekłością z powodu zdrady równoważyły przewagę, którą dawała wrogowi liczebność.

Wkrótce niedoszli mordercy zaczęli ratować się ucieczką, ale nie mieli szczęścia. Trzej, którzy próbowali wsiąść na statek, padli pod ciosami mieczy.

Soteryk puścił się po plaży za ostatnim siepaczem. Ten stwierdził, że ucieczka nie ma sensu, i postanowił się bronić. Stał zadzwięczała o stal. Marek niewiele widział w ciemności. Namdalajczyk zadał przeciwnikowi miazdzący cios i powalił go zakrwawionego na biały piasek.

Skaurus rozejrzał się gorączkowo w poszukiwaniu innych wrogów, ale nie dostrzegł żadnego. Czekają go teraz gorsze zadanie: sprawdzenie własnych strat. Na ziemi leżał Indakos Skylitzes i dwaj yaspukarańscy oficerowie, których trybun nie znał dobrze, oraz Namdalajczyk, towarzysz Utpranda i Soteryka. Trybun pomyślał, że życie osoby, która dostanie miecz poległego, nagle legnie w gruzach.

— Wspaniała walka! — krzyknął rozradowany Gavras na całą plażę. — Taki los czeka morderców! Oni... hej, przestań! Co robisz, na imię Phosa?

Baanos Onomagoulos chodził kulejąc wśród pobojuwiska i metodycznie podrzynał gardła napastnikom, którzy jeszcze się ruszali. Jego ręce lśniły wilgocią w bladym świetle gwiazd.

— A jak myślisz? — warknął Onomagoulos. — Przekłęci żeglarze Leimmokheira zjawiają się w każdej chwili. Mam zostawić tych sukinsynów, żeby im powiedzieli, gdzie jesteśmy?

— Nie — przyznał Thorisin. — Mogłeś oszczędzić jednego. Zadalibyśmy mu parę pytań.

— Za późno. — Onomagoulos rozłożył zakrwawione ręce. — Nepos! — zawołał. — Poświeć mi. Myślę, że zaraz uzyskamy odpowiedź na wszelkie pytania.

Kapłan podszedł do Onomagoulosa. Oficerowie westchnęli z nabożnym podziwem, kiedy wokół dłoni Neposa pojawił się bladozłoty blask. Marek nie zdziwił się, gdyż już wcześniej widział ten cud w wykonaniu Apsimara, prałata Imbros.

Jeśli chodzi o reakcję Baanesa Onomagoulosa, Nepos mógłby równie dobrze rozpałić pochodnię.

Kulawy szlachcic z trudem pochylił się nad jednym z poległych wrogów. Nożem przeciął jego sakiewkę. Na piasek wysypało się dużo sztuk złota. Onomagoulos zgarnął je i przysunął do świecących rąk Neposa. Wszyscy stłoczyli się wokół kapłana.

— Ort. I Sphr., Aut. Vid. — odczytał Onomagoulos z monety, nie zadając sobie trudu, żeby rozwinąć skróty. Tutaj znowu Ort. I. — Odwrócił pieniądz. — I znowu. Wszędzie tylko przeklęty przez Phosa Ort. I.

— Tak, świeżo bite — zauważył Utprand syn Dagobera, przeciągając samogłoski.

— Czym innym mógłby Leimmokheir zapłacić wynajętym zabójcom? — zapytał Onomagoulos retorycznie.

— Jak tego dokonali Sphrantzesowie? — zdziwił się Thorisin. — Vardanes musiał sprzymierzyć się ze Skotosem, żeby namówić do zdrady Tarona Leimmokheira.

Nikt mu nie odpowiedział. Od południa dobiegł głośny trzask rozgarnianych krzaków. Błysnęły miecze. Światelko zgasło.

— Sukinsyn wysadził marynarzy! — ryknął Onomagoulos.

— Nie sądzę — powiedział Gajusz Filipus, obyty w lasach. — Myślę, że lis albo borsuk.

— Chyba masz rację — stwierdził Utprand.

Lecz namdalajski centurion najwyraźniej nie miał ochoty czekać na gości. Razem z towarzyszami pośpieszył w stronę wierzchowców. Soteryk, Skaurus i Nepos zaciągnęli ciała poległych do miejsca, gdzie były przywiązane konie. Chwilę później kłusowali przez sady, smagani gałęziami.

Nikt ich nie ścigał. Kiedy wypadli spomiędzy pachnących drzew, Imperator przegalopował pół mili z czystej radości, że żyje. Potem zatrzymał się i czekał niecierpliwie na swoich ludzi. Gdy do niego dołączyli, miał minę człowieka, który podjął decyzję.

— Skoro nie możemy przepawić się z pomocą Leimmokheira, zrobimy to na przekór niemu — oświadczył.

— Na przekór — powtórzył Gorgidas następnego ranka. — Dźwięczna fraza, bez wątpienia.

W rzymskim obozie zawrzało, kiedy dotarła do niego wieść o nocnej przygodzie. Zielony z zadości Viridoviks dąsał się przez wiele godzin, jak zawsze kiedy ominęła go walka. Dopiero Skaurusowi udało się go obłaskawić.

Legioniści zasypywali trybuna i Gajusza Filipusa pytaniami. Większość zadowalała się jednym lub dwoma, tylko Gorgidas usilnie próbował wyciągnąć z nich wszelkie szczegóły. Jego natarczywość w końcu zirytowała centuriona, który w przeciwieństwie do refleksyjnego Skaurusa miał niewiele cierpliwości do wszystkiego, co nie miało praktycznego zastosowania.

— Najchętniej byś porozmawiał z jednym z wynajętych zabójców, którym Onomagoulos pode-

rznął gardła — stwierdził. — Przystąpiłbyś do niego z kleszczami i rozpalonym żelazem.

— Onomagoulos, tak? — podchwycił Grek. — Dzięki, że przypomniałeś mi o czymś jeszcze. Skąd on wiedział, że znajdzie pieniądze Ortaiasa z sakiewce poległego?

— Wielcy bogowie, to powinno być oczywiste nawet dla ciebie. — Gajusz Filipus uniósł ręce. — Skoro drungarios wynajął morderców, musiał im zapłacić pieniędzmi swojego pana. — Centurion zaśmiał krótko. — Mało prawdopodobne, żeby miał jakieś Thorisina. A teraz bez wymigiwania się powiedz mi, dlaczego zadajesz te wszystkie pytania.

Wygadany Grek nagle zaniemówił. Uniósł brew i wlepił spojrzenie w Gajusza Filipusa.

— Można by pomyśleć, że piszesz historię — odezwał się Marek, przychodząc centurionowi z pomocą.

Na twarz Gorgidasa wypełził rumieniec. Skaurus zorientował się, że jego żart trafił w sedno.

— Wybacz — powiedział. — Nie wiedziałem. Od jak dawna nad tym pracujesz?

— Co? Odkąd nauczyłem się videssańskiego na tyle, by poprosić o pióro i pergamin. Wiesz, że nie mają tutaj papirusu.

— W jakim języku piszesz? — zapytał trybun.

— *Hellenisti, ma Dia!* Po grecku, na Zeusa! W jakim innym języku można wyrazić poważne myśli? — odparł lekarz, przechodząc na ojczystą mowę.

Gajusz Filipus wpatrywał się w niego ze zdumieniem. Jego znajomość greki ograniczała się do kilkunastu słów, przeważnie sprośnych, ale rozpoznał język.

— Po grecku, powiadasz? Ze wszystkich bezsensownych rzeczy, o których słyszałem, ta przebija wszystkie! Po grecku, w Videssos, gdzie nikt nie zna ani słowa w tym języku. Człowieku, mógłbyś być Homerem albo tym pierwszym historykiem... jak mu tam? Słyszałem o nim kiedyś, ale niech mnie diabli, jeśli sobie przypomnę... — Zerknął na Skaurusa, szukając u niego pomocy.

— Herodot — podsunął trybun.

— Dzięki, o to nazwisko mi chodziło. Jak powiedziałem, Gorgidasie, mógłbyś być jednym z tych mądrali albo nawet nimi oboma jednocześnie, i kto by się na tym poznał? Po grecku! — powtórzył z lekceważeniem i zdumieniem.

Lekarz poczerwieniał jeszcze bardziej.

— Tak, po grecku. Dlaczego nie? — powiedział ostro. — Może któregoś dnia będę na tyle mocny w videssańskim, żeby zacząć w nim pisać albo jeden z tutejszych uczonych pomoże mi przetłumaczyć to, co napisałem. Manetho Egipcjanin i Berosos z Babilonu pisali po grecku, żeby Hellenowie poznali dawną chwałę ich narodów. Byłoby nieźle, gdyby w Videssos została pamięć po nas.

Mówił z wielkim zapałem, ale nie zrobiło to wrażenia na Gajuszu Filipusie. Centuriona zupełnie nie obchodziło, co będzie po jego śmierci. Wyczuł jednak, że starczy docinków. Na swój sposób

lubił lekarza, więc wzruszył ramionami i powiedział:

— Takie gadanie to strata czasu. Lepiej pójde pomusztrować ludzi. Są tłuści i leniwi.

Odmaszerował dumnym krokiem, potrząsając głową.

— Videssańczycy będą zainteresowani twoją pracą — stwierdził Marek. — Mają własnych historyków. Alypia Gavra mówiła, że ich czyta. Zdaje się, że robiła notatki do własnej książki. Ostatecznie zasiadała w radzie wojennej Mavrikiosa. Mogłaby ci pomóc.

W oczach lekarza pojawił się błysk wdzięczności. Lecz Gorgidas nie byłby sobą, gdyby nie dorzucił uszczypliwej uwagi.

— Może i tak, gdyby nie to, że przebywa po drugiej stronie cieśniny i jest poślubiona niewłaściwemu Imperatorowi. Ale to przecież szczegóły.

— Już dobrze, dobrze, masz rację. Powiem ci jednak, że nawet gdyby Alypia była po drugiej stronie księżycy, i tak chciałbym ujrzeć twoje dzieło.

— No jasne, przecież ty czytasz po grecku. Zapomniałem. — Westchnął i dodał z żalem: — Po prawdzie, Skaurusie, to zacząłem pisać przede wszystkim dlatego, żeby nie zapomnieć liter. Bogowie wiedzą, że nie jestem... ee, jak on się nazywa? — Zachichotał. — Przy okazji stwierdziłem, że potrafię składać zrozumiałe zdania.

— Chciałbym zobaczyć to, co już napisałeś — powiedział Skaurus. Mówił szczerze.

Zawsze lubił historię z jej beznamiętnym podejściem. Stanowiła dla niego rzetelniejszą przewodniczkę po dziejach świata niż górnolotne mowy oratorów. Tukidydes i Polibios byli warcidziesięć razy więcej niż Demostenes, który sprzedawał swój język jak kobieta cnotę i czasami układał mowy dla oskarżenia i obrony w tej samej sprawie.

— Skoro już o tym mówimy — odezwał się Gorgidas, przerywając jego zamyślenie — czy Gavras nie wspomniał, jak zamierza pokonać Koński Bród? Nie pytam jako historyk, tylko jako człowiek, który chciałby jeszcze trochę pożyć.

— Ja też nie mam ochoty ginąć — przyznał Marek. — Lecz nie wiem, co on zamierza. W każdym razie jego plan może się powieść. Thorisin przypomina Odyseusza. To *sophron*.

— *Sophron*? — powtórzył Gorgidas. — Cóż, miejmy nadzieję, że się nie mylisz.

Greckie słowo oznaczało człowieka górującego roztropnością i umiarkowaniem nad innymi ludźmi. Gorgidas nie był pewien, czy to określenie pasuje do Gavrasa. Stwierdził natomiast, że świetnie oddaje charakter Skaurusa.

Mewy o czarnych łebkach krążyły w powietrzu, nurkowały i skrzeczały z dezaprobatą na uzbrojonych ludzi, którzy wchodzili po rozklekotanej drabince do kutra rybackiego pamiętającego lepsze czasy.

— Sio, przebrzydłe morskie wrony! — krzyknął na nie Viridoviks, potrząsając pięścią. — Mnie też się to nie podoba!

Wzdłuż nabrzeży i plaż zachodnich przedmieść Videssos armia wchodziła na pokłady jednostek pływających, które tworzyły najdziwniejszą flotę, jaką widział Marek. Trzon skleconej naprędce armady Thorisina Gavrasa stanowiły cztery zbożowce. W jej skład wchodziły również liczne kutry rybackie, nieomylnie rozpoznawane węchem, łodzie przemycnicze o smukłych kształtach i dużych żaglach, małe poławiacze gąbek — niektóre wielkości łodzi wiosłowych, o masztach nie grubszych od drzewca włóczni — a także bezkilowe barki rzeczne. Nikt nie miał ochoty zgadywać, jak będą się sprawowały na otwartym morzu. Było też wiele statków, których funkcji trybun, słabo obeznany z morzem, nawet nie próbował się domyślać. Pomógł Neposowi wejść na pokład kutra rybackiego.

— Dziękuję — powiedział kapłan i oparł się o kabinę. Deski zatrzeszczały pod jego ciężarem, ale Nepos nie zmienił pozycji. — Na litościwego Phosa, ależ jestem zmęczony.

Pod oczami, z których nie zniknęły wesołe iskierki, widniały ciemne kręgi, a słowa wypowiadał powoli, jakby każde wymagało ogromnego wysiłku.

— Masz prawo — przyznał Skaurus.

Wspomagany przez trzech czarnoksiężników, kapłan ostatnie dwa i pół tygodnia poświęcił rzucaniu czarów na wszystkie łodzie, które Thorisin zebrał z całego zachodniego wybrzeża. Główny ciężar zadania spoczywał na barkach Neposa jako członka Akademii Videssańskiej. Jego koledzy, prowincjonalni czarodzieje, nie mieli wybitnych talentów. Nawet zwykła magia była ciężką, wyczerpującą pracą, a to, czego dokonał kapłan, nie było czarnoksięstwem w najprostszym wydaniu.

Gorgidas zeskoczył na pokład miękko jak kot. Chwilę później pojawił się przy nim Gajusz Filipus, który przybrał taką postawę, jakby rzucał wyzwanie lekko kołyszącej się łodzi.

— Viridoviks!

Ciche wołanie dobiegło z sąsiedniej łodzi, kutra rybackiego o łańskim ożaglowaniu, jeszcze mniejszego i brudniejszego niż ten, który Celt miał dzielić z innymi rzymskimi oficerami.

— Hej, Bagratouni! — odkrzyknął Viridoviks. — Jesteś zadowolony, że znalazłeś się na morzu?

Pochodzący z leżącego w głębi lądu Yaspukaranu, Gagik Bagratouni wyraził kiedyś żal, że nie zna morza. Teraz twarz nakharara o lwich rysach była wyraźnie zielona.

— Zawsze się tak rusza? — zapytał.

— Niepotrzebnie mi przypomniałeś — powiedział z wyrzutem Viridoviks i głośno przełknął ślinę.

— Przez poręcz, a nie na pokład — ostrzegł go kapitan, chudy, ciemny mężczyzna w średnim wieku, o włosach i brodzie takiego samego koloru jak wypłowiałe od słońca deski. Jego mina wyrażała zdumienie. Jak człowiek może chorować na prawie nieruchomej łodzi?

— Jeśli mój żołądek zdecyduje się podejść do gardła, skorzystam z tego, co mam pod sobą, nie pytając o pozwolenie — oświadczył Viridoviks po łacinie.

— I co teraz? — zapytał Marek Neposa i wskazał na galery patrolowe, których szerokie żagle wyglądały jak płetwy rekinów. — Będziemy dla nich niewidzialni jak przez chwilę Yezda w czasie wielkiej bitwy?

Oblewał się zimnym potem za każdym razem, kiedy o tym myślał, choć videssańscy czarnoksiężnicy szybko rzucili kontrczary, dzięki którym nomadzi na powrót stali się widzialni.

— Nie, nie. — W głosie kapłana brzmiała jednocześnie niecierpliwość i zmęczenie. — Czar jest skuteczny, póki w pobliżu nie ma wrogiego maga. W przeciwnym razie równie dobrze można rozpaść ognisko na dziobie.

Kapitan gwałtownie odwrócił głowę w ich stronę. Nie chciał nic słyszeć o ogniskach.

— Poza tym — kontynuował Nepos — łatwo jest przewyciężyć czar niewidzialności, a gdyby to przydarzyło się nam na morzu, rzeź byłaby straszna. Skorzystamy z subtelniejszej metody, opracowanej w zeszłym roku w Akademii. W rzeczywistości będziemy doskonale widoczni przez całą drogę na wschodni brzeg Końskiego Brodu.

— I to ma być magia? — odezwał się Gajusz Filipus. — Sam mógłbym tam dopłynąć, choć nie sprawiłoby mi to przyjemności.

— Chwileczkę — zaprotestował Nepos. — Pozwól mi dokończyć. Przepłyniemy wrogom pod samym nosem, a oni nas nie zobaczą. Na tym polega sztuka. Ich wzrok będzie prześlizgiwał się po nas.

— Rozumiem — powiedział centurion z aprobatą. — Tak samo zdarza się, kiedy poluję na kuropatwy. Przechodzę obok i nie zauważam ich, ponieważ kolor upierzenia zlewa się z barwą krzaków i roślin, w których się chowają.

— Coś w tym rodzaju — zgodził się Nepos. — Ale niezupełnie. To nie będzie zwykły kamuflaż, lecz magia, łagodniejsza niż czar niewidzialności i prawie niemożliwa do wykrycia, chyba że czarnoksiężnik o niej wie.

— Jest sygnał — oznajmił kapitan.

Na okręcie flagowym Thorisina Gavrasy, smukłym statku przemytniczym, dość dużym, by mógł się zmierzyć z galerą wojenną Ortaiasy, załopotał błękitny porporzec Imperium Videssańskiego. Gdy rozwinął się na północno-zachodnim wietrze, zajaśniało wyszyte pośrodku słońce Phosa.

Jeden z żeglarzy odwiązał liny cumownicze, cisnął je na pokład i wskoczył zwinnie do łodzi. Kapitan rzucił rozkazy i czteroosobowa załoga postawiła kwadratowy żagiel. Płótno było stare, wyciągnięte i połatanie, lecz chwyciło wiatr. Kołysząc się lekko na niewielkiej fali, kuter wypłynął na Koński Bród.

Skaurus i jego towarzysze przeszli na dziób, żeby usunąć się z drogi żeglarzom. W zachodniej

części cieśniny roło się od birem, ale żadna nie zwracała na nich najmniejszej uwagi. Jak do tej pory magia Neposa działała.

— Co zrobisz, jeśli czar zawiedzie w połowie przeprawy? — zapytał Marek.

— Zaczę się modlić — odparł Nepos krótko. Widząc jednak, że Skaurusowi wcale nie chodziło o to, żeby się z nim podrażnić, dodał: — Niewiele więcej mógłbym zrobić. To skomplikowany czar, niełatwo go rzucić.

Od chwili wypłynięcia w morze Viridoviks przestał zwracać uwagę na otoczenie, pochłonięty własnym cierpieniem. Wychylał się za burzę, z taką desperacją trzymając się relingu, że zbierały mu kostki. Gajusz Filipus, który nie wiedział co to choroba morska, spytał Neposa:

— Powiedz mi, kapłanie, czy twój czar tłumi również odgłos rzygania?

Na twardym gruncie taka uwaga wywołałaby kłótnię, ale tutaj Celt tylko jęknął i chwycił się mocniej barierki. Nagle wyprostował się.

— Co to było? — zawołał ze zdumieniem, wskazując na wodę.

Obecni podążyli wzrokiem za jego palcem, ale nie zobaczyli niczego oprócz niebieskiego morza i śladu w postaci białej piany.

— Następna! — zawołał Viridoviks. Niedaleko od łodzi wyskoczył nad powierzchnię morza gładki srebrny kształt, przeleciał czterdzieści metrów w powietrzu i wpadł do wody. — Co to za czary? Dobry omen czy zły?

— Masz na myśli latającą rybę? — spytał Gorgidas zaskoczony.

Wychowani nad ciepłym Morzem Śródziemnym Rzymianie znali te stworzenia, których nie spotykało się w chłodnych wodach północnego oceanu. Uparty Gal nie chciał uwierzyć zapewnieniom przyjaciół i Neposa, że to tylko gatunek ryby.

— Próbujecie mnie nabrać — stwierdził. — Jesteście wyjątkowo okrutni. Korzystacie z tego, że się tak okropnie czuję, i w ogóle.

Z powodu choroby był rozdrażniony. Mówił tonem nabrzmiałym wrogością.

— A niech to... — powiedział wyprowadzony z równowagi Gajusz Filipus. — Durny Celt!

Wokół łodzi pojawiło się mnóstwo latających ryb, które prawdopodobnie uciekały przed tuńczykiem. Jedna, odważniejsza, ale zarazem bardziej pechowa od towarzyszek, wylądowała na pokładzie niemal u stóp centuriona. Gajusz Filipus wyjął sztylet i uderzył ją trzonkiem w głowę.

Podniósł rybę i podał Galowi. Szerokie płetwy wisiały bezwładnie. Złote oczy już zmętniały, błękitny grzbiet i srebrny brzuch utraciły połysk i nabrały odcienia trupiej szarości.

— Zabiłeś ją — stwierdził Viridoviks z konsternacją i wrzucił stworzenie do morza.

— Kolejne głupstwo — skwitował centurion. — Usmażone smakują doskonale.

Lecz Viridoviks tylko potrząsnął głową. Według niego zginęła baśniowa istota, a nie ryba. Poza tym nie mógł myśleć o jedzeniu.

— Powinieneś być wdzięczny — zauważył Gorgidas. — Tak cię zainteresowały latające ryby, że zapomniałeś o chorobie.

— Rzeczywiście — powiedział Celt ze zdumieniem.

Na twarz wrócił mu szeroki uśmiech. Lecz w tym momencie o dziób kutra rozbiła się większa fala. Lekka łódź zakołysała się łagodnie. Viridoviks wytrzeszczył oczy, /bladł i znowu musiał poszukać poręczy.

— Niech cię diabli, że mi przypomniałeś — wykrztusił między atakami mdłości.

Niektóre z łodzi Thorisina znajdowały się teraz blisko galer patrolowych, ale nic nie wskazywało na to, by zostały zauważone. Płynąc do miejsca lądowania, wyznaczonego kilka mil na południe od stolicy, kuter Marka minął okręt wojenny Sphrantzesów w odległości stu metrów.

Była to chwila pełna napięcia, mimo czarów chroniących flotę Gavrasa. Trybun odczytał bez trudu nazwę namalowaną złotą farbą na dziobie statku: „Niszczyciel Korsarzy”. Ostry dziób z brązu, zaśnieżony od morskiej wody, pojawiał się i znikał z pola widzenia. Na deskach zwykle znajdujących się pod linią zanurzenia widniały białe osady ze skorupiaków. Na przednim pokładzie stała machina do miotania strzał, załadowana i gotowa do użycia. Od stalowych grotów odbijało się światło.

Dwa rzędy długich wiosel unosiły się i opadały równym ruchem. Nawet taki szczer lądowy jak Skaurus potrafił ocenić, że wiosłarze stanowią zgraną załogę. Niezależni od wiatru, płynęli stałym kursem na północ. Ponad skrzyp i uderzenia wiosel o wodę wybijała się piosenka śpiewana basowym głosem, która pomagała utrzymać tempo:

Mały ptaszek z żółtym dziobkiem

Usiadł na parapecie mojego okna...

Videssańska armia również ją śpiewała i Rzymianie szybko nauczyli się jej słów. Liczyła pięćdziesiąt dwie zwrotki, dowcipne, niektóre brutalne, inne sprośne, a w większości występowały te trzy elementy.

Płynący z dużą szybkością „Niszczyciel Korsarzy” oddalił się i śpiew ucichł. Podoficerowie stali przy bliźniaczych wiosłach sterowych na rufie. Obserwator znajdował się na maszcie, żeby krzykiem ostrzec o niebezpieczeństwie. Marek uśmiechnął się do siebie. Gdyby czar Neposa nagle zniknął, biedak zapewne dostałby ataku serca.

Trybun uśmiechnął się jeszcze szerzej, gdy zobaczył, jak zbieranina zwana flotą Imperatora przepływa Koński Bród pod nosem imperialnej armady. Szybsze łodzie prawie dobijały do brzegu. Nawet wolniejsze, niezgrabne barki już minęły galery Ortaiasa. Videssos powinno być zbyt zaskoczony widokiem armii Gavrasa pojawiającej się znikąd pod murami miasta, żeby stawić zdecy-

dowany opór.

— Świetna robota — powiedział wylewnie do Neposa. — Dzięki niej wojna jest już prawie wygrana.

Jak wszyscy kapłani Phosa, Nepos ślubował pokorę. Zaczerwienił się teraz, słysząc pochwałę.

— Dziękuję — odparł nieśmiało. Ponieważ jednak był nie tylko kapłanem, ale i akademikiem, dorzucił: — Ten sukces przeniesie ważny nowy czar ze sfery teorii do sfery praktyki. Badania oczywiście były dziełem wielu osób. To zwykły przypadek, że akurat ja go wypróbowałem. To...

Kapłan zachwiał się i spurpurowiał na twarzy. Nie był to rumieniec skromności. Wyglądało to, jakby na jego szyi zacisnęły się ręce dusiciela. Marek i Gorgidas rzucili mu się na ratunek sądząc, że przepracowanie spowodowało atak apopleksji.

Lecz Nepos nie dostał ataku. Łzy toczyły mu się po policzkach, ginąc w gęstej brodzie. Rękami rozpaczliwie chwycił powietrze. Szeptał coś pośpiesznie.

— Co się dzieje? — warknął Gajusz Filipus.

Choć nie znał się na morzu ani na magii, potrafił rozpoznać kłopoty. Sięgnął dłonią do rękojeści miecza, ale znajomy gest nie dodał mu otuchy.

— Kontrczar! — wykrztusił Nepos pomiędzy szybko powtarzаныmi zaklęciami. Trząśnięty jak człowiek chory na malarię. — Skierowany przeciwko mnie i mojemu czarowi. Zły i silny, na Phosa, kto to może być? Nigdy nie doświadczyłem na sobie takiej siły. Niemal mnie powalił.

Między tymi zdaniami dalej mamrotał zaklęcia. Kiedy wyjaśnił im sytuację, skupił się całkowicie na magii. Dzięki niej uratował siebie, ale nie mógł już utrzymać czaru.

— Już po nas! Kot wyczuł myszy w kredensie! — krzyknął Viridoviks wiszący na relingu.

W polu widzenia znajdowało się siedem galer oprócz „Niszczyciela Korsarzy”. Mark nie potrafił sobie wyobrazić, co czują kapitanowie i wioślarze, którzy nagle zobaczyli, że w cieśninie roi się od nieprzyjacielskich statków. Nie dostali jednak palpacji, czego im kilka minut temu życzył w duchu trybun. Zaatakowali małe jednostki osaczając je jak wilki stado owiec.

Serce skoczyło Markowi do gardła, kiedy zobaczył, że jeden ze statków z okrutnym dziobem kieruje się na najbliższą barcę pełną legionistów. Lecz przynajmniej kapitan tej biremy był wystarczająco przerażony pojawieniem się wrogów, by popełnić fatalny błąd w ocenie. Zamiast zaufać taranowi statku, kazał unieść wiosła na lewej burcie, podpłynął zręcznie bokiem do barki i zażądał poddania się.

W swojej pysze zapomniał jednak, że w grę wchodzi nie tylko szybka galera przeciwko nieruchawej barce rzecznej. Nie wziął pod uwagę ludzi. W powietrzu śmignęły liny, oplatając się jak węże wokół kołków cumowniczych i wiosł sterowych, łącząc oba statki ciasno jak w uścisku kochanków. Za linami skoczyli przez niskie burty galery Rzymianie, wydając wilcze okrzyki radości. Wrzucili garstkę marynarzy do wody. Pluski oznaczały ich śmierć, ponieważ nie będąc praw-

dziwymi żeglarzami, nosili pancerze, tym razem nie dla ochrony, tylko na własną zgubę.

Widząc to, kapitan uciekł na wysoką rufę. On również miał na sobie zbroję, pozłacaną na znak rangi. Zaświeciła na moment, kiedy skoczył do morza, zbyt dumny, by przeżyć własny głupi błąd.

Nie miało to dużego znaczenia, jeśli chodzi o wynik walki. Rzymianie złapali pilota biremy i przyłożyli mu miecz do gardła. Zachęcony w ten sposób, wykrzyknął załodze rozkazy. Wiosła ożyły. Żagiel rozwinął się i wydał. Galera ruszyła w stronę plaży, jak koń wyścigowy pośród szkap pociągowych.

Gdzie indziej rzeczy nie układały się tak pomyślnie. Ostrzeżeni pomyłką kolegi, kapitanowie statków wojennych Ortaiasa nie robili następnych niemądrych posunięć. Po bliskim spotkaniu z ostrym dziobem, kutry rybackie po prostu przestawały istnieć, z wyjątkiem mokrego płótna, roztrzaskanych desek i ludzi miotających się w ciepłych błękitnych wodach cieśniny. Co gorsza, w mieście rozdzwoniły się dzwony alarmowe. Przez huk fal rozbijających się o falochrony Marek usłyszał rozkazy oficerów skrzykujących żołnierzy na pokłady nowych galer.

Wszystko to jednak wymagało czasu, a Sphrantzesowie nie mieli go wiele. Łodzie Gavrasy już dobijały do plaży, żołnierze wyskakiwali na brzeg. Każdy atak oznaczał dla statków wojennych stratę cennych minut, gdyż ich ofiary manewrowały i kluczyły z całą desperacką zręcznością, na jaką potrafiły się zdobyć załogi. Nawet jeśli taran trafiał w cel, następowała zwłoka, kiedy triumfująca birema wciągała wiosła, żeby uwolnić się od zdobyczy. Wyplątanie się było delikatnym zadaniem, jeśli galera wojenna nie chciała zostawić żądła w ranie jak pszczoła, z równie smutnym dla siebie rezultatem.

Marek krzyknął z całej siły, kiedy zobaczył, że taran mija o włos jedną z barek. Był tak pochłonięty morską bitwą, że ledwo usłyszał przerażony okrzyk sternika.

— Phos niech ma nad nami litość! Jeden z drani siedzi nam na ogonie!

— Kurs na północ — rozkazał natychmiast kapitan, jednym wprawnym spojrzeniem oceniając wiatr, brzeg i przeciwnika.

— Stracimy wiatr — zaprotestował sternik.

— Tak, ale będzie bliżej do brzegu. Steruj jak mówię, do diabła!

Poblądły sternik wykonał rozkaz.

Skaurus przygryzł wargi, nie tyle ze strachu, co z frustracji. Decydował się tu jego los, a on mógł tylko bezradnie czekać. Jeśli wygarbowany morskim wiatrem kapitan znał swój fach, łódź mogła wyjść z tego cało, jeśli nie, nie miała szans. Tak czy inaczej, trybun nie mógł nic tutaj pomóc ani zaszkodzić. Jego umiejętności były bezużyteczne, opinia bez wartości.

Brzeg wydawał się wcale nie zbliżać, gdy tymczasem z tyłu nadpływała galera, zwinna i groźna jak rekin. Za szybko — pomyślał Marek. Achilles z pewnością złapie zółwia.

Gajusz Filipus dokonał takich samych niewesołych

obliczeń.

— Da nam kopa w tyłek, zanim wylądujemy — stwierdził. — Jeśli zrzucimy teraz kolczugi, będziemy mieli szansę dopłynąć do brzegu.

Porzucenie zbroi oznaczało przyznanie się do klęski, ale nie z tego powodu Marek odniósł się niechętnie do pomysłu centuriona. Na przekłętej biremie znajdowali się łucznicy. Już zaświstało kilka strzał, szybszych i smuklejszych niż latające ryby. Nie miał ochoty skończyć w morzu, postrzelony z łuku.

Gdyby znaleźli się w zasięgu strzał, pościg wkrótce by się skończył. Z niezdrową fascynacją trybun obserwował imperialny proporzec na dziobie statku wojennego. Pod nim znajdował się drugi, karmazynowy z pięcioma brązowymi pasami, emblemat drungariosa. A więc zatopi ich sam Leimmokheir — pomyślał Marek. Chętnie zrezygnowałby z tego zaszczytu.

Lecz przy burcie imperialnego okrętu pojawił się inny statek, nie tak duży, ale załadowany aż po górne brzegi burt uzbrojonymi ludźmi. Na dziobie powiewała imperialna flaga.

— Dalej, Leimmokheir, dalej, ty podstępny łotrze! — wrzasnął Thorisin Gavras. Jego wściekły ryk brzmiał jak pieśń w uszach Skaurusa. — Taranuj, a potem staw mi czoło! Nie masz jaj!

Żadna obelga, żadne wyzwanie nie mogło sprowadzić videssańskiego admirała z obranego kursu, lecz uczyniła to twarda rzeczywistość. Gdyby zatopił rybacki kuter, Gavras z pewnością dokonałby abordażu, a ponieważ miał na statku tylu żołnierzy, wynik walki mógł być tylko jeden.

— Do portu! — krzyknął Leimmokheir i jego okręt wykonał zwrot przez burtę, uciekając przed niebezpieczeństwem.

— Tchórz! Zdrajca! — wrzasnęli za nim Thorisin i jego żołnierze.

— Nie jestem zdrajcą! — Dobiegł chropowaty bas Leimmokheira. — Zapowiedziałem, że będę z tobą walczył, jeśli się spotkamy.

— Myślałeś, że to nigdy nie nastąpi. Ty i twoi wynajęci mordercy!

Odpowiedź admirała porwał wiatr. Thorisin potrząsnął pięścią w stronę oddalającej się galery i posłał za nią stek przekleństw, których Leimmokheir już nie usłyszał.

Marek pomachał do Imperatora, dziękując mu.

— To ciebie uratowałem? — krzyknął Gavras. — Chyba jednak ci ufam, a może nie wiedziałem, kto jest na łodzi!

Trybun wolałby, żeby Thorisin nie dorzuczał tej drwiącej uwagi. Było w niej za dużo prawdy.

— Płycizna — ostrzegł jeden z żeglarzy i chwycił się relingu.

Gorgidas i Nepos zrobili to samo. Chwilę później deski zajęczały, a łódź zaszorowała o dno. Marek i Gajusz Filipus runęli na pokład. Viridoviks, nadal wiszący na poręczy, omal nie wypadł za burtę.

— Słona woda rozprawi się z moją zbroją — powiedział Gajusz Filipus żałobnym tonem, brnąc

z pluskiem na brzeg.

Marek szedł za nim, trzymając miecz nad głową. W pewnym momencie fala zwała Viridoviksa z nóg. Gdy się wynurzył, wyglądał jak zmoknięty kot. Wąsy i długie czerwone loki przykleiły mu się do twarzy. Mimo to błysnął zębami w uśmiechu.

— Nareszcie wysiadłem z łodzi! — zakrzyknął.

Kiedy tylko znalazł się poza linią przyboju, starannie osuszył klingę w białym piasku. W wielu sprawach był niedbały, ale nigdy jeśli chodzi o broń.

Na całej plaży małe oddzialiki armii Gavrasa łączyły się w większe. Ze schwytej videssańskiej biremy, która wylądowała ćwierć mili dalej, przemaszerował do trybuna jeden z manipułów. Na czele szedł Kwintus Glabrio.

— Myślałem, że już po was, kiedy ten sukinsyn zaatakował! — zawołał Marek, oddając salut młodszemu centurionowi. — „Dobra robota” to za mało powiedziane.

Jak zwykle Glabrio skwitował pochwałę wzruszeniem ramion.

— Gdyby nie popełnił błędu, nie skończyłoby się tak dobrze.

Obok łodzi, którą przypłynęli Skaurus i jego towarzysze, dobił do brzegu statek Gavrasa.

— Pośpieszcie się tam! — pogończył Imperator żołnierzy, którzy schodzili na ląd. — Sformujcie czworobok! Jeśli Sphrantzesowie mają dość rozumu i zrobią wypad, wolałbym znowu być na tym brzegu. Szybciej!

Thorisin wziął manipuł Glabrio jako część swojej straży przybocznej. Skaurus oddał mu go bez sprzeciwu. Co chwilę rzucał nerwowe spojrzenia na groźne mury Videssos i wielkie bramy, zastanawiając się, czy uzurpator przeszkodzi rywalowi w lądowaniu.

Lecz zamiast wyrzucić z siebie uzbrojonych ludzi, bramy miasta zatrzasnęły się przez intruzami. Łoskot był wyraźnie słyszalny w miejscu, gdzie stali ludzie Gavrasa.

— Gryziopórki! Urzędasy! — rzucił Thorisin z pogardą. — Ortaias i jego podstępny wuj myślą, że wygrają wojnę, chowając się za murami. Mają nadzieję, że znudzę się i odejdę lub powieźdę się następny plan morderstwa. Nie ma wśród nich prawdziwego żołnierza. Nikogo, kto by im powiedział, że same mury nie wystarczą, by wytrzymać oblężenie. To wymaga rozumu i odwagi. Phos wie, że młody Sphrantzes nie ma ani jednego, ani drugiego. Przyznaję, że Vardanes jest przebiegły, ale brakuje mu odwagi.

Skaurus pokiwał głową, zgadzając się z tą oceną, choć podejrzewał, że Vardanes Sphrantzes jest więcej wart, niż przypuszczał Thorisin. Lecz nawet kiedy stało się jasne, że nie będzie wypadu z Videssos, wzrok trybuna uporczywie wracał do podwójnego muru z surowego brązowego kamienia. Ile trzeba sprytu, żeby odeprzeć szturm, kryjąc się za takimi umocnieniami? Musiał wypowiedzieć tę myśl na głos, bo Gajusz Filipus skomentował trzeźwo.

— Prawidłowe pytanie brzmi: ile trzeba sprytu, żeby dostać się do środka?

VI

Trąby zagrały fanfarę, a zaraz potem marsza. Dwanaście parasoli otworzyło się jednocześnie jak jasne kwiaty z czerwonego, niebieskiego, złotego i zielonego jedwabiu. Armia Thorisina Gavrasa sformowała długą kolumnę, uniosła broń i zasalutowała dowódcy. Herold o baryłkowej klatce piersiowej ryknął donośnym głosem:

— Naprzód!

Kolumna ruszyła ze zwykłym videssańskim zamięrowaniem do ostentacji i ceremoniału, parując przed murami stolicy poza zasięgiem straż. Spektakl miał dać obrońcom miasta materiał do przemyśleń nad wyborem władcy.

— Oto Thorisin Gavras, Jego Wysokość Imperator, prawowity Autokrata Videssańczyków! — zagrzmiął herold idący między Thorisinem a gwardzistami, którzy nieśli parasole.

Gniadosz Imperatora, jego ulubiony wierzchowiec, został po drugiej stronie cieśniny. Thorisin jechał na karym koniu o lśniące sierści.

Gavras pomachał miastu i zdjął przyłbicę, żeby ukazać twarz stojącym na murach ludziom Sphrantzesa. Na tę okazję założył złoty diadem na zwykły stożkowaty hełm. Jego długie buty wyglądały jak plama krwi na tle czarnej jak smoła sierści konia. Poza tym był ubrany jak zwykły żołnierz. Ostatecznie apelował do żołnierzy, a zresztą nie miał cierpliwości do szat ze złotogłowiu wysadzanych klejnotami, stanowiących właściwy strój Autokratora.

Jego przejazd obserwowało wielu obrońców. Stali jeden przy drugim na niskim zewnętrznym murze. Oczywiście najwięcej ludzi broniło bram. Masywny wewnętrzny mur, wysoki na jakieś piętnaście metrów, nie był tak mocno obsadzony, z wyjątkiem wieży strażniczej.

— Po co służyć gryziptórkom?! — krzyczał herold do wojsk stacjonujących w Videssos. — Zrobili z was służących zamiast żołnierzy.

Marek wiedział, że to prawda. Przez ostatnie pół wieku władzę sprawowali biurokratyczni Imperatorzy i żeby osłabić władzę rywali, prowincjonalnych szlachciców, systematycznie rozpuszczali narodową armię videssańską i zastępowali ją najemnikami.

Proces ten zaszedł daleko. Wojsko Ortaiasa Sphrantzesa i jego wuja składało się głównie z wynajętych oddziałów. Żołnierze gwizdali i szydzili z Gavrasa, krzyząc:

— Wszyscy twoi ludzie to słudzy! Dlatego potrzebują prawdziwych żołnierzy, żeby za nich walczyli!

Regiment Namdalajczyków wznosił okrzyki: „Drax! Drax! Wielki książę Drax!”, żeby zagłuszyć

herolda. Jeden z najemników, mężczyzna o silnych płucach i zmyśle praktycznym, krzyknął:

— Dlaczego mielibyśmy wybrać ciebie zamiast Sphrantzesów?! Oni nam zapłacą, a ty nas odeślesz do domu z pustymi kieszeniami!

Thorisin obnażył zęby w niewesołym uśmiechu. Jego brak zaufania do najemników był dobrze znany, choć ponad połowę jego armii stanowiły najemne wojska. Zapomniawszy o heroldzie, sam odkrzyknął:

— Po co popierać tchórzliwego łotra? Pod Maraghą Ortaias uciekł jak przerażona mysz. Przez niego ponieśliśmy klęskę. On i te jego gadki o tym, że „musi zaznać walki”. Też coś!

Ostatnie słowa Thorisin wypowiedział piskliwym tenorem, naśladując głos wroga. Złośliwie cytował przemowę Sphrantzesa do żołnierzy wygłoszoną przed przegraną bitwą. Wśród ocalałych byli głównie żołnierze Gavrasa. Dołączyli się teraz do jego okrzyków: „Tak, wydajcie go nam, tchórza!”, „Poślijcie go do cyrku, niech skacze przez koła!”, „Lepiej bądźcie dzielni, wy na murach, skoro musicie walczyć po jednej z jego mów!”. A Gajusz Filipus ryknął Markowi prosto w ucho: „Dajcie go, a pokażemy mu więcej, niż może wyczytać w swojej książce!”.

Wyglądało na to, że stek drwin robi wrażenie na żołnierzach Ortaiasa, czujących na opinię kolegów po fachu. Kiedy wrzaski ucichły, na murach Videssos zapadła znacząca cisza. W tym momencie jeden z oficerów Sphrantzesa, ogromny wojownik górujący nad oddziałem, wybuchnął ochryplym pogardliwym śmiechem.

— Ty również uciekłeś, Gavras — ryknął — po tym, jak twój brat stracił głowę! W czym jesteś lepszy od pana, któremu służymy?

Thorisin poczerwieniał, a potem zbladł. Spiął ostrogami wierzchowca tak mocno, że ten zarżał i stanął dęba.

— Atakować! — krzyknął. — Zabić tego sukinsyna o gładkim języku!

Kilku ludzi skoczyło w stronę murów. Większość nawet nie ruszyła się z miejsca w szyku. Obdarzeni zdrowym rozsądkiem najemnicy, którzy ryzykowali życie za pieniądze, wiedzieli, że improwizowany szturm na umocnienia miasta może skończyć się tylko masakrą.

Gavras okiełznał wierzchowca. Marek podjechał do Imperatora, żeby go uspokoić. Stał już przy nim Baanes Onomagoulos, trzymając konia za uzdę i przemawiając do wściekłego Gavrasa cicho, lecz z naciskiem. Trochę udało mu się opanować gniew, który jednak nie wygasł do końca.

— Przysięgam, że drań zapłaci za to — warknął Imperator.

Potrząsnął pięścią do zuchwałego dowódcy, który odwzajemnił się gestem używanym przez hordowców bydła, gdy rozmawiali o rozplodowym stadzie. To wyzwanie przywróciło ducha jego towarzyszą. Okrzykami skwitowali obsceniczny gest dowódcy i wygwizdali paradującą pod murami armię Gavrasa.

Kiedy Skaurus wrócił na swoje miejsce, zapytał Baanesa Onomagouloza:

— Znasz tego kapitana Sphrantzesów? Drań jest nie w ciemię bity.

— Tym gorzej dla nas. Już zaczynali się wahać. — Onomagoulos osłonił oczy i spojrzał na mury. — Nie jestem pewien, bo ma zamknięty hełm. Lecz sądząc po posturze i tupecie domyślam się, że to Outis Rhavas. Powiadają, że dowodzi bandą prawdziwych zabijaków. To nowy człowiek. Niewiele o nim wiem.

Marek zdziwił się. Sądząc po nazwisku, Outis Rhavas był Videssańczykiem. Trybun uważał, że Baanes, żołnierz o trzydziestoletnim doświadczeniu, powinien znać najlepszych żołnierzy Imperium. Przypomniawszy sobie jednak, że ostatnimi czasy w Videssos panuje chaos. Może ten Rhavas jest hersztem bandy, który korzysta z tego zamieszania. Tak samo jak ty — powiedział do siebie i potrząsnął głową, niezadowolony z porównania.

Wyglądało na to, że Ortaias i jego wuj są przygotowani do walki. Po niepowodzeniu apelu przed murami miasta Thorisin nie miał innego wyjścia jak przystąpić do oblężenia. Armia zabrała się do budowania wału ziemnego w najważniejszym miejscu videssańskiego półwyspu.

Niektóre oddziały zupełnie nie radziły sobie z tym zadaniem. Khatrishe Laona Pakhymera z zapalem kopali i nosili ziemię przez kilka dni, póki im się to nie znudziło.

— Nie mogę powiedzieć, że bym ich winił — oświadczył Pakhymer, kiedy Imperator nakazał im powrót do pracy. — Przyjechaliśmy, by walczyć z Yezda, a nie brać udział w wojnie domowej. Zawsze możemy wrócić do domu. Po prawdzie, tęsknię do żony.

Gavras uniósł się gniewem, ale nie mógł do niczego zmusić Khatrishów bez wszczynania nowej wojny domowej we własnej armii. Nie chcąc utracić jazdy, posłał ją razem z Khamorthami po zaopatrzenie. Nawet nie próbował zaznajomić nomadów z łopata i oskardem.

Ku swojemu zdumieniu Marek stwierdził, że on również tęskni za Helvis, mimo częstych kłótni. Pogodził się z myślą, że są one nieuniknione między dwojgiem ludzi, którzy czują do siebie silny pociąg, ale nie potrafią zmienić swoich zwyczajów. Wiele ich jednak łączyło, przede wszystkim Malrik i Dosti. Trybun późno został ojcem i przekonał się, że daje mu to więcej satysfakcji niż jakiegokolwiek inne dokonania.

W pierwszych dniach oblężenia miał niewiele czasu i odczuwać samotność. W przeciwieństwie do ludzi Pakhymera Rzymianie byli obeznani ze sztuką prowadzenia oblężeń. Łopaty i kilofy należały do ich normalnego wyposażenia. Każdej nocy, rozbijając obóz, budowali umocnienia polowe.

Któregoś dnia Thorisin Gavras i Baanes Onomagoulos przyjechali na inspekcję robót. Imperator, który właśnie przed chwilą oglądał amatorską barykadę powoli wznoszoną przez kilku żołnierzy Onomagoulosa, miał niezadowoloną minę. Namdalajczyk był mniej skrzywiony niż zwykle od

czasu, kiedy został ranny. Jazda na koniu sprawiała mu mniejszy ból, niż kuśtykanie na chorej nodze.

Kiedy Imperator przyjrzał się szerokiej fosie i wałowi ziemnemu najeżonemu palami, który legioniści już prawie skończyli, wyraz jego twarzy zmienił się wyraźnie. Rzymianie obsadzali najbardziej wysunięty na południe półmilowy odcinek linii.

— Nareszcie porządna robota — powiedział bardziej do Onomaguolosa niż do Marka. — Rzymianie lepiej się spisali niż twoi chłopcy, Baanes.

— Wygląda nieźle — przyznał stary szlachcic, który nie przepadał za krytyką. — I co z tego? Każdy jest w czymś dobry: Khamorthci w strzelaniu z łuku, Namdalajczycy w posługiwaniu się lancą, a ci w kreciej robocie. Akurat teraz to bardzo przydatna umiejętność.

Mówił bezceremonialnie, nie dbając o to, czy trybun słyszy. Nieświadomie przybierał ton wyższości, żeby pokryć zakłopotanie. Dotknięty Marek otworzył usta, żeby mu coś powiedzieć do słuchu, ale przypomniał sobie słowa jednego z posłów Cezara, które słyszał w rzymskim namiocie w Galii: „Panowie, wszyscy wiemy, że Celtowie są zawzięci i nierozważni. Jeśli zajmiemy wyższy teren, sprowokujemy ich do szarży na zbocze...”.

Wykrzywił usta w uśmiechu. Więc tak to jest, gdy się zostanie uznanym za barbarzyńcę. Wyglądało na to, że Helvis znowu miała rację. A jednak nie, niezupełnie. Dostrzegłszy gorycz na jego twarzy, Thorisin powiedział szybko:

— Pewnego dnia Baanes udławi się własnymi słowami.

Skaurus wzruszył ramionami. Przeprosiny brzmiały szczerze, ale Imperator jednocześnie korzystał z okazji, żeby wyrównać rachunki z potężnym lordem jadącym u jego boku. Nic w tym kraju nie jest jednoznaczne — pomyślał trybun w przypływie rozpacz, lecz zaraz się opanował i wrócił do bieżących spraw.

— Jesteśmy okopani stąd do morza — wyjaśnił i pokazał na mury Videssos, których cień sięgał prawie do miejsca, gdzie stali. — Natomiast reszta wygląda jak zamki z piasku, które zostały po zabawie pięciolatka.

— To prawda — przyznał Gavras. — Lecz nie ma to dużego znaczenia. Nasi przeciwnicy mają mury i wieże, ale nie mogą ich zjeść, na Phosa.

— Jak długo panują na morzu, nie muszą tego robić — odparł Marek. — Mogą się z nas śmiać, dopóki zwożą zapasy statkami. Statki są kluczem do zdobycia miasta, a my ich nie mamy.

— Kluczem, tak — mruknął Thorisin, błędząc wzrokiem daleko.

Po chwili Skaurus zorientował się, że Imperator wcale nie jest pogrążony w zadumie. Patrzył na południe, w kierunku Morza Żeglarzy i wyspy leżącej na zamglonym horyzoncie. Rzymianin przypomniał sobie nagle videssańską nazwę tej wyspy: Klucz. Lecz na jego pytanie Imperator odpowiedział tylko:

— Moje plany są na razie mgliste.

Uśmiechnął się do siebie, jakby przyszło mu do głowy coś zabawnego. Marek zauważył, że Onomagoulos również nie ma pojęcia, o co chodziło Gavrasowi. Dodało mu to otuchy.

Zbiegiem okoliczności ta noc była mglista, co często zdarzało się na wybrzeżu nawet w pełni lata. Księżyc i gwiazdy przesłaniał od zachodu słońca gruby szary koc nasuwający się od morza. Wieże Videssos i mury zakończone blankami zniknęły, jakby nigdy nie istniały. Strażnicy z pochodniami poruszali się otoczeni rozproszoną poświatą. Przy każdym oddechu czuło się w ustach smak oceanu.

Viridoviks chodził wzdłuż wału ziemnego, z pochodnią w lewej ręce i mieczem w prawej.

— To jasne, że nie mogą przepuścić takiej okazji — odezwał się, kiedy wpadł na Skaurusa i Gajusza Filipusa. — Gdybym to ja siedział tam zamknięty w środku, dałbym takiego bobu draniom na zewnątrz, że długo by mnie popamiętali.

— Ja też — powiedział Gajusz Filipus, choć rzadko zgadzał się z Galem.

Centurion uważał mgłę niemal za osobisty afront. Wojna stawała się kwestią przypadku zamiast sztuką. Przy odrobinie szczęścia nawet półgłówki mógł wyjść na geniusza. Nerwowy Rzymianin i agresywny Gal przeoczyli jednak pewną rzecz. W mieście było równie ciemno jak na zewnątrz.

— Założę się, że marszałkowie Ortaiasa sami spacerują po murach — zauważył Marek — nasłuchując skrzypienia drabin.

Viridoviks zamrugł oczami i roześmiał się.

— Pewnie tak. Dwaj chłopcy stoją po nocach na warcie przed kurnikami, w obawie przed sąsiadem. Obaj uważają to za niewdzięczną robotę. Ja również.

— Możliwe — zgodził się Gajusz Filipus. — Sphrantzesowie nie mają dość wyobraźni, by zrobić coś ryzykownego. Ale co z Gavrasem? Taka noc powinna mu odpowiadać. Jest urodzonym hazardzistą.

— Właśnie — przyznał Skaurus. — Kiedy nadciągnęła mgła, sądziłem, że coś się wydarzy, ale wygląda na to, że się myliłem.

Opowiedział przyjaciółom popołudniową rozmowę.

— Coś wisi w powietrzu — stwierdził Gajusz Filipus i ziewnął. — Cokolwiek to jest, będzie musiało obejść się beze mnie do rana. Idę spać.

Opuścił pochodnię, żeby oświetlić sobie drogę, i ruszył w stronę namiotu. Rzymski obóz znajdował się blisko morza na płaskim kawałku ziemi, który był terenem ćwiczebnym armii videssańskiej.

Skaurus położył się kilka minut później i ku własnej irytacji miał kłopoty z zaśnięciem. Panował aż za duży spokój bez Dostiego, który budził się kilka razy w nocy, lecz trybunowi brakowało ciepła Helvis. To nie w porządku — pomyślał, przewracając się niespokojnie z boku na bok. Jeszcze niedawno trudno mu było zasnąć z kobietą przy boku, a teraz nie mógł zasnąć bez niej.

Na naradzie oficerów, która odbyła się następnego ranka, Thorisin Gavras wyglądał na zadowolonego, choć Marek nie miał pojęcia dlaczego. O ile się orientował, nic się nie zmieniło od poprzedniego dnia.

— Pewnie znalazł sobie żwawą dziewczynę, która powiedziała „tak” i niewiele ponadto — powiedział Soteryk po spotkaniu. — W porównaniu z Komittą to byłaby miła odmiana.

— Nie pomyślałem o tym — roześmiał się Marek. — Może masz rację.

Oblężenie postępowało metodycznie, ale powoli. Ocalało niewielu wojskowych inżynierów Mavrikiosa Gavrasa, którzy mogli wesprzeć jego brata. Pod ich kierunkiem żołnierze wycięli drzewa i zburzyli parę domów, żeby zdobyć drewno na maszyny oblężnicze i drabiny. Legioniści okazali się zręcznymi rzemieślnikami. Często pomagali swoim oddziałom inżynierskim.

Gdyby nie strażnicy, chodzący w tę i z powrotem po murach, zdawałoby się, że Videssos ignoruje oblężenie. Statki swobodnie wpływały do portów, zwożąc zapasy i ludzi. Skaurus za każdym razem na ich widok miał ochotę zgrzytać zębami.

— Następna rzecz, której spróbują Sphrantzesuw wywołanie burzy, która nas ciśnie na mury. W taki sposób. myśli Vardanes i nie jest to wcale zły plan — powiedział trybun do Gajusza Filipusa.

Starszy centurion przynajmniej raz okazał się optymistą.

— Niech próbują. Do nas ciągnie więcej wojska niż do nich.

Marek musiał przyznać, że to prawda. Szlachcice ze wschodnich dominiów Videssos nie byli tak wielkimi magnatami jak ich odpowiednicy z ziem zachodnich, ale wszyscy nienawidzili biurokratów, którzy zawładnęli stolicą. Zjeżdżali się pod sztandar Thorisina. Jeden przyprowadził ze sobą siedemdziesięciu żołnierzy, ów czterdziestu, jeszcze inny stu pięćdziesięciu.

— Oczywiście dopiero w boju przekonamy się, co są warte te wieśniaki — stwierdził Gajusz Filipus, jakby czytał w myślach Skaurusa.

Po czterech czy pięciu pogodnych nocach znowu pojawiła się mgła, jeszcze gęściejsza niż poprzednio. I znowu trybun zastanawiał się, czy oblężeni Sphrantzesowie spróbują wypadu pod jej osłoną, i podwoił strażę na odcinku najbliższym miasta.

Musiało być koło północy, kiedy usłyszał krzyki.

— Trębacze! — wrzasnął.

Muzyka rogów rozdarła mrok. Legioniści wygrzebali się spod kocy przeklinając i wyskoczyli z namiotów. Od razu zaczęli formować szyk, dopinając zbroje. Do obozu zbliżał się tętent kopyt.

— Czyżby wszyscy spali? — odezwał się Viridoviks. — Pewnie nicponie siedzą sobie spokojnie za obwałowaniami, z którymi było tyle roboty.

— Skąd wiesz? — obruszył się Gajusz Filipus. — Nawet nie kiwnąłeś palcem.

— A po co miałbym harować jak jakiś pomocnik murarza? Jeśli ty chcesz, to twoja sprawa, ale mnie przy tym nie zobaczysz. Daj mi prawdziwą walkę, a będę gotowy w każdej chwili.

— Nie sądzę, żeby to byli ludzie Ortaiasa — stwierdził nagle Kwintus Glabrio, co natychmiast zakończyło rodzącą się sprzeczkę. — Nie ma odgłosów walki ani nawoływań naszych wartowników.

Kilka minut później okazało się, że młody oficer miał rację. Obok rzymskiego obozu przegalopował oddział stu najlepszych kawalerzystów Thorisina Gavrasas.

— Przepraszamy, że was nastraszyliśmy! — zawołał w pędzie kapitan. — Omal nie zdeptaliśmy waszych ludzi w tej przeklętej ciemności.

Trybun uwierzył mu. Jeźdźcy zniknęli po pięćdziesięciu metrach, choć mieli pochodnie.

— Odrąbcie „alarm odwołany” — rozkazał Marek trębaczom.

Legioniści stali jeszcze przez chwilę, jakby podejrzewali podstęp, i wrócili do ciepłych legowisk, potrząsając głowami z irytacją.

— Chciałbym, żeby wreszcie się zdecydował — burknął jeden.

— Już odechciało mi się spać — dorzucił drugi.

— Mniejsza o to. I tak miałem wstać, żeby się wysikać powiedział trzeci weteran, który umiał wykorzystać każdą sytuację.

W obozie zapanował spokój. Skaurus ziewnął. Zaczął się przypływ i szum fal na pobliskiej plaży kołysał do snu jak łagodne wino, jak cichy basowy odgłos bębnow dobiegający z oddali.

Trybun znieruchomiał, przytrzymując ręką połę namiotu. Dlaczego odgłos fal rozbijających się na piasku skojarzył mu się z bębniami? Wyprostował się gwałtownie kiedy rozpoznał dźwięk: plusk fal o drewno. Gdzieś blisko przybijały do brzegu statki!

Ogarnęło go przerażenie. Znowu wezwał trębaczy. Tym razem żołnierze wyszli niechętnie jak na musztrę, burcząc pod nosem. Skaurus nie przejął się tym. Strach płonął w nim jaśniej niż mleczne światło pochodni.

— Daj mi szybko dwa manipuły — rzucił do Gajusza Filipusa. — Zdaje się, że Sphrantzesowie lądują na plaży. Pokieruj tutaj obroną i wyślij gońca do Gavrasas. To zdrada. Wyślij Czerwonego Zeprina. Thorisin najchętniej go słucha.

— Zadbam o to, żeby mnie wysłuchał — obiecał krzepki Halogajczyk, zrozumiawszy intencje Marka.

Ze względu na swoją dawną wysoką szarżę w Imperialnej Gwardii Mavrikiosa był dobrze znany młodemu Gavrasowi i jego żołnierzom. Narzuciwszy pelerynę z wilczej skóry na kolczugę, zniknął w mroku.

Starszy centurion już wyszczekiwał rozkazy. Kiedy legionieści ruszyli biegiem na wyznaczone miejsca, zwrócił się do Skaurusa:

— Zdrada, tak? Myślisz, że ci śmierdzący gnojem stajenni zjawili się na przyjęcie?

— A jaki inny byłby powód?

— Niestety, nie widzę żadnego. Jaki mamy plan? Zatrzymać wroga, aż dostaniemy posiłki, a potem zepchnąć go do morza?

— Jeśli zdołamy.

Trybun żałował, że nie ma rozeznania w sytuacji. Niewiedza mogła się okazać bardziej niebezpieczna niż szara, wilgotna i zimna mgła, która kłębiła się wokół niego.

Nadbiegł Viridoviks. Oparł tarczę o biodro, żeby mieć obie ręce wolne, i zapiął pod brodą pasek od hełmu.

— Nie wymkniesz się na następną awanturę beze mnie — zapowiedział Skaurusowi.

— Chodźmy więc. Mówisz tak, jakbym zrobił to celowo.

— Istotnie — zgodził się ponuro Viridoviks.

Kiedy jednak Marek spojrzał na niego, by przekonać się, czy mówi poważnie, Celt uśmiechnął się do niego szeroko.

Legioniści ruszyli szybkim marszem na południe w ślad za videssańską kawalerią. Marek poczuł nagle pod sandałami coś miękkiego. Mimo mgły i ciemności wiedział co to takiego. Usłyszał, że Viridoviks przeklina po galijsku. Wychwycił imię celtyckiej bogini-klaczy Epony. Sam pośliznął się i omal nie upadł, kiedy z ubitej ziemi wszedł na sypki piasek. Videssańczycy byli nadal niewidoczni w wirującej mgle, lecz Marek usłyszał wołanie ich kapitana.

— Wysiadajcie!

— Jesteś gruchy, szcurze lądowy? — dobiegła cicha odpowiedź jakiegoś żeglarza. — Moi sondujący omal nie zamoczyli spodni, podpływając tak blisko. Wyślemy łodzie!

— Szyk bojowy! — rzucił trybun cicho. Legionieści idący w kolumnie marszowej rozwinęli się w szereg równo jak na paradzie. — Podczas ataku krzycie „Gavras”. Niech zdrajcy wiedzą.

Obawiał się, że przybyli za późno. Już słyszał plusk wiosł przy brzegu, zgrzytanie lekkich łodzi o piasek. Nie było rady.

— Naprzód! — rzucił.

— Gavras! — podniósł się krzyk z dwustu gardeł.

Z wyciągniętymi mieczami i uniesionymi oszczepami Rzymianie ruszyli przez piasek.

Na brzegu zapanował chaos. Videssańczycy zsiadli z kom i oświetlali drogę łodziom. Kiedy ludzie Skaurusa wzniesli okrzyk wojenny, niektóre pochodnie spadły na ziemię. Z boku zarżał jakiś

koń. Jeden z Rzymian dostrzegł ruch we mgle i rzucił oszczepem.

Jakiś głos, ostry i władczy, zapytał dowódcę videssańskiej kawalerii:

— Co za przyjęcie nam zgotowałeś, kapitanie?

— Stać! Stać! Stać! — wrzasnął trybun rozpaczliwie, błogosławiąc dyscyplinę legionistów, którzy zatrzymali się w pół kroku.

— I co teraz? — warknął Gajusz Filipus. — Mają ze sobą tę dziwkę, i co z tego? Czasami myślę, że imperialni nie potrafią walczyć bez kochanek u boku.

Ochryply głos starszego centuriona przedarł się przez mgłę. Marek dziękował bogom, w których istnienie wątpił, że jego towarzysz mówił po łacinie. Odpowiedział mu w tym samym języku.

— Może i jest dziwką, ale to Komitta Rhangawe albo jestem Celtem.

Gajusz Filipus zacisnął zęby z wyraźnym zgrzytnięciem.

— Kobieta Thorisina? O słodki Jupiterze! Zaczekaj... przecież ona jest po drugiej stronie Końskiego Brodu z innymi babami i bachorami... wybacz mi — dodał pośpiesznie.

Marek zbył przeprosiny machnięciem ręki. Skonfundowany, ledwo je usłyszał. Statki nie mogły należeć do Sphrantzesa. Komitta była megierą, ale nie zdrajczynią. Z kolei łodzie skleconej naprędcy floty Thorisina już dawno wróciły do zwykłych zadań. Nie było innego wytłumaczenia jak...

Do Rzymian zaczęły się zbliżać dwa kołyszące się światła. Marek wystąpił przed swoich ludzi i wyszedł im na spotkanie. Jedną z pochodni niósł videssański kapitan, niski, krępy mężczyzna o czerwonej twarzy, ze szpakowatą brodą i nastroszonymi brwiami. Drugą trzymała Komitta Rhangawe. Jej blada, wąska twarz była piękna i dzika. Upodabniała ją do drapieżnego ptaka.

Trybun złożył im dworny ukłon.

— Możecie mi, na Skotosa, powiedzieć, co się tutaj dzieje? — wyrwało mu się. Z przerażeniem stwierdził, że się zdradził.

Kapitan zmarszczył brwi. Splunął na piasek i spojrzał w niebo, unosząc ręce. Zraniłem jego uczucia religijne — pomyślał Skaurus. Cóż, tym gorzej dla niego.

Komitta spojrzała bacznie na Rzymiana.

— Imperator zdecydował, że nadeszła pora, by rodziny dołączyły do żołnierzy — powiedziała rzeczowo. — Nie poinformowano was o tym? Szkoda.

Była arystokratką w każdym calu. Przepraszała sługę za drobne przeoczenie.

Trybun zwalczył pokusę, żeby wziąć ją za toczony ramiona i wytrząsnąć z niej informacje. Uratował go pobożny kapitan.

— Statki z Klucza opowiedziały się za Gavrasem, kiedy przystąpił do oblężenia miasta. Przypłynęły podczas ostatniej mgły. Jego Wysokość rozkazał, żeby pozostawały w ukryciu, czekając na następną okazję, żeby bezpiecznie przewieźć rodziny. Udało się.

— Klucz — szepnął Skaurus.

Gdy usłyszał to proste słowo, kopnął się w myślach za głupotę. Flota Klucza była drugą pod względem wielkości w Videssos, o czym wiedział od roku. Lecz jako szczur lądowy i cudzoziemiec nie przykładał dużego znaczenia do tego faktu, mimo wyraźnych aluzji Thorisina Gavrasa.

Viridoviks, który nie poddawał się żadnej dyscyplinie i stał kilka kroków za Rzymianami, teraz podszedł i oburzony położył dłoń na ramieniu Marka.

— Więc nie będzie walki?

— Na to wygląda — odparł trybun, w dalszym ciągu oszołomiony.

— Mogłem się tego spodziewać — powiedział Gal głośno. — Po raz pierwszy dowódca daje mi szanse i okazuje się, że nie ma nic do dania.

Videssański kapitan, zawodowiec podobnie jak Rzymianin spojrzął na Celta jak na niebezpiecznego szaleńca. W oczach Komitty Rhangawe błysnęło zainteresowanie. Wbrew sobie Marek miał nadzieję, że Viridoviks tego nie zauważył.

Tym razem Skaurusowi dopisało szczęście. Hałaśliwa skarga Gala dotarła do innych uszu. Kierując się jego głosem, nadbiegły plażą dwie kochanki i zasypały go pocałunkami, piszcząc: „Viridoviks! Kochany! Tak za tobą tęskniłyśmy!”. Wojownik uściśkał je, choć w jednej ręce trzymał pochodnię, a w drugiej tarczę. Marek z ulgą zauważył, że Komitta zmarszczyła nos, jakby poczuła brzydki zapach.

Trybun wrócił do legionistów i pokrótce wyjaśnił im sytuację. Rzymianie wzniesli okrzyki, podnieceni wieścią o zjawieniu się floty Klucza, która dawała im przewagę, a jeszcze bardziej perspektywą zobaczenia ukochanych. Skaurus przyznał niechętnie, że coś jest w videssańskim zwyczaju trzymania rodzin przy sobie. Żołnierze byli w lepszym nastroju i walczyli dzielniej wiedząc, że los bliskich zależy od ich męstwa.

— To był fałszywy alarm, ale skoro już tu jesteśmy, możemy się na coś przydać — powiedział do legionistów. — Weźcie pochodnie i pomóżcie kierować łodziami.

Rzymianie chętnie wykonali rozkaz. Niektórzy nawet wchodzili do morza, żeby światło sięgnęło dalej. Kiedy małe łodzie przybiły do brzegu, zaczęli nawoływać imiona ukochanych. Co kilka minut rozlegały się okrzyki radości. Skaurus zauważył, że niektóre pary wymykają się w noc, szukając odosobnienia, lecz udawał, że tego nie widzi. Było to dobre odprężenie po napięciu sprzed kilku minut.

Nagle usłyszał znajomy kontralt: „Marek!” i zapomniał o dyscyplinie. Objął Helvis tak mocno, że aż pisnęła.

— Uważaj na dziecko i na mnie z tym swoim żelastwem. Dosti spał słodko w zagłębieniu jej ramienia.

— Przepraszam — skłamał.

Mimo zbroi jej dotyk obudził w nim żądzę. Helvis roześmiała się, rozumiejąc go doskonale. Oparła się o jego ramię i odchyliła głowę do pocałunku.

Malrik przesunął dłońmi po kolczudze trybuna. Podniecenie podróżą rozbudziło go całkowicie.

— Tato, płynąłem statkiem z żeglarzami — pochwalił się — a potem z mamą w małej łódce i były fale...

— To dobrze — odparł Marek, z roztargnieniem mierzwiąc włosy pasierba.

Przygody Malrika mogły poczekać. Skaurus przesunął dłoń niżej, dotykając piersi Helvis.

Kobieta uśmiechnęła się zmysłowo spod przymkniętych powiek.

We mgle rozległy się dźwięki trąb, szczęk zbroi i głośnie okrzyki:

— Gavras! Thorisin! Imperator!

— Cholera — mruknął trybun.

Nastrój przysł. Wyzwał się w duchu od głupców. Całkiem zapomniał, że wysłał Czerwonego Zeprina do Gavrasa. Halogajczyk aż za dobrze wykonał zadanie. Sądząc po odgłosach, plażą nadbiegały setki mężczyzn na spotkanie z nie istniejącymi napastnikami.

— Gavras! — wrzasnął z całych sił, a legionieści podjęli okrzyk.

Znaleźli się w takim samym kłopotliwym położeniu jak przed godziną videssańska jazda. Groziło im, że zostaną zaatakowani przez własną armię. Gwardziści stojący na plaży krzyknęli równie głośno jak Rzymianie.

— Rozprawiasz się ze zdrajcami, Skaurusie?

Thorisin był niewidoczny, ale trybun oprócz niepokoju wyraźnie słyszał w jego głosie rozbiawienie.

— Wszystko w porządku. Postaralibyśmy się lepiej, gdybyśmy wiedzieli, że przyjeżdżają. „Moje plany są mgliste” — przypomniał Marek jego słowa.

Mgliste, doprawdy! Nie uznał jednak za stosowne wyjawić ich swoim dowódcom. Skaurus poczuł satysfakcji, myśl o tym, co musiał poczuć Imperator, kiedy Czerwony Zeprin wpadł do jego namiotu, wrzeszcząc o zdradzie. Na pewno się zastanawiał, czy własne plany nie obróciły się przeciwko niemu.

Trybun musiał jednak przyznać, że Thorisin nie przesądził niczego z góry, lecz zjawił się gotowy do walki. I to szybko. Kiedy jego żołnierze zobaczyli, że nie ma niebezpieczeństwa, pobiegli na brzeg, żeby pomóc łodziom. Na plaży zrobiło się tłoczno. Panował radosny nastrój.

Thorisin, siedzący na pożyczonym karym koniu, dźwignął Komitę i posadził ją przed sobą w siodle jak zdobycz wojenną. Gajusz Filipus cmoknął z dezaprobatą.

— Czasami zastanawiam się, czy on traktuje tę wojnę wystarczająco poważnie, żeby wygrać — skomentował.

— Przypomnij sobie Cezara — odparł Marek.

Oczy starszego centuriona posmutniały jak na wspomnienie dawnej kochanki.

— Tego psa na dziewczki? Te jego galijskie kokoty — powiedział z uczuciem w głosie. — Tak, masz rację, był lwem na tym polu. Cezar — powtórzył w zadumie. — Jeśli Gavras choć w połowie się tak spisze, nasze nazwiska znajdą się nie tylko w historii Gorgidasa. Będzie można za to można kupić sobie wina.

— Kpiarz — prychnął trybun, ale wiedział, że centurion ma rację.

Ogarnięty błogością Skaurus oparł się na łokciach. Helvis westchnęła z zadowoleniem. Marek słuchał rytmu swojego pulsu, głośniejszego niż fale mrużące do siebie w oddali.

— Dlaczego zawsze tak nie jest? — powiedział, bardziej do nieobecnego obserwatora niż do Helvis czy do siebie.

Nie sądził, by go usłyszała. Dotknął palcami jej twarzy, próbując zbudować most między nimi. Oczywiście na nic się to nie zdało. Helvis pozostała tajemnicą, którą zawsze jest drugi człowiek, nawet bliski. Spojrzał na nią w ciemności namiotu i nie mógł odczytać wyrazu jej oczu.

Drgnął, kiedy poruszyła się pod nim. Jej wilgotna skóra otarła się o jego ciało.

— Myślę, że wiele dobrego może wynikać z miłości — stwierdziła poważnym tonem — ale również wiele złego. Za każdym razem robimy Zakład Phosa i stawiamy na dobro. Tym razem wygraliśmy.

Zamrugnął oczami. Poważna odpowiedź była ostatnią rzeczą, której oczekiwał. Namdalajczycy robili zakład, żeby właściwie postępować w świecie, gdzie według nich było tyle samo dobra i zła. Choć nie wiedzieli, czy Phos na koniec zatriumfuje, stawiali swoje dusze, zachowując się tak, jakby jego zwycięstwo było pewne. Marek musiał przyznać, że porównanie jest trafne.

Te słowa jeszcze bardziej podkreśliły różnicę między nimi, zamiast zbliżyć do siebie. Helvis odwołała się do boga tak odruchowo, jakby sięgnęła po ręcznik, żeby się wytrzeć.

Dokuczliwe myśli w końcu uleciały, gdy zaczęli się poruszać. Helvis mocniej otoczyła go ramionami.

— Wielu ludzi nigdy nie pozna dobra, kochany — szepnęła, ogrzewając mu ucho oddechem. — Bądźmy wdzięczni, że my to mamy.

Tym razem nie mógł się nie zgodzić. Odszukał ustami jej usta.

Skorzystawszy z mgły, żeby sprowadzić rodziny wojowników, Thorisin Gavras wypuścił pozyskaną flotę przeciwko statkom Videssos. Miał nadzieję, że żeglarze ze stolicy przyłączą się do rebelii przeciwko Sphrantzesci kapitanów opuściło ich dla Gavrasy, przypnie statki i załogi.

Lecz Taron Leimmokheir, bardziej własnym przykładem i znaną wszystkim uczciwością niż perswazją, trzymał główną część floty przy Ortaiasie i jego wuju. Walki morskie wkrótce stały się bardziej zaciekle niż niemrawe oblężenie Videssos. Odbywały się wypadki i kontrataki, tonęły i płonęły galery. Kilka dni później morze wyrzucało na brzeg blade, napęczniałe trupy. Stanowiły świadectwo, że wojna morska dorównuje okropieństwami lądowej.

Dowódca floty Klucza był zaskakująco młodym i przystojnym mężczyzną. Dobrze o tym wiedział. Jak większość videssańskich szlachciców, których poznał Skaurus, Elissaios Bouraphos łatwo wpadał w rozdrażnienie.

— Myślałem, że mamy wam pomóc — burknął do Thorisina Gavrasa na porannej naradzie oficerów — a nie wyręczyć w krwawej robocie.

Odruchowym gestem przecesał dłońmi włosy, które już zaczynały rzednąć na skroniach. Markowi przyszło do głowy, że w ten sposób sprawdza dzienne straty.

— A co mam zrobić? — odwarknął Thorisin. — Przypuścić generalny szturm na mury? Straciłbym mnóstwo ludzi. Dobrze o tym wiesz. Lecz póki twoje statki grasują po morzu, gryzpiórki nie mogą sprowadzić funta oliwek ani dzbana wina do Videssos. Wkrótce zgłodnieją.

— Owszem — zgodził się Elissaios sardonicznie. — Lecz za to Yezda staną się tłuści, grabiąc ziemie zachodnie, podczas gdy wy tutaj siedzicie na tyłkach.

Przy stole zapadła cisza. Bouraphos wypowiedział na głos to, co wszyscy myśleli w chwilach zwątpienia. Na wojnę domową Sphrantzesowie i Gavras zgromadzili wszystkich żołnierzy, których mieli, zostawiając prowincje, żeby same się broniły. Sądziło się, że po zwycięstwie przyjdzie czas, by odzyskać wszystko... jeśli cokolwiek zostanie.

— Na Phosa, on ma rację — powiedział Baanes Onomagoulos do Thorisina. Podobnie jak wielu oficerów Gavrasa, miał na zachodzie rozległe posiadłości. — Jeśli usłyszę, że wilki osaczyły Garsawrę, niech mnie Skotos porazi, jeśli nie zabiorę chłopaków do domu, żeby jej bronić.

Imperator wstał powoli. Jego oczy płonęły, ale trzymał nerwy na wodzy. Każde słowo, które wypowiedział, mogłoby być wykute ze stali.

— Baanes, zabierz choć jednego człowieka z linii bez mojego pozwolenia, a padniesz martwy, lecz nie z ręki Skotosa. Zrobię to osobiście, przysięgam. Złożyłeś mi przysięgę. Nie możesz ich zabrać tylko dlatego, że masz taki kaprys. Słyszysz mnie, Baanes?

Onomagoulos zmierzył się z nim wzrokiem. Thorisin odpowiedział mu nieruchomym spojrzeniem. Pierwszy odwrócił oczy marszałek i przesunął nimi po obecnych, żeby sprawdzić, czy ma poparcie.

— Słyszę, Thorisinie. Co tylko rozkażesz.

— Dobrze. Nie będziemy więcej o tym mówili oświadczył Gavras spokojnie i przystąpił do omawiania innych spraw.

— Ma zamiar tak to zostawić? — szepnął z niedowierzaniem Gajusz Filipus do Marka.

— Onomagoulos ma taki sposób mówienia — odszepnął trybun, ale on również był zaniepokojony.

Baanes nadal miał zwyczaj traktowania Thorisina Gavrasa jak chłopca. Skaurus zastanawiał się, co mogłoby zmienić jego wyobrażenie o Imperatorze.

Te drobne troski pierzchły bez śladu, gdy Rzymianie wrócili do obozu. Za palisadą czekał na nich Kwintus Glabrio.

— Co się stało? — spytał od razu Marek, widząc stężałą twarz centuriona.

— Ja... ty... — zaczął Glabrio dwa razy, nie mogąc wydusić nowiny.

Nie panował na głosem, podobnie jak nad twarzą. Wykonał gwałtowny gest rezygnacji, okręcił się na pięcie i odmaszerował, zostawiając dowódców.

Skaurus i Gajusz Filipus wymienili zdziwione spojrzenia. Glabrio zawsze był opanowany. Żaden z nich nigdy nie widział go w takim stanie... aż do teraz.

Ruszyli za nim wzdłuż wału ziemnego. Przy jednym z posterunków zebrała się grupka legionistów. Kiedy dwaj dowódcy podeszli bliżej, Skaurus zobaczył, że na wszystkich twarzach maluje się taki sam wyraz przerażenia i wściekłości, który przebijał się przez maskę opanowania Kwintusa Glabrio.

Grupka rozstała się na widok trybuna. Legioniści wyglądali na zadowolonych, że mają pretekst, by się wymknąć. Zostało tylko dwóch ludzi zasłaniających coś, co leżało na ziemi: Gorgidas i Phostis Apokavkos.

— Jesteś pewny, że chcesz to zobaczyć, Skaurusie? — zapytał Gorgidas, odwracając się do trybuna.

Jego twarz była blada, choć jako lekarz legionów widział więcej bólu i śmierci niż kilkunastu żołnierzy razem wziętych.

— Odsuńcie się — powiedział Marek ochryple.

Greki i Apokavkos odsłoniли ciało Doukitzesa. Marek nie mógł powstrzymać jęku. To po to uratowałem małego złodziejzka przed gniewem Mavrikiosa? Dla takiego losu? Ciało leżące przed nim niemo odpowiedziało „tak”.

Po śmierci Doukitzesa był jeszcze mniejszy, niż zapamiętał go Skaurus. Wyglądał raczej jak lalka wyrzucona przez złośliwe dziecko niż jak człowiek. Lecz gdzie dziecko, choćby najzłośliwsze, mogło zdobyć taką wprawę w rozmyślnym okaleczeniu, które odarło trupa z wszelkiej godności i podobieństwa do istoty ludzkiej?

Marek usłyszał, że Gajusz Filipus, stojący krok za nim, z sykiem wciąga powietrze. Nie zauważył, że jego własne ręce zacisnęły się w pięści. Poczul to dopiero, kiedy paznokcie wbiły się w ciało.

— Musiał umrzeć szybko — stwierdził Gorgidas, pokazując trybunowi czyste cięcie, które biegło od ucha do ucha mężczyzny. Parę much z fioletowymi odwłokami uciekło z oburzonym bzy-czeniem. — Nie żył, kiedy robili resztę. Cały obóz, na Asklepiosa, całe miasto by go słyszało. Znaleźli go wartownicy z następnej zmiany.

— To szczęście dla niego — mruknął Gajusz Filipus. — Zdaje się, że jedyne, jakie miał.

— Dla Sphrantzesów walczą Yezda — odezwał się Marek, który szukał jakiegoś wyjaśnienia. — To może być ich robota. Okaleczają zabitych, żeby przerazić wrogów.

Jeszcze zanim skończył, przestał w to wierzyć. Yezda byli barbarzyńcami. Zabijali i torturowali z dzikim upodobaniem. Lecz chirurgiczna precyzja tej jatki przewyższała ich wyczyny okrutną, zimną złośliwością.

— Yezda nie mają z tym nic wspólnego, niech ich piekło pochłonie — powiedział Phostis Apokavkos. — Niemal bym chciał, żeby to byli oni. Łatwiej bym zrozumiał.

Adoptowany Rzymianin mówił po łacinie z akcentem zachodniego Videssos. Przeciąganie samogłosek tylko podkreślało jego smutek. Choć golił twarz tak jak jego towarzysze, w głębi duszy pozostał Videssańczykiem. On i Doukitzes, dwaj żołnierze imperialni walczący u boku Rzymian, zaprzyjaźnili się po klęsce pod Maragłą.

— Mówisz, jakbyś wiedział, że to nie jest dzieło nomadów — stwierdził Gajusz Filipus — ale nie potrafię sobie wyobrazić, by mogli to zrobić nawet najgorsi spośród twojego ludu.

— Za co ci dziękuję — odparł Apokavkos, pocierając długi podbródek. Często pozował na Rzy-mianina, ale tym razem nie zaprotestował, gdy mu przypomniano, że jest Videssańczykiem. — Nie musisz sobie tego wyobrażać, bo to prawda. Spójrz tu. — Wskazał na czoło martwego mężczy-zny.

Widoczne tam nacięcia wydawały się Skaurusowi kolejną próbką zręczności zabójcy. Spojrzał uważniej. Tym razem ominął wzrokiem zaschniętą krew i dostrzegł wzór wycięty nożem. Było to słowo czy też raczej videssańskie nazwisko: Rhavas.

— To jasne jak słońce, że ten łajdak musi być idiotą, żeby zrobić coś takiego — powiedział Viri-doviks wieczorem przy ognisku. — Na pewno wie, że długo tego nie zapomnimy.

Zjadł tylko trochę chleba i parę winogron. Wrażliwy żołądek, który dawał mu się we znaki przy wielu okazjach z wyjątkiem bitew, podszedł mu do gardła na widok ciała Doukitzesa.

— Tak — zgodził się Gajusz Filipus, zaciskając owłosione ręce niczym wokół niewidocznej szyi. — I to podwójnym idiotą, bo schronił się w mieście, skąd nie będzie mu łatwo uciec.

— To jeszcze jeden powód, by je zdobyć — stwierdził Marek.

Wyciągnął kubek do ponownego napełnienia winem. Wstrząśnięty tym, co zobaczył, pił dużo,

żeby zapomnieć.

— Najgorsze jest to, co powiedziałeś — zwrócił się Kwintus Glabrio do Gajusza Filipusa — choć niezupełnie to miałeś na myśli. Doukitzes nie był zabawką nomadów. W okaleczeniu go po śmierci musiał istnieć jakiś cel, ale niech mnie bogowie chronią przed zbyt dokładnym poznaniem takich celów.

Zakrył dłońmi oczy, jakby go zdradziły, kiedy spojrzały na Doukitzesa.

Skaurus wypił videssańskie wino słodkie jak syrop i znowu podstawił kubek. Towarzysze do-
trzymywali mu kroku, ale picie nie poprawiło im humorów. Kolejno wymykali się do namiotów
mając nadzieję, że sen okaże się lepszym środkiem łagodzącym niż wino.

Trybun odsunął połę namiotu i wyszedł, wkładając po drodze płaszcz. Pozwolił, by nogi same go
niosły. Każda ścieżka była dobra, byle dalej stąd. Zakład Phosa równie często się wygrywało, jak i
przegrywało.

Wartownicy zasalutowali Skaurusowi na rzymski sposób zaciśniętymi pięściami, kiedy wyszedł
z obozu przez północną bramę. Z roztargnieniem oddał salut żałując, że w ogóle ktoś go widział. Z
wyjątkiem paru ludzi idących do latryn lub wracających stamtąd, w obozie panował spokój, a z
ognisk został tylko żar.

Wszystkie posterunki były wzmocnione, zarówno w obozie, jak i wzdłuż całego wału ziemnego.
Trybun zobaczył pochodnie płonące na całej drodze do morza. Wiedział, że tej nocy nie zaśnie ża-
den wartownik.

Noc była jasna i chłodna. Księżyc już dawno zaszedł za mury Videssos i zostawił niebo od-
ległym gwiazdom. Spoglądając na obce konstelacje, Skaurus zastanawiał się, czy Videssańczycy
wróżą z nich przyszłość. To zgadzałoby się z ich wierzeniami, ale nie mógł sobie przypomnieć, by o
tym słyszał. Nepos będzie wiedział.

Myśl pierzchła równie szybko, jak się pojawiła, przytłoczona nową falą rozgoryczenia. Trybun
maszerował dalej na północ. Wkrótce znalazł się poza rzymskim odcinkiem linii oblężniczej i dotarł
do obozu Namdalajczyków. Okrążył go z daleka, nie mając ochoty natknąć się na żadnego z wy-
spiarzy.

W oddali usłyszał odgłosy kłótni. Po chwili rozpoznał głos Komitty Rhangawe. Prawdopodobnie
Thorsin żałował teraz, że nie została po zachodniej stronie Końskiego Brodu. Skaurus zaśmiał się
gorzko. W pełni rozumiał to uczucie.

Jego śmiech wystraszył kogoś. Marek usłyszą? gwałtownie wciąga powietrze, a potem dobiegło
go ni to pytanie, ni to wyzwanie:

— Kto to?

Inny kobiecy głos, niższy od głosu Komitty, również znajomy, z gardłowym akcentem. Marek wyteżył wzrok.

— Nevrata? To ty?

— Tak.

Trybunowi od razu zrobiło się ciepłej na sercu. Ona i jej mąż już nie obozowali z legionistami, lecz przyłączyli się do kuzynów Senpata Sviodo, którzy przybyli z Gavrasem. Markowi brakowało obojga; dzielności i pogody ducha Senpata oraz jasności myślenia i odwagi jego żony. Poza tym stanowili dla niego wzór szczęśliwej pary.

Nevrata podeszła do niego wolno, uważając na każdy krok. Jak zwykle była ubrana po męsku w tunikę i spodnie. Do pasa miała przytroczony miecz. Jej lśniące włosy, czarniejsze niż noc, opadały falami na plecy.

— Czemu się włóczysz po nocy? — zapytał Skaurus.

— A dlaczego nie? — odparowała. — Czuję się jak kot skradający się w ciemności, który szuka nie wiadomo czego. A noc jest bardzo piękna, nie sądzisz?

— Co? Chyba tak — zgodził się. Nie docierało do niego to piękno.

— Dobrze się czujesz? — spytała nagle, dotykając jego ramienia.

Myślał przez chwilę.

— Nie, niezupełnie — przyznał.

— Mogę coś zrobić?

Bezpośrednia jak zawsze — pomyślał. Nevrata nie należała do osób, które podobne pytania zadają ot tak sobie. Lecz mogła otrzymać tylko jedną odpowiedź.

— Dziękuję, o pani, ale nie. Obawiam się, że na to nie ma lekarstwa.

Bał się, że będzie go naciskać, ale ona tylko skinęła głową i powiedziała:

— Mam nadzieję, że sam to wkrótce rozwiążesz. Ścisnęła go za ramię i zniknęła pośród nocy.

Marek ruszył dalej bez celu. Znajdował się teraz w pobliżu videssańskich kontyngentów Gavrasa. Dwaj żołnierze minęli go w odległości dwudziestu kroków, nieświadomi jego obecności. Jeden mówił:

— ...i kiedy ojciec zapytał go, dlaczego płacze, on odpowiedział: „Dziś rano przyszedł piekarz i zjadł moje dziecko!”.

Obaj roześmiali się głośno. Sprawiali wrażenie pijanych. Skaurusowi, który nie znał reszty dowcipu, pointa wydała się bez sensu. Właściwie takie wrażenie miał przez cały dzień. Obok przejechał człowiek na koniu, podśpiewując cicho. Również nie zauważył trybuna.

Przed nim ktoś się potknął i zaklął szeptem. Kiedy zbliżyła się do niego jakaś kobieta, Marek stwierdził, że nie ma potrzeby pytać jej, dlaczego chodzi po nocy. Rozcięta spódnica rozchyłała się przy każdym kroku, odsłaniając białe uda. W przeciwieństwie do żołnierzy, ona zobaczyła trybuna

w tym samym momencie, co on ją. Podeszła do niego śmiało. Była smukła, śniada, pachniała zwietrzałymi perfumami, winem i potem. Jej uśmiech, ledwo widoczny w ciemności, zapraszał.

— Wysoki jesteś — stwierdziła, oglądając Marka od góry do dołu. Jej mowa miała rytm charakterystyczny dla mieszkańców stolicy; szybki i ostry, niemal staccato. — Chcesz pójść ze mną? Obiecuję, że ta ponura mina zniknie. Skaurus nie wiedział, że marszczy brwi. Z wysiłkiem przybrał pogodniejszy wyraz twarzy. Pod rozwiązaną bluzką zobaczył małe piersi. Poczłł ściskanie w klatce piersiowej, jakby próbował głęboko odetchnąć w za ciasnej zbroi.

— Tak, pójdę z tobą — zdecydował się. — Czy to daleko?

— Nie. Pokaż mi pieniądze — poleciła rzeczowo.

Zaskoczyła go. Nie miał na sobie nic oprócz płaszcza. Nawet sandałów. Kiedy jednak zaczął z żalem rozkłada ręce, zobaczył błysk srebra na palcu prawej ręki. Zdjął pierścień i podał go dziewczynie.

— Czy to wystarczy?

Wzięła pierścień, przysunęła do oczu, uśmiechnęła się i wzięła Marka za rękę.

Rzeczywiście jej mały namiot znajdował się blisko. Zrzucając płaszcz, Skaurus zastanawiał się, czy ona jest tym, czego szukał. Wątpił w to, ale położył się obok kobiety.

VII

Co? Resaina poddała się Yezda? — mówił Gajusz Filipus do Viridoviksa. — Gdzie to słyszałeś?

— Powiedział mi jeden z żeglarzy, wczoraj w nocy przy kościach. Twierdził, że to pewne. Żeglarze cały czas się kręcą tu i tam, i znoszą wieści.

— Tak, i to zawsze złe — odezwał się Marek, wkładając do ust łyżkę porannej owsianki. — Kybistra padła kilka tygodni temu, a teraz to.

Utrata Resainy była ciężkim ciosem. Miasto leżało dwa dni marszu na południe do Zatoki Rhyax, na wschód od Amorion. Jeśli naprawdę padło, oznaczało to, że Yezda pokonali przeszkodę stojącą im na drodze, choć to drugie miasto znajdowało się w rękach fanatyków Zemarkhosa.

Podczas gdy miasta na ziemiach zachodnich jedno po drugim stawały się łupem najeźdźców, oblężenie Videssos przeciągało się. Nocami ludzie zaczynali wykradać się za mury, inni uciekali w małych łodziach. Przynosili wieści o kapryśnych i coraz brutalniejszych rządach, o zaciskaniu pasa.

Mimo reżimu Sphrantzesów, podwójne mury stolicy i wysokie wieże były zawsze obsadzone przez gotowych do walki obrońców.

— Thorisin jest między młotem a kowadłem — zadumał się trybun. — Nie może wrócić na drugą stronę Końskiego Brodu, żeby walczyć z Yezda, bo Ortaias i Vardanes ruszą za nim. Lecz je-

śli tego nie zrobi, nie zostanie mu wiele z Imperium, nawet gdyby zdobył stolicę.

— Musimy ją zdobyć — oświadczył Gajusz Filipus — i to szybko. To oznacza jednak szturmowanie murów, a trzęsę się za każdym razem, kiedy o tym pomyślę.

— O rany, nie widziałem drugiej takiej pary ponuraków — stwierdził Viridoviks. — Możemy iść, możemy zostać, możemy walczyć gdziekolwiek. Możemy się też upić, skoro nie mamy nic lepszego do roboty.

— Słyszałem pomysły, które mi się mniej podobały — zaśmiał się Gajusz Filipus.

Niefrasobliwa postawa Celta zirytowała Marka. Ukłonił mu się ironicznie i zapytał:

— Co więc nam zostało, skoro rozprawileś się ze wszystkimi możliwościami?

— Wcale nie ze wszystkimi, Rzymianinie — odparł Gal z błyskiem w zielonych oczach. — Pominąłeś zdradę. Nie przyszło ci to do głowy, bo jesteś zbyt uczciwy.

— Hmm — chrząknął Skaurus, nie przecząc, że Viridoviks trafił w sedno.

Nie dbał jednak o opinię Celta, który miał zapewne na myśli „zbyt łatwowierny”. Co więcej, nie uważał, by na nią zasłużył. Nie powtórzył nocy z dziwką ani tego nie pragnął. Nawet kiedy wpiła mu się paznokciami w plecy, wiedział, że nie jest lekarstwem na jego kłopoty z Helvis. Prawdę mówiąc, sytuacja jeszcze się pogorszyła. Bywało, że jego milczenie wisiało między nimi jak kotara.

Był zadowolony, kiedy z niewesołych rozmyślań wyrwał go wysoki Videssańczyk, który przybył od Gavrasa. Marek pociągnął ostatni łyk cienkiego, kwaśnego piwa; videssańskie wino było o tak wczesnej porze zbyt ciężkie dla jego żołądka.

— Co mogę dla was zrobić? — zapytał.

Żołnierz ukłonił się jak przed zwierzchnikiem, ale Skaurus dostrzegł jego lekko uniesione brwi i skrzywienie warg. Videssańscy arystokraci uważali piwo za napój wieśniaków.

— W kwaterze Jego Wysokości odbędzie się wpół do drugiej zebranie oficerów.

Videssańczycy dzielili dzień i noc na dwanaście godzin, liczonych od wschodu i zachodu słońca. Trybun spojrzał na niebo. Słońce dopiero co wzeszło.

— Jest jeszcze dużo czasu na przygotowanie się — stwierdził. — Przyjdę.

— Raczycie spróbować kropelkę, panie? — zapytał Viridoviks oficera, podając mu małą beczułkę.

Marek dostrzegł, że pod rudymi wąsami czai się uśmiech.

— Dziękuję, nie — odparł posłaniec. Jego twarz i głos były zupełnie bez wyrazu. — Muszę poinformować innych dowódców.

Ukłonił się ponownie i odszedł z niestosownym pośpiechem.

Gdy tylko zniknął z widoku, Gajusz Filipus klepnął Viridoviksa po plecach.

— Dziękuję, nie — powiedział, naśladując Videssańczyka.

Obaj wybuchnęli śmiechem, zapominając o warczeniu na siebie.

— Macie, panie, ochotę na kropelkę piwa? — spytał go Viridoviks.

— Ja? Na bogów, nie! Nienawidzę tego świństwa.

— Więc lepiej nie będę go marnował — skwitował Viridoviks i pociągnął haust z beczułki.

Łatwo było podzielić dowódców znajdujących się w namiocie Thorisina na dwie grupy: tych, którzy wiedzieli o upadku Resainy, i resztę. W pierwszej wyczuwało się napięcie oczekiwania. Nikt nie miał pojęcia, czego się spodziewać. Ci, którzy o niczym nie słyszeli, w większości przychodzili późno, jak na każdą inną nudną naradę.

Przez jakiś czas wydawało się, że mieli rację. Jako pierwszą rozpatrywano sprawę videssańskiego porucznika z kłaczkową brodą, którego przyciągnęli dwaj krzepcy strażnicy. Młodziak wyglądał na wystraszonego i skacowanego.

— I co tutaj mamy? — odezwał się niecierpliwie Thorisin, bębniąc palcami po stole.

Miał ważniejsze rzeczy na głowie.

— Wasza Wysokość... — zaczął porucznik drżącym głosem, ale Gavras uciszył go wzrokiem i spojrzał pytająco na starszego strażnika.

— Panie, więzień, niejaki Pastillas Monotes, ostatniego wieczora lżył grubiańsko Waszą Wysokość w obecności swojego oddziału.

Żołnierz wyrecytował z pamięci oskarżenie przeciwko nieszczęsnemu Monotesowi, głosem monotonnym i pozbawionym emocji.

Videssańscy oficerowie siedzący przy stole zeszytnieli, a na twarzy Thorisina Gavrasa pojawił się czujny wyraz. Dla Namdalajczyków, Khamorthów i Rzymian wolność słowa była czymś naturalnym, ale w starym Imperium do władców tradycyjnie odnoszono się z całym ceremoniałem i szacunkiem. Nawet tak nietypowy Imperator jak Thorisin nie mógł lekko potraktować obrazy majestatu, nie narażając się na utratę poważania u własnych poddanych. Marek współczuł wystraszonemu żołnierzowi, ale wiedział, że nie ośmieli się interweniować w tej sprawie.

— W jaki sposób lżył mnie Monotes? — zapytał Imperator oficjalnym tonem.

— Panie, więzień stwierdził, że skoro nie potraficie zrobić nic więcej, tylko oblegać Videssos, jesteście kundlem, durniem o sercu eunucha i człowiekiem, który ryczy jak lew, ale ucieka przed myszą — powtórzył strażnik z pamięci. — Takie były słowa więźnia, panie. Na jego usprawiedliwienie można dodać, że wypił za dużo trunków — zakończył i wreszcie w jego głosie pojawił się ludzki ton.

Thorsin przechylił głowę i spojrzał kpiąco na Monotesa, który najwyraźniej próbował zapaść pod ziemię.

— Lubisz zwierzęta, co? — zauważył.

Nadzieje Skaurusa wzrosły. Te słowa raczej nie wskazywały na to, że Imperator zamierza ogłosić rutynowy wyrok.

— Chłopcze, naprawdę powiedziałeś o mnie te wszystkie rzeczy?— zapytał Gavras z czystą ciekawością w głosie.

— Tak, Wasza Wysokość — szepnął porucznik żałośnie, z twarzą bladą jak nie farbowany jedwab. Wziął głęboki oddech. — Pewnie bym wymyślił dużo gorsze rzeczy, gdybym wypił więcej wina.

— Haniebne — mruknął Baanes Onomagoulos.

Thorisin natomiast zaczął się krztusić. Po chwili poddał się i wybuchnął śmiechem.

— Zabierzcie go — rozkazał strażnikom. — Wypędźcie z niego opary wina i wszystko będzie w porządku. Mysz, też coś! — prychnął, wycierając oczy. — Wynos się — powiedział do Monotesa, który próbował dziękować — albo pożałujesz, że nią nie jestem.

Porucznik omal nie upadł, kiedy strażnicy go popchnęli. Czym prędzej wyskoczył z namiotu. Dobry humor Gavrasa zniknął razem z nim.

— Gdzie reszta? — burknął.

W rzeczywistości tylko kilka miejsc było pustych. Kiedy niespiesznie zjawił się ostatni wódz Khamorthów, Thorisin spiorunował go wzrokiem. Nomada nie zmieszał się. Gniew człowieka osiadłego, nawet króla, nie mógł zrobić na nim wrażenia.

— Dobrze, że do nas dołączyłeś — rzucił Gavras, ale sarkazm był równie chybiony jak gniew. Następne słowa Imperatora przyciągnęły uwagę wszystkich obecnych.

— Proponuję przypuścić szturm na miasto za dwa dni o wschodzie słońca.

Po chwili zupełnej ciszy wybuchł gwar, jakiego Skaurus jeszcze nie słyszał podczas narad. Wybił się ponad niego okrzyk Soteryka.

— Więc jesteście durniem, panie, i straciliście resztki rozumu!

— Co was skłoniło do tego szaleństwa? — poparł go Utprand syn Dagobera.

W głosie Soteryka brzmiała wściekłość, natomiast w słowach starego Namdalajczyka słychać było zwykłą ciekawość. Plan Thorisina zainteresował go mniej więcej tak samo, jak trudny tekst w świętych pismach.

— Wyspiarze nigdy nie wiedzą, co się dzieje — mruknął Gajusz Filipus do Marka.

Wrzawa zagłuszyła jego pogardliwą uwagę. Dla najemnika znajomość sytuacji była na wagę złota. Jak na wysokie wymagania starszego centuriona Namdalajczycy zbyt często dawali się zaskakiwać.

Skaurus rozumiał jego dezaprobatę, ale jako człowiek bardziej obeznany w intrygach niż prosty centurion orientował się, dlaczego żołnierze Duchy wiedzą czasami mniej niż inni. Nie tylko byli heretykami w oczach Videssańczyków, ale zarazem poddanymi księcia, który sam by napadł na Imperium, gdyby uznał to za stosowne. Nic dziwnego, że wieści docierały do nich z opóźnieniem.

Thorisin Gavras czekał, aż gwar ucichnie. Marek wiedział, że Imperator jest najbardziej niebez-

pieczny, gdy trzyma nerwy na wodzy.

— Straciłem rozum, tak? — powiedział Gavras zimno, mierząc Soteryka wzrokiem. Tak samo mógłby orzeł spoglądać z nieba na młodego wilczka.

Soteryk w końcu spuścił oczy, ale trybun mimo to podziwiał silne nerwy szwagra, skoro nie mógł rozsądku.

— Tak, na Zakład — odparł Namdalajczyk. — Ile już tygodni siedzimy na tyłkach, żeby wziąć szubrawców głodem? A teraz nagle w górę miecze i na nich. Twierdzą, że to idiotyzm.

— Uważaj na słowa, wyspiarzu — zagrzmiał Baanes Onomagoulos. Jego niechęć do Namdalajczyków przewyższała mieszane uczucia wobec Thorisina.

Inni videssańscy oficerowie wydali zgodny pomruk. Gdyby Soteryk przemawiał tak do Mavrikiosa Gavrasa, młodszy brat króla wpadłby w gniew. Lecz cierniste słowa skierowane do siebie Thorisin przyjmował zwyczajnie. Podobnie jak Mavrikios — przypomniał sobie Marek.

— Wcale nie „nagle”, synu Dostiego — odezwał się Imperator.

Soteryk zrobił zdziwioną minę, gdy usłyszał rodowe imię. Skaurus przypomniał sobie, że starszy z Gavrasów też używał jego pełnego nazwiska. Zorientował się, że Thorisin zapożyczył od Mavrikiosa kolejną sztuczkę.

— Posłuchajcie — powiedział Thorisin i w kilku zdaniach wyjaśnił sytuację. — Tak więc, bohaterze, co według ciebie powinienem zrobić? — W jego głosie słychać było zniecierpliwienie.

Młody Namdalajczyk, wyczuwając drwinę, przygryzł wargi w gniewie i zakłopotaniu.

— Szturmować miasto — wykrztusił.

Nie powiedział — nie musiał mówić — że nikt jeszcze nie zdobył tych murów. Wszyscy zebrani o tym wiedzieli.

— Tak, szturmować miasto — zwrócił się Utprand do Thorisina. — Łatwo wam mówić. My jesteśmy z Duchy i płacimy za to, że zdobywamy dla was, panie, Imperium. Płacimy krwią.

Skaurus nie mógł się powstrzymać, żeby nie skinąć głową. Dowódca najemników, który stracił wojsko, nie miał nic do sprzedania.

— Więc idźcie do mroźnego piekła Skotosa — warknął Gavras, tracąc panowanie nad sobą. — Weź swoich Namdalajczyków i wracaj do domu, skoro nie chcesz walczyć. Mówisz, że płacicie krwią? Ja płacę podwójnie, cudzoziemcze. Każdy człowiek, wszystko jedno czy przyjaciel, czy wróg, który ginie w tej wojnie, zubaża mnie, bo ja jestem Autokratą całego Videssos i wszyscy jego obywatele są moimi poddanymi. Idźcie, wynoście się. Wasz widok mnie brzydzi.

Marek spodziewał się, że po tej tyradzie Utprand dumnym krokiem wymaszeruje z namiotu. Soteryk już odepchnął krzesło, ale powstrzymało go spojrzenie starszego Namdalajczyka. W gorących słowach Thorisina była prawda, która wcześniej nie dotarła do Utpranda, więc postanowił należycie je przemyśleć.

— Niech tak będzie — odezwał się w końcu. — Za dwa dni.

Zasalutował i wyszedł, skinąwszy na Soteryka.

Narada szybko się zakończyła. Oficerowie wychodzili po kilku naraz, rozprawiając z zapalem o tym, co usłyszeli. Marek napotkał spojrzenie Thorisina, który omawiał strategię z admirałem Bouraphosem. W oczach Imperatora dostrzegł wyraźny triumf. Zadał sobie pytanie, czy Gavras naprawdę się rozgniewał, czy też celowo doprowadził do tego, że Namdałajczycy z własnej woli postanowili zrobić to, co zaplanował.

Armia Gavrasa szykowała się do ataku. Wytoczono miotacze strzał i kamieni, które miały osłaniać szturmujących. Łucznicy napełnili kołczany. Wewnątrz zakrytych skórą osłon kołysały się tarany na łańcuchach.

— Bardzo imponujące — mruknął Gorgidas, obserwując przygotowania. — Pewnie w mieście grzeją olej, żeby zgotować nam gorące przyjęcie.

— *Absit omen* — rzucił Marek, ale wiedział, że to bardzo prawdopodobne.

Krzątanina była nazbyt widoczna z murów, by obrońcy mieli jakies wątpliwości, co się szykuje, mimo wysiłków armii Thorisina, żeby zachować wszystko w tajemnicy.

— Gdyby trafił się jakiś dowódca z głową na karku i odwagą, zrobiłby teraz wypad i opóźnił atak o tydzień — stwierdził Gajusz Filipus, patrząc na żołnierzy Sphrantzesa maszerujących czwórkami wzdłuż blanków.

— Nie sądzę — powiedział Skaurus. — Gryzypiórki mają władzę nad generałami, bo inaczej zaatakowano by nas już dawno temu. Ortaias odgrywa wojownika, ale Vardanes rządzi za pomocą podatków i intryg, a nie stali. Nie ufa żołnierzom.

— Mam nadzieję, że się nie mylisz — westchnął centurion.

Marek zauważył, że zastępca na wszelki wypadek podwoił patrole i posterunki wartowników. Nie zmienił jego dyspozycji. Ostrożność zawsze popłacała.

Rzymianie nie byli więc zaskoczeni, kiedy po zmroku z bocznej furty ukrytej przy jednej z wież zewnętrznego muru wyskoczyli wrogowie. Oprócz mieczy i łuków nieśli płonące głownie. Zasypali nimi sprzęt oblężniczy. Buchnęły nienaturalnie jasne płomienie. Pożar szybko się rozprzestrzenił. Videssańczycy byli zręcznymi podpalaczami.

Razem z pociskami nadleciały okrzyki: „Ortaias!” i „Sphrantzesowie!”. Odpowiedziały im wrzaski zaalarmowanych wartowników „Gavras!” i jęki pierwszych rannych. Rozległ się jeszcze jeden okrzyk bojowy, który sprawił, że Skaurus, który zwykle bez entuzjazmu stawał do bitwy, zatrzasnął hełm i ruszył do walki: „Rhavas!” Rhavas!”.

Wielu atakujących zatrzymało się na wale ziemnym, który oddzielał miasto Videssos od Imperium. Natknęli się tam na rzymskie posterunki, rzucili pochodnie i płonące strzały, a gdy zobaczyli, że obrońcy są gotowi na ich przyjęcie, wycofali się. Bandyci Outisa Rhavasa rzeczywiście walczyli

tak, jak mówiono: po śmiałym zrywie szybko tracili siły i zapął.

Jedna zdeterminowana grupa wdarła się jednak na wał obronny i zaczęła walczyć z Rzymianami na miecze oraz rąbać maszyny oblężnicze siekierami, łomami i dużymi drewnianymi młotami. Dowodził nimi wysoki, mocno zbudowany mężczyzna, który musiał być samym Rhavasem. Marek ruszył na niego z okrzykiem „Stawaj i walcz, morderco!”.

Ku rozczarowaniu trybuna, wróg miał opuszczony wizjer hełmu. Marek chciał zobaczyć oczy tego człowieka, kiedy go będzie zabijał. Rhavas nie był tchórzem. Skoczył w stronę Skaurusa, trzymając w górze miecz. Dwa ostrza spotkały się z brzękiem stali. Marek poczuł ból w całym ramieniu. Znaki druidów na jego galijskim mieczu zapłonęły żółto. Były gorętsze i jaśniejsze niż kiedykolwiek od czasu pojedynku, który Rzymianin stoczył tuż po przybyciu do stolicy z Avsharem, księciem-czarnoksiężnikiem. Skaurus zacisnął wargi. Więc Rhavas też miał zaklętą broń. Na nic mu się to nie zda.

Po następnej, nie rozstrzygniętej wymianie ciosów, rozdzielili ich walczący. W tym momencie Rhavasa zaatakował Phostis Apokavkos. Ogarnięty mściwymi szablami, zapomniał o regułach walki na miecze, które wpoili mu legionieści. Wymachiwał gladiusem, którego klinga była o wiele za krótka do takiej walki. Rhavas bawił się z nim jak kot z myszą, przez cały czas śmiejąc się okrutnie. W końcu zmęczył się zabawą i postanowił ją zakończyć. Uniósł miecz i opuszczył go na hełm przeciwnika. Phostis zatoczył się i chwycił rękami za głowę. Miał ją jeszcze na karku, gdyż cios okazał się za słaby. Rhavas skoczył na Apokavkosa z rykiem wściekłości, lecz drogę zastąpił mu Gajusz Filipus.

— Odsuń się, człowieczku — syknął Rhavas — albo pożałujesz.

Apokavkos opadł na kolana za starszym centurionem. Z ucha ciekła mu krew. Gajusz Filipus zaparł się nogami, czekając na gwałtowny atak. Splunął przez ramię.

Spadł na niego grad ciosów, wściekły jak jesienne oberwanie chmury na zachodnich płaskowyzach. Rzymianin był jednak bardziej zaprawiony w bojach niż Phostis Apokavkos i nie próbował rewanżować się przeciwnikowi. Stał w pozycji obronnej, kontratakując tylko wtedy, gdy miał pewność, że nie narazi się na niebezpieczeństwo.

Rhavas wykonał manewr mylący i próbował okrążyć wroga, lecz starszy centurion przesunął się szybko w bok, oddzielając gigantycznego wojownika od ofiary. Marek pośpieszył towarzyszowi na pomoc. Nadbiegło kilkunastu legionistów. Viridoviks, który jak zwykle wystarczał za całą armię, powalił dwóch napastników na ziemię i zaszedł Rhavasa z drugiej strony.

Ciskając przekleństwami, zbiorczo odwrócił się, trzymając Rzymian w szachu, gdy tymczasem reszta jego ludzi utorowała sobie drogę przez wał obronny. Rhavas przeskoczył go jako ostatni i już po drugiej stronie oddał Skaurusowi drwiący salut.

— Będą jeszcze następne okazje! — zawołał, a brzmienia w jego głosie złowroga pewność siebie

sprawiła, że trybunowi ciarki przeszły po plecach.

— Ścigamy go? — zapytał Gajusz Filipus.

Herszt bandytów stał na ziemi niczyjej, najwyraźniej prowokując Rzymian do pościgu.

— Nie — odparł Marek z żalem. — On chce nas zwabić w zasięg machin miotających.

— Tak, szkoda życia dla takiego sukinsyna — przyznał Gajusz Filipus. Zgiął lewe ramię, skrzywił się i powiedział: — Jest silny jak niedźwiedź, niech go diabli. Parę razy myślałem, że mi złamał rękę. *Scutum* już nie będzie mi tak służyła jak dawniej.

Górna krawędź z brązu była wyszczerbiona, a grube deski samej tarczy rozłupane silnymi ciosami Rhavasa.

Woda nie mogła ugasić pożarów, które wzniecili napastnicy. Trzeba było zasypać je piaskiem. Ogień zniszczył kilka miotaczy strzał i jedną wielką machinę miotającą kamienie, a kilkanaście innych porąbali siekierami i łomami ludzie Rhavasa. Skaurus dziwił się, że straty nie są większe. Na szczęście, wrogowie mieli tylko kilka minut na przeprowadzenie ataku.

Straty wśród ludzi również były niewielkie. Viridoviks zaliczył na swoje konto połowę zabitych wrogów. Marek wiedział, że w nadchodzących tygodniach jeszcze nieraz usłyszy o podobnym wychnie. Nie zginął żaden Rzymianin, co uradowało serce trybuna. Każdy poległy legionista oznaczał, że zerwało się kolejne ogniwo łączące Skaurusa ze światem, którego miał już nigdy nie zobaczyć. Odchodził na zawsze człowiek, który dzielił jego wspomnienia.

Najciężej ranny był Apokavkos. Gorgidas zdjął mu hełm i wprawnymi palcami obmacał czaszkę. Phostis próbował coś powiedzieć, lecz wydobył z siebie tylko niezrozumiały bełkot.

Skaurus przeraził się, ale grecki lekarz wydał pomruk zadowolenia.

— Cios spowodował wstrząs mózgu, i nic dziwnego — powiedział do trybuna. — Biedak na jakiś czas stracił mowę, ale wyzdrowieje. Czaszka nie jest pęknięta. Phostis może poruszać kończynami, prawda?

Videssańczyk poruszył się, żeby to zademonstrować. Znowu próbował się odezwać, ale gdy mu się to nie udało, potrząsnął głową z irytacją i natychmiast się skrzywił. „Boli głowa”, nabazgrał na ziemi.

— Umiesz pisać? Interesujące — zadziwił się Gorgidas, nie zwracając uwagi na wiadomość. Przez chwilę patrzył na Apokavkosa jak na rzadki okaz, a potem roześmiał się z zakłopotaniem: — Dam ci wina zmieszanego z makowym wyciągiem. Prześpisz cały dzień, a kiedy się obudzisz, ból głowy powinien minąć. Wtedy też pewnie wróci ci mowa.

„Dziękuję”, napisał Apokavkos po videssańsku. Choć mówił po łacinie, nie potrafił w tym języku pisać. Wstał z trudem i poszedł z Gorgidasem po obiecane lekarstwo.

— Dobrze, że Namdalajczycy Draxa i regularne wojsko videssańskie nie ruszyło za zbójami Rhavasa na wypad — powiedział Marek do Gajusza Filipusa tej samej nocy. — Szturm rzeczywi-

ście by się opóźnił, a nie możemy sobie na to pozwolić, kiedy na zachodzie dzieją się niedobre rzeczy.

Centurion starannie ogryzł pieczone kurze udko i cisnął kość w ognisko.

— Dlaczego mieliby pójść za Rhavasem? — spytał. — Znasz Namdalajczyków i imperialnych. Myślisz, że im się podoba ta banda rzezimieszków? Pewnie mieli nadzieję, że sporo ich wybijemy. Założę się, że by ich nie opłakiwali.

Marek doszedł do wniosku, że Gajusz Filipus ma rację. Obrońcy byli w większości takimi samymi żołnierzami jak inni i bez wątpienia pogardzali bandytami, podobnie jak całe regularne wojsko. To dowódcy posługiwali się takimi ludźmi, a nie szeregowcy.

— Sphrantzesowie — powiedział z obrzydzeniem.

Gajusz Filipus skinął głową. Rozumiał go doskonale.

Ranek, który Thorisin Gavras wybrał na szturm, wstał szary i mglisty. Mgła, choć nie tak gęsta jak w tę noc, kiedy przyplły statki z Klucza, ograniczała widoczność do stu kroków.

— Widzę, że niektóre moje modlitwy zostały wysłuchane — stwierdził Gajusz Filipus, wywołując słabe uśmiechy na twarzach legionistów.

Kończyli przygotowania z ponurymi minami. Wiedzieli, co ich czeka.

— Bardzo dużo zależy od twoich ludzi — mówił Marek do Laona Pakhymera.

Khatrish przyprowadził swoich ludzi, którzy do tej pory zajmowali się zaopatrzeniem. Teraz mieli pomóc w ataku na stolicę.

— Wiem — odparł Pakhymer. — Nasze kołczany są pełne. Doprowadziliśmy rzemieślników do szału, prosząc o tyle strzał. — Z niechęcią łypnął na pochmurne niebo. — Trudno będzie trafić w cele.

— Oczywiście — powiedział Skaurus, nagle mniej zadowolony z mgły. — Wystarczy, że zasypiecie strzałami szczyt muru. Nie musicie od razu zabić.

— Oczywiście — powtórzył Pakhymer ironicznie.

Trybun poczuł, że się czerwieni. A to dobre! Robi wykład o łucznictwie Khatrishowi, który zapewne dostał łuk w rękę, kiedy skończył trzy lata. Marek pośpiesznie zmienił temat.

Rozbrzmiał głos trąby; wysoki i piskliwy w porannej ciszy. Marek rozpoznał imperialną fanfarę, sygnał do ataku. Strach rozwiął się. Skończyło się czekanie. Zbliżała się bitwa, jakkolwiek miał być jej wynik.

Ostatnia nuta jeszcze wisiała w powietrzu, kiedy ożyły rogi. Rzymianie z całych sił zakrzyknęli „Gavras!” i ruszyli biegiem w stronę Srebrnej Bramy i bocznej furtki, przez którą Rhavas dokonał wypadu. Legioniści przystąpili do zasypywania biegnącej wokół miasta fosy ziemią, gałęziami i

wiązkami kijów, żeby zrobić miejsce dla taranów.

Pierwszą linię obrony stanowił wał ziemny sięgający człowiekowi do piersi, nie różniący się wiele od tego, który usypali ludzie Gavrasa, tyle że był oblicowany kamieniami. Szybko uporano się z posterunkami, którym obrońcy wcale nie byli skłonni rzucić się na ratunek.

Wysoko na Srebrnej Bramie stały ikony Phosa przypominające, że Videssos to jego święte miasto. Teraz potraktowano je brutalnie. Bzycząc nad głowami Rzymian jak rój wściekłych komarów, nadleciały strzały Khatrishów. Zaraz potem dał się słyszeć hałas miotaczy strzał i łoskot katapult wyrzucających kamienie.

— Ładować! No dalej, żwawo! — poganiał załogę jeden z artylerzystów.

Marek doszedł do wniosku, że stanowi on doskonałą videssańską kopię Gajusza Filipusa. Starszy centurion poganiał krzykiem legionistów, którzy toczyli tarany w stronę wzmocnionej żelaznymi obręczami Srebrnej Bramy. Drewniane skrzynie o ściętych bokach, pokryte skórą dla ochrony przed ogniem, wrzącym olejem i piaskiem, sunęły ociężale naprzód.

Spoglądając w górę na mury zwieńczone blankami, Skaurus poczuł przyływ nadziei. Wbrew jego oczekiwaniom pociski szybko wypędziły obrońców ze stanowisk. Tarany bez przeszkód zajęły pozycje. Korytarz za bramą rozbrzmiał echem pierwszych uderzeń niczym w wielki bęben.

Lecz Khatrishe nie mogli dłużej utrzymywać morderczego ognia. Ramiona im omdlały, ciężki rozciągnęły się i strzały przestały dolatywać do celu. Na murach znowu pojawili się żołnierze. Jeden z Vaspukaranerów Bagratouniego wrzasnął, kiedy gorący olej przedostał się przez spojenia zbroi i przypiekł ciało. Kolejny obrońca już miał wylać na Rzymian kocioł wrzącego tłuszczu, gdy strzała Khatrisha trafiła go w twarz. Mężczyzna zatoczył się do tyłu, chlustając wrzącym płynem na swoich towarzyszy. Rzymianie zaczęły wiwatować, słysząc w górze wrzaski bólu i strachu. Z wież wewnętrznego muru posypały się na legionistów kamienie i inne pociski. Khatrishów było za mało, a poza tym stali za daleko, by unieszkodliwić strzelców i katapulty. Ponad bitewną wrzawę wybił się krzyk „Drabiny!”, „Drabiny!”. Skaurus rzucił spojrzenie w tamtym kierunku i zobaczył ludzi wdrapujących się błyskawicznie na mury. Wiedzieli, że tracą życie, jeśli nie dotrą do szczytu, zanim wrogom uda się odepchnąć drabiny. Legioniści nie próbowali tej taktyki. Trybun ocenił, że jest zbyt ryzykowna.

Tarany waliły bez ustanku. W góry opuścił się łańcuch z umieszczonym na końcu hakiem, lecz Rzymianie, czujni na takie sztuczki, odepchnęli go. Ogromne żelazne klamry łączące bramę z murem zgrzytały i jęczały po każdym ciosie. Grube dębowe portale zaczęły się wyginać do wewnątrz.

— Teraz ich mamy! — krzyknął Viridoviks.

Jego oczy płonęły podnieceniem. Machnął mieczem w stronę oblężonych. Z niecierpliwością czekał, kiedy wreszcie się z nimi zmierzy. Walka na odległość oraz pojedynki taranów i katapult

były marnym substytutem walki wręcz, za którą tęsknił.

Marek mniej się do niej palił, lecz jego pewność siebie rosła. Ludzie Ortaiasa nie stawiali zażartego oporu. Właściwie to Rzymianie nie powinni nawet przytoczyć taranów w pobliże Srebrnej Bramy, nie mówiąc o jej roztrzaskaniu, co im się prawie udało. Zastanawiał się, ilu żołnierzy związały statki Elissaiosa Bouraphosa, atakujące Videssos od strony morza. Czasami flota okazywała się przydatna.

Walka przy furcie wypadowej nie przebiegała dla legionistów tak pomyślnie. Ostry uskok w murze chronił ją przed machinami i pozwalał obrońcom strzelać do atakujących. Kiedy straty wzrosły, Skaurus wycofał swoich żołnierzy, zostawiając dwa oddziały, które miały pilnować, by oblężeni Videssańczycy nie dokonali wypadu.

Ostatnie uderzenie pracujących zgodnie taranów trafiło w nadwerężone deski Srebrnej Bramy, która runęła do środka. Rzymianie wyskoczyli zza osłon taranów krzycząc, że miasto jest zdobyte.

Triumfowali przedwcześnie. Przejście między zewnętrznymi a wewnętrznymi wrotami było otoczone murem i zadaszone, a drogę zagradała potężna krata. Zza niej łucznicy siali śmierć pośród legionistów.

Dzielni jak zawsze Khatrishe Laona Pakhymera przybiegli na ratunek. Ucierpieli na tym, ponieważ mieli na sobie tylko lekkie zbroje. Ludzie Ortaiasa zebrali wśród nich obfite żniwo. Laon Pakhymer patrzył na to bez wyrazu, ale twarz mu pobladła i wyraźniej odznaczyły się na niej dzioby. Mimo to wysłał naprzód kolejnych wojowników.

Jeszcze więcej łuczników strzelało do Rzymian z otworów wybitych w ścianach nad przejściem. Nie były puste tak jak poprzedniego lata w ogarniętym paniką Khliat, lecz obsadzone przez ludzi i niebezpieczne.

— *Testudo!* — krzyknął Gajusz Filipus i nad głowami legionistów pojawiły się *scuta* dla ochrony przed deszczem strzał.

Zaraz jednak spadło na nich coś gorszego niż strzały. Rozgrzany do czerwoności piasek, wrząca woda, pryskający olej wylały się z otworów strzelniczych, a złączone tarcze nie mogły ochronić żołnierzy. Poparzeni ludzie zaczęli przeklinać i wrzeszczeć.

Jeszcze straszniejsze były butelki z witriolem, którymi obrońcy rzucali w Rzymian. Pokrycie tarcz dymiło i pokrywało się bąblami, a jeśli kropla zetknęła się z ciałem, wypalała je do kości.

Skaurus zazgrzytał zębami z frustracji. Sforsowawszy Srebrną Bramę, jego ludzie wpadli w okrutną pułapkę. Już lepiej, gdyby przegrali od razu. Tarany, chronione przez płaszcze, sunęły wytrwale w stronę kraty. Jeden z ludzi siedzących wewnątrz osłony padł trafiony strzałą, która ominęła tarczę.

Lecz za kratą znajdowały się drugie wrota, jeszcze mocniejsze niż pierwsze. Czy mógł rozkazać żołnierzom, żeby pokonali tę przeszkodę i zaatakowali świeże oddziały Ortaiasa?

Gdyby miał do dyspozycji wielką armię, mógłby tego spróbować. Jego siły były jednak ograniczone. Gdyby teraz stracił legionistów, straciłby ich na zawsze. Choć bardzo chciał pomóc Thorisinowi, musiał pamiętać o credo dowódcy najemników: należy chronić swoich ludzi. Bez nich nic nie można zrobić.

— Wycofywać się — rzucił komendę i dał znak trębaczom, żeby odtrąbili odwrót.

Tego rozkazu legioniści słuchali bez przykrości. Wyruszyli do ataku w bojowym nastroju, ale znali granice swoich możliwości.

Khattrishe osłaniali Rzymian. Zwłaszcza wycofanie taranów było trudnym zadaniem ze względu na ich wielkość i ciężar. Laon Pakhymer machnięciem ręki zbył podziękowania Marka.

— Wy zrobiliście dla nas więcej w zeszłym roku. — Po chwili milczenia dodał: — Czy możemy prosić o pomoc waszego kłótliwego lekarza?

— Oczywiście — odparł Skaurus.

— Zatem dziękuję. Jego ręce są delikatne, choć język ostry, a ten instrument do wyciągania strzał to sprytne urządzenie.

— Gorgidas! — zawołał Marek.

Grecki lekarz nadbiegł truchtem, powiewając bandażem trzymanym w ręce.

— Czego chcesz, Skaurusie? Jeśli musisz wysyłać ludzi na rzeź, przynajmniej pozwól mi ich teraz poskładać do kupy. Nie chcę tracić czasu na gadanie.

— Zajmij się również Khattrishami, dobrze? Nasi sprzymierzeńcy noszą lżejsze *panoplie*, więc łucznicy bardziej dali się im we znaki. Pakhymer bardzo chwali twój wyciągacz strzał.

— Łyzkę Dioklesa? Tak, to użyteczne narzędzie. — Wyciągnął je zza paska. Gładki brąz był zaplamiony krwią. Gorgidas pokazał instrument dwóm oficerom. — Możecie mi powiedzieć, czyja to krew; Rzymianina, Khattrisha czy też może imperialnego? — Nie czekał na odpowiedź, tylko mówił dalej: — Ja też nie potrafię tego stwierdzić. Nie przyglądałem się rannym... i nie zamierzam. Jestem zajęty człowiekiem, dzięki wam dwóm, więc łaskawie pozwólcie mi wykonywać pracę.

Pakhymer spojrział w ślad za nim.

— Czy to oznaczało „tak”?

— To oznaczało, że zajmował się twoimi ludźmi przez cały czas. Powiniennem być wiedzieć.

— Tego człowieka prześladują demony — stwierdził Pakhymer powoli. W jego oczach czaił się przesądny lęk. Chciał, by jego słowa zostały wzięte dosłownie. — Demony są dzisiaj wszędzie — mruknął — naruszają Równowagę.

W oczach Videssańczyków Khattrishe byli jeszcze większymi heretykami niż Namdalajczycy. Mieszkańcy Duchy mówili o Zakładzie Phosa z nadzieją, że Phos w końcu pokona Skotosa, natomiast ziomkowie Pakhymera utrzymywali, że walka między dobrem i złem jest wyrównana i nie wiadomo, kto będzie ostatecznym zwycięzcą.

Skaurus był zbyt zmęczony i rozczarowany, by spierać się na temat subtelności religii, której nie wyznawał. Z zaskoczeniem stwierdził, że niebo jest czyste i niebieskie. Gdzie się podziała mgła? Słońce świeciło mu w oczy. Jego cień się wydłużył. Szturm trwał prawie cały dzień. Zważywszy na rezultat, mogli do niego w ogóle nie przystępować.

Kiedy Rzymianie zaczęli odwrót, z murów posypały się szyderstwa. Wybijał się ponad nie grzmiący, pogardliwy śmiech Outisa Rhavasa.

— Wracajcie do mamuś, chłopaczki! — ryczał zbir ze złośliwą radością. — Wzięliście udział w nie swojej grze i dostaliście za to lanie! Wracajcie do domu, bądźcie grzeczni, a nie stanie się wam krzywda!

Marek z trudem przełknął ślinę. Klęska z rąk Rhavasa była pięć razy gorsza niż jakakolwiek inna. Ze zwieszoną głową prowadził do obozu strudzony, wykrwawiony legion.

W Videssos żołnierze Sphrantzesów długo w noc świętowali zwycięstwo. Mieli powody do radości. Żaden ze szturmów Thorisina nie był tak bliski powodzenia jak atak Rzymian, choć Skaurus dobrze wiedział, że legionistom wiele brakowało do zdobycia miasta.

Odgłosy hulanki wprawiały w jeszcze bardziej ponury nastrój armię Gavrasa, która lizała rany za wałem obronnym. Trybun słyszał gniewne rozmowy wokół rzymskich ognisk i nie winił za nie żołnierzy. Walczyli najlepiej jak mogli, lecz kamienie, cegły i żelazo są mocniejsze niż ciało i krew.

Gdy w rzymskim obozie zjawił się jakiś Namdałajczyk, nerwowi wartownicy omal go nie przebili włócznią. Ledwo zdołał ich przekonać, że jest przyjacielem. Zapytał o Skaurusa. Uparł się, że będzie rozmawiał tylko z nim. Trybun poszedł do północnej bramy, wyciągając po drodze miecz. Nie ufał nikomu.

Okazało się jednak, że zna posłańca. Był nim najemnik o nazwisku Fayard, który kiedyś służył pod rozkazami męża Helvis, Hemonda. Wyszedł z ciemności i namdałajskim zwyczajem uściśnął dłoń trybuna obiema rękami.

— Soteryk pyta, czy napijecie się z nim wina w naszym obozie — powiedział.

Po latach spędzonych w Imperium mówił po videssańsku prawie bez obcego akcentu.

— To tę wiadomość miałeś przekazać mi osobiście? — spytał Skaurus zaskoczony.

— Taki dostałem rozkaz. — Fayard wzruszył ramionami.

Miał zrezygnowaną minę żołnierza nawykłego do przekazywania poleceń, niezależnie od tego, czy widział w nich sens.

— Oczywiście, że przyjdę. Zaczekaj chwilę.

Marek szybko odszukał Gajusza Filipusa i powiedział mu o zaproszeniu Soteryka. Starszy centurion przymrużył oczy i w zamyśleniu pogładził się po brodzie.

— Czegoś od nas chce — stwierdził. — Nie jest zbyt dobry w tej grze, co? Cały obóz zaraz będzie wiedział, że wybierasz się na sekretne spotkanie, skoro jego człowiek właśnie wyśpiewał to przy bramie.

— Może powinienem odsunąć cię od walki — powiedział Marek. — Robi się z ciebie niezły intrygant.

Gajusz Filipus prychnął. Wiedział, że to czcza pogróżka.

— Ha! Nie trzeba być krową, żeby wiedzieć, skąd się bierze mleko.

Skaurus nie mógł zwalczyć pokusy.

— Masz rację. To byłoby wymiátkowo * śmieszne. (* W oryginale: udderly ridiculous; udder — wymię (przyp. Red.))

Odszedł pogwizdując. Czuł się lepiej niż kiedykolwiek od czasu nieudanego ataku.

On i Fayard byli trzy razy zatrzymywani w czasie dziesięciminutowego marszu do namdalajskiego obozu i raz wewnątrz palisady. Strażnicy, którzy poprzedniej nocy zignorowaliby cały pluton, teraz sięgali po włócznię albo łuk na najmniejszy ruch. Klęska sprawiła, że ludzie boją się cienia — pomyślał Marek.

Kolejny uzbrojony strażnik stał przed namiotem Soteryka. Przyjrzał się trybunowi z bliska i dopiero wtedy odsunął się, żeby go przepuścić. Fayard dwornie uchylił poję namiotu.

— Ty nie wchodzisz? — zapytał Marek.

— Ja? Na Zakład, nie — odparł Namdalajczyk. — Soteryk oderwał mnie od gry w kości, i to akurat kiedy zaczynałem wygrywać. Więc za pozwoleniem...

Zniknął nie kończąc zdania.

— Wchodź, Skaurusie, a przynajmniej opuść poję! — zawołał Soteryk. — Wiatr zgasi świece.

Jeśli Marek miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy zaproszenie jest czysto towarzyskie, rozwiały się na widok zgromadzonych. Na macie obok Soteryka siedział Utprand syn Dagobera z zabandażowaną ręką. Jak zwykle, jego zimne oczy i cała postawa były czujne jak u wilka. Obok niego trybun zobaczył dwóch Namdalajczyków, których znał tylko z nazwiska: Clozart Skórzane Spodnie i Turgot Sotevag. Obaj pochodzili z miasta leżącego na wschodnim wybrzeżu wyspy Duchy. Cała czwórka reprezentowała wszystkich wyspiarzy, którzy służyli Gavrasowi.

Przesunęli się, robiąc miejsce Skaurusowi. Turgot zaklął cicho, kiedy się poruszył.

— Mam zabandażowany tyłek — wyjaśnił Rzymianinowi. — Dostałem strzałę prosto w pośladek.

— Twój tyłek nic go nie obchodzi — zagrzemiał Clozart.

Marek stwierdził, że ten mężczyzna o surowej, grubo ciosanej twarzy wygląda głupio w obciśłych skórzanych spodniach — miał prawie pięćdziesiąt lat i pokaźny brzuch — ale sprawia wraże-

nie twardego człowieka, który działa i nie myśli o konsekwencjach.

— Napij się wina — powiedział Turgot, nalewając gościowi z pękatego dzbana. — Nie chcieliśmy, żeby Fayard wyszedł na kłamcę, prawda?

Marek potrząsnął głową i z uprzejmości łyknął wina. Mimo ostentacyjnej pogardy dla videssańskich zwyczajów, niektórzy Namdalajczycy z wielkim zapałem bawili się w dwuznaczności, której to gry nauczyli się od Videssańczyków.

Soteryk do nich nie należał. Jednym haustem wychylił swój kubek i zapytał otwarcie:

— I co sądzisz o dzisiejszej kłęsce?

— To samo co myślałem wcześniej — odparł trybun. — Za takimi murami nawet garstka chromych starców zdołałaby powstrzymać armię, gdyby tylko pamiętali, że mają zrzucić wrogom kamienie na głowy.

— Ha! Dobrze powiedziane — stwierdził Utprand, obnażając zęby w grymasie, który miał być uśmiechem. — Za tym pytaniem kryje się jednak coś więcej. Gavras wysłał nas na pewną śmierć. Wiedział, że tych umocnień nie da się zdobyć. Dlaczego mamy służyć takiemu człowiekowi?

— Myślicie o przejściu na stronę Sphrantzesów? — zapytał Marek ostrożnie.

Wiedział, że jeśli przytakną, będzie musiał posłużyć się całym sprytem, by opuścić obóz wyspiarzy. Nie zamierzał dokonywać takiego wyboru. A jeśli spryt go zawiedzie... Zmienił pozycję, przesuając miecz tak, żeby go było łatwiej wyjąć.

— Pierdźę Ortaiasowi w twarz — wybuchnął Clozart z pogardą.

— Niech go pokręci — dodał Soteryk. — Gryzipiórek-laluś to jeszcze gorzej niż Gavras. On i te jego „sztuki złota”!

— Więc jaka jest inna możliwość? — spytał zaintrygowany Skaurus.

— Dom — odparł Turgot natychmiast i w jego oczach pojawiła się tęsknota. — Chłopcy już dość się nawojowali i ja też. Niech przekłęci imperialni sami się między sobą tłuką. Oddajcie mi chłodny Sotevag i długie fale na nieskończonym szarym oceanie, to jeśli znowu trafią do mnie werbownicy z Imperium, poszczuję ich psami jak wasz vaspurakański przyjaciel videssańskiego kapłana.

Trybun nie czuł tęsknoty, tylko zazdrość, która już powoli wygasła. W tym świecie on i jego ludzie nie mieli domu i było mało prawdopodobne, by się to zmieniło.

— W twoich ustach wydaje się to takie proste — stwierdził sucho. — Proponujesz pomaszerować przez wschodnie ziemie Imperium do swojego kraju?

Zamierzony sarkazm nie trafił w cel.

— Tak — odparł Clozart. — Tyle że drogą morską. Dlaczego nie? Jak nas powstrzymają imperialni?

— To powinno być łatwe — zgodził się Utprand. — Imperium zabrało żołnierzy ze wszystkich garnizonów na wojnę z Yezda, a teraz na domową. Gdy tylko wydostaniemy się z Videssos, nikt nam nie przeszkodzi. A Thorisin będzie nas musiał puścić. Jeśli spróbuje nas zatrzymać, zaatakują go Sphrantzesowie.

Wywód był przekonujący, podobnie jak sam Utprand. Jeśli zimny Namdalajczyk twierdził, że coś jest do zrobienia, najprawdopodobniej miał rację. Markowi przyszło do głowy tylko jedno pytanie:

— Dlaczego mi o tym mówicie?

— Chcemy, żebyście poszli z nami; ty i twoi ludzie odpowiedział Soteryk.

Trybun wytrzeszczył oczy, oniemiały z zaskoczenia.

— Księżę Tomond, niech go Phos kocha, byłby dumny, mając takich wojowników. W Duchy jest dość miejsca i wolnej ziemi. Twoi ludzie dostaliby działki na własność. Zostaliby rolnikami, a ty księciem. Jak ci się to podoba? „Skaurus, Skaurus, wielki księżę Skaurus!”, gdybyś zdecydował się iść na wojnę.

Próby Soteryka, by polećtać jego próżność, nie zrobiły na Marku wrażenia. Miał więcej wpływów jako generał w Imperium niż w Namdalen z wymyślnym tytułem szlacheckim. Lecz po raz pierwszy, odkąd Rzymianie znaleźli się w tym świecie, czuł pokusę, by porzucić służbę dla Videssos. Oferowano mu coś, co uważał za niemożliwe do zdobycia: dom — miejsce, które mógłby nazwać swoim.

Sama obietnica otrzymania ziemi wydałaby się cudem jego żołnierzom. W Rzymie toczono wojny domowe, żeby wypełnić zobowiązania wobec weteranów. „Dość wolnej ziemi...”.

— Tak, cudzoziemcze, nasz kraj jest piękny — powiedział Turgot, który wpadł w sentymentalny nastrój. — Sotevag leży na wybrzeżu, między dębowymi lasami i polami uprawnymi. Spędzam tam dużo czasu. Mam również gospodarstwo na wzgórzach porośniętych wrzosami i janowcami. Pasą się tam stada owiec. Niebo ma inny kolor niż tutaj; kolor głębokiego błękitu. Wydaje się, że można przejrzeć je na wylot. Wiatr niesie muzykę, a nie smród końskiego łajna i kurzu.

Rzymianin siedział w milczeniu, pochłonięty wspomnieniami utraconego na zawsze Mediolanu, pokrytych śniegiem Alp widocznych z bezpiecznego, ciepłego domu, cierpkiego, włoskiego wina. Chciał znowu mówić po łacinie, zamiast z trudem dobierać wyuczone słowa obcego języka...

Czterej Namdalajczycy przyglądali mu się uważnie. Clozart zauważył jego walkę wewnętrzną, ale źle ją odczytał, gdyż nie ufał nikomu, kto nie pochodził z jego rodzinnej wyspy.

— Mówiłem wam, że nie powinniśmy tego robić — powiedział do towarzyszy w ojczystym języku, którego żołnierze Duchy używali między sobą. — Spójrzcie na niego. Zastanawia się, czy nas nie wydać.

Nie przypuszczał, że Skaurus rozumie jego mowę. Niewielu Videssańczyków ją znało. Lecz spędził z Helvis ponad rok i dało to mu pobieżną znajomość wyspiarskiego dialektu. Jego optymizm zgasł. On i jego żołnierze byli równie obcy Namdalajczykom, jak mieszkańcom Videsos. Soteryk, który znał go lepiej niż inni, zorientował się, że Marek zrozumiał uwagę. Rzucił Clozartowi jadowite spojrzenie i przeprosił szwagra najuprzejmiej, jak potrafił.

— Wiemy, ile jesteś wart — odezwał się Utprand. — Inaczej by cię tu nie było.

Marek podziękował mu skinieniem głowy. Pochwałą od takiego żołnierza można było się szycić.

— Przedstawię propozycję swoim żołnierzom — oznajmił.

Na surowej twarzy Clozarta odbiło się niedowierzanie, ale trybun mówił szczerze. Nie miało sensu ukrywanie oferty Namdalajczyków przed legionistami. Musiałby ich wszystkich zamknąć w obozie i zabijać każdego wyspiarza, który by się znalazł w zasięgu głosu. Znacznie lepiej jest kierować losem, niż dać się ponieść fali wydarzeń.

Kiedy trybun wyszedł z namiotu szwagra, nigdzie nie dostrzegł Fayarda. Namdalajczycy mieli dusze hazardzistów. Posłaniec z pewnością doszedł do wniosku, że gość zna drogę do swojej kwatery.

Skaurusowi wirowało w głowie, kiedy wracał do obozu. Pamiętał swoją pierwszą reakcję na propozycję Soteryka. Po rzymskim wychowaniu i niemal dwóch latach spędzonych w Imperium Videssos możliwość zostania księciem w Duchy nie wydawała mu się czymś wspianiałym; byłby dużym wilkiem w małym stadzie. Poza tym nie palił się, żeby opuścić Imperium. Głównym wrogiem byli Yezda, na których miała przyjść kolej po wygraniu wojny domowej.

Z drugiej strony, gdy pomyślał o legionistach, Namdalen rysował się naprawdę atrakcyjnie. Marek nie mógł uwierzyć, że jest tam wolna ziemia, którą rozdaje się żołnierzom za darmo. W Rzymie trzymał ją zazdrośnie Senat. W Imperium znajdowała się w rękach szlachciców i gnębionych podatkami drobnych posiadaczy. Ziemia... tak, to mogło znieść jego ludzi.

Poza tym Helvis na pewno by go rzuciła, gdyby odmówił Soterykowi, a tego by nie chciał. Łączące ich uczucie nie chciało wygasnąć, choć oboje wystawiali je na próbę. Zresztą mieli syna... Czy nigdy nic nie jest proste?

Przy bramie czekał na niego Gajusz Filipus, który spacerował niespokojnie w tę i z powrotem. Jego ponura twarz rozjaśniła się, kiedy zobaczył Skaurusa.

— W samą porę — powiedział. — Jeszcze godzina i poszedłbym za tobą z paroma ludźmi.

— Nie było potrzeby — odparł Marek. — Porozmawialiśmy sobie. Sprowadź Glabrio i Gorgidasa. Spotkajmy się tutaj. Pójdziemy na spacer za palisadę. Weź Celta. Jego to również dotyczy.

— Viridoviksa? Chcesz rozmowy czy awantury? — zaśmiał się Gajusz Filipus, ale odszedł pośpiesznie, żeby spełnić prośbę trybuna.

Marek zauważył, że Rzymianie go obserwują. Wiedzieli, że coś się szykuje. Przeklęty Soteryk i jego amatorskie przedstawienia teatralne — pomyślał.

Po zaledwie kilku minutach otoczyli go towarzysze, którym najbardziej ufał. Na ich twarzach malowała się ciekawość. Poprowadził ich w noc, mówiąc przez cały czas o mało ważnych rzeczach. Na próżno starał się zachować pozory normalnej narady.

Gdy znaleźli się poza obozem, zrezygnował z udawania i opowiedział o tym, co zaszło. Zapadła cisza. Towarzysze pograżyli się w rozmyślaniach, podobnie jak on w drodze powrotnej z namiotu Soteryka.

Pierwszy przerwał milczenie Gajusz Filipus.

— Gdyby to zależało ode mnie, powiedziałbym im „nie”. Nie mam nic przeciwko wyspiarzom; są dzielnymi żołnierzami i dobrymi kompanami do wypitki, ale nie chcę spędzić reszty swoich dni wśród barbarzyńców.

Starszy centurion miał wysoko rozwinięte poczucie wyższości, które Rzymianie odczuwali wobec innych ludów z wyjątkiem Greków. W tym świecie Videssos było wzorcem, według którego oceniano się takie rzeczy. Centurion identyfikował się z mieszkańcami Imperium zapominając, że oni uważają go za takiego samego barbarzyńcę jak Namdalajczyków.

Gorgidas rozumiał to doskonale, ale jego decyzja była identyczna.

— Wiele lat temu zostawiłem Elis dla Rzymu, ponieważ wiedziałem, że mój dom to zaścianek. Mam postąpić odwrotnie? Nie. Zostaję tutaj. Muszę się jeszcze dużo nauczyć. Mieszkańcy Duchy mało wiedzą o świecie i o sobie.

Pozostali dwaj przyjaciele nie śpieszyli się z odpowiedzią.

— Stawiasz przed nami niełatwy wybór, Skaurusie — odezwał się w końcu Viridoviks — ale jestem za zmianą. Być może z tych samych powodów, dla których ci dwaj są przeciwko. Łatwiej mi się dogadać z wyspiarzami ni/ z chytrymi, wyniosłymi imperialnymi. Człowiek nigdy nawet, co taki sobie myśli, póki któregoś dnia nie poczuje sztyletu między żebrami tylko dlatego, że nie spodobał się tamtemu krój tuniki. Tak, ja jadę.

W ten sposób został tylko Kwintus Glabrio. Sądząc po bólu malującym się na twarzy młodszego centuriona, dla niego był to najtrudniejszy wybór.

— Ja też — oznajmił w końcu. Zrobił jeszcze bardziej nieszczęśliwą minę, kiedy stojący obok niego Gorgidas gwałtownie zaczerpnął powietrza. — Chodzi głównie o ziemię — mówił dalej. — Z jej powodu wstąpiłem do legionów. To była szansa, że pewnego dnia będę panem samego siebie, a nie czymś niewolnikiem. Bez ziemi człowiek tak naprawdę nie ma niczego.

— Jest się większym niewolnikiem ziemi niż drugiego człowieka — odparował Gajusz Filipus. — Zostałem żołnierzem, żeby uchronić się przed śmiercią głodową na nędznym skrawku kamienistej ziemi, na której się urodziłem. Chcesz chodzić za wolim zadkiem od wschodu do za-

chodu słońca, chłopcze? Musisz być stuknięty.

Lecz Glabrio tylko potrząsnął głową. Gorzkie wspomnienia centuriona nie mogły zniszczyć jego marzenia, ważniejszego nawet niż więź z Gorgidasem. Lekarz miał minę żołnierza zmagającego się z bólem, ale nie poskarżył się na decyzję towarzysza, choć jego oczy wyrażały co innego. Myśląc o własnych obawach, Marek tym bardziej go podziwiał. Zastanawiał się, w jaki sposób wpłyną na jego wybór.

Centurionowie byli zbyt zdyscyplinowani, a Gorgidas zbyt uprzejmy, żeby zadać oczywiste pytanie, za to Viridoviks się nie krępował:

— A co wy, panie, zamierzacie zrobić?

Skaurus miał nadzieję, że towarzysze będą zgodni w decyzjach, ale okazało się, że ich zdania są podzielone, podobnie jak on był rozdarty wewnętrznie. Przez długą chwilę stał w milczeniu czując, że szala przechyla się to na jedną, to na drugą stronę.

— Po nieskutecznym szturmie Gavras nie ma realnej szansy zdobycia miasta, a bez niego przegra wojnę domową — odezwał się. — Chyba udam się do Namdalen. Pod rządami Sphrantzesów Imperium upadnie, zresztą nie zamierzam im służyć. Już chyba Yezda są lepsi, bo przynajmniej nie noszą maski cnoty.

Choć podjął decyzję, wcale nie był pewien, czy jest właściwa.

— Nie będę wydawał nikomu rozkazów w tej sprawie. Niech każdy robi, jak chce. Gajuszu, przyjacielu, wiem, że doskonale poradzisz sobie z ludźmi, którzy zadecydują tak samo jak ty.

Objęli się. Skaurus był zaszokowany, kiedy zobaczył łzy na policzkach weterana.

— Człowiek robi to, co uważa za słuszne — stwierdził Gajusz Filipus. — Dawno temu, kiedy byłem zaledwie chłopcem, walczyłem u boku Mariusza w wojnie domowej, a mój najbliższy przyjaciel po stronie Sulli. Podczas bitwy zabiłbym go, gdybym mógł, ale wiele lat później spotkałem go przypadkiem w szynku i razem się upiliśmy. Może tak będzie z tobą i ze mną któregoś dnia.

— Może — szepnął Marek. Jego twarz również była mokra.

Teraz z kolei Viridoviks uściskał Gajusza Filipusa, mówiąc:

— Niech mnie rozdziobią kruki, jeśli nie będę za tobą tęsknił, ty twardy kurduplu!

— A ja za tobą, ty wielki dzikusie!

Gorgidas i Glabrio, przywykli do zachowywania dyskrecji, nie zdradzili się z myślami.

— Nie ma sensu robić w nocy zamieszania w obozie — stwierdził Marek. — Poranna musztra będzie odpowiednią porą, żeby przedstawić żołnierzom sytuację. Do tego czasu zachowajcie milczenie.

Wszyscy pokiwali głowami. Wrócili do obozu wolnym krokiem. Dumali o tym, że może ostatni raz są razem. Nagle w ich myśli wdarły się ochryple okrzyki dobiegające zza murów miasta. Brzmi

to tak, jakby wybuchły zamieszki albo jakby mieszkańcy coś świętowali — pomyślał trybun gorzko. Znowu przeklął Sphrantzesów za to, że zmusili go do podjęcia decyzji, której nie chciał podejmować.

Wartownicy oklapli jak kwiaty w czasie suszy, kiedy oficerowie minęli ich, nie zdradzając się, o czym rozmawiali. W całym obozie legionišci zerkali w ich stronę.

— Niech was diabli! — krzyknął Viridoviks. — Nie wyrosła mi druga głowa ani grzebień z fioletowych piór, przestańcie więc wlepić we mnie gały!

Wybuch Celta poskutkowało. Żołnierze wrócili do kolacji, rozmów lub nie kończących się gier hazardowych.

— Mam nadzieję, że mi wybaczycie. Muszę zająć się rannymi, choć niewiele mogę dla nich zrobić — powiedział Gorgidas.

Był niepokieszony tym, że nadal leczył rany substancjami tamującymi krwawienie, maściami, opaskami uciskowymi i łubkami. Nepos twierdził, że Grek ma talent i może się nauczyć videssańskiej sztuki uzdrawiania, ale jego wysiłki nie przynosiły rezultatów. Skaurus podejrzewał, że głównie z tego powodu Gorgidas zdecydował się zostać w Videssos.

Kwintus Glabrio poszedł za lekarzem, mówiąc coś do niego głosem zbyt cichym, by Skaurus usłyszał. Zobaczył, że Gorgidas twierdząco kiwa głową.

Ktoś pomachał buklakiem wina. Viridoviks ruszył w tamtą stronę, jak przyciągany przez magnes.

Helvis spała, kiedy trybun wszedł do namiotu. Dotknął jej policzka. Kobieta poruszyła się i usiadła, starając się nie obudzić Malrika i Dostiego.

— Jest późno — poskarżyła się sennym głosem. — Czego chcesz?

Skaurus opowiedział jej o planach brata. Mówił zwięźle jak do swoich oficerów. Kiedy skończył, nie odzywała się przez całą minutę.

— Co zrobisz? — zapytała w końcu.

Powiedziała to dziwnym, bezbarwnym głosem, w napięciu czekając na odpowiedź.

— Pojadę — odparł krótko.

Powody nie miały teraz znaczenia. Najważniejsza była sama decyzja.

Mimo ciemności zobaczył, że jej oczy się rozszerzają. Przygotowała się na „nie” i nieuchronny wybuch.

— Pojedziesz? Pojedziemy? — wykrztusiła i roześmiała się, zapominając o śpiących dzieciach.

Zarzuciła mu ramiona na szyję i pocałowała go w usta. Jej radość wcale go nie upewniła w trafności podjętej decyzji, a wręcz pogłębiła wątpliwości. Podniecona, nie zauważyła jego ponurego nastroju.

— Kiedy wyjeżdżamy? — zapytała, rozgorączkowana i jednocześnie praktyczna.

— Myślę, że za trzy lub cztery dni — odpowiedział Marek z niechęcią. Określenie daty uczyniło wyjazd boleśnie realnym.

W tym momencie obudził się Malrik i powiedział zagniewany:

— Przestańcie tyle gadać. Chcę spać.

Helvis chwyciła go i uściskała.

— Mówimy tyle, bo jesteśmy szczęśliwi. Wkrótce jedziemy do domu.

Jej słowa nic nie znaczyły dla syna, który urodził się w Videssos i nie znał innego życia oprócz obozowego.

— Jak możemy pojechać do domu? — zapytał. — Jesteśmy w domu.

Trybun nie mógł się powstrzymać od uśmiechu.

— Jak zamierzasz mu to wyjaśnić?

— Cii — powiedziała Helvis, kołyszając rozspanego chłopca. — Dzięki Phosowi, dowie się, co naprawdę oznacza to słowo. I dzięki tobie, mój kochany, bo dałeś mu szansę. Kocham cię za to.

Skaurus krótko skinął głową. Nadal toczył wewnętrzną walkę, a pochwała wydawała mu się podejrzana. Lecz skoro dokonał wyboru, po co miał obarczać ją własnymi obawami? Lepiej zachować je dla siebie — pomyślał.

Wsunął się pod koc. Ten dzień go wykończył, a pod innym względem nadchodzący miał być jeszcze gorszy. Do rana było jednak dużo czasu.

O brzasku obudziła go wrzawa. Przetarł oczy, zaklął nieprzytomny i nagle usiadł prosto. W pierwszej chwili przyszło mu do głowy, że jego ludzie jakoś się o wszystkim dowiedzieli. Narzucił na siebie płaszcz i wyskoczył z namiotu. Zamieszanie łatwo mogło przerodzić się w bunt.

Nie dostrzegł jednak żadnych oznak buntu, choć legionieści nie szykowali się przed namiotami do musztry. Tłoczyli się natomiast przy zachodniej ścianie obozu, pokrzykując w wielkim podnieceniu i przepychając się do palisady. W miarę jak obóz się budził, przybywali następni.

Trybun przedarł się przez tłum. Żołnierze rozstępowali się i salutowali mu. Byli tak stłoczeni, że kilka minut zajęło mu dotarcie do wału obronnego.

Nie musiał iść tak daleko. Wzrost pozwalał mu spojrzeć ponad głowami legionistów. Ktoś klepnął go po plecach. Minucjusz. Oczy wojownika jaśniały triumfem, a surowa twarz rozpogodziła się w uśmiechu.

— Tylko spójrzcie na to, panie! — wykrzyknął. — Tylko spójrzcie.

Przez chwilę Marek nie wiedział, co żołnierz ma na myśli. Przed sobą widział przedpiersie obozu, a za nim fortyfikacje stolicy, ciche i niedostępne jak zawsze.

W tym momencie do niego dotarło. Nic dziwnego, że wielkie podwójne mury wydawały się

ciche. Nie było na nich ani jednego obrońcy.

Zakreśliło mu się w głowie, jakby wypił haustem dzbanek mocnego wina.

— Odsuńcie się! Zróbcie miejsce! — krzyknął, torując sobie drogę.

Chciał znaleźć się jak najbliżej, zobaczyć jak najwięcej. Normalnie byłby zawstydzony, że w ten sposób wykorzystuje rangę, ale w podnieceniu nie zastanawiał się nad tym.

Przed sobą zobaczył niezdobytą Srebrną Bramę. Teraz była szeroko otwarta. Stali w niej trzej ludzie z pochodniami, którzy niecierpliwie wymachiwali rękami, zapraszając oblegających do Videssos. Ich okrzyki docierały przez ziemię niczyją, rozciągającą się między miastem a przedpiersiami obozu.

— Hurra, Thorisin Gavras, Autokrata Videssańczyków!

VIII

Ludzie wymachujący pochodniami i ciągnący za nimi ich przyjaciele tworzyli najokropniejszą mieszaninę łotrzyków, jaką trybun w życiu widział. Ubrani w krzykliwe, miejskie stroje — workowate tuniki o szerokich, powiewających rękawach oraz spodnie farbowane w rażące oko kolory tęczy — roili się wokół zdyscyplinowanych szeregów Rzymian. Wszyscy z zapalem potrząsali pałkami oraz krótkimi mieczami i wrzeszczeli ile sił w płucach.

Jednak nieważne, kim byli, dopóki wykrzykiwali to, co Skaurus chciał słyszeć: „Gavras Imperatorem!”, „Dać krukowi kości Ortaiasa!”, „Do Kamienia Milowego ze Sphrantzesami, żującymi łajno wielbicielami Skotosa!”.

Patrząc na północ wzdłuż muru, trybun widział oddziały i kompanie armii Thorisina, które wbiegły przez otwartą na oścież bramę. Namdalajczycy wraz z innymi opuszczali swe stanowiska na linii oblężenia. Skoro Gavras ostatecznie był zwycięzcą, takie wycofanie wyglądało dość głupio.

— Odstępują — powiedział Gajusz Filipus, a Marek przytaknął. Uczucie ulgi, jakie go ogarnęło, było niczym chłodny wiatr. Błogosławił mieszane emocje, które kazały mu zawahać się przed wydaniem swoim ludziom rozkazu wycofania. Nigdy z większą niechęcią nie wzdragał się przed podjęciem decyzji i nigdy z większym zadowoleniem nie patrzył, jak bieg wypadków zdejmuje odpowiedzialność z jego barków.

Helvis będzie rozczarowana, ale zwycięstwo spłaciło wszystkie długi. Pogodzi się z tym — powiedział sobie.

Nowiny z każdym krokiem stawały się coraz dziwniejsze, aż w końcu trybun nie miał już pojęcia, w co wierzyć. Ortaias abdykował, znalazł azyl w Najwyższej Świątyni, uciekł z miasta, został obalony, zginął, rozdarto go na siedemset kawałków, by nawet jego duch nigdy nie znalazł

spoczynku. Powstanie wybuchło z powodu zamieszek, z powodu zdrady wśród popleczników Ortaiasa lub wściekłości na ekscesy ludzi Outisa Rhavasa, wielkiego hrabiego Draxa czy Khamorthów. Jego przywódcą był Rhavas, Mertikes Zigabenos — którego Skaurus niejasno sobie przypominał jako pomocnika Nephona Khournosa — księżniczka-cesarzowa Alypia, patriarcha Balsamon czy wreszcie nikt.

— Wiedzą nie lepiej od nas, co tu się dzieje — stwierdził Gajusz Filipus z pogardą, gdy wysłuchał niezliczonych relacji, wszystkich opowiadanych z głębokim przekonaniem. Równie dobrze można zatkać sobie uszy.

Nie do końca było to prawdą. Wszystkie pogłoski były zgodne przynajmniej w jednym — mimo że reszta Videssos wyśliznęła się Sphrantzesom z rąk, nadal trzymali oni dzielnicę pałacową. W przeciwieństwie do innych, ta wiadomość według Skaurusa nie była pozbawiona sensu. Wiele budowli w kompleksie pałacowym było istnymi fortecami, stanowiącymi doskonale schronienie dla pokonanej wszędzie frakcji.

Miało to wpływ na decyzję Skaurusa. Srebrna Brama otwierała się na główną drogę stolicy, Ulicę Środkową, która biegła bezpośrednio do pałaców z ledwie jednym zakrętem. Trybun rozkazał trębaczom:

— Sygnał na podwójne tempo! — I przekrzykując ryk rogów dodał: — Naprzód, chłopcy! Długośmy na to czekali! — Legioniści wrzasnęli i ruszyli wyłożoną kamiennymi płytami ulicą tak szybko, że większość awanturników wkrótce została w tyle.

Trybun wspomniał paradę Rzymian na Ulicy Środkowej w dniu ich przybycia do stolicy. Wówczas był to stateczny marsz, a kroczący przed nimi herold wykrzykiwał: „Droga dla mężnych Rzymian, dzielnych obrońców cesarstwa!”. Ulica opustoszała w jednej chwili, jakby dzięki magii. Dzisiaj pieszych ostrzegał jedynie tupot podbitych ćwiekami sandałów na bruku i, Phos był z nimi, okrzyki: „spadajcie!”. Ponieważ było to zawołanie zrozumiałe jedynie dla Rzymian, niejednen z opieszłych został odrzucony w bok, czy po prostu przewrócony i stratowany.

Tak jak owego pierwszego dnia, na chodnikach tłoczyli się gapie; dla niestałej, zblazowanej gawiedzi nawet wojna domowa stawała się rozrywką. Rolnicy i rzemieślnicy, mnisi i studenci, dziwki i złodzieje, tłuści kupcy i owrzodzeni żebracy — wszyscy śpieszyli, by zobaczyć, na jakież to nowe widowisko się zanosi. Niektórzy krzyczeli radośnie, inni miotali przekleństwa na głowy Sphrantzesów, ale większość stała tylko i wytrzeszczała oczy w milczącym rozradowaniu, że rano przyniósł taką niespodziewaną rozrywkę.

Marek zobaczył, jak jakaś starsza kobieta wskazuje na legionistów, i usłyszał jej skrzek:

— To Gracze, przybyli, by splądrować Videssos! — Posługiwała się miejskim slangiem na określenie Namdalajczyków; nawet ten obraźliwy język nie był wolny od teologii.

Niech diabli wezmą tę niedouczoną wiedźmę — pomyślał Skaurus. Tłum dopiero co się

uspokoił; w jednej chwili z powrotem mógł przemienić się w rozszalałą tłuszczę. Na szczęście przywódca ulicznych zabijaków, Arsaber, istny niedźwiedź o potężnych ramionach, nadal maszerował obok legionistów i teraz przyszedł im z pomocą.

— Zamknij się, ty wychudzona stara suko! — ryknął. — To nie są Gracze, to nasi przyjaciele, Rzymianie, więc nie wchodź im w paradę, rozumiano?

Odwrócił się do trybuna, szczerząc spróchniałe zęby.

— Wy, Rzymianie, jesteście w porządku. Pamiętam, jak zeszłego lata zdusiliście zamieszki bez wielkiej przyjemności. — Mówił o rozruchach i ich stłumieniu ze znajomością smakosza rozprawiającego o winach.

Z powodu pomyłki gapowatego herolda na cesarskim przyjęciu, jakie odbyło się tuż po przybyciu Rzymian do Videssos, mieszkańcy miasta w większości nadal przekręcali ich nazwę. Marek doszedł do wniosku, że ta chwila jest raczej mało odpowiednia na poprawianie Arsabera.

— No cóż, dzięki — powiedział.

Plac Stavrakiosa, dzielnica rzemieślników pracujących w miedzi — już pełna stukotu młotków — plac Wołu, cesarski urzędowy gmach z czerwonego granitu, pełniący rolę archiwum i więzienia oraz niezliczone świątynie Phosa, wielkie i małe, przemykały obok, gdy legioniści niczym burza pędzili w kierunku pałaców.

Potem Ulica Środkowa wyszła na plac Palamasa, największe forum w mieście. Skaurus rzucił okiem na Kamień Milowy, kolumnę z takiego samego czerwonego granitu co budowle rządowe. Na pikach u jej podstaw, jak makabryczne owoce, tkwiły głowy. Było ich co najmniej dwadzieścia i prawie wszystkie były świeże, ale terror nie wystarczył, by Sphrantzesowie zdołali utrzymać się na tronie.

Kramy na targowisku były otwarte, ale blokada Thorisina Gavrasa niekorzystnie odbiła się na handlu. Piekarze, sprzedawcy oliwy, rzeźnicy i handlarze wina niewiele mieli na sprzedaż, a to, co mieli, było racjonowane i nadzorowane przez inspektorów rządowych. Jak na ironię, w czasie oblężenia rozkwitł handel towarami zbytkowymi. Niezwykłym powodzeniem cieszyły się klejnoty i szlachetne metale, rzadkie leki, amulety, jedwabie i brokaty. Tego typu rzeczy zawsze można było wymienić na żywność — to znaczy, dopóki ona była.

Na widok ponad tysiąca zbrojnych, wpadających pędem na plac Palamasa, kupcy zaczęli spiesznie upychać w kieszeniach czy sakiewkach najcenniejsze przedmioty. Zmykali na złamanie karku, wywracając w panice kramy.

— Patrzcie, ileż to dobra nam ucieka — mruknął tęsknie Viridoviks.

— Zamknij się — warknął Gajusz Filipus. — Nie podsuwaj chłopcom dodatkowych pomysłów do tych, które już snują się im po głowach. — Swą urzędową laską z klepki beczki po winie wałnął w okryte zbroją ramię legionisty, który zaczął zbaczać w stronę targowiska. — Hej, Paterkulusie,

walka czeka z tej strony! Poza tym, durniu, łupy będą dużo lepsze w pałacach. — Zadaniem tego oświadczenia było przede wszystkim niedopuszczenie do złamania szyku. Żołnierze, którzy je usłyszeli, aż zamruczeli z pożądlivosti.

Przemknęli z tupotem obok wielkiego owalu Amfiteatru, stojącego od południa przy placu Palamasa. Potem znaleźli się w dzielnicy pałaców. Jej eleganckie budynki pooddzielane były od siebie przemyślnie urządzonymi ogrodami, gajami i szerokimi, starannie przystrzyżonymi szmaragdowymi trawnikami.

Jakiś Rzymianin zaklął i rzucił *scutum*, by lewą rękę zacisnąć na prawym ramieniu. Łucznik, który przyczał się wysoko na cyprysie, krzyknął z radości i przygotował się do wystrzelenia drugiej strzały. Jego triumf był krótkotrwały. Wielki dwuręczny topór Czerwonego Zeprina przeznaczony był do ścinania głów, nie drzewa, ale muskularny Halogajczyk udowodnił, że jest nie byle jakim drwalem. Topór uderzył, odskoczył, uderzył jeszcze raz. Wióry sypały się z każdym ciosem. Cyprys zatrzęsł się, zakołysał i upadł; wrzask strzelca umilkł nagle, gdy pień zmiażdżył mu kręgosłup.

— Ogrodnicy będą na mnie wściekli — wymruczał Zeprin. Służąc w straży cesarskiej od dawna, uważał kompleks pałacowy za swój dom i biadolił nad zniszczeniem, jakiego dokonał. Jeśli idzie o martwego wroga, nie okazał najmniejszych wyrzutów sumienia.

— Nie masz się co przejmować, drogi Halogajczyku — powiedział sucho Viridoviks. — Będą mieli inne rzeczy na głowie.

Wskazał na barykadę z kłód, połamanych łąw i powyrywanych z ulic płyt, która psuła nieskazitelną bezmiar trawnika. Za barykadą kryli się żołnierze, a przed nią leżały ciała — znak, jak daleko dotarł tłum w czasie ataku na pałace.

Prowizoryczne umocnienie mogło wystarczyć do powstrzymania rebeliantów, ale nie regularnego wojska Skaurusa. W dodatku baczniejsze spojrzenie poinformowało trybuna, że obrońcy są nieliczni.

— Szyk bojowy! — rozkazał. Jego ludzie błyskawicznie ustawili się w ordynku, ich podbite ćwiekami *caligae* dały gładką dań. Trybun odszukał wzrokiem Gajusza Filipusa; skinęli do siebie.

— Naprzód! — krzyknął i Rzymianie rzucili się na barykadę.

Wystrzelono ku nim kilka strzał, ale tylko kilka. Z okrzykami: „Gavras!” i „Thorisin!” Rzymianie doskoczyli do wysokiej po piersi barykady i zaczęli przez nią przełazić. Niektórzy z wojowników po drugiej stronie chwycili za szable i włócznie, ale większość, na widok zdecydowanej postawy przeciwnika, rzuciła się do ucieczki.

— Nie podchodzić za blisko! Pozwólcie im uciec! — ryknął Gajusz Filipus po łacinie, żeby wróg nie zrozumiał. — Pokażą nam, gdzie kryje się reszta!

Komenda była ostrym sprawdzianem rzymskiej karności, gdyż nieprzyjacielskie zawołania bojo-

we brzmiały nie tylko: „Sphrantzesowie!” i „Ortaias!”, ale również: „Rhavas!”. Starszy centurion robił, co mógł, by utrzymać swoich ludzi w ryzach. Żołnierzy opanowała gorączka bitewna, podsycona dodatkowo przez żądzę zemsty.

Ale rozkaz zrównoważonego Gajusza Filipusa wkrótce dowiódł swej wartości. Wrogowie wycofali się nie do koszar, jak przypuszczał Skaurus, ale między ceremonialnymi budowlami kompleksu pałacowego i obok Sali Dziewiętnastu Tapczanów do samego Wielkiego Dworu, będącego po Najwyższej Świątyni Phosa najwspanialszym gmachem w całym Videssos.

Sala Dziewiętnastu Tapczanów miała ściany z zielonkawego marmuru i podwójne drzwi ze złoczonego brązu, które równie dobrze mogłyby strzec twierdzy. Jednakże z powodu tuzina nisko umieszczonych szerokich okien budynek nie nadawał się do stawiania oporu.

Marek żałował, że to samo nie odnosi się do Wielkiego Dworu. Był to sam w sobie mały kompleks, z mieszczącymi biura wielkimi skrzydłami, które tworzyły trzy boki kwadratu. Łucznicy stali na zwieńczonym kopułą dachu głównego budynku; inni, wypatrując celów, zerkali przez okna w skrzydłach. Tutaj okna były nieliczne, małe i wąskie — architekt, który zaprojektował tę przysadzistą budowlę ze złocistego piaskowca, zadbał, by mogła ona również pełnić rolę cytadeli.

— Zeprin! — krzyknął Skaurus. Halogajczyk pojawił się przed nim, z toporem w potężnych ramionach. Trybun powiedział:

— Skoro już zostałeś drwalem, zetnij mi parę prostych, wysokich drzew na tarany.

— Tarany przeciw Wielkiej Bramie? — W głosie Czerwonego Zeprina zabrzmiało przerażenie.

— Wiem, że brama jest potężna — tłumaczył Marek z najwyższą cierpliwością. — Ale czy myślisz, że te sucze syny wyjdą same?

Po chwili Halogajczyk westchnął i wzruszył ramionami.

— Tak bywa, że robi się to, co trzeba, a nie to, co się chce. — Jego potężne mięśnie nabrzmiały pod kolczugą; zaatakował stateczną sosnę z zapamiętaniem, które mówiło coś o jego konsternacji. Rzymianie natychmiast obstąpili grube na półtorej stopy zwalone pnie. Poodcinali gałęzie, a potem dźwignęli zaimprovizowane tarany w górę.

— W porządku, na nich! — zawołał Gajusz Filipus. Żołnierze niezdarnie ruszyli w kierunku Wielkiej Bramy. Tarczownicy zajęli miejsca po obu stronach, by chronić ich przed ostrzałem. Prowizoryczne tarany oczywiście nie miały uchwytów; Marek miał nadzieję, że wróg, osaczony w Wielkim Dworze, nie miał czasu na przygotowanie czegoś gorszego od łuczników na dachu.

Żołnierze z taranami, strzeżeni przez wzniesione *scuta* swych towarzyszy, dopadli bramy. Wielka Brama jęknęła w chwili zderzenia jak gdyby z bólem, a kłody wyrwały się z rąk Rzymian. Ludzie przewracali się i jak najszybciej odtaczali na boki, by uniknąć zmiżdżenia przez padające bezładnie pnie. Po chwili pozbierali się, podnieśli tarany i cofnęli, by nabrać rozpędu przed następnym uderzeniem.

Pozostali legioniści rzucili się do walki z paroma tuzinami zwolenników Sphrantzesów, którzy nie zdążyli na czas schronić się wewnątrz Wielkiego Dworu. Po pewnym czasie jedynie Rzymianie zostali na dziedzińcu. Żaden z ludzi Rhavasa nie poprosił o łaskę — przynajmniej pod tym względem doskonale rozumieli swoich przeciwników.

Marek zerknął kątem oka na górne piętra Gmachu Ambasadorów. W oknach włożyły się głowy obserwujących walkę cudzoziemców. Trybun miał kilku przyjaciół wśród zagranicznych posłów i żywił nadzieję, że są bezpieczni. Pomyślał, że ze swego punktu obserwacyjnego mają lepszy wgląd w poczynania rządu Videssos, niż prawdopodobnie mogliby sobie życzyć.

Łucznicy Rhavasa nie dawali za wygraną. Jeden ze strzelców, zajmujących pozycję wysoko na kopule gmachu, raz za razem trafiał w cel. W pewnej chwili zwinął się wpół, osunął po pomarańczowoczerwonych dachówkach i spadł jak szmaciana kukła na leżący daleko w dole zieleniec.

Odległość i kąt czyniły celny strzał prawie niemożliwym, więc Marek rozejrzał się ciekawie w poszukiwaniu jego autora.

— Dobry strzał! — zawołał. Zobaczył, jak Viridoviks wali po plecach chudego, smagłego mężczyznę. Był to Arigh syn Arghuna, reprezentant Arshaum na videssańskim dworze. Jego pobratymcy, nomadowie, zamieszkiwali stepy za zachód od Khamorthów i wojownik nosił krótki, wzmocniony rogiem łuk człowieka nizin. W czasie gorzkiej nauzki, jaką dali Rzymianom Yezda, Skaurus dowiedział się, jak cudownie daleko i płasko niesie taki łuk; martwy łucznik był tego kolejnym dowodem.

— Czyż nie jest on najwspanialszym kurduplem pod słońcem? — zapiął Viridoviks, znów wając Arigha po plecach. Wielki rumiany Celt i chudy czarnowłosy nomada o płaskiej twarzy tworzyli dziwną parę, ale gdy Rzymianie stacjonowali w mieście, często włożyli się razem. Każdy z nich miał bezpośrednie, nieskomplikowane podejście do życia, które trafiało do przekonania drugiemu, tym bardziej w tej światowej stolicy.

Krótką zadumę trybuna przerwał wrzask dobiegający z Wielkiego Dworu. Śmiertelne przerażenie brzmiące w kobiecym wyciu sprawiło, że włos zjeżył mu się na karku. Rzymianie i ich przeciwnicy byli zahartowani, jednakże i jedni, i drudzy na chwilę, nim znów zajęli się wzajemnym mordowaniem, jakby wrosli w ziemię.

Gdy Marek się otrząsnął, pierwszą myślą, jaka mu się nasunęła, było to, że w oblężonym gmachu może przebywać Alypia Gavra. Jeżeli to ona krzyczała...

— Mocniej, przekłęci! — krzyknął do ludzi przy taranach i schował miecz do pochwy, by samemu złapać pień.

Żołnierze nie potrzebowali zachęty; również w nich krzyk tchnął nową siłą. Rzucili się do przodu. Wielka Brama zadźwięczała niczym potężny dzwon. Skaurus upadł, zdzierając sobie skórę z łokci i kolan, czując, że powietrze uchodzi mu z płuc — prawie tak, jakby sam z rozpędu rzucił się

na wrota.

Zerwał się szybko i pobiegł do pnia, nie zauważając nawet wielkiego jak pięść kamienia, który upadł w trawę w miejscu, gdzie przed chwilą leżał. Potem znów było to samo: do tyłu, rozbieg, i jeszcze raz. Szorstka kora raniła nawet najbardziej stwardniałe dłonie.

Dwukroć wyższe od człowieka wypolerowane skrzydła bramy oparły się chwiejnie na belce, która jeszcze je podtrzymywała.

Rozbrzmiał czysty głos Kwintusa Glabrio:

— Jeszcze raz! Ten zapłaci za wszystkie poprzednie!

Tarany uderzyły. Z rozpaczliwym skrzypieniem, jakie wydaje pękająca deska, belka ustąpiła. Wielka Brama stanęła otworem tak gwałtownie, jak trafiona potężnym kopniakiem. Rzymianie wydali okrzyk radości i rzucili się do wnętrza.

Przywitał ich grad strzał, ale Skaurus, spodziewając się tego, ustawił tarczowników przed załogami taranów. Potem zaczęła się dzika walka przy wyłamanej bramie. Mały otwór ograniczał siłę ataku Rzymian, a bandyci Rhavasa bili się z bezlitosną furią ludzi, którzy wiedzą, że nie mają nic do stracenia. Jednakże legionści byli lepiej uzbrojeni i wyszkoleni; krok po kroku spychali przeciwników w głąb sali.

W trakcie przedzierania się przez Wielką Bramę Marek poczuł konsternację podobną tej, jakiej doznał Czerwony Zeprin, gdy kazał mu przygotować tarany. Płakorzeźby na skrzydłach były niewiarygodnie piękne. Stanowiły niemałą kronikę konkwisty cesarza Stavrakiosa, który kilkaset lat wcześniej podbił leżący daleko na północy Agder. Tutaj cesarscy żołnierze wiedli jeńców, schylone głowy pojmanych kobiet były wstrząsającymi portretami rozpacz. Nieco wyżej inżynierowie wycinali w zboczu urwiska drogę, która miała służyć armii; kopyto jucznego muła osuwało się z krawędzi, grożąc zwierzęciu stoczeniem się w przepaść. Na środku bramy Stavrakios prowadził kontratak przeciwko Halogajczykom. U góry przedstawiono Cud Phosa, który objawił się w tym, że w środku zimy gorące słońce stopiło lody na zamarzniętej rzece i barbarzyńcy znaleźli się w potrzasku. Bóg Videssańczyków w pełnym zadumy majestacie wznosił się nad swym narodem wybranym.

Agder był stracony dla cesarstwa już od ośmiu długich stuleci, a teraz rzeźby, które ukazywały jego upadek, same padły ofiarą wojny. Tarany spłaszczyły góry i pomiażdżyły twarze z bezstronną brutalnością. U stóp trybuna leżało maleńkie poskręcane ucho z brązu. Każde wydarzenie pociąga za sobą zmiany — powiedział sobie Marek, ale ta maksyma wcale go nie pocieszyła.

Przepychając się obok jednego z ludzi Rhavasa, ciął go pod pachą, gdzie kolczuga była najsłabsza. Mężczyzna jęknął i wykręcił się, powiększając własną ranę. Gdy upadł, Skaurus zdarł mu z ramienia małą okrągłą tarczę, by zastąpić pozostawione przed gmachem sądu *scutum*.

Jego oczy potrzebowały kilku sekund, by przystosować się do panującego wewnątrz półmroku.

Spodziewał się, że przy wejściu spotka Outisa Rhavasa. Czyżby podły kapitan Ortaiasa Sphrantzesa uciekł? Nie, był tam, przy żelaznym kotle stojącym na samym środku porfirowej posadzki; rozpalenie prymitywnego ogniska na tej doskonałej powierzchni samo w sobie było aktem zbezczeszczenia. Wokół kotła przepychała się bezładnie grupka ludzi; każdy próbował zanurzyć rękaw kaftana we wrzącej miksturze.

Obok leżały rozplątane zwłoki; nagie, kobiece. Druidzkie runy na mieczu trybuna rozjarzyły się, ale Marek i bez tego wiedział, że ma do czynienia z czarami.

Walka nie była drobiazgowo zaplanowaną, starannie pokierowaną potyczką, z której Gajusz Filipus mógłby być dumny. Rzymianie z konieczności złamali szeregi, by przedrzeć się przez Wielką Bramę; wewnątrz walczyli to jeden na jednego, to trzech przeciw dwóm w szerokim centralnym przejściu i wokół wysokich kolumn z chłonnaego światła bazaltu. Nagle spadł baldachim ze złotego i szkarłatnego jedwabiu, omotując garść wojowników swą droгоценą siecią.

Marek wywalczył sobie drogę w kierunku Rhavasa. Poruszał się ostrożnie; nabijane ćwiekami *caligae* ślizgały się po gładkiej jak szkło posadzce; miał wrażenie, że stąpa po lodzie.

Kiedy jeden z ludzi Rhavasa zatoczył się na niego, obaj ciężko upadli. Zwarli się tak blisko, że Skaurus wyczuwał zapach strachu swego przeciwnika. Nie mógł pchnąć mieczem, broń była za długa. Zaczął walić pięściami w twarz zbója, póki obejmujące go ręce nie rozluźniły uścisku.

Trybun chwiejnie wstał na nogi. Z zewnątrz dobiegły okrzyki. To ludzie Thorisina dotarli wreszcie do pałaców przez labirynt ulic Videssos. Skaurus nie miał czasu, by o nich myśleć. Pojawił się przy nim Outis Rhavas, wieża emaliowanej stali od zamkniętego hełmu po buty z żelaznych kółek.

Większość Videssańczyków była przyzwyczajona do walki z końskiego grzbietu i tym samym wolała szable, ale Rhavas, jak w czasie utarczki przy umocnieniach, zamachnął się ciężkim i długim mieczem. Dzięki jego potężnej budowie była to broń straszliwa; nawet wysokiemu Skaurusowi brakowało kilku cali, by dosięgnąć go własną bronią.

— Szkoda, żeś oskrobał twarz do nagiej skóry — syknął Rhavas głosem pełnym jadu. — To pozbawi mnie przyjemności ogolenia twego trupa.

Trybun nie odpowiedział; orientował się, że złośliwa uwaga ma go jedynie rozwścieczyć i zdekoncentrować. Ich ostrza zderzyły się z trzaskiem. Marek wiedział już, że Outis Rhavas był tyleż zręcznym, co silnym przeciwnikiem. Cios po ciosie zmuszał Rzymianina do ustępowania pola; Skaurus mógł jedynie parować nawałnicę ciosów. W porównaniu ze straconym *scutum* mała tarcza wydawała się nie bardziej przydatna, niż kobieca poduszeczka do pudrowania.

Ale mimo niezmiernej siły przywódcy, jego ludzie powoli się wycofywali. Walczyli jak bandyci; zagorzale, ale bez żadnego porządku. Chociaż manipuły legionistów musiały się siłą rzeczy rozpaść, długi trening wyćwiczył w żołnierzach świadomość, że stanowią część większej całości. Jak zaciskające się węzowe zwoje, napierali bez chwili przerwy, nie oddając raz zdobytej przewagi.

I dlatego Rhavas został sam, Viridoviks zaś i pół tuzina Rzymian skoczyło na pomoc trybunowi. Nie mogąc osiągnąć swej ofiary, Rhavas zaklął wściekle, lecz musiał ustąpić. Cofał się, póki nie został jednym z ostatnich obrońców kotła, którego zawartość nadal wrzała i parowała na środku sali.

Mimo zapachu drzewnego dymu Marek wychwycił słodkomdły smród padliny. Co najmniej dwudziestu żołnierzy Rhavasa już zdążyło umoczyć rękawy w cuchnącym płynie. I nie tylko żołnierzy; rękaw, który właśnie zanurzył się w miksturze, był z purpurowej satyny przetykanej srebrną i złotą nicią.

— Vardanes! — zawołał trybun i starszy Sphrantzes szarpnął się jak ukłuty szpilką. Skaurus rzadko widywał stryja Ortaiasa inaczej, niż w stanie doskonałego opanowania; okrągła, rumiana twarz, okolona schludną czarną brodą, nieczęsto pokazywała coś, czego Sevastos sobie nie życzył. Ale teraz Sphrantzes miał ukradkową, pełną poczucia winy minę człowieka przyłapanego na jakimś wynaturzeniu.

Bitwa przedłużała się. Niektórzy z bandytów Rhavasa nie padali, bez względu na ilość zadawanych im ran. Marek usłyszał obleśne młaśnięcie wgrzyzającego się w ciało ostrza oraz warknięcie Gajusza Filipusa.

— Ruń w końcu, bękarcie, ruń!

Jednak przeciwnik starszego centuriona tylko rozdziawił paszczę jak wąż. Skaurus zobaczył żółtawą plamę na rękawie jego kaftana. Mężczyzna uderzył Rzymianina na odlew; był to niezdarne cios, który Gajusz Filipus przyjął na tarczę. Ale zwątpienie zachmurzyło oczy weterana — jak bić się z kimś, kogo nie można zranić?

Te same wątpliwości pojawiały się na twarzach innych Rzymian. Ich przeciwnicy, jak gdyby namaszczeni przekonaniem Rhavasa, że nie można ich zranić stałą, zaczęli podejmować ryzyko, na jakie nie zdobyłby się wojownik przy zdrowych zmysłach; przyjmowali dziesięć ciosów, by zadać choćby jeden. Lżyli legionistów niczym chłopcy drażniący dzikiego psa za wysokim ogrodzeniem. I, co było nieuchronne, zaczęli zbierać swoje krwawe żniwo. Przewaga Rzymian nie była już tak jednoznaczna.

Wysoki, chudy jak szakal i uśmiechnięty złośliwie Videssańczyk stał się z Viridoviksem. Bandyta ujął miecz oburącz i zamachnął się, nie troszcząc o własną obronę. Wielki Gal uskoczył lekko niczym wielki drapieznik. Jego broń, bliźniacza Skaurusowej, zaśpiewała w powietrzu, a znaki druidów rozjarzyły się złotem.

Stal przecięła ciało, tchawicę i kość. Nim pełne przerażenia zdumienie zdążyło uformować się na twarzy łotra, jego głowa sfrunęła z ramion i zadudniła na posadzce. Bryzgający posoką tułów runął w jej ślady. Kończyny przez chwilę miały się bezwładnie, jakby niepomne, że są już martwe.

Dzikie triumfalne wycie Viridoviksa odbiło się echem po sali. Gal skoczył do następnego wroga

i kolejny opryszek z poplamionym rękawem osunął się na ziemię. Legł, zaciskając w rękach wnętrzości, które celtycki miecz wypruł z niego tak schludnie, jak w czasie anatomicznej demonstracji.

Marek również zaczął polować na poplamione kaftany uświadamiając sobie, że — co zawsze okazywało się prawdą w Videssos — jego galijskie ostrze jest odporne na czary. Jak Viridoviks, pierwszego przeciwnika zabił stosunkowo łatwo. Bandyta, nie wiedząc przeciwko jakiej broni staje, prawie nie dbał o własną ochronę. Sapnął, gdy miecz trybuna znalazł jego serce, potem próbował wciągnąć powietrze, ale zamiast tego zakasłał krwią.

— Kłamca! — wycharczał, osuwając się na podłogę; jego oczy wpijały się w Rhavasa.

Ludzie kapitana zafalowali, ich pewność siebie ulatywała, gdy obserwowali śmierć swoich towarzyszy. Potem Arsaber, uliczny opryszek, powalił jeszcze jednego; jego ciężka pałka zmiażdżyła lewą stronę twarzy przeciwnika.

Gajusz Filipus nie był uczonym, ale w bitwie zauważał wszystko.

— Tylko żelazo nie może ich zranić! — krzyknął do legionistów. Wyrwał *pilum* jednemu z Rzymian i ujął drzewce jak maczugę. Wrzasnął z zadowolenia, gdy jeden z wojowników Rhavasa zawirował i przewrócił się, a miecz wypadł z jego pozbawionych czucia palców. Marek nie przypuszczał, by ten człowiek miał się jeszcze podnieść. Starszy centurion wyładował cały swój strach przed magią w jednym, niewiarygodnie potężnym ciosie.

— Nie ustępować, wy pozbawione jaj króliki! — ryknął Rhavas.

Dobrze wyszkolony baryton Vardanesa Sphrantzesa zawibrował w uniesieniu:

— Trzymać się! Trzymać!

Ale przez szeregi ich zwolenników przetoczył się ryk strachu — najpierw miecze i włócznie nie zdołały powstrzymać Rzymian, a teraz tak samo zawiodły czary.

Jedna zdesperowana banda wycięła sobie drogę przez legionistów; garść tych, którzy przeżyli, wypadła przez Wielką Bramę, myśląc jedynie o ucieczce. Marek usłyszał ich rozpaczliwe krzyki, gdy pędząc na oślep wpadli na żołnierzy Thorisina Gavrasa. Inni, ze zręcznością zrodzoną z rozpacz, drąc pazurami materiał, wspinali się po draperiach do ryzykownych kryjówek w okiennych niszach dziesięć stóp nad podłogą. Niektórzy próbowali się poddać, ale niewielu ludzi Skaurusa było skłonnych darować im życie. Kwintus Glabrio niejednego uratował przed natychmiastową śmiercią, ale nie mógł być we wszystkich miejscach naraz.

Outis Rhavas ściał z tyłu jednego z uciekinierów, potem drugiego, we własny sposób zachęcając bandytów do zatrzymania się i podjęcia walki. Ale nawet wtedy, gdy u jego boku pozostali najtwardsi, Rzymianie w końcu odepchnęli go od czarnoksięskiego kotła. Musiał się cofnąć w kierunku cesarskiego tronu.

Marek walczył z jednym z jego zastępców. Człowiek ów był szybki niczym atakująca żmija;

dwa razy z rzędu trafił Skaurusa, a złośliwe cięcie tylko o włos minęło oko trybuna. Ale opryszek pośliznął się w wielkiej kałuży krwi, która wypłynęła z zabitej przez jego pana służącej. Zanim zdołał odzyskać równowagę, ostrze Skaurusa rozdarło mu gardło. Upadł na zbezczeszczone zwłoki dziewczyny.

Trybun, ruszając w pościg za ocalałymi, zerknął do żelaznego kociołka, którego Rhavas bronił z taką zaciekłością. Zdrętwiał z przerażenia na widok tego, co zobaczył. We wrzącej, mętnej wodzie pływało martwe niemowlę, delikatne ciało już zaczynało odpadać od kości. Nie — poprawił się — nawet nie niemowlę; maleństwo było nie większe od dłoni.

Jego oczy przesunęły się na rozcięty brzuch służącej, wróciły z niedowierzaniem na kocioł, i trybunowi zrobiło się niedobrze. Pluł raz za razem, by pozbyć się z ust obrzydliwego smaku, i żałował, że w równie łatwy sposób nie może oczyścić swej pamięci.

Poczuł, jak ogarnia go wewnętrzne zimno. Zmroziła go wiedza, że istnieje gorsze zło od męczeńskiej śmierci Doukitzesa. Kusiło go, by przyjąć wiarę Videssos, bowiem z pewnością pod postacią Outisa Rhavasa chodził po ziemi sam Skotos.

Ta myśl wiodła do następnej i nagle Marka opanowała straszliwa pewność.

— Rhavas! — krzyknął; imię to splugawiło mu język niczym wymioty. Potem rozwiązał anagram, potworny żart, i wykrzyczał drugie imię: — Avshar!

W Wielkim Dworze zapadła cisza; miecze zawisły w powietrzu. Imię Outisa Rhavasa wzbudzało wściekłość i nienawiść, ale książę-czarnoksiężnik z Yezd od wielu lat w serca mieszkańców Videssos wszczepiał zimne przerażenie. Marek spojrzął na szeregi Rhavasa i zobaczył, jak czerwone policzki Vardanesa Sphrantzesa nagle bledną. Arystokrata z przerażeniem zrozumiał, że głównym filarem jego władzy był największy wróg państwa.

Rhavas — nie, Avshar — z odległości trzydziestu dzielących ich stóp złożył trybunowi szyderczy ukłon, będący wyrazem uznania dla jego przenikliwości.

— Bardzo dobrze — zachichotał, a Skaurus zastanowił się, dlaczego od razu nie rozpoznał tego złego i groźnego głosu. — Zdaje się, że jesteś mądrzejszy od tych psów. To dobrze o tobie świadczy.

Po chwili konsternacji legionieści rzucili się ze zdwojoną furią na poplecznika tego, który nazwał się Outisem Rhavasem. Ludzie, przeciwko którym ruszyli, dziesiątkami zaczęli ciskać miecze na ziemię. Rhavas-bandyta był przywódcą, za którym pociągnęli w nadziei na krew i grabieże, ale tylko nieliczni Videssańczycy chcieliby dobrowolnie służyć Avsharowi.

Jakiś bandyta ze wzniesioną szablą skoczył od tyłu na swego dawnego pana. Ale Avshar odwrócił się z prędkością wilka; jego ciężki miecz rozłupał hełm i czaszkę śmiałka.

— Prawdziwy pies — krzyknął — kąsający pięty pana, za którym podążał! Jest takich więcej?

Ludzie, którzy niegdyś mu służyli, cofnęli się ze strachu. Wszyscy poza garstką, która nadal ota-

czała go i z radością walczyła dla tego, kogo uważała za wcielenie Skotosa. Byli to najgorsi z bandy, ale wcale nie najłabsi. Prawie wszyscy nosili kaftany poplamione ochronnym wywarem — żadne skrupuły nie powstrzymały ich od włożenia rąk do tego ohydneho kotła.

Vardanes Sphrantzes stał niezdecydowany, jak pajak schwyty w sieć większego pajaka. Nie uważał się za złego człowieka, jedynie praktycznego, i bał się Avshara tak, jak daleki od doskonałości człowiek może lękać się prawdziwego nikczemnika. Ale Sevastos bardziej od Avshara obawiał się poddania Skaurusowi i, poprzez niego, Thorisinowi Gavrasowi. Aż za dobrze orientował się, jaki los czeka przegranych w wojnach domowych Videssos. Znał również swoje poczynania, które doprowadziły do wyniesienia jego bratanka na tron, i był pewny, że w oczach zwycięzcy jest już martwy. Książę-czarnoksiężnik zobaczył wahanie Sphrantzesa i jego głos smagnął go niczym bicz:

— Dalejże, robaku! Jak myślisz, co możesz teraz beze mnie zrobić? — I Vardanes, który czuł tylko pogardę dla żołnierzy, spojrzął raz jeszcze na grzebieniaste hełmy Rzymian, ich ostre miecze i długie włócznie. Wydawało się, że wszystkie ostrza zniżają się wyłącznie ku niemu. Wola go opuściła i uciekł z Avsharem.

Droga, którą wybrali — jedyna, którą mogli wybrać — wiodła w górę wąskich spiralnych schodów. Zaczynały się one tuż na prawo od złoto-szafirowego cesarskiego tronu i nie mogły być częścią pierwotnego projektu sali, bowiem brutalnie wdzierały się w delikatną mozaikę na ścianie. Marek zastanawiał się, jaka to starożytna zdrada spowodowała, że któryś z ostrożnych Imperatorów postawił bezpieczeństwo ponad pięknem.

Gdy nieliczni zwolennicy Avshara dotarli do schodów, legionieści nie mogli już posuwać się w dotychczasowym tempie. Schody były tak wąskie, że jeden człowiek mógł powstrzymać armię, a książę-czarnoksiężnik osobiście szedł w tylnej straży, tworząc jakby korek, który niełatwo było z tej butelki wyciągnąć.

Trybun i Viridoviks atakowali po kolei. Nie tylko prawie dorównywali Avsharowi pod względem wielkości i siły, ale ich broń opierała się jego czarom. Przy każdym ciosie wyryte na ostrzach druidyczne znaki błyskały złotem, odpierając jady zawarte w jego broni.

Legioniści, tłocząc się tuż za plecami swych przywódców, dźgali nad ich głowami w Avshara. Był on chroniony czarem, nie mogli więc go zranić, ale psuli mu pchnięcia i przeszkadzali. Jego ciężki miecz przeciął gładko niejedno drzewce *pilum*, niemniej jednak Avshar był zmuszony cofać się krok po kroku.

— Walczmy z nim razem, jednocześnie — wydyszał Viridoviks. Marek potrząsnął głową. Schody były tak wąskie, że dwaj walczący ramię w ramię tylko sobie przeszkadzali, ale odmówiłby również wtedy, gdyby miejsca było więcej. Gdy po raz pierwszy jego miecz spotkał się z bronią Gala, obaj aż zawirowali; tylko bogowie wiedzieli, co mogłoby się zdarzyć, gdyby ostrza zetknęły się po raz drugi.

Spiralne schody zatoczyły trzy pełne obroty. Potem potężna sylwetka Avshara zarysowała się na tle jaśniejszym od przygnębiającego mroku klatki schodowej. Książę-czarnoksiężnik cofnął się po pokonaniu najwyższego stopnia, jakby zapraszał ścigających go ludzi do wejścia.

I Marek tak zrobił, aczkolwiek czujnie, spodziewając się podstępu. Pamiętał ucieczkę Avshara z Videssos rok wcześniej; nagle zatrzasujące się drzwi arsenału na nabrzeżu, trupa sługi czarnoksiężnika mówiącego głosem swego pana; miecze i włócznie, które walczyły, choć nikt nie trzymał ich w rękach. Avshar nigdy nie był bardziej niebezpieczny niż wtedy, gdy pozornie ustępował.

Ostrze trzasnęło we wzniesioną tarczę trybuna, ale dzierżył je nie mag, lecz bandzior, czerwony na twarzy mężczyzna z wielką, tłustą, czarną brodą. Skaurus sparował i skontrował. Sztych był niezdamny, ale długie ostrze i jego zasięg zmusiły przysadzistego przeciwnika do cofnięcia się o krok. Trybun szybko ruszył na górę, z Viridoviksem o stopień za plecami i legionistami tłoczącymi się niżej.

Pomieszczenie ponad salą tronową musiało być prywatną komnatą Imperatora, ustronnym miejscem wypoczynku po ceremonii Wielkiego Dworu. Marek zobaczył sześć czy osiem wyściełanych krzeseł i kanapę. Ludzie Avshara odrzucili sprzęty pod ściany przedstawiające pejzaż morski, by mieć więcej miejsca do walki. Bezceremonialne traktowanie zniszczyło jedno z krzeseł i w powietrzu wirowały szare pióra.

Nawet walcząc z czarnobrodym oprychem, Skaurus zastanawiał się, dlaczego Avshar z taką łatwością oddał schody, dlaczego na chwilę zostawił bitwę swoim stronnikom. Gdzie on jest? Przeciwnik wymachiwał mieczem jak szaleniec, trybun miał więc niewiele czasu na rozglądanie się.

W pewnej chwili pozwolił, by szabla przemknęła z sykiem obok niego, wszedł w zatoczony przez nią łuk i ciał bandziora po gardle. Tak, Avshar był tutaj, stał przed zamkniętymi drzwiami z Vardanesem Sphrantzesem. Schylając się, mówił coś do Sevastosa, który przecząco potrząsał głową. Wtedy trzasnął go w twarz odzianą w ciężką rękawicę dłonią.

Vardanes, okazujący w chwili upadku wszystkich swych nadziei resztki silnej woli, nadal nie chciał wykonać polecenia czarnoksiężnika. Avshar z zimną premedytacją uderzył go po raz drugi. Marek miał wrażenie, że coś jakby złamało się w dumnym Sevastosie. Biurokrata przez całe życie rządził swoją frakcją bez uciekania się do brutalnej siły, przez rzucanie dumnych żołnierzy Videssos na kolana bez stosowania przemocy. Teraz miał do czynienia z osobą, której, jak odkrył, nie może stawić czoła. Wyciągnął mosiężny klucz z za pasa, przekręcił go w zamku i wsunął się do sąsiedniego pokoju.

Marek zapomniał o nim prawie natychmiast. Walczył opierając się plecami o plecy Viridoviksa. Wspólnymi siłami oczyścili dość przestrzeni, by mogli wejść legionieści ze schodów. Mimo napływających bez przerwy posiłków, walka była niezwykle zacięta. Zacięta dla mieczy Skaurusa i Celta, bowiem ostrza Rzymian nie mogły zranić ludzi Avshara. Trzeba było tłuc ich drzewcami włócznie i

innymi namiastkami maczug albo rozbijając zręcznym ruchem miecza, a potem rzucać na podłogę i wykańczać gołymi rękami. Bandyci kazali Rzymianom drogo płacić za swe życie.

Cena miała jeszcze wzrosnąć, ale Avshar, jakby uważając, że wszystko stracone, stał na uboczu i przyglądał się, jak jego ludzie giną jeden po drugim. Jedyne wtedy, gdy jakiś legionista podchodził zbyt blisko do strzeżonych przez niego drzwi, jego miecz wyskakiwał w stronę przeciwnika, walcząc z nim ze zwykłą zręcznością i siłą. W szukaniu łatwiejszej ofiary nie było żadnego wstydu, dlatego też w końcu książę-czarnoksiężnik stał przed drzwiami nie niepokojony przez nikogo.

Walcząc z mniej zagorzałymi wrogami, Rzymianie przetoczyliby się przez nich i udali za Vardanesem Sphrantzesem. Ale Avshar był niczym lew zapędzony w matnię; jego fałszywy majestat budził grozę i strach. Pchnij — ponaglił się w myśli Skaurus — i skończ z nim. Ale w oczach Avshara, widocznych przez szczeliny przyłbicy, płonęła taka nienawiść, że trybun nie mógł się ruszyć. Nawet Viridoviks, odporny na zastraszenie, stanął jak wryty.

Zapadła dziwna cisza, przerywana jedynie sapaniem legionistów i jękami rannych. Avshar, nie odwracając się, zabębnił w drzwi. Odziana w żelazo ręka sprawiła, że drzwi aż podskoczyły na zawiasach. Odpowiedziało mu milczenie. Uderzył raz jeszcze, mówiąc:

— Wychodź, głupcze, bo inaczej odsunę się i pozwolę, by cię dopadli.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, ale Avshar zaczął się odsuwać, drzwi otworzyły się i stanął w nich Vardanes Sphrantzes. Sevastos w prawej ręce trzymał sztylet. Lewa z okrutną siłą zaciskała się na nadgarstku młodej dziewczyny, ubranej jedynie w krótką koszulę z przezroczystego złotego jedwabiu, którą nie tyle okrywała, ile wręcz akcentowała jej nagość. Mimo że była wymalowana, jej twarz nie była twarzą pałacowej ladacznicy; widoczna na niej wiedza była innego rodzaju. Jednakże dopiero w chwili, gdy padły słowa spokojnego powitania: — Dobrze, że się spotykamy, Marku Emiliuszu Skaurusie — trybun poznał Alypię Gavrę.

Zaskoczony, uczynił mimowolny ruch w jej stronę. Sztylet Sphrantzesa skoczył do jej szyi. Światło zamigotało na jasnym jak lustro srebrze stali. Sztylecik był jedynie wysadzany klejnotami zabawką wielmożów, ale mógł sprawić, że życie wyciekłoby z dziewczyny, zanim ktokolwiek zdążyłby coś zrobić. Alypia znieruchomiała pod dotykiem tej zimnej pieśczoły. Dwa kroki dalej Skaurus również zmarł.

— Puść ją, Vardanesie — nalegał, z bliska przypatrując się Sphrantzesowi. Pulchna twarz Vardanesa była blada, wyjąwszy dwa czerwone place wskazujące, gdzie trafiła ręka Avshara. Z lewego nozdrza spływał na brodę cieniutki strumyczek krwi. Na głowie krzywo tkwił wysadzany perłami diadem, co jak na dandysa, jakim był Sphrantzes, było widomą oznaką kłęski. Jego oczy, rozszerzone i wytrzeszczone, były oczami kogoś pochwyconego w pułapkę.

— Puść ją — powtórzył cicho Marek. — Ona nie kupi ci ucieczki, wiesz o tym. — Sevastos potrząsnął głową, ale sztylet opadł. Niewiele; o cal czy dwa.

Avshar zachichotał. Jego wesołość była straszniejsza od skrzeku nienawiści.

— Tak, puść ją, Vardanesie — powiedział. — Puść ją, tak jak wypuściłeś z rąk Videssos. Czerpałeś z niego przyjemność tak samo jak z niej, a potem śliniąc się patrzyłeś, jak wyslizguje ci się z rąk. Oczywiście, puść ją. Jakież znajdziesz lepszy sposób na zakończenie swego partackiego życia? Byłeś bezwartościowy nawet jako marionetka.

Marek nigdy się nie dowiedział, czy któraś z obelg Avshara okazała się nie do zniesienia, czy też w jakiejś ostatniej kalkulacji Vardanes zdecydował — może i słusznie — że śmierć księcia-czarnoksiężnika może być jedyną monetą, jaką Thorisin Gavras zgodzi się przyjąć w zamian za darowanie życia zdrajcy. Bez względu na to, jakie były powody, Sphrantzes pchnął nagle Alypię w ramiona trybuna, potem zawirował i wbił sztylet w osłoniętą zbroją pierś Avshara.

Cienka stalowa igła była doskonałym narzędziem do przeszycia półpancerza, a w desperackie pchnięcie Sphrantzes włożył całą siłę, jaka kryła się w dobrze wykarmionym ciele. Skaurus zawsze uważał, że pod zwałami tłuszczu kryją się niczego sobie mięśnie. Teraz jego przypuszczenia potwierdziły się, bowiem kiedy Vardanes cofnął rękę, sztylet pozostał wbity po rękojeść.

Ale Avshar nawet się nie skrzywił.

— Ach, Vardanesie — powiedział ze śmiechem, który zabrzmiał niczym brzęk tłuczonego szkła. — Daremne usiłowania do samego końca. Moja magia strzeże cię przed ukąszeniem zimnego żelaza. Czy myślisz, że czyni mniej dla mnie, swego twórcy? Patrz, to powinno być zrobione w ten sposób.

Szybki jak atakujący wąż, złapał Sevastosa, podniósł go w powietrze i cisnął nim o ścianę. Marek usłyszał trzask pękającej czaszki i pomyślał, że odgłos ten do złudzenia przypomina szczęk rozbijanego glinianego garnka. Krew zbryzgała malowane fale; Vardanes był martwy, nim osunął się na podłogę.

Avshar wyciągnął sztylet z piersi i zatknął go za pas.

— Dobrego dnia wszystkim — powiedział z ostatnim szyderczym ukłonem i skoczył do sąsiedniej komnaty.

Jego ucieczka uwolniła Rzymian z paraliżu, w jakim obserwowali dramat minionych paru minut. Rzucili się do drzwi, ale chociaż zamki były na zewnątrz, nie mogli ich otworzyć. Zaatakowali je mieczami i osłoniętymi ciężką zbroją ramionami, lecz apartament nad salą tronową między innymi pełnił rolę małego fortu i portal nie ustąpił.

Przez ich dudnienie przebił się głos Avshara, przemawiający w jakimś chrapliwym języku, na pewno nie videssańskim. Znowu magia — pomyślał Marcus czując, jak strach ściska mu wnętrzności.

— Zeprin! — krzyknął, a potem zaklął, słysząc zamieszanie towarzyszące przedzieraniu się Ha-logajczyka po zatłoczonych schodach.

Wojownik wpadł zadyszany na górę; jego normalnie czerwona twarz stała się prawie purpurowa. Stanął i obracał głowę, póki nie dostrzegł wysokiego pióropusza z końskiego włosia. Trybun wskazał kciukiem drzwi.

— Po drugiej stronie jest Avshar. On...

Marek miał zamiar ostrzec Halogajczyka, że Avshar odprawia jakieś czary, ale ten nie zwrócił na niego uwagi. Czerwony Zeprin hodował swoją nienawiść i żądzę zemsty od czasu śmierci Mavrikiosa pod Maraghą; teraz obydwaj uczucia wybuchły z pełną siłą. Rzucił się na drzwi, rycząc:

— Dokąd teraz uciekniesz, czarnoksiężniku?

Legioniści skoczyli na boki, gdy wielki topór wżarł się w drewno. Dobrze zrobili; ogarnięty szaleńczą furią Halogajczyk nie dbał o zachowanie ostrożności. Drzazgi strzelały pod ciosami jego topora. Żadne drewno, nieważne jak grube czy wzmocnione, nie mogło długo wytrzymać takiego ataku.

Skaurus uświadomił sobie, że jego ręce obejmują mocno Alypię Gavrę; czuł ciepło jej skóry pod cienkim neglizmem.

— Wybacz, pani — powiedział. — Proszę. — Narzucił jej na ramiona swą szkarłatną pelerynę.

— Dziękuję — odrzekła i odsunęła się od niego, by otulić się szczelnie okryciem. W jej zielonych oczach rozbłysła wdzięczność, która jednak nie zakryła płonącego w ich głębi bólu. — Poznałam rzeczy dużo gorsze od dotyku przyjaciela — dodała cicho.

Nim Marek zdołał ułożyć stosowną odpowiedź, Zeprin krzyknął z triumfu, gdyż deski i zasuwki poddały się w nierównej walce. Wznosząc wysoko topór, przedarł się przez wyłamane drzwi, za nim zaś pośpieszyli z bronią w pogotowiu Skaurus i Viridoviks. Gajusz Filipus i inni Rzymianie także nie tracili czasu.

Trybun nie dostrzegł, co kryje się za drzwiami ani kiedy Vardanes je otworzył, ani później, gdy uciekał za niego Avshar. Teraz wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Była to komnata żywcem wyjęta z kosztownego burdelu: lustrzany sufit z wypolerowanego brązu, obsceniczne, ale pięknie wykonane ściennie freski, rozrzucone jasne jedwabie, zakładane tylko po to, by je natychmiast zdjąć, miękkie, szerokie łóżce z okryciami zapraszająco odrzuconymi na bok.

I gapił się również z innego powodu; tego samego, który zmusił po kilku krokach Zeprina do zatrzymania się w konsternacji — komnata była pusta. Kłykcie Halogajczyka zbieleły na stylisku topora. Pałał żądzą mordu, a nie znalazł ofiary. Chrapliwy oddech wyrwał się z jego ust, gdy siłą woli zmuszał ciało do zachowania spokoju.

Oczy Marka skoczyły do okien; wysokich, wąskich szczelin, przez które kot nie mógłby się prześliznąć, z co dopiero człowiek. Viridoviks z trzaskiem schował miecz do pochwy.

— Ten drań zniknął. Znów ok pił nas swoją magią — warknął i zaklął po galijsku.

Mimo ssącego uczucia w żołądku, trybun jeszcze nie chciał w to uwierzyć. Rozkazał zo-

łnierzom:

— Przewróćcie tę komnatę do góry nogami. Może mimo wszystko Avshar ukrywa się pod łóżkiem czy w szafie. — Minęli go; jeden podejrzliwy legionista raz po raz wbijał swój *gladius* w materac myśląc, że może Avshar w jakiś sposób zdołał wleźć do środka.

— Nie, jasne, że to magia — powiedział żałośnie Viridoviks, gdy poszukiwania nie przyniosły rezultatu.

— Zamknij się — uciszył go Marek, ale nie zwrócił większej uwagi na Celta. Właśnie zauważył złożone kajdany, osadzone w słupkach przy łóżku i pomyślał, że śmierć Vardanesa Sphrantzesa być może była zbyt lekka.

— Magia i magia — powiedział Gajusz Filipus. — Pamiętasz, jak cały bitewny szereg Yezda zniknął na mgnienie oka, nim videssańscy czarnoksiężnicy znaleźli odpowiedni czar? Może ten suchy syn używa tej samej sztuczki.

Trybunowi nie przyszło to na myśl. Chociaż pokładał w tym niewielką nadzieję, rozesłał posłańców po pałacowym kompleksie i pchnął gońca do Najwyższej Świątyni Phosa w poszukiwaniu maga Neposa. Postawił również legionistów, jeden obok drugiego, w wyłamanych drzwiach, mówiąc:

— Jeżeli Avshar uczynił się nie tylko niewidzialnym, ale i niewyczuwalnym, zasługuje na ucieczkę.

— Nie ma mowy — warknął Gajusz Filipus.

Przez wąskie okna doszły ich odgłosy potyczki. Skaurus wyrztał zaciekawiony, ale pole widzenia było zbyt wąskie; zdołał tylko dostrzec biegnących ludzi. Byli to Videssańczycy, lecz nie potrafił stwierdzić, czy żołnierze Thorisina atakują, czy kontratakują.

Zaniepokojony, postanowił zejść na dół i upewnić się, czy legionieści w razie potrzeby zdołają obronić Wielki Dwór. Byli zdyscyplinowani i powinni automatycznie przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, ale lepiej sprawdzić. Magia Avshara i walka na schodach mogły spowodować pewne rozprężenie.

Zostawił strażników przy drzwiach i postawił innych przy schodach. Ich oczy powiedziały mu, że uważają to za absurdalne, ale nie kwestionowali rozkazu; jak Fayard Namdalajczyk, wypełniali rozkazy bez słowa.

Alypia Gavra ruszyła z trybunem po schodach.

— Jesteś tedy świadkiem mej hańby — powiedziała z jak zawsze pozornym spokojem, ale Marek widział, że zaciska pelerynę przy szyi jedną ręką, szarpie za rąbek drugą, próbując okryć się jak najszczelniej.

Wiedział, że chodzi jej o coś więcej niż o pasma żółtego jedwabiu pod peleryną. Przemówił powoli, starannie dobierając słowa:

— To, co nie zbruka serca człowieka, nie może zniszczyć jego życia ani wyrządzić mu najmniejszej krzywdy.

W Rzymie coś takiego byłoby zwykłym stoickim frazesem, ale do Videssańczyków głośniejsze niż słowa przemawiały czyny — co w odniesieniu do ludu, widzącego świat jako wojnę między dobrem i złem, było jak najbardziej zrozumiałe. I dlatego Alypia wpatrzyła się bacznie w twarz Marka, podejrzewając szyderstwo. Nie znalazłszy go, wyszeptała:

— Jeżeli kiedykolwiek w to uwierzę, to tylko dzięki tobie wrócę do siebie. A za coś takiego nie wystarczą najgorętsze podziękowania.

Przez resztę drogi na dół księżniczka patrzyła wprost przed siebie. Skaurus studiował szorstkie kamienie klatki schodowej, by ona mogła cieszyć się jak największą prywatnością.

Alypia sapnęła z przerażenia, gdy zeszli do sali tronowej. Komnata nie przypominała już poważnego ceremonialnego serca Imperium, ale tylko pole bitewne po zakończonej walce. Ciała i połamane meble walały się po polerowanej posadzce, splamionej kałużami krzepnącej krwi. Ranni kłękli, jęczeli albo leżeli w milczeniu, w zależności od poniesionych obrażeń. Gorgidas przechodził od jednego do drugiego, udzielając pierwszej pomocy.

Jeden rzut oka wystarczył, by Marek zorientował się, że przy Wielkiej Bramie nie będzie kłopotu. Niezastąpiony jak zawsze Kwintus Glabrio trzymał w pogotowiu podwójny oddział legionistów, gotowych do odparcia ataku. Ale żołnierze byli już rozluźnieni, ich *pila* wspierały się o ziemię, miecze spoczywały w pochwach. Młodszy centurion pomachał do swego dowódcy.

— Wszystko pod kontrolą! — zawołał, a Skaurus w odpowiedzi skinął głową.

Przeklęty kocioł Avshara nadal parował na środku sali, chociaż ogień pod nim już wygasł. Trybun chciał przeprowadzić Alypię jak najszybciej, ale ona znieruchomiała na widok rozczłonkowanego ciała.

— Och, moja biedna, droga Kalline — wyszeptała, kreśląc na piersiach okrągły znak słońca Phosa. — Tego się obawiałam, gdy usłyszałam twój krzyk. Więc taka spotkała cię nagroda za wierność swej pani?

Jakoś zdołała zachować niewzruszony wyraz twarzy, ale dwie łzy spłynęły po jej policzkach. Potem jej oczy wywróciły się i dziewczyna osunęła się na posadzkę. Wstrząsające wydarzenia dnia w końcu złamały jej silnego ducha. Pożyczona peleryna rozchyliła się przy upadku, odsłaniając prawie nagie ciało.

— Jedna z ładacznic Vardanesa, co? — zapytał jakiś Rzymianin, łypiąc lubieżnie okiem. — Może widziałem ładniejsze, ale na piersi Wenus, nie miałbym nic przeciwko, gdyby te długie nogi owinęły się wokół mego ciała.

— To Alypia Gavra, bratanica Thorisina, zamknij więc swój plugawy pysk — zgrzytnął Skaurus. Legionista cofnął się o krok ze strachu, potem skoczył, by znaleźć sobie gdzie indziej

jakieś inne zajęcie. Marek przyglądał się jego odejściu, zaskoczony własną furią. Przecież żołnierz doszedł do jak najbardziej naturalnego wniosku.

Na zawołanie trybuna przybiegł Gorgidas, by obejrzyć Alypię. Ułożył ją w wygodnej pozycji, a potem okrył peleryną Skaurusa. Wstał i ruszył w stronę następnego rannego legionisty.

— Nie zamierzasz zrobić nic więcej? — zapytał Marek.

— Co proponujesz? — zapytał Gorgidas. — Prawdopodobnie mógłbym ją obudzić, ale to nie przyniosłoby jej nic dobrego. Z tego, co widzę, biedna dziewczyna przeżyła tyle, że starczyłoby na obdzielenie sześciu ludzi. Winisz ją, że zemdląca? Właśnie tego potrzebuje. Odpoczynek jest najlepszym lekarstwem, jakie zna ciało, i byłbym przeklęty, gdybym temu przeszkadzał.

— No cóż, zapewne masz rację — powiedział uprzejmie Skaurus, przypominając sobie po raz setny, jak drażliwy staje się Grek wówczas, gdy ktoś kwestionuje jego medyczne decyzje.

Alypia drżała i mruzczała do siebie, gdy za jednym z posłańców Marka wpadł do sali tronowej Nepos. Mimo żalosego biadolenia nad zniszczoną Wielką Bramą, tłusty kapłan był w doskonałym nastroju. Nie zatrzymując się wznosił ręce w geście błogosławieństwa. Rzymianie w większości ignorowali go, ale niektórzy z legionistów przeszli na nową wiarę i czcili Phosa; oni i służący z nimi Videssańczycy kłaniali się przechodzącemu Neposowi.

Kapłan dostrzegł Skaurusa, skinął mu głową na powitanie i zbliżając się uśmiechnął się szeroko. Ale był mniej niż w połowie drogi do trybuna, gdy nagle zatoczył się jak pod wpływem fizycznego ciosu.

— Niech Phos ma litość — wyszeptał. — Co tu się działo? — Znów ruszył, ale wolniej. Markowi przyszedł na myśl człowiek zmagający się z wichurą.

Nepos zajrzał do kotła z okrzykiem głębszej odrazy niż wstręt Skaurusa. Trybun widział jedynie odrażającą rozpustę tortury, ale Nepos, jako kapłan i mag, zrozumiał siłę czaru, jaki ona wyzwała, i wzdrygnął się z przerażenia.

— Dobrze zrobiłeś, wzywając mnie — powiedział, najwyraźniej biorąc się w garść. — To, że Sphrantzesowie wystąpili przeciwko nam, jest jedną rzeczą, ale to... to... — Przerwał, bo brakło mu słów. — Nigdy nie wyobrażałem sobie, że mogą tak nisko upaść. Ortaias Sphrantzes, na ile go znam, jest tylko głupim młodym człowiekiem, podczas gdy Vardanes...

— Leży martwy na górze — dokończył za niego Skaurus. Nepos spojrział na trybuna, który ciągnął: — Rozprawiliśmy się z czarami, ale czarnoksiężnik... — Pokrótce opowiedział, co zaszło. — Być może oblegamy go na górze — skończył.

— Avshar w pułapce? W pułapce? — wybuchnął Nepos, gdy słowa trybuna w pełni doń dotarły. — Dlaczego zatem tracimy czas na gadanie?

— Być może — powtórzył z naciskiem Marek, ale kapłan już nie słuchał. Odwrócił się i pobiegł ku schodom, a jego błękitna szata płątała mu się wokół kostek. Marek usłyszał najpierw sandały

klapiące na schodach, a potem jak Nepos zderzył się ze schodzącym Rzymianinem.

— Z drogi, ty niedołęgo, ty wyliniała fujaro! — krzyknął Nepos tenorem skrzeczącym z podniecenia. Rozległo się szuranie, gdy on i żołnierz mijali się na ciasnych schodach, potem kapłan znów pomknął na górę.

Kiedy legionista pojawił się na dole, nadal potrząsał głową.

— A tego co ugryzło? — zapytał płaczliwie, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Alypia Gavra otworzyła oczy. Nepos prawie na nią nie spojrzał; ohydne czary Avshara i słowa Skaurusa, że księżę-czarnoksiężnik może być nadal osiągalny, wypędziły z jego myśli takie drobiazgi jak bratanica cesarza.

Księżniczka usiadła powoli i ostrożnie. Marek był gotów ją podtrzymać, ale ruchem ręki odmówił pomocy. Choć nadal była bardzo blada, jej usta skrzywiły się z irytacji.

— Miałam o sobie lepsze zdanie — powiedziała.

— To nie ma znaczenia — odpowiedział trybun. — Ważne, że jesteś bezpieczna i miasto jest w rękach Thorisina. — Tak jest naprawdę — pomyślał raczej z oszołomieniem. Wcześniej był zbyt pochłonięty walką i dopiero teraz zdał sobie sprawę ze zwycięstwa. Ogarnęło go podniecenie.

— Och tak, jestem doskonale bezpieczna. — W głosie Alypii brzmiał zmęczony, cyniczny ton, którego Marek nie słyszał wcześniej. — Mój stryj bez wątpienia powita mnie z otwartymi ramionami. Mnie, żonę swego rywala Autokratora i zabawkę... — Przerwała, nie chcąc nawet wypowiadać tej myśli.

— Wszyscy wiemy, że zostałam zmuszona do zawarcia tego małżeństwa — powiedział zdecydowanie Skaurus. Alypia zdobyła się na nikły uśmiech, ale bardziej z powodu jego zapalczywości niż słów. Część uniesienia trybuna przygasła. Niepokój Alypii miał nieprzyjemny wydźwięk prawdy.

Rozproszył go odgłos schodzącego z góry Neposa. Nietrudno było rozpoznać kapłana po krokach; jego sandały kłapały, a nie stukały jak podkute obuwie Rzymian. Łatwo było również odgadnąć jego nastrój, bowiem kroki były powolne i ciężkie, niepodobne do podnieconego tupotu, z jakim mknął na górę.

Pierwszy rzut oka potwierdził obawy trybuna; światło zniknęło z oczu kapłana, ramiona zaś opadły, jak gdyby dźwigał na nich ciężar świata.

— Zniknął? — zapytał retorycznie Marek.

— Zniknął! — powtórzył jak echo Nepos. — Smród magii będzie snuł się przez wiele dni, ale jej autor uciekł, by dręczyć nas dalej. Niech Stokos zaciągnie go wprost do piekła! Czy jego siła ma granic?! Czar teleportacji znany jest w naszej Akademii, ale wymaga długich przygotowań i nie pozwala rzucającemu zabrać ze sobą niczego. Jednakże Avshar rzucił go w ciągu kilku sekund i zniknął razem ze zbroją, mieczem i wszystkim innym. Może Phos sprawi, że w pośpiechu pomylił się i pojawił w sercu wulkanu albo na otwartym morzu, gdzie zatonął pod ciężarem swej zbroi.

Ale beznadziejny ton kapłana dawał do zrozumienia, jak mało to było prawdopodobne. Skaurus też nie mógł wyobrazić sobie tak prostego końca Avshara. Był pewien, że księżę-czarnoksiężnik udał się tam, gdzie chciał i nigdzie indziej — bez względu na to, jakie miejsce podsunęła mu jego przesycona jadem imaginacja. I ta myśl sprawiła, że w ustach trybuna smak triumfu stał się gorzki.

IX

Viridoviks powiedział:

— Ostatnie wydarzenia tylko potwierdzają to, co mówiłem od początku; tym Videssańczykom nie wolno ufać. Mieszkańcy miasta przez całe oblężenie opowiadali się za Sphrantzesami, a potem, gdy ci przegrali, zwrócili się przeciwko nim.

— Rzeczy rzadko są takie proste — odparł Marek, odchylając się na krześle. Rzymianie wrócili do koszar, które zajmowali w zeszłym roku, zanim Mavrikios rozpoczął kampanię przeciwko Yezda. Słodki zapach kwitnących pomarańczy wpadał przez szeroko otwarte okiennice; drobna siatka zatrzymywała nocne owady.

Gajusz Filipus ugryził twardą bułkę z żelaznych racji każdego legionisty, które naruszono, gdyż w mieście zaczynało brakować jedzenia. Przeżuwał kęs w zadumie, a po chwili sięgnął po stojący na niskim stole kubek wina i napił się.

— Tak, ci przekłęci głupcy sami sprowadzili nieszczęście na własne głowy — przyznał. — Gdyby bandyci Rhavasa... nie, powinien powiedzieć Avshara... nie wyprawili się na płądrowanie, by uczcić odparcie naszego ataku, przewrót Zigabenosa zakończyłby się niczym.

— Jego i Alypii Gavry — poprawił Marek.

Huk upuszczonego cebra sprawił, że Gajusz Filipus aż podskoczył.

— Uważać, wy czwororękie durnie! — krzyknął. Koszary nie były w tak schludnym stanie, w jakim Rzymianie je zostawili. W czasie oblężenia zajmowali je Khamorthci oraz, sądząc z zapachu i brudu, również ich konie. Legioniści zamiatali, szorowali i wyrzucali śmieci; inni robili nowe słomiane materace w miejsce tych, które służyły nomadom.

Starszy centurion niechętnie wrócił do tematu.

— No cóż, tak — mruknął niezobowiązująco do Skaurusa, nieskory jak zwykle do wyrażenia uznania dla kobiecego rozumu i odwagi.

Ale uznanie jest jak najbardziej na miejscu — pomyślał Marek. Videssos nadal huczało od plotek; dojrzewały przez cały dzień niby ser i teraz, wieczorem, niektóre były naprawdę dziwaczne. Ale Skaurus, w przeciwieństwie do wielu innych, rozmawiał z tymi, którzy brali bezpośredni udział w wypadkach, i dzięki temu zyskał wiarygodną wiedzę na temat tego, co naprawdę się stało.

— Na szczęście dla nas, Alypia zrozumiała, że Thorisin nigdy nie weźmie miasta z zewnątrz — upierał się. — Czas działał na jej korzyść i chyba nie mogło być lepiej.

Księżniczka i Mertikes Zigabenos — nadal będący oficerem straży cesarskiej — spiskowali przeciwko Sphrantzesom, zanim jeszcze Thorisin rozpoczął oblężenie. Pokojówka. Alypii, Kalline, była doskonałym łącznikiem; jej ciąża chroniła ją przed podejrzeniami i, jako że była wynikiem gwałtu zadanego przez jednego z łajdaków Rhavasa, wiązała dziewczynę ze sprawą spiskowców. Ale dopóki wydawało się, że Thorisin może zdobyć Videssos, konspiracja pozostawała w sferze słów.

Po niepowodzeniu ataku na mury, nagle pilny stał się atak od wewnątrz. Alypia zdołała zawiadomić Zigabenosa, że Ortaias zamknął się w odosobnieniu, w prywatnych komnatach, by ułożyć zwycięską mowę do swoich żołnierzy. Gajusz Filipus również znał tę część historii. Jego komentarz brzmiał następująco:

— Szkoda, że księżniczka nie odczekała jeszcze jednego dnia. Gdyby po takiej mowie nie doszło do buntu, to nie znam żołnierzy. — Starszy centurion był zmuszony do wysłuchania niejednej oracji Ortaiasa Sphrantzesa i niewiele przesadzał.

Większość regimentów straży cesarskiej została wybita pod Maragłą, więc chociaż Mertikes Zigabenos zatrzymał swój tytuł, tak naprawdę Sphrantzesów strzegli żołnierze Outisa Rhavasa. Ale Rzymianie dali im twardą naukę przy murach i później większość z nich udała się na pijacką hulankę, która szybko przemieniła się w grabieżę i bijatykę na pięści. Ich ofiary naturalnie nie pozostawały bierne, w związku z czym żołnierze z dzielnicy pałacowej ruszyli na ratunek swoim kamratom, co dało Zigabenosowi wymarzoną okazję.

Dowodził tylko trzema oddziałami ludzi, ale na czele jednego z nich zaatakował Ortaiasa w jego komnatach, pojmał nieskazitelnego Autokratora przy jego biurku i uprowadził go do Najwyższej Świątyni Phosa. Patriarcha Balsamon od dawna skłaniał się ku Gavrasom.

Pozostałe dwa oddziały zaatakowały Wielki Dwór, by uratować Alypię i wykorzystać pomieszczenia jako punkt zborny powstania. Ci mieli mniejsze szczęście niż ich dowódca. Kalline, wracająca do swej pani, została złapana. Przesłuchiwał ją sam Rhavas; wkrótce wydobył z niej wszystko, co chciał.

Marek przypomniał, co powiedziała Alypia:

— Zaczęła krzyczeć godzinę przed północą, a kiedy przestała, wiedziałam, że tajemnica wyszła na jaw. Nigdy nie przypuszczałam, że Rhavas może być Avsharem, ale byłam pewna, że nie pozwoli jej umrzeć, póki nie dowie się wszystkiego.

I tak, ludzie idący na odsiecz księżniczce, wpadli w zasadzkę. Nikt z niej nie wyszedł żywy.

Ale Zigabenos albo przestudiował poprzednie zamachy, albo miał wrodzony dar do prowadzenia akcji wywrotowych. Z Najwyższej Świątyni rozesał gońców do każdej dzielnicy miasta z wezwa-

niem: „Chodźcie wysłuchać patriarchę!”.

Każdy, kto twierdził, że cytuje mowę Balsamona, podawał Skaurusowi odmienną wersję. Trybun pomyślał, że to wielka szkoda. On sam mógł tylko wyobrazić sobie Balsamona na schodach Świątyni, prawdopodobnie odzianego w wyświechtany mnisi habit, który wolał od patriarchalnych szat. Dramatyczna chwila — pochodnie wznoszone wysoko w noc, morze pełnych oczekiwania twarzy — wydobyła ze starego dostojnika wszystko co najlepsze.

Bez względu na to, jak brzmiały jego słowa, w kwadrans porwały za sobą całe miasto. Marek był pewien, że widok Ortaiasa Sphrantzesa, związanego i drżącego u stóp patriarchy, był równie dobrym bodźcem, który wpłynął na tę nagłą zmianę nastrojów, co złodziejska banda Rhavasa, łupiąca sklepy videssańskich kupców. Miejski tłum, otrzymawszy cel wyznaczony przez Balsamona, był zdolny do przejęcia spraw we własne ręce.

— Prawie można by żywić współczucie dla Vardanesa — powiedział Viridoviks, wycierając grzbietem dłoni tłuszcz z brody; nie wiadomo skąd, w głodującym mieście wytrzasnął tłustą pieczęną kuropatkę. — Lalkarz odkrył, że ostatecznie nie może poradzić sobie bez swej marionetki.

Po tym, co zobaczył w sypialni nad salą tronową, Marek nie był w stanie żałować Vardanesa Sphrantzesa. Uwaga Celta była wielce trafna. Mieszkańcy Videssos w dużo większym stopniu niż żołnierze uznali wymuskaną, głupawą pedanterię Ortaiasa nie tyle za denerwującą, ile za zabawną, i dzięki temu stryj Autokratora nie miał większych kłopotów z rządzeniem w jego imieniu. Ale starszym Sphrantzesem, chociaż był dużo zdolniejszy od swego bratanka, miasto gardziło. Gdy tylko Ortaias został obalony, Vardanes nie znalazł nikogo, kto wykonywałby polecenia pochodzące bezpośrednio od niego.

Jego posłańcy wybiegali z pałacu z rozkazami, by regimenty obsadzające mury opuściły posterunki i zdusiły powstanie. Ale jedni z nich zdezerterowali, gdy tylko zniknęli z zasięgu wzroku rozkazodawcy, inni zostali przechwyceni przez tłum, a ci, którzy wypełnili swoje zadanie, spotkali się z kompletnym lekceważeniem. Videssańscy żołnierze Sevastosa lubili go nie bardziej od swych cywilnych kuzynów, a jego najemnicy stawiali wyżej własne bezpieczeństwo i byli przekonani, że Gavras również im zapłaci, gdy tylko zasiądzie na tronie.

W końcu tylko bandyci i mordercy Rhavasa zostali przy Sphrantzesie. Wszyscy Videssańczycy zwrócili się przeciwko nim tak samo, jak przeciwko niemu; ani oni, ani on nie mogli pozwolić sobie na grymaszenie.

— Vardanes dostał to, na co zasłużył — podsumował trybun. — Był w większym stopniu marionetką Avshara niż Ortaias jego. — Pomyślał, że być może ryba na haczyku byłaby lepszym porównaniem.

Gorgidas powiedział:

— Jeżeli Rhavas i Avshar to jedna i ta sama osoba, prawdopodobnie wiemy, dlaczego Doukit-

zesa spotkał taki, a nie inny koniec.

— Co? Czemu? — zapytał głupawo Marek, tłumiąc ziewnięcie. Po dwóch dniach ciężkiej walki był zbyt zmęczony, by nadażać za rozumowaniem lekarza.

Gorgidas obrzucił go lekceważącym spojrzeniem, bowiem według Greka umysł służył do tego, by go używać.

— Była to groźba, oczywiście, czy, co bardziej prawdopodobne, obietnica. Wiesz, że czarnoksiężnik nienawidzi cię od czasu, gdy pokonałeś go na miecze owej nocy w Sali Dziewiętnastu Tapczanów. Z pewnością żałował, że to nie ty znalazłeś się pod jego nożem.

— Avshar nienawidzi wszystkich — powiedział Skaurus, ale słowa Gorgidasa niosły w sobie nieprzyjemny posmak prawdy. Trybun sam podzielał zdanie lekarza, ale starał się o tym nie myśleć. Świadomość, że jest się osobistym wrogiem nad wyraz okrutnego i groźnego maga, nie była pocieszająca. Nagle poczuł zadowolenie ze swego wyczerpania, które nie pozwalało mu na roztrząsanie tego problemu.

Mimo podnoszących na duchu zapewnień, jakich nie skąpił sobie tego ranka, Marek nie palił się do poinformowania Helvis, że zostają w Videssos. Odwlekał tę nieprzyjemną chwilę tak długo, jak mógł, rozmawiając z przyjaciółmi, póki powieki nie zaczęły mu się kleić.

Chłodne nocne powietrze rozbudziło go nieco, gdy szedł do baraku, przeznaczonego dla legionistów związanych z kobietami. Nie był to ten sam rzymski czworak, który zajmowali rok wcześniej. Sala, z przepierzeniem dla zapewnienia prywatności, pierwotnie była stajnią Khamorthów i trybun żałował, że nie było tu Herkulesa, by przepuścił przez nią rzekę.

Chociaż pomieszczenie, które wybrał dla swoich ludzi, było schludniejsze od innych, zastał Helvis zajęta czyszczeniem. Najwyraźniej nie była zadowolona z pracy wykonanej przez legionistów.

— Witaj — powiedziała, dając mu całusa w policzek. — W czasie kampanii nie mam nic przeciwko brudowi, ale kiedy jesteśmy w koszarach, nie mogę go ścierpieć.

W innych okolicznościach te słowa sprawiłyby przyjemność Skaurusowi, który, gdy tylko miał czas, potrafił być nad wyraz wymagający. Ale w głosie Helvis brzmiało wyzwanie.

— Zostajemy tutaj, prawda? — naciskała.

Trybun miał ochotę zasnąć tam, gdzie siedział. Będąc tak bardzo zmęczony, nie chciał kłótni. Pojednawczo rozłożył ręce.

— Tak, na czas...

— W porządku — powiedziała Helvis tak nagle, że aż zamrugał. — Nie jestem ślepa: widzę, że obecnie opuszczenie Videssos byłoby szaleństwem.

Marek nieledwie zakrzyknął z ulgi. Miał nadzieję, że Helvis po paru latach życia z żołnierzem

nauczy się rozumieć, jak się rzeczy mają, ale nigdy nie śmiał w to tak do końca wierzyć.

Jednakże ona nie skończyła. Błękit jej oczu przywodził Skaurusowi na myśl stal, gdy podjęła:

— Tym razem niech tak będzie. Ale następnym zrobimy to, co trzeba.

Trybun nie miał najmniejszych wątpliwości, co ona przez to rozumie, ale był zadowolony, że już po wszystkim. Pomyślał, że w związku z końcem wojny domowej problem dezercji umarł śmiercią naturalną. Zdjął zbroję i zasnął w ciągu paru sekund.

Thorisin Gavras był samozwańczym Autokratozem od prawie roku. Po pokonaniu Ortaiasa Sphrantzesa nikt nie kwestionował jego roszczeń do tronu. Jednakże w myśl prawa Videssos do czasu koronacji pozostawał pretendentem.

Jak we wszystkich innych aspektach imperatorskiego życia, etykieta przewidywała ceremonię. Ledwo Gavras znalazł się w mieście, a już wzięli go w obroty szambelanowie; dzięki rozgardiaszowi panującemu w polityce Imperium, stali się prawdziwymi ekspertami w organizowaniu prawie nie zapowiedzianych koronacji. Thorisin chociaż raz nie sprzeczał się z nimi — usankcjonowanie go jako Imperatora było zbyt ważne, by podejmować zbędne ryzyko.

I dlatego Skaurus został wyrwany z łóżka dużo wcześniej, niżby sobie życzył, a następnie zmuszony do wysłuchania zarozumiałego eunucha, który udzielił mu pośpiesznych instrukcji dotyczących jego roli w zbliżającej się ceremonii. Później stanął na czele manipułu Rzymian zaraz za lektyką, która miała zanieść Thorisina z pałacu do Najwyższej Świątyni Phosa, gdzie Balsamon miał namaścić go i koronować na Imperatora Videssańczyków.

Thorisin, z kamiennym wyrazem twarzy, wyłonił się z Sali Dziewiętnastu Tapczanów i ruszył powoli obok zgromadzonych kontyngentów żołnierzy do lektyki. Zgodnie z obyczajem, procesja winna zacząć się przy Wielkim Dworze, ale ten budynek już był w rękach gromady rzemieślników, którzy pośpiesznie naprawiali poczynione poprzedniego dnia zniszczenia.

Jednakże pod wszelkimi innymi względami nowy Autokrator przestrzegał tradycji. Tego dnia zrezygnował z żołnierskiego przyodziewku na rzecz wspaniałego videssańskiego stroju Imperatora. Miał czerwone wysokie buty i farbowane na niebiesko obcisłe wełniane spodnie; wysadzany klejnotami pas ze złotych ogniw podtrzymywał błękitny z białą lamówką kilt. U pasa wisiała również wspaniała pochwa, ale Marek zauważył, że kryje ona zwyczajną szablę; skórę rękojeści znaczyły pociemniałe plamy potu. Tunika Gavrasy była szkarłatna, przetykana złotą nicią. Na nią narzucił pelerynę z białej wełny, spiętą przy szyi złotą fibulą. Głowę miał gołą.

Namdalajczycy, videssańscy żołnierze, videssańscy marynarze, Khatrishe, inni Videssańczycy w miarę jak Thorisin Gavras mijał kompanie, padali na kolana, a potem na brzuchy w akcie poddaństwa, uznając w nim swego pana. Był to obyczaj, do którego Marek — nie mogący zapomnieć o

republikańskim Rzymie — nadal nie potrafił się zastosować. On i jego ludzie skłonili się głęboko, ale nie upadli na twarz przed Imperatorem.

Na chwilę przez imperatorską fasadę wyjrzał Thorisin-człowiek.

— Suczy syn o sztywnym karku — mruknął kątem ust, tak cicho, że tylko trybun go usłyszał. Potem przeszedł dalej, by wreszcie usadowić się w złoconej błękitnej lektyce, która była używana jedynie w czasie koronacji.

Do jej niesienia został wyznaczony Mertikes Zigabenos i siedmiu jego ludzi. Na tę zaszczytną funkcję zasłużyli sobie przewrotem, który obalił Ortaiasa. Zigabenos — młody człowiek o pociągłej twarzy i brodzie krzaczastej na styl vaspurakański — zajmował miejsce z przodu po prawej stronie. Na plecach miał wielką, owalną tarczę o licu z brązu. Nie przypominała ona tych, których obecnie używali Videssańczycy do bitwy, ale Marek wiedział, jaką rolę ma ona wkrótce odegrać.

— Gotowi? — zapytał Gavras. Zigabenos skinął. — Zatem ruszamy — rozkazał Imperator.

Przed lektyką otworzono tuzin jaskrawych parasoli, będących dalszymi świadectwami — jak gdyby były one potrzebne — imperatorskiej godności. Ludzie Zigabenosa na znak swego dowódcy schylili się do drążków, potem wyprostowali się, unosząc Thorisina na swych ramionach. Wolnym marszowym krokiem podążyli za ludźmi niosącymi parasole i heroldem o silnych płucach przez pałacowe ogrody w kierunku placu Palamasa.

— Oto Thorisin Gavras, Autokrator Videssańczyków — ryknął herold do zgromadzonych tłumów. Mieszkańcy stolicy, tak samo jak dworscy urzędnicy, znali przypadającą im w koronacji rolę.

— Tyżeś najwyższym, Thorisinie! — odkrzyknęli. Był to tradycyjny okrzyk aprobaty dla nowego Imperatora, wywodzący się z liturgii Phosa i wymawiany w archaicznym videssańskim.

— Tyżeś najwyższym! Tyżeś najwyższym! — skandowali, gdy imperatorski orszak przemierzał plac. Marek był zaskoczony ich entuzjazmem. Z tego, co wiedział, mieszkańcy miasta z radością uczestniczyli w przedstawieniach wszelkiego rodzaju, ale prędzej stanęliby przed kołem tortur, niż przyznali, że są pod wrażeniem.

Kilka sekund później zrozumiał wszystko, gdy służby pałacowi zaczęli ciskać w tłum garście złotych i srebrnych monet. Trybun nie miał o tym pojęcia, ale Videssańczycy doskonale wiedzieli, do jakiej hojności mają prawo podczas zmiany Imperatorów.

— Hej, to prawdziwe złoto! Niech żyje Thorisin Gavras! — krzyknął ktoś w tłumie. Był tak zaskoczony jakością monet Thorisina, że nie baczył, iż jego zachowanie kłóci się z zasadami etykiety. Radosne okrzyki przybrały na sile. Ale Skaurus wiedział, że kopalnie vaspurakańskie, z których Thorisin wziął to złoto, teraz są w rękach Yezda. Zastanowił się, ile czasu trzeba, by pieniądz znowu stracił na wartości.

Jednakże nie był to czas na takie ponure rozmyślania; nie wtedy, gdy wokół grzmiały radosne okrzyki.

— Niech żyją Rzymianie! — usłyszał i ujrzał w przelocie Arsabera stojącego w grupie zamężnych kupców. Podejrzał, że co najmniej jeden z nich wróci do domu lżejszy o sakiewkę.

Rozradowana, gawiedź tłoczyła się również po obu stronach Ulicy Środkowej; w każdym oknie dwupiętrowego gmachu, zajętego przez urzędników, widniały po dwie czy trzy twarze.

— Patrz na tych wszystkich przeklętych gryzpiórków, jak zastanawiają się, czy Gavras da im na obiad — powiedział Gajusz Filipus. — Ha, mam nadzieję, że da.

Kilka przecznic dalej pochód skręcił na północ, w kierunku Najwyższej Świątyni Phosa. Złote kule na szczytach jej iglic błyszczały w porannym słońcu.

Wielki wewnętrzny dziedziniec Najwyższej Świątyni był, o ile to możliwe, jeszcze bardziej zatłoczony niż plac Palamasa. Kapłani i żołnierze tworzyli szpaler, powstrzymując tłum od wtargnięcia na szerokie schody świątyni.

Na ich szczycie, wcale nie pomniejszony przez ogrom wznoszącej się za nim budowli, stał Balsamon. Patriarcha był grubym, łysiejącym starcem o żartobliwym usposobieniu, ale Skaurusa nagle uderzyło to, jak wielka jest jego władza w Videssos. Ortaias Sphrantzes nie był pierwszym Imperatorem, do którego obalenia kapłan przykładał rękę, a Thorisin Gavras był — ...trzecim? piątym? — którego miał koronować.

Ale jego kolej jeszcze nie nadeszła. Mertikes Zigabenos i jego strażnicy przenieśli Gavrasa przez tłum, który ucichł nagle wiedząc, co dalej nastąpi. Cesarska lektyka, za którą podążały ceremonialnie kontyngenty, została wniesiona na schody. Żołnierze zatrzymali się dwa stopnie poniżej patriarchy i opuścili lektykę. Thorisin wstał i czekał, podczas gdy jego żołnierze ustawili się na niższych stopniach.

Zigabenos zdjął tarczę i położył ją, licem w górę, przed Imperatorem. Thorisin wszedł na nią; brząz wytrzymał ciężar jego ciała. Marek już maszerował ku niemu wraz z innymi komendantami jednostek: admirałem Elissaiosem Bouraphosem, Baanesem Onomagoulosem, Laonem Pakhymem, Utprandem synem Dagobera i Namdalajczykiem, którego trybun nie znał; wysokim, ponurym człowiekiem o jasnych, nieprzeniknionych oczach. Skaurus przypuszczał, że musi to być wielki hrabia Drax, obecny tutaj być może po to, by pokazać, że mimo zmiany władzy jego najemnicy nadal pragną służyć Imperium.

Jednakże raz jeszcze to Zigabenos miał pierwszeństwo. Wyjął zza pasa złoty diadem, który zaoferował Thorisinowi Gavrasowi. Zgodnie z obyczajem, Thorisin odmówił. Zigabenos zaproponował go po raz drugi i znów spotkał się z odmową. Gdy wyciągnął go po raz trzeci, Gavras na znak zgody schylił głowę. Zigabenos założył mu diadem i głośno oznajmił:

— Thorisinie Gavrasie, nadaję ci tytuł Autokratora! Był to znak, na który czekali Skaurus i inni oficerowie

Gavrasa. Razem schylili się i podnieśli na wysokość ramion ceremonialną tarczę wraz ze

stojącym na niej Imperatorem. Oczekujący dotychczas w milczeniu tłum ryknął:

— Tyżeś najwyższym, Thorisinie! Tyżeś najwyższym! Chroma noga Baanesa Onomagoulosa prawie odmówiła

mu posłuszeństwa, gdy oficerowie stawiali Thorisina na ziemi, ale Drax i Marek, którzy stali po obu stronach Videssańczyka, przejęli ciężar tak sprawnie, że tarcza ledwo się zachybotła.

— Spokojnie, stary. Już po wszystkim — powiedział Gavras, schodząc z tarczy. Onomagoulos wyszeptał słowa przeprosin. Skaurus był zadowolony widząc, że tych dwóch, zazwyczaj drażliwych we własnym towarzystwie, zachowuje się teraz tak uprzejmie. Wyglądało to na dobry omen.

Gdy Gavras stanął na stopniu, zszedł do niego Balsamon, odziany w szaty niemal równie wspaniałe jak imperatorskie. Patriarcha nie dokonał aktu poddaństwa; w obrębie świątyni jego władza ustępowała jedynie władzy Autokratora. Skłonił się nisko przed Thorisinem, a szare kosmyki brody opadły na koronę, którą trzymał na błękitnej jedwabnej poduszce.

Gdy patriarcha się wyprostował, jego oczy, niezwykle żywe pod krzaczastymi, nadal czarnymi brwiami, skierowały się na towarzyszy Thorisina. Przez chwilę na wpół rozbawione, na wpół ironiczne spojrzenie spoczywało na Skaurusie. Trybun potrząsnął głową — czyżby Balsamon do niego mrugnął? Już kiedyś miał okazję zastanawiać się nad tym. Było to w zeszłym roku w Świątyni. Z pewnością nie, a jednak...

Znów, jak poprzednio, nie był pewien. Nim zdołał zebrać myśli, Balsamon patrzył już gdzieś indziej. Patriarcha wyjął małą srebrną flaszeczkę.

— Kieszenie to nie najgorszy z wynalazków Phosa — zauważył. Być może słyszeli go żołnierze w najwyższym szeregu; ci w drugim na pewno nie.

Potem na dziedzińcu zabrzmiał jego piskliwy tenor. Niedaleko stał młodszy kapłan, którego zadaniem było powtarzanie słów patriarchy, ale okazało się, że nie jest to konieczne.

— Pochyl głowę — polecił Gavrasowi Balsamon, i Autokrata Videssańczyków posłuchał.

Patriarcha odkorkował flaszeczkę i wylał jej zawartość na głowę Thorisina. Olej lśnił złociście w porannym słońcu; Skaurus wychwycił słodki, pizmowy zapach mirry i trochę bardziej gorzką, ale przyjemną woń aloesu.

— Jak światło Phosa spływa na nas wszystkich — zaczął Balsamon — tak może jego błogosławieństwo spłyne na ciebie wraz z tym olejem.

— Niech tak się stanie — odpowiedział poważnie Thorisin.

Balsamon, nadal trzymając koronę w lewej dłoni, wtarł olej w głowę Thorisina. Zrobiwszy to, odmówił credo, a zebrani powtarzali jego słowa:

— Błogosławimy cię, Phosie. Panie wielki i dobry, który chronisz nas i strzeżesz w swojej łasce, i błagamy, by w oczach twoich wielki sprawdzian życia wypadł na naszą korzyść.

— Amen — zakończył tłum.

Marek usłyszał, jak Namdalajczycy dodają własne słowa do videssańskiego wyznania wiary:

— Na co stawiamy nasze własne dusze. — Utprand wypowiedział dodatek zdecydowanie, ale Drax, stojący bliżej, milczał. Zdziwiony Skaurus obejrzał się — czyżby wielki hrabia przyjął obyczaje Imperium? Zobaczył, że usta Draxa poruszają się bezgłośnie, wypowiadając namdalajską klauzulę, i zastanowił się, czy przyczyną tej dyskrecji jest kurtuazja, czy też myślenie o własnej korzyści.

Na szczęście chóralne „Amen” było dość głośne, by zagłuszyć słowa herezji. Tego by jeszcze brakowało, by koronacja została przerwana przez religijne zamieszki — pomyślał Marek.

Balsamon ujął oburącz koronę, niską złotą kopułę wysadzaną perłami, szafirami i rubinami, i osadził ją mocno na schylonej głowie Thorisina Gavrasa. Tłum zgromadzony poniżej westchnął. Dokonało się; nowy Autokrator władał Videssos. Pomruk ucichł szybko, bowiem tłum czekał na słowa patriarchy.

Balsamon na chwilę pogрузzył się w zadumie, po czym przemówił:

— No cóż, przyjaciele, zostaliśmy wyprowadzeni z błędu, choć nie bez bólu. Tron to co prawda tylko kilka desek ozdobionych złotem i obitych aksamitem, ale mówi się, że dzięki magii subtelniejszej od tej, jaką parają się w Akademii, uszlachetnia on fundamenty, na których spoczywa. Wicie, że posiadanie tronu na własność zawsze uważałem za bzdurę... —jedna krzaczasta brew kapłana wzniosła się na tyle, by słuchacze zrozumieli, że ostatek uwagi nie mają traktować zbyt poważnie — ...ale czasami trzeba dokonać wyboru nie między złym a dobrym, ale raczej między złym a gorszym. Bez Autokratora zginęlibyśmy niczym ciało bez głowy. — Marek pomyślał o końcu Mavrikiosa i zadrżał. Potem zastanowił się głębiej nad słowami Balsamona. Pochodząc z republikańskiego Rzymu, podchodził do jego stwierdzenia z dystansem, ale po chwili doszedł do wniosku, że Videssos było Imperium tak długo, iż prawdopodobnie ta przepowiednia okazałaby się prawdziwa.

Balsamon kontynuował:

— Wstąpieniu nowego cesarza na tron zawsze towarzyszy nadzieja, bez względu na to, jak nieodpowiedni może się on wydawać, doradcy zaś nowego monarchy mają mu służyć niczym mózg ludzkiej twarzy, która w przeciwnym wypadku byłaby pusta i pozbawiona wyrazu.

Ktoś krzyknął:

— Phos świadkiem, że Ortaias nie ma własnego rozumu! — co spowodowało wybuch gromkiego śmiechu. Marek przyłączył się do ogólnej wesołości, ale zarazem zdał sobie sprawę, jak świetną linię obrał Balsamon, próbując usprawiedliwić własne poczynania przed tłumem i, co ważniejsze, przed Thorisinem Gavrasem.

Partriarcha powrócił do swego porównania.

— Ale rak zżerał mózg poprzedniego cesarza, rak, którego naturę poznałem dość późno, ale nie

za późno. Jak widzicie, zdołałem naprawić błąd. — Skłonił się nisko raz jeszcze. Marek usłyszał jego sceniczny szept skierowany do Gavrasa: — Teraz twoja kolej.

Imperator skinął i spojrzał na tłum.

— Mimo swego wygadania, Ortaias Sphrantzes wie o wojnie niewiele więcej ponad to, jak od niej uciekać, a na temat władzy tylko tyle, jak ją wykradać pod nieobecność prawowitego Imperatora. Po pięciu latach jego rządów uznalibyście Strobilosa za wzór cnót — o ile ci cholerni Yezda wcześniej nie wzięliby miasta, co jest dość prawdopodobne.

Thorisin nie był wytrawnym retorykiem; jak Mavrikios, posługiwał się stylem bezpośrednim, wziętym wprost z pola bitwy. Dla wyrafinowanych słuchaczy stolicy stanowiło to miłą odmianę.

— Niewiele można obiecać — podjął. — Jesteśmy w bagnie, a ja zrobię co w mojej mocy, by wyciągnąć nas z niego w jednym kawałku. Powiem jeszcze jedno; jak Phos dopomoże, nie będziecie przeklinać mojej twarzy za każdym razem, gdy zobaczycie ją na sztuce złota.

Ta uwaga wywołała okrzyki niekłamane zadowolenia; fałszowany pieniądz Ortaiasa nie zjednał mu miłości. Jednakże Skaurus nadal zastanawiał się, w jaki sposób Thorisin zamierza wywiązać się z tej obietnicy. Skoro videssańskim gryzipiórkom z całym ich biurokratycznym kuglarstwem nie udało się utrzymać wartości imperialnego pieniądza, jak zdoła osiągnąć to żołnierz?

— I ostatnia sprawa — powiedział Imperator. — Wiem, że miasto poparło Ortaiasa z braku kogoś lepszego, a potem z konieczności, ponieważ znalazło się w ręku jego żołnierzy. Było, minęło; nie obchodzi mnie, kto kogo popierał albo kto co mówił o mnie do dnia wczorajszego, więc nie bójcie się. — Nad tłumem przepłynął niski pomruk aprobaty i ulgi. Marek słyszał o informatorach, którzy pienili się w Rzymie w czasie wojny domowej między Marianami a Sullą, i o przeprowadzanych przez obie strony czystkach. Pomyślał, że zdrowy rozsądek przynosi Gavrasowi zaszczyt, i czekał na ostrzeżenie Imperatora dla przyszłych spiskowców.

Jednakże Thorisin rzekł tylko:

— Nie usłyszycie ode mnie niczego więcej. Powiedziałem, że to ostatnia sprawa, więc tak będzie. Jeżeli zależy wam na pustych słowach, nie trzeba było obalać Ortaiasa.

Gajusz Filipus, obserwując powoli rozpraszający się tłum, rzekł z niezadowoleniem:

— Powinien był tchnąć w nich strach przed karą Phosa.

Ale trybun zaczynał rozumieć Videssańczyków lepiej od swego zastępcy i orientował się, że zbrojne szeregi żołnierzy na schodach Najwyższej Świątyni są silniejszym argumentem przeciwko konspiracji niż obojętnie jakie słowa. Otwarta pogroźka ze strony nowego Autokratora wywołałaby jedynie lekceważenie. Gavras był dość mądry, by to przewidzieć. Skaurus pomyślał, że nowy Imperator jest bardziej subtelny, niż się wydawało, i był z tego raczej zadowolony.

— Co mamy z nim zrobić? — Głos, bezlitosny i trochę piskliwy z gniewu, należał do Komitty Rhangawe. Odpowiedziała na własne pytanie: — Powinniśmy dać mu taką nauczkę, by nikt nie śmiał buntować się przez następne pięćdziesiąt lat. Wypalić mu oczy gorącym żelazem, obciąć uszy, a potem ręce i nogi, i spalić to, co pozostanie, na placu Wołu.

Thorsin Gavras, wciąż jeszcze w ceremonialnym stroju, zagwizdał, w ten sposób dając wyraz nie pozbawionemu przerażenia szacunkowi dla dzikości swej kochanki.

— No cóż, Ortaiasie, jak ci się podoba taki pomysł? Ostatecznie ciebie dotyczyłby najbardziej. — Jego chichot nie zabrzmiał przyjemnie w uszach pokonanego rywala.

Ortaias miał ręce związane za plecami; żołnierze Zigabenosa stali po obu stronach kanapy, na której siedział w bibliotece patriarchy. Wyglądał tak, że gdyby tylko mógł, z przyjemnością by pod nią się schował. Według Skaurusa młody arystokrata nigdy nie był sympatyczną postacią: wysoki, chudy i niezgrabny, z kępką zamiast brody. W tej chwili, odziany tylko w cienką płócienną koszulę, z włosami w nieładzie, twarzą zaś brudną i przerażoną, wydawał się trybunowi figurą nie tyle podstępą czy budzącą nienawiść, ile raczej żalostną.

Ortaias odpowiedział drżącym głosem:

— Gdybym to ja wygrał, nie potraktowałbym się w taki sposób.

— Nie, prawdopodobnie nie — przyznał Gavras. — Nie miałbyś odwagi. Bardziej by ci odpowiadała bezpieczna, cicha trucizna.

Wokół ciężkiego stołu z wiązu, zajmującego większą część biblioteki, przebiegł szmer zgody. Dobył się on z ust Komitty, Onomagoulosa i Elissaios Bouraphosa, Draxa i Utpranda syna Dagobera, i Mertikesa Zigabenosa. Marek nie mógłby zaprzeczyć, że Thorsin prawdopodobnie powiedział prawdę. Nie mógł jednakże nie zauważyć również milczenia patriarchy i, co być może było bardziej zaskakujące, Alypii Gavry.

Księżniczka w ciemnej tunice i ciemnozielonej spódnicy, z twarzą bez śladu makijażu, raz jeszcze wyglądała tak, jak Skaurus pamiętał z przeszłości: na osobę zimną, kompetentną, prawie odpychającą. Był zadowolony, gdy zobaczył ją na radzie; był to widoczny znak, że mimo jej obaw Thorsin nadal ma do niej zaufanie. Ale Alypia wbiła oczy w stół i nawet nie spojrzała na Ortaiasa Sphrantzesa. Srebrny kubek z winem w jej dłoni drżał leciutko.

Balsamon odchylił się na krześle tak, że stanęło na dwóch nogach, i sięgnął po tom z na wpół pustej półki. Skaurus wiedział, że w przeciwieństwie do biblioteki jego komnata audiencyjna jest zawalona książkami do tego stopnia, że prawie uniemożliwia to spełnienie jej funkcji. Ale przecież patriarchę cieszyło zaskakiwanie i rozwiewanie oczekiwań — tak w drobnych, jak i wielkich sprawach.

Tym samym trybun nie był zaskoczony, gdy Balsamon bez otwierania odłożył cienką książkę w skórzanej oprawie na kolana. Balsamon powiedział do Komitty:

— Wiesz, moja droga, naśladowanie Yezda nie jest najlepszym sposobem na ich pokonanie.

Wyrzut był uprzejmy, ale kochanka cesarza nastroszył;! się. Parsknęła:

— A co oni mają do rzeczy? Arystokrata rozprawia się ze swymi wrogami tak, żeby już nigdy nie mogli mu zaszkodzić. — Podniosła głos. — 1 prawdziwy arystokrata nie zwraca uwagi na takich doradców-niedołęgów jak ty, kapłanie, bo przecież, skoro twój ojciec był tylko folusznikiem, nie należy spodziewać się, że będziesz wiedział takie rzeczy.

— Komitto, zechciej... — zaczął Thorisin, trochę za późno, by przerwać swej porywczej metresie. Onomagoulos i Zigabenos gapili się w konsternacji na siebie; nawet Drax i Utprand, dla których Balsamon nie był nikim więcej, jak heretykiem, nie byli przyzwyczajeni do urągania kościelnemu dostojnikowi.

Ale umysł patriarchy był bronią ostrzejszą od wściekłości.

— Tak, to prawda, że wyrosłem w smrodzie szczyń, ale wszak to dzięki nim mamy czyste, wybielone ubrania. Teraz... — Zmarszczył nos i zerknął z ukosa na Komittę.

Ona parsknęła z wściekłością, ale Gavras przerwał jej.

— Cicho, masz, na co zasłużyłaś. — Komitta pogrzyżyła się w sztywnym, buntowniczym milczeniu. Nie po raz pierwszy Marek podziwiał Imperatora za sposób, w jaki ukrócał jej cugle — w każdym razie czasami. Thorisin mówił dalej: — I tak nie mam zamiaru zrobić tego, co powiedziałaś. Powiem ci szczerze, że nie ścierpiałbym, gdyby coś takiego spotkało tego zasmarkanego łajdaczyne.

— Zatem od tej pory, skoro nie masz zamiaru słuchać moich rad, nie każ mi marnować czasu na tego typu spotkania. — Komitta wstała, pełna gniewnego wdzięku, i godnie niczym jednoosobowa procesja wymaszerowała z pokoju.

Gavras odwrócił się do Marka.

— No cóż, stary, co powiesz? Czasami odnoszę wrażenie, że trzeba wyciągać z ciebie myśli jak zęby. Czy mam wysłać go do Kynegionu i zamknąć sprawę? — Kynegion, mały park w pobliżu Największej Świątyni, był również głównym miejscem straceń w Videssos.

W Rzymie kara śmierci była wyrokiem ferowanym nadzwyczaj rzadko, ale — pomyślał Skaurus — została wymierzona Katylinie, który zamierzał przeprowadzić zamach stanu. Odpowiedział powoli:

— Tak, chyba tak, jeżeli może to być tak przeprowadzone, by wszystkie gryziپیórki nie obróciły się przeciwko tobie.

— Pieprzyć ich — warknął Bouraphos. — Są dobrzy tylko w mówieniu, dlaczego człowiek nie może dostać złota na konieczne naprawy.

— Tak, to w większości niewiele warci ludzie — powiedział Baanes Onomagoulos. — Ściąć go i posiać strach w sercach ich wszystkich.

Ale Thorisin, pocierając w zadumie szczękę, przyglądał się trybunowi z niechętnym podziwem w oczach.

— Masz zwyczaj wytykania nieprzyjemnych faktów, prawda? Jestem za bardzo żołnierzem, by brać biurokratów na poważnie, ale bezsprzecznie posiadają oni władzę; zbyt wielką, na Phosa.

— Kto mówi, że bezsprzecznie? — burknął Onomagoulos. Wskazał pogardliwie kciukiem na Ortaiasa Sphrantzesa. — Patrz na ten wyrwany z korzeniami chwast. Oto kogo te urzędasy chciały mieć za przywódcę.

— A co z Vardanesem? — zapytał Zigabenos, który przebywał w mieście podczas panowania Ortaiasa i rządów jego stryja.

Onomagoulos zamrugął, ale powiedział:

— No cóż, co z nim? Jeszcze jeden tchórz. Podsuń biurokracie pod nos kawałek stali, a zrobisz z nim, co zechcesz.

— I to oczywiście dzięki temu na imperialnym tronie zasiadali biurokraci bądź ludzie przez nich popierani przez czterdzieści pięć z ostatnich pięćdziesięciu jeden lat — powiedziała Alypia Gavra, a jej opanowany ton był bardziej kąśliwy niż jawne szyderstwo. — To dlatego w tym czasie biurokraci i ich najemcy stłumili... ile? dwa tuziny? trzy? ...powstań zorganizowanych przez prowincjonalną szlachtę, i bez większych problemów sprowadzili prawie wszystkich videssańskich wieśniaków do poziomu gnębionych podatkami niewolników. Czyż te przykłady nie świadczą, że odnoszą zwycięstwa bez najmniejszego wysiłku?

Onomagoulos zarumienił się aż po łysinę. Otworzył usta i zamknął je bez słowa. Thorisina pochwycił nagły atak kaszlu. Ortaias Sphrantzes, nie mając nic do stracenia, wybuchnął głośnym śmiechem na widok kłócących się między sobą ludzi, którzy mieli decydować o jego losie.

Imperator, nie spuszczać oczu z bratanicy, zapytał:

— Co zatem według ciebie mamy zrobić z tym łotrem?

Księżniczka po raz pierwszy od początku spotkania zwróciła oczy na człowieka, którego żoną, przynajmniej z nazwy, była. Równie dobrze mogłaby patrzeć na polec wołowiny. W końcu powiedziała:

— Nie sądzę, że można by skazać go na śmierć bez wywoływania wrogości, której lepiej nie wzbudzać. Ze swej strony nie czuję palącej potrzeby zobaczenia go martwym. W pewien sposób był tak samo więźniem swego stryja jak ja, i wcale nie w większym stopniu mógł decydować o swym przeznaczeniu czy poczynaniach.

Ortaias, ze swego miejsca na kanapie, rzekł cicho:

— Dziękuję, Alypio — i, co było dlań nietypowe, znów zamilkł. Księżniczka nie okazała, że usłyszała jego słowa.

Baanos Onomagoulos, ciągle zdenerwowany jej uszczypliwym sarkazmem, dostrzegł szansę na

zemstę. Powiedział:

— Thorisinie, to oczywiste, że ona będzie się za nim opowiadać. I dlaczegoż miałaby tego nie robić? Ostatecznie są mężem i żoną, a jak wiadomo wspólne łoże to wspólne troski.

— Zaczekaj chwilę... — zaczął zapalczywie Skaurus, ale Alypia nie potrzebowała obrońcy. Poruszając się z lodowatym wdziękiem, który prezentowała przy większości okazji, wstała i chlusnęła winem w twarz Onomagoulosa. Mężczyzna zaniósł się kaszlem, klnąc i pocierając piekące oczy. Gęste czerwone wino ściekało z jego szpiczastej brody na haftowaną jedwabną tunikę, która przylgnęła mu do piersi.

Zaczął szukać rękojeści miecza, ale zmienił zdanie jeszcze nim Elissaios Bouraphos złapał go za nadgarstek. Spod już podpuchniętych powiek spojrzął na Thorisina Gavrasa, ale na twarzy Imperatora nie znalazł niczego, co mogłoby go zadowolić.

— Nic tu po mnie — mruknął, wstał i pokuśtykał do drzwi; jego chromy chód był niezamierzoną parodią zwinnego wyjścia Komitty Rhangawe.

— Może cię zainteresuje — powiedział Balsamon — że zeszłej nocy na usilne naleganie księżniczki ogłosiłem unieważnienie małżeństwa, o ile w ogóle można tak nazwać ten związek, między Sphrantzesem a Alypia Gavrą. Może również zainteresuje cię to, że kapłan, który udzielił ślubu, przebywa w klasztorze na południowym brzegu rzeki Astris i zesłałem go na to wygnanie w dniu, w którym dowiedziałem się o ślubie, nie ubiegłej nocy.

Ale Onomagoulos tylko warknął:

— Ba! — i zatrzaskał drzwi za sobą.

Nie większa od dłoni figurynka z kości słoniowej zachwiała się i spadła z półki na podłogę. Balsamon, bardziej rozdrażniony niż wcześniej w czasie spotkania, zerwał się z krzykiem. Sapnął, schylił się, podniósł statuetkę i obejrzał ją niespokojnie.

— Dzięki niech będą Phosowi, nic się jej nie stało — powiedział, odstawiając posążek na półkę. Marek wspomniał jego namiętność do wyrobów z kości słoniowej z Makuranu; królestwa, które było zachodnim sąsiadem i rywalem Videssos, dopóki Yezda nie ruszyli ze stepów i nie podbili go pokolenie wcześniej. Patriarcha poskarżył się półgłosem, mówiąc bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego: — Od czasu odejścia Gennadiosa wszystko się wali.

Skaurus wiedział, że ponury kapłan był tyleż towarzyszem, co psem łańcuchowym Balsamona, i nierzadko zdarzało się, że patriarcha czerpał prawdziwie świecką radość z dokuczania mu. Teraz, po jego odejściu, wydawało się, że Balsamonowi go brakuje.

— Co się z nim stało? — zapytał trybun bez szczególnego zainteresowania.

— Co? Przecież mówiłem — odparł drażliwym tonem Balsamon. — Spędza czas nad Astris, modląc się, by Khamorthom nie wpadł do głowy pomysł przepłynięcia na drugą stronę i najechania tego kurnika.

— Och — mruknął Marek. Patriarcha nie nazwał po imieniu kapłana, który udzielił ślubu Aypii i Ortaiasowi, ale trybun nie był zaskoczony, że chodziło o Gennadiosa. Był on człowiekiem Strobilosa Sphrantzesa, poprzednika Mavrikiosa, i bez wątpienia pozostawał wierny klanowi. Skaurus pomyślał, że taka lojalność byłaby chwalebna w lepszej sprawie; nie odczuwał zbytniego żalu z powodu wygnania kapłana.

— Czy ta pusta gadanina nigdy się nie skończy? — zapytał Thorisin ze źle ukrywaną niecierpliwością.

— Pusta gadanina? — zawołał Balsamon z udawanym oburzeniem. — Bzdura! W pół godziny będzie po wszystkim. Ty możesz zrobić tak samo z biurokratami!

— Hmm — mruknął cesarz. Wyrwał włos z brody i zrobił zeza, by przyjrzeć mu się z bliska. Włos był biały. Odrzucił go. Odwracając się do Aypii, zapytał: — Mówisz, że nie chcesz jego głowy?

— Nie, naprawdę — odparła. — Jest głupią marionetką, tchórzliwą i okropnie nudną. — Przez chwilę na twarzy Ortaiasa Sphrantzesa oburzenie walczyło ze strachem. — Ale, stryju, gdybyś skazywał na śmierć każdego, kto pasuje do tego opisu, wkrótce zabrakłoby ci poddanych. Gdyby tu był Vardanes... — Jej głos pozornie nie uległ zmianie, lecz ledwo uchwytna lodowata nuta sprawiła, że strach go było słuchać.

— Tak. — Prawa ręka Thorisina zwinęła się w pięść. — No cóż — podjął — przypuszczam, że darujemy życie temu szubrawcowi. — Ortaias, ożywiony nadzieją, pochylił się gwałtownie; strażnicy pchnęli go z powrotem na oparcie kanapy. Imperator zignorował go, warcząc: — Skotos zaciągnąłby mnie do piekła, gdybym tak po prostu puścił go wolno. Zacząłby spiskować, zanim znikłby mu pręgi po więzach. Musi zrozumieć, i ludzie muszą zrozumieć, jakim był skończonym idiotą, i dlatego zostanie ukarany.

— Oczywiście — Aypia skinęła; była co najmniej równie dobrym politykiem jak jej stryj. — Jak ci się podoba coś takiego...?

Prawie wszystkie jednostki, które towarzyszyły Thorisinowi w czasie marszu koronacyjnego, zostały odesłane do koszar. W czasie gdy Imperator i jego doradcy debatowali nad losem Ortaiasa Sphrantzesa, tylko parę oddziałów videssańskiej straży przybocznej czekało na Thorisina przed rezydencją patriarchy. Razem z nimi stali ludzie noszący parasole, którzy wchodzili w skład obowi-
ązkowej publicznej świty Autokratora.

Ulice były prawie puste. Nieliczni Videssańczycy stali i gapili się na pomniejszoną cesarską eskortę, gdy wracała ona w kierunku pałaców, ale większość mieszkańców miasta już znalazła sobie inną rozrywkę.

Z tego powodu Marek z daleka zauważył przepychającego się ku nim wysokiego mężczyznę, ale nie poświęcił mu uwagi — po prostu jeszcze jeden Videssańczyk o chodzie marynarza. W wielkim porcie, jakim była stolica, coś takiego raczej nie przyciągało uwagi.

Nawet kiedy człowiek ten pomachał do Thorisina Gavrasa, Skaurus zignorował go. Tak wiele osób robiło to samo na widok Imperatora, że trybun przestał na to reagować. Dopiero kiedy mężczyzna krzyknął:

— Witam Waszą Imperatorską Mość! — Skaurus poczuł lodowate ciarki na krzyżu. Zgrzytliwy bas, lepiej pasujący do szumu wiatru i fal niż do miasta, mógł należeć tylko do Tarona Leimmokheira.

Trybun spotkał drungariosa z floty Ortaiasa zaledwie dwukrotnie, raz w nocy, na plaży i drugi raz, gdy był ścigany przez jego galerę. Ani w jednym, ani w drugim przypadku nie miał okazji zobaczenia rysów Leimmokheira, ale jak teraz stwierdził, nie były też one wcale godne uwagi: może czterdziestopięcioletni admirał miał surową twarz, pobrużdżoną i spaloną przez słońce, a włosy i brodę zbyt posiwiałe, by można było poznać, na ile zostały wybielone przez słońce.

Marek miał zatem wymówkę, by nie rozpoznać Leimmokheira, lecz nie można było powiedzieć tego samego o Thorisinie Gavrasie, który za panowania swego brata miał do czynienia z drungariosem prawie codziennie. Mimo wszystko Thorisin był mniej zaskoczony pojawieniem się Leimmokheira niż trybun. Zatrzymał się i wytrzeszczył oczy jakby na widok ducha.

Dzięki temu admirał precyzyjnie się między strażnikami.

— Gratulacje, Gavrasie! Dobra robota! — zawołał i upadł na kolana, a potem na brzuch na środku ulicy.

Leżał w akcie poddaństwa, gdy Thorisin w końcu odzyskał głos.

— Taka niewiarygodna bezczelność dosłownie zasługuje na nagrodę — wyszeptał. Potem z nagłą wściekłością ryknął na całe gardło: — Straż! Pojmać mi tego zdradzieckiego łotra!

— Co? Co to jest? Zabierać ze mnie łapy! — Leimmokheir chciał walczyć z żołnierzami, ale było ich zbyt wielu, a poza tym trudno wymyślić gorszą pozycję do obrony niż leżenie na brzuchu. W ciągu paru sekund admirał został poderwany na nogi i unieruchomiony, z wykręconymi do tyłu rękami. Prawie dokładnie tak — pomyślał mimochodem Marek — jak Vardanes Sphrantzes trzymał Alypię.

Drungarios spiorunował wzrokiem Thorisina Gavrasa.

— O co chodzi?! — zawołał, ciągle próbując się uwolnić. — Czy w taki sposób dziękujesz każdemu, kto nie pada do twych kolan i nie oddaje ci czci? Jeżeli tak, to co robi obok ciebie ten wąż, Namdalajczyk? Przecież on sprzedałby własną matkę za dwa miedziaki, gdyby tylko myślał, że jest tyle warta.

Hrabia Drax warknął i zrobił krok w jego stronę, ale Thorisin zatrzymał go ruchem ręki.

— Jesteś doskonałym partnerem do rozmowy o węzach, Leimmokheirze, wraz ze swoją perfidią i wynajętymi przez siebie mordercami.

Krzaczaste brwi Tarona Leimmokheira — prawie identyczne jak Balsamona — wzniosły się do połowy czoła, niczym dwie szare gąsienice — admirał odrzucił w tył głowę i roześmiał się.

— Nie wiem, co ostatnio pijasz, chłopcze. — Gavras poczerwieniał niebezpiecznie, lecz Leimmokheir nie zwrócił na to uwagi. — Daj mi butelkę, jeżeli jakaś ci została. Nie mam pojęcia, co w niej jest, ale to coś sprawia, że człowiek widzi dziwne rzeczy. — Mówił jak do równego sobie, kompletnie ignorując trzymających go strażników.

Skaurus przypomniał sobie, co pomyślał wówczas, gdy po raz pierwszy usłyszał głos drungariosa — że nie ma w nim podstępu. Teraz to pierwsze wrażenie powróciło i było równie silne. Jednakże dwa lata życia w Imperium nauczyły go, że podstęp czai się wszędzie, zbyt często umiejętnie przebrany za szczerłość.

I tak pojmował to Imperator. Jego gniew był tym gorętszy, gdyż został zdradzony przez człowieka, którego uważał za uczciwego. Powiedział:

— Możesz kłamać, póki nie padniesz, Leimmokheirze, ale robisz z siebie głupca, próbując. Nie ma żadnego dowodu świadczącego na twoją korzyść, by prowadzić jakąkolwiek dyskusję. Byłem tam, jak wiesz, i widziałem twoich wynajętych zabójców na własne oczy...

— Toś widział więcej, niż ja — odpalił Leimmokheir, ale Gavras ruszył jak burza.

— Tak, i zabiłem paru z nich. — Imperator zwrócił się do strażników. — Zabierzcie tego świętego, prawomyślnego jegomościa do więzienia. Zapewnimy mu miłe, spokojne miejsce, w którym będzie mógł przemyśleć pewne rzeczy, dopóki nie zdecyduje, co z nim zrobić. W drogę, precz z moich oczu. — Żołnierze trzymali drungariosa, nie mogli więc zasałutować, ale skinęli głowami i posłusznie zabrali admirała.

Zdawało się, że dopiero wtedy Leimmokheir zrozumiał, iż nie padł ofiarą okrutnego żartu.

— Gavrasie, ty przeklęty durniu, na lodowate piekło Skotosa, nie mam pojęcia, o co mnie posądzasz, ale ja tego nie zrobiłem! Uważajcie, niezguły! — krzyknął do żołnierzy, którzy powlekli go przez kałużę. Jego protesty ścichły w oddali.

Realizacja zamierzeń dotyczących Ortaiasa Sphrantzesa była przewidywana na dwa dni później, ale z powodu ulewnego deszczu termin został przełożony. Następnego dnia znów padało, i trzeciego także. Obserwując gnane z północy brudnoszare chmury, Skaurus zdał sobie sprawę, że są one tylko pierwszym zwiastunem długiej fali deszczów. Gdzie podział się rok? — zapytał się w myślach; na to pytanie nigdy nie było odpowiedzi.

Wreszcie pogoda poprawiła się. Północny wiatr nadal niósł wilgoć i zimno, ale słońce świeciło

jasno; odbijało się oslepiająco od nadal mokrych murów i przemieniało ostatnie krople wody w tęczę. I chociaż nie miało dość czasu, by wysuszyć wszystkie siedzenia w olbrzymim videssańskim amfiteatrze, ludzie nie uskarżali się. W porównaniu z widowiskiem, na jakie czekali, mokry tyłek był mniejszą niewygodą.

— Ale tłum! — powiedział Viridoviks, a jego oczy wędrowały z miejsca zajmowanego przez legionistów w górę boków wielkiej wapiennej czary. — Ci biedni omadhaunowie w ostatnim rzędzie są tak daleko, że dopiero w przyszłym tygodniu zobaczą, co tu się dzisiaj będzie działo.

— Jeszcze jedna celtycka bzdura — parsknął Gajusz Filipus. — Ale gwarantuję ci, że nie będziemy dla nich więksi od pluskiew. — Omiótł spojrzeniem tłumy. — Bezwartościowi, większość z nich, jak te tłuściochy w domu... — miał na myśli Rzym i Marek skrzywił się tęsknie — ...które przychodzą w święta obejrzyć, jak zabijają się gladiatorzy.

Skaurus zgodził się z tym stwierdzeniem; pomruk unoszących się nad trybunami rozmów był jakby przesycony okrucieństwem, a na twarzach ludzi siedzących w pierwszych rzędach widniała aż nazbyt wyraźna lisia pożądlivość.

Trybun dojrzał Gorgidasa w kontyngencie cudzoziemskich posłów, którzy siedzieli nieco niżej. Grek, mający historyczne ambicje, chciał spojrzeć na dzień świętowania z mniejszego dystansu i wolał towarzystwo ambasadorów, by nie rozpoznano w nim legionisty. Słuchał jakiejś opowieści Arigha syna Arghuna, i kreślił notatki na trzyczęściowej woskowej tabliczce. Dwie dalsze wisiały mu u pasa.

Taso Vones, ambasador z Khatrish, pomachał radośnie do trybuna, a ten w odpowiedzi uśmiechnął się szeroko. Lubił tego małego Khatrishę, którego bystry, żartobliwy umysł zadawał kłam jego mysiej powierzchowności.

W amfiteatrze rozbrzmiały spizowe dźwięki rogów. Pełen oczekiwania szmer tłumu przybrał na sile. Poprzedzany przez świtę z parasolami, na arenę wszedł Thorisin Gavras. Rozległy się brawa i okrzyki, gdy pokonywał tuzin stopni wiodących na trybunę, ale wypadły one nikło w porównaniu z ogłuszającym tumultem, jaki Skaurusowi dane było usłyszeć w Amfiteatrze przy innych okazjach. No, ale ostatecznie to nie Imperatora mieli oglądać.

Każda jednostka żołnierzy zaprezentowała broń, gdy Gavras przechodził obok; na wyszczekaną komendę Gajusza Filipusa Rzymianie wysunęli przed siebie na długość ramienia swe *pila*. Gavras skinął lekko. On i starszy centurion, obaj będący żołnierzami przez całe życie, rozumieli się doskonale.

W przeciwieństwie do biurokratów, których Thorisin mijał w drodze do tronu. Wyglądali na zdenerwowanych, gdy kłaniali się swemu nowemu władcy; Goudeles, na przykład, wydawał się blady w szacie z ciemnoniebieskiego jedwabiu. Ale Gavras poświęcił im nie więcej uwagi niż mijanym po drodze i liczącym sobie setki lat pomnikom z brązu i marmuru — niektórym malowa-

nym, innym nie — statuom wykładanym złotem i kością słoniową, a nawet obeliskowi ze złoczonego granitu, który dawno temu został złupiony w Makuranie.

Imperator ożywił się raz jeszcze, gdy podszedł do cudzoziemskich dygnitarzy. Zatrzymał się na chwilę, by powiedzieć coś Gawtruzowi z Thatagush; przysadzisty, smagły poseł skinął w odpowiedzi. Potem Gavras zagadnął Taso Vonesa. Khatrish roześmiał się i smutnym gestem potargał brodę, tak zaniedbaną i nieporządną jak broda Gawtruza.

Marek nie słyszał słów, ale domyślił się, o co chodzi. Pomyślał również, że Vones wygląda głupio z kędzierzawą brodą, bez której mógłby uchodzić za Videssańczyka. Ale jego władca narzucał swoim poddanym zwyczaję rodem z Khamroth, ku pamięci swych przodków, którzy przed wiekami wykroili państwo ze wschodnich prowincji Videssos, i dlatego mały poseł był skazany na noszenie kosmatego zarostu, choć nim szczerze gardził.

Thorisin usadowił się na wysokim stołku w środku widowni; stołek nie miał oparcia, żeby wszyscy mogli go widzieć. Wokół niego skupili się ludzie z parasolami. On wznosił rozkazująco prawicę; tłum ucichł i pochylił się na swoich miejscach, wyciągając szyje dla lepszego widoku.

Wszyscy wiedzieli, gdzie patrzeć. Przez bramę, która właśnie stanęła otworem, zawsze wchodziły na arenę konie wyścigowe. Dzisiaj orszak był dużo krótszy; w jego skład wchodził obdarzony potężnym głosem herold Thorisina Gavrasa, dwaj videssańscy strażnicy w złożonych półpancerzach i stajenny wiodący jednego osła.

Na grzbiecie zwierzęcia jechał Ortaias Sphrantzes, ale wierzchowiec potrzebował przewodnika, bowiem siodło było odwrócone, a jeździec siedział twarzą do ogona. Od dawna obznajomieni z aktem rytualnego poniżenia Videssańczycy zatrzęśli się ze śmiechu. Przejrzały owoc pozęglował nad trybunami i roztrzaskał się pod kopytami osła. Inne poleciały jego śladem, ale ten obstrzał był liściowicie skąpy; Videssos było ostatnio zbyt długo obleżone, by mieszkańcy mogli pozwolić sobie na marnowanie żywności.

Herold, żwawo uskakując przez lecącym melonem, krzyknął:

— Oto Ortaias Sphrantzes, który postanowił zbuntować się przeciwko prawowitemu Autokratrowi Videssańczyków, Jego Imperatorskiej Mości, Thorisinowi Gavrasowi!

Tłum odkrzyknął:

— Tyżeś najwyższym, Gavrasie! Tyżeś najwyższym! Marek pomyślał, że ludzie wrzeszczą z taką ochotą, jakby już zapomnieli, że tydzień wcześniej swoim panem nazywali Ortaiasa.

Przy nie cichnącym ryku tłumu Ortaias i jego strażnicy okrążyli wolno arenę; herold przez cały czas wykrzykiwał swoją kwestię. Marek słyszał mlaśnięcia roztrzaskujących się wokół Sphrantzesa pocisków; powiew przyniósł przyprawiający o mdłości smród zepsutych jaj.

Niektóre z pocisków trafiały w cel. Nim Ortaias wrócił na miejsce, z którego wyruszył, jego szata była pełna plam z miękiszu i soku. Skaurus doszedł do wniosku, że osioł musiał być pod

wpływem jakiegoś narkotyku. Szedł spokojnym krokiem, zatrzymując się tylko po to, by podnieść kawałek jabłka. Wtedy jego przewodnik szarpał za długi postronek i zwierzę porzucało ogryzek, by ruszyć w dalszą drogę.

Wreszcie osioł okrążył arenę i zatrzymał się przed bramą. Dwaj strażnicy zdjęli Ortaiasa z jego grzbietu, potem powiedli go przed Thorisina Gavrasa.

Kiedy go puścili, mężczyzna upadł na ziemię w akcie poddaństwa. Imperator wstał.

— Widzimy twoją uległość — powiedział. W Amfiteatrze była tak dobra akustyka, że jego słowa, chociaż wypowiedane normalnym tonem, docierały do najwyższych rzędów. — Czy wobec tego wyrzekasz się, raz i na zawsze, wszelkich roszczeń do najwyższej władzy w naszym Imperium chronionym przez Phosa?

— Tak, żałuję, że wyciągnąłem ręce po tron. Ja... — w chwili gdy Gavras usłyszał to, co chciał, przerwał Ortaiasowi władczy gestem.

Gajusz Filipus cicho zachichotał.

— Pewne rzeczy nigdy nie ulegają zmianie. Założę się, że temu chudemu bękartowi właśnie zduszono w zarodku dwugodzinną mowę abdykacyjną. I dobrze.

Znów przemówił Thorisin:

— Otrzymasz teraz nagrodę za swą zdradę.

Strażnicy podnieśli Ortaiasa. Szybko ściągnęli mu szatę przez głowę. Tłum zawył. Gajusz Filipus mruknął:

— Chudzielec. — Jeden ze strażników, większy i bardziej muskularny, stanął za niefortunnym Sphrantzesem i wymierzył straszliwego kopniaka w jego nagi zadek. Ortaias krzyknął i runął na kolana.

Viridoviks zagdakał z rozczarowania.

— Gavras jest zdecydowanie za miękki — powiedział. — Powinien wpakować tego kundla do wiklinowego kosza, podobnie jak wielu z tych, którzy podążyli jego śladem, a potem podpalić. Dopiero takie widowisko ludzie na długo by zapamiętali.

— Ty i Komitta Rhangawe — mruknął do siebie Marek, nieco zdumiony dzikością Gala.

— Tak postąpiliby świątobliwi druidzi — powiedział Viridoviks. Skaurus wiedział, że jest to aż nazbyt prawdziwe. Celtyccy kapłani zjednywali sobie bogów przez składanie im w ofierze przestępców... albo niewinnych, gdy nie było pod ręką tych pierwszych.

Gdy Ortaias Sphrantzes, pocierając obolałą część ciała, podniósł się na nogi, z widowni zszedł jeden z kapłanów Phosa. W rękach miał nożyce i długą, lśniącą brzytwę. Tłum zamilkł; religia zawsze była szanowana w Videssos. Ale Marek wiedział, że nie dojdzie do rozlewu krwi. Za pierwszym zszedł drugi kapłan, z prostą błękitną szatą i egzemplarzem świętej księgi Phosa w oprawie z emaliowanego brązu.

Ortaias schylił głowę przed pierwszym kapłanem. Nożyce błysnęły w jesiennym słońcu. Lok brązowych włosów upadł do stóp niedawnego Imperatora, potem drugi i następne, dopóki na jego głowie nie pozostała jedynie krótka szczecina. Wtedy do akcji ruszyła brzytwa i wkrótce w słońcu zalśniła łysina.

Drugi kapłan przesunął się do przodu. Składając mniśią szatę na zgiętej ręce, wyciągnął w stronę Ortaiasa uświęconą księgę i powiedział:

— Oto prawo, w imię zasad którego będziesz żył, o ile tak zadecydujesz. Jeżeli w sercu czujesz, że zdołasz go przestrzegać, wstąp do klasztoru; jeżeli nie, mów.

Ale Ortaias, jak i wszyscy inni, wiedział, jaka kara grozi za odmowę.

— Będę przestrzegał prawa — powiedział. Obdarzony silnym głosem herold powtórzył jego słowa zgromadzonym na trybunach. Rozległo się zbiorowe westchnienie. Wstępowanie do zakonu zawsze było poważną sprawą, nawet jeżeli następowało wyłącznie z powodów politycznych. Zresztą wiara i polityka w Imperium były praktycznie nie do rozdzielenia. Skaurus pomyślał o Zemarkhosie w Amorionie i poczuł, że jego usta zaciskają się w cienką, twardą linię.

Kapłan powtórzył propozycję jeszcze dwukrotnie, za każdym razem otrzymując tę samą odpowiedź. Podał świętą księgę swemu koledze, potem ubrał nowego mnicha w klasztorny przyodziewek, mówiąc:

— Jak błękit Phosa pokrywa twoje nagie ciało, tak może jego prawość spowije twoje serce i osłoni je przed złem. — Herold znów powtórzył jego słowa.

— Niech tak się stanie — odparł Ortaias, ale został zagłuszony przez tysiące ludzi, którzy powtarzali słowa jego modlitwy. Marek był poruszony wbrew samemu sobie, zdumiewając się siłą wiary w Videssos. Czasami prawie żałował, że jej nie podziela, ale, jak Gorgidas, był zbyt zakorzeniony w świecie materialnym, by czuć się dobrze w świecie ducha.

Ortaias Sphrantzes opuścił Amfiteatr przez tę samą bramę, którą przybył, ramię w ramię z dwoma kapłanami, którzy uczynili go częścią swej wspólnoty. Tłum, usatysfakcjonowany widowiskiem, zaczął powoli się rozchodzić. Przekupnie wykrzykiwali: „Wino! Słodkie wino!”, „Korzenne placki!”, „Święte obrazki dla ochrony waszych ukochanych!”.

Gajusz Filipus, niezadowolony z takiego zakończenia, burknął:

— I teraz ten drań spędzi resztę swoich głupich dni na dostatnim życiu w mieście, tylko że z łysą głową i w błękitnej szacie, by wszystko dobrze wyglądało.

— Niezupełnie — zaśmiał się Marek. Thorisin mógł być tępy, ale nie aż tak naiwny. Trybun pomyślał, że Gennadiosowi należy się odpowiednie towarzystwo w klasztorze na dalekiej granicy Videssos. On i jego nowy brat, Ortaias, bez wątpienia będą mieli o czym rozmawiać.

X

Co to znaczy, że fundusze nie są dostępne? — zapytał Thorisin Gavras niebezpiecznie opanowanym głosem. Jego spojrzenie przeszło logothetę, jak gdyby urzędnik finansowy był wrogiem, którego należy wyeliminować.

W Sali Dziewiętnastu Tapczanów zapadła cisza. Marek słyszał skwierczenie pochodni i westchnienia wiatru na zewnątrz. Wiedział, że jeśli odwróci głowę, zobaczy płatki śniegu całujące szerokie okna sali. Zima w stolicy nie była tak surowa jak na zachodnich płaskowyżach, ale i tak dość paskudna. Szczelniej owinął się płaszczem.

Logotheta przełknął ślinę. Miał jakieś trzydzieści lat, był chudy, blade i niezmiernie pedantyczny. Skaurus przypomniał sobie, że nazywa się Addaios Vourtzes; był jakimś dalekim kuzynem gubernatora miasta Imbros, leżącego na północnym wschodzie. Musiał zebrać całą odwagę, by stawić czoło wrogości Imperatora.

Ale zaczął mówić. Z początku urywanie, a potem, w miarę jak brał się w garść, z coraz większym ożywieniem.

— Wasza Wysokość oczekuje zbyt wiele od podległych nam urzędów podatkowych. To, co mimo wszystko zgromadził każdy z nich, powinno być wystawiane jako jeden z cudów Phosa. Ostatnie nieporozumienie... — Oto — pomyślał trybun — świetny biurokratyczny eufemizm na określenie wojny domowej — ...i, co gorsza, obecność wielkiej liczby nie upoważnionych intruzów... — Marek wiedział, że Vourtzes ma na myśli Yezda — ...na cesarskiej ziemi sprawiło, że uzyskanie jakichkolwiek dodatkowych wpływów stało się oczywistą niemożliwością.

O czym on mówi? — zastanowił się z irytacją trybun. Jego videssański był już płynny, ale ten urzędniczy żargon był dlań zupełnie niezrozumiały.

Na szczęście tłumaczenie Baanesa Onomagoulosa było może powierzchowne, ale użyteczne.

— Mówi, że twoi bezcenni poborcy robią pod siebie ze strachu, kiedy tylko wydaje im się, że widzą nomadę, i uciekają, nim sprawdzą, czy mają rację. — Wielmoża wybuchnął gromkim śmiechem.

— Tak jest — zgodził się Namdalajczyk Drax. Skierował szacujące spojrzenie na Vourtzesa. — Na ile znam was, gryzipiórków, to korzystacie z każdej wymówki, by tylko nie płacić. Na Wagera, myślałby kto, że pieniądze pochodzą z waszych, a nie z chłopskich sakiewek.

— Dobrze powiedziane! — zawołał Thorisin. Jego normalna nieufność do wyspiarzy zmaląła, gdy Drax wyraził podzielaną przez niego opinię. Hrabia skinął głową na znak podziękowania.

Vourtzes wyciągnął gruby zwój pergaminu.

— Oto liczby obrazujące stan, jaki nakreśliłem...

Jednakże liczby miały niewielkie znaczenie dla żołnierzy, którym chciał je zaprezentować. Thorisin odtrącił zwój na bok, warcząc:

— Krukom dać te śmiecie! Potrzebuję złota, nie wymówek.

Elissaios Bouraphos powiedział:

— Te łajdaczące się urzędasz myślą, że papier załata wszystkie dziury. To dlatego podpisuję się pod twoim zdaniem, Wasza Wysokość. Nadal dostaje raporty zamiast pieniędzy na naprawy i też robi mi się od tego niedobrze

— Jeżeli zanalizujesz sprawozdania, jakie ci zaprezentowałem — zaczął Vourtzes z rozpaczliwą determinacją dojdiesz do nieuchronnego wniosku, że...

— ...że biurokraci mają w dupie uczciwych ludzi — do kończył za niego Onomagoulos. — Wszyscy to wiedzą, i tak jest od czasów mego dziada. Zawsze chcieliście trzymać władzę w swoich oślizłych łapskach. A gdy wbrew waszej woli na tronie zasiadł żołnierz, głodzicie go za pomocą swych oszukaństw.

— Tu nie ma żadnego oszustwa! — jęknął Vourtzes. Marek nie miał powodów, by kochać udręczonego logothetę, ale potrafił rozpoznać szczerą, gdy ją słyszał.

— Myślę, że on może mieć trochę racji — powiedział.

Thorisin i jego oficerowie spojrzeli na Rzymianina tak, jakby nie dowierzali własnym uszom.

— Po czyjej stoisz stronie? — zapytał Imperator. Nawet pełne wdzięczności spojrzenie Vourtzesza było zarazem czujne. Zdawało się, że urzędnik podejrzewa jakąś pułapkę, która może sprowadzić nań jedynie większe kłopoty.

Ale Alypia Gavra przypatrywała się trybunowi z zainteresowaniem. Z jej twarzy jak zwykle nie można było niczego odczytać, lecz chyba nie dlatego Skaurus nie znalazł na niej dezaprobaty. I, w przeciwieństwie do Videssańczyków-żołnierzy, posiadał nie tylko militarne, ale i cywilne doświadczenia i wiedział, o ile łatwiej jest wydawać pieniądze, niż je gromadzić.

Ignorując słowa Thorisina, będące nieledwie oskarżeniem, upierał się:

— Ściąganie podatków w zeszłym roku nie było łatwe. Przykładowo, panie, zarówno twoi ludzie, jak i Ortaiasa udawali się na ziemię zachodnie, a żadnej ze stron nie udało się zebrać wszystkiego, co było należne. I Baanes częściowo ma rację; z hulającymi bez przeszkód Yezda pewne części cesarstwa nie są bezpieczne dla poborców. Ale nawet tam, gdzie w danej chwili nie ma Yezda, kraj jest tak spustoszony, że po prostu nie może dostarczyć gotówki, bo łysa owca nie da wełny.

— Najemnik orientujący się w podstawowych zasadach funkcjonowania skarbu państwa — powiedział do siebie Vourtzes. — Nadzwyczajne. — Po chwili rzucił, jakby zdawkowo: — Dziękuję.

Imperator wyglądał na zadumanego, ale na twarzy Baanesa Onomagoulosa pojawiło się wzburzenie. Skaurus na widok czerwieniejącej łysiny szlachcica nagle pożałował przypadkowo wybranej metafory.

Alypia przeszła Baanesa wzrokiem.

— Nie wszystkie zaległości są winą poborców — rzekła. — Gdyby wielcy właściciele ziemscy zapłacili to, co są winni, skarb państwa byłby w dużo lepszym stanie.

— I właśnie o to chodzi — poparł ją Vourtzes. — Prawnie usankcjonowani agenci urzędu skarbowego bywali napadani, a czasami nawet zabijani podczas prób wyegzekwowania należnego podatku z ogromnych posiadłości, a niektóre z nich są reprezentowane w tej sali. — Nie wymieniając nazwisk on również spojrzął na Onomagoulosa.

Wściekle spojrzenie wielmoży było dość gorące, by usmażyć biurokratę, Marka i Alypię Gavrę. Trybun, widząc wznoszące się brwi Alypii, skinął prawie niedostrzegalnie na znak, że dostrzega niebezpieczeństwo.

Jak w bibliotece Balsamona, admirał Elissaios Bouraphos spróbował powściągnąć gniew Onomagoulosa — położył mu rękę na ramieniu i rzekł coś szeptem do ucha. Ale, sam będąc właścicielem rozległych posiadłości, powiedział do Thorisina:

— Wiesz, dlaczego zalegamy z zapłatami gryzipiórkom. Robiłeś to samo u siebie, zanim twój brat wyrzucił Strobilosa. Dlaczego mielibyśmy dawać im linę, na której chcieliby nas powiesić?

— Nie powiem, że nie masz racji — przyznał z chichotem Imperator. — Jednakże skoro ja nie jestem gryzipiórkiem, Elissaiosie, z pewnością zapłacisz mi wszystko bez skamlania?

— Oczywiście — przytaknął Bouraphos. Potem zaczął skowyczeć tak przekonująco, że wszyscy przy stole wybuchnęli śmiechem. Nawet usta Addaiosa Vourtzesa skrzywiły się w uśmiechu. Marek zrewidował swój osąd na temat admirała, którego nie podejrzewał o poczucie humoru.

Utprand syn Dagobera odezwał się po raz pierwszy i ponure ostrzeżenie w jego głosie przygasiło wesołość.

— Możecie wszyscy wyklócać się, kto ile płaci, nic mi do tego. Ale najpierw ustalcie, kto zapłaci mnie.

— Spokojnie — zmitygował go Thorisin. — Jakoś nie widzę, by twoi chłopcy zebrali na ulicach o drobniaki.

— Nie — powiedział Utprand — ani nie zobaczysz. — To nie było ostrzeżenie, ale nie ulegająca wątpliwości groźba. Wielki hrabia Drax wyglądał na szczerze zranionego przez otwartą mowę swego rodaka, ale Utprand zignorował go. Żaden z nich nie przejmował się tym, co myśli drugi. Skaurus podejrzewał, że Namdalajczycy nie byli wolni od choroby podziału na frakcje.

Gavras ze swej strony był tym, który doceniał szczerłość.

— Dostaniesz swoją zapłatę, cudzoziemcze — oznajmił. Widząc, że Addaios Vourtzes ściąga usta, by zaprotestować, zwrócił się do logothety. — Daj mi zgadnąć — rzekł kwaśno. — Nie masz na to pieniędzy.

— Właśnie. Jak próbowałem wykazać, szczegółowa sytuacja jest nakreślona...

Imperator przerwał mu tak szorstko, jak Ortaiasowi Sphrantzesowi w Amfiteatrze.

— Czy możesz dać tyle, by wszyscy byli zadowoleni do wiosny?

Stojąc przed problemem, którego rozwiązania nie było w jego cennym zwoju, Vourtzes stał się ostrożny. Jego usta poruszały się bezgłośnie, gdy rachował w pamięci.

— To zależy od wielu różnorodnych czynników, nie podlegających kontroli mego ministerstwa: od stanu dróg, wielkości zbiorów, zdolności agentów do spenetrowania obszarów ogarniętych niepokojami... — Wnosząc z tego, w jaki sposób biurokrata unikał słowa „Yezda”, Marek zaczął dochodzić do przekonania, że wywołuje ono u niego wysypkę.

— Jest coś, co on pomija — powiedział Baanes Onomagoulos — prawdopodobieństwo, że te cholerne urzędaszy chowają jedną na trzy sztuki złota do własnych kieszeni. Och, tak, podsuwają nam pod oczy ten stek bzdur. — Wskazał pogardliwie na dokument Vourtzesa. — Ale kto potrafi to zrozumieć? Oto w jaki sposób zachowują swoją władzę. Ponieważ ten, kto nie został wychowany na ich pokrętny sposób, nie ma pojęcia, że jest oszukiwany, póki nie jest za późno, by mógł cokolwiek w związku z tym zrobić.

Vourtzes zaczął zaprzeczać, ale Thorisin obrzucił go długim, szacującym spojrzeniem. Nawet Alypia Gavra pokiwała głową, jakkolwiek niechętnie. Mogła pogardzać Onomagoulosem, ale bynajmniej nie uważała go za głupca.

— Zatem — zaczął Marek — potrzebny jest ktoś, kto pilnowałby, żeby urzędnicy robili to, co mówią.

— Nad wyraz błyskotliwa uwaga; powinieneś wstąpić do Akademii — zadrwił Elissaios Bouraphos. — Kto miałby to robić? Komu można by zaufać? Jesteśmy żołnierzami. Co wiemy o sztuczkach, jakich używają gryziپیory? Założę się, że rejestrując okrętowe zapasy i tak dalej, wypełniam więcej rachunków niż większość z was, ale poddałbym się po tygodniu w kancelarii, nie mówiąc o znudzeniu do utraty zmysłów.

— Masz rację — powiedział Imperator. — Nikt z nas nie zna się na takiej robocie, którą, co gorsza, należy wykonać. — Jego głos zdradzał zadumę, a jego oczy, pełne wyrachowania, skoczyły ku trybunowi. — Pamiętam, Skaurusie, że kiedy przybyłeś do Videssos ze swego drugiego świata mówiłeś, że nie tylko dowodziłeś żołnierzami, ale i zajmowałeś jakieś cywilne stanowisko? Czy to prawda?

— Tak, byłem jednym z pretorów w Mediolanie. — Marek uświadomił sobie, że to niewiele znaczy dla Gavrasa i wyjaśnił: — Pracowałem w magistracie w swoim rodzinnym mieście i byłem sędzią najwyższym, odpowiedzialnym również za wydawanie edyktów oraz zbieranie trybutów, które następnie wysyłałem do Rzymu, naszej stolicy.

— Zatem orientujesz się trochę w tych machlojkach? — naciskał Thorisin.

— Czasami tak.

Imperator przenosił spojrzenie z jednego ze swych oficerów na następnego. Ich uśmieшки mówiły wyraźniej od słów, że są tego samego zdania. Istnieje niewiele rzeczy przyjemniejszych od przyglądania się, jak ktoś inny zostaje obarczony zadaniem, które samemu by się znienawidziło. Thorisin znów odwrócił się do Skaurusa.

— Powiedziałbym, że właśnie załatwiłeś sobie robotę. — A zwracając się do Vourtzesa, dodał: — Ha, gryzipiórku, co o tym myślisz? Spróbuj teraz swojej żonglerki cyframi i zobacz, co z tego wyniknie!

— Jak Wasza Imperatorska Mość każe, oczywiście — wymamrotał logotheta, ale nie wyglądał na zadowolonego.

Skaurus wtrącił szybko:

— Nie będę mógł poświęcić temu zajęciu całego swego czasu; muszę dbać o podległych mi ludzi.

— Jasne, jasne — zgodził się Imperator. Marek zobaczył, że Utprand, Drax i Onomagoulos zgodnie kiwają głowami. Thorisin kontynuował: — Jednakże ten twój zastępca jest solidnym człowiekiem i doskonale potrafi poradzić sobie z codziennymi sprawami. Dzięki temu będziesz miał więcej czasu. Zobaczę, czy nie mógłbym nadać ci jakiegoś fantazyjnego tytułu i wyznaczyć pensji. Myślę, że trochę zarobisz.

— Dość uczciwe — powiedział trybun. Oficerowie zaczęli chrząkać współczująco. Marek przyjął kondolencje i odpowiedział na ich żarty własnymi.

Prawdę mówiąc, ani trochę nie czuł się tak nieprzyjemnie, jak czułby się każdy z nich. Jako umiarkowanie ambitny młody człowiek, już dawno zdał sobie sprawę, że istnieją wyraźnie określone granice, do których może wspinać się cudzoziemski dowódca piechoty w Videssos, w oparciu jedynie o siłę swoich żołnierzy. I jego plany w Rzymie zdecydowanie wiązały się z polityką, nie z armią. Wojskowy trybunat był krokiem, jaki podejmowali nie pozbawieni aspiracji młodzi ludzie, ale nikt nie zostawał na tym etapie na zawsze.

Dlatego podsunął Imperatorowi tę sugestię; gdyby Thorisin Gavras jej nie podchwycił, nie miałby nic do stracenia. Ale Imperator dał się złapać i teraz trybun miał zobaczyć, co z tego wyniknie. Przepęniało go uczucie oczekiwania. Bez względu na pogardę żywioną przez żołnierzy-szlachciców dla pałacowych urzędników, biurokracja była podporą Videssos w nie mniejszym stopniu niż armia. I, jak podkreśliła Alypia Gavra, niekoniecznie stanowiła słabszą partię.

Zobaczył, jak księżniczka przygląda mu się z ironicznym rozbawieniem i odniósł nieprzyjemne wrażenie, że cały ten na wpół uformowany, niejasny plan jest dla niej całkowicie przejrzysty.

— Jest mi niezmiernie przykro, panie — mówił sekretarz Pandhelis do kogoś przed biurem,

które przydzielono Markowi — ale otrzymałem konkretne instrukcje, że *epoptesowi* pod żadnym pozorem nie wolno przeszkadzać. — Thorisin, zgodnie z obietnicą, nadał Rzymianinowi imponująco niejasny tytuł, znaczący mniej więcej tyle samo co „inspektor”.

— Och, niech ospa weźmie ciebie i twoje instrukcje. — Drzwi stanęły otworem. Do małego pomieszczenia wpadł Viridoviks, a zaraz za nim Helvis. Na widok Skaurusa Gal dramatycznym gestem klepnął się w czoło.

— Widziałem tę twarz wcześniej, naprawdę. Nic nie mów, nazwisko przypomni mi się lada chwila, jestem pewien. — Zmarszczył czoło w udawanej koncentracji.

Pandhelis, niespokojnie wykręcając palce, powiedział do trybuna:

— Przepraszam, panie, nie chcieli mnie słuchać...

— Nieważne. Cieszę się, że ich widzę. — Marek z westchnieniem ulgi rzucił pióro; na wskazującym palcu prawej ręki tworzył mu się nowy odcisk. Spychając wykazy podatkowe i liczydła na jedną stronę nieporządnego biurka, popatrzył na swoich gości. — Co trzeba zrobić?

— Nic nie trzeba robić. Przyszliśmy tu po ciebie — oznajmiła stanowczo Helvis. — Na wypadek gdybyś zapomniał, dzisiaj jest Święto Środka Zimy... czas na zabawę, nie niewolniczą harówkę.

— Ale... — zaczął protestować Marek. Potem potarł oczy, podkrążone i zaczerwienione od wlepiania ich w nie kończące się szeregi cyfr. Wystarczy — pomyślał. Wstał i przeciągnął się, aż zatrzeszczało mu w stawach. — W porządku, jestem twój.

— Mam nadzieję — odparła Helvis z nagłym żarem w błękitnych oczach. — Już zaczęłam się zastanawiać, czy pamiętasz.

— Ho, ho! — zakrzyknął Viridoviks, mrugając znacząco. Złapał Skaurusa, wypchnął go zza biurka i wyprowadził na korytarz, nie dając mu szansy na zmianę zdania. — Chodź, drogi Rzymianinie. Kroi się przyjęcie, które ożywi nawet takiego ramola jak ty.

Lodowate powietrze jak zawsze sprawiło, że trybun zakaszał, napełniwszy nim płuca. Jego własny oddech wydobywał się w wielkich obłokach pary. Cokolwiek można było przeciw nim powiedzieć, biurokraci utrzymywali w swoim skrzydle Wielkiego Dworu prawie temperaturę bliską letnim upałom, przez co mróz na zewnątrz był dwakroć gorszy do zniesienia. Marek zadrżał.

Lód lśnił na nagich drzewach; gładkie trawniki, które latem tworzyły szmaragdowe dzieła sztuki pałacowych ogrodników, teraz były łaciate i brązowe. Gdzieś wysoko zaskrzeczała mewa. Większość ptaków odleciała do ciepłych krajów na nieznanym południu, ale mewy pozostały. Jako padlinozercy i złodzieje, pasowały do stolicy.

— I jak tam wasz dzieciak? — zapytał Viridoviks, gdy szli w kierunku rzymskich koszar.

— Dosti? Nie mógłby być lepszy — odparł z dumą Marek. — Ma już cztery zęby, dwa u góry i dwa na dole. I lubi ich używać; niedawno ugryzł mnie w palec.

— W palec? — powiedziała Helvis. — Nie masz się na co skarżyć, mój drogi. Najwyższy czas, by chłopaka odstawić od piersi.

— Auu — mruknął współczująco Viridoviks.

Wielki Gal machnął ręką, gdy tylko koszary znalazły się w zasięgu wzroku. Skaurus zobaczył, że jakiś Rzymianin odpowiedział mu tym samym gestem z okna.

— Do jakiej to zasadzki mnie prowadzisz? — zapytał.

— Niedługo zobaczysz — odparł Viridoviks. Gdy tylko znaleźli się w koszarach, krzyknął: — Płać sztukę złota, Soteryku, bo oto on we własnej osobie!

Namdalajczyk wyłuskał monetę.

— Nie żałuję przegranej. Myślałem, że jest zbyt zakochany w swoich atramentach i pergaminach, by pamiętać, jak świętują zwyczajni ludzie.

— Krukom cię dać — powiedział Marek do człowieka, którego uważał za swego szwagra, i wymierzył mu leniwego kuksańca.

Viridoviks przygryzł wygraną złotą monetę.

— Nie jest najlepsza, ale i nie najgorsza — rzekł filozoficznie i wetknął ją do sakiewki u pasa. Trybun, nie zwracając uwagi na Celta, popatrzył na otaczające go uśmiechnięte szeroko twarze.

— Iz nimi mam wyruszyć na hulankę? — zapytał Viridoviksa.

Celt wyszczerzył zęby i radośnie pokiwał głową.

— Zatem niech dzisiejszej nocy bogowie mają Videssos w opiece! — zawołał Marek, co spowodowało radosne okrzyki zebranych.

Był tam Taso Vones z hożą Videssanką, wyższą od niego o parę cali. Obok nich stał Gawtruz z Thatagush, mocno zajęty bukłakiem z winem.

— A co dla reszty? — zapytał uszczypliwie Gajusz Filipus.

— A cóż to znaczy bukłak na jednego? — odciął się Gawtruz i podjął picie. Chwilę później odstawił bukłak od ust, ale tylko po to, by beknąć.

Soteryk przyprowadził Fayarda z Sotevag. Turgot nie musiał dopraszać się o bukłak Gawtruza, bo już chwiał się na nogach. Towarzyszyła mu jasnowłosa Namdalajka imieniem Mavia. Skaurus wątpił, czy dziewczyna ma więcej niż dwadzieścia lat. W tym kraju ciemnowłosych jej jasne war-kocze połyskiwały niczym złoto wśród starych miedziaków.

Fayard przywitał Helvis w wyspiarskim dialekcie; jej nieżyjący mąż był jego kapitanem. Ona uśmiechnęła się i odpowiedziała mu w tym samym języku.

Arigh syn Arghuna opowiadał sprośną historyjkę trzem kochankom Viridoviksa. Marek zastanowił się po raz kolejny, w jaki sposób Celtowi udaje się powstrzymać je od dzikich bijatyk. Prawdopodobnie dzięki temu, że beztroski Gal nie jest zazdrosny — pomyślał. Viridoviks nie miał nic przeciwko temu, że jego kobiety wybuchnęły śmiechem pod koniec pieprznej opowieści Arigha.

Kwintus Glabrio powiedział coś szeptem do Gorgidasa, który uśmiechnął się i skinął. Stający obok nich Katakolon Kekaumenos drgnął niecierpliwie.

— Zatem jesteśmy wszyscy? — zapytał. — Skoro tak, ruszajmy na hulanekę. — Jego akcent był prawie tak archaiczny jak uświęcona liturgia; Agder, choć niegdyś wchodził w skład cesarstwa, od wielu lat nie nadażał za videssańskimi zmianami języka. Sam Kekaumenos był solidnie zbudowanym, małowównym człowiekiem, odzianym w kurtkę ze skór śnieżnych lampartów, która w stolicy warta była małą fortunę.

Marek uważał go za zarozumialca. Gdy towarzystwo wyszło z koszar, zapytał Taso Vonesa:

— Kto zaprosił tego psa do koryta?

Ezop nie znaczył nic dla Khatrisha, co Skaurus powinien był wiedzieć. Westchnął. Czasami właśnie takie drobiazgi skłaniały go do myślenia, że nigdy nie zdoła dopasować się do tego świata. Wyjaśnił Vonesowi znaczenie metafory.

— Prawdę mówiąc, to *ja* go zaprosiłem — oświadczył Vones. Zdawał się rozbawiony zakłopotaniem Rzymianina; dzielił zamiłowanie Balsamona do zbijania rozmówców z tropu. — Mam swoje powody. Jak wiesz, Agder to daleki północny kraj, i zimowe przesilenie znaczy dla jego mieszkańców więcej, niż dla Videssańczyków czy dla mnie. Oni zawsze na poły boją się, że słońce już nie wróci. Wierz mi, gdy widzą, że znów rusza na północ, potrafią hulać na całego.

Videssos mogło nie obawiać się o powrót słońca, ale świętowało z równym zapamiętaniem. Marek widział dwa takie święta w prowincjonalnych miastach. Festyn w stolicy był może mniej hałaśliwy od tamtych rozpustnych zabaw, ale obchodzony z wcale nie mniejszym polotem. I sama wielkość miasta pozwalała trybunowi wyobrazić sobie, jak szaleją mieszkańcy nastawieni na czyste przyjemności.

Wczesny zimowy wieczór zapadał szybko, ale pochodnie i świece dawały mnóstwo światła. Na wszystkich rogach płonęły ogniska i zapraszały chętnych do skoku.

Helvis uwolniła się z objęć Marka. Podbiegła do jednego z ognisk i skoczyła. Włosy otoczyły jej głowę niczym ciemna aureola. Mimo że trzymała ręką spódnicę, materiał uniósł się i odsłonił jej nogi. Ktoś po drugiej stronie ognia zagwizdał z podziwu. Trybunowi też przyśpieszył puls. Ona wróciła do niego zarumieniona od biegu i zimna, z roziskrzonymi oczami. Kiedy znów ją objął, czule przycisnęła jego dłoń do biodra.

Nic nie mogło umknąć ptasiemu wzrokowi Taso Vonesa. Uśmiechając się do swojej towarzyszki — Skaurus pamiętał, że dziewczyna nazywa się Plakidia Teletze — powiedział:

— Lepsze od mitrżenia czasu nad kodeksami, prawda?

— Ty wiesz to najlepiej — odparł trybun i złapał Helvis za brodę, by szybko ją pocałować. Jej usta były ciepłe i żywe.

— Wstyd! Robisz z siebie publiczne widowisko — poskarżył się Viridoviks. By pokazać, jak

bardzo jest poważny, pocałował wszystkie swoje przyjaciółki, one zaś wydawały się zupełnie zadowolone z jego szarmanckiej bezstronności. Dzięki długiej praktyce zrobił to z wdziękiem równym temu, z jakim kuglarz po raz dziesięciotysięczny wyławia z powietrza złoty pierścień.

Z Amfiteatru dobiegły kaskady śmiechu. Videssańskie trupy mimów były naturalnie najlepszym, co mogło zaoferować Imperium. Patrząc na ciemniejące niebo, Gorgidas powiedział:

— Prawdopodobnie jest za ciemno, żeby dali jeszcze jedno przedstawienie. Co powiecie, żebyśmy znaleźli jakąś jadłodajnię, zanim tłum przepelni ją ponad granice wytrzymałości?

— Jedzenie to zawsze dobry pomysł — powiedział Gawtruz z ciężkim akcentem Khamorthów, który przez większość czasu udawał. Poseł z Thatagush poklepał się po okazałym brzuchu. Jego apetyt był prawdziwy, ale Skaurus wiedział, że prostackie zachowanie było sztuczką mającą zwieść naiwnych. Pod powierzchownością wieprza krył się zręczny dyplomata.

Szósty zmysł Gorgidasa doprowadził ich do znajdującej się o kilka przecznic od placu Palamasa karczmy, która tylko w połowie była pełna. Właściciel i służąca zsunęli im dwa stoły. Nim dopili pierwszą kolejkę wina — Soteryk, Fayard i Katakolon Kekaumenos wybrali piwo — w sali zrobiło się tłoczno. Właściciel wyciągnął z kuchni kilka zmaltretowanych stołów i ustawił je na ulicy, by obsłużyć klientów, którzy nie zmieścili się wewnątrz. Dla ich wygody postawił na każdym stole grube świece.

Marek usłyszał jak oberżysta, krzątając się spiesźnie, powtarza pod nosem: — Żałuję, że nie kupił większego lokalu. Z kuchni płynęły apetyczne zapachy. Skaurus i jego przyjaciele przekąszali słodkie mięsa i pili, czekając na główne danie. Wreszcie służąca, uginając się pod ciężarem tacy, podała tłustą pieczoną gęś. Stał błyskała w świetle pochodni, gdy zręcznie dzieliła ptaka na porcje.

Trybunowi generalnie smakowały videssańskie potrawy i kiedy właściciel karczmy nazwał gęś „naszą specjalnością”, zabrał się do niej bez najmniejszych obaw. Po pierwszym kęsie zmienił zdanie. Gęś była polana sosem z cynamonu i ostrego sera, co stanowiło kombinację dość pikantną, by łzy zakręciły mu się w oczach. Niekiedy dążenie Videssańczyków do osiągnięcia wyrafinowanej rozkoszy przez używanie kłócących się z sobą przypraw, zdecydowanie przekraczało tolerancję jego podniebienia.

Gajusz Filipus był chyba podobnie zakłopotany, ale reszta towarzystwa jadła z wszelkimi oznakami zadowolenia. Trybun, tłumiąc westchnienie, wziął garść migdałów z talerza, na którym leżała już na wpół zjedzona gęś. Migdały były posypane sproszkowanym czosnkiem. Westchnienie przerodziło się w jęk; dlaczego zamiast tego nie dodano czosnku do gęsi?

— Bardzo mało jesz — powiedziała Helvis.

— Tak. — Może miało to swoje dobre strony. Siedzący tryb życia sprawił, że Marek przybrał na wadze. I — pomyślał wznosząc kubek do ust — dzięki temu mam więcej miejsca na wino.

— Hej, ładniutka, usiądziesz przy mnie? — Gajusz Filipus witał kurtyzanę w obcisłej sukni z

cienkiego żółtego materiału. Zabrał krzesło od sąsiedniego stołu; właściciel musiał wyjść za potrzebą. Jego towarzysze zerknęli wściekle na starszego centuriona. On odpowiedział im równie groźnym spojrzeniem; długie lata dowodzenia nadały mu powagę, z którą mieszkańcy miasta nie mieli co konkurować.

Kobieta również dostrzegła siłę w oczach żołnierza. Na jej twarzy pojawiło się prawdziwe zainteresowanie, a nie tylko udawana namiętność dziwki. Z zapałem zabrała się do jedzenia i picia. Ładniutka — pomyślał Marek i był zadowolony w imieniu Gajusza Filipusa, któremu w takich sprawach zazwyczaj nie dopisywało szczęście.

Odcień sukienki przypomniał trybunowi przezroczyście jedwabie, jakie Vardanes Sphrantzes kazał nosić Alypii Gavrze, i jej szczupłe ciało. Ta myśl rozgrzała go i jednocześnie zaniepokoiła. Miał przy sobie Helvis, której palce pieściły go po karku, więc takie wspomnienia nie powinny mieć doń dostępu.

Turgot wyciągnął ręce nad stołem, by sięgnąć po migdały. Wrzucił garść w usta, a potem spróbował zakłąć.

— Śmierzący czosnek! — wydusił wreszcie, splukując smak potężnym łykiem wina. — W Duchy nie paskudzimy dobrego jedzenia tym świństwem. — Znow się napił, a jego twarz straciła żołnierską twardość, gdy pomyślał o swoim domu.

— No cóż, ja to lubię — rzekła Mavia, potrząsając głową. Jej włosy błysnęły w świetle pochodni niczym czerwone złoto, miały bowiem barwę samego płomienia. Na poparcie swych słów zjadła jeden, potem drugi migdał. Marek przypuszczał, że przybyła do Imperium dawno temu jako córka najemnika i zdążyła przyzwyczać się do smaku videssańskiego jedzenia. Turgot, zgarbiony nad kubkiem wina, nagle posmutniał. Wydawał się zmęczony i stary.

Wrócił Videssańczyk, którego krzesło zaanektował Gajusz Filipus. Przez chwilę stał niezdecydowanie, podczas gdy przyjaciele wyjaśniali mu, co się stało. Później odwrócił się niepewnie w stronę Rzymianina, bowiem wypił już sporo wina.

— Ty, panie, słuchaj... słuchaj... — wyjąkał.

— Idź do domu i wytrzeźwiej — poradził mu wcale grzecznie starszy centurion. Miał na głowie inne sprawy; nie był zainteresowany bijatyką. Jego oczy pożądliwie przywierały do ciemnych sutków kurtyzany, doskonale widocznych pod cienkim materiałem.

Na ten sam obiekt skierowało się pełne podziwu spojrzenie Viridoviksa. Dopiero gdy pijany Videssańczyk zaczął protestować, Celt jakby go zauważył. Wybuchnął śmiechem i powiedział do Gaiusa Philippusa:

— Jasne, że ten biedny opój zapomniał, że siusiak służy nie tylko do sikania, ale i do dużo przyjemniejszej rzeczy!

Mówił w języku cesarstwa, żeby wszyscy siedzący przy złączonych stołach mogli pośmiać się z

zartu. I tak było, ale obrażony mężczyzna również go zrozumiał. Stęknął z gniewu i zamachnął się dziko prawą ręką.

Viridoviks skoczył na nogi, szybko niczym kot, mimo wypitego wina. W jego zielonych oczach rozbłysło rozbawienie innego rodzaju.

— Na honor, nie powinienesz być tego robić — powiedział. Złapał pechowego Videssańczyka, podniósł go i posadził w olbrzymiej wazie z gulaszem z morskich żółwi, która stała na środku stołu jego towarzyszy.

Mocny stół nie zarwał się, ale tłusty zielonkawy gulasz i kawałki białego mięsa bryznęły na wszystkie strony. Pijak niemrawo majtał nogami, próbując się wydostać, zaś jego przyjaciele, schla-pani jedzeniem, klęli, pluli i wycierali twarze.

— Co ty robisz, ty parchata rybo, ty zarażona zakała ludzkiego rodu, ty cuchnąca, zawszona, zukogłowa kanalio! — wrzeszczała kurtyzana Gajusza Filipusa, wycierając się bez większych efektów. Spory kawałek mięsa tkwił w jej włosach nad złotym kółkiem w prawym uchu, ale ona o tym nie wiedziała.

A Celt nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej wymyślne przekleństwa. Mężczyźni, których za pośrednictwem Videssańczyka ochlapał, ruszyli ku niemu — jeśli nie z wielką zręcznością, to z determinacją. Viridoviks rozłożył pierwszego, ale drugi chlusnął mu winem w twarz. Podczas gdy Celt prychnął i sapał, tamten rzucił się na niego, a w sekundę później w jego ślady podążył następny.

Gajusz Filipus i Gawtruz z Thatagush odciągnęli ich na bok.

— Dwóch na jednego to nieuczciwe — oświadczył uprzejmie starszy centurion i szarpnął swojego człowieka w jedną stronę. Gawtruz, nie strzepiąc języka, pchnął swojego w drugą. Jeżeli obaj rozjemcy mieli nadzieję na stłumienie bijatyki, to nie mogli zrobić niczego gorszego. Odepchnięci zatoczyli się na stoły, zderzając z dwoma mężczyznami przy jednym, a z kobietą przy drugim. Polało się jedzenie i wino. To, co dotychczas było prywatną sprzeczką, w jednej chwili przerodziło się w ogólną awanturę.

Upiorne wycie Viridoviksa, będące wyrazem zadowolenia z bijatyki, zagłuszyło zirytowane okrzyki właściciela oberży i szczęk tłuczonych naczyń. Dwa stoły momentalnie stały się obleżonym bastionem i wyglądało na to, że szturmują je wszyscy inni obecni w jadłodajni.

Marek słyszał już nieraz o burdach Viridoviksa, ale dotychczas nie brał w niczym takim osobistego udziału. Kubek ze świstem przeleciał obok jego głowy i roztrzaskał się o ścianę. Tłusty Videssańczyk trzasnął go w brzuch.

— Uff. — sapnął trybun i zwinął się we dwoje. Zamachnął się i walnął na odlew w brzuch grubasa.

— Wybaczcie mi, proszę — powiedział Taso Vonesa i zanurkował pod stół, pociągając za sobą Plakidię Teletze. Dziewczyna pisnęła w ramach protestu i zniknęła.

Marek pomyślał, że to najbardziej przyzwoita bijatyka, w jakiej kiedykolwiek brał udział. Może wszyscy uczestnicy byli w odświętnych nastrojach, a może to po prostu Viridoviks, z gruntu poczciwa dusza, nadał charakter rozpoczętej przez siebie burdzie? Niezależnie od powodów, nikt nie wykazywał najmniejszej ochoty sięgnięcia po noże, które wisiały u większości pasów. Wszyscy okładali się wzajemnie z wyraźnym upodobaniem, ale nie dochodziło do poważnych obrażeń.

— Uhu! — pokrzykiwał Skaurus, wymachując pięściami na wszystkie strony. Ktoś złapał go za tunikę i wrzucił mu za kołnierz czarę osłodzonego syropem śniegu. Centurion miał wrażenie, że po jego plecach mknie milion lodowatych mrówek.

Właściciel karczmy biegał od jednej pochłoniętej bijatyką grupki do drugiej, wrzeszcząc:

— Przestańcie! Przestańcie natychmiast, mówię wam! — Nikt nie zwracał na niego uwagi, póki tłusty Videssańczyk zdenerwowany tym hałasem, nie trzasnął go w bok głowy. Karczmarz, zataczając się, wybiegł w noc. — Straż! Straż! — Jego krzyki cichły stopniowo, gdy pędził w dół ulicy.

Jakiś mieszczuch zaszarżował na Arigha syna Arghuna, który był od niego prawie o połowę mniejszy. Ręce i nogi zakotłowały się w powietrzu — Marek nie mógł zobaczyć, co się dzieje, bowiem wymieniał ciosy z rzygającym winem człowiekiem — Videssańczyk rąbnął w ziemię i znieruchomiał. Jakakolwiek była technika walki wręcz Arigha, była skuteczna.

Prawie przy uchu trybuna pękł z trzaskiem talerz. Marek okręcił się i zobaczył oddalającego się chwiejnie Videssańczyka. Mężczyzna trzymał się za głowę, a Helvis miała jeszcze w ręku kawał talerza.

— Dziękuję, kochanie — powiedział trybun. Ona zaś uśmiechnęła się i skinęła.

Ale nie była jedyną Namdalajką potrafiącą poradzić sobie w czasie bijatyki. Mavia i dziwka Gajusza Filipusa walczyły z zapamiętaniem; szczypały, drapały i targały się za włosy, ale nietrudno było zauważyć, że blondynka jest zdecydowanie lepsza. Jej przeciwniczka również była dzielna; kiedy starszy centurion spróbował ją odciągnąć, rozorała mu paznokciem policzek, o włos mijając oko.

— No to zostań i walcz, ty parszywa suko! — wrzasnął rozwścieczony Gajusz Filipus, zominając o resztkach rycerskości.

Katakolon Kekaumenos nadal popijał swoje wino — bąbelek spokoju w oceanie harmideru. Jeden z walczących pochopnie wziął jego opanowanie za tchórzostwo i od tyłu zaczął wywracać mu krzesło. Ledwo sprzęt zaczął się ruszać, Kekaumenos stał na nogach i odwracał się ku Videssańczykowi. Trzasnął go raz w twarz i raz w brzuch, potem podniósł bezwładne ciało nad głowę i wyrzucił je przez okno. Zrobiwszy to, poprawił krzesło i wrócił do swego wina, znów pozornie ospałym niczym śnieżny lampart po obfitej uczcie.

— To cię oduczy lekceważenia ucziwego człowieka, no nie? — ryknął za znikającym w oknie Videssańczykiem Viridoviks. Nie otrzymał odpowiedzi.

Trybun zarobił cios nad uchem. Zobaczył gwiazdy, ale jego napastnik zawył zaciskając lewą dłoń wokół złamanego kciuka, gdy Skaurus, zbyt doświadczony, by samemu wyprowadzać cios tego samego rodzaju, trzepnął go w dołek. Mężczyzna zwinął się wpół i upadł, łapczywie chwytając powietrze. Turgot i Gawtruz jednocześnie skoczyli na niego.

— W porządku, wystarczy! — rozbrzmiał od strony drzwi naznaczony obcym akcentem tenor. — Przestańcie, bo inaczej potraktujemy was drzewcami włóczni! — Do jatki w głównej izbie karczmy wpadli Vaspurakanerzy w kolczugach. — Spokój, powiedziałem! — powtórzył oficer, a ktoś krzyknął, gdy jeden z żołnierzy spełnił jego pogroźkę.

— Witaj, Senpacie — mruknął niewyraźnie Marek. Trzymał jedną rękę w ustach, próbując sprawdzić, czy tylny ząb mu się nie rusza. Ruszał się. Splunął czerwoną śliną i zapytał: — Jak twoja pani?

— Nevrata? Świetnie... — Młody vaspurakański szlachcic przerwał w połowie zdania, a na jego przystojnej twarzy pojawił się komiczny wyraz zaskoczenia. — Ty, Skaurusie, w tawernianej burdzie? Ty, wrażliwy, trzeźwy człowiek, który powstrzymuje innych od wdawania się w kłopoty? Na Vaspura Pierworodnego, nie uwierzyłbym, gdybym nic widział tego na własne oczy.

— Herezja — mruknął ktoś, ale po cichu, bo po izbie kręciło się piętnastu vaspurakanerów, wszyscy uzbrojeni po zęby.

Zażenowany trybun tak dalece zapomniał o swych stoickich zasadach, że zrzucił winę na kogoś innego.

— To wina Viridoviksa. On zaczął.

— Nie słuchaj go nawet przez sekundę, drogi Sviodo rzekł Celt do Senpata. — Cieszył się różną jak wszyscy inni. — I Marek, którego krew nadal burzyło wino i bijatyka, nie mógł zaprzeczyć.

Oberżysta, patrząc w pełnej przerażenia konsternacji na powywracane stoły, połamane krzesła, potłuczone naczynia i pół tuzina wytworów jego kuchni walających się po całej izbie, wydał skrzek rozpaczy. Nie dość, że jadłodajnia była zniszczona, to ten wzgardzony przez Phosa cudzoziemski kapitan straży okazał się przyjacielem rozrabiaków!

— Kto za to wszystko zapłaci? — jęknął.

Nagle zapadła cisza. Ludzie patrzyli na siebie, na swych nieprzytomnych towarzyszy, na drzwi — pełne vaspurakanerów.

— Lepiej, żeby ktoś zapłacił — ciągnął oberżysta, a przygnębienie ustąpiło groźbie w jego głosie — albo całe miasto dowie się, dlaczego tego nie zrobiliście, a wtedy...

— Zamknij się — warknął Skaurus; widział w Videssos dostatecznie dużo zamieszek przeciwko cudzoziemcom, by nie pragnąć żadnej innej. Sięgnął do pasa. Oczy karczmarza rozszerzyły się ze strachu, ale trybun szukał sakiewki, nie miecza.

— Podzielimy się równo kosztami — powiedział, spoglądając na wszystkich uczestników bijatyki.

— Dlaczego i mnie wliczasz? — zapytał Gorgidas. — Nie pomagałem w demolowaniu tego miejsca. — Mniej więcej było to prawdą; Grek, nie zainteresowany rozróbami nijakiego rodzaju, trzymał się na uboczu.

— Zatem nazwij to swoją grzywną za wątrobę pełną mleka — zawył Viridoviks. — Jeżeli wykręcisz się sianem, co powstrzyma resztę tych omadhaunów od zrobienia tego samego?

Gorgidas spiorunował go wzrokiem i otworzył usta, by wyklócać się dalej, ale Kwintus Glabrio dotknął jego ramienia. Młodszy centurion był drugim, który nie uważał bijatyki za rozrywkę, ale podpuchnięta warga i siniak na policzku wskazywały, że nie próżnował. Mruknął coś Gorgidasowi do ucha. Grek schylił głowę na zgodę.

Nikt inny nie zgłaszał sprzeciwu. Skaurus odwrócił się do właściciela karczmy.

— W porządku, na ile wyceniasz zniszczenia? — Widząc przed sobą cudzoziemskiego najemnika, karczmarz podwoił cenę. Ale trybun roześmiał mu się w twarz, wiata że zdoła się oszukać kogoś doskonale zorientowanego w sprawach podatkowych, była najwyższą głupotą. Oberżysta wzdrygnął się i wezwał Phosa, gdy usłyszał propozycję Skaurusa, ale stał się bardziej rozsądny. Szybko doszli do porozumienia.

— Nie zapomnijcie o tym, który leży tam w śniegu — podpowiedział Senpat Sviodo. — Im więcej udziałowców, tym mniej każdy płaci. — Trzej z jego ludzi wciągnęli nieprzytomnego i spryskali mu twarz wodą. Cucenie zabrało kilka dobrych minut; Marek cieszył się, że Kekaumenos jest przyjacielem.

— To wszyscy? — zapytał, rozglądając się po zdemolowanej sali.

— Chyba tak — powiedział Gajusz Filipus, ale Gawtruz wtrącił:

— A gdzie jest Vones? — Miał zadowolony wyraz twarzy, bowiem uwielbiał wystawiać na pośmiewisko swego kumpla dyplomate.

Wszyscy zaczęli się rozglądać, ale nikt nie znalazł małego Khatrisha. Wtem Viridoviks powiedział:

— Gołąbek zmył się z pola walki. — I podniósł serwetę. Plakidia Teletze wrzasnęła. Vones, szybciej myślący, wyrwał serwetę z ręki Viridoviksa i ściągnął na dół.

— Błagam o wybaczenie — powiedział Viridoviks uprzejmie niczym ambasador — ale kiedy skończysz, z przyjemnością zamienimy z tobą słówko. — Potem wysiłek zachowania powagi okazał się zbyt wielki i Celt zwinął się ze śmiechu.

W chwilę później Vones, układny jak zawsze, wyłonił się spod stołu.

— To nie było to, na co wyglądało — rzekł dobrotliwie. — Wyłącznie zbieg okoliczności. Rozumiecie, po prostu upadliśmy.

Arigh wyszczerzył zęby i przerwał mu:

— Masz rozpięty rozporek, Taso.

— A, tak. — Ani trochę nie zbity z tropu Vones uporządkował ubranie. — Zatem, panowie, ile wynosi moja zapłata za udział w festynie? — Plakidia wyszła spod stołu, nim skończył zdanie. Odskoczyła od niego; na znak Senpata Sviodo jego ludzie rozstąpili się i pozwolili jej wyjść.

— To nie nam powinienes zapłacić, nie nam — zarechotał Viridoviks. Skaurus wsunął rękę do sakiewki i wyciągnął garść srebra. Odliczył kilka monet; na jedną sztukę złota składało się ich dwadzieścia cztery. Zauważył, że paru miejscowych zapłaciło swoją część fałszowanymi złotymi monetami Ortaiasa, lecz nawet wtedy właściciel oberży był jakby niezadowolony.

Gajusz Filipus również to zobaczył i pogardliwie zmrużył oczy.

— Mogłeś dostać stal, nie złoto — podkreślił, bawiąc się rękojeścią krótkiego miecza. Wyglądał na człowieka, który ma za sobą dziesiątki takich awantur i wiele z nich kończył właśnie w taki sposób. Oberżysta nerwowo zwilżył usta, przeliczył monety i oznajmił, że jest zadowolony. Prawdę mówiąc, raczej nie kłamał; zbyt często tym, co otrzymywał po bijatykach, były wyłącznie pogroźki.

— Wstąp przy okazji do koszar — powiedział Marek do Senpata Sviodo, gdy wyszli z oberży. — Ostatnio nieczęsto cię widzujemy.

— Wstąpię — obiecał młody szlachcic. — Wiem, że powinienem zrobić to już dawno, ale w mieście było tyle do obejrzenia. To jest jak inny świat. — Skaurus skinął na znak, że rozumie. W porównaniu z Videssos vaspurakańskie miasta przypominały zabite deskami wsie.

Kurtyzana w żółtym stroju spróbowała powrócić do Gajusza Filipusa, ale on, z nadal piekącym policzkiem, odprawił ją radą bardziej uszczypliwą od udzielonej karczmarzowi. Ona w odpowiedzi pokazała mu dwa palce — gest znany każdemu Videssańczykowi — i spojrzała zalotnie na grubasa, którego Marek trzasnął w żołądek. Odeszli ramię w ramię.

Starszy centurion spojrzał za nią z wściekłością. Viridoviks zachichotał.

— Ho, ho, nieczęsto spotyka się tak marnotrawnych mężczyzn jak ty. W tej dziewczynie płonął istny ogień; uraczyłaby cię rzadką przejażdżką.

— Kobiety! — mruknął Gajusz Filipus, jak gdyby to słowo wyjaśniało wszystko.

— Poznanie ich, drogi Rzymianinie, wymaga jedynie czasu, a wtedy nie znajdziesz w nich niczego dziwnego — powiedział Viridoviks. — A poza tym dają człowiekowi niemało przyjemności, nieprawdaż, moje drogie, moje kochane? — Zgarnął wszystkie trzy w ramiona; to, w jaki sposób dziewczyny przytuliły się do niego, dobitniej od wszelkich słów wyrażało ich opinię.

Gajusz Filipus robił co mógł, by nie dać się wytrącić z równowagi; Marek był prawdopodobnie jedynym, który zauważył jego zaciskające się szczęki i zwężające się oczy. Docinek Celta tym razem drasnął głęboko, chociaż sam Viridoviks nie zdawał sobie z tego sprawy. Kiedy Celt otworzył usta, by rzucić kolejną ciętą uwagę, trybun nastąpił mu na nogę.

— Au! Uważaj, ty niezdarny cymbale! — krzyknął Viridoviks, podskakując na jednej nodze. — O co ci chodzi?

Skaurus przeprosił, i to naprawdę szczerze; w pośpiechu nacisnął mocnej, niż zamierzał.

— No, to w porządku — powiedział Gal. Przeciągnął się rozkosznie. — Zaprawdę, ta burda nie była złym sposobem na rozpoczęcie wieczoru, chociaż trochę nudnym. Chodźmy do następnej karczmy i zróbmy to je... och, ty wredny kundlu, to nie był przypadek! — Trybun nastąpił mu na drugą stopę.

Viridoviks schylił się i cisnął mu w twarz gaść śnieżnego puchu. Marek, z policzkami szczypiącymi z zimna i brwiami białymi od śniegu, nie pozostał dłużny — podobnie jak Helvis, której też przy okazji się dostało. W jednej chwili wszyscy zaczęli obrzucać wszystkich, śmiejąc się i wykrzykując radośnie. Marek był zadowolony; walka na śnieżki była bezpieczniejsza od większości rzeczy, jakie Viridoviks uważał za rozrywkę.

Gdy siedziało się bezpiecznie w Videssos, nietrudno było wyobrazić sobie, że Imperium nadal włada wszystkimi swoimi ziemiami — albo byłoby to łatwe, gdyby Skaurus nie musiał zmagać się z imperialnymi zeznaniami podatkowymi. W swoim biurze miał mapę zachodnich krain, pokazującą poszczególne dzielnice. Większość miast i wiosek na nadmorskich nizinach oznaczona była szpileczkami z brązu, które oznajmiały, że agenci Imperium zdołali w nich zebrać należne podatki. Jednakże centralne płaskowyże, naturalne tereny nomadów, takich jak Yezda, były nie tknięte. Co gorsza, długi jezior tej samej złowieszczej pustki wysuwał się na wschód, w dolinę rzeki Arandos i sięgał w kierunku Garsavry. Gdyby to miasto padło, przed najeźdźcami otworzyłaby się droga na wybrzeże Morza Żeglarzy.

Baanes Onomagoulos był równie dobrze świadom tej ponurej prawdy, jak imperialne ministerstwo finansów. Posiadłości wielmoży leżały niedaleko Garsavry i jego cierpliwość, w stosunkach z Imperatorem nigdy nie nazbyt wielka, z każdym raportem o nadciąganiu Yezda wyczerpywała się coraz bardziej.

Imperator znał przyczyny stałych upomnień Onomagoulosa i wiedział, że w pewien sposób są one usprawiedliwione. Znosił je z niezwykłym opanowaniem; Marek nigdy nie podejrzewał Thorisina o tyle zimnej krwi. Wysłał do doliny Arandos tyle wojska, ile tylko mógł. Według Skaurusa pomoc ta była dużo większa, niż stać było zagrożone na całym zachodzie Videssos. Ale Onomagoulos na każdym posiedzeniu imperialnej rady żądał jeszcze więcej ludzi.

W końcu Thorisinowi skończyła się cierpliwość. Mniej więcej sześć tygodni po zimowym festynie powiedział swemu nienasyconemu marszałkowi:

— Baanesie, nie zrobię ci żołnierzy z powietrza, a Garsavra nie jest jedynym słabym punktem

Videssos. Nomadowie prą z Vaspukaranu w kierunku Pitos i tak samo najeżdżają od południa. A zima jest dość ostra, by zmrozić Astris, więc Khamorthci prawdopodobnie ruszą na południe i będą chcieli wiedzieć, co o tym myślimy. Kompania, którą wysłałem na zachód przed dziesięcioma dniami, musi być ostatnią.

Onomagoulos przeciągnął palcami po czaszce; Marek przypuszczał, że gest ten pochodzi z czasów, gdy rosły tam włosy.

— Dwustu siedemdziesięciu pięciu ludzi! Ha! — wykrzyknął kwaśno. — Ilu Namdalajczyków, tak, i innych cholernych cudzoziemców — dodał, zerkając na Skaurusa — siedzi beczynnie tu w mieście, obżerając się jak wieprze?

Drax odpowiedział z zimną logiką najemnika, której Marek się po nim spodziewał.

— Dlaczego Jego Wysokość miałby rzucać ludzi do walki, do której nie są przystosowani? Jesteśmy ciężiej uzbrojeni niż wy, Videssańczycy. W większości przypadków jest to korzystne, ale w głębokim śniegu stajemy się wolni i niezdarni, co czyni nas łatwym łupem lekkich koni nomadów.

— Ta sama prawda odnosi się do moich ludzi, ale co więcej, my nie dosiadamy koni — powiedział Marek.

Sprzeczką mogłaby zostać ułagodzona, bowiem Onomagoulos był żołnierzem i żołnierskie racje trafiały mu do przekonania, ale tak się złożyło, że na naradzie zamiast przedsiębiorczego Utpranda był obecny Soteryk. Zawzięty szwagier Skaurusa przyczepił się do drwiącej wypowiedzi Baanesa na temat Namdalajczyków i odplacił mu tym samym.

— Wieprze, co? Ty cholerna, zarozumiała żmijo, gdybyś wiedział wszystko o nomadach, nie dałbyś się złapać w pułapkę pod Maraghą. Wtedy nie siedziałbyś tutaj, ganiąc rezultat własnej głupoty!

— Ty barbarzyński bękarcie! — wrzasnął Onomagoulos. Krzesło wywróciło się, gdy próbował zerwać się na nogi; ręka śmignęła do rękojeści miecza. Ale chroma noga ustąpiła pod jego ciężarem i musiał przytrzymać się stołu. Rana ta była pamiątką po wspomnianej przez Soteryka bitwie, więc Namdalajczyk roześmiał się złośliwie.

— Zechcesz powstrzymać swój brudny jęzor? — syknął do niego Skaurus. Drax położył mu ostrzegawczo rękę na ramieniu, ale Soteryk strząsnął ją gniewnie. Ani on, ani Utprand nie mieli powodów, by kochać wielkiego hrabiego.

Onomagoulos w końcu odzyskał równowagę. Wyszarpnął szablę.

— Stawaj, suczy synu! — zawył, nieledwie wychodząc z siebie z wściekłości. — Jedna noga wystarczy, by rozprawić się z takim śmieciem!

Soteryk zerwał się gwałtownie. Marek i Drax, siedzący po jego obu stronach, chcieli go złapać i powstrzymać, ale to ryk Thorisina zmroził wszystkich obecnych — Rzymianina i wielkiego hrabiego nie mniej, niż rwących się do walki oficerów.

— Dość! — ryknął ponownie Imperator. — Na światło Phosa, jesteście gorsi od dwójki berbeci-ów wyklócających się, który z nich zgubił cukierek. Mertikes, podaj Baanesowi krzesło — zdaje się, że źle je odstawił. — Zigabenos zerwał się, by wykonać polecenie. — Teraz obaj usiądźcie i milczcie, skoro nie macie do powiedzenia niczego sensownego. — Zajęli miejsca, przynaglani groźnym wzrokiem. Soteryk był nieco zawstydzony, ale Onomagoulos niewiele czynił, by ukryć kipiącą w nim wściekłość.

Videssański wielmoża, zwracając się do Gavrasa jak do małego chłopca, upierał się:

— Garsavra musi dostać więcej żołnierzy, Thorisinie. To bardzo ważne miasto, samo w sobie i z powodu położenia.

Imperator zadygotał poznając ton, który słyszał od Onomagoulosa od tak wielu lat. Ale nadal starał się odpowiadać rzeczowo:

— Baaesie, dałem Garsavrze co najmniej dwa i pół tysiąca ludzi. Razem z pachotkami, jakich zbierzesz ze swoich posiadłości, z pewnością wystarczy wojowników, by wstrzymać Yezda do wiosny. Wiesz, że wcześniej nie przedrą się przez śniegi, bo pełzną przez nie w ślimaczym tempie jak wszyscy inni. Planuję uderzyć na nich z nadejściem wiosny i nie mam zamiaru rozdzielać głównych sił uderzeniowych na oddział tu, a kompanię tam, dopóki nic mi nie zostanie.

Onomagoulos zacisnął szczęki; jego szpiczasta broda wskazała na Gavrasa.

— Powtarzam, że ci ludzie są potrzebni. Dlaczego nie słuchasz głosu zdrowego rozsądku?

Nikt z obecnych przy stole nie miał ochoty spojrzeć Thorisinowi w oczy w trakcie takiej reprimendy. Wszyscy patrzyli tam, gdzie on. Imperator rzekł tylko:

— Nie dostaniesz ich — ale w jego głosie dzwięczała stal. Wszyscy usłyszeli ostrzeżenie z wyjątkiem Onomagoulosa, który w gniewie krzyknął:

— Twój brat dałby mi ich!

Marek miał ochotę zniknąć. Gdyby Baanes szukał nawet przez rok, nie znalazłby gorszego argumentu. Zazdrość Thorisina o przyjaźń między Mavrikiosem a Onomagoulosem była wręcz legendarna. Thorisin, zapominając o imperatorskim dostojeństwie, pochylił się do przodu i ryknął:

— Dałby ci po pysku za twoją bezczelność, ty kulawy kurduplu!

— Ty szczeniaku, ślepy na świat przed własnym nosem! — Baanes nie wrzeszczał na Autokratora, ale na małego braciszka swego nieodłącznego towarzysza.

— Ty śmieciu ze sterty gówna! Myślisz, że twoje posiadłości są warte więcej od całego Imperium?!

— Zmieniałem ci pieluchy, zasmarkany zasańcu! — Miotali wyzwiska i przekleństwa przez dobrą minutę, nieświadomi obecności innych. Wreszcie Onomagoulos wstał raz jeszcze, krzyząc: — Na Phosa, nie licz na żadnego człowieka z Garsavry! Nie zostanę w tym samym mieście co ty, bo od twojego smrodu odpada mi nos.

— Jest za duży — odciął się Thorisin. — Dobrej drogi; Videssos jest dla ciebie zamknięte.

Do tej pory — pomyślał Skaurus — powinienem przywyknąć do widoku ludzi wychodzących z godnością z narad u Thorisina. Baanes Onomagoulos co prawda kulał, ale efekt pozostawał taki sam. Gdy dotarł do drzwi z polerowanego brązu, odwrócił się i obrzucił Imperatora pogardliwym wzrokiem, na co ten odpowiedział obscenicznym gestem. Onomagoulos splunął na podłogę, jak robią Videssańczycy przed piciem i jedzeniem, by pokazać, że odrzucają Stokosa, i wykuśtykał w śnieg.

— Na czym stanęliśmy? — zapytał Imperator.

Marek spodziewał się, że Baanes wróci do łask Thorisina, bowiem złość Imperatora była gwałtowna jak powódź, ale równie szybko opadała. Onomagoulos jednakże był bardziej zawzięty. Dwa dni po burzliwej naradzie wielmoża dotrzymał obietnicy — przepłynął przez Koński Bród i wyruszył do Garsavry.

— Nie podoba mi się to — powiedział trybun, gdy usłyszał nowiny. Chociaż był w rzymskich koszarach, rozejrzał się bacznie, nim ściszoną głosem dodał: Jawnie poderwał autorytet Imperatora. — Pomyślał z niezadowoleniem, że ostrożność wypowiedzi jest ceną za życie w Imperium.

— Obawiam się, że masz rację — powiedział Gajusz Filipus. — Gdybym był Gavrasem, przywłóknąłbym go z powrotem w łańcuchach.

— Obaj mówicie bez sensu — oświadczył Viridoviks. — To Gavras pozwolił mu odejść, a dokładniej, rozkazał.

— Może rozkazał mu paść trupem — powiedział Gorgidas — ale na pewno nie odejść i rozpocząć kolejną wojnę domową. — Podniósł brwi i spojrzął z ironią na Gala. — Kiedyż się wreszcie nauczysz, że słowa mogą wyrażać jedno, a znaczyć co innego?

— Och, myślisz, że jesteś takim szczwanym Grekiem. Ale powiem ci, że gdyby to mój dom był w niebezpieczeństwie, starałbym się go bronić, i niech лихо weźmie każdego, kto by próbował mnie powstrzymać, łącznie z mną samym. — Gal splótł ręce na piersiach, jakby ośmielał lekarza do wyrażenia sprzeciwu.

Jednakże Gajusz Filipus prychnął na niego.

— Prawdopodobnie tak byś zrobił, i może w zamian straciłbyś swój dom i wszystkich swoich sąsiadów. Oto co się dzieje, gdy najpierw myśli się o sobie, a na końcu o swych bliźnich. Jak myślisz, dlaczego Cezar mógł walczyć z celtyckimi klanami po jednym naraz?

Viridoviks przygryzł obwisły wąż; docinek starszego centuriona był celny. Ale odpowiedział:

— To nie ma najmniejszego znaczenia. Podzieleni czy nie, zadamy wam takiego bobu, że będziecie zmykać z podkulonymi ogonami.

— Nie ma szans — powiedział Gajusz Filipus i znów zaczęła się stara dyskusja. Nawet po przybyciu Rzymian do Videssos wyklócali się, kto wygra walkę w Galii. Obaj traktowali pytanie poważnie, chociaż — czy może ponieważ — nie mogli na nie odpowiedzieć.

Marek nie miał ochoty ich słuchać i udał się do swego biura w skrzydle Wielkiego Dworu. Tutaj czekały go inne problemy, a ich rozwiązanie wydawało się wcale nie łatwiejsze niż dyskusja przyjaciół.

Pandhelis znosił mu księgi i raporty nie kończącym się strumieniem. Dane równie często wyjaśniały, jak gmatwały różne kwestie. Videssańscy biurokraci ze swym retorycznym wykształceniem czerpali dumę z czynienia ich treści tak niejasną, jak tylko możliwe. Próbując przegryźć się przez gąszcz ledwo zrozumiałych aluzji, Skaurus zastanawiał się, dlaczego kiedykolwiek zamarzył o politycznej karierze.

Tej nocy zasnął przy biurku, ogłupiony stosem podatkowych dokumentów wypisanych charakterem tak drobnym, że męczyły mu się oczy. Legioniści byli już na placu ćwiczeń, gdy wyruszył do koszar. Szedł Ulicą Środkową, by się do nich przyłączyć i zjeść maczaną w miodzie twardą bułkę z żytniej mąki, którą kupił na placu Palamasa.

Był kolejny mroźny dzień, w powietrzu wirowały płatki śniegu. Kiedy zbliżył się do łaźni o imponującej fasadzie ze złocistego piaskowca i białego marmuru, jego entuzjazm do zajmowanego stanowiska nagle zmalował do zera. Uśpił sumienie i wszedł do środka. Powiedział sobie, że zasypianie pod nawąłem pracy wystarcza, by każdy poczuł się podle. Przy drzwiach właściciel łaźni uśmiechnął się szeroko, wziął od niego miedziaka i wskazał mu drogę do rozbieralni. Marek dał drugiego miedziaka chłopcu, który miał dopilnować, by nie ukradziono mu ubrania, gdy będzie zażywał kąpieli. Z westchnieniem ulgi zdjął płaszcz z owczej skóry, tunikę i spodnie.

Prowadziły go głosy kąpiących się. Jak w Rzymie, tutaj także łaźnie służyły nie tylko do utrzymania higieny, ale były miejscami spotkań towarzyskich. Sprzedawcy kiełbasek, wina i ciastek zachwalali swoje towary; człowiek zajmujący się usuwaniem owłosienia polecał swe usługi amatorom. Mężczyzna zamilkł na chwilę, a potem Skaurus usłyszał wrzask klienta, któremu zaczęto wyskubywać pachę.

Zazwyczaj trybun ze stoickim samozaparciem ograniczał się do zimnej kąpieli, ale nie zniósłby czegoś takiego po wejściu z mrozu. Pocił się przez pewien czas w łaźni parowej, która skutecznie pozwalała zapomnieć o zimie. Dopiero wtedy zimna kąpiel wydawała się nie torturą, a przyjemnością. Marek wyskoczył z basenu, gdy lodowata woda zaczęła kąsać mu skórę, i rozłożył się na kafelkach, by odprężyć się przed kąpielą w przyjemnie ciepłej wodzie w drugim basenie.

— Podrapać cię, panie? — zapytał młodzieniec z zakrzywionym *strigilisem* w dłoni.

— Tak, proszę — powiedział trybun. Wziął ze sobą drobne, by płacić właśnie za tego typu luksusy, bo podrapanie się samemu po plecach było dla kąpiącego się dość karkołomne. Westchnął,

gdy przyjemnie szorstki *strigilis* przesuwał się po jego skórze.

Wokół niego pulchni mężczyźni w średnim wieku sapali, zmagając się z ciężarami. Masażyści okładali stękające ofiary, to klepiąc po ramionach na płask, to składając dłonie w łódki, czemu towarzyszył hałas do złudzenia przypominający bicie w bębny. Trzej młodzi ludzie grali w videssańską grę zwaną *trigonem*, polegającą na niespodziewanym podawaniu sobie piłki. Robili zmyłki i krzyczeli. Gdy tylko jeden upuszczał piłkę, pozostali dwaj wołali, że stracił punkt. W kącie grupka poważniejszych obywateli spędzała poranek na grze w kości.

Rozległ się okropny plusk, gdy ktoś wskoczył do basenu z ciepłą wodą w sąsiedniej sali. Żartowniś, złajany przez schlapanych ludzi, ani trochę nie był speszony. Po wydmuchnięciu wody z nosa i ust zaczął śpiewać dźwięcznym barytonem.

— Wszyscy myślą, że to brzmi cudownie w czasie kąpieli — powiedział młodzieniec ze *strigilitem*, krytycznie potrząsając głową. Pozował na konesera muzyki łaźniowej. — Ale trzebi przyznać, że nie jest zły, mimo tego śmiesznego akcentu.

— Nie, nie jest — zgodził się Marek, chociaż miał słuch tak kiepski, że z trudnością potrafił odróżnić zły śpiew od dobrego. Ale tylko jeden człowiek w Videssos miał taki akcent. Wręczył młodzieńcowi ostatniego miedziaka, wstał i poszedł przywitać się z Viridoviksem.

Celt stał twarzą do wejścia i przerwał w połowie nuty, gdy zobaczył trybuna.

— Czyżby to on? Tak, we własnej osobie, przyszedł zmyć z siebie atrament! — krzyknął. — I przydałoby się zmyć też co innego, bo jest tego sporo!

Skaurus spojrział w dół. Czuł, że przybrał na wadze, ale nie zdawał sobie sprawy, że rezultat jest tak bardzo widoczny. Zirytowany przebiegł trzy kroki i skoczył do ciepłej wody dużo zgrabniej od Viridoviksa. Był to płytki skok; woda w basenie sięgała ledwo do piersi.

Podpłynął do Celta. Obaj wyróżniali się wśród ciemnowłosych Videssańczyków o oliwkowej skórze: Marek — ciemny blondyn, z opaloną trwale twarzą, rękami i nogami, ale resztą ciała dużo bledszą; i Viridoviks, o różowobiałej galijskiej karnacji, która nijak nie chciała się opalić, ze strzechą spalonych słońcem miedzianych włosów na głowie oraz jasnymi loczkami na klatce piersiowej, na brzuchu i podbrzuszu.

— Znowu się obijasz — powiedzieli jednocześnie i razem wybuchnęli śmiechem. Żaden nie śpieszył się do wyjścia. Woda była ogrzana do tej doskonałej temperatury, w której skóra przestaje ją rejestrować. Marek pomyślał o srożącej się na zewnątrz zimie i zdecydował, że zostaje.

Mały chłopiec, przyciągnięty być może przez odmienność Celta, chlapnął go wodą od tyłu. Viridoviks odwrócił się i zobaczył roześmianego wroga.

— Zrób to jeszcze raz! — ryknął, udając rozwścieczenie, i odwzajemnił się z nawiązką. Baraszkowali, póki ojciec nie zabrał opierającego się syna z basenu. Viridoviks pomachał do obu, gdy odchodzili. — Wspaniały malec i wspaniały czas — powiedział do Skaurusa.

— Wnosząc z twojego wyglądu, miałeś wspaniały czas ubiegłej nocy — odparł trybun. Miał okazję obejrzeć plecy i ramiona Viridoviksa, gdy Gal odwrócił się w trakcie zabawy z chłopczykiem. Widniały na nich zadrapania niewątpliwie zadane przez kobiece paznokcie. Jedno czy dwa — pomyślał Skaurus — musiały krwawić; nadal były czerwone.

Viridoviks pogładził wąsy, dosłownie mrużąc z zadowolenia. Powiedział kilka zdań po celtycku, po czym znów przeszedł na łacinę, którą wołał od videssańskiego.

— Prawda, to istna kocica — oznajmił, uśmiechając się na samo wspomnienie. — Nie możesz tego zobaczyć pod włosami, ale pod koniec odgryzła mi kawałek ucha.

Był w tak wspaniałym nastroju, że Marek zapytał:

— Która to była? — Trudno mu było wyobrazić sobie którąś z trzech kobiet Celta w roli dzikiej kocicy. Wyglądały na zbyt uległe.

— Och, żadna z nich — odparł Viridoviks, rozumiejąc pytanie i wcale nim nie zgniewany: po prostu lubił się chwalić. — Są dość dobre, nie przeczę, jednakże przychodzi taki czas, gdy zbyt wiele słodyczy zaczyna przyprawiać człowieka o wymioty. Ale ta nowa! Jest chuda, prawda, ale dzika i chutliwa niczym wilczyca w rui.

— Ty to masz dobrze — powiedział Skaurus. Pomyślał, że Viridoviks prawdopodobnie namówi tę nową do przyłączenia się do swego stadka. Celt miał dryg do takich rzeczy.

— Tak, jest pod każdym względem taka, jak sobie wyobrażałem — ciągnął radośnie Gal. — Od kiedy bezczelnie puściła do mnie oko, tam na zamglonej plaży wiedziałem, że nie będzie miak nic przeciwko zwabieniu pod prześcieradła.

— Ty to... — zaczął powtarzać trybun, lecz przerwał w połowie zdania i zamilkł z przerażenia, gdyż dotarło do niego pełne znaczenie słów Viridoviksa. Zaczął się rozglądać, by zobaczyć, kto mógł ich usłyszeć, i dopiero po dłuższej chwili przypomniał sobie, że przecież rozmawiają po łacinie. Był za to wdzięczny — i tylko za to. — Czy chcesz mi powiedzieć, że zadarłeś spódnicę Komitty Rhangawe?

— Nie jesteś za bystry, co? Ale to spódnica sama się uniosła. Słowo! W życiu nie widziałem takiej pożądlivej szparki.

— Czyś ty upadł na głowę, człowieku? Zabawiasz się z kochanką Imperatora, nie z jakąś dziewczynką z tawerny.

— I co z tego? Celtycki szlachcic ma prawo do czegoś lepszego od zwykłej ładacznicy — rzekł dumnie Viridoviks. — Poza tym, jeśli Tborisin nie chce, bym zabawiał się z jego panią, niech wcześniej chodzi do łóżka. Inaczej nie doczeka się synów.

— A ty chcesz mu dać rudzielca? Jeżeli nie dowie się tego w inny sposób, to pozna kukułkę po piórach.

Viridoviks zachichotał, ale Rzymianin nie skłonił go do zmiany zdania. Był zadowolony z siebie

i należał do ludzi, którzy nie myślą o jutrze. Znów zaczął śpiewać skoczną miłosną piosenkę. Zawatowało mu pół tuzina Videssańczyków, a melodia odbijała się echem od ścian. Marek w tym czasie próbował zdecydować, czy utopienie Celta tu i teraz zmieniliby stan rzeczy na lepszy czy na gorszy.

XI

Pandhelis, gdzie schowałeś rejestr podatkowy dla Kybistry za rok ubiegły? — zapytał Skaurus. Sekretarz przejrzał zwoje pergaminu i ze skrucną rozłożył ręce. Mruczając przekleństwa, Skaurus wstał od biurka i wyszedł na korytarz, by sprawdzić, czy potrzebny dokument nie znajduje się u Pikridiosa Goudeles.

Wytworny biurokrata podniósł głowę na widok wchodzącego do jego biura trybuna. Obaj traktowali się z czujnym respektem od czasu, gdy Skaurus zaczął nadzorować pracowników urzędu w imieniu Thorisina Gavrasy.

— Jakie sprzeniewierzenia wyciągnąłeś na światło dzienne tym razem? — zapytał Goudeles. Jak zawsze w jego słowach krył się szyderczy podtekst.

Kiedy Marek powiedział mu, czego potrzebuje, Goudeles ożywił się.

— Powinien być gdzieś tutaj — powiedział. Przejrzał po kolei przegródki, rozwijając po parę cali każdego pergaminu, by zobaczyć, co zawierają. Kiedy poszukiwania nie doprowadziły do pożądanego rezultatu, jego ruchliwe brwi ściągnęły się z rozdrażnienia. Kazał paru urzędnikom sprawdzić w sąsiednich pomieszczeniach, ale oni również wrócili z niczym. Biurokrata spochmurniał jeszcze bardziej. — Zapytaj mola i mysz — zasugerował.

— Nie, prawdopodobnie wytresowałeś je, by kłamały na twoją korzyść — powiedział Marek. Kiedy Rzymianin zaczął wykonywać wyznaczoną mu przez Imperatora pracę, Goudeles na próbę podesłał mu kilka sfalszowanych akt. Trybun zwrócił je bez komentarza i w zamian otrzymał coś, co wyglądało na prawdziwą współpracę. Zastanawiał się, czy nie była to kolejna, bardziej subtelna pułapka.

Ale Goudeles w zadumie pocierał starannie utrzymaną brodę.

— Tego katastera może w ogóle tu nie być — rzekł z wolna. — Może już został złożony w archiwach na Ulicy Środkowej. Nie powinien, jest przecież nowy, ale nigdy nie wiadomo. Ja w każdym razie go nie mam.

— W porządku, spróbuję tam. Jeżeli na próżno, to przynajmniej rozprostuję nogi. Dzięki, Pikridiosie. — Goudeles ospale machnął ręką. Dziwny typek — pomyślał Skaurus — wygląda i zachowuje się jak zblazowany urzędnik prawie do stanu autoparodii, ale posiada wytrwałość pozwalającą

mu na konfrontację z samym Thorisinem Gavrasem. No cóż — powiedział sobie — tylko w komediach ludzie są jednoznaczni.

Brazowe płyty na ulicach w drodze od Wielkiego Dworu do forum były wilgotne i śliskie. Śnieg, dotychczas pokrywający trawniki w kompleksie pałacowym, w większości już zniknął. Słońce na błękitnym niebie było prawie gorące. Trybun podejrzliwie zmierzył je wzrokiem. Parę tygodni wcześniej też tak było, po czym nastąpiła najgorsza śnieżycą zimy. Jednakże może tym razem słoneczny dzień zapowiadał prawdziwą wiosnę.

Trybun dobrze orientował się, co go czeka w urzędzie, w którym mieściło się archiwum — i nie zawiódł się. Urzędnicy przeganiali go od jednego zakurzonego regału do drugiego, póki nie zaczął nienawidzić zapachu starych pergaminów. Nie znalazł ani śladu poszukiwanego dokumentu. Prawdę mówiąc, nie natknął się na ani jeden, który miałby mniej niż trzy lata. Niektóre były dużo starsze; znalazł taki, który wspominał o Namdalen jako o części Imperium, chociaż wyblakłe i dziwne archaiczne pismo uniemożliwiało uzyskanie stuprocentowej pewności.

Kiedy pokazał starożytny zwój sekretarzowi odpowiedzialnemu za te akta, ten powiedział:

— Nie musisz patrzeć na mnie tak, jakbyś mnie obwiniał. Co spodziewałeś się znaleźć w archiwum poza starymi dokumentami? — Zdawał się zgorzony, że ktoś może oczekiwać, iż prezentuje mu coś nowego.

— Przetrzęsnałem obydwie piętra budynku — powiedział Skaurus, walcząc z ogarniającym go zniecierpliwieniem. — Czy jest jakieś inne miejsce, w którym może poniewierać się ten pieprzony dokument?

— Przypuszczam, że mógłby być w lochach pod więzieniem — odparł sekretarz. Jego ton dawał do zrozumienia, że sam w to nie wierzy. — Tam są składowane prawdziwe antyki.

— Skoro tu jestem, mogę spróbować.

— Weź lampę — poradził sekretarz — i trzymaj wyciągnięty miecz. Szczury tam na dole nieczęsto są niepokojone i mogą być niebezpieczne.

— Wspaniale — mruknął trybun. Niemniej jednak uzyskał od sekretarza użyteczną informację; chociaż wiedział, że w imperialnych biurach mieszczą się więzienia, nie zdawał sobie sprawy, że coś jest jeszcze pod nimi. Sprawdził, czy lampa jest pełna oleju.

Był zadowolony, że ją zabrał, gdy tylko ruszył po schodach wiodących do więzienia, bowiem nawet one leżały poniżej poziomu ulicy i nie docierało tutaj światło dnia. Jedyne pochodnie migocące w żelaznych uchwytach, osadzonych co kilka stóp, rozjaśniały wieczny mrok. Chropowate kamienne ściany ponad nimi były czarne od sadzy, której nie usuwano od wielu lat.

Była pora więziennego posiłku. Dwóch znudzonych strażników pchało korytarzem między celami skrzypiący wózek. Dwaj inni, prawie równie znudzeni, kryli ich przygotowanymi do strzału łukami. Strażnicy rozdawali kromki czarnego, pełnego otręb chleba, małe czarki rybnej zupy, która

nie pachniała zbyt świeżo, i gliniane kubki z wodą. Pożywienie było żałosne, ale więźniowie tłoczyli się przy kratkach. Jeden skrzywił się, gdy posmakował zupę.

— Znowu myślisz w niej nogi, Podopagouosie — powiedział.

— Tak, potrzebowały tego — odparł niewzruszenie strażnik.

Trybun musiał zapytać o drogę do leżących niżej piwnic. Przeszedł między rzędami cel do małych drzwi, których zawiasy zaskrzypiały okropnie. Jak w przypadku wielu innych drzwi w budynku, nad tymi też była osadzona podobizna Imperatora. Ale Skaurus zamrugał na widok portretu, na którym widniał pyzaty starzec z krótką białą brodą. Kto...? Podniósł lampę i przeczytał towarzyszący wizerunkowi tekst: „Niech Phos ma w swej opiece Autokratora Strobilosa Sphrantzesa”. Minęło ponad pięć lat, od kiedy Strobilos przestał być Imperatorem.

Na długo zanim dotarł do podnóża schodów, Marek wiedział, że nigdy nie znajdzie potrzebnego dokumentu, nawet jeżeli tam był. Mała gliniana lampka nie dawała dużo światła, ale zdołał w jej blasku dostrzec przypadkowo spiętrzone skrzynie z aktami. Niektóre były poprzewracane, a ich zawartość, na wpół pogrzebana w kurzu i pleśni, wałała się po podłodze. Powietrze było ciężkie jak w grobowcu. Lampa zamigotała. Skaurus poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Nie mogłoby być gorszego losu od za gubienia się tu na dnie, samemu w ciemności. Nie całkiem samemu; gdy płomień znów rozbłysnął Skaurus zobaczył dziesiątki lśniących zielono oczu. Trybun pomyślał nerwowo, że niektóre z nich są zdecydowanie wyżej nad ziemią, niż przystało na szczurze ślepie.

Zawrócił, zamykając za sobą starannie małe drzwi. Strobilos gapił się na niego bez śladu zainteresowania; nawet nadworny artysta miał kłopoty z przedstawieniem go inaczej, niż jako tępaka.

Oświetlony jasnymi i wesołymi pochodniami poziom więzienny wydawał się prawie atrakcyjny w porównaniu z tym niższym. Strażnicy z wózkiem przesunęli się nie więcej niż o sześć czy siedem cel. Ich rytm był powolny, prawie hipnotyczny — bochenek w lewo, czarka z zupą na prawo; czarka na lewo, bochenek na prawo; dzbanek z wodą na obie strony; przesunięcie skrzypiącego wózka pod kolejne kraty i od nowa to samo.

— Hej, ty tam! — zawołał ktoś z jednej celi. — Tak, ty, cudzoziemcze! — Marek miał zamiar iść dalej przekonany, że nikt tutaj nie może mówić do niego, ale drugie wołanie zatrzymało go. Rozejrzał się ciekawie.

Nie rozpoznał Tarona Leimmokheira w wyświechtanym płóciennym więziennym stroju. Eksadmiral stracił na wadze, a jego włosy i broda były długie i rozczochrane; miesiące spędzone w pozabawionej słońca ciemnicy ograbiły go z żeglarskiej opalenizny. Ale gdy Skaurus podszedł do celi, zobaczył, że Leimmokheir nadal nosi się z wojskową godnością. Sama cela, na ile to możliwe, była schludna i czysta, prawdę mówiąc porządniejsza od korytarza.

— Czego chcesz, Leimmokheirze? — zapytał trybun niezbyt grzecznie. Człowiek po drugiej stronie zardzewiałych krat kiedyś nastawał na jego życie i został skazany na więzienie za próbę

zamordowania Imperatora, którego Rzymianin popierał.

— O ile to możliwe, chciałbym, żebyś przekazał wiadomość Gavrasowi. — Słowa były prośbą, ale głęboki chrapliwy głos zachował rozkazujący ton, chociaż jego właściciel był więźniem. Marek czekał.

Leimmokheir odczytał wyraz jego twarzy.

— Och, nie jestem takim głupcem, by prosić o uwolnienie. Wiem, że nie mam szans. Ale na Phosa, cudzoziemcze, powiedz Imperatorowi, że więzi niewinnego człowieka. Na Phosa i jego światło, na nadzieję na niebo i na strach przed lodem Skotosa, przysięgam. — Nakreślił znak słońca na piersi i powtórzył chrapliwie: — Więzi niewinnego!

Skazaniec z sąsiedniej celi, mężczyzna o wąskiej, przebiegłej twarzy łasicy i ziemistej cerze, łypnął koso na Skaurusa i zawołał:

— Tak, wszyscy tutaj jesteśmy niewinni! Wiesz, właśnie dlatego nas tu trzymają, by uchronić nas przed winnymi na wolności. Niewinni! — Jego śmiech sprawił, że słowo to zabrzmiało niczym sprośny żart.

Jednakże Rzymianin zatrzymał się niezdecydowanie. Leimmokheir mógł być bosy i potargany, ale jego mowa nadal miała pewną cechę, którą Marek zauważył, gdy po raz pierwszy usłyszał admirała na plaży w środku nocy. Jego głos wywoływał wrażenie, że należy do człowieka, który nie chce albo nie umie kłamać. Oczy więźnia wwierciły się w oczy trybuna i Skaurus pierwszy opuścił powieki.

Podjechał wózek. Trybun podjął decyzję.

— Zrobię co w mojej mocy — obiecał. Leimmokheir przyjął jego słowa nie skinieniem, ale schyleniem głowy i położeniem prawej ręki na sercu. Był to salut, jaki imperialny żołnierz oddaje zwierzchnikowi. Skaurus pomyślał, że jeśli jest to gra, to zasługuje na nagrodę.

Zaczął żałować danego słowa jeszcze przed powrotem do kompleksu pałacowego. Jakby nie miał dość własnych kłopotów! Próba przekonania Gavrasa, że być może popełnił błąd, mogła się okazać fatalna w skutkach. Thorisin był bardziej nieufny w stosunku do swoich pomocników niż Mavrikios i Marek musiał przyznać, że nie bez powodu. Jeżeli Imperator kiedykolwiek dowie się, że trybun planował dezercję... Lepiej o tym nie myśleć.

Z drugiej strony, jeżeli uda mu się zbliżyć do Imperatora przez Alypię Gavrę, to może nie wzbudzi podejrzeń; tym bardziej, jeżeli księżniczka stanie po jego stronie. Może przynajmniej dowie się, co ona myśli o Leimmokheirze, dzięki czemu zyska lepsze pojęcie o tym, na ile może ufać byłemu admirałowi. Marek trzasnął pięścią w dłoń, zadowolony z własnej przemyślności.

Może Alypia będzie wiedziała, gdzie zapodział się ten przeklęty dokument — pomyślał.

Mizizios, służący-eunuch, zapukał delikatnie do okazałych drzwi. Jak większość portali w małym odrębnym budynku, będącym prywatną siedzibą imperatorskiej rodziny, były zdobione intarsjami z hebanu i czerwonego cedru.

Skaurus usłyszał, jak księżniczka mówi:

— Tak, wprowadź go. — Mizizios skłonił się i nacisnął srebrną klamkę.

Wszedł za trybunem do komnaty, ale Alypia machnęła ręką.

— Zostaw nas samych. — Widząc wahanie eunucha, dodała: — Śmiało; moja cnota jest przy nim bezpieczna. — Marek pomyślał, że nie tylko rozkaz, ale zawarta w nim gorycz przyśpieszyły ucieczkę eunucha.

Ale po chwili, gdy księżniczka zaproponowała Rzymianinowi krzesło, znów była pełna wdzięku. Poczęstowała go winem i ciastkami.

— Dziękuję, Wasza Wysokość — powiedział. — To uprzejmie z twojej strony, żeś przyjęła mnie bez stosownego uprzedzenia. — Z przyjemnością zjadł jedno z ciasteczek. Było nadziane rodzynkami i orzechami i posypane cynamonem; lepsze od gęsi — pomyślał. Nadal dręczyło go wspomnienie świątecznego posiłku.

— Mój stryj dał nam obojgu jasno do zrozumienia, że oszustwa urzędników są kwestią najwyższej wagi, prawda? — zagadnęła, wznosząc lekko brwi. Skaurus zastanowił się, czy postanowiła go zaskoczyć zmianą tematu, czy też kpiła sobie z niego? Nie potrafił w najmniejszym stopniu przejrzeć Alypii Gavry, a nie sądził, by ona miała z tym kłopot w stosunku do niego. Czuł, że księżniczka ma nad nim zdecydowaną przewagę.

— Jeżeli przeszkadzam... — zaczął i zawiesił głos.

— Nie mam do roboty nic, co nie mogłoby poczekać — odparła, wskazując na biurko jak jego własne załadowane zwojami i księgami. Zdołał przeczytać złocony tytuł na grzbiecie oprawnego w skórę tomu: „Kronika Siedmiu Królestw”. Ona zobaczyła, na co patrzy, i skinęła głową. — Historia wymaga czasu.

Samo biurko było proste, sosnowe, nie lepsze od tego, przy którym pracował Marek. Reszta mebli, łącznie z krzesłami, na których, siedzieli, była równie skromna. Jedyłą ozdobą była ikona nad biurkiem: surowy wizerunek Phosa.

Na pierwszy rzut oka księżniczka wyglądała prawie równie surowo. Miała na sobie bluzkę i spódnicę w kolorze ciemnobrązowym, bez żadnej biżuterii. Jej włosy ściągnięte były w mały, ciasny kok na karku. Ale w zielonych oczach — będących rzadkością wśród Videssańczyków — widniało ironiczne rozbawienie, skutecznie łagodzące surową pozę.

— O jakie nadużycie gryzipiórków chodzi? — zapytała, i Skaurus również w jej głosie usłyszał rozbawienie.

— O żadne — przyznał — chyba że przypadkiem wiesz, co zrobili z aktami podatkowymi Ky-

bistry.

— Nie wiem — odparła natychmiast — ale z pewnością mag znajdzie je dla ciebie.

— Hmm, może spróbuję — powiedział zdumiony Skaurus. Ten pomysł nie wpadł mu do głowy. Mimo lat spędzonych w Videssos, nadal nie akceptował magii i rzadko uświadamiał sobie, że mógłby z niej korzystać. Zastanowił się, ile magicznych praktyk odprawia się wokół niego. On ich nie zauważał, ale dla Videssańczyków stosowanie czarów było czymś tak powszednim, jak zakładanie płaszcza dla ochrony przed zimnem.

Te rozmyślenia rozwiały się, gdy przypomniał sobie o głównej przyczynie złożenia wizyty księżniczce.

— Prawdę mówiąc, nie przyszedłem w sprawie urzędowej — zaczął i przedstawił historię spotkania z Taronem Leimmokheirem.

Alypia stała się poważna, czujna i skupiona. Ten wyraz doskonale pasował do jej twarzy. Marek, patrząc na nią, pomyślał o bogini Minerwie. Po zakończeniu jego sprawozdania milczała przez dłuższą chwilę, po czym zapytała:

— Co sądzisz na ten temat?

— Nie wiem, w co wierzyć. Świadczące przeciwko niemu dowody są niepodważalne, ale jednak gdy pierwszy raz usłyszałem jego głos, pomyślałem, że słowo tego człowieka jest dobrą monetą. I to mnie nęka.

— Może masz rację. Znam Leimmokheira od pięciu lat; od czasu, gdy mój ojciec zasiadł na tronie, i nigdy nie widziałam, by admirał zrobił coś nieuczciwego czy nikczemnego. — Kąciki jej ust uniosły się w niewesołym uśmiechu. — Nawet traktował mnie tak, jakbym była prawdziwą Imperatorową. Może był na tyle prostolinijny, by tak uważać.

Skaurus wsparł brodę na grzbiecie dłoni i spojrzał na podłogę.

— Wobec tego porozmawiam z twoim stryjem, zgoda? — Nie cieszyła go ta perspektywa, bowiem Thorisin w kwestii Leimmokheira miał własne zdanie.

Alypia również to rozumiała.

— Pójdę z tobą, jeżeli chcesz.

— Będę wdzięczny — rzekł szczerze. — Dzięki temu zmniejszy się prawdopodobieństwo uznania mnie za zdrajcę.

Uśmiechnęła się.

— Miejmy nadzieję. Mamy poszukać go teraz? Nagie gałęzie drzew rzucały już długie cienie.

— Jutro wystarczy. Chciałbym zobaczyć, co robią moi ludzie. Nie mam po temu tak wielu okazji, jak powinienem.

— Zgoda. Mój stryj lubi rankiem jeździć konno, więc spotkajmy się w południe przed Wielkim Dworem. — Wstała, co było znakiem, że audiencja dobiegła końca.

— Dziękuję — powiedział Marek, również wstając.

Wziął jeszcze jedno ciastko z emaliowanej tacy, potem uśmiechnął się do siebie, gdy coś mu się przypomniało. Jadł takie ciastka wcześniej i wiedział, kto je upiekł.

— Są równie dobre jak te, które pamiętam — powiedział. Po raz pierwszy zobaczył, że rezerwa Aypii zniknęła.

Oczy księżniczki rozszerzyły się lekko, ręka zatrzepotała, jakby chciała odrzucić komplement.

— Zatem do jutra — rzekła cicho.

— Do jutra.

Po powrocie do koszar trybun dostał się w wir dyskusji. Gorgidas popełnił błąd, próbując wyjaśnić greckie pojęcie demokracji Viridoviksowi i udało mu się jedynie osiągnąć to, że celtycki szlachcic popadł w bezbrzeżne zdumienie.

— To całkowicie niezgodne z naturą — podsumował Gal. — Wszak sami bogowie wynieśli niektórych ponad innych. — Arigh syn Arghuna, który przyszedł w odwiedziny do Viridoviksa i raczył się winem, z wigorem pokiwał głową.

— Bzdura — powiedział Skaurus. Rzymscy patrycjusze też próbowali wynieść jednego nad resztę ludzi. Minęły wieki, nim to się udało.

Ale Gorgidas zwrócił się do niego, warcząc:

— Co sprawiło, żeś pomyślał, że potrzebuję *twojej* pomocy? Twoja bezcenna rzymska republika również ma swoich arystokratów, chociaż oni kupują sobie tytuły, zamiast je dziedziczyć. Dlaczego Krassus jest człowiekiem godnym wysłuchania, jeśli nie z powodu worków z pieniędzmi?

— O co się kłócicie? — zapytał niecierpliwie Arigh; wzmianka o Krassusie znaczyła dla niego tyle co nic, a niewiele więcej dla Viridoviksa. Jednakże Arshaum był synem naczelnika i wiedział, co myśleć o idei Greka. — Klan posiada swoją szlachtę z takich samych powodów, z jakich armia ma swoich generałów. Kiedy nadchodzą kłopoty, ludzie wiedzą, za kim podążyć.

Gorgidas odpalił:

— A dlaczego podążać za kimś jedynie z powodu jego urodzenia? Mądrość byłaby lepszym przewodnikiem.

— Jeśli przychodzisz z pola z nogami brudnymi od gnoju i mówisz jak urodzony cham, nikt nie będzie chciał słuchać twych mądrości — powiedział Viridoviks.

Na płaskiej twarzy Arigha malowała się pogarda dla wszystkich ziemian; szlachty i chłopów, ale poparł stanowisko Celta. W chrapliwej, urywanej mowie powiedział do Gorgidasa:

— Cudzoziemcze, pozwól, że opowiem ci pewną historię, która pokaże, o co mi chodzi.

— Historię? Zaczekaj chwilę, dobrze? — Lekarz wybiegł truchcikiem i wrócił z tabliczką i

stylusem. Jeżeli cokolwiek mogło ostudzić jego zamiłowanie do dyskusji, to tylko perspektywa dowiedzenia się więcej o świecie, w którym przyszło mu żyć. Ustawił rylec nad woskiem. — W porządku, zaczynaj.

— Stało się to parę lat temu, rozumiecie — zaczął Arigh. — Wśród Ashraumów, którzy walczą pod sztandarem Czarnej Owcy, bliskich sąsiadów klanu mego ojca. Jeden z ich wojennych wodzów, imieniem Kuyuk, był człowiekiem nikczemnego rodu, ale miał dryg do władzy. Obalił naczelnika klanu tak schludnie, że tylko proszę, ale ponieważ nie był synem wielmoży, szlachetnie urodzeni niechętnie robili to, co kazał. Jednakże był bystry i obmyślił sobie pewien plan.

Jedną z rzeczy pozostawionych przez uciekającego naczelnika klanu była złota miednica do mycia nóg. Szlachta myła w niej nogi, tak, i sikala do niej czasami. Kuyuk kazał złotnikowi stopić naczynie i przekuć je na kształt ducha wiatru. Ustawił fetysza między namiotami i wszyscy członkowie klanu Czarnej Owcy zaczęli go czcić.

— Brzmi to jak coś z Herodota — powiedział Gorgidas. Drobne przejrzyste spirale wosku wysnuwały się spod jego szybkiego stylusa.

— Z czego? W każdym razie Kuyuk pozwolił, by ten stan rzeczy trwał przez jakiś czas, po czym zwołał swych butnych szlachciców. Zdradził im, skąd wziął się fetysz i powiedział: „Myliście nogi w tej misie i sikaliście do niej, a nawet rzygaliście. Teraz czcicie ją, ponieważ ma kształt ducha. Ta sama prawda odnosi się do mnie: kiedy byłem człowiekiem z ludu, mogliście lżyć mnie do woli, ale jako naczelnik klanu wymagam szacunku dla zajmowanego stanowiska”.

— Och, co za zmyślny człowiek! — zawołał Viridoviks z podziwem. — To powinno nauczyć ich moresu.

— Ani trochę! Najpoważniejszy wielmoża, który zwał się Mutugen, wbił nóż w serce Kuyuka. Potem wszyscy szlachetnie urodzeni zebrali się wokół i obsikali jego trupa. Mutugen powiedział: „Złoto jest złotem bez względu na kształt, a podle urodzony pozostaje podle urodzonym nawet w koronie na głowie”. Syn Mutugena, Tutukan, jest naczelnikiem Czarnej Owcy do dziś dnia. Nie chcieli podążyć za nikim innym.

— Prawda, szlachcice nie chcieli — powiedział Marek — ale co z resztą klanu? Czy przykro im było widzieć zabitego Kuyuka?

— Kto wie? A zresztą, co za różnica? — odparł szczerze zdumiony pytaniem Arigh. Viridoviks klepnął go po plecach na zgodę.

Gorgidas wyrzucił ręce w powietrze. Teraz, w bardziej pokojowym nastroju dzięki etnograficznym dociekaniami, miał chęć przyznać rację Skaurusowi. Powiedział:

— Nie pozwól, by cię omotali, Rzymianinie. Oni nie doświadczyli demokracji i mają o niej nie większe pojęcie, niż ślepy o kolorach.

— Ha! — mruknął Viridoviks. — Arigh, co powiesz, byśmy razem znaleźli jakąś arystokratycz-

ną tawernę i obalili dzbanek czy dwa szlachetnych winorośli? — Celt i niski żyłasty człowiek równin wymaszerowali z baraku ramię w ramię.

Notatki Gorgidasa i jego własna wizyta u Alypii Gavry przypomniły Markowi o innych zainteresowaniach greckiego lekarza.

— Jak tam historia, którą spisujesz? — zapytał.

— Posuwa się, Skaurusie, po troszeczkę, ale się posuwa.

— Mogę zobaczyć? — zapytał Rzymianin, nagle zaciekawiony. — Moja greka nigdy nie była najlepsza, wiem, i ostatnio zardzewiała, ale chciałbym spróbować, jeśli mi pozwolisz.

Gorgidas zawaha! się.

— Mam tylko jeden egzemplarz. — Ale o ile nie pisał wyłącznie dla siebie, trybun mógł być jedynym czytelnikiem jego pracy w oryginale, a żaden widessański przekład — jeżeli taki powstanie — nie mógł być taki sam. — Ale uważaj; pilnuj, by twój berbec jej nie wysmarował.

— Oczywiście — zapewnił go Skaurus.

— Zatem zgoda, przyniosę ci ją, albo część wartą przeczytania. Nie, zostań, nie kłopotz się. Sam przyniosę. — Grek wyszedł do swej kwatery w sąsiedniej sali. Wrócił z paroma zwojami pergaminu, które niechętnie podał Markowi.

— Dziękuję — powiedział trybun, ale Gorgidas przerwał uprzejmości niecierpliwym ruchem ręki. Marek znał go dobrze; lekarz miał wielkie serce, ale nie lubił przyznawać tego nawet przed sobą.

Skaurus zabrał pergaminy do własnej kwatery, zapalił lampę, rozłożył się na łóżku i zaczął czytać. Gdy zapadł zmierzch zrozumiał, jak nędzne i chwiejne jest to światło. Pomyślał o kapłanie Apsimarze w Imbros i aurze perłowej jasności, którą ascetyczny duchowny mógł tworzyć na zawołanie wokół własnej głowy. Czasami magia była pomocna, chociaż Apsimar wołałby o pomstę do boga, gdyby poproszono go, aby służył jako lampa do czytania...

Skaurus skoncentrował się na historii Gorgidasa. Z początku czyni! niewielkie postępy. Nie czytał po grecku od kilku lat — przykro byto wiedzieć, ile słów z gromadzonego w bólach słownika zagubiło się po drodze. Jednakże im dalej się zagłębiał, tym lepiej pojmował, że Grek stworzył — jak nazwał to Tukidydes? — *ktema as aei*, ponadczasowe dzieło.

Styl Gorgidasa był przyjemnie bezpośredni; lekarz posługiwał się płynną *koine* greką, z jedynie nielicznymi oryginalnymi wyjątkami dla przypomnienia, że pochodzi z Elis, miasta, w którym mówiono doryckim dialektem. Ale jego historia miała do zaoferowania coś więcej, niż tylko przyjemny styl. Była w niej zawarta prawdziwa myśl. Gorgidas stale starał się sięgnąć poza zwykłe wypadki i naświetlić zasady, jakie one ilustrują. Marek zastanowił się, czy nie było to zasługą jego medycznego wykształcenia. Lekarz musi rozpoznawać prawdziwą naturę choroby, nie tylko leczyć symptomy.

I tak, kiedy mówił o antynamdalajskich zamieszkach w Videssos, skrupulatnie przedstawiał, co się stało w konkretnym przypadku, ale dodawał uwagę: „Tłum miejski uwielbia kłopoty i jest nieroztropny z natury; to sprawia, że wewnętrzny konflikt może okazać się bardziej niebezpieczny i trudniejszy do zduszenia niż walka z nieprzyjacielem zewnętrznym”. Była to prawda odnosząca się nie tylko do tego Imperium.

Weszła Helvis, przerywając Markowi tok rozmyślań. Miała Dostiego na ręku i prowadziła za rękę Malrika. Starszy chłopiec, syn Hemonda, uwolnił się i skoczył Skaurusowi na brzuch.

— Spacerowaliśmy po nabrzeżu! — zawołał z nieokiełznanym entuzjazmem pięciolatek. — I mama kupiła mi kiełbasę, i oglądaliśmy odpływające statki...

Marek uniósł pytająco brwi.

— Bouraphos — wyjaśniła Helvis. Trybun skinął. Nadszedł czas, by Thorisin wysłał do Pityos pomoc przeciwko Yezda, a flota drungariosa mogła dotrzeć do portu na Morzu Videssańskim na długo przed siłami idącymi lądem.

Malrik trajkotał dalej; Skaurus słuchał półtuchem. Helvis postawiła Dostiego. Chłopiec próbował stać o własnych siłach, ale przewrócił się i na czworakach popęzł w stronę ojca. — Ta! — zawołał. — Ta-ta-ta! — Dotarł do rolki pergaminu, którą trybun odstawił na podłogę. Pamiętając na wpeł poważne ostrzeżenie Gorgidasa, Marek zabrał pergamin. Twarz dziecka spochmurniała. Marek złapał synka i zaczął go podrzucać, co chyba przywróciło mu dobry humor.

— Mnie też — poprosił Malrik, ciągnąc Skaurusa za rękaw.

Trybun starał się nie faworyzować własnego syna.

— W porządku, bohaterze, ale jesteś trochę za duży, bym mógł to zrobić na leżąco. — Trybun wstał, podał Dostiego Helvis, potem zaczął podrzucać pasierba tak wysoko, że chłopiec aż pisał z radości.

— Wystarczy — zdecydowała praktyczna Helvis — bo nie zdoła utrzymać tej kiełbasy. — Do syna powiedziała: — I tobie też wystarczy, młody człowieku. Przygotuj się do łóżka. — Po zwykłych protestach Malrik zdjął koszulę i spodnie i wsunął się pod koce. Zasnął natychmiast.

— A jak cię uratować przed tym? — zapytała Helvis, podnosząc Dostiego i wskazując na pergamin. — Czy zamierzasz sypiać z podatkami?

— Mam nadzieję, że nie! — zawołał Marek; byłaby to perwersja, która nie uradowałaby nawet Vardanesa Sphrantzesa. Trybun pokazał Helvis historię Gorgidasa. Dziwne pismo wywołało niezadowolony wyraz na jej twarzy. Chociaż potrafiła przeczytać tylko parę słów po videssańsku, znała litery i była stropiona tym, że inne znaki też mogą symbolizować dźwięki.

Coś zbliżonego do strachu pojawiło się w jej oczach, gdy powiedziała do Skaurusa:

— Czasami prawie zapominam, z jak daleka pochodzisz, kochanie, a potem jakaś błahostka niespodzianie przypomina mi o tym. To twoja łacina, prawda?

— Nie całkiem — odparł trybun. Spróbował jej to wyjaśnić, ale dostrzegł, że to wprawiło ją w zakłopotanie. Hehis nie potrafiła również zrozumieć jego zainteresowania przeszłością.

— To minęło, minęło na zawsze. Co może być bardziej bezużyteczne? — powiedziała.

— A jak można łudzić się, że zrozumie się to, co nastąpi, bez wiedzy, co stało się wcześniej?

— Co ma być, to będzie, niezależnie od tego, czy to rozumiem, czy nie. Chwila obecna wystarcza mi aż nadto.

Marek potrząsnął głową.

— Obawiam się, że drzemie w tobie wcale niemały barbarzyńca — powiedział przyjaźnie.

— I co z tego? — W jej spojrzeniu kryło się wyzwanie. Włożyła Dostiego do kołyski.

On wziął ją w ramiona.

— Nie uskarżam się — powiedział.

Skaurusa zawsze bawiło to, jak studenci i nauczyciele Akademii Videssańskiej przyglądają mu się, gdy chodzi korytarzami budowli z szarego piaskowca. Mogli być kapłanami czy szlachcicami, siwobrodymi profesorami czy utalentowanymi synami wyplacaczy lin, ale widok dowódcy najemników zawsze powodował, że ciekawie odwracali głowy.

Cieszył się, że Nepos przychodzi wcześniej na zajęcia. O ile dopisałoby im szczęście, pyzaty mały kapłan mógł znaleźć zaginiony wykaz podatkowy przed wyznaczonym spotkaniem z Alypią Gavrą. Na początku wyglądało na to, że trybunowi los sprzyja, bowiem Nepos rozpoczynał wykłady jeszcze wcześniej, niż myślał. Kiedy zajrzał do refektarza, zaspany student powiedział:

— Tak, był tutaj, ale już poszedł na wykład. Dokąd? Chyba do jednej z sal na drugim piętrze, nie jestem pewien do której. — Młody człowiek wrócił do swej słodzonej miodem kaszy jęczmiennej.

Marek popędził po schodach, a potem zaglądał w otwarte drzwi sal, póki nie znalazł Neposa. Zajął wolne miejsce z tyłu. Nepos rozpromienił się na jego widok, aie me przerwał wykładu. Około tuzina studentów gryzmoliło notatki, próbując za nim nadążyć.

Od czasu do czasu jeden z nich zadawał pytanie. Nepos rozprawiał się z problemami bez wysiłku, ale cierpliwie, zawsze na koniec wyjaśnień pytając: — Teraz rozumiecie? — Skaurus mógłby odpowiedzieć, że nie. Na ile mógł się zorientować, poruszana przez kapłana kwestia leżała gdzieś na pograniczu teologii i czarów, i zdecydowanie była zbyt niejasna dla niewtajemniczonych. Niemniej jednak trybun uznał Neposa za świetnego mówcę, dowcipnego, myślącego i opanowanego.

— To wszystko na dzisiaj — powiedział patriarcha w chwili, gdy Marek zaczął się niecierpliwić. Większość studentów wyszła. Paru zapytało jeszcze o sprawy zbyt skomplikowane, by omawiać je w trakcie wykładu. Oni, wychodząc, również zerkali ciekawie na Skaurusa.

Podobnie jak Nepos.

— No, no—roześmiał się, potrząsając ręką trybuna. — Co cię tu sprowadza? Z pewnością nie głębokie zainteresowanie stosunkiem między wszechobecnością łaski Phosa a właściwym stosowaniem prawa kontaktu.

— O nie — odparł Skaurus. Ale kiedy wyjaśnił cel swej wizyty, Nepos wybuchnął śmiechem, aż mu policzki poczerwieniały. Trybun nie widział w tym nic śmiesznego i nie omieszkał tego powiedzieć.

— Proszę cię, wybac. Mam dwa powody do wesołości. — Kapłan na podkreślenie słów wyciągnął dwa palce. — Po pierwsze, dla takiej drobnostki nie trzeba profesora, do którego należy katedra teoretycznej taumaturgii. Byle jaki czarnoksiężnik z rogu ulicy mógłby znaleźć twój zaginiony rejestr za parę sztuk srebra.

— Och. — Marek poczuł, że twarz mu czerwienieje. — Ale nie znam żadnego czarnoksiężnika z rogu ulicy, za to znam ciebie.

— Racja, jak najbardziej. Nie zrozum mnie źle; pomogę ci z przyjemnością, ale dla tak prostego czaru mag o mojej mocy jest nie bardziej potrzebny, niż młot kowalski do wbicia szpilki w gazę. Właśnie to wydało mi się zabawne.

— Nigdy nie twierdziłem, że wiem cokolwiek o magii. Co poza tym cię rozbawiło? — Trybun próbował ukryć swe zakłopotanie pod maską opryskliwości.

— Tylko to, że okazało się, iż temat dzisiejszego wykładu miał związek z twoim problemem. Dzięki nieograniczonej dobroci Phosa rzeczy niegdyś połączone, pozostają z sobą spokrewnione, przez co może zostać nawiązany między nimi kontakt. Masz może rejestr podatkowy z miasta bliższego Kybistrze?

Skaurus zastanowił się.

— Tak, w biurze pracuję nad dochodami z Doxonu. Nie znam dobrze tej części Imperium, ale z map wiem, że te dwa miasta leżą w odległości tylko dnia drogi.

— Wspaniale! Używanie jednego .zwoju do szukania drugiego wzmacnia czar. Prowadź, przyjacielu. Nie, nie bądź głupi, przedpołudnie mam wolne, a to nie potrwa długo, obiecuję.

W drodze przez dzielnicę pałaców kapłan ani na chwilę nie przestawał mówić. Opowiadał o swych studentach, chwalił pogodę, powtarzał plotki z Akademii, które niewiele znaczyły dla Skaurusa; plótł o wszystkim, co tylko przyszło mu na myśl. Uwielbiał mówić. Rzymianin był wdzięczniejszym słuchaczem od jego rodaków, którzy również lubili słuchać dźwięku swoich głosów.

Marek pomyślał, że tworzą parę równie dziwną jak Viridoviks i Arigh: gruby, niski i łysy kapłan z krzaczastą czarną brodą oraz wysoki, jasnowłosy najemnik-biurokrata.

— Wolisz to od pola? — zapytał Nepos, gdy trybun wprowadził go do biura. Sekretarz Pandhelis zaskoczony poderwał głowę, gdy kącikiem oka dostrzegł błękitną szatę kapłana. Skoczył na nogi

i nakreślił znak słońca na piersi. Nepos uczynił to samo.

Skaurus zastanowił się nad odpowiedzią.

— Myślałem, że tak będzie, gdy zaczynałem. Ostatnio często stawiam sobie to pytanie i odpowiedzi są dużo mniej jednoznaczne. — Nie chciał mówić więcej ponad to. Nie w obecności Pandhelisa. Wrócił do interesującej go sprawy. Kataster Doxonu leżał tam, gdzie go zostawił, na rogu biurka. — Czy będziesz potrzebował jakichś specjalnych przyborów? — zapytał Neposa.

— Nie, tylko parę szczypt kurzu, który posłuży za symboliczną więź między poszukującym a zaginionym przedmiotem. Kurz chyba nietrudno tu znaleźć. — Kapłan roześmiał się, Marek także; nawet Pandhelis, urodzony biurokrata, parsknął pod nosem.

Nepos zebrał kurz z parapetu i uważnie rozsypał go na środku czystego arkusza pergaminu.

— Czar manifestuje się różnorako — wyjaśnił Skaurusowi. — Gdy zaginiony przedmiot znajduje się blisko, kurz może przybrać kształt strzały wycelowanej w dane miejsce albo może wznieść się z pergaminu i poprowadzić poszukującego. Jeżeli odległość jest większa, formuje słowo czy obraz, by pokazać lokalizację.

W Rzymie trybun coś takiego uznałby za brednie, ale tutaj był mądrzejszy. Nepos zaczął mruzczyć monotonnie w archaicznym videssańskim dialekcie. Trzymał wykaz z Doxonu w prawej ręce, palcami drugiej zaś kreślił w powietrzu szybkie wzory, zdumiewająco pewnie i precyzyjnie. Kapłan uśmiechał się z czystej przyjemności. Marek pomyślał o mistrzu-muzyku, rozbawionym graniem dziecięcej melodyjki.

Nepos wykrzyknął ostatnie słowo rozkazującym tonem, potem dźgnął palcem wskazującym lewej ręki w kierunku kurzu. Ale chociaż drobiny zawirowały, jak gdyby poruszone oddechem, nie ułożyły się w żaden wzór.

Nepos zmarszczył brwi, jak zrobiłby wymyślony przez Skaurusa muzyk, gdyby jedna struna lutni nagle wydała fałszywy ton. Podrapał się po brodzie i spojrzał na Rzymianina z niejakim zakłopotaniem.

— Przepraszam. Musiałem coś pomylić, chociaż nie mam pojęcia co. Spróbujmy jeszcze raz. — Jego druga próba była równie niepomyślna. Kurz poruszył się, po czym osiadł bezładnie.

Kapłan obejrzał swoje ręce, najwyraźniej zastanawiając się, czy nie zdradziły go z jakiejś własnej przyczyny.

— Ciekawe — wymamrotał. — Twoja księga nie jest zniszczona, jestem pewien, bo wtedy kurz nie poruszyłby się w ogóle. Ale czy ty jesteś pewien, że znajduje się ona w stolicy?

— A gdzie indziej mogłaby być? — odparł pytaniem Skaurus. Nie wyobrażał sobie, by ktokolwiek chciał wywieźć z miasta taki głupi dokument.

— Spróbujemy się dowiedzieć? — Pytanie było retoryczne; Nepos już zaglądał do sakiewki, by sprawdzić, czy ma to, czego potrzebuje. Chrząknął z satysfakcją, wyjmując małą fiolkę w kształcie

torebki nasiennej kwiatu. Wziął na język parę kropel płynu i skrzywił się. — Nie wszyscy czarnoksiężnicy znają tę metodę, więc ostatecznie dobrze zrobiłeś, przychodząc do mnie. Ta mikstura oczyszcza umysł z wątpliwości i pozwala widzieć dalej, tym samym wzmacniając siłę czaru.

— Co to jest? — zaciekał się Skaurus.

Nepos zawahał się; nie lubił zdradzać tajników swego rzemiosła. Ale narkotyk już przejął nad nim władzę.

— Sok makowy i henbana — rzekł sennie. Żrenice zmalały mu prawie do wielkości łebków od szpilki, ale głos i ręce, szkolone przez lata czarnoksięskich praktyk, wykonały inkantację bez żadnego błędu.

Znów palec wskazał na kurz. Oczy Marka rozszerzyły się, gdy drobiny nieożywionej materii zaczęły wić się niczym maleńki wąż i ułożyły się w słowo. Udana magia zawsze podnosiła mu włosy na karku.

— Interesujące — powiedział Nepos, chociaż dekokt wyparł najmniejszy ślad zainteresowania z jego głosu. — Nie sądziłem, że nawet wzmocniona magia może sięgać do Garsavry.

— Faktycznie ciekawe — odparł Skaurus — ponieważ ja też nie przypuszczałem, że dokument może być właśnie tam. — Podrapał się po głowie i zastanowił, dlaczego tak się stało. Nieważne — zdecydował. Onomagoulos zawsze może go odesłać.

Trybun kazał Pandhelisowi zabrać Neposa do rzymskich koszar i położyć go do łóżka. Kapłan udał się bez protestu. Narkotyk sprawił, że nogi się pod nim uginały, a jego zazwyczaj żywe usposobienie było przytłumione, niczym dźwięk bębna uderzanego poprzez kilka warstw grubego materiału.

— Nie, nie martw się o mnie. To wkrótce minie — zapewnił Skaurusa, walcząc z potężnym ziewnięciem. Osunął się w ramiona Pandhelisa.

Marek wyjrzał przez okno, potem szybko zszedł za sekretarzem i kapłanem na dół. Sądząc po krótkich cieniach, było prawie południe, a Alypia Gavra nie powinna czekać.

Ku swojej konsternacji zastał ją przy Wielkiej Bramie. Na szczęście księżniczka nie wyglądała na zezłoszczoną. Prawdę mówiąc, była pogrążona w rozmowie z czterema stojącymi na posterunku Rzymianami.

— Tak, twój bóg jest dość dobry, pani — mówił Minucjusz — ile tutaj brakuje mi legionowego orła. To stare ptaszysko od dawna nas strzegło. — Towarzysze legionisty ponuro pokiwali głowami — podobnie jak Alypia Gavra. Zmarszczyła czoło, jakby próbowała zakonotować uwagę Minucjusza. Marek nie mógł powstrzymać uśmiechu. Zbyt często widywał taką ekspresję u Gorgidasa, by jej teraz nie rozpoznać; była to charakterystyczna cecha historyka przy pracy.

Minucjusz dostrzegł dowódcę i stanął na bacność, waląc w ziemię włócznią. On i jego towarzysze wykonali rzymski salut, wznosząc zaciśnięte pięści.

— W porządku, jestem tu prywatnie — rzucił lekko trybun. Skłonił się Alypii.

— Nie pozwól mi wtrącać się między twoich ludzi a ciebie — powiedziała.

— Nie wtrącasz się. — W czasie wyprawy z Cezarem do Galii najmniejszy wyłom w dyscyplinie bardzo zaniepokoiłby Marka. Dwa i pół roku służby jako najemnego kapitana nauczyły go, że istnieje różnica między markowaniem posłuchu dla świętego spokoju, a prawdziwą dyscypliną konieczną do przeżycia.

Szambelan w Wielkim Dworze zacmokał na ich widok.

— Wasza Wysokość, gdzie twoja świta? — zapytał.

— Tam gdzie jest, jak sędzę. Nie mam z niej żadnego pożytku — odparła oschle i zignorowała oburzone spojrzenie szambelana. Skaurus wychwycił ostry ton w jej głosie; jej naturalne umiłowanie prywatności mogło zostać jedynie zwiększone przez czas niewoli u Vardanesa Sphrantzesa.

Dworak wymownie wzruszył ramionami, ale skłonił się i wprowadził ich do wspartej kolumnami sali. Trybun, idąc w kierunku tronu zobaczył, że zniszczenia poczynione w czasie walki zostały naprawione. Na ścianach wisiały nowe gobeliny, w szczyrbach w porąbanych kolumnach wprawiono kawałki kamienia.

Po chwili zdał sobie sprawę, że nie wszystkie rany zostały wyleczone. Przeszedł przez łatę lekko odbarwionej porfirowej posadzki; łatę, której matowy połysk nie całkiem pasował do lustrzanej doskonałości reszty. Pomyślał, że to w tym miejscu płonęło ognisko Avshara. Znów się zastanowił, gdzie dzięki swym czarom znalazł się książę-czarnoksiężnik; przez całą zimę nie było o nim żadnej wieści.

Oczy Alypii były niezgłębione, ale im bliżej podchodziła do tronu — i pnących się za nim schodów — tym silniej zaciskała usta. Marek zauważył, że w pewnej chwili zaczęła je przygryzać.

Inny szambelan wyprowadzał z posłuchania u Imperatora Katakolona Kekaumena. Legat z Agderu obdarzył Skaurusa lodowatym uśmiechem i skłonił głowę przed Alypią Gavrą. Gdy znalazł się poza zasięgiem słuchu, księżniczka mruknęła:

— Myślałby kto, że płaci za każde wypowiedziane przez siebie słowo.

Ich przewodnik upadł przed tronem. Leżąc zawołał:

— Jej Wysokość, księżniczka Alypia Gavra! *Eoptes* i dowódca, Skaurus Rżyniamin! — Marek zdusił pragnienie kopnięcia go w sterczący tyłek.

— Na światło Phosa, głupcze, wiem, kim oni są — warknął Imperator, nadal nie przyzwyczajony do dworskiego ceremoniału. Szambelan wstał. Sapnął, widząc stojącego trybuna. W żyłach Alypii płynęła królewska krew, ale dlaczego ten cudzoziemiec jest także uprzywilejowany? — Nieważne, Kabasilasie — powiedział Thorisin. — Mój brat dał mu przywileje, które ja potwierdzam. Jak najbardziej na nie zasłużył. — Kabasilas skłonił się i odszedł, ale jego wykrzywione usta mówiły same za siebie.

Gavras podniósł brew i spojrzał na trybuna.

— Więc, *epoptesie* i dowódcu Skaurusie, co nowego? Czy urzędnicy podprowadzają złoto, by kupować sobie liczydła z paciorkami z rubinu i srebra?

— Mam pewne kłopoty — odparł Marek — by to udowodnić. — Powiedział Imperatorowi o zaginionym rejestrze, zamierzając prześliznąć się od łatwiejszej sprawy do trudniejszej, która była głównym celem jego przybycia.

— Uważałem cię za mądrego człowieka, a ty przychodzisz do mnie z taką bzdurą — przerwał mu niecierpliwie Thorisin. — Wyślij pismo do Baanesa, jeśli chcesz, ale nie musisz tym mnie zawracać głowy.

Skaurus przyjął kornie wymówkę; jak Mavrikios, Gavras cenił sobie bezpośredniość. Ale kiedy Rzymianin zaczął wstawiać się za Taronem Leimmokheirem, Imperator zaraz po usłyszeniu nazwiska byłego admirała ryknął:

— Nie, na brudną brodę Skotosa! Ty też stałeś się zdrajcą?

Jego ryk wibrował w Wielkim Dworze. Dworzanie zamarli w pół kroku; szambelan nieomal upuścił grubą czerwoną świecę. Świeca zgasła. Jego przekleństwo, kontralt eunucha, zawtórowało przekleństwu Gavrasa. Minucjusz wsunął głowę do sali tronowej, by sprawdzić, co się stało.

— To ty powiedziałeś mi, że w tym człowieku nie ma kłamstwa — powiedział Marek. Człowiek urodzony w Imperium drżałby na samą myśl o takim uporze.

— Tak, powiedziałem, i prawie zapłaciłem życiem za swoją głupotę — odciął się Thorisin. — A ty każesz mi wpuścić osę w zanadrze, by spróbowała uciąć mnie po raz drugi. Niech siedzi tam, gdzie jest, póki nie zgnije, i niech mamroce modlitwy, żeby nie spotkało go nic gorszego.

— Stryju, myślę, że się mylisz — powiedziała Alypia Gavra. — W czasie panowania Sphrantzesów jedynie ze strony Leimmokheira spotykało mnie przyzwoite traktowanie. Z dala od swych ukochanych okrętów jest on dzieckiem, obdarzonym nie większym darem do knucia intryg niż starszy syn Marka.

Trybun zamrugał, najpierw na wspomnienie Malrika, potem dlatego, że użyła jego imienia. Kiedy używano go osobno, było to oznaką bliskich stosunków. Zastanowił się, czy Alypia zna ten rzymski zwyczaj. Mówiła dalej:

— Wiesz, że mówię prawdę, stryju. Od ilu lat znasz Leimmokheira? Z pewnością nie od roku czy dwóch. Wiesz, jaki jest. Czy naprawdę myślisz, że taki człowiek mógłby cię oszukiwać?

Pięść Imperatora trzasnęła w złożoną poręcz tronu. Starożytne siedzisko nie było przyzwyczajone do takiego traktowania i zaprotestowało bolesnym skrzypieniem. Thorisin pochylił się, by zaakcentować swoje słowa.

— Człowiek, którego znałem, nie zawiódłby pokładanego w nim zaufania. Ale Leimmokheir zrobił to, więc tym samym nie znałem go w ogóle. Kto czyni większe zło: ten, kto pokazuje swą

niegodziwość całemu światu, czy ten, kto skrywa ją, a w pewnej chwili wypuszcza przeciwko osobie darzącej go zaufaniem?

— Dobre pytanie dla kapłana — powiedziała Alypia ale nie ma wielkiego znaczenia, jeżeli Leimmokhen jest niewinny.

— Ja tam byłem, dziewczyno. Widziałem, co zrobił, widziałem złoto Sphrantzesów w sakiewkach morderców. Niech Leimmokheir to wyjaśni, a może zarobi tym na swoją wolność. —Imperator wybuchnął śmiechem, ale nie był to wesoły dźwięk. Marek wiedział, że dalsza dyskusja jest daremna; Gavras czuł się zdradzony przez człowieka, którego uważał za uczciwego, i nie chciał — nie mógł — wysłuchać żadnych argumentów.

— Dziękuję, żeś mnie przynajmniej wysłuchał — rzekł trybun. — Dałem słowo, że poruszę z tobą tę sprawę.

— Zatem niepotrzebnie je dawałeś.

— Ja tak nie uważam.

— Czasami, cudzoziemcze, wystawiasz na próbę moją cierpliwość — powiedział niebezpiecznie niskim tonem Imperator. Skaurus spojrział mu w oczy, skrywając ukłucie strachu. Pozycja, jaką wyrobił sobie w Videssos, w znacznej mierze oparta była na niedopuszczaniu, by przytłoczyła go waga imperatorskiego autorytetu. Dla człowieka z republikańskiego Rzymu nie było to trudne, ale stanie twarzą w twarz z rozgniewanym Thorisinem Gavrasem było czymś zupełnie innym.

Gavras chrząknął z niezadowoleniem.

— Kabasilas! — zawołał. Szambelan znalazł się przy jego łokciu tak szybko, że ostatnia sylaba jeszcze odbijała się echem w wysokiej komnacie. Marek spodziewał się jakiejś dźwięcznej formuły odprawy, ale nie było to zwyczajem Thorisina. Imperator ruchem głowy wskazał na trybuna i swoją bratanicę, i zostawił Kabasilasowi resztę.

Szambelan robił, co mógł, ale jego ukłony po szorstkości Thorisina wydawały się tym bardziej sztuczne. Inni dworzanie wyciągając szyje gapili się na wychodzącego Skaurusa i Alypię, zastanawiając się, na ile utracili oni imperatorskie łaski. Będzie, co ma być — pomyślał Marek. Zaśmiał się do siebie; była to próbka fatalizmu wartego Halogajczyka.

Kiedy raz jeszcze podeszli do Wielkiej Bramy, Alypia zatrzymała się, by jeszcze parę minut porozmawiać z rzymskimi wartownikami, potem udała się do imperatorskiej rezydencji. Skaurus poszedł do biura, by podyktować list do Baanesa Onomagoulosa; pismo Pandhelisa było dużo bardziej czytelne od jego. Dopełniwszy tego obowiązku, skapał się w przyjemnym blasku zadowolenia z siebie i ruszył do koszar.

Zadowolenie nie trwało długo. Zobaczył Viridoviksa z dzbankiem wina w ręce i pełnym oczekiwania uśmiechem na twarzy. Gal pomachał mu radośnie i zniknął w małych drzwiach w drugim skrzydle Wielkiego Dworu.

Może powinienem był go utopić — pomyślał ze złością Marek. Czy Viridoviks miał pojęcie, w co się pakuje? Było w nim nie więcej ostrożności niż winy w Taronie Leimmokheirze. Co zrobi dalej: poprosi z sypialni Thorisina o pożyczkę? Trybun zapamiętał, by nie mówić tego na głos — Viridoviks naprawdę mógłby coś takiego zrobić.

Celt wyszedł z koszar, więc Skaurus był zaskoczony widokiem Arigha. Arshaum rozmawiał z Gorgidasem, podczas gdy Grek robił notatki. Gorgidas zapytał:

— Zatem kto zajmuje się waszymi chorobami?

Arigh, drapiący się pod zamszową tuniką, był jakby znudzony pytaniem. W końcu rzekł obojętnie:

— Szamani wypędzają złe duchy, oczywiście, a pomniejsze dolegliwości stare kobiety chyba zamawiają ziołami. Pytaj mnie o wojnę, wtedy będę mógł mówić o tym, na czym się znam. — Trzasnął w krzywą szablę u boku.

Wszedł Kwintus Glabrio; uśmiechnął się i pokiwał do Gorgidasa, nie przerywając dociekań lekarza. Powiedział do Marka:

— Cieszę się, że cię tu widzę, panie. Paru moich ludzi wdało się w kłótnię, której końca nie mogę zobaczyć. Może posłuchają ciebie.

— Wątpię, skoro ty nie zdołałeś nic zrobić — powiedział trybun, ale poszedł z Glabrio. Legioniści stali z kamiennymi twarzami, gdy palnął im mowę. Podkreślił, że ich osobiste stosunki nie mogą mieć najmniejszego wpływu na legionową solidarność. Żołnierze pokiwali głowami. Skaurus nie dał się zwieść; skoro młodszy centurion nie zdołał wpłynąć na nich przez dłuższy czas, prawdopodobnie jego słowa także trafiły w próżnię.

Gdy wrócił, Arigha już nie było. Gorgidas pracował nad swymi notatkami, wycierając tępym końcem stylusa słowo tu, zdanie tam, a potem powrócił do wprowadzania poprawek.

— Viridoviks pomyśli, że próbujesz ukraść mu przyjaciela — powiedział trybun.

— A co mnie obchodzi, co myśli ten długonogi Gal? — zapytał Gorgidas, ale nie potrafił stłumić rozbawienia. Czasami Viridoviks sprawiał, że jego przyjaciele mieli ochotę skrócić mu kark, ale mimo wszystko pozostawali jego przyjaciółmi. Mniej radośnie lekarz dodał: — Przynajmniej mogę nauczyć się tego, co można, o życiu ludzi nizin.

W jego głosie brzmiała niewątpliwa gorycz. Marek wiedział, że Grek ciągle spotyka się z Neposem i innymi kapłanami-uzdrowiaczami, że nadal próbuje dorównać ich sztuce, ale niezmiennie ponosi klęskę. Nic dziwnego, że ostatnio więcej energii poświęcał historii. Na razie poznawanie miejscowej medycyny okazywało się mało satysfakcjonujące.

Skaurus ziewnął pod grubym wełnianym kocem. Równy oddech powiedział mu, że Helvis już

zasnęła, z ręką niedbale przerzuconą przez jego piersi. Malrik spał po jej drugiej stronie, podczas gdy z kołyski dobiegał ciężki oddech Dostiego. Dziecko było przeziębione; Marek pomyślał sennie, że może nie złapie choroby.

Ale coś, co błędziło niespokojnie gdzieś na krańcach świadomości, powstrzymywało go od zapadnięcia w sen. Przemyslał dzienne wypadki, próbując znaleźć przyczynę niepokoju. Czyżby chodziło o niepowodzenie w uzyskaniu zwolnienia Tarona Leimmokheira? Blisko — pomyślał — ale nie całkiem. Przecież nie spodziewał się, że jego starania zakończą się sukcesem.

Zatem dlaczego blisko? Usłyszał raz jeszcze głos Alypii Gavry, gdy księżniczka rozmawiała z legionistami przed Wielkim Dworem. Uświadomił sobie, że niezależnie od tego, co wiedziała o ich życiu, doskonale znała zasady używania rzymskich imion.

Zasnął bardzo późno.

XII

Trybun kichnął. Gajusz Filipus spojrział nań z odrazą.

— Jeszcze nie przeszło ci to cholerstwo?

— Męczy mnie i męczy — powiedział żałośnie Marek, wycierając nos. Oczy mu łzawiły i miał wrażenie, że głowa jest trzy razy większa niż normalnie. — Ile to już, trzy tygodnie?

— Co najmniej. Oto cena za posiadanie dzieci. — Gajusz Filipus, sam oburzająco zdrowy, przemieszał śniadaniową owsiankę i pociągnął potężny łyk wina. — To jest dobre! — Poklepał się po brzuchu. Skaurus nie miał apetytu, co nie było złe, bowiem stracił smak.

Do baraku wmaszerował Viridoviks, prezentujący się wspaniale w pelerynie ze szkarłatnych skór. Poczęstował się pieprzną kielbasą z baraniny, owsianką i winem, po czym klapnął na krzesło obok trybuna i starszego centuriona.

— Dobrego dnia! — zawołał, wznosząc kubek w toaście.

— Wzajemnie — odparł Marek. Zmierzył Celta wzrokiem od góry do dołu. — Po coś się tak wystroił od samego rana?

— Może dla niektórych to wczesny ranek, drogi Skaurusie, ale dla mnie to koniec nocy. — Mrugnął znacząco do dwóch Rzymian.

— Hmm... — mruknął Marek tak niezobowiązująco, jak tylko możliwe. Normalnie przechwałki Viridoviksa go bawiły, ale od kiedy Gal wplątał się w romans z Komittą Rhangawe, im mniej wiedział, tym lepiej. Brak zainteresowania ze strony Gajusza Filipusa również nie stanowił zachęty dla Viridoviksa. Marek był pewien, że starszy centurion zazdrości Celtowi powodzenia, ale prędzej dałby się porąbać, niż do tego przyznał.

Viridoviks, gadatliwy jak zawsze, nie potrzebował zachęty. Po długim, hałaśliwym siorbnięciu zauważył:

— Nie pytacie, ale wam powiem! Czy uwierzycie, ta dziwka miała czelność powiedzieć mi, bym odprawił wszystkie moje dziewczyny i miał tylko ją? I żebym ja sam dzielił się nią z nim bez słowa. To szczyt bezczelności! — Ugryzł kielbasę, skrzywił się, gdy trafił na pieprz, i znów napił się wina.

— Dzielił się kim z kim? — zapytał Gajusz Filipus, skonfundowany tymi zaimkami.

— Nieważne — rzekł szybko Marek. Im mniej ludzi wiedziało o schadzkach Viridoviksa, tym później wieść o nich dotrze do Thorisina Gavrasa. Nawet Viridoviks to zrozumiał, bo nagle przybrał chytry wyraz twarzy. Ale jego słowa o tym, co powiedziała Komitta, zaniepokoiły trybuna na tyle, że zapytał: — Co odpowiedziałeś tej pani?

— Oczywiście to, co powiedziałyby każdy celtycki szlachcic i dżentelmen: każ się wypchać. Żadna dziewczyna tak mi nie przygadała.

— Och, nie! — Skaurus miał ochotę ująć obolałą głowę w dłonie. Biorąc pod uwagę zapalczywy charakter Komitty i jej poczucie własnego znaczenia, dziwne, że Viridoviks miał okazję opowiadać swe przeżycia. — A ona co na to?

— Och, dąsała się trochę, jasne, ale wybiłem jej to z głowy. — Viridoviks przeciągnął się z zadowoleniem. Trybun patrzył na niego ze strachem w oczach. Jeżeli to prawda, Gal rzeczywiście był prawdziwym ogierem.

Viridoviks wydlubał paznokciem kawałek chrząstki spomiędzy zębów, potem beknął.

— Trzeba odpocząć — powiedział — jeśli człowiek odstawia kocura po nocach, musi swoje odespać w dzień. Nieco snu nigdy nie zaszkodzi, zatem za pozwoleniem... — Wstał, dopił wino i wyszedł, pogwizdując radośnie.

— Dobra, co z tym twoim „nieważne”? — zapytał Gajusz Filipus, gdy tylko Celt zniknął z pola widzenia. — O co tu chodzi?

I tak Marek opowiedział o Komittie i miał niejaką przyjemność widząc, jak starszemu centurionowi szczęka opada ze zdziwienia.

— Jowiszu wszechmogący! — Wydusił w końcu Gajusz. — Ten chłopak wcale nie myśli, prawda?

Zastanawiał się przez minutę, po czym dodał:

— Wolałbym naostrzyć swój instrument na ostrzu miecza, niż zbliżyć się do tej kocicy. Mimo wszystko to bezpieczniejsze. — Trybun skrzywił się na to porównanie, ale powoli pokiwał głową; w głębi duszy uważał tak samo.

Z nadejściem wiosny trybun coraz mniej czasu spędzał przy rejestrach podatkowych. Większość z nich miała nadejść po jesiennych żniwach, a poza tym nadrobił zaległości, nim dni znów zaczęły się wydłużać. Wiedział, że nadzorując videssańską biurokrację wykonał niezbyt dobrą robotę. Było to zadanie zbyt wielkie, zbyt skomplikowane i zbyt dobrze strzeżone przez urzędników, by mógł sobie poradzić z nim jeden człowiek, w dodatku cudzoziemiec. Ale był przekonany, że zrobił trochę dobrego i do skarbu Imperium wpływało więcej pieniędzy, niż gdyby jego nie było.

Tylko że aż za dobrze zdawał sobie sprawę z własnych niepowodzeń. Pewnego popołudnia Pikridios Goudeles upokorzył go, przychodząc do biura z masywnym złotym pierścieniem z ogromnym szmaragdem. Minister nosił go z tak wielką ostentacją i błyskał nim w oczy trybunowi tak otwarcie, że Marek był pewien, iż kupił go za sprzeniewierzone fundusze. Rzeczywiście, Goudeles nie zwracał sobie głowy zaprzeczaniem, uśmiechnął się jedynie z wyższością. Skaurus próbował na wszelkie sposoby, ale nie potrafił znaleźć błędu w księgach.

Goudeles pozwolił mu dojrzewać przez kilka dni, potem protekcyjnie pokazał, do jakiej to chytrej sztuczki się uciekł.

— Ponieważ — powiedział — sam jej używałem, nie chcę, by z jej pomocą oszukiwał cię ktoś inny. To odbiłoby się na moich umiejętnościach.

Marek podziękował mu mniej lub bardziej szczerze i już nie wspominał o pierścieniu; przegrał walkę na spryt z biurokratą tak samo, jak wygrał wcześniejszą. Pozostali nie-całkiem-przyjaciółmi, żywiąc szacunek dla kompetencji drugiego. Skaurusowi, coraz rzadziej zaglądnącemu do biura w skrzydle Wielkiego Dworu, czasami brakowało oschłego, wyrafinowanego dowcipu biurokraty i jego doskonałego wyczucia, w jakie miejsce należy uządlić.

Niebawem tylko jedna nie załatwiona sprawa wyróżniała się na liście trybuna: dokument z Kybistry. Onomagoulos zignorował jego pierwszą prośbę, wysłał więc drugą, znacznie ostrzejszą.

— To echo wróci po długim czasie, jak sądzę — powiedział Goudeles.

— Co? Dlaczego? — zapytał z rozdrażnieniem Marek.

Brwi biurokraty nie mogły unieść się ponad gąszcz włosów, ale udało mu się sprawić, że Rzymianin poczuł się niczym małe, głupiutkie dziecko.

— No cóż — wymruczał Goudeles — wtedy wszędzie panował bałagan.

Skaurus walnął się ręką w czoło, zły na siebie, że w swym dochodzeniu pominął coś tak oczywistego. Onomagoulos po Maraghrze znalazł schronienie w Kybistrze. Trybun zastanowił się, jaka część jego sprawozdania nie wytrzymałaby bliższej analizy. Thorisin — pomyślał — także byłby zainteresowany odpowiedzią na to pytanie.

I tak było. Ze stolicy wysłano imperatorski reskrypt do Garsavry. Do tego czasu Marek stracił

zainteresowanie tą sprawą. Pracował ciężko ze swymi żołnierzami, przygotowując ich do nadchodzącej letniej kampanii. Nagrodą za pot wylany na placu ćwiczebnym był widok malejącego brzucha, który urósł mu w czasie zimowego braku ruchu.

Rzymskie techniki szkoleniowe były wystarczające, by wytopić tłuszcz z każdego. Videssańczycy, Vaspukaranerzy i inni miejscowi, którzy służyli z Rzymianami, narzekali bez końca, jak żołnierze na każde ćwiczenia. Gajusz Filipus, naturalnie, cisnął ich tym twardziej, im głośniejsze się skarżyli. Sam Skaurus rzucił się w wir ćwiczeń z entuzjazmem, jakiego nie czuł nawet po wstąpieniu do legionów.

Żołnierze ćwiczyli drewnianą bronią o podwójnej wadze i walczyli z manekinami, póki ręce ich nie rozboleły, wyprowadzając ciosy w twarze, boki i znów w twarze. Używali również ciężkich wiklinowych tarcz i doskonalili podchodzenie i wycofywanie się od wyobrazonego wroga.

— To ciężka robota — powiedział Gagik Bagratouni. vaspurakański nakharar nadal dowodził swymi rodakami i nauczy! się kłać w łamanej łacinie tak paskudnie, jak w niewiele lepszym videszańskim. — Prawdziwa bitwa będzie istnym odpoczynkiem.

— I o to chodzi — odparł Gajusz Filipus. Bargatouni jęknął i potrząsnął głową, rozsiewając na wszystkie strony krople potu. Był dobrze po czterdziestce i rzymski dryl był dla niego ciężki. Starał się z zapamiętaniem człowieka próbującego zapomnieć o cieniach przeszłości, a jego rodacy wykazywali hart i dyscyplinę, która wzbudzała podziw Rzymian.

Jedyną rzeczą, która przerażała górali, była nauka pływania. Rzeki w ich ojczyźnie przez większą część roku były strumyczkami, a przez resztę powodziami. Nauczyli się, ale nigdy nie cieszyli się wodą jak Rzymianie, dla których kąpiel była przyjemnym sposobem zakończenia ciężkiego dnia ćwiczeń.

Videssańczycy nie całkiem dorastali do wysokich wymagań legionistów. Tuziny razy dziennie Marek słyszał, jak jakiś Rzymianin wrzeszczy:

— Czubkiem, cholera, czubkiem! Niech syfilis weźmie to cholerne ostrze! Do niczego się nie nadaje! — Żołnierze zawsze obiecywali, że poprawią technikę walki na miecze, i zawsze o tym zapominali. W większości byli niegdyś kawalerzystami, przyzwyczajonymi do kolistego cięcia szablą. Sztuchy krótkim *gladiusem* kłóciły się z ich instynktem.

Kwintus Glabrio, bardziej cierpliwy od swych kolegów, wyjaśniał:

— Nieważne, jak silnie tniesz, zbroja i kości ochronią żywotne narządy twego przeciwnika, ale nawet kiepsko wyprowadzony sztuch może zabić. Poza tym dźgając nie odsłaniasz swego ciała i często możesz zabić człowieka, nim pozna, że go trafiłeś. — Videssańczycy poważnie kiwali głowami i robili, co im przykazano... przez chwilę.

Dalej byli ci, dla których rzymska dyscyplina absolutnie nic nie znaczyła. Viridoviks był najstraszliwszym wojownikiem, jakiego Skaurus w życiu widział, ale całkowicie nie pasował do po-

rządnych szeregów rzymskich manipułów. Nawet Gajusz Filipus zrezygnował z prób narzucenia mu dyscypliny. Komentarz starszego centuriona brzmiał:

— Po prostu cieszę się, że jest po naszej stronie.

Czerwony Zeprin był drugim wilkiem samotnikiem. Jego potężny topór — i temperament — nie pozwalały mu walczyć wśród włóczni i mieczy legionistów. Podczas gdy Viridoviks widział w bitwie doskonałą rozrywkę, Halogajczyk uważał walkę za sprawdzian zadany przez swych zimnych bogów.

— Ich służki-dziewice zabierają dusze tych, którzy dzielnie polegli. Z krwi moich wrogów zbuduję moje schody do nieba — zadudnił, sprawdzając kciukiem ostrość dwustronnego topora. Nikt nie był skłonny do sprzeczeki, chociaż dla Videssańczyków było to pogańskim przesądem najgorszego rodzaju.

Drax Namdalajczyk i jego kapitanowie kilka razy przychodzili na plac ćwiczeń, by obserwować Rzymian. Ich ostra musztra wywarła wielkie wrażenie na hrabi, który rzekł Skaurusowi:

— Na Wagera, żałuję, że ten suchy syn, Goudeles, nie uprzedził mnie, jakich masz ludzi. Myślałem, że moi rycerze przejadą po waszych brzuchach i zwiną konia Thorisina niczym parę spodni. — Ponuro potrząsnął głową. — Nie całkiem tak wyszło.

— Ty też dałeś nam niezłą nauczkę — trybun odwzajemnił komplement. Drax pozostał dla niego zagadką — zręczny wojownik, z pewnością, ale człowiek, który nie zdradzał się przed światem. Chociaż nieskazitelnie uprzejmy, miał nieodgadnioną twarz, której mógłby mu pozazdrościć handlarz koni.

— On mi przypomina Vardanesa Sphrantzesa z wygolonym tyłem głowy — powiedział po odejściu wyspiarza Gajusz Filipus, ale Marek nie posunął się tak daleko w swych osądach. Cokolwiek skrywała maska Draxa, nie sądził, że było to okrucieństwo nie opłakiwanego Sevastosa.

Niezależnie od podziwu Namdalajczyków, starszy centurion nadal był niezadowolony z legionistów.

— Są miękcy — labidził. — Potrzeba im paru dni prawdziwego marszu, by raz na zawsze wygnać z nich zimowe lenistwo.

— Zatem zrobmy to — powiedział Marek, chociaż poczuł przenikające go drżenie. Jeżeli żołnierze potrzebowali takiej zaprawy, to co z nim?

— Jutro w pełnym rynsztunku — usłyszał rozkaz Gajusza Filipusa, a moment później chór oślich ryków. Pełny rynsztunek Rzymianina sięgał wysokości jednej trzeciej wzrostu człowieka; obok broni i żelaznych racji zawierał bandaże, kubek, zapasowe ubranie w małym wiklinowym koszyku, części namiotów, słupki albo drewno na opał, poza tym piłę, kołek, łopatę bądź sierp potrzebne do rozbicia obozu i zdobycia pożywienia. Nic dziwnego, że legioniści nazywali siebie mułami.

Świt był tylko obietnicą, gdy wymaszerowali z miasta i ruszyli na północ. Załoga strzegąca bramy Videssos potrząsała ze współczuciem głowami na ich widok.

— Z drogi! — warknął Gajusz Filipus i woźnice spieszenie sprowadzili na bok załadowane produktami wozy. Jak większość videssańskich cywilów, niewiele wiedzieli o najemnikach, ale nie zależało im, by poznać ich bliżej.

Marek ściągnął okrągłe, rumiane jabłko z jednego z wozów. Rzucił woźnicy drobnego miedziaka i dosłownie musiał się roześmiać, gdy zobaczył niedowierzanie na jego twarzy.

— Prawdopodobnie ten kmiotek myślał, że zamiast jabłka, jego zjesz na śniadanie — powiedział Viridoviks.

W ciągu dnia mieli zdecydowanie mniej okazji do śmiechu. Wojskowy krok był czymś, co Rzymianie wykonywali odruchowo, automatycznie utrzymując swoje miejsca w formacjach manipulów. Ludzie, którzy wstąpili do służby po przybyciu legionistów do Videssos, robili co mogli, by ich naśladować, ale bez powodzenia. I ponieważ nowi byli mniej zdyscyplinowani, szybciej się męczyli.

Jednakże prawie nikt nie odpadł z szeregów, bez względu na to, jak bardzo był obolały. Pokryte pęcherzami palce były niczym w porównaniu z rykiem, jakiego Gajusz Filipus nie szczędziłby maruderom, a poza tym nikt nie chciał narażać się na drwiny kolegów.

Phostis Apokavkos, pierwszy z Videssańczyków, który został legionistą, garbiąc się lekko pod ciężarem ekwipunku, maszerował równo między dwoma Rzymianami. Jego długą twarz wykrzywił uśmiech, gdy oddał honory Skaurusowi. Trybun zasalutował w odpowiedzi. Już prawie zapomniał, że Apokavkos jest Videssańczykiem. Na rękach byłego wieśniaka, jak na rękach każdego syna Italii, widniał wypalony znak legionów. Kiedy nowo upieczony legionista poznał znaczenie znaku, uparł się, że musi mieć taki sam. Był wyjątkiem; Skaurus nie wymagał tego od innych rekrutów, a oni też nie wyrażali chęci.

Do popołudnia trybun był zadowolony z siebie. Miał wrażenie, że piersi uciska mu opaska z gorącego żelaza, a nogi bolały go przy każdym kroku, ale bez problemów nadążał za innymi. Nie sądził, by mogli zrobić dwadzieścia mil, które wymagały dnia dobrego marszu, ale niewiele brakowało.

Po wydostaniu się z pasa przedmieść, który otulał mury Videssos, znaleźli się na wsi. Pola obsiane pszenicą, lasy i winnice cieszyły oczy świeżą zielenią. Nad głową krążyły ptaki, które niedawno powróciły z zimowisk. Jaskółka spadła z góry — „Chirrik! Czirik!” — złażała legionistów, potem śmignęła w nie kończący się pościg za owadami. Małe stadko makolągów o szkarłatnych łebkach i jasnych piersiach rozszczebiało się, gdy brnęli ku porośniętemu kolcolistom szczytowi wzgórza.

Gajusz Filipus zaczął przebiegać wzrokiem malownicze pola w poszukiwaniu miejsca na obóz.

W końcu znalazł takie, jakie mu odpowiadało, z doskonałym widokiem na okolicę i bystrym czystym strumieniem w sąsiedztwie. Drzewa na skraju pola miały dostarczyć paliwa do ognisk. Starszy centurion spojrział pytająco na Skaurusa, który skinął w odpowiedzi.

— Doskonale — powiedział. Mimo, że były to tylko ćwiczenia, Gajusz Filipus był po prostu niezdolny do wybrania złego miejsca.

Trębacze zagrali sygnał zatrzymania. Legioniści wyciągnęli narzędzia i zaczęli kopać rów, i usypywać wał na planie kwadratu. W ziemny wał powbijali zaostrzone pale. Wewnątrz kwadratu ustawili w schludnych rzędach namioty, pozostawiając miejsce na przecinające się pod kątem prostym ulice i przyzwoitych rozmiarów forum na środku. Nim słońce skryło się za horyzontem, Marek był pewien, że obóz oparłby się siłom trzy bądź nawet cztery razy liczniejszym od jego półtoratysięcznej armii.

Jacys okoliczni wieśniacy musieli zawiadomić swego pana o przybyciu Rzymian, bowiem gdy tylko zapadł zmrok, wjechał on do obozu na czele uzbrojonych sług. Marek uprzejmie oprowadził go po obozie; wielmoża czuł się jakby nieswojo w otoczeniu tak zdyscyplinowanych żołnierzy.

— Mówisz, że jutro odejdziecie? — upewniał się po raz trzeci. — No cóż, to dobrze. Zatem przyjemnej nocy. — Odjechał wraz ze swymi ludźmi, niespokojnie zerkając przez ramię.

— I po co te ceregiele? — zapytał Gajusz Filipus. — Dlaczego nie powiedziałeś mi po prostu, żeby się wypchał?

— Nigdy nie będziesz politykiem — odparł Marek. — Po tym, co u nas zobaczył, nie miał odwagi żądać odszkodowania za wycięte drzewa, a ja nie musiałem wprawiać go w zakłopotanie stwierdzeniem, że nie ma prawa pyskować. W ten sposób wszyscy zachowaliśmy twarze.

— Hmm. — Jasne było, że Gajusz Filipus mało się przejmuje uczuciami szlachcica. Jednakże trybun wolał unikać niepotrzebnych antagonizmów, chociaż nie było to łatwe, gdy miało się do czynienia z drażliwymi Videssańczykami.

Trybun usiadł przy ognisku, by przegryźć suchara, wędzone mięso i cebulę oraz opróżnić manierkę z resztką wina. Kiedy zebrał się, by wstać i opłukać ją w strumieniu odkrył, że ledwo może kuśtykać. Zemściła się pierwsza dłuższa przerwa po całym dniu marszu — nogi natychmiast zeszywniały i odmówiły posłuszeństwa.

Wielu legionistów miało ten sam problem. Gorgidas chodził od jednego do drugiego, masując nękane kurczami łydki i uda. Chudy Grek, sam ślaniający się po ciężkim marszu, zauważył utykającego Marka.

— *Kai su, tekton?* — zapytał w ojczystym języku. — Ty też, synu? Wyciągnij się tutaj, a ja zobaczę, co da się zrobić.

Skaurus posłusznie położył się na plecach. Sapnął, gdy lekarz wbił palce w jego nogi.

— Chyba wolałbym mieć kurcze — jęknął, ale obaj wiedzieli, że kłamie. Kiedy Grek skończył

masaż, trybun przekonał się, że znów może chodzić; lepiej lub gorzej, ale zawsze.

— Nie bądź z siebie zbyt dumny — poradził Gorgidas, przyglądając się jego wysiłkom z wyrozumiałością ojca, który obserwuje raczkującego brzdąca. — Rano znów będzie bolało.

Lekarz, jak zwykle, miał rację. Marek, powłócząc nogami, zszedł chwiejnie do stumienia, by przemyć twarz. Miał wrażenie, że dopiero uczy się chodzić. Jego jedyną pociechą był fakt, że nie był w tym osamotniony; mniej więcej jeden legionista na trzech wyglądał tak, jakby jego nogom w ciągu nocy przybyło trzydzieści lat.

— Ruszać się, leniwe sukinsyny! Z powrotem nie jest dalej, niż w tę stronę! — wrzeszczał bez śladu współczucia Gajusz Filipus. Był jednym z najstarszych w obozie, ale nie widać było po nim zmęczenia.

— Och, krukom cię dać! — odrzyknął Viridoviks; nie podlegając rzymskiej dyscyplinie, mógł powiedzieć głośno to, co myśleli legionieści. Marsz był bardzo ciężki dla Gala. Chociaż był większy i silniejszy od prawie wszystkich Rzymian, brakowało mu ich wytrzymałości.

Gajusz Filipus zmuszał legionistów do największego wysiłku, lecz nie osiągnął pożądanego tempa. Ku niewymownej odrazie starszego centuriona, w dalszym ciągu byli o parę mil od Videssos, gdy zapadła noc.

— Tutaj rozbijemy obóz — warknął, znów wybierając pierwszorzędne ze względu na obronę miejsce na pastwisku między dwoma przedmieściami. — Nie chcę, żebyście snuli się po nocnym niczym banda rzezimieszków, a w dodatku, sucze syny, nie zasłużyliście na rozkosze miasta. Próżnowanie to nic dobrego! Cezar wstydziłby się za wielu z was. — Te słowa niewiele znaczyły dla Videssańczyków i Vaspukaranerów, ale wystarczyły, by Rzymianie zwiesili głowy. Wzmianka o ich dawnym przywódcy była prawie zbyt bolesna do zniesienia.

Kiedy Marek przebudził się następnego dnia rano, ze zdziwieniem stwierdził, że jest mniej obolały niż poprzedniego dnia.

— Ja czuję to samo — rzekł z jednym ze swoich rzadkich uśmiechów Kwintus Glabrio. — Prawdopodobnie zdrętwieliśmy od pasa w dół.

Na Końskim Brodzie widać było kilka jasnych żagli; prawdopodobnie konwój ze zbożem z południowego wybrzeża ziem zachodnich — pomyślał Skaurus. Miasto wielkości Videssos było zbyt wielkie, by wyżywiły je okoliczne wioski.

Po niecałej godzinie marszu legionieści dotarli do potężnych murów.

— Udała się wycieczka? — zapytał jeden z wartowników. Wyszczrzył radośnie zęby, gdy w odpowiedzi poczęstowano go soczystym przekleństwem.

Był wczesny ranek; ulice Videssos, na których wkrótce miał zapanować codzienny tłok, na razie były prawie wyludnione. Kilku rannych ptaszków zmierzało do świątyni Phosa na poranne nabożeństwa. Gdzieniegdzie ludzie nocy — dziwki, złodzieje, hazardziści — nadal kroczyli dumnie lub

przemykali chyłkiem. Kot śmignął przed legionistami, z jego pyszczka zwieszał się rybi ogon.

Całe miasto spowijał słodki zapach pieczonego chleba. Piekarze stawali przy piecach przed wschodem słońca i mieli się krzątać do nocy; pocili się jak dzień długi, by nakarmić nienasycone Videssos. Marek uśmiechnął się, czując rozdmajające się nozdrza i burczenie w żołądku. Suchary zwalczały głód, ale sama myśl o świeżym, miękkim, parującym bochenku wzbudziła w nim wilczy apetyt.

Legioniści weszli w obręb kompleksu pałacowego od północy, obok Akademii Videssańskiej. Promienie słońca lśniły na złoconej kopule wysokiej wieży. Choć była dopiero wczesna wiosna, dzień zapowiadał się gorący i duszny, Marek z przyjemnością szedł w długim, chłodnym cieniu granitowej kolumnady.

Nagle za zakrętem zadudniły podkowy, niezwykle głośnie w porannej ciszy. Trybun uniósł brwi. Któż to galopował krętymi ścieżkami w takim zawrotnym tempie? Skaurus jako typowy Rzymianin nie bardzo znał się na koniach, ale nie trzeba było eksperta, aby zrozumieć, że jeździec prosi się o złamanie karku.

Zza zakrętu wyłonił się wielki gniady ogier. Marek poczuł ucisk w żołądku — był to wierzchowiec Imperatora! Ale to nie Thorisin siedział w siodle; konia dosiadała Alypia Gavra, ledwo nad nim panując. Zmusiła zwierzę do zatrzymania się przed pierwszymi szeregami Rzymian, którzy rozstąpili się na widok najwyraźniej ponoszącego ogiera.

Niezadowolony ogier zarżał i zarzucił głową, pragnąc raz jeszcze puścić się w szalony cwał. Alypia nie zwracała na niego uwagi. Patrzyła z rozpaczą na długą kolumnę.

— Więc wy też nas zdradziliście! — krzyknęła. Glabrio wysunął się z szeregu i złapał konia za uzdę.

Skaurus powiedział:

— Zdradziliśmy was? Ćwiczebnym marszem?

Księżniczka i Rzymianin wymienili długie, zmieszane spojrzenia. Potem Alypia zawołała:

— Och, Phosowi niech będą dzięki! Chodźcie natychmiast; banda zabójców atakuje prywatne komnaty!

— Co? — zapytał głupawo Marek, ale nim zdążył nabrać powietrza w płuca, by wydać rozkaz legionistom, usłyszał ryk Gajusza Filipusa:

— Szyk bojowy! Naprzód w zdwojonym tempie!

Skaurus zazdrościł starszemu centurionowi odporności na tego typu niespodzianki.

— Krzyczcie „Gavras!” — dodał. — Niech obie strony wiedzą, że pomoc jest w drodze!

Legioniści zdjęli z pleców *pila*, dobyli miecze z mosiężnych pochew. — Gavras! — ryknęli. Koń Imperatora zarżał strwożony i stanął dęba, wrywając wodze z rąk Kwintusa Glabrio. Alypia pewnie trzymała się w siodle. Umiała jeździć konno, jak przystało na córkę niegdyś prowincjonalnego

szlachcica. Chociaż przerażony rumak Thorisina nie dałby się łatwo prowadzić nikomu, zawróciła i pogalopowała ku czołu biegnących Rzymian.

— Wracaj, pani! — zawołał Marek. Kiedy nie po słuchała, kazał sześciu ludziom zatrzymać konia i nie pozwolić księżniczce zbliżyć się do miejsca walki. Żołnierze zignorowali protesty Alypii i zrobili, co im kazano.

Prywatna rezydencja, stojąca w kępie wiśni, które właśnie zaczynały kwitnąć, była stworzona do spokoju. Ale teraz jej frontowe drzwi stały otworem, a przed nimi w kałuży krwi leżało ciało wartownika.

— Otoczyć budynek! — warknął Marek i wyznaczone manipuły rzuciły się w prawo i lewo.

Bał się, że przybyli za późno, lecz gdy pędzili w kierunku otwartych drzwi, usłyszał odgłosy trwającej wewnątrz walki.

— To pomoc, nie zemsta! — zawył. Legioniści ryknęli:

— Gavras! Gavras!

Z wejścia wyskoczył łuczniczka i wypuścił strzałę. Biegący blisko za Skaurusem Rzymianin złapał się za twarz i upadł. Nie było czasu ani na to, by zobaczyć, kto poległ, ani by Videssańczyk strzelił po raz drugi. Mężczyzna odrzucił łuk na bok i wyciągnął szablę.

Widząc setki biegnących ku niemu ludzi musiał wiedzieć, że to beznadziejne, jednakże przyjął postawę i czekał. Trybun przez chwilę, nim spotkały się ich ostrza, podziwiał jego odwagę. Potem wszystko stało się automatyczną reakcją: pchnięcie, sparowanie, cięcie, riposta, sparowanie — sztych! Marek poczuł, że jego broń wdziera się w ciało, i przekręcił nadgarstek, by mieć pewność, że cios będzie śmiertelny. Jego przeciwnik jęknął i powoli osunął się na ziemię.

Rzymianie wpadli na korytarz, ich podbite ćwiekami *caligae* szczerkały na mozaikowej posadzce. Światło, które wlewało się strumieniem przez alabastrowe tafle sufitu, było blade i chłodne, zupełnie nie pasujące do gorączki bitwy. A bitwa musiała być zażarta: trupy wartowników i eunuchów leżały splątane ze zwłokami zabójców. Czerwone kamyki, wchodzące w skład przedstawiającej myśliwską scenę mozaiki, były zbryzgane jaśniejszą purpurą prawdziwej krwi; krew plamiła również bezcenne ikony i popiersia zapomnianych od wieków Autokratorów.

Marek zobaczył martwego Miziziosa. Eunuch miał miecz w ręku, a na głowie starodawny hełm, będący dowodem dawnych videssańskich triumfów. Szybko myślał, skoro założył go na głowę, ale nie uratowało go to przed śmiercią. Wielka szabla rozpruła mu brzuch; wnętrzności wylały się na posadzkę.

Legioniści kierowali się krzykiem i dudnieniem. Buntownicy atakowali siekierami zabarykadowane drzwi. Gdy Rzymianie skręcali za ostatnim rogiem, zostali zatrzymani przez dziki kontratak zabójców. Korytarz był tak wąski, że przewaga liczebna legionistów nie miała znaczenia. Żołnierze przepychali się, klęli i uderzali, prawie na oślep machając mieczami.

Przywódcą zabójców był krzepki mężczyzna około czterdziestki w porządnie zmaltretowanej kolczudze. Wznosząc w prawej ręce pochodnię, krzyknął przez drzwi do Thorisina:

— Twoje psy przybyły za późno, Gavrasie! Zanim zdołają coś zrobić, ty będziesz kawałem pieczonego mięsa!

— Nie tak prędko! — wrzasnął Czerwony Zeprin, który walczył w pierwszym szeregu legionistów. Nadal obwinał się za śmierć Mavrikiosa Gavrasa i nie chciał dopuścić, by drugi Imperator ciążył mu na sumieniu. Potężnie zbudowany Halogajczyk zamachnął się wielkim wojennym toporem na człowieka z pochodnią. Trudno nazwać ten cios udanym; pomieszczenie było zbyt ciasne. Celował w piersi Videssańczyka, ale zamiast tego trafił go końcem styliska w żołądek. Kolczuga była niewielką ochroną; mężczyzna zwinął się jak kopnięty przez woła. Dymiąca pochodnia upadła na posadzkę i zgasła.

Jeden ze schwytanych w pułapkę zabójców zaklął dziko i skoczył na Zeprina, który przez sekundę stał bezbronny. Halogajczyk nie uciekł — nie mógł uciec. Zrobił unik, złapał napastnika i przycisnął go do piersi. Mięśnie napięły się w jego potężnych ramionach; ręce przeciwnika opadły bezwładnie wzdłuż boków. Mimo hałasu bitwy Skaurus usłyszał chrzęst łamanych kości. Po chwili Zeprin odrzucił na bok trupa.

W tym samym czasie Viridoviks zamachnął się oburącz i ściął innemu zabójcy głowę. Trybun wyczuwał, że bandytów opuszcza odwaga. Skrytobójcze morderstwo było jedną rzeczą, ale stawianie czoła takim szaleńcom było czymś zupełnie innym. A Rzymianie nie próżnowali. Ich krótkie miecze omijały obronę Videssańczyków, podczas gdy olbrzymie *scuta* przyjmowały cios za ciosem. — Gavras! — krzyczeli i spychali wrogów.

Potem drzwi stanęły otworem i Thorisin wraz z czterema czy pięcioma ocalałymi strażnikami zaatakowali nieprzyjaciela od tyłu, krzyżąc — Rzymianie! Rzymianie! — Było to posunięcie bardziej rycerskie niż mądre, ale Thorisina cechowało obce Videssańczykom umiłowanie bitwy.

Niektórzy z napastników odwrócili się w ich stronę, nadal próbując wypełnić swoją misję. Gajusz Filipus ciął jednego od tyłu.

— Ty cholerny głupi sukinsynu — warknął, wyszarpując *gladius*.

Marek zaklął, gdy szabla rozcięła mu przedramię. Spróbował zacisnąć palce na rękojeści miecza. Udało się — ścięgna nie zostały przecięte — ale rękojeść stała się śliski od krwi.

Thorisin zabił swego przeciwnika. Był człowiekiem nieprzywykłym do uciekania nawet przed przeważającymi siłami i teraz walczył z dziką zaciekłością, jakby próbował zmasać hańbę, którą — jak tylko jemu się wydawało — go okryła. Gdyby był Sevastokratozem, prawdopodobnie dałby ujście swej furii do końca, ale obecne stanowisko utemperowało go tak, jak niegdyś jego brata. Widząc tylko garść napastników na nogach, krzyknął:

— Brać ich żywcem! Chcę wiedzieć, kto za tym stoi!

Większość zabójców, znając czekający ich los, tym zagorzałej rzuciła się w wir bitwy; woleli zginąć na miejscu. Jeden nie wytrzymał napięcia i zadał sobie śmierć własną ręką. Ale paru zostało rzuconych na podłogę i związanych jak barany. Podobny los spotkał przywódcę, który nadal z trudem oddychał, nie mówiąc o walce.

— W samą porę — powiedział Thorisin, oglądając Marka od stóp do głów. Zaczął wyciągać rękę na powitanie, ale zauważył ranę trybuna.

Skaurus, prawdę mówiąc, jeszcze jej nie czuł. Odpowiedział:

— Podziękuj swej bratanicy, nie mnie. Spieniła ci konia, ale chyba jej wybaczysz.

Imperator uśmiechnął się przelotnie.

— Chyba tak. Mówisz, że wzięła tę bestię? Rzymianin wyjaśnił mu, jak spotkał Alypię. Uśmiech Thorisina poszerzył się.

— Nigdy nie przywiązywałem wagi do jej bazgraniny za zamkniętymi drzwiami, ale na to też już nigdy nie będę narzekał. Musiała uciec przez okno, gdy zaczęła się bitwa, i pobiegła do stajni. Ognistonogi zwykle jest osiodłany o świcie. — Marek wspomniał zamiłowanie Gavrasa do porannych przejażdżek.

Thorisin trącił trupa nogą.

— Dobrze, żęte wszy były za głupie, by opasać budynek kordonem. — Klepnął Skaurusa po plecach. — Dość gadania; zrób coś z tą ręką. Tracisz krew.

Trybun oddał pas materiału z kaftana trupa; Gavras pomógł mu założyć prowizoryczny opatunek. Ręka, odrętwiała parę minut wcześniej, zaczęła okropnie boleć. Udał się na poszukiwanie Gorgidasa.

Trybun z niepokojem stwierdził, że lekarza nie ma w rezydencji Imperatora. Jakkolwiek legionieści byli znacznie liczniejsi od napastników, których było około czterdziestu, nie wyszli z potyczki bez szwanku. Pięciu ludzi poległo — w tym dwóch niezastąpionych Rzymian — a dużo więcej odniosło rany, bardziej czy mniej poważne. Skaurus, stękając i zaciskając pięść w walce z bólem, wyszedł na zewnątrz.

Zobaczył Gorgidasa klęczącego nad człowiekiem leżącym na ścieżce — Rzymianinem, sądząc po zbroi — ale nie zdążył do niego podejść. Podbiegła do niego Alypia Gavra.

— Czy mój stryj... — zaczęła i urwała, nie chcąc nawet dokończyć pytania.

— Nawet nie draśnięty, dzięki tobie — zapewnił ją Skaurus.

— Phosowi niech będą dzięki — wyszeptała, a potem, ku przyjemnemu zaskoczeniu trybuna, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go. Legionieści, którzy dotychczas powstrzymywali ją od wejścia do rezydencji, zahukali radośnie. Na ten dźwięk księżniczka szarpnęła się strwożona, jak gdyby dopiero teraz zdała sobie sprawę ze swego postępków.

Marek wyciągnął ku niej ręce, ale niechętnie opuścił je, gdy zobaczył jej przestkach. Takie

otwarte okazanie sympatii, aczkolwiek krótkie, sprawiło mu przyjemność może większą, niż był gotów sarn przed sobą przyznać. Powtarzał sobie, że jest to tylko zadowolenie na widok gojących się ran jej duszy, ale wiedział, że kłamie.

— Jesteś ranny! — zawołała, po raz pierwszy dostrzegając skrawione bandaże.

— Nic poważnego. — Otworzył i zamknął dłoń, by pokazać, że może to zrobić, chociaż dowód ten kosztował go wiele bólu. Zgodnie ze swym stoickim treningiem próbował zachować kamienny wyraz twarzy, ale księżniczka zobaczyła pot spływający mu po czole.

— Trzeba to opatryć — powiedziała stanowczo, najwyraźniej czując ulgę, że jest w stanie udzielić rady jednocześnie rozsądnej i bezosobowej. Skaurus zawahał się; żałował, że brakuje mu tupetu Viridoviksa. Niestety, nie miał go i chwila minęła. Cokolwiek by powiedział, prawdopodobnie wypadłoby nie tak, jak trzeba.

Powoli podszedł do Gorgidasa. Lekarz nie zauważył go. Nadal trwał schylony nisko nad poległym legionistą, przyciskając ręce do jego twarzy — na sposób, uświadomił sobie Marek, videssańskiego uzdrowiciela. Ramiona Greka drżały z wysiłku.

— Ożyj, cholera, ożyj! — powtarzał w ojczystym języku. Ale życie legionisty dobiegło nieodwracalnego kresu.

Spomiędzy palców lekarza wystawała strzała o zielonych lotkach. Marek nie potrafił powiedzieć, czy Gorgidas wreszcie opanował uzdrawiającą siłę, ale teraz nie miało to znaczenia; nawet Videssańczycy nie mogli wskrzeszać martwych.

W końcu Grek wyczuł obecność Skaurusa. Podniósł głowę, a trybun cofnął się na widok żalu, udręki i nieopisanego gniewu, który wykrzywił mu rysy.

— Bez sensu — powiedział Gorgidas, bardziej do siebie niż do Skaurusa. — Wszystko bez sensu. — Zgarbił się w poczuciu klęski, a jego ręce, czerwoneczarne od zaczynającej krzepnąć krwi, oderwały się od twarzy martwego żołnierza.

Marek nagle zapomniał o swojej ranie.

— Na najlepszego i największego Jupitera — wyszeptał; zaklął tak po raz pierwszy od dni chłopięcych, gdy jeszcze wierzył w bogów. Na ziemi leżał Kwintus Glabrio. Jego rysy już tężały w pustą maskę śmierci. Strzała, która wystawała spod jego prawego oka, musiała zabić go natychmiast. Mucha przysiadła na piórze i uciekła, gdy zadrżało ono pod jej ciężarem.

— Daj mi obejrzeć tę ranę — powiedział obojętnie Gorgidas. Trybun wyciągnął rękę jak automat. Lekarz przemył ranę gąbką umoczoną w occie. Skaurus robił wszystko, by powstrzymać się od płaczu. Gorgidas spiął ranę, odcinając czubek każdej fibuli po przepchnięciu jej przez ciało. Marek, z ręką odrętwiałą z bólu i octowej kąpieli, ledwo czuł ukłucia. Łzy spływały po policzkach Greka, gdy opatrywał cięcie; dopiero za trzecim razem udało mu się zamocować klamerkę zabezpieczającą poszczególne spinki.

— Bardziej boli? — zapytał Skaurusa. — Tak być musi.

— Tak, trochę. — Lekarz odwrócił się, by odejść, ale Marek zatrzymał go zdrową ręką. — Jest mi bardziej przykro, niż potrafię wyrazić — zaczął niezgrabnie. Dla mnie był wspaniałym oficerem, dobrym człowiekiem i przyjacielem, ale... —Przerwał niepewny, co powiedzieć.

— Wiedziałem, że wiesz, mimo twojej dyskrecji, Skaurusie — rzekł ze zmęczeniem Gorgidas. — To już jednak nie ma najmniejszego znaczenia, prawda? A teraz pozwól, że zajmę się innymi, dobrze?

Marek nadal stał niezdecydowanie.

— Czy mogę jakoś ci pomóc?

— Niech bogowie cię przeklną, Rzymianinie; jesteś przyzwoitym durniem, ale niemniej durniem. On tu leży. On; wszystko, co było mi drogie w tym bezwartościowym świecie, a ja z całą swą wiedzą i umiejętnością leczenia ran nie mogę mu pomóc. Co mogę zrobić? Czuję, jak stygnie pod moimi dłońmi...

Odsunął się od trybuna.

— Daj mi odejść; zobaczymy, jakie cuda potrafię zrobić dla innych biednych sukinsynów. — Wszedł w otwarte drzwi rezydencji Imperatora — chudy, samotny człowiek, spowity bólem jak płaszczem.

— Co dolega waszemu uzdrowiaczowi? — zapytała Alypia Gavra.

Skaurus drgnął; zagubiony w myślach nie słyszał, jak podeszła.

— To jego bliski przyjaciel — rzekł krótko, ruchem głowy wskazując na Glabrio — i mój. — Księżniczka odeszła, słysząc jego ton. Marek postanowił nie zwracać na to uwagi; smak triumfu był zaprawiony goryczą.

— Ślicznie tu, prawda? — powiedział Thorisin do Marka, gdy spotkali się po południu. Mała komnata audiencyjna w apartamencie Imperatora była zdemolowana. Oparcie sofy, na której siedział trybun, było przecięte; wyłaziło z niego końskie włosie. Marmurową posadzkę znaczyły plamy krwi.

Imperator ciągnął:

— Kiedy kazałem ci zająć się katastrofami, cudzoziemcze, myślałem, że będziesz pilnował gryzi-piórków, ale wydaje się, że zamiast tego zaszczułeś wielmożę.

Skaurus stał się czujny.

— Zatem byli to ludzie Onomagoulosa? — Zabójcy walczyli w ponurym milczeniu; równie dobrze mógł ich wynająć Ortaias Sphrantzes.

Gavras jednakże nie docenił jego przenikliwości i chyba uważał za durnia.

— Oczywiście, że Baanesa. Prawie nie musiałem ich o to pytać.

— Nie rozumiem — przyznał Skaurus.

— A z jakiego innego powodu ten plugawy, zarażony bękart taniej kurwy, Elissaios Bouraphos, miałby sprowadzić swoją cholerną zbieraninę statków z Pityos? Dla przyjemności? Na światło Phosa, człowieku, on się z tym wcale nie kryje. Musiałeś widzieć żagle galer, gdy maszerowałeś dziś rano do miasta. Marek poczuł, że twarz mu czerwienieje.

— Myślałem, że to statki ze zbożem.

— Szczur lądowy! — mruknął Gavras, przewracając oczami. — Przecież to jasne jak słońce, co powinien dostrzec każdy, kto ma oczy w głowie. Plan był dość prosty; gdy tylko zostaną załatwiony, Baanes przybędzie zająć moje miejsce. — Thorisin splunął ze wstrętem. — Jakby potrafił! Ten łysy konus nie ma dość sprytu, by puszczać bąki i lać w tym samym czasie. A podczas gdy on próbuje mnie zamordować, a ja go usadzam, kto zyskuje? Yezda, oczywiście. Ciekaw jestem, czy nie jest na ich usługach.

Skaurus pomyślał, że Imperator ma niebezpieczne przyzwyczajenie polegające na niedocenianiu swoich wrogów. Postąpił tak z Sphrantzesami, a teraz znów z Onomagoulosem, który, lojalny czy nie, był zdolnym, choć aroganckim żołnierzem. Marek miał zamiar zwrócić na to uwagę, ale wspomniał, jak zaczęła się rozmowa, i zamiast tego zapytał:

— Dlaczego przypuszczałeś... — to wydawało się bezpieczniejszym słowem niż „posądzanie” — ...że biorę udział w spisku Baanesa?

— Ponieważ podjudzałeś go tym wykazem podatkowym dla Kybistry. Zawierał rzeczy, których lepiej było nie zapisywać.

— Ach? — mruknął z zainteresowaniem Marek, by nakłonić Imperatora do podania szczegółów.

— Tak, prawda, prawda. Twój przyjaciel Nepos napompuwał zabójców taką dawką narkotyku, że wyrzygali wszystko, co wiedzieli. Ich przywódca, niech go Skotos porwie, też dużo wiedział. Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego w zeszłym roku, gdy po pertraktacjach wpadliśmy w zasadzkę, nasz przyjaciel Baanes z taką troską zadbał, by wszystkim bandytom poderznąć gardła?

— Ach — powtórzył Marek. Zerwał się, gdy korytarzem przeszło kilku ludzi w ciężkich butach, ale byli to tylko robotnicy, którzy przyszli usunąć zniszczenia. Pomyślał, że wystarczy przez pewien czas pomieszkać w Videssos, a zacznie się szukać morderców pod każdą poduszką — lecz w dniu, w którym się tego zaniedba, pojawią się naprawdę.

Thorisin, porwany rozpalonym na nowo gniewem, nie zauważył nerwowego skoku trybuna. Mówił dalej:

— Ten wyskrobek sam wynajął nożowników i zapłacił im monetą Ortaiasa, żeby nikt nie mógł

wskazać na niego, gdyby coś poszło nie po jego myśli. Ale zapisał wszystkie wydatki, żeby mógł rozliczyć się ze Sphrantzesami, jeżeli mnie zabije, i umieścił to w rejestrze Kybistry. Dlaczego nie? Miał go ze sobą; ostatecznie sam zbierał tam podatki po Maraghrze. W takim wypadku raczej nie mógł ci go pokazać, ale nie mógł też przysłać fałszywego, prawda? — Imperator zachichotał, wyobrażając sobie konsternację rywala.

Skaurus też się roześmiał. Videssańskie katastrofy były nieważne, jeżeli coś w nich wymazano czy wykreślono; tylko nie naruszone egzemplarze trafiały do stolicy. A skoro raz znalazły się w Videsos, obwieszano je festonami pieczęci i ostemplowywano — a Onomagoulos nie miał oczywiście dostępu do tajnych pieczęci, skoro wyruszył na prowincję.

— Musiał go ukraść, gdy tylko dowiedział się, że będę sprawdzał dokumenty — zdecydował trybun.

— Bardzo dobrze — powiedział Gavras, szyderczo bijąc mu brawo. Marek zarumienił się jeszcze bardziej. Czasami jego rzymska prostota była dla wyrafinowanych Videssańczyków szalenie zabawna. Nawet pozornie rubaszni i tępawi osobnicy, jak Thorisin i Onomagoulos, byli pogrążeni w skomplikowanych intrygach jak kandyzowane owoce w miodzie.

Marek westchnął i podjął wyjaśnienia, tyleż dla siebie, co dla Imperatora.

— Urzędnik, nawet logotheta, nie robiłby sobie wiele z takiej machlojki; prawdopodobnie założyłby, że Onomagoulos nabija własną kabzę i nie przejmowałby się tym w ogóle. Ale on wiedział, że ja byłem na tej plaży, i musiał dojść do wniosku, że skojarzę pewne rzeczy. Pamiętam, jak się upierał, że to pieniądze Ortaiasa, tak, ale skłamałbym mówiąc, że parę linijek w nudnym dokumencie na pewno pobudzi moją pamięć. Byłby sprytniejszy, gdyby zostawił rzeczy samym sobie.

Thorisin znów zachichotał, tym razem bez śladu humoru.

— „Sumienie zwodzi złoczyńcę z pewnej ścieżki Phosa” — powiedział, cytując z videssańskiej świętej księgi, jak Grek z Homera. — On wiedział, że jest winny. To, czy ty również byś to odkrył, jest już mniej ważne.

— I jeżeli jest winny, to oznacza, że Taron Leimmokheir jest niewinny! — zawołał Marek z triumfem. Rozgorzało w nim przekonanie, że ma rację. W jego stwierdzeniu kryła się taka logika, że z pewnością każdy musiał ją dostrzec.

Ale Thorisin spochmurniał.

— Skąd ta obsesja na punkcie tego siwobrodego zdrajcy? Co za różnica, że spiskował z Onomagoulosem a nie z Ortaiasem? — rzekł oschle. Skaurus potrafił rozpoznać nieugięty ton i znów się poddał. Nakłonienie Thorisina do zmiany zdania wymagało czegoś więcej niż tylko logiki; Imperator przypominał człowieka z tabliczką, który przebił się ryłcem przez wosk i teraz zapamiętałe skrobie drewno pod spodem.

— Rusz się, Rzymianinie drogi. Jesteś bohaterem dzisiejszego wieczora, nie duchem trupa, który wcale, ale to wcale nie zostałby zaproszony na kolację — powiedział Viridoviks, gdy szli w kierunku Sali Dziewiętnastu Tapczanów. Świadomie używał przesadnego akcentu, próbując rozbawić Marka, ale mówił po videssańsku, żeby rozumiały go Helvis i jego trzy towarzyski.

— Błagam o wybaczenie. Nie zdawałem sobie sprawy, że to tak widać — wymruczał trybun; myślał o Glabrio. Helvis ścisnęła go za lewą rękę. Uśmiech, który zdołał zaprezentować, jemu samemu wydał się upiorny, ale na zewnątrz wyglądał niezłe.

Mistrz ceremonii, tęgi mężczyzna — nie eunuch, bowiem miał gęstą brodę — skłonił się szybko kilka razy jak marionetka na sznurku, gdy Rzymianie stanęli w drzwiach z polerowanego brązu.

— Videssos jest twoim dłużnikiem — powiedział, ujmując rękę Marka w swoją bladą i wilgotną dłoń. Ukłonił się raz jeszcze, po czym odwrócił i zawołał do obecnych: — Panowie i panie, dzielni Rzymianie! — Skaurus zamrugał i wybaczył mu oślizły uścisk dłoni.

— Dowódca i *epoptes* Skaurus i szlachetna Helvis z Namdalenu! — To było łatwe; czekały go gorsze wyzwania. — Viridoviks, syn Drappesa, i jego, ech... damy! — Imię Celta dla Videssańczyków było prawie nie do wymówienia; krótka przerwa mistrza protokołu wyrażała jego zdanie na temat związku z tyloma kobietami. Marek nagle jęknął — na szczęście bezgłośnie. Miała tu być Komitta Rhangawe.

Nie miał czasu, by cokolwiek powiedzieć. Mistrz ceremonii brnął dalej.

— Starszy centurion Gajusz Filipus! Młodszy centurion Juniusz Blesus! — Blesus od dawna był podoficerem i dobrym żołnierzem, ale Skaurus wiedział, że nie uda mu się w pełni zastąpić Kwintusa Glabrio. — Podoficer Minucjusz i pani Erene! — Nie „szlachetna” — zauważył Skaurus; cholerny snobistyczny pacholek. Minucjusz, dumny z awansu, wypolerował do połysku swoją kolczugę.

Dwa kolejne nazwiska zamknęły listę przybyłych legionistów:

— Nakharar Gagik Bagratouni, dowódca oddziału podlegającego Rzymianom! Czerwony Zeprin, strażnik Halogajczyk w służbie rzymskiej! — Mimo namawiań, Gorgidas postanowił zostać sam ze swym żalem.

Bagratouni także był w żałobie, ale czas stępił jego ból. vaspurakański wielmoża, torując sobie drogę do wina, omiółł gorącym wzrokiem wiotkie Videssanki. Skaurus zobaczył, że jego oczy skaczą to w tę, to w drugą stronę. Bez wątplenia Bagratouni doskonale zdawał sobie sprawę, jakie wrażenie wywiera na kobietach.

Trybun i Helvis podeszli do stołu zastawionego tacami z kruszonym lodem, na którym spoczywały przysmaki różnych rodzajów, głównie owoce morza.

— Smakołyk, którego nie zobaczycie na co dzień — zachwalał podstarzały sługa, wskazując na

mięso ośmiornicy. — Zwinięta ośmiornica z tylko jednym rzędem macek na każdym ramieniu.

Wspaniała! — Skaurus skosztował mięso. Było gąbczaste i lekko pachniało morzem, jak wszystkie inne próbowane przez niego wcześniej ośmiornice.

Zastanowił się, co otaczający go smakosze powiedzieliby na taki rzymski delikates jak kosztatki w maku i miodzie.

Mała orkiestra grała cicho w kącie sali: flety, instrumenty strunowe, których nazwy wciąż mu się myliły, i podzwaniający klawikord. Helvis radośnie klasnęła w ręce.

— To samo rondo grali wówczas, gdy się poznaliśmy — powiedziała.. — Pamiętasz?

— Tamtą noc? Naturalnie. To... jak nazwałaś ten utwór? Wiedziałybyś, że kłamię, gdybym zaprzeczył. — Tego wieczora wiele się wydarzyło. Nie tylko spotkał Helvis — chociaż Hemond wtedy żył jeszcze, oczywiście — ale również Ałypię Gavrę. I Avshara, jeśli o to idzie; jak zawsze spontanicznie wspomnieli księcia-czarnoksiężnika.

Mijali oddzielne grupki: biurokratów, żołnierzy i ambasadorów, wymieniając ze wszystkimi pozdrowienia i krótkie uwagi. Skaurus, mając przyjaciół we wszystkich trzech grupach, był kimś wyjątkowym. Obydwie imperialne frakcje pogardały sobą wzajemnie. Videssańscy oficerowie woleli towarzystwo najemników, którym nie ufali, od gryzpiórków, którymi gardzili, co tylko potwierdzało ich prostactwo w oczach biurokratów.

Taso Vones, z imponująco wysoką videssańską damą — nie Plakidią Teletze — skłonił się trybunowi.

— Skąd idziesz? — zapytał, mrugając okiem. — Może wiesz, jak podkuwać kawaleryjskie konie albo znasz najlepszy sposób ułożenia memorandum na nieistotny temat?

— Najlepiej tego nie robić — odparła bez namysłu Helvis.

— Błuznierstwo, moja droga; urzędnicy palą ludzi, którzy głoszą takie herezje. Ale z drugiej strony, kawaleryjskie konie są według mnie nie bardziej inspirujące. — Łatwo poznać — pomyślał Skaurus — dlaczego Vones trzyma się z dala i od wojowników, i od biurokratów.

— Jego Świątobliwość Patriarcha Phosa, Balsamon! — zawołał mistrz ceremonii i hałas ucichł na pełną szacunku chwilę, gdy gruby starzec wtoczył się do komnaty. Jego prezencja natychmiast kazała zapomnieć o pozbawionym wdzięku chodzie.

Patriarcha rozejrzał się, potem z uśmiechem i udawanym żalnym westchnieniem rzekł:

— Ach, gdybyście tylko poświęcali mi tyle samo uwagi w Najwyższej Świątyni! — Wziął z lodu kryształowy puchar z winem i wychylił go z widoczną przyjemnością.

— Ten człowiek niczego nie traktuje poważnie powiedział z dezaprobatą Soteryk. Chociaż nie golił tyłu głowy w zwyczajowy wyspiarski sposób, w obcisłych spodniach i krótkiej futrzanej kurtce nadal wyglądał na nie zasymilowanego z Videssańczykami Namdalajczyka.

Marek powiedział:

— Tracenie czasu na martwienie się jego wadami jest do ciebie niepodobne. Ostatecznie, Balsamon jest dla ciebie heretykiem, prawda? — Wyszczrzył zęby, gdy brat Helvis zaczął zastanawiać się nad odpowiedzią. Prawda — pomyślał — jest prosta; videssański patriarcha jest zbyt ciekawą postacią, by nie zwracać na niego uwagi.

Słudzy zaczęli wnosić bufety z przekąskami z powrotem do kuchni i zastępować je stołami do uczyty i złożonymi krzesłami. Na podstawie poprzednich bankietów w Sali Dziewiętnastu Tapczanów Marek wiedział, że to sygnał zapowiadający przybycie Imperatora. Pomyślał, że wcześniej musi porozmawiać z Balsamonem.

— Co tym razem, przyjacielu? — zapytał patriarcha, gdy Skaurus do niego podszedł. — Ilekroć zbliżasz się do mnie z taką ponurą determinacją w oku wiem, że szukasz drogi do dalszych kłopotów.

Jak Alypia Gavra, Balsamon potrafił sprawić, że trybun czuł się jak nagi. Spróbował ukryć zdenerwowanie i był pewien, że Balsamon to również zauważył. Bardziej wzburzony niż kiedykolwiek, zaczął opowiadać.

— Leimmokheir, co? — mruknął Balsamon, gdy trybun skończył. — Tak, Taron jest dobrym człowiekiem. — O ile Skaurusa pamięć nie myliła, patriarcha po raz pierwszy określił kogoś w ten sposób. Balsamon ciągnął: Dlaczego uważasz, że moje wstawiennictwo byłoby warte choć zgniętego jabłka?

— Dlatego — brnął Marek — że jeżeli Gavras nie posłucha ciebie...

— ...nie posłucha nikogo, jak prawdopodobnie będzie. To uparty szczeniak — powiedział patriarcha bez żenady o swoim suwerenie. Jego małe czarne oczka, nadal bystre mimo zwałów tłuszczu, zmierzyły bacznie Rzymianina. — i ty też o tym wiesz. Po co więc chłostać zdechłego muła?

— Obiecałem — rzekł wolno Marek, nie mogąc znaleźć lepszej odpowiedzi.

Zanim Balsamon zdążył się odezwać, mistrz ceremonii krzyknął:

— Jej Wysokość Księżniczka Alypia Gavra! Szlachetna Komitta Rhangawe! Jego Imperatorska Wysokość, Autokrator Videssańczyków, Thorisin Gavras!

Mężczyźni skłonili się na znak szacunku dla Imperatora; jako że okazja miała charakter bardziej towarzyski, akt poddaństwa nie był wymagany. Kobiety dygnęły dwornie. Thorisin przyjaźnie pokiwiał głową, potem zawołał:

— Gdzie są goście honorowi?! — Szambelanowie otoczyli Rzymian oraz damy i podprowadzili do Imperatora. Thorisin przedstawił ich zebranym, co wywołało drugą turę radosnych okrzyków.

Oczy Komitty Rhangawe zwężyły się niebezpiecznie, gdy przeskakiwały z jednej kobiety Viridoviksa na drugą. Kochanka Imperatora wyglądała niezwykle pięknie w obcisłej spódnicy z kwiecistego płótna, jednakże Marek wolałby wziąć do łóżka jadowitą żmiję. Viridoviks jakby nie widział

jej wściekłego spojrzenia, ale również nie był szczęśliwy.

— Coś nie tak? — zapytał trybun, gdy szli w kierunku stołów.

— Tak, stary. Arigh powiedział mi, że Videssańczycy wysyłają poselstwo do jego klanu. Są skłonni wynająć najemników, i on pojedzie z nimi, by dopomóc im w namówieniu swych pobratymców do wstąpienia na służbę Imperium. Będzie to półroczna wyprawa, może nawet dłuższa, a on jest najsympatyczniejszym kompanem do picia, jakiego spotkałem w tym mieście. Będzie mi brakowało tego omadhauna, niech mnie licho, jeżeli kłamię.

Słudzy usadzili legionistów zgodnie z ich znaczeniem. Marek zajął miejsce na prawo od imperatorskiego towarzystwa, obok księżniczki Alypii. Imperator zasiadł między nią a Komittą Rhangawe. Komitta była nie tyle jego metresą, ile żoną, i równie dobrze ona i księżniczka mogłyby zamienić się miejscami. Obok niej zajął miejsce Viridoviks; Skaurus pomyślał, że to zły omen. Trzy towarzyski Gala szczebiotały ze sobą, podniecone sąsiedztwem Videssańczyków wysokiego rodu, i nie zdawały sobie sprawy z powagi sytuacji.

Na pierwsze danie podano przyjemnie delikatną zupę cebulową z wieprzowiną. Marek opróżnił talerz, prawie nie czując jej smaku, bo w napięciu czekał na jego zdaniem nieuchronny wybuch po lewej stronie. Ale Komitta wykazywała praktyczny takt, co było cnotą, o jaką jej nie posądzał. Odprężył się i z przyjemnością wygarnął parę ostatnich łyżek zupy; było mu przykro, gdy sługa zabrał pustą czarkę. Jednakże puchar z winem zawsze był pełny. Ilekroć go osuszał, natychmiast podchodził służący z błyszczącą srebrną karafką. Chociaż wino było słodkie i gęste, uspiło ból w jego rannej ręce.

Pojawiły się małe pieczone kuropatwy, faszerowane smażonymi grzybami. Balsamon, siedzący obok Helvis po prawej stronie trybuna, pochłaniał je z apetytem, który przynosił zaszczyt człowiekowi w jego wieku. Poklepał się po okazałym brzuchu i powiedział do Skaurusa:

— Widzisz teraz, że zapracowałem na niego uczciwie. Alypia Gavra pochyliła się w jego stronę.

— Wiesz doskonale, że bez niego nie byłbyś sobą. — Mówiła do niego w taki sposób, jakby był jej ulubionym starym wujaszkiem czy dziadkiem.

Balsamon przewrócił oczami i skrzywił się udając, że jest dotknięty do żywego.

— Widzisz, takiemu grubemu i staremu durniowi trudno jest zdobyć szacunek — powiedział do Helvis. — Powinienem budzić grozę jak dawni patriarchowie i rzucać heretyków na kolana. Mam nadzieję, że ty *jesteś* przerażona? — zapytał, mrugając do niej.

— Ani trochę — odparła z miejsca. — Z równym skutkiem możesz mi wmawiać, że jesteś błaznem, jakiego udajesz.

Oczy Balsamona w pewien sposób nadal były rozbawione, ale już nie wesołe.

— Jest w tobie okropna uczciwość twego brata — powiedział, i Skaurus nie sądził, by był to komplement.

Dania zmieniały się co pewien czas: ogony homarów w maśle z kaparami; ciasta w kształcie pawich jaj; rodzyunki, figi i słodkie daktyle; pieczona gęś — pachnąca znajomym serem i cynamonowym sosem (Marek odmówił); kapuśniak; gotowane gołębie z kiełbaskami i cebulą... i, oczywiście, odpowiednie wina. Skaurus miał wrażenie, że jego prawa ręka znajduje się gdzieś daleko. Czuł, że drętwieje mu koniuszek nosa, co było nieomylnym znakiem, że staje się pijany.

I nie tylko on jeden. Wielki hrabia Drax, który w przeciwieństwie do Soteryka i Utpranda ubierał się na styl videssański, śpiewał jedną z pięćdziesięciu dwóch zwrotek marszowej piosenki, w czym pomagali mu Czerwony Zeprin i Mertikes Zigabenos. A Viridoviks właśnie zabawiał lewą stronę imperatorskiego stołu historyjką o... Marek przeczyścił palcem ucho, bo nie mógł uwierzyć w bezczelność Celta... o czterech żonach jednego mężczyzny.

Thorisin ryknął śmiechem wraz z resztą, wycierając załzawione oczy.

— Dziękuję państwu — powiedział Viridoviks. Komitta Rhangawe nie przyłączyła się do ogólnej wesołości. Jej długie, smukłe palce i paznokcie wymalowane na kolor krwi nad wyraz przypominały pazury.

Przyniesiono desery, składające się na mniejszą ucztę po wielkiej: tłuczony lód z imperatorskich lodowni doprawiony do smaku słodkim syropem. Ulubione zimowe danie trudne było do sprokrowania w cieplejszej porze roku.

Imperator wstał, co było sygnałem dla wszystkich innych, by zrobili to samo. Marek nie słyszał, co powiedział patriarcha, ale burkliwa odpowiedź Thorisina była dość głośna, by głowy odwróciły się w jego stronę.

— Ty też? Nie! Nie, powtarzałem setki razy, a teraz mówię sto pierwszy!

Trybun miał ochotę zniknąć. Zanosiło się na to, że Tar on Leimmokheir nigdy nie wyjdzie z lochów.

Gdy goście zdecydowali, że wybuch Gavrasa nie pociągnie za sobą dalszych kłopotów, powrócili do przerwanych rozmów. Soteryk podszedł do Helvis, by przekazać jej nowiny z Namdalen, które usłyszał od jednego z ludzi

Draxa.

— Co? Bedard Drewniany Ząb został hrabią Nustadu na stałym lądzie? Nie wierzę — powiedziała. — Wybacz, kochanie, muszę usłyszeć to na własne uszy. — I odeszła wraz z bratem, wykrzykując z podnieceniem w wyspiarskim dialekcie.

Pozostawiony samemu sobie, trybun wychylił kolejny puchar wina. Doszedł do wniosku, że po kilku kolejkach videssańskie wino smakuje doskonale. Jednakże Sala Dziewiętnastu Tapczanów zaczynała wirować, ilekroć poruszył głowę.

— Bydle! — syknęła Komitta Rhangawe niczym dzika kotka, celując w Viridoviksa. — Czy ten syn ladacznicy z twojej opowieści byłby równie dobry z każdą ze swych żon, gdyby obciąć mu

jaja? — Wychlusnęła resztę wina w twarz Celta i strzaskała kryształowy puchar o podłogę. Później odwróciła się gwałtownie i wyszła z sali; każdy jej krok w pełnej zaskoczenia ciszy brzmiał podwójnie głośno.

— Co się stało? — zapytał Imperator, patrząc na oddalające się plecy kochanki. Rozmawiał z Draxem i Zigabenosem, i, podobnie jak Skaurusowi, umknął mu początek sceny.

Czerwone wino ściekało Viridoviksowi z wąsów, ale Gal nie stracił zimnej krwi.

— Och, ta dama poczuła się urażona opowiedzianą przeze mnie dykteryjką — rzucił lekkim tonem. Służący przyniósł mu wilgotny ręcznik; Gal przeciągnął nim po twarzy. — Żałuję, że mnie nie uprzedziła. Wyszedłbym przebrać się w byle jakie łachy.

Thorsin parsknął, uspokojony żartobliwą odpowiedzią wygadanego Celta i tym, co wiedział na temat porywczego usposobienia Komitty, a wiedział niemało.

— Zatem wszystko w porządku. Miejmy nadzieję, że to wino bardziej przypadnie ci do smaku. — Skinął na służącego, kazał mu napełnić własny puchar i podać go Viridoviksowi. Goście zamruczeli, widząc łaskawość okazaną Galowi, po czym znów odetchnęli z ulgą.

Siedzący po drugiej stronie sali Gajusz Filipus pochwyił wzrok Marka, po czym powoli wzniosł i opuścił ramiona w przesadnym westchnieniu ulgi. Trybun skinął — przez chwilę był tak przerażony, że prawie wytrzeźwiał.

Zastanawiał się właśnie, ile wypił; zbyt wiele, sądząc z tętniącego bólu, który zaczął odczuwać gdzieś za oczami. Helvis nadal była pochłonięta rozmową z paroma namdalajskimi oficerami. Sala nagle stała się nieznośnie hałaśliwa, tłoczna i gorąca. Marek ruszył chwiejnie do drzwi. Może świeże powietrze rozjaśni mu w głowie.

Mistrz ceremonii skłonił się, gdy trybun wychodził w noc. Marek odpowiedział skinieniem, lecz natychmiast tego pożałował — wszelki ruch wzmagął ból głowy. Z rozkoszą napełnił płuca chłodnym nocnym powietrzem; było słodsze od wina.

Zszedł po schodach z przesadną ostrożnością pijaka. Muzyka i gwar rozmów cichły za jego plecami, ale nie było mu z tego powodu przykro. Nawet rechot drzewnych żab w pobliskich gajach cytrusowych był torturą dla jego uszu. Westchnął, już krzywiąc się na myśl o jutrzejszym kacu.

Zerknął na gwiazdy, mając nadzieję, że ich chłodna niezmiennosc przyniesie mu jakąś ulgę. Noc była jasna i bezksiężycowa, ale gwiazdy były jeszcze niewyraźne. Zaćmiewały je światła Videssos i dym wznoszący się z niezliczonych palenisk.

Spacerował bez celu przez parę minut. Jego podkute *caligae* szczękały na wyłożonej kamieniami ścieżce, a potem ucichły, gdy wszedł na trawnik. Nagle usłyszał czyjś oddech.

— Kto...? — zaczął, łapiąc rękojeść miecza. Oczami wyobraźni zobaczył morderców; desant ze statków Bouraphosa może, podkradających się do Sali Dziewiętnastu Tapczanów.

— Nie jestem bandą wynajętych zabójców — powiedziała Alypia Gavra i Skaurus wyraźnie

usłyszał drwinę, która tak często brzmiała w jej głosie.

Odsunął dłoń od miecza, tak jakby był on rozpalony do czerwoności.

— Wybacz, pani — wydukał. — Zaskoczyłaś mnie... wyszedłem odetchnąć świeżym powietrzem.

— Jak ja, jakiś czas temu, i zrozumiałam, że wolę ciszę od tego harmideru. Możesz dzielić ją ze mną, jeżeli masz ochotę.

Trybun podszedł do niej, w dalszym ciągu czując się jak głupek. Nadal słyszał hałas dobiegający z sali, ale z takiej odległości był on do zniesienia. Światło, które sączyło się z szerokich okien, również było stonowane. Widział jedynie zarys sylwetki księżniczki.

Przez chwilę stali w milczeniu, które przerwała Alypia Gavra. Odwróciła ku niemu zadumaną twarz.

— Jesteś dziwnym człowiekiem, Marku Emiliuszu Skaurusie. — Jej videssański akcent sprawiał, że dźwięczne głoski jego imienia zabrzmiały jakoś melodyjnie. — Nigdy nie jestem całkiem pewna, co myślisz.

— Nie? — powiedział Skaurus, znów zaskoczony. — Zawsze miałem wrażenie, że możesz czytać we mnie jak w otwartej księdze.

— Jeżeli to ci pomoże, to nie. Niełatwo wpasować cię do jakiejś kategorii; nie jesteś arogantycznym wielmożą z prowincji, kochającym się w końskim pocie i stali ani też jednym ze szczywanych biurokratów, który prędzej by umarł, niż nazwał coś po imieniu. I trudno uważać cię za zwyczajnego dowódcę najemników, bo jest w tobie niewiele żądz niszczenia. Więc, cudzoziemcze, kim jesteś? — Przyglądała mu się uważnie, jak gdyby chciała znaleźć odpowiedź na tę zagadkę w jego oczach.

Wiedział, że to pytanie wymagało uczciwej odpowiedzi i żałował, że jego zmysły nie są na to dość jasne.

— Człowiekiem doświadczonego — rzekł w końcu.

— Ach — mruknęła cicho; było to bardziej westchnienie niż słowo. — Nie dziwota zatem, że rozumiemy się wzajemnie.

— Rozumiemy się? — Marek zdumiał się, ale otoczył ją ramionami, gdy wzniosła ku niemu twarz.

Jej ciało było szczupłe, prawie chłopięce — tym bardziej, że był przyzwyczajony do bujnych kształtów Helvis — ale jej usta i język były słodkie, jak najbardziej kobiece. Smakował je przez czas potrzebny, by serce uderzyło kilka razy, a wtedy z jej piersi wyrwało się stłumione westchnienie i Alypia uwolniła się z jego objęć.

Marek, zatrwożony, próbował znaleźć słowa przeprosin, ale smutny, zmęczony gest powstrzymał go, nim zaczął mówić.

— To nie twoja wina. Jeżeli czyjaś, to tylko moja. Niezależnie od tego, co pragnęłabym czuć, istnieją wspomnienia, których nie mogę tak łatwo zapomnieć.

Trybun poczuł, że jego dłonie zaciskają się w pięści. Nie najmniejszym z przestępstw Avshara — pomyślał po raz kolejny — była łatwa śmierć, jaką zadał Vardanesowi Sphrantzesowi.

Wyciągnął rękę i dotknął jej policzka. Był wilgotny. Ona zaczęła się cofać, ale wyczuła, że gest zawiera w sobie zarówno pieszczotę, jak zrozumienie. Jej zraniona siła, cechująca ją mieszanina bezbronności i opanowania, bardzo go pociągała; robił co mógł, by zachować zimną krew. Pragnął wziąć ją w ramiona, lecz był pewien, że robiąc to, odstraszy ją na zawsze.

Powiedziała:

— Wtedy, gdy byłam wymalowaną ladacznicą, pokazałeś mi, jak mam to znieść, ale dlatego, że byłam tym, kim byłam, nie mogę ci teraz niczego ofiarować. Życie jest jak splątany motek, prawda? — Roześmiała się; był to cichy i drżący dźwięk.

— To, że tu jesteś i wracasz do zdrowia, jest wystarczającym darem — odparł Skaurus. Nie dodał, że i tak jest zbyt pijany, by sprostac darowi innego rodzaju.

Ale Alypia na szczęście nie potrafiła czytać w myślach. Jej napięte rysy złagodniały; przysunęła się i delikatnie go pocałowała.

— Lepiej wracaj — powiedziała. — Ostatecznie jesteś gościem honorowym.

— Chyba tak. — Trybun prawie zapomniał o bankiecie.

Alypia stała obok niego nie dłużej niż sekundę, po czym odwróciła się i odeszła.

— Idź.

Marek niechętnie ruszył w kierunku Sali Dziewiętnastu Tapczanów. Kiedy obejrzał się, by spojrzeć na nią raz jeszcze, Alypii już nie było. Może była cieniem między drzewami, sunącym w stronę rezydencji Imperatora? Trybun pobrnął dalej, z głową ciężką od myśli i wina.

Wiedział, że większość najemników, gdyby tylko miała okazję na taki romans, bez wahania przecięłaby wszelkie więzy stojące im na drodze. Drax zrobiłby to w jednej chwili — pomyślał; był człowiekiem, który aż nazbyt dobrze przystosowywał się do każdych warunków. Jak brzmiało przezwisko, które tamten Ateńczyk zarobił w czasie wojny peloponeskiej? „But sceniczny”, ponieważ pasował na obie nogi...

Ale Skaurusowi dużo brakowało, by utożsamiać się z wielkim hrabim. Mimo pociągu i sympatii, jaką czuł do Alypii Gavry, nie był przygotowany na odrzucenie Helvis. Oboje czasami naprężali łączącą ich więź, ale mimo kłótni i różnic nie chciała ona pęknąć ani też on tego nie pragnął. Poza tym był również Dosti...

— Brakowało nam ciebie, panie. — Mistrz ceremonii powitał go kolejnym niskim ukłonem, gdy Marek zataczając się nieco wrócił do sali. Rzymianin ledwo go słyszał. Jak na człowieka, który nazwał się doświadczonym, miał niepospolity dar komplikowania sobie życia.

XIII

Niech Phos rozwali tego bezczelnego zdrajcę, Bouraphosa, na tysiąc kawałków, a potem upieczkażdy z nich na ogniu z krowiego łajna! — wybuchnął Thorisin Gavras. Imperator stał na videssańskim nabrzeżu i patrzył, jak tonie jedna z jego galer. Dwie inne uciekały do portu, ścigane przez okręty zbuntowanego drungariosa. Głowy podskakiwały w falach Końskiego Brodu, gdy marynarze ze staranowanego okrętu płynęli do Videssos i bezpieczeństwa. Nie wszyscy mieli je osiągnąć; zbliżały się ku nim czarne płetwy.

Gavras przeciągnął ręką po wzburzonych przez wiatr włosach.

— I dlaczego nie mam admirałów z rozumem wystarczającym, by nie lać pod wiatr? — warknął. — Dwulatek w basenie radzi sobie ze swoim stateczkiem z większą finezją niż ci durnie!

Wraz z innymi oficerami Skaurus robił co mógł, by zachować niewzruszony wyraz twarzy. Rozumiał bezsilną wściekłość Thorisina. Onomagoulos, hulający na zachodnim brzegu Końskiego Brodu, dowodził armią dużo słabszą od imperialnej. I co z tego, skoro Gavras nie mógł zmierzyć się ze swym wrogiem?

— Gdybyś miał parę okrętów z Duchy... — zaczął Utprand syn Dagobera, ale wściekłe spojrzenie Thorisina zatrzymało Namdalajczyka w połowie zdania. Drax popatrzył na swego krajana tak, jakby był on tępakiem. Wszyscy wiedzieli, że Imperator podejrzewa wyspiarzy; oczy hrabiego zdawały się pytać, po co Utprand zraża go sobie bez potrzeby.

Gavras, wściekły jak szczuty niedźwiedź, odwrócił się do Marka.

— Przypuszczam, że teraz ty powiesz, że powinienem uwolnić Leimmokheira.

— Nie, dlaczego, Wasza Wysokość, absolutnie — odparł niewinnie trybun. — Gdybyś zamierzał mnie słuchać, zrobiłbyś to już dawno.

Podrapał się po rękę. Rana swędziała go okropnie, jednak zagoiła się na tyle, że Gorgidas dzień wcześniej wyjął szwy. Zabieg nie był bolesny, lecz wspomnienie prześlizgującego się przez ciało metalu było tak nieprzyjemne, że mimo woli zadrżał.

— Ba! — Thorisin znów spojrział na Koński Bród. Tylko rozrzucone belki wskazywały, gdzie zatonął okręt; jednostki Bouraphosa podjęły patrol. Jakby kontynuując dyskusję, Imperator powiedział:

— Co by mi dało, gdybym go wypuścił? Po tylu miesiącach pobytu w lochach z pewnością zwróciłby się przeciw mnie.

Niespodziewanie za Leimmokheirem wstawił się Mertikes Zigabenos. Oficer straży podziwiał starego żeglarsza, który za rządów Sphrantzesów pokazywał, jak porządny człowiek może zachować

godność mimo plugawego reżimu.

— Jeżeli złożysz ci przysięgę na wierność, dotrzyma jej. Bez względu na to, co mówisz, panie, Taron Leimmokheir nigdy nie złamie danego słowa. Za bardzo boi się lodu.

— A poza tym — powiedział Marek z zamierzoną złośliwością i bez najmniejszych skrępowań — co za różnica, jeżeli cię zdradzi? Nadal będziesz bez admirała, podczas gdy... — Zamilkł, pozostawiając Thorisinowi dokończenie przekornej myśli.

Imperator, nadal w paskudnym nastroju, tylko chrząknął. Szarpał z zadumą za brodę i, godne uwagi, nie wpadł we wściekłość na samą wzmiankę o uwolnieniu Leimmokheira. Jego wola jest niczym granit — pomyślał trybun — ale nawet granit w końcu kruszeje.

— Myślisz, że go wypuści? — spytała wieczorem Helvis, gdy Skaurus zdał jej sprawozdanie z wypadków dnia. — Zatem punkt dla ciebie.

— Chyba tak, o ile admirał po uwolnieniu nie przejdzie na drugą stronę. To na dobre rozpętałoby piekło.

— Nie sądzę, by tak się stało. Leimmokheir jest uczciwy — rzekła z powagą Helvis. Marek szanował jej zdanie; mieszkała w Videssos lata dłużej niż on i wiedziała niemało o znaczących osobach. Co więcej, jej słowa wyrażały opinię podzielaną przez wszystkich innych — z wyjątkiem Imperatora.

Ale kiedy trybun spróbował pociągnąć ją za język, nie wykazała dalszego zainteresowania sprawami publicznymi, co było do niej niepodobne.

— Co ci jest? — zapytał zaintrygowany Marek. Zastanowił się, czy Helvis przypadkiem nie domyśla się, jakie on żywi uczucia do Alypii Gavry, i nie przeczuwa straszliwej sceny, jaka rozegra się w efekcie.

Helvis odłożyła spódnicę, której rąbek podszywała, i uśmiechnęła się do trybuna. On pomyślał, że powinien znać to spojrzenie; w jej oczach było coś figlarnego, coś, co widział już kiedyś. Odgadł jego znaczenie w chwili, gdy powiedziała:

— Przykro mi, kochanie, że myślę o czymś innym. Próbuję obliczyć, kiedy wypada rozwiązanie. O ile się nie mylę, na krótko przed festiwalem przesilenia.

Marek milczał tak długo, że isierki w jej oczach przygasły.

— Nie cieszysz się? — zapytała ostro.

— Oczywiście, że się cieszę — odpowiedział i mówił prawdę. Zbyt wielu Rzymian wyższych sfer było z wyboru bezdzietnych; kochali ich tylko łowcy spadków. — Zaskoczyłaś mnie, to wszystko.

Podszedł do niej i pocałował ją, a potem żartobliwie szturchnął w żebra. Zapiszczała.

— Lubisz zaskakiwać mnie w ten sposób — poskarżył się. — Zrobiłaś tak samo, gdy spodziewałaś się Dostiego.

Jak gdyby wymówienie imienia syna było jakimś zaklęciem, dziecko przebudziło się i zaczęło płakać. Helvis skrzywiła się. Wstała i podniosła małego.

— Zsiusiałeś się czy chcesz, by cię przytulić? — zapytała. Okazało się, że to drugie; po kilku minutach Dosti znów spał.

— Przypuszczam, że znów będę musiał przyzwyczaić się do wstawania po pięć razy w nocy. Dlaczego nie załatwisz tego tak, by od razu mieć trzylatka i zaoszczędzić nam tego całego zamieszania?

Helvis skorzystała z okazji, by odwzajemnić wcześniejszego kuksańca.

Przytulił ją, uważając na jej brzuch i na własne zranione ramię. Pomogła mu ściągnąć bluzę przez głowę. Jednak nawet wtedy, gdy leżeli nadzy na macie, trybun widział twarz Alypii Gavry, rozpamiętywał dotyk jej ust. Dopiero wtedy zrozumiał, dlaczego nie zareagował z oczekiwaną radością na nowiny Helvis.

Uświadomił sobie również coś innego i zaśmiał się cichutko.

— O co chodzi kochanie? — zapytała, dotykając jego policzka.

— Nic ważnego. Takie tam głupie myśli. — Chrząknęła z zaciekawieniem, ale on nie wyjaśnił nic więcej. Nie ma mowy — pomyślał — przecież nie może powiedzieć jej, że teraz rozumie, dlaczego tak często popełniała gafę i nazywała go imieniem zmarłego kochanka.

— Rzućmy na to okiem — rozkazał Gorgidas następnego ranka. Marek zsalutował i wyciągnął rękę. Rana wyglądała dobrze; skraje były nierówne i zaczerwienione, ale rozcięcie pokrywał brązowy strup. Grek chrząknął z zadowolenia na ten widok, a potem jeszcze raz, gdy ją powąchał.

— Nie psuje się — powiedział trybunowi. — Twoje ciało dobrze się goi.

— To twoja mikstura spełniła swe zadanie, chociaż paskudnie szczypała. — Gorgidas potraktował cięcie ciemnobrązowym płynem, który nazwał barbarum: była to mieszanina sproszkowanego grynszpanu, tlenku ołowiu, ałunu, smoły i żywicy z równymi częściami octu i oleju. Rzymianin krzywił się za każdym razem, gdy Grek smarował mu ranę, ale lekarstwo okazało się skuteczne.

Gorgidas znów tylko chrząknął, nie wzruszony pochwałą. Nic nie było w stanie go poruszyć od śmierci Kwintusa Glabrio. Teraz zmienił temat pytaniem:

— Czy wiesz, kiedy Imperator planuje wysłać misję do Arshaum?

— Nie tak szybko. Okręty Bouraphosa zatapiają wszystko, co wystawia dziób z portu. Dlaczego pytasz?

Greki spojrzeli nań pustym wzrokiem. Marek zobaczył, jak bardzo zmizerniał, w dodatku miał wystrzępione włosy po obcięciu loka na znak żałoby po Glabrio.

— Dlaczego? — powtórzył Gorgidas. — Nic prostszego: mam zamiar z nimi jechać. — Zaci-

snął szczęki, bez zmrużenia oka przyjmując spojrzenie Skaurusa.

— Nie wolno ci — rzekł przestraszony trybun.

— A dlaczego? Jak zamierzasz mnie powstrzymać? — Głos lekarza był niebezpiecznie spokojny.

— Mogę wydać ci rozkaz.

— Czy na pewno możesz i czy będzie to zgodne z prawem? To byłoby doskonałą kwestią dla adwokatów w Rzymie. Jestem przydzielony do legionów, tak, ale czy jestem legionistą? Chyba nie, nie bardziej niż markietan czy miejski szewc, który pracuje na kontrakcie. O ile nie każesz mnie skuć, nie posłucham twego rozkazu.

— Ale dlaczego? — zapytał bezradnie Marek. Nie miał zamiaru zakuwać Gorgidasa w żelaza. To, że Grek był jego przyjacielem, miało mniejsze znaczenie. Gorgidas był na tyle uparty, że nie potrafiłby zmusić go do wykonywania obowiązków wbrew jego woli.

— Odpowiedź jest dość prosta; znasz moje zainteresowania — wyprawa uzupełni moje informacje na temat plemion i obyczajów Arshaum, bo Arigh nie wszystko może mi powiedzieć. Myślę, że etnografia jest czymś, czym, jak mam nadzieję, uda mi się zająć na poważnie.

Gorycz zawarta w słowach Greka dała Skaurusowi klucz, którego potrzebował.

— A medycyna? A co z nami, twoimi pacjentami, kurowanymi niekiedy po tuzin razy? Co z tym? — Wyciągnął ku lekarzowi zranioną rękę.

— Co z tym? Jeśli chcesz wiedzieć, nadal jest to kawał paskudnie rozplatanego mięsa. — Skoncentrowany na swoim nieszczęściu i pogardzie dla samego siebie, Gorgidas pomijał fakt, że jest doskonałym lekarzem. — Videssański uzdrowiacz załatwiłby to w pięć minut, zamiast przez półtora tygodnia martwić się, czy nie zacznie się jątrzyć.

— O ile w ogóle mógłby coś zrobić — odciął się Marek. — Wiesz, że nie potrafią leczyć niektórych ran, a gdy zbyt długo używają swej mocy, to wycieka ona z nich jak woda z dziurawego garnka. A ty zawsze dajesz z siebie wszystko.

— Kiepskie i godne pożałowania jest to „wszystko”. Mimo moich starań Minucjusz już byłby martwy, i Publiusz Flakkus, i Kotyliusz Rufus po Maraghrze, i ilu jeszcze? Jesteś durniem uważając mnie za lekarza, skoro nie mogę nawet nauczyć się sztuki, która dała im życie. — W oczach Greka pojawił się nawiedzony wyraz. — Nie mogę! Widzieliśmy to, prawda?

— Więc uciekniesz na stopy i zrezygnujesz nawet z prób? Gorgidas skrzywił się, ale powiedział:

— Nie próbuj mnie zawstydzić, Skaurusie. To nic nie da. Trybun zarumienił się, zły na siebie, że dał się przejrzeć. Grek kontynuował:

— W Rzymie nie byłem złym lekarzem, ale tutaj jestem zerem. Jeżeli mam jakiś talent do historii, może na tym polu zdołam zostawić coś wartościowego. Naprawdę, Marku... — Skaurus był wzruszony, bowiem lekarz nigdy wcześniej nie użył jego imienia — ...wszystkim wam lepiej będzie

z kapłanem-uzdrowiaczem. Znosiliście moje fochy wystarczająco długo.

Jasne było, że żaden zwykły argument nie może zmienić zdania Gorgidasa. Gdy zabrakło mu ważkich argumentów, Marek zawołał:

— Ale jeżeli nas zostawisz, z kim będzie się kłócił Viridoviks?

— No, teraz prawie ci się udało — przyznał Gorgidas z uśmiechem. — Będzie mi brakowało tego rudego opryszka, mimo jego zadziornego charakteru. Ale nie trafiłeś; dopóki Viridoviks ma Gajusza Filipusa, nigdy nie braknie im tematów do kłótni.

Skaurus, pokonany, wyrzucił ręce w powietrze.

— Zatem niech tak będzie. Ale po raz pierwszy cieszę się, że Boaraphos przyłączył się do buntowników. Nie tylko dzięki niemu zostaniesz z nami dłużej, ale będziesz miał więcej czasu na odzyskanie rozsądku.

— Nie sądzę, bym go stracił. Może pojechałbym nawet wtedy, gdyby... wszystko poszło inaczej.

— Grek przerwał i poderwał głowę. — Bezużyteczność nie jest przyjemnym uczuciem. — Wstał.

— Jeśli wybaczysz, Gawtruz obiecał opowiedzieć mi o podaniach swego ludu na temat najazdu na Thatagush. Porównanie ze sprawozdaniami historyków videssańskich powinno okazać się fascynujące, nie sądzisz?

Jakakolwiek by była odpowiedź Marka, Grek nie czekał, by ją usłyszeć.

Trybun stał na baczność po prawej stronie imperatorskiego tronu. Na tej uroczystości nie cieszył się miejscem honorowym; patriarcha Balsamon stał krok bliżej Imperatora. Nie wiadomo, jak udało mu się osiągnąć taki efekt, ale naczelny dostojnik Videssos, w szatach z błękitnego jedwabiu i złotogłowiu, wyglądał jak pospolity włóczęga. Szpakowata broda spływała nieporządnie po perłach zdobiących przód jego ornatu.

Po lewej stronie Imperatora stała Alypia Gavra, w stroju tak ciemnym, jak tylko dopuszczał protokół. Skaurus po uczcie sprzed dwóch tygodni widywał ją jedynie z daleka; dwa razy prosił o posłuchanie i dwa razy dostał odpowiedź odmowną. Prawie bał się spotkać z nią oko w oko, ale jej skinienie, gdy zebrali się przy tronie, przywróciło mu odwagę.

Komitta Rhangawe, nie posiadająca oficjalnego statusu, została odprawiona między dworzan, którzy stali w szpalerze wzdłuż długiej centralnej kolumnady. Jej ostre, twarde oblicze wyróżniało się w morzu pulchnych, dobrotliwych twarzy, niczym sokół w stadzie gołębi. Zobaczywszy Rzymianina, zaczęła rozglądać się w poszukiwaniu Viridoviksa; Marek był zadowolony, że go nie ma.

Komnatę przepełniał pełen oczekiwania szmer. Skrzydła Wielkiej Bramy rozchyliły się powoli. Ukazał się jeden człowiek — ciemna sylwetka na tle padającego z zewnątrz światła. Jego długie, rozkołysane kroki zdawały się nie pasować do tego królestwa przemykających eunuchów i

stapających miękko urzędników.

Taron Leimmokheir nosił świeże szaty, ale wisiały one na nim jak na kij. Zwolnienie nie usunęło z jego twarzy bladości, nabytej w czasie długich miesięcy pobytu w lochach. Włosy i broda były czyste, ale nie przystrzyżone. Skaurus słyszał, że admirał nie zgodził się przyjąć balwierza; jego słowa brzmiały: „Niech Gavras zobaczy, co ze mnie zrobił”. Trybun zastanowił się, czego jeszcze Leimmokheir mógł odmówić. Na ile się orientował, targ jeszcze nie został dobity.

Były admirał podszedł do imperatorskiego tronu, po czym zatrzymał się, patrząc Thorisinowi w oczy. W myśl videssańskiej etykiety było to szczytem bezczelności; w ciszy, jaka nagle zapadła w komnacie, Marek słyszał skwierczenie pochodni. Potem, z rozmysłem i najwyższą godnością, Leimmokheir powoli położył się przed swoim władcą.

— Wstań, wstań — przynaglił niecierpliwie Thorisin; nie były to słowa zgodne z protokołem, ale ministrowie dworu przestali już rozpaczać nad zmianami wprowadzanymi przez Imperatora.

Leimmokheir podniósł się. Imperator, który miał taką minę, jakby każde wypowiedziane słowo piekło go w język, kontynuował:

— Wiedz, że oddalamy od ciebie oskarżenie o spiskowanie przeciwko naszej osobie, i że zostają ci przywrócone wszystkie posiadłości i prawa, uprzednio uznane za podlegające konfiskacie. — Dworzanie westchnęli przeciągle. Leimmokheir zaczął schylać się, by ponownie paść przed Imperatorem na twarz, ale Thorisin powstrzymał go ruchem ręki.

— Teraz przejdziemy do rzeczy — powiedział, bardziej jak targujący się kupiec niż Autokrator Videssańczyków. Leimmokheir pochylił się. — Czy zechcesz służyć mi jako drungarios floty przeciwko Bouraphosowi i Onomagoulosowi? — Marek zauważył, że Gavras zrezygnował z mówienia w pierwszej osobie liczby mnogiej.

— Dlaczego tobie, a nie im? — Skaurus miał okazję się przekonać, że więzienie nie zabiło tupe tu Leimmokheira. Dworzanie zbledli, zatrwożeni taką otwartością.

Imperator jednakże wyglądał na zadowolonego. Jego odpowiedź była równie bezpośrednia.

— Bo nie jestem człowiekiem, który wynajmuje morderców.

— Nie, natomiast wtrącasz ludzi do więzienia. — Opaśły mistrz ceremonii, który stał wśród wysokich dygnitarzy, wyglądał tak, jakby miał zamiar zemdleć. Thorisin siedział z kamiennym wyrazem twarzy, ze splecionymi na piersiach rękami, czekając na prawdziwą odpowiedź. Wreszcie Leimmokheir skłonił głowę; szare loki przysłoniły jego twarz.

— Wspaniale! — Thorisin odetchnął jak hazardzista, który ograł przeciwnika. Skinął na Balsamona. — Patriarcha odbierze przysięgę wierności. — Dosłownie mruczał jak zadowolony kocur; dla człowieka tak religijnego jak Taron Leimmokheir, przysięga była niczym zakucie w żelazne kajdany.

Balsamon zrobił krok do przodu, wyjmując mały egzemplarz videssańskiej świętej księgi z fałd

szaty. Ale drungarios odegnął go ruchem ręki; w sali tronowej rozbrzmiał jego głos — żeglarza, przywykłego do przekrzykiwania sztormowych wichrów.

— Nie, Gavrasie, nie złożę ci przysięgi.

Na chwilę wszyscy zamarli; oczy Imperatora stały się twarde i zimne.

— Zatem co, Leimmokheirze? — zapytał i groźnie podniósł głowę. — Czy ma mi wystarczyć twoje „tak”?

Jego zamierzony sarkazm admirał przyjął za dobrą monetę.

— Tak, na Phosa, w przeciwnym razie ile będzie warte twoje ułaskawienie? Będę twoim człowiekiem, ale nie twoim psem. Jeżeli nie potrafisz zaufać mi bez najeżonej słowami obroży na moim karku, odeślij mnie do lochów i bądź przeklęty. — Teraz on czekał dumnie na decyzję Imperatora.

Rumieniec wypełził z wolna na policzki Thorisina. Ręce jego przybocznych strażników zacisnęły się na drzewcach włóczni. Byli Autokratorzy — wcale nie nieliczni — którzy zmyywali taką ujmę krwią. Balsamon nieraz widział coś takiego. Rzekł nagłaco:

— Wasza Wysokość, może ja...

— Nie. — Thorisin przerwał mu jednym chrapliwym słowem. Marek znów zdał sobie sprawę z przytłaczającej władzy, jaka emanowała z murów tego gmachu. W komnatach pałacu Balsamon mógł przewracać oczami i wyklócać się; tutaj skłoniwszy się, zamilkł potulnie. Jedynie Leimmokheir pozostał nie zastraszone, czerpiąc siłę z tego, co już przecierpiał.

Imperator nadal go nie lubił, ale powoli gniew na jego obliczu ustąpił miejsca wstrzemięźliwemu szacunkowi.

— Zatem niech tak będzie. — Nie tracił czasu na pogrożki czy ostrzeżenia; jasne było, że niewiele one znaczą dla przywróconego na stanowisko admirała.

Leimmokheir, równie porywczy jak Gavras, skłonił się i odwrócił do wyjścia.

— Dokąd idziesz tak szybko? — zapytał ostro Thorisin z rozbudzoną na nową podejrzliwością.

— Do portu, oczywiście. A gdzie według ciebie powinien pójść twój drungarios? — Leimmokheir ani się nie odwrócił, ani nawet nie zwolnił. Skaurus pomyślał, że gdyby mógł zatrzasnąć za sobą skrzydła Wielkiej Bramy, na pewno by to zrobił. Uparty admirał i obdarzony równie silną wolą Imperator zdołali wspólnie postawić videssański ceremoniał na głowie. Dworzanie zaczęli się rozchodzić; potrząsali głowami, wspominając lepiej zorganizowane widowiska.

— Nie odchodź — powiedział Imperator do trybuna, gdy ten miał zamiar ruszyć za innymi. — Mam dla ciebie robotę.

— Słucham?

— I oszczędź mi tego niewinnego spojrzenia — warknął Imperator. — Może łapia się na nie wszystkie dziewczki, ale nie ja. — Marek zobaczył, że kącik ust Alypii Gavry drgnął lekko, ale księżniczka nie spojrzała na niego. Jej stryj mówił dalej: — Byłeś tym, który pragnął uwolnienia tego

siwobrodego świętoszka, więc będziesz musiał mieć na niego oko. Mam nadzieję, że będę wiedział o każdym jego oddechu. Rozumiesz?

— Tak. — Rzymianin na wpeł spodziewał się takiego rozkazu.

— Tylko „tak”? — Gavras spiorunował go wzrokiem, ale zrezygnował z okazji do wybuchnięcia gniewem. — No to idź i zajmij się tym.

Gdy Marek wracał do koszar legionistów, dogoniła go Alypia Gavra.

— Muszę prosić cię o wybaczenie — powiedziała. — Udawanie, że nie dotarły do mnie twe prośby o spotkanie, byłoby niegrzecznością z mej strony.

— Sytuacja nie była zwyczajna — odparł trybun. Nie mógł mówić tak swobodnie, jakby sobie życzył. Na ścieżce panował ożywiony ruch; niejedna głowa odwracała się ciekawie na widok najemnego dowódcy idącego ręką w rękę z bratanicą Autokratora Videssańczyków.

— Skromnie mówiąc. — Alypia wzniosła brew. Ona także używała zdań o wielu znaczeniach. Marek zastanowił się, czy świadomie postanowiła spotkać się z nim w miejscu publicznym, by istniejąca między nimi więź pozostała nieskrystalizowana.

— Mam nadzieję — zaczął ostrożnie — iż nie myślisz, że byłem... ach, że ją wykorzystałem. Spojrzała na niego pewnie.

— Istnieje wiele korzyści, jakie może osiągnąć oficer w pewnych okolicznościach; mogę dodać, że czasem potrafię patrzeć jego oczami.

— To główna przyczyna mojego długiego wahania.

— Nigdy w głębi serca nie wierzyłam... — Alypia położyła rękę na lewej piersi — ...że jesteś taki. — Nagle potrząsnęła głową. — „Główna przyczyna”? A co z twoim małym synem? Co z rodziną, jaką założyłeś po przybyciu do Videssos? Na bankiecie wyglądałeś na zadowolonego z Helvis.

Skaurus zagryzł wargi. Księżniczka ubrała w słowa jego własne myśli.

— A twierdziłaś, że nie potrafisz czytać w moich myślach! — zawołał.

Po raz pierwszy Alypia uśmiechnęła się. Uczyniła ruch, jakby miała zamiar położyć mu rękę na ramieniu, ale powstrzymała się pamiętając, gdzie się znajdują. Rzekła cicho:

— Gdyby te myśli zostały odczytane, to ta... ach, sytuacja... — bez zbytej złościwości sparodiowała wcześniejsze zająknięcia się trybuna — ...nigdy nie miałyby miejsca.

Ścieżka rozwidlała się.

— Teraz, jak myślę, każde z nas ruszy inną drogą — oznajmiła, skręcając w stronę kwitnących wiśni, które rosły wokół imperatorskiej rezydencji.

Tak, na jakiś czas — powiedział Marek do siebie.

— Popatrz, z czym według Gavrasa mam pracować! — krzyknął Taron Leimmokheir. — Dlaczego nie kazał mi powiesić się na rei? — Po chwili odpowiedział na własne pytanie: — Bo pomyślał, że złamałaby się pod moim ciężarem, i miał rację! — Spojrzał ze wstrętem na port Neorhesian.

Wielkie północne kotwicowisko stolicy stanowiło część miasta niezbyt dobrze znaną Skaurusowi. Rzymianie patrolowali sąsiedni port Kontoskalion, leżący na zwróconym na południe wybrzeżu Videssos, i również z niego wyprawili się na kampanię przeciwko Yezda. Ale Kontoskalion był portem-zabawką w porównaniu z Neorhesian, nazwanym tak od nazwiska dawno zmarłego prefekta, który nadzorował jego budowę.

Przy pirsach wychodzących w Morze Videssańskie stało wiele okrętów; ich maszty tworzyły istny las. Ale w większości były to opasłe, nieruchawe statki handlowe i małe łodzie rybackie, takie jak ta, którą Marek płynął w czasie przeprawy sił Thorisina przez Koński Bród. Burty statków wznosiły się wysoko nad poziom wody — ładunki zostały wyładowane dawno temu, a nowych nie było; nieprzyjacielskie patrole skutecznie blokowały port. Elissaios Bouraphos, wyruszając do Pityos, zabrał najlepsze okręty cesarskiej floty wojennej i wraz z nimi przyłączył się do rebelii Onomagoulosa.

Leimmokheirovi pozostało niewiele: około dziesięciu trirem i może tuzin mniejszych dwurzędowców, znanych trybunowi jako liburniany. Nieprzyjacielska flota była prawie trzy razy większa, a poza tym Bouraphos miał również lepszych kapitanów i załogi.

— Co można zrobić? — zapytał Marek. Martwił się tym, że drungarios uważa, iż stojące przed nim zadanie przerasta go. Leimmokheir patrzył na morze; nie na spienione fale tańczące wewnątrz falochronów, ale dalej, na zachodnie krańce horyzontu.

Zdawało się, że admirał nie usłyszał go, ale po chwili powoli wyrwał się z zadumy.

— Hmmm? Na światło Phosa, naprawdę nie wiem. Ktoś nawarzył piwa, a ja mam je wypić. Poczekam i rozejrzę się, aby się zorientować, co tu się działo od czasu mego zejścia na ląd. Wróciłem i patrzę z innej strony, i wszystko wygląda dziwnie.

W videssańskiej grze w szachy zdobyte pionki mogły być użyte przeciwko ich pierwotnemu właścicielowi, i w ciągu gry po kilka razy przechodzić z ręki do ręki. Skaurus pomyślał, że tutaj ma do czynienia z grą jak najbardziej odpowiadającą zamysłom wynalazców.

Leimmokheir widząc, że Rzymianin ma kłopoty z ułożeniem komentarza, poklepał go po ramieniu.

— Nigdy nie trać nadziei — rzekł poważnie. — Namdalajczycy są heretykami, którzy swoją wiarą narażają dusze na potępienie, ale mają do tego prawo. Niezależnie od tego, jak źle wygląda sztorm, kiedyś musi się skończyć. To Skotos zastawia na człowieka sidła rozpacz.

On jest chodzącym dowodem własnej filozofii — pomyślał Marek; miesiące więzienia opadły z

niego tak, jakby nigdy ich nie było. Ale zauważył, że drungarios nie odpowiedział na jego pytanie.

Wreszcie ciche tony pandoury ucichły w rzymskich koszarach. Rozległy się burzliwe brawa. Senpat Sviodo odłożył strunowy instrument i na jego przystojnej, smagłej twarzy zakwitł uśmiech zadowolenia. Podniósł kubek z winem w stronę publiczności.

— To było cudowne — powiedziała Helvis. — Sprawileś, że zobaczyłam góry Vaspukaranu tak wyraźnie, jakby stały mi przed oczami. Phos dał ci wielki dar. Gdybyś nie był żołnierzem, twój talent wkrótce uczyniłby cię bogatym.

— Ciekawe, że to powiedziałaś — rzekł nieśmiało Senpat. — Gdy byłem mały, myślałem o tym, by uciec z trupą muzyków, którzy grali w posiadłości mego ojca.

— Dlaczego tego nie zrobiłeś?

— Ojciec dowiedział się i złożył mi skórę. Miał rację, niech Phos da mu wieczne odpoczywanie. Byłem potrzebny tutaj; nawet wtedy Yezda byli liczni jak poborcy podatków wokół człowieka, który wykopał skarb. I gdybym uciekł, patrz, co bym stracił. — Otoczył ramieniem siedzącą obok Nevratę. Jaskrawe wstążki spłynęły strumieniem z jego trójrożnej vaspurakańskiej czapki, łaskocząc ją w szyję; odsunęła je i przytuliła się do męża.

Marek napił się wina. Już prawie zapomniał, jakie dobre towarzystwo stanowi para młodych przybyszów z zachodu, nie tylko z powodu muzyki Senpata, ale też zapału i dobrego humoru, z jakim stawiają czoło życiu. Senpat i Nevrata czuli się ze sobą tak dobrze, że wszystkie pary w ich obecności stawały się szczęśliwsze.

— Gdzie twój przyjaciel z wąsami jak stopiony brąz? — zapytała Nevrata trybuna. — Ma ładny głos. Miałam nadzieję, że usłyszę go śpiewającego do wtóru z Senpatem, nawet gdyby miały to być tylko videssańskie piosenki, jedyne zrozumiałe dla nich obu.

— „Mała ptaszyna o żółtym dziobku...” — zaczął Gajusz Filipus ochryłym barytonem. Nevrat skrzywiła się i rzuciła w niego orzechem. On, zawsze czujny, złapał go w locie, po czym zmiażdżył głowicą sztyletu.

Nevrata mimo wszystko nie zapomniała o pytaniu. Uniosła znacząco brew. Skaurus odparł nieśkładnie:

— Powiedział, że ma jakieś sprawy do załatwienia. Nie wiem dokładnie, o co chodzi. — Ale mogę się domyślać — dokończył w myśli.

Druga brew powędrowała w górę, gdy Nevrata dostrzegła jego niezdecydowanie. W przeciwieństwie do większości Videssanek nie regulowała brwi, co tylko podkreślało jej silną urodę.

W tym przypadku Marek był odporny na kokieterię. Żałował, że zna sekret Viridoviksa. Nevrata odwróciła się do Helvis.

— Jesteś dużą dziewczynką, moja droga, zatem dlaczego nie jesz, a skubiesz jedzenie?

Powiedziane obojętnym tonem słowa mogłyby sprawić ból, ale Nevrata była wyraźnie zadowolona. Uśmiech Helvis był trochę blady.

— Im więcej zjem, tym więcej jutro rano zwrócę.

Nevrata przez chwilę patrzyła na przyjaciółkę bez śladu zrozumienia, a potem przytuliła ją serdecznie.

— Gratuluję — powiedział Senpat, ściskając rękę Marka. — Cóż to, czyżby myśl o wyruszeniu na zachód zrobiła z ciebie jurnego ogiera? Ho, ho, to byłyby już drugi raz!

— Och, więcej — zaprzeczyła zarumieniona Helvis, zerkając spod oka na trybuna.

Kiedy śmiechy ucichły, Senpat spoważniał.

— Wy, Rzymianie, wyruszenie na zachód, prawda?

— Nie słyszałem nic innego — odparł Skaurus. — Jak na razie nikt nigdzie nie pójdzie, dopóki Bouraphos trzyma Koński Bród. A jakie to ma dla ciebie znaczenie? Odszedłeś od nas całe miesiące temu.

Senpat nie odpowiedział na pytanie. Zamienił parę zdań w gardłowym vaspurakańskim z Gagikiem Bagratouni. Odpowiedź nakharara zabrzmiała prawie jak warknięcie. Kilku z jego rodaków gwałtownie pokiwało głowami, jeden trzasnął pięścią w kolano.

— Chciałbym się przyłączyć, jeśli mnie zechcecie — powiedział miody szlachcic do Skaurusa. — Kiedy wyruszyacie aa zachód, będziecie nie tylko tłumić wewnętrzne rebelie. Yezda też tam nie brakuje, a ja jestem ich dłużnikiem. — Jego wesołe oczy znów spochmurniały.

— I ja — dodała Nevrata. Marek pamiętał jej wyczyny po Maragarze i wtedy, gdy legioniści walczyli z ludźmi Draxa, wiedział więc, że ma na myśli dokładnie to, co powiedziała.

— Oboje wiecie, że odpowiedź brzmi „tak”, niezależnie od tego, czy wyruszymy — rzekł. — Cóż innego mógłbym powiedzieć zaprawionym w boju wojownikom i dzielnym zwiadowcom, którzy są również moimi przyjaciółmi? — Senpat Sviodo podziękował mu z niezwykłą powagą.

Bartagouni, nadal pograżony we własnych myślach, rzekł zapalczywie:

— I jest tam także Zemarkhos. — Jego ludzie znów pokiwali głowami; bardziej nienawidzili fanatycznego kapłana niż nomadów. Prawdopodobnie nadarzy się szansa na zemstę, jeżeli legioniści wyruszą na zachód. W drodze do Maraghy Thorisin wydrwił Zemarkhosa i kapłan za swego Autokratora uznał Onomagoulosa. Jego poplecznicy zasilili siły prowincjonalnych wielmożów.

W sali na chwilę zapadła cisza. Rzymianie byli wierni państwu, któremu służyli, ale to była lojalność najemników; zdecydowanie płytką. Nie dzielali ani w pełni nie rozumieli dziesięcioleci wojen i pogromów, które zahartowały Vaspukanerów tak, jak zimna woda hartuje stal. Ludzie, którzy tytułowali się książętami, rzadko okazywali tę twardość, ale kiedy tak się działo, mroziła ona ich mniej zaangażowanych w sprawę towarzyszy.

— Dość tych smutków! — zawołał Sviodo. Wyczuł, że dotychczasowy nastrój pogarsza się i postanowił to zmienić. — Smutki to narzędzia Skotosa!

Odwrócił się do Gajusza Filipusa.

— Więc wy, Rzymianie, znacie małą ptaszynę? — Jego palce zatańczyły po strunach pandoury. Legioniści ryknęli marszową piosenkę zadowoleni, że odrywa ich od własnych niewesołych myśli.

— Dobrze się czujesz, Taronie? — zapytał Marek. — Wyglądasz, jakbyś nie spał od tygodnia.

— Prawie trafiłeś — przyznał Leimmokheir, podkreślając słowa potężnym ziewnięciem. Miał czerwone oczy, a jego głos był bardziej ochryply niż zwykle. Po uwolnieniu przybrał na wadze, ale skórę miał obwisłą i niezdrową. — Usiłowanie dokonania czegoś niemożliwego jest dość męczącym zadaniem. — Nawet jego niegdyś dudniący śmiech wydawał się jakby pusty. — Za mało okrętów, za mało ludzi, za mało pieniędzy, za mało czasu — wyliczał, pomagając sobie palcami. — Cudzoziemcze, masz posłuch u Gavrasa. Wyłumacz mu, że nie jestem magiem, by wyczarować zwycięstwo ruchem ręki. A zrób to dobrze, bo inaczej zamieszkamy w sąsiednich celach.

Skaurus potraktował jego słowa jako wyraz przygnębienia, ale Leimmokheir nalegał tak uparcie, że w końcu postanowił porozmawiać z Imperatorem. Wyczerpanie sprawiło, że drungarios stał się drażliwy i niezdolny do dostrzegania innego punktu widzenia poza własnym.

Traf chciał, że trybun został przyjęty przez Imperatora po bardzo krótkim oczekiwaniu. Kiedy powiedział o skargach Leimmokheira, Thorisin warknął:

— Czego on chce, sardeli do wina? Byle dureń potrafi pokierować łatwą robotą, dopiero trudniejsza pokazuje, kto ile jest wart.

Nagle do tronu zbliżył się posłaniec. Zatrzymał się niezdecydowanie, czekając na reakcję Imperatora.

— No? — warknął Gavras.

Posłaniec padł na twarz. Kiedy wstał, podał Autokratorowi złożony pergamin.

— Wybacz, Wasza Wysokość. Gонец, który przyniósł list powiedział, że to pilne.

— Dobra, dałeś mi go, na co więc czekasz? — Imperator rozłożył arkusz i przeczytał półgłosem: — „Przyjdź na nabrzeże i zobacz efekt swego zaufania. L., drungarios dowodzący”.

Jego twarz ciemniała z każdym słowem. Przedarł pergamin, potem wrzasnął do Skaurusa:

— Niech Phos przeklnie dzień, w którym posłuchałem twego zatrutego języka! Posłuchaj, jak ten łajdak chępli się swoją zdradą! Zigabenos! — ryknął, a kiedy oficer straży pojawił się u jego boku, rozkazał mu wysłać żołnierzy do doków, by — o ile to jeszcze możliwe — powstrzymali Leimmokheira. Warknął: — Cholera, za późno, ale trzeba spróbować.

Jego furia była tak wielka, że Marek cofnął się, gdy Imperator wstał z tronu. Bał się, że Thorisin może go zaatakować, ale ten wydał tylko krótki rozkaz:

— Chodź. Skoro ja muszę oglądać owoce twej głupoty, ty też możesz to zrobić.

Przerażony Skaurus pośpieszył za Imperatorem. Wszystko, co Rzymianin myślał o Leimmokheirze, okazało się stekiem bzdur. To było gorsze od zdrady; mówiło o jego wręcz bezgranicznym zaślepieniu.

Dworzanie pędem schodzili Gavrasowi z drogi, żaden nie śmiał przypomnieć mu, że czekają następni petenci. Imperator, przez cały czas klnąc pod nosem, opuścił tereny pałacowe i skręcił nad morze; wszedł na stopnie nabrzeża jak niesprawiedliwie osądzony człowiek na szafot. Nie zaszczycił Skaurusa nawet jednym spojrzeniem.

To, co zobaczył za kamiennymi umocnieniami, wydarło z jego piersi nowy wrzask gniewu.

— Ten pomiot rajfura ukradł całą flotę! — Triremy i lżejsze, dwurzędowe okręty zwijały żagle i odpływały na wiosłach z portu Neorhesian. Wiosła wzbijały pióropusze spienionej wody. Marek popadł w jeszcze większe przygnębienie. Nie przypuszczał, że to możliwe.

— I popatrz! — zawołał Imperator, wskazując na podmiejski port na drugim brzegu Końskiego Brodu. — Ten bydlak, Bouraphos, wychodzi, by go przywitać! — Okręty zbuntowanego admirała rosły w oczach. Thorisin potrząsnął ku nim pięścią.

Nagle na kamiennych stopniach zadudniły podkute buty. Do Imperatora podbiegł zadyszany, przeklinający żołnierz.

— Przybyliśmy za późno, Wasza Wysokość — wysapał. — Leimmokheir odpłynął.

— Poważnie? — parsknął Gavras.

Oczy żołnierza rozszerzyły się, gdy skierował je tam, gdzie wskazywała wyciągnięta ręka Thorisina.

Okręty Leimmokheira ustawiły się w linię naprzeciwko buntowników, ciężkie galery zajęły pozycję w środku, liburniany na skrzydłach. Marek nie znał się na morskiej taktyce, ale nawet on rozpoznał manewr.

— To szyk bojowy! — zawołał.

— Na Phosa, prawda! — wykrzyknął Thorisin, po raz pierwszy zauważając obecność trybuna. — O co tu chodzi? Nieważne, zdrajca czy półgłówek, twój ukochany przyjaciel i tak mnie zniszczy. Bouraphos zabawi się z nim jak kot z konikiem polnym. Patrz na okręty, jakie ma ze sobą.

Gavras mógł zgadywać, czy Leimmokheir zdradził, czy nie — w przypadku Elissaios Bouraphosa było to po prostu widać. Jego okręty przygotowywały się do manewru oskrzydłającego. Przekleństwa, które Thorisin dotychczas ciskał na głowę Leimmokheira, posypały się na Bouraphosa. Posłaniec Zigabenosa słuchał ich z podziwem.

Marek prawie zapomniał o Imperatorze. Odkrył, że przyglądanie się bitwie, w której nie można wziąć udziału, jest gorsze od samej walki. W bezpośrednim starciu nie ma czasu na refleksje; teraz nie pozostawało mu nic innego. Jego paznokcie wbity siew dłonie, gdy patrzył, jak wiosłarze po obu stronach zwiększają tempo. Okręty skoczyły ku sobie. Trybun zastanowił się, czy Leimmokheir

faktycznie zwariował, czy też egotyzm, jaki zdawał się czaić w duszy każdego Videssańczyka, kazał mu wierzyć, że jest równy bogom.

Okręty były w odległości niecałego furlonga od siebie, gdy nagle jeden z dwurzędowców Bouraphosa zboczył z kursu i staranował idącą obok triremę. Zaatakowana z zaskoczenia cięższa galera została nieodwracalnie uszkodzona. Wiosła pękały z trzaskiem; Marek usłyszał wrzaski, gdy ramiona wiosłarzy zostały wyrwane ze stawów. Woda chlusnęła w wielką wyrwę w burcie triremy. Pobity okręt nieledwie z godnością zaczął zanurzać się w morską toń. Liburnian cofnął wiosła i zaczął szukać następnej ofiary.

Jak gdyby pierwszy zdradziecki atak był sygnałem, ponad dwadzieścia okrętów zbuntowanego admirała zwróciło się na swych towarzyszy, wprowadzając zamęt w szyk Bouraphosa. Nie było już wiadomo, kto jest przyjacielem, a kto wrogiem. Okręty nadal wierne straciły pęd, gdy ich kapitanowie rozglądali się nerwowo na boki. I w ten chaos wpadła flota Tarona Leimmokheira.

Thorisin Gavras podskoczył radośnie na nabrzeżu.

— Zobacz, jak to przyjemnie, suczy synu! — wrzeszczał do Bouraphosa. — Zobacz, jak to smakuje! — Skaurus nagle zrozumiał przyczynę bezsennych nocy Leimmokheira; drungarios obsiewał to pole od wielu dni i teraz zbierał żniwo.

Ale mimo tych przygotowań bitwa morska była daleka od wygranej. Nawet z nagle ujawnionymi rekrutami, flota Leimmokheira nadal była dużo słabsza, a Elissaios Bouraphos był zaradnym dowódcą. Jednakże to jego okręty zostały ściśnięte i zmuszone do obrony przed grasującymi wokół galerami Leimmokheira. Kiedy zbuntowany admirał próbował uderzyć, czekająca stosownej chwili galera wciągnęła wiosła na sterburcie i rozdarła lewą burtę swego sąsiada wystającymi ostrogami. Zniszczony okręt bezradnie przewalał się na falach; ten, który go pokonał, zasilił flotę Leimmokheira; przygotowana do kontrataku eskadra Bouraphosa wycofała się.

Ogólny bałagan zwiększyło to, że obie strony wywiesiły imperialne proporce ze słońcem. Marek zobaczył jeszcze jedną, maleńką z powodu odległości banderę, szkarłatną ze złotymi pasami — emblemat drungariosa floty. Bouraphos musiał dojść do wniosku, że jedynym wyjściem będzie zabicie rywala, gdyż cztery jego galery ruszyły w stronę admiralskiego okrętu, topiąc po drodze liburniana.

W pobliżu nie było żadnych jednostek, które mogłyby przyjść mu z pomocą. Woda wokół triremy drungariosa wzburzyła się, bo na obu burtach ciągnięto bądź pchano wiosła w przeciwne strony. Galera zawróciła prawie w miejscu i rzuciła się do ucieczki. Załogi Leimmokheira być może nie były dostatecznie wyszkolone, ale admirał nie zniósłby, gdyby na jego okręcie flagowym ospale wykonywano rozkazy.

Spienione odkosy burzyły się pod dziobem galery; pędziła ona prawie prosto na Skaurusa, mijając osiadający powoli kadłub pierwszej staranowanej triremy, gdy okręty Bouraphosa zaczęły przygotowywać się do ataku.

— Niech ich Skotos i jego demony, dopędzają go — jęknął Thorisin, zaciskając ręce na kamieniach umocnień tak silnie, że aż pobieleły mu kostki. Parę minut wcześniej gotów był powolutku zanurzać Leimmokheira we wrzącym oleju, a teraz prosił bogów, żeby drungariosowi nie stała się krzywda.

Ale Leimmokheir wiedział, co robi. Nawet z odległości ponad ćwierć mili można go było poznać po grzywie szpakowatych włosów. Jego ręka opuściła się, podkreślając wydany rozkaz. Trirema, wijąc się niczym wąż, okrążyła tonącą galerę i staranowała pierwszy ze ścigających ją okrętów tak szybko, że przerażeni rebelianci nie bardzo wiedzieli, co się stało. Pozostałe trzy okręty Bouraphosa zatrzymały się, jak gdyby Leimmokheir pokazał, że jest nie tylko doskonałym żeglarzem, ale i groźnym czarnoksiężnikiem.

Jego śmiały czyn wlał otuchę w serca innych i przeważył szalę bitwy. Około dwudziestu z okrętów Bouraphosa zdołało rozerwać pierścień okrążenia i uciec w kierunku przedmieść na drugim brzegu, ale bitwa praktycznie już była skończona. Inna grupa widząc, w którą stronę wiatr wieje, przeszła na stronę zwycięzców i zaatakowała wiernych Bouraphosowi towarzyszy.

Thorisin zaczął tańczyć, by wyładować przepełniającą go radość. Zapominając o imperatorskim dostojeniu, walił Marka i posłańca po plecach, i szczyrzył zęby w szerokim śmiechu, gdy oni odpowiadali tym samym.

Jedna eskadra, składająca się z około piętnastu okrętów, próbowała jeszcze walczyć; Skaurus nie był zaskoczony, gdy zauważył porządek drugiego drungariosa. Dzielny do końca Elissaios Bouraphos i jego wierni poplecznicy w ten sposób dawali innym okrętom szansę ucieczki. Starali się być wszędzie naraz, zawracali i niemal nad falami śmigali do przodu, by atakować niczym osaczone psy.

Rezultat bitwy był już przesądzony, ale jej koniec nadszedł szybciej, niż trybun się spodziewał. W jednej chwili skoordynowana obrona rozpadła się; na maszty wciągnięto białe tarcze, gdy zaczęli poddawać się ostatni kapitanowie Bouraphosa.

— Zatopić ich wszystkich! — ryknął Gavras, ale po chwili, niechętnie, sprostował: — Nie, pewnego dnia będziemy potrzebować ich przeciwko Namdalajczykom. — Westchnął i powiedział do Marka: — A jednak jestem dalekowzroczny, niech mnie licho. Ten nieszczęsny tron jeszcze zobaczy, że Imperator niekoniecznie musi widzieć tylko czubek swego nosa. — Znów westchnął, wspominając wolność i wiążący się z nią brak odpowiedzialności.

Nim Imperator dotarł do portu Neorhesian, znów był w dobrym nastroju. Przy dokach kłębił się tłum złożony z cywilów i żołnierzy. Dla mieszkańców miasta triumfalny powrót Leimmokheira był widowiskiem, które przyjemnie skracало czas. Żołnierze wiedzieli, o ile większe było jego

znaczenie. Teraz mogli wyruszyć na Baanesa Onomagoulosa; tarcza, która ich oddzielała, została porąbana na kawałki.

Thorsin witał skinieniem każdego schodzącego na ląd kapitana. Dbał, by niejednakowo traktować tych, którzy wyruszyli z drungariosem, i tych, którzy dopiero w trakcie bitwy przeszli na jego stronę. Rebelianci, znając jego zmienne usposobienie, zbliżali się czujnie, ale z zadowoleniem odkryli, że ich wkład w zwycięstwo wymazał wcześniejszą zdradę. Odeszli podniesieni na duchu.

Galera Taroni Leimmokheira weszła do portu jako jedna z ostatnich. Marek zobaczył, że nie wyszła z bitwy bez szwanku. Parę wiosł wlokło się w wodzie, gdyż zabrakło obsadzających je wiosłarzy, a z burty na długości dziesięciu stóp było zdarte poszycie.

Żołnierze Gavrasa przywitali radosnymi okrzykami admirała, który do chwili zacumowania triremy nie zwracał na nich uwagi, a i później musieli się zadowolić jedynie krótkim ruchem ręki. Leimmokheir wyskoczył na pirs z żywością dużo młodszego człowieka. Przepchnął się przez tarasujący mu drogę tłum i stanął przed Imperatorem. Skłonił się, mówiąc:

— Ufam, iż moja wiadomość była wystarczająco jasna, by uspokoić twoje obawy. — Nie podnosząc głowy mrugnął do Skaurusa lewym okiem, którego Thorsin nie mógł zobaczyć.

Imperator poczerwieniał i nabrał powietrza w płuca, ale nim ryknął na Leimmokheira zobaczył, że Marek na siłę hamuje szeroki uśmiech.

— Zatem jesteś zbyt ufny, co najmniej o połowę — warknął, ale nieszczerze. — Powtarzam to od lat, przypomnij sobie.

— Więc teraz, gdy moje zadanie zostało wykonane, wrócę do lochów, co? — odwzajemnił się drungarios, ale Skaurus nie doszukał się w jego głosie żartobliwej przekory.

— Po strachu, jakiego mi napędziłeś, jak najbardziej na to zasługujesz. — Oczy Gavrasa przesunęły się na okręt flagowy. — Co my tu mamy?

Dwaj marynarze w kolczugach przywiedli swego więźnia. Musieli go podtrzymywać; lewa strona jego przystojnej twarzy była zakrwawiona po spotkaniu z celnie wystrzelonym z procy kamieniem.

— Powinieneś być raczej zostać w Pityos, Elissaiosie — powiedział Thorsin.

Bouraphos spojrział na niego wściekle i potrząsnął głową, by przepędzić zamroczenie.

— Byliśmy górą, póki ten przeklęty kamień i zdrajcy nie ścięli mnie z nóg. Ja ściąłbym ich lepiej *. — Gra słów była ułomna, ale Marek musiał uszanować odwagę rebelianta, że w ogóle spróbował. (* W oryginale: „We were nearly holding our own till that cursed rock flattens me, even with the bolters. I'd bolfem proper, I would”. Nieprzetłumaczalna gra słów (przyp. Red.).)

— Prawdopodobnie nie będziesz miał okazji — odparł Imperator. Odwrócił się do marynarzy, którzy stanęli na baczność, spodziewając się rozkazu. — Zabrać go do Kynegionu.

Gdy zaczęli odciągać Bouraphosa, Gavras zatrzymał ich na chwilę.

— Ze względu na przysługę, jaką mi niegdyś oddałeś, twoje ziemie nie zostaną skonfiskowane.

Chyba masz syna.

— Tak. To miło z twojej strony, Thorisinie.

— On nigdy mnie nie skrzywdził. Możemy także zadbać, by twoja głowa nie trafiła pod Kamień Milowy.

Bouraphos wzruszył ramionami.

— Zrób, jak uważasz. Mnie ona już na nic nie będzie potrzebna. — Popatrzył na marynarzy. — No cóż, chodźmy. Chyba nie muszę wskazywać wam drogi? — Odszedł, prostując się z każdym krokiem.

Marek musiał wypowiedzieć cisnące mu się na język słowa:

— Dobrze umiera.

— Tak — skinął Imperator. — Powinien żyć w taki sam sposób.

Na to trybun nie znalazł odpowiedzi.

Obecni na pirsie przyglądali się przycumowanemu statkowi.

— Co jest napisane na rufie? — zapytał Gajusz Filipus.

Litery były spłowiałe i pokryte solą.

— „Zdobywca” — przeczytał Marek. Starszy centurion ściągnął usta.

— Nigdy nie dorośnie do swej nazwy.

„Zdobywca” podskakiwał na fali. Był szerszy od smukłych videssańskich okrętów wojennych, miał szeroki, czworokątny żagiel, teraz zwinięty, i tuzin wiosł, żeby załoga mogła w razie potrzeby manewrować nim po porcie.

Gorgidas, który znał się na okrętach lepiej niż Rzymianie, wyglądał na zadowolonego.

— Nie został zbudowany wczoraj ani dzień wcześniej, ale dowiezie nas do Pristy i tylko to się liczy. — Trącił nogą wielki skórzany plecak. Marek, który pomagał mu go pakować wiedział, że na jego zawartość składają się głównie zwoje pergaminu, pióra i paczki sproszkowanego atramentu. Trybun zauważył:

— Imperator nie traci czasu. Niecały tydzień od zwycięstwa na morzu, a już wyruszacie do Arshaum.

— Najwyższa pora — powiedział Arigh syn Arghuna. — Brakuje mi końskiego grzbietu między nogami.

Pikridios Goudeles zadrżał lekko.

— Obawiam się, że będziesz miał zbyt wiele okazji, by na powrót do niego przywyknąć, jak, co gorsza, ja. — Do Skaurusa powiedział: — Nadchodząca kampania, przeciwko uzurpatorowi i

Yezda, będzie trudna. Dobrzy ludzie Arigha spóźnią się na pierwszą, jak się zdaje, ale z pewnością nie na drugą.

— Oczywiście — rzekł Marek. Czy Thorisin darzył Goudelesa takim zaufaniem, że wysłał go jako posła? A może usuwał potencjalnego buntownika?

Jakiegolwiek by były powody Gavrasa, jego zaufanie do miodoustego biurokraty najwyraźniej nie było absolutne. Goudelesowi towarzyszył ciemny, małomówny wojownik imieniem Lankinos Skylitzes. Skaurus nie znał go dobrze i nie był pewien, czy jest on bratem czy kuzynem tego Skylitzesa, który zginął w nocnej zasadzce przed rokiem. Przynajmniej pod jednym względem był niezastąpiony — Rzymianin słyszał, jak rozmawiał z Arighiem w języku nomadów.

Może wiedza o stepach była jego specjalnością, bowiem powiedział:

— Jest jeszcze jedna przyczyna pośpiechu. Zeszłej nocy z Aristy przywieziono nowe wieści. Avshar jest na równinach. Prawdopodobnie werbuje żołnierzy; lepiej, żebyśmy go uprzedzili.

Marek krzyknął z konsternacji, a po nim wszyscy ci, którzy usłyszeli wieści Skylitzesa. W głębi duszy przeczuwał, że księżę-czarnoksiężnik uciekł bezpiecznie z Videssos po obaleniu Sphrantzesów, ale zawsze dobrze było połudzić się, że jest inaczej.

— Jesteś pewien? — zapytał Skylitzesa.

Żołnierz skinął. Daleko mu do gadatliwych Videssańczyków — pomyślał z uśmiechem Skaurus.

— Może duchy pozwolą nam się spotkać — powiedział Arigh, ruchem ręki naśladując podrzwanie gardła. Marek podziwiał jego junakierię, ale nie rozsądek. Zbyt wielu miało już takie samo życzenie i nie cieszyło się, gdy się ziściło.

Gajusz Filipus odpiął miecz od pasa i podał go Gorgidasowi.

— Weż — powiedział. — Kiedy ten pomiot węża przebywa na wolności, możesz potrzebować go pewnego dnia.

Greki był wzruszony prezentem, ale próbował odmówić przyjęcia, mówiąc:

— Nie potrafię obchodzić się z takimi narzędziami ani też nie pragnę się tego nauczyć.

— Weż go mimo wszystko — powtórzył nieubłaganie Gajusz Filipus. — Możesz schować go na dno swego worka, ale weź.

Mówił tak, jakby przydzielał zadanie jakiemuś legionście, a nie dawał prezent, lecz Gorgidas wyczuwał troskę kryjącą się pod jego uporem. Przyjął jego *gladius* z podziękowaniami i zrobił dokładnie to, co poradził starszy centurion; zapakował go na swego plecaka.

— Bardzo wzruszające — rzekł oschle Goudeles. — Oto coś na osłodę. — Wyjął alabastrową flaszkę z winem, pociągnął łyk i przekazał ją Skaurusowi. Wino spływało do gardła jak śmietana. Dla Pikridiosa tylko to, co najlepsze — pomyślał trybun.

Zadudnił rzucany trap. Kapitan „Zdobycy”, krzepki mężczyzna w średnim wieku, pomachał ręką i zawołał:

— No, eleganty, na pokład!

Arigh opuścił Videssos bez oglądania się za siebie, z prawą ręką na rękojeści szabli, lewą podtrzymując zarzucony na ramię zamszowy worek. Za nim podążył Skylitzes, równie nonszalancko. Pikridios Goudeles jęknął z teatralną przesadą, podnosząc swój tobołek, ale wcale nie wyglądał na słabeusza.

— Uważaj na siebie — rozkazał Gajusz Filipus, waląc Gorgidasa po plecach. — Masz zbyt miękkie serce, a to nieraz szkodzi.

Lekarz parsknął ze zdenerwowania.

— A ty jesteś pełen łajna, nic więc dziwnego, że masz brązowe oczy. — Objął obydwu Rzymian, potem zarzucił plecak na ramię i pośpieszył za innymi członkami misji.

— Pamiętaj! — zawołał za nim Marek. — Mam zamiar przeczytać twoje notatki z podróży, więc zadbaj, żeby były porządne!

— Nie ma obawy, Skaurusie, przeczytasz je, nawet gdybym musiał cię związać i trzymać zwój przed twoją twarzą. To odpowiednia kara za przypominanie mi, że jesteś moim czytelnikiem.

— To wszyscy? — zapytał kapitan, gdy Grek wszedł na pokład. Nie doczekawszy się odpowiedzi, zawołał do załogi: — Przygotować się do odbicia! — Dwaj na wpeł nadzy marynarze wciągnęli trap; druga para wyskoczyła na dok, by odwiązać grube brązowe cumy zwisające z dziobu i rufy „Zdobycy”.

— Stać, cumy rzuć, przycumować, czy jak tam brzmi to parszywe żeglarskie wyrażenie! — Pirs zadygotał pod ciężarem Viridoviksa. Celt miał hełm na głowie, a w ręku targał plecak. Był czerwony i zasapany; pot strumieniami spływał mu po policzkach. Wyglądało na to, że pędził z rzymskich koszar na złamanie karku.

— Co się stało? — zapytali jednocześnie Marek i Gajusz Filipus, wymieniając zaniepokojone spojrzenia. Podejmowanie takiego wysiłku poza bitwą i łóżem było obce naturze Gala.

Nie miał szansy, by im odpowiedzieć, bowiem Arigh wykrzyknął jego imię i zeskoczył z pokładu „Zdobycy” na powitanie.

— Więc jednak przyszedłeś mnie pożegnać, co?

— Nic z tych rzeczy — wysapał Viridoviks, z westchnieniem ulgi rzucając worek na deski pomostu. — Za pozwoleniem, jadę z tobą.

Szeroki uśmiech rozjaśnił smagłą twarz nomady.

— Cóż mogłoby być lepszego? Pokochasz smak kavassu, obiecuję.

— Człowieku, czyś ty zgłupiał? — zapytał Gajusz Filipus. Wskazując na „Zdobycę” ciągnął: — Jeżeli zapomniłeś, to jest statek. Twój żołądek przypomni ci o tym na pewno.

— Och, niech przypomina — odparł Celt, wycierając twarz rękawem tuniki. — Mam mały wybór; albo to, albo spotkanie z katem. Na wodzie będę chciał być martwy, lecz gdybym został, to ży-

czenie na pewno by się spełniło, co nie za bardzo przypada mi do gustu.

— Z katem? — powtórzył Skaurus. Szybko przeszedł na łacinę. — Ta kobieta cię pogoniła? — Dopóki nie padały imiona, Arigh i słuchający żeglarze nie mogli zrozumieć, o co chodzi.

— Ta niestała suka — mruknął z goryczą Viridoviks. Jego wieczny dobry humor gdzieś się ulotnił; był zły na samego siebie. Dostrzegając znaczący błysk w oku Marka, powiedział: — Nie potrzebuję twego „a nie mówiłem?”. Miałaś rację. Chociaż raz mogłem być tak ostrożny, jak ty.

To wyznanie było prawdziwą miarą jego przerażenia, bowiem nigdy nie omijał okazji besztania Rzymian za ich brak fantazji.

— Co się stało? — zapytał trybun.

— Nie domyślasz się? Ta mała zzieleniała z zazdrości, która zżera ją niczym rak. Napała na mnie, żebym odstawił Gavrilę i Lissenę, i Beline, a ja odmówiłem jak wcześniej. Będą za mną tęskniły, moje dziewczynki, i musisz mi obiecać, że nie dopuścisz, by jej gniew spadł na ich głowy.

— Oczywiście — zapewnił niecierpliwie Skaurus. — Dalej, człowieku.

— Och, ta suka o czarnym sercu zaczęła wrzeszczeć tak, że obudziłaby nieboszczyka, i zaklinała się, że powie Gavrasowi, że wzięłam ją siłą. — Na chwilę na twarzy Celta pojawił się dawny uśmiech. — Prawdopodobnie sama też by w to uwierzyła. I zna moją skórę na tyle dokładnie, by dla potwierdzenia prawdy swych słów podać oskarżeniu więcej szczegółów, niż to konieczne.

— Zrobiłaby to — powiedział bez wahania Gajusz Filipus.

— To samo wpadło mi do głowy, drogi Rzymianinie. Nie mogłem podciąć jej gardła, takiego białego i w ogóle. Nie miałbym serca, nie mówiąc o harmiderze, jaki by podniosła.

— No, to co zrobiłeś? — zapytał Marek. — Puściłeś ją wolno? Na bogów, Viridoviksie, zaraz przybiegnie tu straż Imperatora.

— Nie, nie, może jestem durniem, ale nie jestem głupi. Związałem ją, zakneblowałem i przywiązałem do łóżka w małej gospodzie, do której ześmy się wybrali. Uwolni się bez wielkich problemów, ale myślę, że to ćwiczenie nie wpłynie na zmianę jej charakteru, więc spływam.

— Najpierw Gorgidas, a teraz ty, i obaj z powodów, których wstydziliby się idiota — powiedział trybun. Poczł ukłucie bólu, gdyż na jego oczach zaczął rozluźniać się dotychczas ciasny węzeł ich kompanii. Znów podziękował bogom, że Rzymianie nie muszą dzielić się między Namdalen a Viddessos; to rozdarłoby serca im wszystkim.

Zniecierpliwiony rozmową w języku, którego nie rozumiał, Arigh wtrącił:

— Jeżeli jedziesz, to wskakuj na pokład.

— Zrobię to, nie ma obawy. — Viridoviks uściśnął rękę Skaurusa. — Dbaj o ostrze, które nosisz, Rzymianinie. Jest sympatyczne.

— A ty o swoje. — Długi miecz Viridoviksa wisiał u jego prawego biodra; bez niego wyglądałby jak nagi.

Celtowi szczeka opadła, gdy zobaczył bezbronno Gajusza Filipusa.

— Zostawiłeś go?

— Nie staraj się być głupszy, niż jesteś. Dałem go Gorgidasowi.

— Dałeś? Dobrze zrobiłeś, o ile ten głupek będzie miał dość rozumu, by uwierzyć, że wojna to doskonała zabawa. Jeżeli nie, albo go zgubi, albo sam się na niego nadzieje. — Viridoviks skrzywił usta. Sekundę później rozjaśnił się. — Och, prawda, będę miał się z kim kłócić. Nic tak nie ożywia dnia, jak porządna kłótnia.

Marek przypomniał sobie własne słowa skierowane do Gorgidasa, kiedy lekarz powiadomił go o planowanym odjeździe. Wówczas były one desperackim żartem, ale tutaj wróciły one do niego w całej powadze z ust Gala. Viridoviks żył pojedynkami; czy to na miecze, czy na słowa.

Kapitan „Zdobycy” przyłożył do ust zwinięte dłonie.

— Hej, wy tam! Odpływamy, z wami czy bez was! — Pogrożka była chybiona; Viridoviks nic dlań nie znaczył, ale nie mógł odpłynąć bez Arshauma, który był niezastąpionym członkiem misji.

— Zbieramy się — powiedział Arigh, biorąc Celta pod ramię. Sandały Viridoviksa, zrobione z niewyprawionej skóry, zadudniły na deskach; nomada, w miękkich butach z cielej skóry, szedł cicho niczym kot.

Gal, z miną człowieka idącego na własny pogrzeb, rzucił swój worek marynarzowi. Wahał się jeszcze przed wejściem na pokład. Zasalutował niedbale Skaurusowi, machnął pięścią Gajuszowi Filipusowi.

— Uważaj na siebie, kurdupu! — zawołał i skoczył.

— I ty, rudy wielkoludzie z łysą dupą!

Załoga zajęła miejsca przy wiosłach. Przez parę sekund wydawało się, że „Zdobycy” jest zbyt ociężały, by ich posłuchać, ale potem poruszył się ospale i powolutku odbił od kei. Skręcił na północ, niezdarnie jak tłusty, stary człowiek. Marek usłyszał skrzyp lin, gdy rozwijano szeroki żagiel. Z początku płótno zwisało z rei jak szmata, lecz po chwili napęlił je wiatr.

Trybun odprowadzał żagiel wzrokiem aż po horyzont.

Thorsin Gavras, odzyskawszy panowanie na morzu, rzucił Draxa i jego namdalajskich najemników na Baanesa Onomagoulosa. Galery Leimmokheira chroniły transporty przed wojennymi okrętami buntowników; ludzie z Duchy wylądowali na zachodnich ziemiach w Kypas, kilka dni marszu na południe od przedmieść leżących naprzeciw Videssos.

Wielki dym wznosił się na zachodzie, gdy Onomagoulos podpalił swój obóz, by nie oddać go w ręce Thorsina. Baanes wycofał się w kierunku swej warowni pod Garsavrą. Posuwał się w pośpiechu, żeby Namdalajczycy nie odcięli go od centrum jego władzy. Thorsin, działając jak czło-

wiek, który czuje, że ma zwycięstwo w zasięgu ręki, przejął zachodnie przedmieścia.

Marek czekał na wezwanie od Imperatora. Spodziewał się, że Gavras rozkaże legionistom ruszyć na Onomagoulosa. Szkolił swych ludzi jak szaleniec, chcąc być w pogotowiu. Nadal, mimo zwycięstw odnoszonych dla Gavrasa, miał wątpliwości co do wielkiego hrabiego.

Rozkazy nie nadeszły. Thorisin zwoływał liczne narady wojenne, ale po to, by planować letnią kampanię przeciwko Yezda. Wydawał się przekonany, że każdy, kto walczy z Onomagoulosem, musi być jego przyjacielem.

Skaurus próbował ubrać swoje podejrzenia w słowa po jednym z oficerskich spotkań, mówiąc do Gavrasa:

— Nomadowie też atakują Baanesa, jak wiesz, ale nie w twoim interesie. Drax walczy tylko dla Draxa; obecnie pod twoim sztandarem, ale tylko dlatego, że to mu odpowiada.

Thorisin zmarszczył brwi; rada Rzymianina była niemile widziana.

— Dobrze mi służyłeś, cudzoziemcze, i to czasami wbrew mojej woli — powiedział. — Ale pamiętaj, że o tobie też opowiadano niestworzone rzeczy. Roztropny człowiek nie do końca wierzy w to, co widzi, i jedynie trochę w to, co słyszy. I powiem ci jedno: żaden plotkarz nie musi przychodzić do mnie z nowiną, że Drax zamierzał opuścić mnie w godzinie próby.

Skaurus miał wrażenie, że zamiast żołądka ma bryłę ołowiu — jak to dotarło do Imperatora? Nie mając pojęcia, ile Gavras może wiedzieć, nie śmiał zaprzeczać. Starannie dobierając słowa powiedział:

— Jeżeli wierzysz w takie opowieści, dlaczego mnie zatrzymujesz przy sobie?

— Ponieważ bardziej ufam swym oczom niż uszom. — Wymijająca odpowiedź była zarazem ostrzeżeniem; Gavras nie chciał słyszeć nie wspartych dowodami oskarżeń przeciwko wielkiemu hrabiemu. Marek, zadowolony, że Imperator nie rozwinął tej drugiej kwestii, odszedł w pośpiechu.

Spodziewał się wielkiej pogoni za Viridoviksem, ale to również nie doszło do skutku. Wrogi kobietom Gajusz Filipus wyraził opinię, którą Marek uznał za bliską prawdy:

— Założę się, że nie po raz pierwszy Komitta zabawiała się tam, gdzie nie powinna. Czy tobie, gdybyś był Gavrasem, zależałoby na tym, aby to rozgłaszać?

— Hmm. — Jeżeli stary weteran miał rację, dziwna obojętność Thorisina na opowieść jego kochanki o gwałcie mogła tłumaczyć to, dlaczego Komitta była tylko metresą, nie żoną. — Zaczynamy dostrzegać polityczne niuanse — powiedział Marek.

— Och, to jak z końskimi pączkami. Kiedy leżą na ziemi równie gęsto jak oliwki w czasie zbiorów, nie trzeba ich widzieć. Sam zapach je zdradza.

Na ziemiach zachodnich Drax odnosił zwycięstwa. Kiedy przybywali jego umyślni, Thorisin odczytywał wieści zgromadzonym oficerom. Wielki hrabia pisał jak wykształcony Videssańczyk, co wzbudzało jedynie pogardę ze strony jego pobratymcy-wyspiarza, Utpranda.

— Słyszeliście? — zapytał kapitan najemników po jednym ze spotkań. — „Zadanie wykonane, realizujemy cele długofalowe”. Gdzie jest armia Onomagoulosa i dlaczego Drax jej nie rozbił? To trzeba przekazać!

— Tak, masz rację — przyznał porywco Soteryk. — Drax smaruje tłuszczem język, gdy mówi, a pióro, gdy pisze na pergaminie.

Marek przypisał ich niezadowolenie po części zazdrości, że Drax został głównodowodzącym w wojnie z Onomagoulosem. Z doświadczenia wiedział również, do czego prowadzą takie narzekania. Powiedział:

— Oczywiście, wy dwaj jesteście tylko prostymi, tępymi żołnierzami fortuny. To, że zeszłego lata byliście gotowi zostawić Videssos na łasce losu, nie ma nic wspólnego z intrygą.

Utprand miał poczucia przyzwoitości na tyle, że przybrał zawstydzony wyraz twarzy, ale Soteryk się odciął:

— Skoro ci słabi Videssańczycy nie mogli nas powstrzymać, czyja w tym wina? Na Wagera, nie zasługują na to Imperium.

Czasem Skaurus dochodził do wniosku, że wysłuchiwanie wyspiarzy, upierających się przy własnych cnotach i garnących dekadencję Videssańczyków, przekracza jego siły. Powiedział ostro:

— Skoro mowa o słabości; zdrada powinna iść z nią w parze, nieprawdaż?

— Z pewnością — odparł Soteryk; Utprand, bardziej czujny od swego porucznika, zapytał:

— Co masz na myśli mówiąc o zdradzie?

— Właśnie zdradę — odparł Marek. — Gavras wie, że spotkaliśmy się pod koniec oblężenia i co z tego wynikło. Na naszego Phosa, panowie, nie powiedział mu o tym żaden Rzymianin. Wyłączając Helvis, tylko czterech ludzi wiedziało, co się kroi, a oni nie puścili pary z gęby. Niektórym z twoich ludzi warto by skrócić języki, żeby się nie poprzewracali o nie.

— Niemożliwe! — zawołał Soteryk z wiarą, jaką daje młodość. — Jesteśmy honorowym ludem. Dlaczego mielibyśmy zniżać się do takiej podwójnej gry? — Spojrzał z gniewem na swego szwagra, gotów nie kończyć waśni na słowach.

Utprand powiedział mu coś w wyspiarskim dialekcie. Marek uchwycił sens: sekrety zdradzane przypadkowo mogą ranić równie mocno, jak te zdradzane celowo. Soteryk nadal krzywił się z gniewu, ale pokiwał głową.

Trybun był wdzięczny starszemu Namdalajczykowi. W przeciwieństwie do Soteryka Utprand widział dość, by wiedzieć, jak niewiele rzeczy można uważać za pewne. Popierając słowa oficera, Marek powiedział:

— Nie miałem zamiaru sugerować świadomej zdrady, a jedynie dać do zrozumienia, że wy, wyspiarze, jesteście równie niedoskonali jak wszyscy inni.

— Masz parszywy sposób dawania do zrozumienia. — Skaurus zdawał sobie sprawę, że Sote-

ryk ma rację, ale nie mógł sobie odmówić przyjemności docięcia zarozumiałemu szwagrowi.

— Kapłan do mnie? — zapytał trybun rzymskiego wartownika. — Czy to Nepos z Akademii?

— Nie, panie, jakiś zwyczajny.

Zaciekawiony Marek podszedł za legionistą do drzwi baraku. Kapłan, nie wyróżniający się niczym poza wygoloną głową, skłonił się i podał mu mały zwój pergaminu, opieczętowany błękitnym jak niebo woskiem patriarchy.

— Dziś o ósmej godzinie dnia w Najwyższej Świątyni zostanie odprawiona specjalna liturgia radości. Jesteś zaproszony. Ten pergamin umożliwi ci uczestniczenie w obrzędzie. Mam również drugi dla twego zastępcy.

— Dla mnie? — Gajusz Filipus poderwał głowę. — Potrafię wymyślić sobie lepsze zajęcie na czas wolny, dziękuję.

— Odmawiasz prośbie patriarchy? — zapytał wstrząśnięty kapłan.

— Twój ukochany patriarcha nawet nie zna mojego imienia — odparł Gajusz Filipus. Jego oczy zwięzły się. — Zatem dlaczego mnie zaprasza? Hmm... a może to robota Imperatora?

Kapłan bezradnie rozłożył ręce. Marek powiedział:

— Gavras ma o tobie dobre zdanie.

— Żołnierz zawsze pozna żołnierza. — Gajusz Filipus wzruszył ramionami. Zatknął pergamin za pas. — Może lepiej pójdę.

Skaurus schował własne zaproszenie i zapytał kapłana:

— Liturgia radości? O co chodzi?

— O miłosierdzie Phosa — odparł kapłan, traktując pytanie dosłownie. — Teraz wybac mi, proszę; muszę znaleźć jeszcze innych zaproszonych. — Odszedł, nim Marek zdążył inaczej sformułować pytanie.

Trybun zdusił umiarkowane przekleństwo, potem rozejrzał się, by ocenić długość cieni. Zdecydował, że niedawno minęło południe; miał co najmniej dwie godziny na kąpiel. Mimo upału postanowił założyć hełm i pelerynę. Przeciągnął ręką po policzku i westchnął. Golenie też będzie konieczne. Gajusz Filipus, również wzdychając, przyłączył się do ablucji.

Rzymianin, pocierając świeżo goloną twarz, podał ich zaproszenia stojącemu na szczycie schodów kapłanowi i wszedł do wnętrza świątyni. Najwyższa Świątynia była największą budowlą w Viodessos, ale jej ciężka forma i wyłożone stiukiem elewacje jak zawsze nie wywierały wrażenia na Skaurusie, którego upodobania architektoniczne zostały ukształtowane przez odmienną szkołę. Nie będąc wyznawcą Phosa, rzadko odwiedzał Świątynię i czasami zapominał, jak wspaniała jest wewnątrz. Ilekroć wchodził do środka, czuł się przeniesiony do innego — czystsze — świata.

Jak wszystkie miejsca kultu Phosa, Najwyższa Świątynia była zbudowana na planie koła. Wewnątrz, pod kopułą, stały ławki w rzędach skierowanych na północ, południe, wschód i zachód. Ale tutaj geniusz i nieograniczone fundusze wyrafinowały prosty, podstawowy plan. Poszczególne elementy — ławy z drewna wypolerowanego na wysoki połysk, agatowe kolumny, niezliczone złote i srebrne lustra odbijające światło, które dzięki temu docierało do wszystkich zakątków, ściany wyłożone płytami z półszlachetnego kamienia, imitujące niebo Phosa — jakoś nie mogły ze sobą konkurować, bo artyści umiejętnie stopili je w jednolitą i wspaniałą całość.

A wszystkie te cuda służyły temu, by oko obserwatora kierowało się w górę, ku wielkiej kopule świątyni, która zdawała się bardziej tworem czarnoksiężnika niżli architekta. Dzięki proporcom, które przysłaniały kolumny, wyglądała tak, jakby wspierały ją wyłącznie, wpadające przez liczne okna w jej podstawie, promienie słońca. Nawet Marek, który wytrwale odrzucał wiarę, miał wrażenie, że kopuła jest zawieszonym nad ziemią fragmentem niebios Phosa.

— Oto dom odpowiedni dla boga — mruknął szeptem Gajusz Filipus. Nigdy wcześniej nie był w Najwyższej Świątyni i choć był twardy i odważny, w jego głosie zabrzmiała nabożna groza.

Sam Phos spoglądał na swych wyznawców z wnętrza kopuły; połączana szklana terakota skrzyła się to tu, to tam w wiecznie zmieniającej się grze światła. Surowe oczy videssańskiego boga zdawały się zaglądać w najdalsze zakątki świątyni — i w dusze każdego znajdującego się wewnątrz człowieka. Od tego spojrzenia, od werdyktu wypisanego w trzymanej przez boga księdze, nie mogło być ucieczki. Skaurus nigdzie indziej nie widział takiego bezkompromisowego wizerunku surowej, stanowczej racji.

Żaden Videssańczyk, nieważne jak cyniczny, nie mógł pozostać obojętny pod siłą wzroku Phosa. Człowiek z zewnątrz, widząc po raz pierwszy groźnego boga, musiał być wstrząśnięty. Utprand syn Dagobera stanął w postawie na baczność i zaczął salutować jak najwyższemu dowódcy, zanim zatrzymał się zmieszany.

— Nie dziwię mu się ani trochę — powiedział Gajusz Filipus. Marek skinął głową. Nikt nie śmiał się z Namdalajczyka; dumni wielmoże Videssos również byli pełni pokory.

Utprand, z zarumienioną twarzą, znalazł miejsce. Jego kurtka z lisich skór i obcisłe spodnie odróżniały go od otaczających go Videssańczyków. Ich luźne szaty z wielobarwnego jedwabiu, ich tłoczone brokaty, ich aksamity i śnieżne płótna podnosiły splendor świątyni. Klejnoty oraz złote i srebrne nici przetykające tkaniny migotały przy każdym ruchu.

— Uniesienie! — Chłopięcy chór w szatach z błękitnego aksamitu przeszedł między ławkami i zgromadził się wokół centralnego ołtarza. — Uniesienie! — Radosne, czyste głosy odbiły się echem pod wielką kopułą. — Uniesienie! Uniesienie! — Nawet budzące grozę oblicze Phosa jakby złagodniało, gdy młodzi wyznawcy wyśpiewywali swoje pochwały. — Uniesienie!

Za chórem pojawili się kapłani z kadzidłami; słodka woń balsamu, kadzidła, olejku cedrowego,

mirry i piżma przepełniła powietrze. Za kapłanami szedł Balsamon. Wierni wstali, by oddać cześć patriarsze. Za Balsamonem podążał Thorisin Gavras w imperatorskim stroju ze wszystkimi atrybutami władzy. Marek i Gajusz Filipus wraz ze wszystkimi obecnymi oddali pokłon Autokratorowi. Trybun starał się nie okazać zdumienia; w czasie jego poprzednich wizyt w świątyni Imperator nie brał bezpośredniego udziału w liturgii, ale obserwował przebieg z małego prywatnego pomieszczenia, znajdującego się wysoko na wschodniej ścianie.

Balsamon znieruchomiał, opierając dłoń na oparciu patriarchalnego tronu. Oparcie z kości słoniowej, ozdobione filigranowymi płaskorzeźbami, musiało radować jego duszę konesera. Po chwili wznosił ręce ku wyobrażonemu na kopule Phosowi i rozpoczął videssańskie wyznanie wiary:

— Błogosławimy cię, Phosie, panie dobry i sprawiedliwy, z łaski swej nasz obrońco, i błagamy, by wielki sprawdzian życia został rozstrzygnięty na naszą korzyść.

Wierni powtórzyli za nim słowa modlitwy, potem rozbrzmiało zbiorowe „Amen”. Marek usłyszał, jak Utprand, Soteryk i paru innych namdałajskich oficerów dodaje:

— Na co stawiamy własne dusze.

Jak zawsze, niektórzy Videssańczycy obruszyli się, słysząc ich słowa, ale Balsamon nie dał im czasu na zastanowienie.

— Spotkaliśmy się dzisiaj, by świętować! — wykrzyknął. — Śpiewajcie i pozwólcie, by bóg usłyszał waszą radość! — Zaintonował hymn drżącym tenorem; chór w chwilę później podchwycił melodię. Porwali za sobą wyznawców. Ponad głosami innych wznosił się fałszywy bas Tarona Leimmokheira; pobożny admirał z zamkniętymi oczami kołysał się z boku na bok w trakcie śpiewu.

Liturgia radości przebiegała niezwykajnie. Videssańscy wielmoże, cywilni i wojskowi, oddali się ceremonii z takim zapamiętaniem, że we wnętrzu Najwyższej Świątyni zapanował odświętny nastrój. Ich entuzjazm był zaraźliwy; Skaurus stał i klaskał wraz z innymi, i wyśpiewywał ich hymny najlepiej jak potrafił. Większość z nich jednakże była w archaicznym dialekcie — zachowanym wyłącznie w rytuałach — który nadal niezbyt dobrze rozumiał.

Za filigranowym parawanem, skrywającym imperatorską niszę przed oczami śmiertelników, uchwycił ruch i zastanowił się, czy była to Komitta Rhangawe czy Alypia Gavra. Równie dobrze może to być i jedna, i druga — pomyślał. Miał nadzieję, że była to Alypia.

Jej stryj, Imperator, stanął po prawej stronie tronu patriarchy. Chociaż po prostu modlił się tylko z resztą wiernych, jego obecność wśród nich wystarczała, by przykuć ich uwagę.

Balsamon ruchem dłoni uciszył zebranych. Głosy chóru przez chwilę wibrowały w doskonałej czystości, potem one również zamarły, pozostawiając po sobie ciszę równie wymowną jak słowa. Patriarcha pozwolił, by trwała ona przez stosowną chwilę, później zmienił jej naturę, przechodząc od tronu na sam środek poświęconego kręgu pod kopułą. Zgromadzeni pochylili się w oczekiwaniu na jego słowa.

Oczy patriarchy zaiskrzyły się; najwyraźniej bawiło go ich oczekiwanie. Zabębnił palcami po okrywającym ołtarz arkusza srebrnej blacky, patrząc to w tę, to w inną stronę. Wreszcie rzekł:

— Naprawdę dziś nie musicie mnie słuchać. — Skinie niem przywołał Gavrasa. — Oto człowiek, który prosił mnie o odprawienie liturgii radości; on wyjaśni wam powody.

Thorisin nie zwrócił uwagi na brak szacunku dla jego osoby; ze strony Balsamona nie było to wyrazem lekceważenia. Zaczął mówić, zanim przebrzmiały słowa patriarchy.

— Dziś rano przybyły wieści o bitwie, jaka miała miejsce na wschód od Gavras. Siły nam wierne... — Mimo swej bezpośredniości nawet Gavras powstrzymał się od nazwania najemników po imieniu — ...zdecydowanie pokonały przeciwnika. Naczelny buntownik i zdrajca, Baanes Onomagoulos, poniósł śmierć na polu walki.

Trzy krótkie zdania, suche niczym wszystkie wojskowe komunikaty, wywołały w Najwyższej Świątyni istne pandemonium. Radosne okrzyki biurokratów przemieszały się z krzykami oficerów; po raz pierwszy Gavras miał za sobą wszystkie niesforne frakcje.

Będąc wreszcie panem we własnym domu, Imperator kąpał się w tych wyrazach zadowolenia niczym amator opalania w promieniach słońca na rozgrzanej plaży.

— Teraz rozprawimy się z Yezda tak, jak na to zasługują! — zawołał. Okrzyki przybrały na sile.

Marek pokiwał głową z ponurą satysfakcją; pięść Gajusza Filipusa powoli wzniosła się i opadła na kolano. Rzymianie spojrzeli na siebie z całkowitym zrozumieniem.

— Nasza kolej wyprawić się na zachód — przepowiedział starszy centurion. — Czekaj nas jeszcze trochę pracy, by dobrze się przygotować.

Marek znowu pokiwał głową.

— Tak jak powiedział Thorisin, tym razem przynajmniej będziemy walczyć z właściwym wrogiem.